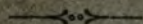








JAN SZTOLCMAN



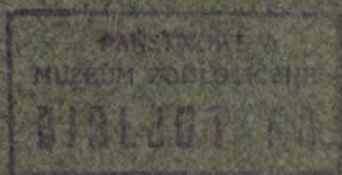
# PERU

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY



Z MAPĄ

TOM I



WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1912.

PAŃSTWOWE  
MUZEUM ZOOLOGICZNE

BIBLIOTEKA

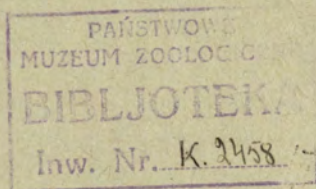
Inw. Nr. K.2458.

Wielce Szanownemu  
P. Panu. Dr. Antoniowi Wagnerowi  
i wyrazami serce przesyłam  
d. 12. X. 1920 r. Jan Białkowski.

# PERU

TOM I

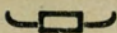
(1)







JAN SZTOLCMAN



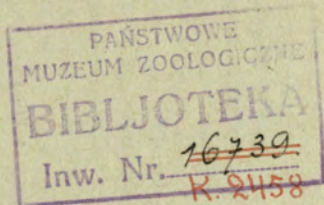
# PERU

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY



Z MAPĄ

TOM I



(1747)

WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1912.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

**K. 2458-1/I**



1000000000379

---

Druk E. NICZ i S-ka, Warszawa, Nowy-Świat 70.

PAMIĘCI  
WŁADYSŁAWA TACZANOWSKIEGO  
KONSTANTEGO HR. BRANICKIEGO  
I  
KONSTANTEGO JELSKIEGO  
PRACĘ TĘ POŚWIĘCAM



## Spis rozdziałów tomu I-go.

---

	str.
<b>ROZDZIAŁ I.</b>	
Z Warszawy do Limy . . . . .	1
<b>ROZDZIAŁ II.</b>	
Lima . . . . .	32
<b>ROZDZIAŁ III.</b>	
Okolice Limy. — Callao. — Chorillos. — Pomorze peruwjańskie (La Costa). — Wyprawa do Chim- bote na lwy morskie . . . . .	64
<b>ROZDZIAŁ IV.</b>	
Tumbez. — Dolina rzeki. — Wzgórza (Las Lo- mas). — Obyczaje mrówkojada. — Fauna doliny Tumbezu . . . . .	98
<b>ROZDZIAŁ V.</b>	
Mieszkaniec Pomorza (El costeno) . . . . .	136
<b>ROZDZIAŁ VI.</b>	
Dolina rzeki Zarumilla . . . . .	177
<b>ROZDZIAŁ VII.</b>	
Palmał . . . . .	200
<b>ROZDZIAŁ VIII.</b>	
Tumbez. — Podróż do Limy. — Obyczaje kol- czaka — Wycieczka do Lechugalu . . . . .	227
<b>ROZDZIAŁ IX.</b>	
Delta Tumbezu . . . . .	239
<b>ROZDZIAŁ X.</b>	
Obyczaje krokodyla. — Życie w Santa Lucia. — Wielorybnictwo w okolicach Tumbezu. — Przy- gotowania do powrotu. — Obyczaje ocelota. — Powrót do Limy . . . . .	261
<b>ROZDZIAŁ XI.</b>	
Pobył w Limie. — Pacasmayo. Chepen . . . . .	285

---



## PRZEDMOWA.

---

Powróciwszy w 1884 roku z mej drugiej wyprawy do Ameryki Południowej, pomimo smutnego stanu zdrowia, z którego dopiero po trzech latach mogłem się otrząsnąć, wziąłem się natychmiast do opisanja mej podróży na podstawie prowadzonego przez lat kilka dziennika oraz obszernych listów, pisanych do rodziny, a które według mego życzenia zostały starannie przechowane. A zresztą wszystkie wypadki mej pierwszej podróży miałem świeżo w pamięci, więc łatwo było przelać wszelkie wrażenia na papier. Robota moja posuwała się zwolna, ale stale i po paru latach miałem już rękopis prawie całkowicie gotowy. Lecz zaszyły okoliczności, bynajmniej odemnie niezależne, które nie pozwoliły mi na bezpośrednie opublikowanie mej pracy. I tak przeleżał mój rękopis w pyle zapomnienia lat 27. Gdy nareszcie przed dwoma laty okazała się możliwość wydrukowania mej podróży, nasunęło mi się pomimowoli pytanie, azaliż odpowiada celowi opublikowanie wrażeń z przed trzydziestu lat, i czy nie będzie to obraz przeszłości, gdy czytelnikowi należałoby dać szkic zwiedzonego kraju w teraźniejszym jego stanie? Lecz odpowiedź na to pytanie długo nie dała czekać na siebie.

I w samej rzeczy, tego rodzaju prace, co niniejsza, oprócz kronikarskiej, mniej lub więcej zajmującej relacji samej podróży, powinny zawierać o ile możności jak najdokładniejszy rys przyro-

## II

dy danego kraju, oraz charakterów i obyczajów jego mieszkańców. Otóż historyczna strona mej podróży przed trzydziestu laty nie była ani mniej, ani więcej zajmująca, jak obecnie; przyroda nie uległa tam przez ten czas żadnym wybitnym zmianom, a i sposób bytowania krajowców pozostał mniej więcej ten sam, co i w czasie mej podróży, gdyż Peru, dzięki swej oddalonej pozycji, nie posiada tak silnej migracji, jak np. Brazylja lub Argentyna, a tętno jego życia bije zwolna i spokojnie, wewnątrz zaś kraju gdzie najdłużej przebywałem, pędzi żywot, przypominający pod wielu względami zamierzchłe czasy przedpodbojowe. A więc wszelkie moje obserwacje, wszelkie uwagi, czynione przed laty trzydziestu, mogą znaleźć niewątpliwie zastosowanie i w czasach dzisiejszych.

Przy opracowaniu niniejszej książki miałem też na względzie moich młodych czytelników, z których niejeden może rzucić kraj, rodzinę, znajomych, aby w dalekich krajach szukać przygód, jakich zaznać może tylko wędrowiec pod zwrotnikami. Przeprowadziłem też w wielu miejscach analizę mych uczuć, wykazałem stan duszy mojej, raz pełnej zachwyty dla cudów przyrody, to znów szarpanej uczuciem strasznej tęsknoty, a nieraz — rozpaczy. Zrobiłem to celowo, aby dać poznać czytelnikom moim, czego podróżnik oczekiwać powinien w swych wędrówkach po zapa-dłych krajach, gdzie obok najwyższych uciech, jakich mu dostarczyć może kontemplacja wspaniałych dzieł Stwórcy, umysł jego gnębić będzie pustka, wytworzona przez brak ukochanej Ojczyzny i drogich sercu naszymu osób. Rzucić kraj — każdy potrafi, ale wrócić doń nie każdemu jest sądzonem, bo już nie mówiąc o licznych niebezpieczeństwach, zagrażających podróżnikowi, wieleż to osób wytwarza sobie nową ojczyznę, w której na resztę swego życia osiada, zapominając o swej własnej, opuszczonej... Niechaj więc ci z moich czytelników, którym by przyszła kiedykolwiek chęć puszczenia się na podobną awanturę, mają w pamięci, że obok chwil pełnych najwyższych rozkoszy duchowych, czekać ich tam będą zgryzoty, zwątpienia, rozpacz nawet; a przede wszystkim niech sobie uprzytomnią, że może raz na zawsze rozstaną się ze swym krajem, ze swym otoczeniem.

Do opublikowania mej pracy skłonił mnie też wzgląd na wielkie ubóstwo naszej literatury podróżniczej. Kraj nasz od lat 50-ciu stał się krajem emigrantów *par excellence*; wychodzący nasi zalewają świat cały, a w najodleglejszych jego zakątkach znajdzie-



### III

my dzisiaj rodaków naszych. Lecz natomiast podróżników polskich, a zwłaszcza takich, którzyby swemi wrażeniami chcieli się podzielić z ogółem naszego społeczeństwa, na palcach wyliczyć można. Sądzę zaś, że każda książka podróżnicza, choćby niezupełnie udolnie, byle szczerze i prawdziwie napisana, warta jest czytania, bo nas obznajmia z przyrodą i życiem mieszkańców nieznanymi nam krajów. Żywię też nadzieję, że i w tej oto mojej pracy czytelnik uwzględni pomimowolne braki i uchybienia, biorąc przedewszystkiem w rachubę moją dobre chęci oraz szczerą ochotę przysłużenia się społeczeństwu naszemu.

Nim jednak zakończę te kilka słów wstępnych, objaśnić muszę czytelników moich, dla czego na oznaczenie dawnej krainy Inkasów użyć musiałem nazwy „Inkazja“, której nie znajdziesz ani w żadnym podręczniku geografii, ani tem mniej w dziełach historycznych, opisujących przeszłość starożytnego Peru. Kraj ten przed zawojowaniem przez Hiszpanów w r. 1533 zostawał pod panowaniem cesarzów kuzkańskich, czyli tak zwanych Inkasów (Inca lub Inga), którzy drogą podbojów zawładnęli olbrzymią przestrzenią południowej Ameryki wzdłuż Kordyljerów, obejmującą dzisiejsze republiki Ekwadoru, Peru i Boliwii, a także część południową Kolumbii i północną—Chili; w kierunku zaś z zachodu na wschód państwo to rozciągało się od brzegów Pacyfiku aż po rzekę Ucayali. We wszystkich zawojowanych przez siebie krainach zaprowadzali Inkasi szybko swoją religię, swój język (*quichua*) i jedność obyczajów, dzięki czemu w kraju tak obszernym i liczącym według historyków w chwili zawojowania przez Hiszpanów około 10.000.000 mieszkańców, ludność stanowiła mniej więcej jednolitą masę zarówno pod względem pochodzenia, jakoteż języka i religii. Po zawojowaniu tej obszernej krainy przez Hiszpanów, rozpoczęła się wzmozżona immigracya z metropolii; oprócz zdobywców, ściągały tu liczne rzesze urzędników państwowych, a za nimi przybywali kupcy, rzemieślnicy, awanturnicy i wogóle ludzie szukający majątku w tej złotodajnej krainie. W ciągu kilku wieków oba pierwiastki etnologiczne, to jest miejscowi Indjanie i przybyli Hiszpanie utworzyły mniej więcej przemieszana ludność, posiadającą jednak na całej przestrzeni dawnego państwa Inkasów bardzo zbliżone cechy charakterystyczne. Dopiero w jakiś czas po zawojowaniu podzielono ten kraj na kilka wice-królestw, z których z chwilą wybicia się zpod panowania Hiszpanów potworzyły się osobne republiki i nazwa Peru utrzymała się tylko przy jednej z nich, tej mianowicie, w której

#### IV

znajdowały się obie stolice: dawna—Cuzco i nowa—Lima. A jednak kraje te, pomimo sztucznego podziału granicami, tak są do siebie podobne pod względem przyrody, jakoteż mieszkańców i ich obyczajów, że mogłyby one i dziś jeszcze stanowić jedno państwo, posiadające na całej przestrzeni jednolitą do pewnego stopnia ludność. Tymczasem chcąc mówić o pewnych cechach charakterystycznych wspólnych dla całego obszaru dawnych posiadłości Inkasów, nie możemy użyć nazwy Peru, gdyż ta oznacza dziś tylko trzecią, a może nawet czwartą część Peru przedpodbojowego; pomimo woli więc zmuszeni jesteśmy szukać takiej nazwy, któraby oznaczała dawne państwo władców Kuzkeńskich i sądzimy, że temu najlepiej odpowiada nazwa Inkazyi. Czuliśmy się też do tego niejako upoważnieni ze względu, że kraina ta w chwili podboju żadnej nazwy nie posiadała, a nazwa Peru powstała przez pomyłkę, jako korupcja nazwy *Viru*, którą nosił jeden z wpływowych kacyków w zatoce San Miguel, a także pewna rzeka w okolicach portu Pinas. Nazwa „Peru” utarła się w Darienie, jeszcze przed wyprawą Pizarry wśród pierwszych zdobywców, którzy pod wodzą znakomitego Balboy oraz kapitana Morales'a przedsięwzięli ekspedycje na Oceanie Spokojnym. Niech mi więc czytelnicy wybaczą, że uciekłem się do ochrzczenia dawnej krainy Inkasów nazwą Inkazyi nie w myśli, aby się ona mogła kiedykolwiek utrzymać, lecz jedynie dla uniknięcia częstych omawiań.

*Jan Sztolcman.*

## ROZDZIAŁ I.

---

### Z Warszawy do Limy.

Skłonność do podróżowania czułem w sobie od lat najmłodszych, a krainy podróznikowe były zawsze moim snem złotym. Mając rok ósmy, dostałem od rodziców „Robinsona szwajcarskiego“: książka ta stała się dla mnie prawdziwym źródłem rozkoszy. Odczytując ją do nieskończoności, a zawsze z jednakowem zajęciem, łączyłem się duszą z bohaterami powieści, dzieląc wraz z nimi wrażenia, wywołane ich wyjątkowem położeniem; zdawało mi się, że się obok nich znajduję i że dzielam ich przygody.

Już wówczas kielkowała we mnie ta żądza podróżowania, która z czasem miała mnie zagnać na drugą półkulę świata. Gdy następnie jako uczeń gimnazjum znalazłem w bibliotece gimnazjalnej dzieła Mayne-Read'a, autor ten stał się moim ulubieńcem: wszystek czas wolny od zajęć szkolnych poświęcałem na czytanie jego fantastycznych utworów, które, niech mi wolno będzie powiedzieć, pożerałem gorączkowo. Tu już moja żądza podróżnicza zaczęła przybierać bardziej wyraźne formy: tworzyłem plany na przyszłość, a w mej młodzieńczej wyobraźni, podbudzonej czytaniem książek Mayne-Read'a, Verne'a i Aymard'a, roily się szeregi środków, jakimi dopnę z czasem swojego celu. Nawet zdecydowany byłem w razie, gdyby mnie oczekiwania moje zawiodły, albo wstąpić do marynarki, albo wprost powędrować gdzieś do którego z portów i najać się jako chłopiec okrętowy. Trudno dziś sądzić, o ile plan swój wprowadziłbym w wykonanie, przyszłość bowiem pokazała, że nie było potrzeby uciekania się do tak dalece awanturnicznych środków.

W 1872 roku wstąpiłem na Uniwersytet warszawski, obierając sobie za cel swoich studjów nauki przyrodzone, jako najbardziej odpowiadające moim planom. Wkrótce też poznałem się z ówczesnym kustoszem warszawskiego Gabinetu zoologicznego, ś. p. Taczanowskim, u którego stałem się codziennym gościem, a następnie rodzajem pomocnika w porządkowaniu zbiorów entomolo-

gicznych. Wolne od lekcji uniwersyteckich chwile spędzałem w pracowni naszego uczonego, oddając się jednocześnie z zapalem preparowaniu ptaków; przewidywałem bowiem, że mi ta sztuka w przyszłości potrzebną będzie.

W pracowni Taczanowskiego koncentrowały się wówczas wszystkie prace polskich ówczesnych podróżników. Znany nasz podróżnik ś. p. Konstanty Jelski, po pięcio-letniej eksploracji Gwany francuskiej, zajmował się właśnie badaniem środkowego Peru, które tak znakomity rezultat wydało, a bogate kolekcje jego nadchodziły od czasu do czasu do Muzeum warszawskiego. Jednocześnie trzech dzielnych podróżników, a mianowicie dr. Benedykt Dybowski, późniejszy profesor Uniwersytetu lwowskiego, oraz dwaj jego towarzysze, ś. p. Wiktor Godlewski i Michał Jankowski, badając z niezwykłą korzyścią Syberję, posunęli się aż poza Amur, skąd przysyłali od czasu do czasu cenne kolekcje zoologiczne. P. Jan Kubary, warszawianin, bawił podówczas na wyspach Karolińskich, a choć kolekcje przez się zebrane, przysyłał do Muzeum Godeffroy'a w Hamburgu, niemniej jednak z Taczanowskim w ciągłej pozostawał korespondencji.

Oprócz tego pracownia naszego kustosa była zawsze punktem zbornym dla wszystkich podróżników, zwiedzających Warszawę. Tu poznałem obu hrabiów Branickich (Konstantego i Aleksandra) dziś już nieżyjących, niestety! a których podróże po Afryce północnej, Azji Mniejszej i Kaukazie dostarczyły niemało przybytków warszawskiemu Gabinetowi. Wiadomo nadto, że koszta podróży Jelskiego po Ameryce Południowej ponosił ze szlachetną bezinteresownością hr. Konstanty Branicki. U Taczanowskiego poznałem też znakomitego badacza Środkowej Azji, wówczas pułkownika, a później generała Przewalskiego, który świeżo powrócił był właśnie z pierwszej wyprawy swej do Tybetu północnego.

Nic więc dziwnego, że żyjąc tą atmosferą egzotyczną, rozwijałem w sobie coraz więcej swój zapal do podróżowania. Widok każdego podróżnika budził we mnie zachwyt, a przyznam się — i zazdrość. Przypatrując się twarzy jego, starałem się na niej wyczytać całą masę tych wrażeń, jakie w ciągu swej podróży odniósł; szukałem na niej śladów palącego słońca zwrotnikowego, jakgdybym odczuwał ciepło jego promieni na własnej osobie. Przybycie każdej nowej kolekcji było dla mnie świętem niezwykłym: gorączkowo odbijaliśmy skrzynie, gorączkowo rozwijaliśmy papier, w jaki były zawinięte osobne egzemplarze. Była to cząstka wspaniałej zwrotnikowej przyrody, oderwana z pośród dziewiczych lasów, posiadała więc dla mnie urok niewysłowiony. Cały ten zapach kamfory, mydła arsenikowego, spirytusu, stawał się dla mnie jakąś wonią balsamiczną; zdawało mi się, że oddycham powietrzem Kordyljerów, lub lasów amazońskich.

Czułem wówczas, że jeżeli mi okoliczności w pomoc nie przyjdą, to wbrew okolicznościom pójdę, choćbym miał swój dawny plan awanturniczy urzeczywistnić. Gorączka podróżowania dochodziła we mnie nadzwyczajnego napięcia. Na szczęście przypadek

mi sprzyjał. Jakoś w połowie 1874 roku nadszedł list Jelskiego, w którym podróżnik nasz donosił, że przyjął propozycję znanego badacza Peru, Raimondi'ego, robienia kolekcji na koszt rządu peruwiańskiego dla nowo tworzącego się Muzeum w Limie; że prosi zatem o wysłanie zastępcy na jego miejsce, dodając, że tenże mógłby razem z nim podróżować, dopóki nie obznajomi się z językiem i stosunkami miejscowymi. Czyż mam dodawać, że bez namysłu stanąłem jako kandydat na opróżnione przez Jelskiego miejsce, a uzyskawszy aprobację pp. Branickiego i Taczanowskiego i zezwolenie rodziców, podałem się natychmiast o paszport.

Tu jednak nowa przeszkoda, najmniej spodziewana, opóźniła na rok blisko mój wyjazd. Było to w czasach, kiedy zaprowadzono u nas świeżo nowe przepisy co do powinności wojskowej, które stanowczo odmawiają paszportu popisowym. Nie było rady: wstąpiłem do wojska jako ochotnik drugiego rzędu, to jest z 6-miesięcznym terminem służby, jako rezerwista, posiadający zatem prawo do paszportu zagranicznego.

Sądżonem jednak było, że jeszcze przez miesiąc przechodzić będę cały szereg nadziei i zwątpień co do mojego wyjazdu. Jelski od sześciu przeszło miesięcy nie dawał znać o sobie, trudno więc było puszczać się w podróż, nie wiedząc, gdzie przebywa mój przyszły towarzysz. Aż wreszcie w połowie sierpnia nadszedł list jego z Peru pisany, w którym zapytywał, kiedy ja wyjadę, oraz dawał wskazówki co do mojej podróży i miejsca naszego przyszłego spotkania. Teraz nic już nie stawało na przeszkodzie; marzenia moje stawały się rzeczywistością.

Dnia 24 sierpnia 1875 roku opuściłem wreszcie Warszawę, żegnany przez szczupłe grono rodziny i najbliższych przyjaciół. Gdy z jednej strony dusza moja rwała się w dalekie kraje po za morza, tu wstrzymywało przywiązanie do osób drogich sercu, do kraju, w którym się człowiek urodził i wychował. Jest to odwrotna strona medalu. Serce mi się ścisnęło, gdym widział lzy moich starych rodziców, mych braci i siostr; smutne twarze mych przyjaciół, z których niejednemu oczy się zwilżyły. A jednak ta siła, pchająca nas daleko, na drugą półkulę świata, musiała być potężniejszą od smutku rozłąki, jaką przechodziłem. Siedząc w wagonie, miałem czas rozmyślać nad tem wszystkim, a przyznam się, te pierwsze chwile rozstania bardzo są dla człowieka przygnębiające, szczególnie, gdy się dopiero liczy lat dwadzieścia i gdy się po raz pierwszy puszcza w daleką podróż. Już nie mówiąc o własnej boleści, wyrzucamy sobie, żeśmy z własnej woli tyle serc zakrwawili, tyle łez wycisnęli. Tam w domu siedzą teraz starzy rodzice, znękani myślą, że już nas może nigdy nie zobaczą, wyrzucają nam może brak serca, brak przywiązania i wdzięczności za wszystkie dobrodziejstwa, jakie na nas zleli, dając nam życie i wychowanie.

A bracia i siostry chodzą po opróżnionem mieszkaniu, gdzie im brak kogoś, kto z nimi tyle lat szczęścia i kłopotów podzielił. Ot teraz siadają do stołu, spoglądają na miejsce, gdzieśmy przy-

wykli byli siadać i tłumia łyzy, aby rodziców nie martwić jeszcze więcej. A my, sprawcy tego wszystkiego, siedzimy w ciemnym kącie wagonu i oczy nasze suche, tylko serce zranione.

Gdy myśl swoją odwrócimy nadludzkim wysiłkiem od tego smutnego obrazu w stronę przyszłości, jaka nas czeka i tu niepokój gnębi naszą duszę. Przywykliśmy dotychczas od lat najmłodszych wegetować pod skrzydłem rodzicielskiej opieki, nie dbając o to, gdzie mieszkać będziemy. Naraz poczuliśmy, jakby nam podstawę z pod nóg usunięto. Widzimy w koło siebie ludzi obcych i obojętnych, na których w danym razie liczyć nie możemy. Brak nam teraz opieki i czujemy, że wszystko i wszyscy—to my sami. Los rzucił nas w odmęt świata, jak rzuca szpargał papieru w zapyłonym kącie, tylko, że my mamy wolę i energję, którą pomimo całego przygnębienia zebrać się staramy. Cóż robić; smutno jest, boleśnie nawet, dom, rodzinę, kraj ojczysty porzucić, lecz takie już nasze przeznaczenie. W pracy będziemy szukali zapomnienia, aby godnie odpowiedzieć włożonemu na nas zadaniu. Przecież ofiary tego rodzaju są niezbędne, gdyż inaczej poziom wiedzy naszej nie podniósłby się nigdy. Gdyby wszyscy ludzie zawsze na miejscu siedzieli, nie byłoby handlu, a dalekie krainy pozostałyby dla nas nieznanymi na wieki. Musi więc istnieć pewna kategoria ludzi, która robiąc ofiarę ze swych najdroższych uczuć rodzinnych, przedsięwzięcie dalekie wyprawy gwoli postępu nauk i cywilizacji.

Tak się pocieszamy w strapieniu naszym, starając się niejako oszukać samych siebie. Jednocześnie kierujemy uwagę naszą na przyszłe krainy, które zwiedzać mamy. Już się widzimy na morzu wśród nieskończonego horyzontu, prując wysoko wznoszącą się na drodze naszej fale. Niebo schodzi się z ziemią, niby zamykając swą kopułą dalszą naszą drogę. Lekki wiatr wydyma żagle statku, który dumnie wznosi swój przód ponad białe grzbiety fali. Niebo się chmurzyć zaczyna, czernieje; wiatr, wzmagając się, ponuro świszczuje pomiędzy linami. Bałwany pną się wyżej i wyżej, już niektóre z nich sięgają pokładu. Burza się rozpoczęła. A my zgnębieni, bezsilni wobec tych sił potężnych przyrody, znów mamy na myśli dom rodzinny i żal nam go; chcielibyśmy się tam znajdować.

Lecz cóż to takiego? Naprzód! Człowiek od tego jest człowiekiem, aby nad swoją słabością zapanować umiał. Setki, tysiące, miliony ludzi codzień znajdują się w tem samym co i my położeniu, a jednak idą naprzód do zamierzonego celu. Więc i my pozbadźmy się naszych kobiecych sentymentów i naprzód! Czyż koniecznie te kraje, dokąd jedziemy mają być naszym grobem? A cóżby na to powiedzieli ci wszyscy podróżnicy, ci prawdziwi męczennicy nauki, którzy większą część życia spędzili na obczyźnie, wśród rzeczywistych niebezpieczeństw; i ci szczególnie, którzy dla dobra postępu swe głowy w dalekich krajach położyli. Wszak i oni mieli swe rodziny, i pewnie nie obcem im było uczucie przywiązania, a jednak poświęcili je na ołtarzu Nauki. Rodzice nasi pomartwią się trochę, popłaczą, a wkońcu boleść ich rozplynie się w wirze

zająć i kłopotów domowych. Jesteśmy jeszcze młodzi i Bóg da, to ich jeszcze zobaczymy.

A jednak przed oczyma naszymi stawały uporczywie dwie twarze smutne, patrząc na nas z wyrazem nieopisanej bolesti... Niestety! już ich więcej nie ujrzałem...

Przejechawszy przez Berlin, stanąłem d. 25 sierpnia w Hamburgu, gdzie bawił podówczas wspomniany powyżej badacz wysp Polinezyjskich, Jan Kubary, u którego też zamieszkałem. Kubary wrócił był dopiero co z pierwszej swej wyprawy do Polinezji, a odpocząwszy nieco, szykował się do drugiej, bogaty zapasem wiedzy i doświadczenia. Pomimo własnych zajęć i masy interesów, poświęcił mi zupełnie te trzy dni, jakie w Hamburgu spędziłem, ułatwiając mi z serdeczną gotowością zakupno rozmaitych przedmiotów, niezbędnych do przyszłej mojej wyprawy. Część zaś wolnego czasu poświęciliśmy na zwiedzenie ogrodu Zoologicznego i innych ciekawości Hamburga.

Załatwiwszy sprawunki, wsiałem dnia 28-go sierpnia na mały parowiec angielski „Virgo“, kursujący między Hamburgiem a Londynem. Pożegnawszy Kubarego, który mnie na statek odprowadził, położyłem się natychmiast spać, nie czekając odejścia parowca, co mogło nastąpić nie wcześniej, jak o godzinie 12-iej w nocy, wraz z przyływem morza. — Gdy się rano obudziłem, wstałem natychmiast, ciekawy widoku morza, znanego mi dotychczas jedynie z opisu. Czulem jednak, stojąc w swej kajucie, niezwykle kołysanie, któremu przeciwdziałać starałem się, zachowując o ile możliwości pozycję pionową. Ubrawszy się, z pewnym trudem, wyszedłem na pokład, chwytając się za różne przedmioty, aby uniknąć przewrócenia się. Oczom moim przedstawił się niezwykle dla mnie widok.

Niebo było pochmurne i horyzont ograniczony z powodu lekkiej mgły. Na wszystkie strony, gdzieśmy tylko wzrok nasz zwrócili, widać było szarą, wklęsłą powierzchnię firmamentu, a pod nią drugą powierzchnię szarą, pomarszczoną, w wiecznym ruchu. Mam więc przed sobą morze, do którego wzdychałem. Ta masa płynna, brudno-zielonkawego koloru, gdy na nią zbliżka patrzymy, niespokojna, nieustannie poruszająca się, jakby życiem obdarzona, dziwne robi na nas wrażenie, szczególnie, gdy ją po raz pierwszy widzimy. Statek posuwa się ciągle naprzód, a jednak krajobraz się nie zmienia. Gruba fala podnosi się pomarszczonemi wzgórzami, pieni się białą pianą na swym grzbiecie i znów opada, tworząc dół, tam gdzie przedtem wypukłość była. Ruch ten miarowy, na pozór spokojny, kryje w sobie siłę potężną, której nic się oprzeć nie zdoła. Statek nasz wrzyna się nosem w bałwan, odrzucając na boki białą pianę, pochyla się przodem, zarywa w wodzie i znów go nowy bałwan do góry podnosi, jakby cacko dziecinne. Godzinami całemi patrzeć można z zajęciem na tę walkę dwu sił, z których jedna, kierowana ręką ludzką, a druga napozór bezmyślna, automatyczna, jest rezultatem miliardów innych sił,

które przed tysiącami wieków już działały, mając początek w mgle wieczności.

Ruch morza ma dla nas ten sam magnetyczny pociąg, co i ogień na kominku: przykuwa do siebie wzrok, wywołując w głowie tłum myśli. Gdy wyobraźnia nasza odbiega o setki mil, wzrok nasz bezmyślnie śledzi ruch fal, ten ruch miarowy i nieustający. Jest to jedna z rozrywek wśród monotonnego życia na statku, patrzeć na morze i myśleć... o czem innym.

Po trzydziestogodzinnej żegludze, wpłynęliśmy wreszcie na mętne i żółtawe wody Tamizy, a minawszy Gravesand, stanęliśmy wreszcie o południu 30-go sierpnia w Londynie, tej—śmiało można powiedzieć—stolicy cywilizacji. Komisjoner, wysłany przez właściciela hotelu, czekał już na mnie w przystani, zabrawszy więc rzeczy, udaliśmy się na stację miejskiej kolei żelaznej i wkrótce stanęliśmy w hotelu.

Londyn wywarł na mnie silne wrażenie. Ten ruch olbrzymi, te szeregi dorożek i pojazdów prywatnych; te konie wielkie, ciągnące ogromne wozy ładowne; te koleje żelazne, mknące po dachach domów, gdy inne kryją się w podziemnych tunelach; ta rzeka usiana statkami wszelakich wielkości, te gmachy potężne i wspaniałe: jednym słowem cała ta masa geniuszu ludzkiego, manifestującego się pod postacią ruchu i ogromu pracy, wywołuje na człowieku uczucie podziwienia, lecz nie zawsze zachwytu. Gdy wejdziemy do Opactwa Westminsterskiego, zginamy głowę przed śmiertelnymi resztkami tych, którzy świat zadziwili potęgą swojego geniuszu. Pałac Parlamentu zachwyci nas swym majestatem, a kościół Ś-go Pawła uderzy nas swym ogromem. Lecz na ulicy w pośród tego ciągłego ruchu uczujemy znużenie i chęć dostania się do jakiego cichego zakątka świata, gdziebyśmy nie słyszeli tego ciągłego turkotu pojazdów, który myśl naszą rozrywa, nie dając jej spocząć na jednym przedmiocie.

W Londynie zdecydowałem się jechać nie przez Panamę, lecz przez cieśninę Magellańską. Wprawdzie droga ta jest prawie dwa razy dłuższą, lecz za to da mi możliwość zwiedzenia znacznej części Ameryki Południowej. Właśnie na 8-go września oznaczony był odjazd wspaniałego statku „Illimani“, należącego do bogatej „Pacific Steam Navigation Company“, nie namyślając się więc długo, zakupiłem bilet 2-jej klasy z Liverpoolu do Callao i pozostały czas, jaki mi zbywał do odejścia statku, wypełniłem porobieniem różnych sprawunków, oraz zwiedzeniem ważniejszych ciekawości Londynu.

Wreszcie d. 7-go września przyjechałem do Liverpoolu, gdzie następnego dnia udałem się do doków, aby wsiąść na mały stateczek, przewożący pasażerów na parowiec. Z ciekawością obserwowałem przyszyłych moich towarzyszy podróży, tworzących tu i owdzie grupy na pokładzie małego parowca. Wszędzie widać twarze smutne, często łzy; słychać tłumione łkania. Tak się szykują ludzie do podróży poza Ocean. Każdy ma do żegnania kogoś



z drogich osób: ten żonę, ów matkę lub ojca. Wreszcie drugi dzwonek daje znać, aby osoby postronne opuściły statek: metaliczny ten głos brzmi dla wielu jak wyrok śmierci, przeczytany suchym głosem sędziego. Ruszamy. Łoskot kół i szum pary przygłusza rozpaczliwe łkania.

Wkrótce potem przybijamy do statku, który już gotów do drogi, czeka na nas poza linią doków. „Illimani” należał do najlepszych statków kompanji; miał objętości 4020 beczek i mógł z łatwością robić do 14 mil<sup>1)</sup> na godzinę — szybkość znakomita, jak na ówczesne czasy. Na przodzie wznoszą się dwa wielkie maszty, za nimi komin, a z tyłu jeszcze jeden maszt. Zwinięte żagle pozwolą nam oszczędzać węgla, gdy wiatr pomyślny na to pozwoli<sup>2)</sup>.

Zwykle, wchodząc po raz pierwszy na pokład statku przed odbyciem długiej podróży, przychodzi nam myśl, czy też zejdziemy zeń w punkcie, do którego dążymy. Zawsze to ocean kryje w sobie wiele niebezpieczeństw, które nam na myśl przychodzą. Prędko jednak pozbywamy się tego niepokoju, gdyż bierze nas ciekawość, jak też wygląda ten statek, który w ciągu długich dni ma nam za mieszkanie służyć. Więc idąc za tym popędem ciekawości, zainstalowawszy się w kajucie, udałem się na zwiedzenie okrętu.

„Illimani” posiadał trzy klasy, co się wogóle dość rzadko trafia, zwykle bowiem są tylko dwie, to jest I-a i III-a. Na moim statku I-a klasa, jak zwykle, zajmowała tył statku, gdzie pod pokładem mieści się sala jadalna pośrodku, a w koło niej kajuty różnej wielkości, stosownie do opłaty. Druga zaś klasa zajmowała podobną pozycję na przodzie i różniła się tylko od pierwszej mniejszym komfortem, a może lepiej powiedzieć, mniejszym zbytkiem, gdyż co do wygod równała się z pewnością pierwszej klasie wielu statków, na których tylko dwie klasy istnieją. Kuchnia też była bardzo dobra, o ile kuchnia angielska dobrą być może. Cena za przejazd z Liverpoolu do Callao, czyli za 54 dni podróży, wynosiła 50 funt. szterl. (około 500 rb.).

Sala jadalna posiada dwa stoły (przyśrubowane do podłogi), z których jeden ustawiony wzdłuż, a drugi wpoprzek sali w jednym z jej końców. Obok stołów, również przyśrubowane, stoją wazki, wyściełane safjanem ławki o poręczach, które można to na tę, to na drugą stronę przekreślać. Ponad stołami zaś zawieszona są półki z dziurami różnej wielkości, w które się wstawia karafki, butelki z winem, szklanki i kieliszki, gdy się ze stołu sprzątnie. Obok zaraz znajduje się mały pokoik, służący za kredens. Światło do sali jadalnej dostaje się z góry przez wypukłe oszklone i okratowane okno.

Do sali wychodzą krótkie kurytarzyki, z których każdy prowadzi do dwu kajut: jedna na prawo, druga—na lewo kurytarza.

<sup>1)</sup> Mowa o milach morskich, z których 1=1<sup>3</sup>/<sub>4</sub> wiorsty.

<sup>2)</sup> Nie należy jednak sądzić, aby w takich razach parowiec płynął wyłącznie siłą wiatru. Zmniejsza się tylko siłę pary, przez co oszczędza się na węglu.

Kajuta posiada jedno małe, okrągłe okienko, przez które nawet głowy nie podobna wytknąć. Po każdej stronie znajdują się po dwa łóżka—jedno nad drugim. Ponieważ jednak pasażerów było stosunkowo niewielu, mieściliśmy się więc tylko po dwu w każdej kajucie, a następnie zostałem tylko sam jeden, gdy mój towarzysz wysiadł w Monte-Video.

Podróż na morzu jest, można powiedzieć, bardzo przyjemną, jeżeli tylko nie trwa zbyt długo i jeżeli nie cierpimy na chorobę morską. Ja na szczęście należałem do liczby tych wybrańców. Już podróż z Hamburga do Londynu robiła mi nadzieję, że nie będę doświadczał tej przykrej choroby; przyszłość też pokazała, że nadzieje moje nie były płonnymi. Człowiek w takim razie jest nadzwyczaj zdrowy, apetyt ma znakomity i humor dobry. Monotonność długiej przeprawy urozmaicać można czytaniem, pisaniem, rozmową, gdy się na miłych towarzyszach podróży trafi; można się nawet zabawiać w gry towarzyskie, na które wówczas innem okiem patrzymy, niż u nas w domu. Dość jest powiedzieć, że nawet „ślepa babka“ wydaje nam się zabawką, gdy zbyt długa podróż da się nam we znaki swą monotonnością.

Godziny na statku płyną jednostajnie. Zwykle wstajemy rano, gdyż wieczorem z nudów wcześniej spać idziemy. Myjemy się, ubieramy; kawa lub herbata już na nas czeka. Wypiwszy ją, idziemy na pokład, aby stan pogody sprawdzić. Czytamy cokolwiek, lub prowadzimy rozmowę. O godzinie 10-ej dzwonek *steward'a* (służącego) woła nas na śniadanie. Czas między śniadaniem i obiadem, który podają o 4-ej po południu, staramy się znów wypełnić czytaniem, pisaniem lub rozmową. Wieczór piszemy dziennik lub listy: wcześniej spać się kładziemy.

Póki jeszcze statek trzyma się w pobliżu lądu, często odwiedzane porty dostarczają nam niemałej rozrywki. Gdy jednak znajdziemy się już wpośród nieskończonego oceanu, wówczas chyba pojawienie się statku jakiego, lub stada delfinów, witane bywa z niezwykłą radością. Szczególniej gdy statek blisko przechodzi, sygnalizowanie i idące za tem dopytywania: co to za statek? skąd płynie? dokąd? są na porządku dziennym. Patrzymy przez lunetę, a często gołem okiem na tamtych ludzi, którzy także wylegli na pokład i nam się przyglądają. Wspólność położenia budzi w nas jakąś sympatię dla nich. Jeszcze przed chwilą byliśmy sami wśród niezmiernego przestworza oceanu, a oto teraz mamy przed sobą inną garstkę, którą podobny los, co i nas, czeka w razie katastrofy. Szybko jednak mijamy się; już statek, który niedawno był bokiem do nas, teraz widzimy z tyłu: wąski, niezmiernie wysoki swymi żaglami, niknie w oddaleniu; już go nie widać, tylko żagle same; w godzinę potem musimy wzrok wyteżać, aby go odkryć gdzieś daleko na widnokręgu. Na szerokim oceanie nawet te zjawiska są dosyć rzadkie. Często dni kilka z rzędu, nawet tydzień cały płynąć można, nie widząc nic prócz nieba i morza.

W południe następnego dnia po wyjeździe porzuciliśmy brzegi angielskie, wypływając na Ocean. Czuć to się zaraz dało po

grubszej fali, która statkiem kołysała jak lupiną orzecha. Kierowaliśmy się do Bordeaux, które stanowiło pierwszy port naszej marszruty, gdzie też stanęliśmy szczęśliwie na czwarty dzień podróży o godzinie 5-ej rano <sup>1)</sup>, a zabrawszy ładunek i pasażerów, podnieśliśmy kotwicę po południu, wypływając znów na spokojne wbrew zwyczajowi wody zatoki Gaskońskiej. Ten stan jednak pogody nie wytrzymał długo. Już dnia następnego silny wiatr (północno-zachodni) rozkołysał morze, pędząc na nas deszcz ulewny, który nas przymusowo w kajucie trzymał. Cały ten dzień spędziliśmy w sali jadalnej, przysłuchując się ponuremu świstowi wiatru wpośród lin okrętowych i wytrzymując bohatercko silne kołysanie okrętu.

Większa część pasażerów nie opuszczała swych kajut, doświadczając najsmutniejszych skutków morskiej podróży. Stół w takich razach bywa opróżniony, lecz zato ci, którzy jeść mogą, znajdują się w złotych humorach, żartując sobie z niefortunnnych towarzyszków, wydających z głębi swych kajut najsmutniejsze jęki.

Dzień 13-go września dostarczył mi nowych i przyjemnych wrażeń. Wyszędłszy zrana na pokład, ujrzałem w dali brzegi Hiszpanji, zarysowujące swe faliste kontury wpośród mgły porannej. Wkrótce też wpłynęliśmy do obszernej zatoki, w głębi której leży port Carril. Roztaczający się przed nami widok był niezwykle malowniczy. Zatoka, otoczona górami, o wierzchołkach odzianych białym obłokiem, posiada wody gładkie jak zwierciadło. Nagie skały i olbrzymie głązy kamienne nadawałyby widokowi dziki charakter, gdyby nie zielone gaje, ciągnące się po jarach i wąwozach—oraz białe domki rozsiane po skłonie gór. Zarzucamy kotwicę; a w tejże chwili mnóstwo bark, szalup, łodzi otacza nas, przywożąc nowych pasażerów oraz przekupniów z owocami. Lud wszystek śniady i ognisty, wyrażający się z energją; każdy gestykuluje tak, jakgdyby chciał pobić swego interlokutora. Mężczyźni noszą brązowe kurtki i pantalone, podwiązane czerwonym pasem; duże filcowe kapelusze z szerokimi rondami i trzewiki z jasnej skóry. Ubiór kobiet nie ma w sobie nic charakterystycznego, lecz zato same kobiety odznaczają się taką wymową, że nasze przekupki ze Starego Miasta wydałyby się nam przy nich niemowami.

Tego jeszcze dnia przyjechaliśmy do sąsiedniego portu Vigo, sławnego wielkimi skarbami, jakie tu Hiszpanja straciła w bitwie morskiej z Holendrami. Trzy statki, naładowane złotem z kolonji amerykańskich, w tem miejscu zatopiono. Przejazd z Carril do Vigo trwał 3 godziny; zazwyczaj jednak odbywa się znacznie prędzej, tylko, że nam przeszkadzała bardzo gęsta mgła. Zwykle w takich razach okręt, aby uniknąć zetknięcia się z innym jakim statkiem, posuwa się nadzwyczaj wolno, dając co chwila znać o sobie grubem, basowem gwizdaniem.

Vigo leży w głębi podobnej, co i Carril, zatoki, tylko widok jeszcze tu piękniejszy. Białe domostwa pną się po skłonie wysokiej

<sup>1)</sup> Statek zatrzymuje się poniżej Bordeaux w miejscowości zwanej Paulliac.

góry, której wierzchołek nosi na sobie małą forteczkę. Tak samo, jak w Carril, statek nasz jeszcze nie zdążył zarzucić kotwicy, gdy już otaczało go mnóstwo bark i łodzi, na których przekupnie przywieźli owoce, papierosy i różne inne drobiazgi. Ponieważ nie mieliśmy w Vigo ładunku do zabrania, po 2-godzinnem zatrzymaniu się, podnieśliśmy kotwicę, kierując się teraz ku ostatniemu dla nas portowi europejskiemu, jakim jest Lizbona.

W Lizbonie stanęliśmy następnego dnia około 2-ej godziny po południu. Stolica Portugalji posiada cały urok miast południowych: białe domy, pnące się amfiteatrem po skłonie wzgórze, czystą jak kryształ atmosferę, piękne, błękitne niebo i wesołe promienie gorącego słońca. Zwykle jednak te miasta południowe z daleka są ładniejsze, niż z bliska.

Podobny wypadek zachodzi i co do Lizbony. Podjeżdżając do przystani, czujemy nieprzyjemny odór zgnilizny, jaki się wydobywa z gęstego błota nadbrzeżnego podczas odpływu morza.

Cała dolna część miasta, wzdłuż brzegu rozciągnięta, zarażona jest tą wstrętną wonią. Zresztą Lizbona posiada ulice po większej części dość wąskie, domy trzy- lub cztero-piętrowe, białe z zielonymi żaluzjami, za którymi kryją się „senhoritas“ niewidzialne dla przechodniów, a widzące wszystko. Niektóre place, jak np. z pomnikami Józefa I-go, Piotra IV-go i Camoensa bardzo są czyste i mile rozweselają oko szeregami drzew pomarańczowych. Kilka wspaniałych zabytków architektury maurytańskiej, między którymi na szczególną uwagę zasługuje wieża Belem w zachodniej części przystani, zdobią miasto niepospolicie. Wogóle Lizbona wywiera na cudzoziemcu bardzo miłe wrażenie. Do ujemnych stron jednak należy cała czereda dragomanów i ciceronów, którzy z niezwykłym natręctwem opadają przybysza, tytułując go „ekscelencją“, gdy tylko jest nieco porządniej ubrany. Grzeczna odprawa nic nie pomaga zwykle i tylko energiczne zwymyślanie uwalnia nas od tej natrętnej szarańczy.

Wieczorem miasto przedstawia wspaniały widok, gdy na nie z rzeki patrzymy. Podwójne szeregi świateł gazowych na ulicach pod górę wiodących; wspaniała przystań, ciągnąca się równym pasem na kilka wiorst długości, migocąc tysiącami gwiazdek latarnianych; spokojne wody Tagu; nad tem ciemne, przejrzyste niebo, iskrzące się swymi djamentami i błyśnięciem księżyc—stanowią krajobraz przepyszny. Rzadko gdzie widziałem atmosferę równie przezroczystą, jak w Lizbonie.

Zatrzymawszy się w stolicy Portugalji całą dobę, jak przystało na port tak ważny, podnieśliśmy kotwicę dnia 15 września, o godzinie wpół do trzeciej, aby pożegnać brzegi Europy. Teraz przed nami 14 dni podróży przez ocean, gdzie oprócz wysp Kanaryjskich i Zielonego Przylądka, nie ujrzymy już ziemi, aż dopiero zbliżywszy się do brzegów Nowego Świata. Żegnamy ze smutkiem brzegi starej Europy, nie wiedząc, czy ją już kiedy w życiu zobaczymy. Wieluż to z tej garstki ludzi, płynących na naszym statku, oglądało ją po raz ostatni.

Pierwszej zaraz nocy po wyjeździe z Lizbony, mieliśmy 7-godzinny przystanek z powodu jakiegoś uszkodzenia w maszynie. Morze na szczęście było spokojne; w przeciwnym bowiem razie kołysanie stojącego statku na wzburzonem morzu jest nieznosne. Ruszyliśmy dopiero o godzinie 8-ej rano, lecz widocznie naprawa nie udała się, gdyż płynęliśmy naprzód bardzo wolno i o godzinie pół do 11-ej znów przystanąć zmuszeni byliśmy na godzinę. Tu już uszkodzenie zostało stanowczo usunięte, gdyż popłynęliśmy dalej ze zwykłą szybkością około 300 węzłów na dobę, zachowując ją nadal aż do samego Rio-Janeiro.

Pogoda ciągle była piękna, morze spokojne. Czuć było, że się do zwrotników zbliżamy, gdyż gorąco w ciągu dnia wzmagało się znacznie, w miarę, jak jednocześnie zmrok stawał się coraz krótszym. Dnia 18 września, o godzinie pół do 12-ej przed południem jeden z moich towarzyszy dał mi znać, że widać ziemię. Wybiegłem szybko na pokład i spojrzałem w kierunku południowo-zachodnim. Zrazu nic rozróżnić nie mogłem, gdyż lekka mgła zasłaniała niższe warstwy powietrza, nie pozwalając rozróżnić odległych przedmiotów. Dopiero wpatrując się pilniej, spostrzegłem ponad białymi warstwowymi chmurami lekko zarysowany trójkąt: był to sławny szczyt Teneryffy, Pico de Teyde, wznoszący się na 14,000 nad poziom morza. W miarę, jak się naprzód posuwaliśmy, kontury wyspy zarysowywały się coraz wyraźniej. Tu po raz pierwszy spostrzegłem nową dla mnie część świata.

Statek popłynął środkiem pomiędzy wyspami Teneryffą i Santa Cruz, na takiej jednak od obu odległości, że nawet przy pomocy lunety nic rozróżnić nie było można. Wyspa Santa Cruz wydała mi się zupełnie ogolonoą z roślinności, przynajmniej od strony zachodniej, widzialnej dla nas. W parę godzin już obie wyspy tonęły w mgłę oddalenia, a wkrótce znikły nam z oczu zupełnie.

Nocami zjawisko fosforescencji stawało się niezwykle świetnem przy spokojnem morzu, jakie mieliśmy ciągle. Wiadomo jest, że rozmaite stworzenia morskie, należące do różnych grup zoologicznych, są obdarzone zdolnością wydawania światła fosforycznego, nie ciągle jednak, lecz tylko wtedy, gdy podrażnionemi zostają przez jakiegokolwiek tarcie. Tak np. ruch fali, spowodowanej przejściem statku, pobudza tę zdolność fosforyzowania. Zwykła siła fosforescencji wzmaga się przy kilku dniowym spokoju morza, co łatwo jest sobie wytłómaczyć kilkodniowym odpoczynkiem żyjątek fosforyzujących, nie zmuszanych przez zewnętrzne przyczyny do zużywania swej siły fosforycznej. Przeciwnie po burzy zdolność fosforyzowania słabnie, a zjawisko fosforescencji ledwie może być obserwowane. Tak i w obecnym wypadku długotrwały spokój morza wzmógł tę osobliwą zdolność mirjadów żyjątek, które w wypadku obserwowanym przez nas w szerokości wysp Kanaryjskich należały do grupy meduz. Patrząc na morze w pewnej odległości od statku, widać było ciemną toń jego, tylko czasami zabłysło w niej światółko, blade, niebieskawe, niby błędny ognik: to pewnie jaka ryba przepływała, drażniąc na swej drodze fosforyzujące

meduzy. Za to wkoło statku zjawisko przybierało wspaniałe rozmiary. Na przodzie tam, gdzie statek, idący 14 mil na godzinę, pruje morze, podnosząc fale bardzo znaczne, morze lśniło się tysiadcami jakby iskier, żarzących się chwilę i niknących na przemiany. Takie samo zjawisko obserwować było można w miejscu, gdzie spada szerokim strumieniem zużyta przez maszynę woda. Jednocześnie zaś po bokach statku i ku jego tyłowi, tam gdzie śruba sprowadza niezwykły zamęt w cząsteczkach wody, ciągnęła się świetlna smuga, zostająca poza nami, niby droga mleczna na niebie. I wówczas, w samej rzeczy, morze staje się podobnem do nieba. U stóp naszych mamy ciemno-lazurową powierzchnię z mirjadami gwiazd z drogą mleczną, tylko że to wszystko efemeryczne, chwilowe, ciągle zmieniające się: tysiące gwiazd iskrzą się, gdy jednocześnie tysiące innych nikną i tak do nieskończoności; gdy tam na niebie panuje pozorny spokój i gwiazdy migocą nieustannie, chyba gwiazda spadająca ten spokój naruszy.

Morze, tak jednostajne na pozór, przedstawia nieskończoną ilość punktów dla badacza, kryje w sobie tysiące zjawisk godnych uwagi, coraz to nowych, a zawsze ciekawych. Weźmy choćby kolor morza, wieleż od nam odcieni przedstawia, od brudno-szarej barwy mydlin—do najwspanialszego błękitu. Kwestja ta zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

Przedewszystkiem należy rozróżnić kolor właściwy morza i jego barwę zapożyczoną od nieba. W tym ostatnim wypadku bardzo łatwo jest pojąć, że niebo zachmurzone nada morzu szarą barwę, a mniej lub więcej ciemny lazur—barwę błękitną. Zresztą kolor nadany przez niebo uwidocznia się głównie, gdy na morze patrzymy pod bardzo ostrym kątem do jego powierzchni; przeciwnie zaś, gdy patrzymy nań z góry, np. z pokładu statku, wpływ nieboskłonu na kolor morza jest nieznaczny.

Kolor morza właściwy zależy od najrozmaitszych przyczyn a mianowicie od postronnych cząsteczek, rozpuszczonych w wodzie morskiej, od głębokości i rodzaju dna, wreszcie od różnych żyłatek mikroskopijnych, nadających niekiedy morzu rozmaite barwy, jak np. krwistą, obserwowaną przeze mnie w Porcie Lota<sup>1)</sup>. Najpospolitszy kolor morza na wielkich głębiach jest szaro-błękitny, mniej lub więcej ciemny. Kolor ten zwykle na mieliznach, głównie zaś w bliskości brzegów zmienia się na szaro-zielonawy, tak zwany butelkowy, gdy przeciwnie w innych miejscach przybiera odcień ciemno-lazurowy prawdziwy. Tej barwy morze posiadają brzegi Portugalji. W miejscach znów, gdzie do morza wpadają znaczne rzeki, przybiera ono barwę żółtawą, właściwą słodkim wodom rzeki, niosącym zwykle w swych nurtach drobne, zawieszane cząsteczki mułu, lub gliny.

Jeżeli patrzymy na morze z góry, widzimy wodę w tak grubej warstwie, że przytem na nieprzeźroczystem tle, jakie stanowi dno morskie, że wówczas nie możemy sądzić o kolorze jego; wy-

<sup>1)</sup> O czem będzie niżej.

daje nam się bowiem czarniawem z tym lub owym odcieniem. Właściwą zaś barwę obserwować możemy albo na grzbietach fali, patrząc na nią pod światło, albo w tych miejscach, gdzie piana morska, wtłoczona siłą samego bałwanu na pewną głębokość, stanowi niejako białe tło, pozwalające nam wyrokować o absolutnym kolorze morza.

Morze jest zazdrosne: niechętnie pozwala badaczowi na studjowanie tajemniczych swych mieszkańców. Draga dostarczyć nam wprawdzie może wielu z nich, lecz bezpośrednie ich badanie we własnym ich żywiole jest prawie niemożliwe. Życie morskich stworzeń na zewnątrz ujawnia się w nielicznych tylko wypadkach, do jakich zaliczyć należy i ukazywanie się w powietrzu ryb latających, porzucających na chwilę swój żywioł, aby dać znać światu, że ta olbrzymia masa wody nie jest pustynią, że kryje w swych głębiach mirjady stworzeń ciekawych właśnie tem dla nas, że są tak trudne do obserwowania.

Ryby latające ujrzałem po raz pierwszy dnia 20 września w szerokości wysp Zielonego Przylądka. Wiadomo jest, że stworzenia te wielkością równające się zwykłemu śledziowi, posiadają pletwy pierśsiowe bardzo rozwinięte, pozwalające im utrzymywać się w powietrzu przez pewien przeciąg czasu, zwykle nie więcej nad kilka lub kilkanaście sekund. Ryba, jak się zdaje, silnem uderzeniem pletw o wodę wyrzuca się w powietrze pod bardzo ostrym kątem do poziomu i bodaj jedynie siłą tego pierwszego rzutu utrzymuje się przez dość znaczną przestrzeń (sto do paruset metrów), opisując w powietrzu słaby łuk paraboliczny. Długie obserwowanie tych stworzeń przekonało mnie, że prawie zawsze zrywają się pod wiatr, a lecąc w jednym kierunku, ze słabem nachyleniem na jedną, lub drugą stronę, wpadają do wody z bezwładnością rzuconego w powietrze ciała. Zrazu wydało mi się, że nie są w stanie zmieniać kierunku w płaszczynie pionowej, widziałem jednak następnie, że w pewnych razach omijają bałwany, piętżące się na ich drodze. Czy zmiana ta kierunku jest zależną od ryby, czy też pochodzi wprost od odbicia się jej o powierzchnię bałwana, na podobieństwo „kaczek“ puszczanych przez chłopaków na wodę, tego sprawdzić nie mogłem, zdaje mi się jednak, że to drugie przypuszczenie jest prawdopodobniejszem. Łatwiej daleko jest sobie objaśnić zbaczanie na prawo lub na lewo (w kierunku poziomym) przez właściwe zagięcie ogona na tę lub ową stronę i przez podniesienie jednej lub drugiej pletwy.

W niektórych punktach oceanu ryby latające napotyka się w niezmiernych ilościach, często nawet licznymi stadami, które rozbite przez szybko mknący statek, rozpryskują się na wszystkie strony, robiąc niekiedy wrażenie stada jaskółek. Częściej jednak widać je pojedynczo wznoszące się w powietrze i oddalające się, szybkim ruchem strzały wypuszczonej z łuku. Jedna i ta sama rybka podnosi się niekiedy kilka razy z rzędu: ledwie pluśnie do wody, już na nowo wzbija się w powietrze i manewr ten powtarza trzy do czterech razy.

Oprócz tych mieszkańców morza, w powietrzu zwykle pusto nad nieskończonem przestworzem oceanu. Ptactwo jednak morskie zapuszcza się niekiedy bardzo daleko od brzegów ziemi. Raz widziałem małe burzyki o 7 dni drogi od najbliższych brzegów Ameryki, co nam uczyni, licząc tylko szybkość statku po 200 mil morskich na dobę, 1400 mil morskich, czyli 2450 wiorst. Liczba ta wymownie pokazuje nam wytrwałość lotu ptaków, choć z drugiej strony dodać muszę, że ptaki te niewątpliwie nocowały na morzu, gdyż niepodobna przypuszczać, aby w ciągu paru godzin zdążyły przebyć tak znaczną przestrzeń.

Takie jednak pojawianie się ptaków zdala od ładu jest wyjątkowem, spowodowanem niewątpliwie przez silne cyklony, które wbrew woli tych doskonałych latawców zanoszą je ponad niezmierzone przestworza oceanu. W miarę za to, jak się do ziemi zbliżamy, pojawiać się zaczyna morskie ptactwo: mewy, burzyki, wydrzyki, czasami olbrzymi albatros. Tak np. bliskość wysp Zielonego Przylądka zwiastowana była przez liczne jaskółki, szybujące swobodnie nad morzem w koło naszego statku d. 20 września. Jakoż następnego ranka przepłynęliśmy w bliskości wyspy S. Vicente, wynurzającej swe kontury w lekkiej mgie porannej. W południe tegoż dnia minęliśmy drugą wyspę tegoż samego archipelagu, a mianowicie Santiago, poczem zapuściliśmy się w samo jądro wielkiej pustyni oceanu Atlantyckiego.

Na szczęście czas nam sprzyjał nadzwyczajnie i nawet nieznośne gorąco, jakiego doświadczyliśmy w ciągu dni ostatnich, osłabło znacznie dzięki południowemu wiatrowi. Dnia 24 września przepłynęliśmy równik. Słońce teraz w południe zawieszono było w zenicie, tak, że osoba stojąca żadnego cienia nie dawała. Pomimo to temperatura stała się dość znośną, a powietrze odświeżały ulewne deszcze, jakie od czasu do czasu przepadywały. Morze mieliśmy ciągle spokojne, humor doskonały, a nudy podróży staraliśmy się zabijać wszelkimi sposobami...

Pamiętnym na całe życie będzie dla mnie dzień 30 września. Rano o godz. 6-ej towarzysz mój, Szwajcar, dał mi znać, że widać ziemię. Wiadomość ta zelektryzowała mnie do tego stopnia, że zarzuciwszy tylko palto na ramiona wybiegłem na pokład. Płynęliśmy teraz wprost na północ <sup>1)</sup>; na prawo słońce wynurzało się właśnie z toni oceanu, zaspiane jeszcze, czerwone; na lewo widać było wysokie góry, okalające w tem miejscu brzeg Ameryki, tej samej Ameryki, do której wzdychałem od lat dziesięciu. Wątpię, czy Kolumb doznał większego wrażenia na widok wyspy San Domingo, aniżeli ja w owej chwili. Gotów byłem skakać, tańczyć, płakać; zapomniałem, że mam ojczyznę, rodzinę, przyjaciół tam, po drugiej stronie oceanu. Pożerałem wzrokiem te dumne góry, piętrzące się ku zachodowi, pokryte gęstym wspaniałym lasem, z pośród których wyglądały eleganckie korony palm, dając

<sup>1)</sup> Statek zapędził się był meco na południe i teraz szukał wejścia do zatoki Rio Janeiro.



mi do zrozumienia że to rzeczywiście kraj podzwrotnikowy, pełen światła, ciepła i cudów przyrody. Tak więc moje marzenia stały się rzeczywistością.

W podobnych chwilach nie doznajemy tego przynębiającego uczucia na myśl, żeśmy teraz postawili między nami i całą naszą przeszłością ogromną przestrzeń oceanu, którego przebycie bądź co bądź połączone jest z pewnym niebezpieczeństwem. Nie myślimy, że teraz, w razie potrzeby, ruchy nasze są sparaliżowane, jesteśmy związani ogromną przestrzenią, do przebycia której potrzeba długich dni. To dopiero później, gdy już nieco ostygniemy w naszym zapale, gdy jedna i druga przeciwność sprowadzi nam na myśl obraz drogich osób: wówczas dopiero doznajemy niekiedy silnego przynębienia, z którego niełatwo już się nam otrząsnąć. Ocean wydaje nam się jakąś nieprzebytą przeszkodą i zdaje nam się, że między nami a krajem naszym istnieje przepaść niezmierną; uważamy niekiedy powrót do ojczyzny za niepodobieństwo. W takich jednak jak obecnie chwila, żyjemy tylko terażniejszością i najbliższą przyszłością: widzimy przed sobą nową dla nas część świata, piękną wszystkimi cudami dziewiczej a przytem wspaniałej przyrody; wyobraźnia nasuwa nam plany przyszłych naszych wycieczek i życia wśród lasów; doznajemy pewnej dumy na myśl, że widzimy to, co nie wszystkim sądzonem jest oglądać i uważamy się za wybrańców losu.

Gdy tak swobodnie i dumnie płynęły myśli moje i statek płynął naprzód, szukając wąskiego przesmyku, jaki do zatoki Rio-Janeiro prowadzi. Wreszcie spostrzegamy niewielką szczyrbę w wysokim brzegu, kierujemy się ku niej i wkrótce przed oczami naszymi roztacza się najcudniejsza w świecie panorama. Olbrzymia zatoka rozciąga swe zwierciadlane wody daleko w głąb, tak, że zachodni brzeg ledwie jest dla nas widoczny w mgłę porannej. Okalające góry zamykają wodę ze wszech stron z wyjątkiem wąskiego przesmyku, przez który dostaliśmy się do zatoki. Na lewo, tuż przy tym ostatnim, wznosi się ostrosłup góry, zwanej „Pan de Açúcar“, czyli „Głowa cukru“, do której rzeczywiście jest bardzo podobną. Poza nią inna góra, o fantastycznym kształcie, zwana „Corcovado“ (garbaty) pozwala widzieć na samym szczycie mury niewielkiej forteczki; a jeszcze nieco dalej południowy grzbiet gór, pokrytych bujną roślinnością, otacza kołem zatokę, zniżając się ku zachodowi, w miarę jak odległość staje się coraz większą. Zwracając się jednak bardziej ku północy, spostrzegamy, że góry znów rosną, zbliżają się i kończą szczytami u wejścia do zatoki. Pośrodku tej ostatniej sterczy kilka małych wysepek skalistych, na których niby cerberzy szczyrzą do nas zęby małe forteczki: jedna z nich odpowiada strzałem na powitanie naszego okrętu. Wprost przed nami na łuku zatoki rozciągnęło się wielkie miasto Rio Janeiro, <sup>1)</sup> a raczej Rio de Janeiro, którego białe domostwa pięknie

---

<sup>1)</sup> Rio Janeiro jest największym miastem południowej Ameryki.

kontrastują z ciemną zielonością okalających gór. Woda spokojna jak na jeziorze; ranne słońce złoci skłony gór; powietrze czyste i przyjemne o tej ранней godzinie. Nic więc dziwnego, że stoimy zdumieni w obec tego wspaniałego widoku.

Gdym następnie, przyjechawszy do portu, stanął po raz pierwszy na ziemi amerykańskiej, doznałem dziwnej mieszaniny zachwytu, zdziwienia i niepokoju. Sprawdziłem to na sobie i później w tych razach, gdym dopiął zamierzonego a długo oczekiwanego celu. Niewątpliwie radość gra tu główną rolę — gdyż urzeczywistnia się to, co tak często stawało w naszej wyobraźni, widzimy przed sobą te widoki, na które dotychczas patrzyliśmy oczami myśli. Pod tem jednak uczuciem radości, na dnie duszy naszej, czujemy jakiś niepokój, czy dlatego może, iż rzeczywistość nie zupełnie odpowiada obrazom, powstałym w naszej wyobraźni? I w danym razie, widzimy wprawdzie, że ta ziemia amerykańska różna od naszej, lecz czyż tak dalece? Drzewa są może piękniejsze od naszych, lecz także jak i tamte mają pień szary, a liście zielone. Człowiek, jakiego spostrzegamy, jest niewątpliwie różny od Europejczyka, gdyż ma skórę ciemniejszą, lub włos bardziej kędzierzawy, lecz w gruncie rzeczy jest to ten sam człowiek ze wszystkimi słabostkami i zaletami Europejczyka. Ziemia, woda, powietrze, roślinność, człowiek — wszystko to niby odmienne niż u nas, a jednak noszące to samo piętno charakterystyczne dla kuli ziemskiej. Analizując w ten sposób otaczający nas nowy świat, doznajemy, nie powiem, rozczarowania, gdyż w rezultacie jesteśmy zachwyceni tem wszystkim; lecz takiego uczucia, któreby można śmiało nazwać pierwszym stopniem rozczarowania. Każde uczucie posiada stopniowanie, mniejsze lub większe napięcie, że tak powiem; więc i rozczarowanie może się w różnym stopniu manifestować. Ów niepokój, ta skłonność do analizowania po raz pierwszy widzianych przedmiotów, jest niejako rozczarowaniem w homeopatycznej dozie. W pierwszych czasach podróży towarzyszy nam ono w nowo zwiedzanych krajach, aż póki nie nastąpi równowaga, którąby można przezwąć obojętnością. Z czasem bowiem przychodzimy do takiego stanu duszy, że już nie oczekujemy silnych wrażeń i właśnie wtedy są one silniejsze niż kiedybydź indziej, gdyż znów nie odpowiadają oczekiwaniom, tym razem jednak *przewyższają* je.

Cała więc sztuka napotykania miłych wrażeń, dodam, nietylko w podróży, lecz w całym życiu, polega na tem, aby nie spodziewać się więcej, jak należy. Wówczas dopiero podróż (względnie i życie) dostarczy nam prawdziwych chwil zachwytu; będzie miała dla nas pociąg niewysłowiony. A gdy z czasem przejdzie dla nas w pomrokę przeszłości, stanie się niewyczerpanem źródłem wspomnień i... smutku, że się już skończyła.

Rio Janeiro tak piękne, gdy się nań patrzy zdaleka, dość przykre robi wrażenie zbliżka widziane. Tuż obok przystani rozciąga się obszerny rynek, na którym murzyni i murzynki sprzedają owoce, włoszczyznę, jarzyny, ptaki egzotyczne i t. p. Nie-

przyjemnie drażni nasze powonienie przykry odór, właściwy murzynom, szybko więc przechodzimy rodzaj halli, skąd dostajemy się na „Praça do Pedro II-o”, na którym wznosi się pałac cesarski. Budynek ten, którego nawet gmachem boję się nazwać, bez żadnego stylu, przypomina warszawski hotel Angielski, tylko większy od niego i z oknami zakratowanymi. Prostotą swoją przypominał prostotę obyczajów szlacheckiego monarchy, który w nim zamieszkiwał. I gmach i monarcha nie uganiaли się za majestatem, tak wielką rolę grającym na Starym Łądzie. Karetą cesarską, którą na placu spotkałem, w zupełności kwadrowała z pałacem: był to wielki wehikuł, odznaczający się jedynie herbami cesarskimi na drzwiach, ciągniony przez parę niepozornych, a co gorsza, chudych mułów. Za kareta jechał laufer na melancholicznym, małym koniku. A jednak Don Pedro II-o był jednym z najbardziej lubianych monarchów.

Rio, ścięśnione z jednej strony morzem, a z drugiej górami, rozciągnęło się wzdłuż zatoki; ulice posiada wąskie, dość brudne; domy po większej części jednopiętrowe, malowane na różne kolory; najwięcej jednak jest białych. Gdzieś spotyka się nie wielkie placyki z małymi skwerami lub pomnikami. Na Placu Konstytucji (Praça da Constitucão) wznosi się pomnik Piotra I-go, u stóp którego na czterech rogach piedestału znajdują się alegoryczne wyobrażenia czterech głównych rzek Brazylii: Amazonki, Parany, Madery i San-Francisco. Każda z rzek przedstawiona jest pod postacią dziewicy jadącej na jakimś zwierzęciu: jedna używa konnej jazdy na aligatorze, druga na mrówkojadzie i t. d.

Najgodniejszą widzenia rzeczą w Rio jest ogród botaniczny, leżący w stronie Pan de Azucar, u stóp góry Botafogo. Ponieważ prowadzi doń kolej konna (a raczej mułowa, gdyż ją muły ciągną), wsiadłem więc do tramwaju wraz z dwoma towarzyszami podróżny, aby poznać tę ozdobę miast. Linja kolei konnej, wydosławszy się ze środkowej dzielnicy miasta, biegnie wzdłuż wybrzeża morskiego, mając po jednej stronie morze, a po drugiej szereg przeszlicznych willi, z których każda posiada własny ogródek. Tuż poza domkami wznosi się urwisty skłon otaczających gór, pokryty bujną roślinnością. Cała ta dzielnica miasta, składająca się z jednej bardzo długiej linii domów wzdłuż zatoki, nosi miano Botafogo od wyżej wspomnianej góry. W niektórych miejscach utworzono piękną aleję, zasadzając ulicę wspaniałą palmą, wyrastającą nadzwyczaj wysoko.

Ogród botaniczny jest niewielki, zacieśniony z jednej strony górą Botafogo, a z drugiej zatoką. Główną jego ozdobą są dwie aleje, spotykające się pod kątem prostym, wysadzone ową wspaniałą palmą. Wszystkie jak jedna, równe, proste, wyniosłe, wspaniałe, z eleganckimi koronami liści na wierzchołku. W pierwszej chwili wydaje nam się, jakgdybyśmy weszli do jakiej świątyni, w której przeprowadzono dwie galerje filarów. W czasie, kiedy zwiedzałem ogród botaniczny, jedną z palm ściąć musiano, gdyż zaczęła schnąć. Strata to wielka, jakby szczerba w szeregu pię-

knych zębów. Oprócz tych dwu aleji, ogród posiada mnóstwo roślin egzotycznych, nadających krajobrazowi pozór naszych cieplarni, tylko na wielką skalę. Tu też po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwe klejnoty przyrody, owe wielkie motyle niebieskie, unoszące się leniwie w powietrzu. Dla nieprzywykłego do ich widoku oka chwilami robiły wrażenie ptaków.

Po godzinie 6-ej udaliśmy się do portu, aby na statek przejechać. Noc była ciemna, lecz nadzwyczaj spokojna; tylko w stronie północnej od czasu do czasu migotała błyskawica i oddalony głos grzmotu dochodził nas po chwili. Już nawet gwar miasta ustał dla nas i słychać było tylko miarowy plusk wiosła, z pod których sypały się za każdym uderzeniem w wodę tysiące drobnych, niebieskawych iskierek, jakimi błyszczwały fosforyzujące stwórzonka.

Kierując się po omacku, przybiliśmy wreszcie po godzinie żeglugi do statku. Długo jeszcze stałem oparty o poręcz, patrząc z niemym podziwem na spokojną teraz przyrodę zwrotnikową. Z odległego brzegu od czasu do czasu dolatywał mnie żalostny głos jakiegoś ptaka nocnego. Tak się zakończył pierwszy dzień mego pobytu w Ameryce.

Następnego dnia o pół do 11-ej przed połud. opuściliśmy Rio Janeiro. Przestrzeń między tym portem i Monte-Video przebyliśmy w niespełna 5 dni przy spokojnem morzu i dość dobrej pogodzie. Tylko dnia 4 października mieliśmy prawie ciągły deszcz i niebo pochmurne, co zmusiło kapitana statku do sondowania morza. Jest to jeden ze sposobów orjentowania się, gdy chmury nie pozwalają na oznaczenie szerokości. Wreszcie rankiem d. 5 października wpłynęliśmy do limanu La-Platy, a minawszy niewysokie wzgórze Maldonado, leżące na północnym brzegu rzeki, zarzuciliśmy kotwicę w południe w bliskości Monte-Video, stolicy rz-plitej Uruguaju. Kraj ten był właśnie szarpany przez jedną z rewolucji tak częstych we wszystkich dawnych posiadłościach hiszpańskich; nie opłacało się więc jechać na brzeg, gdzie łatwo było narazić się na nieprzyjemności. Dwu Francuzów, jadących trzecią klasą, zapragnawszy zwiedzić miasto, przejechało na ląd, lecz zaledwie zdążyli wysiąść, gdy ich wzięto przemocą i zaprowadzono do balwierza, aby im włosy krótko ostrzydz i do wojska zawerbować. Nic nie pomogły przedstawienia biedaków i powoływanie się na paszporty francuskie. Dopiero interwencja konsula francuskiego, którego zdołano zawiadomić o tym wypadku, oswobodziła niefortunnych turystów ze szponów amatorów rewolucji. Przybyli na statek, przeklinając całą Amerykę wraz z jej mieszkańcami. Dziwi mnie rzeczywiście podobna samowola, gdyż następnie mogłem się przekonać, że wogóle podczas rewolucji w krajach południowo-amerykańskich szanowaną jest zarówno osoba, jak i mienie cudzoziemców.

Cała okolica Monte-Video jest płaska i bezleśna. Samo miasto zbudowane na niewielkim wzgórku, posiada domy niewysokie, z dachami płaskimi. Ponad miastem góruje kościół katedral-

ny z dwiema wieżycami i kopułą. Ku zachodowi na wzgórzu, wznosi się forteca. Ot i wszystko, com mógł z podkładu statku przez lunetę zobaczyć. Zresztą ludzi obserwowałem na samym statku, gdy, czy to jako pasażerowie, czy to jako poganiacze wołów, odstawiający partję tych zwierząt, na barkach przyjeżdżali. Byli to prawdziwi *gauchos*, lud stepowy, ogorzwały, wygarbowany przez słońce i wiatry, żyłasty i suchy. Woły stepowe, jakie nam dostarczyli, były niewielkie, chude, z sierścią dość długą, najeżoną na karku, a mięso ich było o wiele gorsze od mięsa małych, lecz tłustych wołów, jakie z Lizbony zabraliśmy.

Znów o południu d. 6 października, pożegnaliśmy wystrzałem armatnim Monte-Video. Znaczna część pasażerów wysiadła tu, kiertując się na małym stateczku do Buenos-Ayres, gdzie za 4 godziny stanąć powinni byli. Większe statki, jak nasz np., nie mogą dopływać do tego portu z powodu nieznaczonej głębokości rzeki. Około 4-ej po południu wypłynęliśmy wśród strasznej ulewy na pełne morze i skierowaliśmy się na południe, dążąc teraz do cieśniny Magellańskiej. Jużesmy dawno stracili z oczu Wielką Niedźwiedzicę, a na jej miejsce mamy teraz wspaniałą gwiazdozbiór Krzyża Południowego. Powietrze oziębione znacznie w porównaniu z niedawnymi upałami, pogoda jednak piękna.

D. 8 października południowo-zachodni wiatr oziębił powietrze jeszcze bardziej; termometr wskazywał w samo południe zaledwie +8° R. Tenże sam wiatr następnej nocy wzmógł się do tego stopnia, że go już za wichur uważać można było. Morze rozkołysało się, jak nigdy i częsta fala zalewała pokład statku. Zmuszeni też byliśmy przesiedzieć dzień cały w sali jadalnej. Burza ta zaczęła dopiero słabnąć o godzinie 1-ej po południu dnia następnego, a pod wieczór ucichła zupełnie. Zbliżaliśmy się do cieśniny Magellańskiej.

Wyszedłszy na pokład rankiem d. 11 października, spostrzegłem z jednej strony brzegi Patagonji, a z drugiej—Ziemi Ognistej. Smutny widok przedstawiają te faliste powierzchnie jałowe, z rzadka usiane karłowatymi krzakami. Niekiedy urozmaici tylko widok koniczny namiot Patagończyków. Około południa zaczęły się pokazywać wzgórza coraz to wyższe, pokryte jeszcze śniegiem, szczególnie od strony południowej. Cieśnina zwęża się tu w niektórych miejscach nadzwyczajnie. Czasami słup dymu zwiastował nam obecność dzikich mieszkańców tych dzikich okolic. Wzgórza stają się coraz to wyższe, a na ich skłonach zaczynają się pojawiać gęste, ciemno-zielone lasy. O 6-ej godzinie po południu stajemy w Punta-Arenas.

Punta-Arenas, a jak go Anglicy nazywają Sandy Point (punkt piaszczysty) jest karną kolonią chilijską, zbudowaną na samym cyplu południowej Ameryki. Zajęcie tego punktu przez Chilijczyków mogłoby mieć ogromne znaczenie polityczne, gdyby blizkie otwarcie kanału Panamskiego nie zniszczyło wszystkich widoków, jakie na przyszłość robiono sobie.

Wprawdzie cieśnina Magellańska nie jest jedyną drogą z Atlan-

tyku do Pacyfiku, gdyż ją można ominąć, kierując się na przylądek Horn; mimo to jednak mnóstwo statków, a szczególnie parowców wybiera cieśninę jako przedstawiającą mniej niebezpieczeństw, aniżeli znany z burz przylądek Horn.

Punta Arenas byłyby więc jednym z dwu kluczy od drzwi dzielących oba oceany. Nic więc dziwnego, że niespodziane zajęcie tej miejscowości przez Chilijczyków wywołało ze strony sąsiedniej Rzeczypospolitej Argentyńskiej silne oburzenie i stało się po dziś dzień kością niezgody pomiędzy obydwoma państwami. Całe jednak znaczenie Punta-Arenas upadnie, skoro tylko kanał Panamski otwarty zostanie, gdyż wówczas cały handel zwróci się na tę nową i dwa razy krótszą drogę <sup>1)</sup>.

Punta Arenas w czasie, kiedy tamtędy przejeżdżał, składało się z kolonji karnej i z obok powstającej świeżo osady rolników szwajcarskich, sprowadzanych przez rząd chilijski dla zaludnienia tych dzikich okolic. Właśnie razem z mną przyjechał tu pewien wieśniak szwajcarski z fryburskiego kantonu, sprowadzony na koszt rządu, który mu zapłacił przyjazd 2-ą klasą, a nadto dawał 600 piastrow (1200 rub.) na zagospodarowanie i grunt za darmo.

Ciężkim jednak warunkiem dla emigrantów była konieczność przebycia 20 lat na tem samym miejscu. Wprawdzie naczelnik kolonji i główny antreprenier w całej tej sprawie immigracji, Szwajcar rodem, wynosił mi pod niebiosa klimat tych okolic i bajeczną urodzajność ziemi, gdyż jemu na rękę było zapewne sprowadzać swych ziomków, na których zarabiał nieźle, to jednak z drugiej strony słyszałem od kilku osób, przybyłych na statek, że klimat w cieśninie jest nadzwyczaj ostry, a kartofel nie dojrzewa.

Zresztą kolonja Punta-Arenas założoną widać była „pod złą gwiazdą“, gdyż w kilka lat po moim przejeździe (bodaj w 1878 roku) deportowani kryminaliści podnieśli rokosz, miasteczko spalili, część spokojnych jego mieszkańców wyrznęli, a sami uciekli na wolne terytorjum Patagonji, nad rzekę Santa-Cruz. Szczegółów jednak tej katastrofy nie znam dokładnie.

Krótki czas zatrzymania się statku w porcie Punta-Arenas nie pozwolił mi na zwiedzenie tego ciekawego zakątka świata; lecz za to miałem sposobność poznać tu Rosjanina, rodem z Rygi, niejakiego p. Bluma, który tam już zamieszkuje od lat 20, prowadząc tartak parowy do piłowania desek z drzew okolicznych lasów. Przez niego dowiedziałem się, że proboszczem kolonji jest Polak, ksiądz Matulski, któremu też przesłałem swój bilet wizytowy, z kilku serdecznemi słowy. Nic nie wiem, jaki los spotkał naszego ziomka podczas buntu deportowanych.

O ile mogłem dowiedzieć się z rozmowy z Blumem i kilku innymi mieszkańcami kolonji, okoliczne plemiona Patagończyków są charakteru łagodnego, pozostając w dobrych stosunkach z białymi.

---

<sup>1)</sup> Zdaje się jednak, że to jeszcze nieprędko nastąpi.

Przybywają oni od czasu do czasu do miasteczka, przywożąc ze sobą skóry guanaco<sup>1)</sup>, które na różne artykuły handlu europejskiego wymieniają. Jeden ze świeżo przybyłych pasażerów, udający się na wystawę do Santiago, przywiózł był właśnie kołdrę, szytą z drobnych kawałków skóry guanaco, w której kolory białej i płowy rozłożone były w bardzo piękny deseń. Misternie zrobioną kołdrę tę właściciel cenił na 1000 piastrow chilijskich (koło 2000 rb. według dzisiejszego kursu), wątpię jednak, czy się znalazł amator na tak drogą pokrycie.

Kolonja wskutek jakiejś nieokreślonej przyczyny (prawdopodobnie klimatu) bardzo wolno rozwijała się pomimo wielu sprzyjających warunków. Już samo poparcie rządu, który imigrantom zapewniał wolny przejazd, grunt darmo i bardzo znaczną sumę na zagospodarowanie się, powinno było być niemałym bodźcem dla europejskich wychodźców. Oprócz tego żyzność dziewiczych gruntów, sąsiedztwo lasów, dostarczających doskonałego materiału budowlanego, bliskość bogatych pokładów węgla kamiennego, wreszcie łagodność i pokojowe usposobienie dzikich Indian, kocujących w tych stronach, powinny były zachęcać do szybkiego zaludnienia tego zakątka świata. Blum mnie zapewniał, że zima nie jest bardzo ostra: śnieg nigdy nie zaściela warstwą grubszą nad 2 stopy, a lód dochodzi conajwyżej grubości 15 cali. Przypuszczam jednak, że lato musi posiadać średnią temperaturę niższą, aniżeli miejscowości leżące pod tą samą szerokością geograficzną w Europie. Tej pewnie przyczynie należy przypisać, że kolonja pomimo dość dawnego istnienia liczyła podczas mego przejazdu zaledwie 1,500 do 2,000 mieszkańców.

Opuściliśmy Punta-Arenas około godziny 11-ej wieczorem. Teraz czekała nas najniebezpieczniejsza część cieśniny, która w swej zachodniej połowie rozbija się na drobną siatkę wązkich i krętych kanałów, dzielących cały archipelag małych wysepek. Tak wielki parowiec, jak nasz, musiał się posuwać z nadzwyczajną ostrożnością, aby zręcznie manewrować w pośród wązkich i płytkich kanałów, szczególnie, że w porze wiosennej, w jakiej właśnie odbywaliśmy podróż, częste mgły zaścielają wszystkie przejścia nieprzejrzystą oponą. Zwykle do przeprowadzenia wielkich parowców najmuje się tak zwanych *pilotów*<sup>2)</sup>, którzy na swoją odpowiedzialność kierują statkiem, znając doskonale topografię cieśniny. Nasz jednak stary kapitan Thomson znał widać sam dostatecznie trudne przejścia, gdyż się bez pomocy pilotów obywał. Noc jednak całą oka nie zmrużył i aż do chwili wypłynięcia na Ocean Spokojny nie schodził z pomostu strażniczego.

Pominąwszy jednak niebezpieczeństwo podróży, wędrowiec napotyka tu krajobrazy zdumiewające, jakich z pewnością w żadnej innej części świata nie ujrzy. Statek posuwa się po zupełnie

---

<sup>1)</sup> Guanaco (*Auchenia guanaco*) rodzaj dzikiej lamy zamieszkującej Kordyljery Chilijskie.

<sup>2)</sup> *Pilote*—francuskie i *piloto* lub *practico*—hiszpańskie.

spokojnych wodach cieśniny, która miejscami tak się zwęża, jakbyśmy płynęli po niewielkiej stosunkowo rzece. Po obu stronach piętrzą się niewysokie, zaokrąglone góry, które od strony stałego lądu tworzą grzbiety nieprzerwane, gdy przeciwnie ku Ziemi Ognistej formują wyspy i wysepki, podzielone zacisznymi kanałami. Wszystkie te wzgórza pokryte są gęstymi lasami o ciemnej zieleni, która nadzwyczajny kontrast stanowi z białym śniegiem, zalegającym wąwozy i jary. Gdzieniedzie lodowiec, pięknej błękitnej barwy, spuszcza się do samego morza, a wówczas widzimy tę ciekawą i niezwykłą w przyrodzie kombinację kolorów: ciemno-zielonego, białego i blado-błękitnego. Chmury leniwie pełzną po samej powierzchni wody; każda z nich odziewa nas całych swym całunem, zakrywając nam widok zupełnie; śnieg pada. W 5 minut potem jużemy się z niej wydobyli i wesołe słońce igra nad nami. Dziwny kontrast stanowi to ciągle przejście od ciemnej, ponurej atmosfery i zupełnej optycznej izolacji od sąsiednich brzegów, do wesołego, słonecznego krajobrazu, na który patrzymy przez niepospolicie czystą warstwę powietrza. Dzięki to wszystko, nieprzystępne, groźne, lecz zarazem wspaniałe i majestatyczne. Mamy przed sobą południowy koniec Kordyljerów, które tu jak i wszędzie mają ten sam charakter grozy i majestatu.

Stojąc na pokładzie statku, pilnie obserwowałem przez lunetę lesiste brzegi Ziemi Ognistej w nadziei, że mi się uda dostrzedz którego z jej nędznych mieszkańców. W samej rzeczy na jednej z wysepek spostrzegłem wśród nadbrzeżnego gąszczu niebieskawy słup dymu, a przy nim uwijającą się postać ludzką. Na myśl, że te istoty stoją niewiele wyżej pod względem intelektualnym od wielu zwierząt; na myśl częstych scen ludożerstwa <sup>1)</sup> w tych dzikich ostępach, otaczający krajobraz stawał się dla nas jeszcze groźniejszym, jeszcze majestatyczniejszym, jak gdybyśmy mieli przed sobą widok z czasów przedhistorycznych, kiedy człowiek na podobieństwo zwierząt żył z polowania, które tak często na sobie podobnych urządzał. Dziki człowiek nie psuje nigdy harmonji w dziewiczej przyrodzie, gdyż patrzymy nań, jak na jej nierozłączną część, jakbyśmy patrzyli na jaguara lub lwa.

Tego jeszcze dnia (12-go października) o godzinie 5-iej po południu wypłynęliśmy na ocean Spokojny.

Był on spokojnym tam, gdzie go po raz pierwszy Balboa zobaczył, lecz nam przedstawił się inaczej. Nie wychodząc z kajuty, poznaliśmy tylko po silnem kołysaniu, że opuszczamy zaciszne wody Magellanu, o czem przekonywamy się, wyszedłszy na pokład.

Powietrze było dość spokojne, słońce przedarło zasłone chmur, rzucając swe skośne promienie na zielonawe wody oceanu.

---

<sup>1)</sup> Na parę lat przed moim przyjazdem zatonał statek przy Ziemi Ognistej, a cała załoga z wyjątkiem dwu ludzi została pożartą przez dzikich. Więcej szczegółów o mieszkańcach Ziemi Ognistej znajdzie czytelnik w podróży Darwina (*Voyage d'un naturaliste*).



Cóż za potęża tego wspaniałego żywiołu. Bałwany piętrzą się wysoko i szeroko; to już nie drobna fala, jaką przywykliśmy widywać na płytkich wodach. Bałwan taki podnosi nasz wielki okręt, który, nie znajdując równowagi, pochyla się przodem, gdy cały tył ku górze zadarty i śruba szybko obraca się w powietrzu. Wolnym ruchem zrazu, później szybciej i szybciej zapadamy się znów w głębię, a wokoło nas stroszą się białe swą pianą grzbiety bałwanów, znacznie wyższe od nas, pomimo, że stoimy na pokładzie, który na kilkanaście stóp ponad wodą się wznosi. Teraz okręt pnie się na górę, nos swój zadziera, tyłem zarywa się w wodę. Raz na lewo, to znów na prawo pochyla się, dotykając niemal wergami masztów powierzchni wody. Od czasu do czasu napotykamy większy od innych bałwan, który z boku na nas uderza, wstrząśnie całym statkiem z niezwykłą siłą, przewali się poprzez statek, zalewając cały pokład strumieniami wody. Marynarze w swych gumowych ubraniach z kapeluszami na głowach uwijają się szybko, zmoczeni i baczni zawsze na to, aby ich także z powierzchni statku nie zmyła.

Rzuciwszy okiem na wspaniały widok, kryjemy się do sali jadalnej. Wszystkie drzwi szczelnie zamknięto, aby się woda nie dostała do kajut. Stamtąd słuchamy tylko ryku fali, tej burzy bez wiatru. Kilku pasażerów dostało choroby morskiej. Pozostali siedliśmy do kolacji, starając się utrzymać równowagę, pochylając ciało naprzód lub w tył, na prawo lub na lewo. Jeden z nas, siadający zawsze na głównem miejscu na małym składanym stolku, znikł nam z oczu w chwili, gdy zajmował swe zwykle miejsce; znaleźliśmy go w kącie sali dość silnie potłuczonego. Noc całą ta walka okrętu z żywiołem nie ustawała i dnia następnego wiatr południowo-zachodni pogorszył jeszcze nasze położenie, pędząc na nas gęsty deszcz i tumany mgły. Dopiero trzeciego dnia od wypłynięcia na ocean, o godzinie 1-ej po południu ujrzeliśmy słońce; powietrze też ociepliło się znacznie. Tu już wypływaliśmy na prawdziwy ocean Spokojny. W samej rzeczy ta część morza, która przylega do zachodnich brzegów Ameryki Południowej, od 40° szer. połud., aż po Panamę (10° szer. północ.), słynną jest ze swych wód spokojnych i z zupełnego braku burz. Dość jest powiedzieć, że wszystkie prawie statki „Pacific Steam Navigation Company“ kursujące między Panamą i południowymi portami Chili są kołowe, a konstrukcja ta nie odpowiada zupełnie burzliwym morzom, na których koła zanurzone zupełnie w wodę przy silnem kołowaniu uległy połamaniu.

Płynęliśmy ciągle w znacznej od brzegów odległości, tak, że ich nawet widać nie było. Dopiero d. 16 października, czyli w 5 dni po wypłynięciu z cieśniny Magellańskiej, ujrzeliśmy brzegi chilijskie, a w południe zarzuciliśmy kotwicę w obszernej, lecz źle zastłoniętej zatoce Lota. Pragnąc zwiedzić ten port, sławny bogatemi kopalniami miedzi i węgla kamiennego, udałem się zaraz z kilku towarzyszami na ląd. Lota jest to niewielkie miasteczko, zbudowane po części w małej dolinie, a po części na wzgórzu,

wznosząc się na 250 stóp ponad poziomem morza. Domy posiada drewniane, dachówką kryte, a ulice szerokie, lecz niebrukowane, dzięki czemu co chwila podnoszą się tumany kurzu. Najpiękniejszą ozdobą miasteczka jest bardzo piękna willa, należąca do pani Causino, właścicielki kopalni miedzi, które podobno należą do najbogatszych w świecie i są eksploatowane na wielką skalę. Olbrzymie piece do przetapiania rudy wznoszą się przy samej przystani. Węgiel kamienny jest bardzo podrzędnego gatunku i z powodu ogromnej ilości sadzy, jaką przy spaleniu daje, bardzo mało ceniony przez kapitanów statków parowych. Pomimo to jednak parowce płynące z Europy przez cieśninę Magellańską zaopatrują się tu w węgiel, gdyż taniej im się opłaca, aniżeli sprowadzany z Anglii na statkach żaglowych.

Na wzgórzu wznosi się niewielki kościółek. Pokazywano mi tu miejsce, do którego wzniosło się morze podczas jednego z ostatnich trzęsień ziemi: liczy ono 200 stóp nad zwykłym poziomem morza! Liczba ta dostatecznie świadczy o potędze przewrotów jakie się na przestrzeni Kordyljerów od czasu do czasu zdarzają.

W Lota po raz pierwszy spostrzegłem *poncho* (czyt.: ponczo) charakterystyczny szczegół ubrania w zachodnich krajach Ameryki Południowej, od Chili aż do Wenezueli. Jestto kwadratowa płachta, tkana zwykle z wełny w różnokolorowe pasy; pośrodku znajduje się podłużne przecięcie, przez które przesuwają się głowę; płachta więc okrywa cały nasz korpus wraz z rękami, zwieszając się po kolana. Aby w danym razie oswobodzić z pod niej rękę, południowo-amerykanin z pewną gracją odrzuca na ramię jeden z przednich rogów, a czasami oba. Poncho użyteczne jest bardzo do konnej jazdy, szczególnie w podróży, chroni nas bowiem od deszczu i kurzawy; w domowym jednak użyciu należy do najniewygodniejszych ubrań, krępuje nam bowiem ręce, zmuszając do ciągłego odrzucania rogów, które nam się z ramion zsuwają. Pomimo to mieszkańcy Kordyljerów, a szczególnie Indianie peruwjańscy tak są do niego przyzwyczajeni, że zrzucają je tylko w nocy i to po to tylko, aby się niem zamiast kołdrą nakryć. Miałem w Peru chłopca, który mi za kucharza, strzelca i pachółka do koni służył; ten nawet drzewo rąbał w poncho. Zsuwało mu się co chwila z ramion, krępując ruchy rąk, a pomimo to nie zdejmował go nigdy i to nie z lenistwa, lecz li tylko z przyzwyczajenia. Poncho jest nierozłączną częścią kordyljerskiego Indianina, jakby jego skóra, którą jednak zdjąć może i na sobie położyć.

Po ulicach miasteczka uwijali się od czasu do czasu tak zwani *guasos*. Guaso jest to miano, jakie dają w Chili ludowi wiejskiemu, który tu odpowiada gauczom argentyńskim <sup>1)</sup>. Jeżdżą oni na koniach miernej wielkości, lecz składnie zbudowanych, z krótko przyciętą, jak u kuców grzywą. Ubiór guasów składa się z fil-

<sup>1)</sup> W Ekwadorze nazwy *guaso* używa się w znaczeniu: gbur, nieokrzesany.

cowego kapelusza z niewielkim rondem odwróconem ku dołowi. Ciało okrywa poncho, a przy długich butach wiszą ostrogi niepospolitej wielkości, którym odpowiadają zupełnie potężne piramidalne strzemiona, z drzewa wydłubane. Przy siodle z prawej strony zwinięte laso, którym guaso władać umie z niezwykle zręcznością; niekiedy zaś z tyłu przyczepiona strzelba nadaje tym dzielnym jeźdźcom pozór marsowy. Twarze mają ogorzałe, okolone gęstą czarną brodą.

Prosty lud chilijski nie cieszy się dobrą sławą: pochopny do noża, z natury kryje w sobie pociąg do grabieży. To też bandytyzm, a jak go Hiszpanie nazywają „bandolerismo“ bardzo jest rozwinęty we wszystkich prawie krajach hiszpano-amerykańskich, głównie jednak w Chili. Dodam też, że Chili jest jedynym krajem Ameryki, z wyjątkiem monarchicznej dawniej Brazylii, gdzie kara cielesna została zachowana. Natomiast kara śmierci, która pewnie przydatniejszą byłaby od kary cielesnej, została zniesiona. Dzięki temu morderstwa są tu na porządku dziennym.

D. 17 października rano o godz. 10-ej opuściliśmy Lotę. Przy wypłynięciu z zatoki obserwowałem krwiste zabarwienie morza, tak zwane „krwawe morze“. Powodują je mirjady maleńkich stworzonek, które nawet z pokładu statku rozróżnić było można. Wielkie czerwone przestrzenie, widziane z pewnej odległości, tworzyły rzeczywiście jakby plamy krwi, rozlanej w morzu.

Jedna doba podróży morzem oddziela Lotę od Valparaiso, głównego portu Chili, gdzieśmy stanęli następnego dnia o południu. Valparaiso leży nad brzegiem obszernej i dobrze osłoniętej zatoki, a ponieważ tuż za miastem wznoszą się dość wysokie i strome wzgórza, musiało się ono rozciągnąć wzdłuż pobrzeża. Miasto więc miejscami składa się z jednej, czasami zaś z dwu lub trzech ulic równoległych do brzegu morskiego. Tam jednak, gdzie łagodniejszy spadek wzgórz na to pozwala, domostwa biedniejszych mieszkańców pną się ku górze, tworząc uliczki wązkie i nieregularne. Kilka głębokich wąwozów, prostopadłych do osi łańcucha, przerzyna tę biedną dzielnicę miasta.

Widok samego portu dalekim jest od porównania go z zatoką Rio de Janeiro: brak tu bogatej, zwrotnikowej roślinności, wysokich gór o fantastycznych kształtach, a wreszcie tego zamkniętego koła, które czyni z zatoki Rio jakby olbrzymie jezioro. Niemniej jednak Valparaiso z bezwzględnego punktu widzenia miłe na nas sprawia wrażenie: obszerna półkolista zatoka, rozlewająca swe zlekka pomarszczone, błękitne wody; czerwone wzgórza i białe domostwa stanowią harmonijną całość. Stosunek obu zatok jest taki, jak między bogato ubraną damą, której piękność podnoszą koronki i drogie kamienie, a miłą dziewczyną w perkalikowej sukni.

Statek w Valparaiso zatrzymywał się sześć dni, miałem więc sposobność zwiedzić dobrze samo miasto i najbliższe okolice. Z Valparaiso prowadzi kolej żelazna do Santiago, stolicy Chili, a przejazd trwa podobno nie więcej nad pięć godzin, przychodziła

mi więc ochota zwiedzenia tego miasta i jeżeli zamiaru swego nie skutecznił, to tylko przypisać należy bałamuctwu, jakie miałem z przeniesieniem się na statek „Bolivia“, który według zapewnień miał o kilka dni przed naszym stanąć w Callao. Pilno mi było w samej rzeczy do Peru i nawet tych dni kilka oszczędzonych bardzoby mi było na rękę. Lecz gdy następnie okazało się, że na statku „Bolivia“ miejsc już niema i że ten zaledwie o jeden dzień wcześniej stanie w Callao, zrzekłem się swego zamiaru przesiadania, lecz to mi zupełnie szyki popsulo i podróży do Santiago przeszkodziło

Codzień po śniadaniu jechałem łodzią na ląd, zwiedzałem miasto lub okoliczne wzgórza, poczem wracałem na obiad „do domu“, czyli na statek. Dolna dzielnica miasta, która się wzdłuż wybrzeża rozciągnęła, posiada charakter czysto europejski: domy wszystkie piętrowe, olejno na kolor piaskowy malowane; bogate sklepy kokietują przechodniów swemi wystawami nie gorzej może, jak na bulwarach paryskich; kilka placyków i skwerów pozwala przechodniowi odetchnąć szerszą piersią, gdy się z dość wązkich ulic wydostanie. Linja tramwajowa prowadzi wzdłuż całego wybrzeża. Bruki jednak Valparaiso posiada haniebne, składające się z drobnych i ostrych kamiaków. Uderza też przybywsza nieznaczna stosunkowo liczba kościołów, co bynajmniej nie odpowiada charakterowi miast południowo-amerykańskich.

Gdy się z dolnej dzielnicy miasta pięć zaczniemy ku górze, pozór ulic i domostw zmienia się raptownie; znać, żeśmy do biedniejszych przedmieść przeszli. Domki tu już prawie wszystkie parterowe, pobielane tylko, dość ubogo wyglądające. Uliczki kręte i strome, nie brukowane, pokryte śmieciami; niekiedy należy rozwijać dużo zręczności, aby się nie stoczyć do głębokiego parowu. Dodawać nawet nie trzeba, że komunikacja kołowa nie istnieje tu zupełnie, a przekupnie rozwożą jarzyny, chleb, mleko lub wodę na osłach i mułach.

Wydostawszy się po krętych i stromych uliczkach poza miasto i pnąc się w górę, doszedłem po godzinnym, uciążliwym marszu do wierzchołka jednej z najwyższych gór okolicznych, liczącej 1000 stóp nad poziom morza. Widok stąd był rozległy, z jednej strony na zatokę, na której rzędami, niby żołnierze, stały okręty na kotwicach; z drugiej na potężne pasmo Andów, piętrzących swe szczyty w północnej stronie widnokregu. Zato same wzgórza jałowe i suche; roślinność na nich składa się z rzadkich karłowatych krzaczków, urozmaiconych gdzieniegdzie kaktusem lub agawą; po parowach jednak i wąwozach uboga trawka zieleni grunt i krzaki gęściej porastają. Ubóstwo roślinności pociąga za sobą ubóstwo zwierząt: z ptaków spotkać tylko można wróbelka południowo-amerykańskiego lub niewielkiego małego ptaszka o popielatych plecach i białym brzuchu, a czasami tylko szybyjące w powietrzu sępy „urubu“. Nawet entomolog opuściłby ręce, szukając owadów pod kamieniami lub na krzakach: tu i owdzie trafi na po-

jedyńcze egzemplarze, prawie zawsze te same. Jaszczurek spotyka się 2 gatunki w okolicach Valparaiso.

Port ten opuściliśmy d. 23 października o godzinie 7-ej wieczorem kierując się stale ku północy z lekkim nachyleniem na zachód. Wiatr mieliśmy ciągle pomyślny, lecz korzystać zeń nie mogliśmy z powodu gęstego dymu z węgla lotańskiego, któryby w jednej chwili zabrudził żagle. Pogoda była piękna, a o morzu już mówić co niema, gdyż w tych szerokościach Ocean Spokojny zasługuje rzeczywiście na to miano. Co wieczór mogliśmy przysłuchiwać się ciekawemu zjawisku fosforescencji morza, które na tych spokojnych wodach zawsze jest bardzo świetne.

Rano d. 26 października zarzuciliśmy kotwicę w boliwijskim porcie Antofagasta. Mamy przed sobą kawałek sławnej pustyni Atacamy, która zajmuje przymorską część Boliwji i północne pobrzeże Chili. Widok tu rzeczywiście dziki i pustyniowy. Zatoka, okolona wysokimi górami ciemnobrunatnej barwy, pozbawiona jest zupełnie zieloności: żdźbła trawki nie znaleźlibyśmy tu na lekarstwo. Goła ciemna skała i piasek białawy na wszystkie strony. Pobrzeże wznosi się od morza spadkiem nie większym nad 40° i ta część prawie wszędzie pokryta jest białym piaskiem. Dopiero na pewnej wysokości skały wznoszą się raptem pionowo. Nie są to owe góry, otaczające Valparaiso, o spadku dość łagodnym i powierzchni zaokrąglonej, gdzieniegdzie poprzerzynanej głębokimi wodościekami; tu wszędzie piętrzą się małe wzgórki, zwiększające dzikość krajobrazu. W stronie północnej zatoki wznosi się samotna skała, stojąca jakby na straży tego zakątka. Samo miasteczko nosi na sobie piętno otaczającej przyrody: kilka ulic szerekich niebrukowanych, utworzonych przez domki szare, drewniane; pośrodku kościołek także drewniany, ot i wszystko. W głębi pod prostopadłą ścianą skalistą bieleją mury cementarza, lecz i w tym przybytku śmierci sztuka nie zdołała choćby roślinnego życia obudzić: ani jednego drzewka, ani jednego krzaczka, ani jednego żdźbła trawy.

Ciekawą, choć niewiem, czy autentyczną anegdotę opowiadają bracia Verbrugghe w swej zajmującej podróży\*). Pewien mieszkaniec Antofagasty, lubiący widocznie zieloność, uciekł się do pomocy sztuk pięknych i kazał sobie na pobielonych ścianach domu wymalować fantastyczne drzewa i krzaki. Lecz muły i osły, łaknące zieloności w bardziej materialnych celach, zaczęły mu tynk obgryzać i niefortunny amator roślin zmuszony był na nowo ściany przemalować, lecz tym razem na kolor niebieski.

W stronie północnej miasta, tuż nad zatoką, wznoszą się piece do przetapiania rudy srebrnej i miedzianej, gdyż jeżeli matka przyroda odmówiła temu zakątkowi świata bogactw roślinnych, zato suto go obdarzyła mineralnymi skarbami. Oprócz srebra i miedzi w niewielkiej odległości znaleziono tu złoto, a w niedawnych cza-

\*) L. G. Verbrugghe. Forêts vierges. Voy. dans l'Amér. du Sud et l'Amér. centr.—Paris. 1880.

sach znakomite pokłady saletry, która następnie stała się przyczyną niebywale wojny pomiędzy Boliwią i Peru z jednej, a Chili z drugiej strony. Inaczej trudno by było zrozumieć, co skłoniło mieszkańców Antofagasty do osiedlania się wśród takiej pustyni. Sam port, jako port nie ma dla Boliwji najmniejszego znaczenia, gdyż nie łączy go żadna droga z wnętrzem kraju: pustynia szerokim pasem zaległa pomiędzy morzem a urodzajną, górzystą częścią kraju, tamując wszelką komunikację tych dwu okolic. Bolívar, fundując nowy kraj, jak mówią jedynie dlatego, aby mu swe nazwisko nadać,<sup>1)</sup> pokrzywdził go, pozbawiając zupełnie prawie brzegu morskiego, gdyż jedyne dwa porty Boliwji — Antofagasta i Cobija — są zupełnie odcięte od reszty kraju i cały handel wwozowy odbywać się musiał przez peruwjański port Arica. Ta okoliczność zmuszała Boliwję do opłacania rocznie około 1,000,000 dolarów (2 mil. rub.) cła rządowi peruwjańskiemu, który, korzystając z wyjątkowego położenia stolicy Boliwji, ściągął z niej podatek za towary tranzytowe. Naturalnym rzeczy porządkiem i gwoźli sprawiedliwości, Arica powinna była należeć do Boliwji, ponieważ jednak naturalny porządek rzeczy na kuli ziemskiej nie istnieje, a sprawiedliwość jest raczej rzadkim przymiotem jednostek, jak narodów, więc i w tym wypadku prawo silniejszego odniosło tryumf, za co może Peru sprawiedliwą odniosło karę, przegrywając ostatnią wojnę i tracąc znaczną część terytorjum.

Widząc wówczas po raz pierwszy pustyniowy charakter Antofagasty, nie wiedziałem, że takież sam spotkam następnie na całym pobrzeżu Peru, od południowej granicy, aż po rzekę Tumbes, dzielącą tę rzeczpospolitą od sąsiedniego Ekwadoru. Sama zatoka i miasto jest niejako powtórzeniem prawie wszystkich portów peruwjańskich, o czem wspomnę we właściwym miejscu.

Dwudniowa podróż przeniosła nas do pierwszego peruwjańskiego portu Arica, leżącego pod 18° 28' szer. połud. Brzegi zatoki są niskie, a równina głęboko wrzyna się klinem pomiędzy góry, z których kilka śmiało nazwać można stołowami. W stronie północnej piasek dochodzi do samego wierzchołka gór; w południowej zaś — wznosi się samotna skała, dziwnie poorana brózdami i jamami. Ten typ zatok spotyka się bardzo często w Peru. Port Arica o tyle przyjemniejszy od Antofagasty robi na nas wrażenie, że rozwesela oko miłą zielonością, jaka pokrywa część klinowatej równiny. W głębi jej widnieje korpus statku, spoczywający na piasku: są to resztki amerykańskiej fregaty wojennej, którą morze wyrzuciło podczas strasznej katastrofy d. 13 sierpnia 1868 roku. W pół godziny po silnem trzęsieniu ziemi morze wysokim wałem wystąpiło ze swych brzegów, pędząc daleko w głąb doliny; a gdy w chwilę potem ustąpiło, z miasta Arica nie pozostało nawet śladu: wszystkie domostwa woda zmyła do szczytu, pochłaniając w swych nurtach setki ofiar. Podobna katastrofa

---

<sup>1)</sup> Za czasów panowania Hiszpanów Boliwja nazywała się Alto Peru i należała do wice-królestwa Peru.

powtórzyła się następnie w roku 1877, lecz na mniejszą nieco skalę. Znajdowałem się podówczas w Limie, dostarczyć więc mogę ciekawych szczegółów, zaczerpniętych z dzienników o tym smutnym wypadku.

Katastrofa przytrafiła się w nocy z 9 na 10 maja. Silne wstrząśnienie ziemi dało się uczuć d. 8 maja o godzinie 8 min. 30 wieczorem, sprowadzając popłoch wśród mieszkańców, którzy się też mieli na baczności, przypominając sobie straszne zniszczenie przed 9-u laty; dzięki temu straty w ludziach były nieznaczne. Morze wystąpiło dopiero w godzinę po wstrząśnieniu, niszcząc tylko w części gmach komory i kilka budynków prywatnych. Dopiero o godzinie 1-ej rano 10 maja fala rzuciła się po raz wtóry na bezbronne miasto, tym razem z szaloną siłą. Według słów korespondenta dziennika „El Comercio“, <sup>1)</sup> skąd niniejsze szczegóły zaczerpnąłem, woda doszła do tej samej wysokości, co i w roku 1868. Cała dolna, nadbrzeżna część miasta została zniszczoną; komorę, stację i faktorję kolei żelaznej, oraz znaczną liczbę budynków prywatnych woda zmyła do szczętu. Z ludzi zginęło tylko kilka osób.

Środkiem jednak tej katastrofy były podobno boliwijskie porty Cobija i Antofagasta, gdzie straty w ludziach i dobytku były znaczne. W Chanabaya (Peru połud. blisko granicy Boliwji) z 400 domów pozostało tylko 2, a z 28 okrętów stojących na kotwicy w porcie Pavellon de Pica, gdzie na nie guano ładowano, zatoneło 7, pozostałe zaś były tak uszkodzone, że musiano zaniechać ładowania. Szalona fala dała się uczuć w Callao i Chorillos, gdzie morze wystąpiło w nocy o godz. 12-ej, czyniąc znaczne szkody w magazynach nadbrzeżnych. W Chanabaya morze wystąpiło, owej pamiętnej nocy aż jedenaście razy. Zewsząd dochodziły tylko smutne wiadomości o tym ponurym wypadku.

Wróćmy jednak do naszego opowiadania. Przy wejściu do zatoki Arica wznosi się mała forteczka, na samotnej rafie zbudowana. Morze w zatoce spokojne, lecz spokój ten tylko pozorny. Nieznaczna dla oka fala posiada siłę olbrzymią, gdy tylko po temu znajdzie grunt odpowiedni. Spojrzmy na pobrzeże, gdzie woda rozbija się o liczne występy brzegu. Kierunek fali jest prostopadły do brzegu, każdy więc grubszy wał morza rozbija się o niego, biegnąc z północy na południe. Widzimy wysoki słup biały, niby dym lokomotywy, jak biegnąc z północy wzdłuż wybrzeża, zamiera w południowej stronie zatoki, gdy jednocześnie drugi taki sformował się na północy i biegnie, syjąc bryzgami.

Przystanek w Arica mieliśmy niedługi, zaledwie kilka godzin trwający, następnego zaś dnia o godzinie 8-ej rano stanęliśmy w drugim porcie peruwjańskim, Mollendo, stanowiącym dla nas ostatni punkt naszej marszruty przed Callao. Mollendo równie smutny, jak i Antofagasta, przedstawia widok. Nagie, czerwona-wę góry, liczące do 3090 stóp nad poziom morza, otaczają pół-

<sup>1)</sup> „El Comercio“ z d. 14 maja 1877 r.

księżycem otwartą i mało w ład zagłębioną zatokę. Panujące tu wiatry mają dostęp zupełny, kołysząc morze dość grubą falą, przez co wyladowywanie ładunku i pasażerów przedstawia wiele trudności, a często nawet niebezpieczeństwa. Kolej żelazna prowadzi z Mollendo do Arequipa i Puno, przez co port ten nabrał w ostatnich czasach większego od Arikí znaczenia, gdyż tędy kieruje się teraz cały handel do Puno i La Paz, stolicy Boliwji. Zatrzymawszy się około 8 godzin, podnieśliśmy kotwicę i popłynęliśmy dumnie do celu naszej podróży.

Nocy tej fosforescencja morza przedstawiała się wspanialej, niż kiedykolwiek. Spokój panował zupełny; morze poruszało się tylko gładką falą (*mer d'huile*, jak je Francuzi słusznie nazywają). Na drodze naszej spotykaliśmy co kroku liczne stada sardynek, które ruchem swym pobudzały świetlne żyjątka do fosforyzowania. Patrząc na czarną powierzchnię wody, widzieliśmy, jak naraz w pewnej od nas odległości, pojawiała się wielka świetlna plama, obejmująca kilka dziesiątków metrów kwadratowych: to stadko sardynek, zaniepokojone naszym zbliżaniem, powoduje swymi wolnymi zrazu ruchami fosforescencję morza. Gdy statek najeżdżał już na ową świetlną plamę, naraz we wszystkich kierunkach wystrzeliwały z niej niby rakiety, przesywające powietrze, tysiączne wężyki blade-błękitne, marmurkując swymi świetlnymi ogonami spokojną powierzchnię wodną. Często też spokojnie stojące sardynki wypryskiwały naraz z pod naszego okrętu, ciągnąc za sobą fosforyczną smugę. A obfitość rybek musiała być tam wielką, gdyż przez kilka godzin patrzałem na to wspaniałe zjawisko i w końcu spać poszedłem, a fenomen powtarzał się ciągle z tą samą siłą.

Wreszcie dnia 31 października o godzinie 3-ej po południu, opłynawszy wyspę San-Lorenzo zasłaniającą port Callao od południa, zarzuciliśmy kotwicę u celu naszej podróży. W 54 dni naszej żeglugi przeplynieliśmy 11400 mil morskich czyli 20000 wiorst.

Licząc 14 dni na zatrzymywanie się w różnych portach po drodze, mieliśmy 40 dni samej podróży, robiąc tym sposobem średnio po 285 mil morskich na dobę.

Błogosławiony niechaj będzie wynalazca siły pary! Statkiem żaglowym w najlepszych warunkach przeplyniełibyśmy tę olbrzymią przestrzeń w 3, przy zwykłych zaś okolicznościach w 5, a może w 6 miesięcy.

Nie czekając długo, zabrałem swój bagaż i przejechałem na ład, gdzie natychmiast udałem się na stację kolei żelaznej, prowadzącej z Callao do Limy. Odległość 14 wiorst, jaka dzieli te dwa miasta, przebyliśmy w  $\frac{1}{2}$  godziny i o 5-ej stanąłem w sławnym „Grodzie Królów“ *Ciudad de los Reyes*, jak go dumnie nazywają Peruwjanie. Tu mnie czekała radość, na jaką nie liczyłem. Według listów Jelskiego, powinienby on się być znajdować w odległej prowincji Jaen, dokąd sam musiałbym jechać, aby się z nim połączyć. Jelski jednak, zmuszony okolicznościami, przybył właśnie do Limy na krótki czas przede mną. Gdy mnie o tem p. Raimondi, po-



dróżnik włoski po Peru, zawiadomił, o małym go nie uściskał z radości. Raimondi posłał natychmiast ze mną jednego ze swych podwładnych, aby mi mieszkanie Jelskiego wskazał. W dużym domu, na drugim piętrze zajmował pokój mój dzielny przyjaciel. Zastukaliśmy do drzwi, lecz nikt nam nie odpowiedział. Widocznie Jelski wyszedł na miasto. Nie mając nic lepszego do roboty poszedłem i ja na ulicę, pogapić się trochę. Był to dzień niedzielny, więc się ludzie snuli po ulicach.

Patrzyłem na wojsko, maszerujące w swych mundurach na wzór francuskich (w Limie była właśnie rewolucja); na piękne Limanki, w czarnych „mantas“ (szalach) na głowie, lub w kolorowych kapeluszach europejskiego kroju. Wreszcie po półgodzinnem włączeniu się, nie wytrzymałem i wróciłem do domu Jelskiego; pilno mi było poznać tego śmiałego wędrowca, którego listy i kolekcje budziły we mnie gorączkę podróżowania, gdy jeszcze na uniwersytet w Warszawie chodził. Jakoż na galerji spostrzegłem mężczyznę lat trzydziestu kilku, bardzo silnie zbudowanego, ze szczerem, serdecznym wyrazem twarzy.

Wstał szybko, podszedł do mnie, pytając kilkakrotnie: „Czy pan Sztolcman?” a wprowadziwszy mnie do swego pokoju, porwał w objęcia, do góry podniósł... W tym niemym uścisku wyczytałem całą jego przeszłość: długie lata rozłąki, cierpienia serca, chcącego kochać, a niemającego osoby, którąby ukochać mogło. Tak to przez lata wygnania gromadzą się w duszy naszej uczucia tłumione długo, które przy sposobności wybuchają z siłą wulkanu.

Gdy pierwsze chwile wzruszenia minęły, zaczęły się pytania bez końca, projektowania na przyszłość, plany podróży i dopiero dzwony, wołające nad rankiem wiernych do kościoła, przypomniały nam, żeśmy noc prawie całą nie spali. A zasnąć było trudno przy natłoku myśli i wrażeń.

## ROZDZIAŁ II.

---

### L I M A.

Skoro jesteśmy w Limie, zatrzymajmy się tu nieco, aby poznać to niewątpliwie najslawniejsze miasto południowej Ameryki. Stała się ona sławną dzięki rezydencji najznakomitszego może zdobywcy z czasów średniowiecznych, Franciszka Pizarry, który też tu śmierć znalazł, i którego szczątki tu znalazły spoczynek. Sławną jest Lima, gdyż stąd po raz pierwszy żona jednego z wicekrólów hrabina del Cinchon, przysłała do Europy korę chinową, tak liczne mającą zastosowania w dzisiejszej medycynie. Sławną jest Lima swemi bogactwami, jakie się tu nagromadziły od czasów podbojowych, kiedy naprzód zdobywcy, pchani jedynie żądzą złota, zebrali tu znaczne skarby, których część tylko przewiezioną została do Hiszpanji, a następnie potomkowie ich, bogaci właściciele kopalń srebra, a później guana, obierając sobie Limę za rezydencję, roztaczali w niej zbytek prawdziwie wschodni. Sławnym wreszcie jest „Gród królewski“ (Ciudad de Los Reyes) z pięknych kobiet, z klimatu łagodnego i ze smutnego Iosu, jakiego doznał wskutek ostatniej wojny pomiędzy Peru i Chili. Żadne z miast południowo-amerykańskich nie pochwali się kroniką tak urozmaiconą jak Lima, gdzie straszne widowiska auto-da-fé zostały z czasem zastąpione przez równie może straszne epizody, wywołane ciągłymi rewolucjami, jakie od czasów niepodległości z niesłychaną stałością powtarzają się tu od czasu do czasu.

Lima założoną została przez Franciszka Pizarrę dnia 18 stycznia 1535 r., a nazwę „Ciudad de los Reyes“, pod jaką była znana w pierwszych czasach swego istnienia, otrzymała podobno wskutek tego, że miejsce na nią wybrane zostało w dzień Trzech Króli. Wkrótce potem miasto uzyskało od cesarza Karola V różne przywileje i stało się stolicą wice-królestwa Peru, które, oprócz

dzisiejszego terytorjum rzeczypospolitej, obejmowało Boliwę i część Chili. W roku 1543 tenże sam cesarz i król hiszpański dekretem swym przeniósł z Panamy do Limy tak zwaną „La Audien-  
cia Real“, rodzaj najwyższego trybunału, który podczas bezkró-  
lewia zarządzał całym wice-królestwem. Tym sposobem Lima  
stała się niejako stolicą, a przynajmniej głównym punktem wszyst-  
kich kolonji hiszpańskich w Ameryce południowej, znaczenie zaś  
tego miasta podniosło się jeszcze więcej przez zaprowadzenie  
w 1570 r. trybunału Inkwizycji, który przetrwał tu do 1813 roku.

Dnia 28 lipca 1821 r. ogłoszono niepodległość Peru: miejsce  
wice-królów zajęli teraz prezydenci rzeczypospolitej; surowy de-  
spotyzm zastąpiony został przez stokroć może gorszą, głupią sa-  
mowolę, intrygę i egoizm; kto pragnął krwawych widowisk, miał  
teraz zamiast strasznych auto-da-fé doraźne egzekucje podczas re-  
wolucji, lub mordy dokonane na osobach u władzy stojących.  
Balta, bracia Gutierrez, wreszcie Pardo — zli krwią swoją i tak  
już poplamione karty kroniki limańskiej, nie móiawc już o aktorach  
*minorum gentium* w tych smutnych komedjach ludzkich.

Ogromne bogactwa, jakimi Peru służyło z dawien dawna,  
koncentrowały się w Limie, jako w miejscu rezydencji wszystkich  
bogatyń rodzin peruwjańskich. Arystokracja hiszpańska, przyby-  
wająca z metropolji dla zajęcia wszystkich znaczniejszych urzędów,  
wprowadza do kraju zamięłowanie zbytku i talent łatwego trwonie-  
nia pieniędzy, których na szczęście nie brakło, dzięki olbrzymim  
skarbowi, nagromadzonym przez dawnych władców Peru, i dzięki  
kopalniom złota i srebra, rozsianym po całym kraju; a gdy te po-  
woli zaczęły się wyczerpywać, odkryto nowe źródło bogactw,  
zawdzięczając je tym razem ptakom morskim. Kał tych stwo-  
rzeń zamienił się w złoto. I znów kolosalne sumy wpłynęły  
z Europy do Peru, lecz po to tylko, aby równie prędko wrócić  
skąd przyszły. Bogactwa w Peru rozwijały głównie zbytek, lecz  
bardzo mało wpływały na podniesienie dobrobytu kraju. Kilka  
linij kolei żelaznej, kilka pięknych budynków w stolicy — zostały  
jako jedyny trwalszy ślad złotego deszczu; zresztą kraj był jak  
dawniej pozbawionym dobrych dróg komunikacji, a przemysł kra-  
jowy i rolnictwo, z wyjątkiem kilku oderwanych wypadków, po-  
zostały na dawnej stopie. Tymczasem wszystko trzeba było spro-  
wadzać z Europy po cenach trzy razy większych od ich rzeczy-  
wistej wartości: jedwabie, ubiory, całkowite urzędzenia domowe  
nawet, przychodziły i po dziś dzień przychodzą z poza oceanu, gdy  
jednocześnie handel wywozowy, oprócz guana, ograniczał się do  
nieznacznej stosunkowo ilości cukru, kory chinowej, lub wełny ba-  
raniej i wigoniowej. Obok tego napłynęło do Peru mnóstwo cu-  
dzoziemców, szukających wzbogacenia się w tym złotodajnym kra-  
ju. Pracowitsi i wytrzymalsi od miejscowych, dorabiali się też  
fortun, które z czasem do Europy lub północnej Ameryki wywo-  
zili. Tak więc bogactwa Peru, które zawsze były raczej kałużą,  
a nie źródłem wечно bijącym, wyczerpywać się stopniowo mu-  
siały, szczególnie, że szafowano niemi bezmyślnie, rzucając złoto

pełnemi garściami na łup szakalom i sępom, ciągnącym za tą bogatą karawaną. Około roku 1875 zaczęło się pokazywać dno w skarbnicy peruwjańskiej: srebro i złoto<sup>2)</sup> znikło szybko z kursu, a ich miejsce zajęły papierowe szmaty, które jeżeli nie jakością to przynajmniej ilością odpowiadały dawniejszym bogactwom. Nikt jednak nie zgłębiał położenia: wszystkim zdawało się, że złota i srebra w kraju nie brak, tylko że ono się kryje po składach bankowych. Tymczasem, jeżeli one były jeszcze w kraju, to głównie pod postacią biżuterji lub naczyń domowych. Otworzono oczy wtedy dopiero, gdy wojna przez Chili wypowiedzianą została. Kozłem ofiarnym stał się eks-prezydent Pardo, którego bezcennie zamordowano u wrót senatu.

Lima, tak bogata zawsze, znalazła się teraz jeżeli nie w nędzy to przynajmniej w przykrem położeniu człowieka, zmuszonego sprzedawać swe kosztowności, aby pokryć wydatki domowe. Gdy otworzono składki na wojnę, posypały się one rzeczywiście ze zdumiewającym patriotyzmem; każdy, co miał, niósł na ołtarz ojczyzny. Lecz nie widać tu było monet złotych i srebrnych: kolczyki, brosze, pierścionki, puławy lub tace srebrne zapełniały skarb rządu, mając służyć na zakup nowych narzędzi wojennych, w rzeczywistości zaś posłużyły do wzbogacenia kilku lotrów, którzy okradli ojczyznę w najtrudniejszych dla niej chwilach.

„Gród królów“ raptownie, bez żadnych prawie przejść, wpadł w przykre ubóstwo. Rodziny, przyzwyczajone przedtem do niebywałego zbytku, zmuszone były dla pokrycia najpierwszych potrzeb sprzedawać dawne zabytki bogactwa i przepychu. Obrazy Velazqueza lub Murilla, złoczone meble i lustra, pojazdy i konie wysokiej wartości sprzedawano za bezcen. Fatalny dla Peru kierunek, jaki wojna przybrała, dokonał tego dzieła ruiny. Nieprzyjaciół, po szczęśliwej bitwie na równinie San Juan, znalazł się u wrót stolicy i oto widzimy „Gród królów“, chlubę wszystkich Peruwjan, wydaną na łup dzikiemu żołdactwu i garstce złoczyńców, umyślnie wypuszczonych z więzienia. Chilijczycy dali rzeczywiście dowody najdzikszego wandalizmu i drapieżności: co tylko mogli, wywieźli do Santiago. Idąc za przykładem Napoleona I-go, uważali wszystko za swoją własność: biblioteka, muzeum, najcenniejsze okazy z ogrodu zoologicznego, ba! nawet pisuary powędrowały do Chili, a czego zabrać nie było można, tłuczono i rozbijano. Gdyby tylko Chilijczycy mogli, poprzehosiliby domy i kościoły całe. Patrząc na tę ruinę Limy, śmiało wykrzyknąć można: „Sic transit gloria mundi!“

Gdym po raz ostatni, w lipcu roku 1882 przybył do Limy podczas okupacji chilijskiej, smutne bardzo zrobiło na mnie wrażenie to miasto, tak wesołe kilka lat temu. Było to właśnie podczas Świąt Niepodległości (28 lipca), obchodzonych dawniej przez Peruwjan ośmiodniowymi zabawami, — kontrast więc był tem większy. Szare sznele żołnierzy chilijskich musiały robić przygnębiające wrażenie na Limańczykach, gdyż twarze ich były ponure; brak im było tego ożywienia, jakim się dawniej odznaczały.

Ruch powozów ustał prawie zupełnie, a szeregi jeźdźców, jakie się przedtem snuły po głównych ulicach miasta, zastąpiły teraz oddziały zdobywców, maszerujących z dumą przy odgłosie trąbki. Gdzieniedzie ukazywał się jeździec na pięknym rumaku, lecz przyjrawszy się mu, poznawaliśmy, że to syn Izraela, jeden z tak zwanych *cambistas* — wekslarzy.... Tym wszędzie dobrze się wiedzie, więc i tu musiał im się połów w mętnej wodzie udać.

Wątpię, ażeby Lima wróciła kiedykolwiek do dawnej świetności. Straciwszy swe zasoby głównie wskutek własnej nieogłędności, a w części z winy fatalnych losów, nie posiada teraz danych, aby dawny stan rzeczy przywrócić! Kopalnie guana i saletry zabrane zostały przez Chilijczyków; kopalnie srebra wyczerpane w znacznej części, a chociażby nawet eksploatację ich udoskonalono, nigdy nie będą w stanie wyrównać dawnej normie. Dziś więc jedyną dla Peru nadzieją jest oprócz swe bogactwo na rolnictwie, przemyśle i eksploatacji bogatych leśnych obszarów, rozciągających się we wschodniej części kraju. Może wypadki lat ostatnich posłużą dla Peruwjan za dobrą naukę, jaka im się, bądź co bądź, należała.

Lima leży pod 12° 2' 34" S. i pod 79° 26' 29" O. (licząc od południka paryskiego). Obszerna, trójkątna równina, wznosząc się bardzo słabym spadkiem od morza ku góróm, wrzyna się klinem w rozgałęzienia Kordyljerów, które nagle, bez przejść, zaczynają się piętrzyć swemi potężnemi masami skalistemi. Miasto rozciąga się u samego wierzchołka trójkąta, tuż u stóp gór, w miejscu, gdzie z nich wypływa nieznaczny strumień Rimac, dzielący Limę na dwie nierówne części. Przebywając przestrzeń pomiędzy Callao i Limą, nie przypuszczamy nawet, że na tych 14-tu wiorstach podnieśliśmy się na 400 stóp nad poziom morza, tak ta równina wydaje się być zupełnie horyzontalną. Dopiero patrząc na nią od strony morza, widzimy ją w skróceniu, jak się ku góróm stopniowo podnosi.

Sama Lima, widziana z pewnej odległości, nie posiada charakteru miast europejskich, co głównie przypisać należy tej okoliczności, że większość domów jest parterowych i zupełnie płaskich, bez dachów i kominów; tylko tu i owdzie wznoszą się wysoko ponad ogólnym poziomem miasta kopuły lub wieżycy kościołów; a liczba tych ostatnich jest znaczną, skoro na stutysięczną ludność liczyła ona podówczas 67 świątyń Pańskich.

Ulice są wszystkie proste, przecinające się pod prostymi kątami, co zresztą jest właściwością wszystkich miast nowszego pochodzenia.

Kierunek ulic jest prawie ze wschodu na zachód (z lekkim uchyleniem ku północy) dla jednych, a północno południowy dla innych, które miejscowi nazywają *transversales* (poprzeczne), dla odróżnienia od podłużnych, biegnących ze wschodu na zachód. Ulice są wogóle dość wąskie, jak na miasto, nie liczące więcej nad półczwarta wieku: szerokość ich równa się mniej więcej najszej ulicy Wierzbowej przy hotelu Angielskim. Tylko kilka now-

szych ulic, jak np. Calle de Malambo, leżąca na prawej stronie Rimaku, posiada szerokość ulicy Marszałkowskiej. Bruki Lima posiada z okrągłego, rzeczno-kamienia, oprócz niektórych ulic środkowej dzielnicy, które podobne są do naszych dróg szosowych. Dość często spotykamy place i placyki, ozdobione pośrodku pięknymi skwerami, w których widzieć można rozmaite rośliny egzotyczne, a z drzew — eukalipty, araukarje i cyprysy.

Środek miasta i punkt centralny handlu stanowi Plaza de Armas<sup>1)</sup> (Plac broni), otoczony budynkami z XVI-go i XVII-go wieku. Wschodni bok placu zajęty jest przez katedrę i pałac arcybiskupi; ku północnej stronie wznosi się pałac prezydenta, tak zwany Palacio de Gobierno, gdyż mieści w sobie, oprócz mieszkania prezydenta, wszystkie ministerja, oraz cyrkuł policyjny i koszary wojskowe. Pozostałe wreszcie dwa boki placu zajmują los Portales—piętrowe domy, pod którymi mieszczą się sklepy przeważnie bławatne i kantory wekslu. Jeden z tych portales nazywa się Portal de Botoneros, (boton=guzik; botonero=guzikarz), a drugi Portal de Escribanos (escribano publico=notariusz). Pierwsze piętro tych obu szeregów jest oszklone całkowicie od frontu, co stanowi charakterystykę wielu dawniejszych domów limańskich. Sam środek placu zajmuje fontanna, wzniesiona jeszcze w XVII-ym wieku. Otacza ją piękny ogródek, okolony gustowną żelazną kratą.

Ośm ulic wychodzi z Placu broni, po dwie prostopadłe od siebie z każdego rogu. Najważniejszą z nich jest bezwątpienia Calle de Mercaderes—ulica Handlowa (mercader=kupiec). Jest to poniekąd Boulevard des Capucines, lub nasze Krakowskie-Przedmieście, tu bowiem zgromadzone są najwystawniejsze sklepy, utrzymywane przeważnie przez cudzoziemców, szczególnie zaś przez Francuzów.—W samej rzeczy, bogate wystawy kupców bławatnych, jubilerów, krawców męskich i damskich, wreszcie sklepy chińskie ustępować mogą paryskim chyba pod względem wielkości, lecz nigdy pod względem gustu lub bogactwa.

Dawne nazwy ulic limańskich rozciągały się tylko na części ich biegu, tak, że jedna i ta sama ulica nosiła tyle nazwisk, ile ją ulic poprzecznych przecinało. Dopiero przed niedawnym czasem rada miejska zmieniła nazwy, rozciągając je do całej długości. I tak np. ulica, która przedtem składała się z ulic: Mercaderes, Espaderos, Melchor Malo t. d., dziś zowie się wprost Calle de la Union. Lud jednak, przywykły do dawnych nazw, niechętnie używa nowych, które po większej części zaczerpnięto z miast peruwiańskich (Calle de Arequipa, Ayacucho, Lampa i t. d. i t. d.). Dawne zaś nazwy są często bardzo fantastyczne i zwykle połączone z jakąś tradycją, o czem można się dowiedzieć, czytając historję ulic, napisaną przez znakomitego poetę peruwiańskiego, Ryszarda Palmę, członka madryckiej Akademii nauk. Oto kilka

---

<sup>1)</sup> Prawie we wszystkich miastach hiszpańsko-amerykańskich plac główny zwie się Plaza de Armas.

nazw, które jako *curiosum* przytaczam: Faltriquera del diablo (kieszka djabła), Yaparió (już porodziła), Pericotes (szczury), Siete Geringas (siedem serąg) i inne, równie mile brzmiące.—Jeszcze do niedawnego czasu każda z ulic przecięta była wzdłuż otwartymi ściekami, na które wyrzucano wprost wszelkie nieczystości, pozostawiając ptakom, zwanym *gallinazos*, kłopot oczyszczania ich. Ten oryginalny system asenizacji niebardzo przyczynił się do utrzymania czystości powietrza, to też municypalność zdecydowała się wreszcie na przeprowadzenie kanalizacji i tę szczęśliwie uskuteczniliono. Dziś Lima pod względem dobrego urządzenia systemu ścieków rywalizować może z najpierwszemi miastami Europy. Każdy dom zaopatrzony jest w krany z wodą na wszystkich piętrach i w otwory ściekowe, a każde niemal większe mieszkanie posiada gaz, wodę, a nawet łazienkę i inne niezbędne wygodki.

Dwa główne typy domów spotykamy w Limie. Jedne z nich piętrowe, ugrupowane są przeważnie w starej dzielnicy miasta, na ulicach, przylegających do Plaza de Armas. Dom taki posiada zwykle wiszący nad ulicą kryty ganek, zajmujący całą szerokość frontu i oszklony w górnej połowie wysokości. Wiszące te ganki ozdobione są zwykle rzeźbami, roztaczając niekiedy przed widzem bogaty deseń maurytański, jak np. dom markizów de Torre Tagle, będący typem tego rodzaju budynków. Widzieliśmy przedtem, że ten typ domów zajmuje dwa boki Placu broni. Na dole mieszczą się albo sklepy, albo mieszkania. Kwadratowe podwórze posiada zwykle dokoła na pierwszym piętrze galerję oszkloną, pod którą mieści się na dole odkryta werenda. Cały parter jest zwykle budowany z wielkich cegieł niepalonych, pierwsze zaś piętro, dla bezpieczeństwa podczas trzęsień ziemi, składa się ze ścian z trzciny (bambusu), otynkowanej zlekką gliną i pobielonej. Taż sama trzcina, nałożona dość grubą warstwą gliny, stanowi płaski dach, wystarczający zupełnie, gdy tylko zwykła mgła peruwiańska popaduje w porze zimowej,—bardzo jednak niedostateczny, gdy ta mgła niekiedy zamienia się na drobny i ulewny deszczyk, wówczas bowiem woda przemywa sobie ścieki, dostając się do wnętrza górnych mieszkań.

Drugim typem domów limańskich, najbardziej rozpowszechnionym, są domy parterowe. Front posiada szeroką bramę, prowadzącą na podwórze, a po obu jej bokach po jednym lub po dwa okna, okratowane na całej wysokości, gdyż dodać muszę, że wszystkie mieszkania parterowe w Limie posiadają okna opatrzone silną żelazną kratą, chroniącą od napaści czy to złodziei, czy rozhukanego pospólstwa podczas częstych rewolucji. Kwadratowe podwórze otacza zwykle dokoła werenda; niekiedy zaś oba skrzydła nie posiadają takiej galerji, a tylko tylna oficyna, zwana „el principal“, gdzie się mieści salon, zajmujący zwykle całą szerokość domu. Bardzo często poza tą oficyną leży drugie podwórze, zwane „traspatio“, wkoło którego mieszczą się pokoje i kuch-

nia. Prawie zawsze domy takie zajmowane są przez jedną rodzinę, która odnajduje niekiedy boczne skrzydła kawalerom lub biedniejszym rodzinom.

Wspomniałem przedtem, że nieledwie wszystkie domy parterowe posiadają jednakową wysokość, co przy płaskich zupełnie dachach przedstawia jedną ogromną niewygodę, a mianowicie możliwość dostania się z jednego do drugiego. W samej rzeczy, jeżeli każdy z takich domów od ulicy wydaje się małą, niezdobytą forteczką dzięki swym oknom zakratowanym i swej bramie żelaznej lub z mocnego drzewa, to nic łatwiejszego dla złoczyńców, jak przedostać się doń przez dachy, w wielu bowiem miejscach można w ten sposób obejść całą dzielnicę, otoczoną czterema ulicami. To też złodzieje limańscy korzystają bardzo często z tego ułatwienia, napadając nocną porą na uspiomych mieszkańców. Zajmowaliśmy pewnego razu z Jelskim dwa pokoje w takim parterowym domku i nieraz w nocy słyszeliśmy ponad głowami kroki któregoś z nocnych ptaków, odbywającego swą napowietrzną wędrówkę.

Bardzo często można spotkać między tymi parterowymi domami prawdziwe cacka architektury i dobrego gustu. Okratowanie okien i sama brama posiadają piękny deseń, podniesiony nieraz umiejętnym złoceniem niektórych części. Zajrzawszy przez bramę do wnętrza, widzimy niewielkie podwórze, wyłożone drobnym kamieniem; pośrodku wznosi się fontanna, okolona klombem roślin zwrotnikowych.

Wnętrze mieszkań odpowiada w zupełności zewnętrznemu pozorowi takich domów. Piękne, złoczone, lub bogato inkrustowane meble, kryte jedwabiem; ozdobne kotary i dywany pokrywające całą powierzchnię nietylko salonu, lecz prawie wszystkich pokoi—wskazują dostatecznie na skłonność Limańczyków do zbytku. Dwu jednak rzeczy brakuje w tych bogatych salonach: obrazów i kwiatów. Na ścianach widzimy tylko bogato oprawne lustra, a kwiaty Limańczyk lubi w podwórze, ale nie w pokoju—wystarczy mu widok klombu jaki przez zakratowane okna swego salonu widzi. A zresztą nie znajduje potrzeby duszenia roślin w ciasnej atmosferze pokoju, skoro na świeżem powietrzu rok cały może je trzymać.

Większość ulic limańskich posiada charakter jednostajny dzięki jednakowej architekturze domów. Wszystkie proste, równe; otoczone z dwóch stron ścianą podobnych do siebie domów, malowanych na żółto, zielono, niebiesko lub różowo, mają tę „smutną jednostajność symetrii“, jakby się Wiktor Hugo wyraził. Kościoły zajmują prawie zawsze rogi ulic; gdy zaś przy którymś znajduje się klasztor, posesja rozciąga się zwykle na cały kwartał a oddzielona jest od ulicy wysokim murem, malowanym prawie zawsze na kolor blado-żółty. Architektura kościołów zwykle nie przedstawia nic ciekawego, a większość posiada dwie charakterystyczne frontowe wieżycy, będące niejako echa architektury łańskiejskiej. Do tego rzędu należy katedra, wznosząca się na Placu bro-



ni. Kamień węgielny pod tę świątynię założył jeszcze Franciszek Pizarro w 1535 roku, budowa jednak trwała przez lat 90. Gdy następnie silne trzęsienie ziemi zrujnowało ją w części, odrestaurowanie znów rozciągnęło się na długie lata i dopiero pod koniec XVIII-go wieku ukończone zostało. U stóp wielkiego ołtarza złożone są szczątki zdobywcy Peru, oraz wszystkich arcybiskupów i kanoników limańskich.

W liczbie kilku znakomitych obrazów znajduje się tu jedno dzieło Murilla. Z innych świątyń zasługują, na uwagę kościoły: pojezuicki (Ś-go Piotra) i Ś-go Franciszka, jako wyrównujące niemal wielkością katedrze. Pod względem jednak architektury pierwsze miejsce zajmują kościoły Ś-go Augustyna i La Merced, oba posiadające fronton ozdobiony bogatymi arabeskami maurytańskimi. Bogactwo wewnętrzne niektórych świątyń jest zdumiewające, co łatwo objaśnić sobie wielką dewocją dam limańskich.

Gdym po raz pierwszy przybył do Limy, zwróciły moją uwagę krzyże na kościołach, naszpikowane w górnej części swych ramion wielkimi gwoździami. Nie omieszkałem zapytać, co to ma za znaczenie, na co odpowiedziano mi, że owe ćwieki nie pozwalają siadać na krzyżach bardzo licznyemu ścierwnikom, zwanym „gallinazos“, które dachy kościołów zanieczyszczają. Wielkie te, czarne ptaki, rodzaj sępów amerykańskich, nadzwyczaj liczne w mieście, mają zapewnione pożywienie na licznych śmietnikach i po oddalonych ulicach, gdzie nieczystości wyrzuca się bez żadnej ceremonji.

Rząd nie stara się o tępienie tych ptaków, gdyż przynoszą one rzeczywistą korzyść miastu, oczyszczając je z licznych odpadków, nieuniknionych we wszystkich miastach południowych, gdzie lenistwo mieszkańców przewyższa potrzebę oddychania świeżym powietrzem. W dawnych nawet czasach nakładano 25 soles<sup>1)</sup> kary za zabicie jednego z tych członków limańskiego towarzystwa aseniacji.

Żadne wielkie miasto nie może się obywać bez pomników, — inaczej nie byłoby wielkiem miastem. Niektóre dzielnice Berlina robią nawet wrażenie wystawy figur, tak często spotykają się tam pomniki wielkich... Niemców (nie wszyscy wielcy Niemcy byli wielkimi ludźmi).

Lima pod tym względem mniej była szczęśliwą. Nie wydawszy z łona swego wielkich ludzi, zmuszoną była zapożyczyć ich sobie u innych narodowości, aby nie pozostać w tyle poza innymi stolicami świata. Wzniosła więc na placu Inkwizycji pomnik Bolívarowi, oswobodzicielowi narodów południowo-amerykańskich z pod jarzma hiszpańskiego. Bolívar był rodem z Wenezueli. Drugi znów pomnik, uniesmiertelniający i tak już niesmiertelnego Kolumba, Genueńczyka, wznosi się w bliskości pałacu Wystawy, w południowej części miasta. Wreszcie przypadkowe zwycięstwo Peruwian nad flotą hiszpańską w Callao, 2 maja 1866 roku dało

---

<sup>1)</sup> 1 sol=5 frankom, czyli prawie 2 rublom według dzisiejszego kursu.

powód do wzniesienia pomnika „Dos de Mayo“, najpiękniejszego z trzech. Na greckiej kolumnie wznosi się postać anioła zwycięstwa; cztery boki piedestału zdobią płaskorzeźby, wyobrażające różne epizody wojny z 66-go roku. Na jednej z nich przedstawiony jest ziomek nasz, ś. p. Ernest Malinowski, podówczas naczelny inżynier, przedstawiający plany swe ówczesnemu ministrowi wojny Galvez'owi.

Postać tego ostatniego, naturalnej wielkości, znajduje się u stóp kolumny <sup>2)</sup>. Cały pomnik, wykonany we Francji, przedstawia się znakomicie i jest prawdziwą ozdobą miasta. Patrząc na niego, mimowoli porównywałem go z ciężkim i niesmacznym pomnikiem, jaki Niemcy wzniesli w Berlinie na pamiątkę zwycięstwa sudańskiego. Te same części składowe tworzą oba dzieła, a jednak cóż za różnica w proporcjach i rysunku!

Pod względem szkół publicznych Lima zdaje się stać bardzo wysoko, jeżeli nie co do jakości (o tem trudno mi sądzić), to przynajmniej co do ilości. Nie licząc szkół początkowych i średnich, posiada aż 2 uniwersytety, oraz szkoły medyczną, górniczą, rolnictwa i sztuk pięknych, wreszcie wyższe seminarjum duchowne. „El Convictorio de San Carlos“ posiada wszystkie wydziały. Uniwersytet ten założony został jeszcze w 1770 roku i wydał kilku ludzi znakomitych. „La Universidad de San Marcos“, założony w 1551 roku, liczył w ostatnich czasach kilku znakomitych europejskich uczonych, sprowadzonych przez rząd dla wykładów; między nimi wspomnę p. Pradier-Fauderay, sławnego prawnika francuskiego, p. Folkierskiego, znanego matematyka, który piastował tam godność dziekana wydziału matematycznego i wielu innych.

Szkola górnicza, założona przez ziomka naszego, p. Habicha, który następnie prowadził ją jako dyrektor, wydała już podobno wielu uzdolnionych inżynierów górniczych. W liczbie swych profesorów liczyła: ś. p. Władysława Klugera, Krakowianina, który wraz z inżynierem Kucharzewskim napisał „Hydraulikę“, i p. Ksawerego Wakulskiego, zdolnego inżyniera, który niejednokrotnie dał mi dowody swej bezinteresownej przyjaźni.

Biblioteka narodowa liczyła w roku 1860 około 40,000 tomów. Zato Muzeum, mieszczące się w dawnym klasztorze pojezuickim, nie odpowiadało bynajmniej obecnym wymaganiom nauki. Najlepiej był w niem reprezentowany dział starożytności peruwiańskich; o dziale zoologicznym nawet wspominać nie warto. Gdyby jednak nie szalona wojna peru-chilijska, Lima posiadałaby dziś przyzwolony gabinet zoologiczny, dzięki staraniom Antoniego Raimondiego, który z niezwykłym zapalem podróżując przez 19 lat, zebrał bogaty materiał zoologiczny, botaniczny i mineralogiczny, a następnie, zmuszony czas swój poświęcić na obrobienie tego materiału, skłonił ś. p. Konstantego Jelskiego do zbierania nadal kolekcji

---

<sup>2)</sup> Galvez zginął na jednej z baterji Callao wskutek przypadkowej eksplozji prochu.

przyrodniczych kosztem rządu peruwiańskiego. Jelski wywiąza się ze swego zadania ze zwykłą sobie energią i sumiennością.

Liczne zbiory obu tych niestrudzonych badaczy przyrody miały stanowić zaczątek t. zw. Muzeum Raimondiego, na co obie izby wydały odpowiedni dekret, wotując nawet sumy na budowę gmachu i na publikację dzieł Raimondiego, mających objąć geografję, mineralogję, geologję, botanikę i zoologję Peru. Na nieszczęście wskutek fatalnej wojny, wydawnictwo tych dzieł przerwane zostało na czwartym tomie, a budowę gmachu muzealnego odłożono na czas nieokreślony. Dobre chęci prezydenta Pardy rozbiły się o niezłomną fatalność wypadków, sprowadzających ruinę kompletną na kraj, i tak bardzo zachwiany wskutek nieumiejętnej administracji.

Niedoszłe Muzeum Raimondiego miało się mieścić w obrębie Ogrodu botanicznego, bardzo umiejętnie prowadzonego zrazu przez pewnego Bawarczyka p. Kluga, a następnie przez innego jakiegoś cudzoziemca. W ogrodzie tym podziwiać można, obok najrozmaitszych roślin podzwrotnikowych wspaniałe cyprysy, które pomimo młodocianego wieku przybrały już ogromne rozmiary.

Niemalą ozdobą Limy i miejscem przechadzek dla jej mieszkańców jest tak zwany Jardín de la Exposición, lub wprost Exposición, piękny ogród, mieszczący się w południowo-zachodniej stronie miasta. Obok pałacu, w którym mieściła się wystawa krajowa w 1874 roku, ogród ten zawiera liczne klatki zwierząt. Był to zaczątek ogrodu zoologicznego, który znów wskutek owej wojny przestał istnieć, gdyż zdobywcy zabrali do Santiago wszystkie zwierzęta, podobnie jak Bibliotekę narodową i Muzeum starożytności. Często zadawałem sobie pytanie, dlaczego zbiorowa kradzież lub zbiorowy rozbój nie nazywa się kradzieżą i rozbojem. Gdy pojedynczy człowiek kradnie lub rozbija, świat go potępia i odtrąca. Gdy naród cały kradnie i rozbija, oburzają się nieco, lecz nikt nie potępi podobnego czynu. Prawo silniejszego w jednostce jest niemoralnością, w narodzie — niemal cnota.

Oprócz ogrodu wystawy posiada jeszcze Lima inne miejsce przechadzek, mniej jednak uczęszczane. „Alameda de los Descalzos“ (Aleja bosych), nazwana tak, gdyż prowadzi do klasztoru Franciszkanów bosych, leży w północnej części miasta „abajo del puente“ (poniżej mostu), jak mówią Limańczycy, zwąc w ten sposób całą dzielnicę miasta, leżącą na północnym brzegu Rimaku.

Wspomniane miejsce przechadzki jest to szeroka aleja, ograniczona z dwóch stron klombami i drzewami; dość liczne posągi kamienne przyczyniają się do jej ozdoby, a ławki, rozstawione po obu stronach, zapewniają przechodniom miły odpoczynek. W końcu tej aleji, u stóp góry św. Franciszka, wznosi się stary klasztor Franciszkanów, w którym około roku 1877 przebywał zakonnik, o. Zieleniec, Polak, jedna z ofiar polityki Bismarka i Falka. Odwiedzając kilkakrotnie ziomka naszego, miałem sposobność przyjrzenia się klasztorowi. Franciszkanie bosy posiadają piękny ogród, zaopatrzony we wszystkie drzewa owocowe i jarzy-

ny, a doskonale utrzymana winnica pozwala im fabrykować własne wina.

Zakon Franciszkanów położył w Peru ogromne zasługi, posyłając swych misjonarzy do dzikich zupełnie krain wschodniego Peru, nad Amazonkę, Ucayali, Pachiteę i inne mało znane rzeki. Wielu z misjonarzy franciszkańskich było pierwszymi pionierami cywilizacji w tych niegościnnych krajach, z zaparciem się samych siebie narażając co krok życie swoje wśród dzikich plemion indyjskich, z których niejedno oddaje się po dziś dzień ohydny festynom kannibalizmu. Czytając szczegóły o wyprawach O.O. Plaza i Calvo, przejmuję nas podziw dla tych skromnych a pełnych zasługi misjonarzy, którym geografia Peru zawdzięcza mnóstwo szczegółów nowych. Historia odkryć w tym ciekawym kraju usiana jest nazwiskami skromnych misjonarzy, którzy zawsze przodowali geografom z profesji lub przyrodnikom.

Pod względem rozrywek Lima stoi bardzo nisko, nie posiadając nawet stałego teatru, pomimo przeszło stutysięcznej ludności. Gmach wprawdzie istnieje i to nawet od kilku wieków, zbudowany bowiem został jeszcze w 1602 roku—trupy jednak stałej miasto nie posiada. Od czasu do czasu przyjeżdżają tu z Europy trupy: włoskie, francuskie lub hiszpańskie, zwykle na sezon zimowy, kiedy cała śmietanka limańskiego towarzystwa zjeżdża z Chorillos na porę deszczową. Podczas kilkakrotnych pobytów w Limie miałem sposobność słuchania opery włoskiej, operetki francuskiej i komedji hiszpańskiej. Ta ostatnia zjechała jakoś przed świętami Wielkiejnocy, a ponieważ obyczaj limański zabrania stanowczo wesołych przedstawień teatralnych podczas Wielkiego Postu, więc pan dyrektor, by czasu nie tracić, urządził przedstawienia na tle życia Chrystusa. Teatr był zawsze przepelniony, a publiczność z niezwykłym zajęciem przyglądała się scenom wieczerzy Pańskiej, biczowania i ukrzyżowania Syna Bożego.

Oprócz czasowego teatru, Lima nie posiada żadnych innych codziennych rozrywek. Niekiedy zajedzie tu na sezon zimowy cyrk jaki lub trupa akrobatów. Za to walki byków cieszą się tu niezwykłym powodzeniem, a przedstawienia odbywają się 12 razy do roku, zwykle w niedziele lub święta. Osobny amfiteatr—Plaza de Acho — mieszczący do 10,000 widzów, (Paz Soldan (Geografia del Peru. Paris 1862) podaje nawet liczbę widzów na 20 tysięcy) służy wyłącznie na ten cel; według zdania osób kompetentnych, przechodzi on wielkością wszystkie amfiteatry tego rodzaju w Hiszpanji i w kolonjach hiszpano-amerykańskich. Gmach ten leży na północnej stronie rzeki Rimaku, a prowadzi doń od mostu piękna aleja, zwana Alameda de Acho. Ukończony został jeszcze w 1768 roku. Charakterystyczną jest rzeczą, że ten rodzaj krwawych widowisk eksploatowany jest w Limie na korzyść dobroczynności, a sam gmach należy do Towarzystwa dobroczynności przynosząc czystego dochodu około 40,000 soles (80,000 rb.)z dwunastu przedstawień.

Lima słynęła zawsze ze swych walk byków, a niekiedy na-

wet, jak mówią, przewyższała okazałością podobne przedstawienia w metropolji. Pragnąc zobaczyć ten osobliwy rodzaj rozrywki, wybrałem się pewnej niedzieli na Plaza de Acho, kupiłem wejście za 5 reales (co według dzisiejszego okursu równa się 1 rublowi), zająwszy miejsce na zwyczajnej ławce, w jakie zaopatrzona jest cała galerja. Plac posiada kształt wielokąta o 15 bokach, wkoło którego wznoszą się amfiteatrem kryte galerje, łoże zaś znajdują się u dołu i są zupełnie zasłonięte deskami, z wyjątkiem nieszerokiej szpary, przez którą widzowie mogą patrzeć na przedstawienie. Amfiteatr był prawie pełny, a wszystkie klasy społeczne mieszały się w nim z prawdziwie republikańską równością. Damy, poumierane strojnje, zbyt jednak jaskrawo, z zajęciem śledziły za biegiem widowiska, a na pięknych ich twarzach nie znać było współczucia na widok męczarni byków. Czarną twarz murzyna, apatyczne zwykle rysy Indjanina, lub wreszcie arystokratyczne, delikatne twarze potomków Hiszpanów, ożywiało jedno i to samo uczucie gorączkowego zachwytu. Oczy wszystkich błyszcząły i ze wszystkich piersi wydobywał się okrzyk aprobacji lub potępienia, w miarę jak występujący toreador popisował się ze swą zręcznością. Gorąco było wielkie; przekupnie roznosili wśród widzów owoce i napoje chłodzące.

Środek placu zajmują szczególnego rodzaju sztachety, zbudowane z grubych pali, pomiędzy którymi kryć się mogą akto-rzy tej krwawej sceny, gdy ich byk nadto przycisnie. W tymże samym celu wkoło placu wznosi się mały stopień, przy pomocy którego toreadorzy wskakiwać mogą na wysoką barjerę, jaka dzieli arenę od widzów. W jednej stronie amfiteatru znajdują się odsuwane drzwi zagrody, w której się byki mieszczą. Drzwi te odmyka człowiek, ukryty w małej izdebce, z boku leżącej.

Dwie rakiety są znakiem rozpoczęcia widowiska. Występuje najprzód 4-ch t. zw. „capeadores de a caballo“ (kapeadorów konnych), zaopatrzonych w długie różnokolorowe płachty, któremi byka drażnią. Jeden z nich staje w odległości 20 kroków od drzwi zagrody; wówczas drzwi się odsuwają i rozwścieczony byk (gdyż mu podobno pieprz kajeński pod ogon kładą) z oczami krwią nabiegłemi, z dzikim rykiem rzuca się na jeźdźca, który zręcznym ruchem unika uderzenia rogów. Konie, na jakich jeżdżą kapeadorowie, są nieładne, lecz znakomicie ujeżdżone; tylko na koniu bardzo zwrotnym i doskonale miękkim w pysku, można się zaawanturować na podobnie ryzykowny popis. Każdy z kapeadorów powtarza kilkakrotnie swój manewr, co mu się jednak niezawsze udaje. I przy mnie byk uderzył w całym pędzie rogami w udo konia, tak, że ten omal nie upadł wraz z jeźdźcem.

Na znak dany trąbką ustępują konni kapeadorowie, a ich miejsce zabierają piesi, powtarzający ten sam manewr jątżenia byka i ustąpienia się mu zręcznie, gdy ten w pełnym galopie szarżuje. Niekiedy zaś, zamiast odskakiwać w bok przed rzucającem się bydlęciem, kapeadorowie uciekają poza barjerę, lub też pomiędzy środkowe sztachety.

Znów następuje sygnał i kapeadorowie piesi ustępują miejsca t. z *banderilleros*. Banderilla jest to pałeczka na łokieć może długa, opatrzona ostrzem na jednym końcu i ozdobiona różnokolorowemi wstążeczkami. Każdy banderillero ma 2 takie pałeczki (po jednej w każdej ręce), a zadaniem jego jest wpiąć bykowi jednocześnie w obie w łopatki w chwili, gdy się bydlę na niego rzuca. W tym celu staje na wprost byka i głosem lub świśnięciem zaczyna go wyzywać. Byk schyla głowę i uderza na swego przeciwnika, który wytrzymać musi do ostatniej chwili, i dopiero wtedy, gdy już zwierz dotyka go niemal rogami, zręcznym ruchem usuwa się na bok, zatapiając jednocześnie obie banderillas w łopatkach ofiary. Banderillas mają zacięcie na ostrzu, tak, że wpaść z ciała nie mogą, gdy są w niem zatopione. Biedne stworzenie, otrzymawszy 8 takich pałeczek, ryczy z wściekłości i bólu, bije kopytami o ziemię i piana cieknie mu z pyska, a krew sączy się z ran otrzymanych.

Złość jego dochodzi wówczas kulminacyjnego punktu, co właśnie jest zadaniem tych trzech rodzajów zapaśników, a głównie banderillerów. Teraz występuje prawdziwy bohater, „*espada*“, którego zadaniem jest zabić jednym uderzeniem szpady rozhlukane bydlę.

Espada, ubrany, jak inni toreadorzy, w bogaty hiszpański strój narodowy, trzyma w prawej ręce szpadę, a w lewej płachtę, zarzuconą na krótkim kij. Machając tą płachtą, podchodzi ku zwierzęciu, które i tak już rozjątrzone do ostatecznych granic, rzuca się nań z niepohamowaną wściekłością. Zrazu espada unika jego ciosów, usuwają się zręcznym ruchem na bok. Niekiedy jednak byk wycieńczony, stoi spokojnie, co się zresztą bardzo rzadko zdarza. Występują wówczas znowu piesi kapeadorowie, starając się rozjątrzyć zobojętniałego zwierza. Gdy espada po kilkakroć uniknie szarży byka, staje o parę kroków od niego i pochyla płachtę ku ziemi, byk wtedy nachyla głowę gotując się do nowego ciosu. Espada, korzystając z tego chwilowego spokoju podnosi szpadę do wysokości oka i pewnym ruchem ręki zanurza mu ją pomiędzy obie łopatki. Jeżeli cios jest zręcznie skierowany, szpada zagłębia się po samą rękojeść, przenikając pomiędzy jedną z łopatek a kręgosłupem. Byk słabnie, skrwawiona piana rzuca mu się pyskiem, wreszcie pada ciężko na ziemię. Skoro jednak cios jest źle wymierzony, szpada trafia w kość i uderzenie oprócz małej rany nie wywołuje pożądanego skutku. Niekiedy znów szpada zagłębia się do  $\frac{1}{4}$  swej długości i wówczas byk biega z nią po arenie, rycząc z bólu. Starają się go zwabić wtedy do sztachety środkowej i tam przez szpary wyciągają skrwawioną szpadę; espada na nowo rozpoczyna swoje dzieło, a biedny zwierz w krwi się broczy. Gdy wreszcie cios śmiertelny zostanie zadany i bydlę upadnie na ziemię, dobijają je posługacze w czerwonych kurtkach, i wtedy zajeżdża mały wózek dwukołowy, zaprzężony w cztery ręce konie, fantastycznie ubrane, którymi powozi dwóch forysiów w zielonych kurtkach z szamerowaniem. Do wózka przywiązują

powalonego byka za rogi, i wlokąc go wśród tumanów pyłu, wywożą w pełnym galopie przy dźwiękach wojskowej orkiestry. Przy mnie odznaczył się szczególnie jako espada pewien murzyn, który zabił trzy byki za pierwszym uderzeniem, a jednego za drugim. Inny znów, Hiszpan, czy Peruwiańczyk, wykazał szaloną zimną krew i odwagę wobec rozjuszonego bydłęcia, obok którego wykręcał się z takim spokojem, jak gdyby to był piesek, a nie byk rozhukany. Zręczność jednak nie odpowiadała widocznie odwadze, gdyż jednego byka kłuł pięć razy, zanim go zabił. Publiczność gwizdała, lecz gdy wreszcie zadał cios śmiertelny, posypały się oklaski, kwiaty i... kapelusze, gdyż toreadorowi w czasie zapasów peruka z głowy spadła.

Byki, używane do zapasów, chowane są umyślnie w miejscach dzikich, zdala od ludzi. Są rosłe i pięknie zbudowane; rogi mają długie, naprzód sterczące i ostre. Budową i maścią przypominają szwajcarską rasę Schwytz. Przed walką, gdy je jeszcze w corralu trzymają, starają się je rozdrażnić różnymi sztucznymi środkami, do których należy także wspomniany wyżej wsypywany im pod ogony pieprz kajeński.

Człowiek, nieprzyzwyczajony do tego rodzaju krwawych widowisk, wynosi z nich przykre wrażenie. Cała ta scena rozjątrzenia i kaleczenia biednego zwierzęcia, które wśród kurzawy, z oczami krwią nabiegłymi, z poranionym krzyżem i łopatkami, rycząc, oszalałe z bólu i wściekłości, rzuca się na bezbronych ludzi, robi na nas wrażenie szlachtuza, w którym niedobite bydło zerwało się z uwięzi i biega szercząc popłoch wśród rzeźników. Przykre uczucie podnosi w nas widok tych pięknych kobiet, tak zwykle łagodnych, tak odczuwających cierpienia innych. Tu twarze ich ożywia tylko gorączkowy entuzjazm i ciekawość, posunięta do ostatecznych granic. Kobiety, dzieci, starcy — wszystko to unosi się jednakowym zapałem, a radość przybiera dzikie rozmiary, gdy nieszczęsny byk upadnie pod ciosem siepacza. Nic też dziwnego, że narody, które z takim entuzjazmem oddają się walkom byków, z obojętnością patrzą na śmierć zdradziecką swych przywódców, których rok przed tem ubóstwiali.

Z równym zapałem oddają się Limańczycy walkom kogutów, mając na ten cel osobny amfiteatrzyk w okolicach pomnika Dos de Mayo. Był czas, kiedy instytucja ta została zniesiona, widać jednak, namiętność do tego rodzaju zabaw zwyciężyła, gdyż amfiteatr funkcjonuje znowu według dawnego zwyczaju. Zaszedłszy tam raz przez ciekawość, mogłem się przekonać, że i tu, jak na walkach byków, widzowie należeli do wszystkich sfer społecznych, a między nimi pokazywano mi nawet kilku senatorów i deputowanych. Towarzystwo jednak składali sami tylko mężczyźni. Sędzia, umyślnie wyznaczony przez radę miejską, rozstrzygał kwestję wygranej lub przegranej. Tu jednak innego rodzaju magnes ściąga widzów, niż tam. Nie jest to prosta chęć podziwiania zręczności tego lub owego zapaśnika, lub napawania się widokiem krwi, rozlewanej w obfitości. Do tych pobudek łączy się

inna, stokroć może silniejsza. Występuje tu gracz, a nie prosty spektator. Zakłady tworzą się szybko, dzięki pośrednikom, jacy się uwijają pomiędzy publicznością. Oba koguty wystawione na chwilę przed walką, pobudzają ciekawość widzów, którzy za jednym lub za drugim stawiają sumy, dość znaczne niekiedy. Przypinają ostrogi obu zapaśnikom (tylko u lewej nogi) i na głos dzwonka sędziego puszczają na arenę. Zakładający się więc widzi w walczących kogutach nie dwóch zwyczajnych zapaśników, z których zręczniejszy odniesie zwycięstwo, lecz nadzieję wygrania lub przegrania owych kilkudziesięciu dolarów, jakie za jednym lub za drugim postawił.

Mówiąc o różnych instytucjach dobroczynnych i niedobroczywnych w Limie, trudno nie wspomnieć o więzieniu, wybudowanym przed laty z wielkim kosztem i staraniem. Instytucja ta, wzniesiona według najnowszych wymagań cywilizacji, zbyt może przesadzonych w niektórych krajach, powierzona została Marjanowi Paz Soldan, bratu autora „Geografji Peru”, który jeździł umyślnie do Stanów Zjednoczonych, w celu zwiedzenia tamtejszych zakładów karnych, uważanych za wzorowe. Kamień węgielny położono jeszcze w roku 1856 za prezydentury marszałka Castilli, budowa jednak ukończoną została w kilkanaście lat później, gdyż nawet kamieniarzy i murarzy sprowadzać musiano z Europy. Więzienie może pomieścić 316 przestępców, dla których urządzono warsztaty rozmaitych rzemiosł, zaprowadzono bowiem system pracy w ciągu dnia i zupełnego odosobnienia więźnia podczas nocy. Ponieważ kara śmierci zniesioną została w Peru, starano się w ten sposób zużytkować siły robocze przestępców, skazanych na długoletnie zamknięcie, wychodząc z zasady, że można z nich jeszcze zrobić użytecznych członków społeczeństwa, co w rzeczywistości zdarza się tylko wyjątkowo. Gdyby jednak w Peru chciano wszystkich złoczyńców w ten sposób traktować, nie wystarczyłoby i 10 podobnych więzień. Limańskie zatem więzienie istnieje więcej dla oka, a w gruncie rzeczy względem przestępców stosuje się system albo zupełnego pobbłażania albo oddawania ich do służby wojskowej.

Jako cudzoziemiec w Peru, muszę się ująć za niekorzystną dla cudzoziemców statystyką przestępstw, jaką podaje Paz Soldan w swej „Geografji Peru”. Uczony ten wykazuje na rok 1859 ogólną liczbę mieszkańców Limy na 100,341, w której to liczbie 60,744 Peruwian i 39,597 cudzoziemców. Następnie podaje statystykę przestępców na 1860 rok, gdzie na ogólną liczbę przestępców 426, wypada 337 Peruwian i 89 cudzoziemców. Tu szanowny uczony ni stąd ni z owąd, przyjmując liczbę cudzoziemców na 50,000, znajduje dla nich stosunek 1 na 560, gdy dla Peruwian, nie podając ich przypuszczalnej liczby, stosunek ten wypada 1 na 5,600, czyli dziesięć razy mniejszy. Ponieważ w roku 1859 nie było żadnej nadzwyczajnej imigracji cudzoziemców i gdy nadto ogólna liczba mieszkańców w Limie bardzo powolnie wzrasta, przyjąć więc możemy, że cyfry podane na rok 1859 mogą nam



służyć do porównania ze statystyką przestępców z 1860 roku a jeżeli byłaby jaka zmiana, to nic nie znacząca. Wówczas otrzymamy na 60,744 Peruwian 337 przestępców, czyli stosunek 1 na 180; a na 39,597 cudzoziemców — 89 przestępców, czyli 1 na 444, stosunek  $2\frac{1}{2}$  raza mniejszy niż dla Peruwian. Sprostowanie to uważałem za stosowne przytoczyć, gdyż wielka powaga Paz Soldana mogłaby skłonić niejednego do zacytowania liczb fantastycznych, a tak niekorzystnych dla cudzoziemców, bez uprzedniego ich sprawdzenia.

Zresztą nie potrzeba się uciekać do wywodów statystycznych: dość jest czytywać sprawozdania policyjne; dość jest zresztą patrzeć na życie w Peru, aby poznać, gdzie większa niemoralność, czy po stronie Peruwian, czy też cudzoziemców. Mogą więc Europejczycy spać spokojnie: ich rodacy, zamieszkujący w Peru, nie są jeszcze tak zepsuci, aby niemoralnością swoją Peruwian przewyższyć.

Brak danych statystycznych nie pozwala nam wnioskować o dzisiejszej liczbie mieszkańców Limy, zdaje się jednak, że ta nie przewyższa 200 tysięcy. Pomimo niezłych warunków sanitarnych, pomimo bogactw, jakimi Lima słynie z dawien dawna, liczba ta wzrasta bardzo wolno; nawet migracja europejska i chińska nie wpłynęły zbytecznie na jej podniesienie. Przyczyny tego szukać należy w bardzo powolnym wzroście całego narodu.<sup>1)</sup>

Wielkie miasta wzrastają nie tylko przyrostem własnej ludności, lecz także ciągłym napływem przybyszów z prowincji, zwabionych łatwiejszym zarobkiem. W Peru zaś tego materiału napływowego brak, co z kolei ma za przyczynę, jak się zdaje, ogólną słabą płodność kobiet. Prof. Dybowski (Wyspy Komandorskie. Lwów. 1885) wskazał, że krzyżowanie się Europy z Aleutkami bardzo źle wpływa na płodność tych ostatnich; podobny wypadek zachodzi i przy stosunku białej rasy z Japonkami, a zdaje mi się, że i tej samej przyczynie należy przypisać niepłodność Peruwianek, których główna masa do rasy indyjskiej należy. W Peru nie słychać prawie nigdy o rodzinach, w których by kilkanaścioro dzieci było, a nawet rzadkie są stadła, któreby się sześciorgiem lub ośmiorgiem potomstwa pochwalić mogły, gdy przeciwnie bardzo jest wiele małżeństw, nadaremnie czekających przybycia pierworodnego, lub pierworodnej. Już powyżej przytoczony stosunek cudzoziemców, zamieszkujących Limę (przeszło 1 cudzoziemiec

---

<sup>1)</sup> Wątpliwą jest rzeczą, czy ludność w Peru wzrasta. Są nawet dane do przypuszczenia, że przed najściem Hiszpanów kraj ten był gęściej, niż dziś, zaludniony. Lorentes (Historia antigua del Peru. Lima. 1860) podaje przypuszczalną liczbę ludności w państwie Inkasów na 10 milionów. Państwo to obejmowało tylko część górzystą Peru, część południową Ekwadoru i północną Chili. Trzy republiki (Ekwador, Peru i Chili) razem wzięte liczą dziś około 8 milionów, a z tej liczby trzeba wykluczyć całą leśną część Peru i Ekwadoru, oraz południowe Chili, tak, że dziś dawny obszar państwa Inkasów nie liczy może więcej nad 5—6 milionów.

na 3 Peruwiańczyków), wskazuje jak wiele wzrost miasta tego zawdzięcza imigracji. Dodajmy jeszcze, że na owe 60,744 Peruwiańczyków za rok 1859 liczono 37,030 przybyszów z prowincji, a tylko 23,714 rodowitych Limańczyków. Z tego widać, że Lima, pozostawiona samej sobie, wzrastałaby bardzo powolnie, a może nawet liczba jej ludności zmniejszałaby się stopniowo.

A jednak klimat limański, na pozór przynajmniej dość jest pomyślny dla rozwoju rasy ludzkiej. Temperatura w ciągu roku jest łagodna, nie przechodząc w czasie największych upałów 28° C. w cieniu i nie spadając poniżej 12° C. w porze dżdżystej. Pory roku są tylko dwie: zima i lato, a raczej pora dżdżysta i pora sucha. Od listopada do kwietnia panuje ciągła pogoda, upał i kurz nieznośny. W maju niebo zaczyna się chmurami zasnuwać, deszcz jednak w Limie nie pada, tylko bardzo gęsta mgła, zwana przez miejscowych „garua“, a przez cudzoziemców rosą peruwiańską. Mgła zgęszcza się niekiedy w bardzo drobny deszczyk, zamieniający zwykłą kurzawę w błoto. W wyjątkowych tylko latach padały ulewne deszcze. Historia podaje lata 1701, 1720, 1728 i 1791 jako obfitujące w ulewy, głównie w nocy; sprawiały tu one zawsze ogromne szkody, gdyż jak to już zaznaczyliśmy, domy limańskie są pozbawione dachów. Oprócz tego górskie strumienie wezbrały nadzwyczajnie, unosząc plony z pól zasianych.

Grzmót i błyskawica są prawie zupełnie w Limie nieznanne. Właściwie żadna z obu pór roku nie jest w Limie bardzo przyjemną, w lecie zbyt wiele słońca, upału i kurzawy; w zimie znów nieustanne mgły i drobne deszcze, trwają bez przerwy po kilka tygodni. Lecz za to nie masz tam nigdy naszych nieznośnych ślot październikowych lub marcowych, ani silnych mrozów, dających się we znaki biednej ludności miejskiej.

Pomimo tak łagodnego klimatu, Lima nie zdaje się cieszyć dobrymi warunkami zdrowotnymi. Ilość osób cierpiących na choroby piersiowe, jest znaczną, a suchoty częściej się tam może spotyka, niż w Europie. Oprócz tego ospa, szkarlatyna, zimnica i malarje dość są rozpowszechnione. Od czasu do czasu pojawia się w Limie gość straszny: żółta febra.

Pojawiła się tu po raz pierwszy w 1851 roku, następnie w 1859 i 1868, zatem w odstępach 10-letnich mniej-więcej, zabierając za każdym razem tysiące ofiar. Rzecz godna uwagi, że największej liczby ofiar dostarczyli Włosi, znani zresztą ze swego niechlujstwa.

Włosi, zamieszkujący Lime, należą po większej części do niższych warstw społeczeństwa, utrzymując w Limie przeważnie sklepy episjerskie, *pulperias*, według hiszpańskiego nazwania. Każdy róg posiada przynajmniej jeden taki sklep włoski, w którym dostać można wszystkiego. Właściciel wraz ze swą liczną rodziną mieści się w małej izbie poza sklepem, gdzie sypia i jeść gotuje, jak mówią, raz na trzy dni, aby na paliwie zaoszczędzić trochę grosza. Nic więc dziwnego, że żółta febra czepiała się

tych ludzi brudnych, żyjących w dusznej atmosferze czosnku, serów szwajcarskich i różnych odorów miejscowego pochodzenia; tak samo u nas cholera zabiera najczęściej ofiar pomiędzy niechlujnym żydostwem. Oprócz jednak tego musi konstytucja Włochów więcej się nadawać do przyjęcia choroby, niż u innych narodów, gdyż i biedna klasa Peruwjan także czystością nie grzeszy, a jednak stosunkowo epidemia mniej ich niszczyła, aniżeli Włochów.

Spodziewano się żółtej febry w 1877 roku, zamiast jednak tej choroby przysłała inna gorączka epidemiczna, mniej jednak od tamtej straszna. Lud miejscowy nazwał ją „argolla”, co znaczy pierścień, kółko. Bawiłem podówczas w Limie, a ponieważ wszyscy prawie bez wyjątku zapadali na tę gorączkę, więc i ja, żeby się od innych nie różnić, zachorowałem na nią. Choroba zaczynała się wymiotami i biegunką, poczem następował zupełny brak apetytu, straszny ból głowy, łamanie w kościach i t. p. dolegliwości. Chorobę leczono solą glauberską i chininą. Zwykle ustępowała po 6-ciu lub 8-miu dniach. Ofiar zabrała tylko dwie. Lekarze przypuszczali, że jest to żółta febra, tylko o przebiegu bardzo lekkim, była jednak tak epidemiczną, że bardzo niewiele osób wykręciło się od niej. Osobliwszem było jej zlokalizowanie się: oprócz Limy, żadne inne z miast pomorskich nie zostało przez nią nawiedzone.

Na pozór Limańczycy nie okazują zdrowia i siły: szczupli po większej części, anemiczni, z twarzą zapadłą, robią wrażenie suchotników. Kobiety są nadzwyczaj piękne, zwykle jednak blade i anemiczne. Siwe głowy dość rzadko się spotyka, a naszej czerszej starości, z rumieńcami na twarzy i siłą w mięśniach, nie spotkasz tam wcale. Starzy mają twarze powiędłe, pomarszczone; zgarbiona ich postać i ogólny wyraz przygnębienia wskazują, że ruina ta trzyma się tylko jeszcze, gdyż brak było silniejszego wiatru, aby ją w niwecz obrócić.

Przemieszanie się rasy białej z indyjską i murzyńską, któremu bardzo sprzyja republikański ustrój państwa, powoduje, że trudno jest określić właściwy typ Limańczyka. Biorąc na uwagę różnorodność typu każdej z trzech wspomnianych ras i dodawszy do tego mniejszy lub większy stopień przemieszania się, odrazu znajdziemy się wobec niezmiernej trudności uchwycenia pewnych cech, jakieby nam mogły służyć do określenia ogólnego typu. Starając się jednak zastosować świeżo wynaleziony sposób typografji, gdzie różne klisze, słabo odbite przenosi się na jeden papier, otrzymując takim sposobem typ średni, — starałem się w mej wyobraźni zamalgamować w ten sposób najrozmaitsze twarze Limańczyków, jakie jeszcze pamięć moja zachowała, i z tego wyprowadziłem sobie następujący typ: Limańczyk jest średniego wzrostu, szczupły, o mięśniach słabo rozwiniętych, piersi zapadłej, nogach i rękach szczupłych i małych. Twarz ma pociągłą, nos zlekka pałakowaty lecz szczupły, wargi wązkie, oczy czarne

jak węgiel, także i włosy, zlekka kędzierzawe; cera śniada, rysy wogóle bardzo regularne.

Łatwiej będzie może dać charakterystykę moralną mieszkańca Limy, tu bowiem większa jednostajność panuje. Limańczyk jest przede wszystkim „caballero”, na co my odpowiednio go wyrazu nie mamy, gdyż „galant” nie zupełnie tu odpowiada. Gdy się spotka dwu znajomych, nie rozpoczną rozmowy, póki się nie zapytają jeden drugiego o zdrowie, potem o zdrowie żony i dzieci. Istnieje na ten cel formułka, od której żaden Limańczyk nie odstąpi na jotę. „Como esta Usted?” (jak się pan miewa?) pyta jeden. „Muy bien, gracias, para servir á Usted” (bardzo dobrze, dziękuję, do usług pańskich) „Y Usted?” (a pan?) „Muy bien, para servir á Usted?” „Y como esta su senora, sus hijos, sus ninas?” (A jak się miewa pańska żona, pańskie dzieci, panienki?). „Muy bien, siempre à la disposicion de Usted” (Bardzo dobrze, zawsze na rozkazy pańskie). Dopiero po wyrecytowaniu tego wszystkiego zaczyna się rozmowa. Grzeczność swoją Limańczyk posuwa do ostateczności, co mu z pewnością dostało się dzięki wychowaniu hiszpańskiemu. Jeżeli pochwalimy jaki przedmiot, należący do niego, nie omieszka powiedzieć nam: „Niech panu służy”, pomimo, że bynajmniej nie myśli podarować go nam. Wprowadzając nas do swego domu, oddaje go nam do zupełnej dyspozycji, wraz z żoną i dziećmi, co u nieprzyzwyczajonego wywołuje uśmiech na twarzy. Często bodaj uczucia jego nie odpowiadają tej zewnętrznej formalistyce, lecz musimy się do tego przyzwyczaić, a nawet sami się tego nauczyć, jeżeli nie chcemy uchodzić za źle wychowanych. Jest to zresztą czysta forma, przyjęta powszechnie, i nikt nie bierze tego serjo. Wogóle Limańczyk jest z gruntu bardzo grzeczny: czy to zapytany na ulicy o ten lub ów kierunek, czy to proszony o wyświadczenie jakiej usługi, chętnie nam się oddaje, o ile na to pozwalają jego siły.

Z charakteru przypomina Polaka. Gościnnie i lekkomyślny, z łatwością traci swoje mienie, które mu się bez pracy dostało. Jak i my lubi się chwalić, lubi wynosić zasługi swego narodu, jego pracowitość, jego odwagę. Łatwy do zawarcia znajomości, równie łatwo także staje się naszym nieprzyjacielem. Jak i my niepunctualny do najwyższego stopnia, naraża nas zawsze na stratę czasu, gdy z nim schadzka mamy naznaczoną. Wogóle nie ma tam tych silnych podstaw, jakie np. w charakterze Anglików spotykamy. Czuje potrzebę pracy, a jednak wziąć się do niej leni; czuje nad sobą wyższość niektórych narodów, a jednak brak mu cywilnej odwagi, aby im dorównać. Moglibyśmy go scharakteryzować słowami, które i do nas samych, niestety, zastosować można: „Dużo gada, a mało robi”. Wykształcenie posiada zwykle bardzo powierzchowne, a jednak lubi się niem popisywać na każdym kroku. Samym rodzajem pytań, jakie nam zadaje, zdradza zwykle brak zupełny najpierwszych wiadomości z nauk elementarnych. Geografia szczególniej stanowi jego ulubiony przedmiot rozmowy, pomimo że swą niewiadomością w tej nauce zakasował

by pierwszego lepszego Francuza. Niewątpliwie spotkamy w Limie ludzi bardzo wykształconych, gdyż trudno, aby miasto posiadające dwa uniwersytety i liczne szkoły średnie i niższe, składało się z samych nieuków; tych jednak procent jest większy, niż gdzie indziej, pomimo, że stosunek ludzi umiejących czytać i pisać jest w Peru bardzo pokaźny. Gdybyśmy za normę wykształcenia narodu brali ten właśnie stosunek, to Peru stanęłoby wyżej od wielu krajów Europy. Na nieszczęście, poziom wykształcenia inteligencji stoi bez porównania niżej, niż w pierwszym lepszym kraju starego ładu, czego najlepszym dowodem jest zupełny brak w Peru uczonych pierwszorzędnej wartości i potrzeba ciągła sprowadzania uczonych europejskich dla obsadzenia katedr w wyższych zakładach naukowych.

Lima też nigdy nie zostanie ważnym środowiskiem cywilizacji, chyba że Peru z czasem zamieni się na jeden ze stanów północnej Ameryki, w przeciwnym razie sam charakter lekkomyślny mieszkańców zawsze będzie stał temu na przeszkodzie. Naród, w którym pierwszy lepszy warchoł jest w stanie znaleźć licznych adeptów i obalić rząd istniejący, gdzie prawo istnieje po to tylko, aby je ciągle gwałcono, nigdy nie dojdzie do takiego stopnia rozwoju, jak jego sąsiedzi z drugiej półkuli.

Ciągle rewolucje, tak charakterystyczne dla potomków hiszpańskich w Ameryce południowej i środkowej, wstrzymywać muszą postęp narodu w sposób fatalny. A są one tak częste, że raczej stan pokoju za anormalny dla tych krajów uważać należy. Bawiłem w Limie w 5-ciu różnych okazjach, a za tych pięciu pobytów trafiłem trzy razy na rewolucję. Historia Peru siódmego dziesiątka lat zbyt dobrze maluje stosunki miejscowe i charakter Peruwjan, aby jej tu choć w krótkości nie opowiedzieć.

Po szczęśliwym odparciu Hiszpanów w 1866 r. i po ukończeniu prezydentury generała Prado, najwyższy urząd w kraju zajął pułkownik Balta, człowiek, jak się zdaje, prawy i ożywozny najlepszymi chęciami, lecz nie celujący inteligencją. Rządy swoje zaznaczył głównie różnemi ulepszeniami, jakie w stolicy zaprowadził, i sławnym kontraktem guanowym, który bodaj był główną przyczyną ruiny finansowej Peru. W każdym razie pamięć Balty w Peru jest szanowaną, gdyż za jego czasów wpłynęło do kraju 300 milionów dolarów (600 milionów rubli), jakie europejscy bankierzy za guano wyasygnowali. Nikt nie pyta o to, czy również było zalać odrazu kraj złotem, które przez samą obfitość straciło na wartości i rozwinęło niepomierny zbytek. Były pieniądze za Balta, wniosek więc z tego prosty, że Balta był najlepszym z prezydentów. Ministrem wojny był podówczas pułkownik Tomasz Gutierrez, człowiek ambitny, a posiadający trzech braci, z których dwóch jeszcze od niego ambitniejszych. Jeden z nich mianowicie, imieniem Sylwester, odznaczał się niepohamowaną żądzą władzy i niskimi instynktami. On to głównie podmówił brata, ministra, do zrobienia zamachu stanu, co też im się w zupełności udało. Pułkownika Baltę zamknięto w więzie-

niu, a ex-ministra ogłoszono dyktatorem, gdy w istocie rzeczy krajem rządzić zaczął z niezwykle despotyzmem.

Sylwester Gutierrez, dyktator i jego dwaj bracia przedsięwzięli różne represyjne środki, aby zapobiedz kontrrewolucji, nie byli jednak w stanie powstrzymać ruchu, który już w samym początku dyktatury wzburzył ludność limańską. Zaledwie pięć dni trwała ta dyktatura. Dnia 27 lipca Sylwester Gutierrez, najstraszniejszy z trzech braci, będący duszą spisku, udawał się do Callao, kiedy na stacji kolei żelaznej otoczony został przez tłum ludu. Padło kilka strzałów, z nich jeden śmiertelny. Wiadomość o śmierci Sylwestra rozeszła się szybko po Limie. Balta siedział podówczas w więzieniu San Francisco. Na wieść o śmierci swego brata, Marcelian Gutierrez, dowodzący jednym z batalionów, wpadł na czele kilkunastu ludzi do celi więziennej i tam, jak twierdzą, własnoręcznie zamordował bezbronnego Baltę.

Ten czyn szalonego barbarzyństwa rozdrażnił lud jeszcze bardziej. Też jeszcze nocy zamordowano dyktatora, który się skrył w jednej z aptek miejskich, w drewnianej skrzyni. Pozostały Marcelian uciekł na czele kilkunastu ludzi do Callao, gdzie zajął arsenał i rozpoczął ogień armatni na miasto; lecz w tejsze chwili padł, rażony kulą jednego z obrońców konstytucji. Czwartego z Gutierrezów oszczędzono, gdyż się trzymał zdala od braci, nie biorąc udziału w spisku na Baltę. Trupy trzech braci Gutierrezów, pomimo protestu ze strony duchowieństwa, zawieszono w koszulach tylko na trzech wieżach katedry, gdzie przez trzy dni wystawione były na widok publiczny. Potem zdjęto je i spalono publicznie na głównym placu Limy.

Po dokonaniu tego aktu dzikiej zajadłości, należało pomyśleć o nowym prezydencie. Kandydatem był zdolny adwokat limański, Manuel Pardo, bawiący właśnie na południu Peru, gdzie się przed krwiożerczą Gutierrezów schronić musiał, aby go los podobny, jak Baltę, nie spotkał. Przyjaciele jego wysłali natychmiast specjalny parowiec, który go do Limy przywiózł, gdzie też wybrany został na prezydenta. Pardo był pierwszym cywilnym prezydentem peruwjańskim; przed nim tylko wojskowi dostępowali tego zaszczytu. Stąd też całe jego stronnictwo, bardzo liczne, po dziś dzień nazywają partją cywilistów. Rządy swoje zaznaczył Pardo ogólną dążnością do podniesienia dobrobytu i ogólnego poziomu oświaty w kraju. Budował dalej koleje, rozpoczęte przez Baltę, upiększał Limę, inaugurował w niej wystawę przemysłową w 1874 r., starał się kraj oczyścić z bandytów. Jednocześnie wysyłał komisje naukowe na daleki wschód, dla zbadania dzikich a tyle obiecujących krain porzeczna Amazonki, Ucayali, Tambo i Perene. On to wystarał się u parlamentu o fundusz na drukowanie cennych dzieł Antoniego Raimondi'ego i na założenie muzeum jego imienia. Słowem, Pardo usilnie zabiegał o to, aby kraj swój doprowadzić o ile możności do poziomu krajów europejskich. Na nieszczęście swoje, przyszedł zbyt późno, aby móżdż w czas powstrzymać ruinę finansową, którą już przeczuć można było. Mi-

liony, nabyte przez Baltę za guano, rozleciały się na kosztowne linje kolei żelaznych, nieprzynoszące żadnego dochodu, na zbytek, jaki się rozwinął w kraju, na utrzymanie licznej czeredy nieponiów, żyjących z rządu, a nic nieprodukujących. Gdy Pardo nastał, już się zaczynało pokazywać dno worka, a gdy w roku 1876 ustąpił miejsca dawnemu dyktatorowi z 66 roku, generałowi Prado, skarb się już wyczerpał prawie zupełnie. Lud, patrzący zawsze płytko na rzeczy, a przytem chętnie słuchający ludzi zawistnych, zwałił winę na Parde.

Pozory rzeczywistości za tem przemawiały: za Baltę były pieniądze, za Pardy rozpoczęła się ruina finansowa, więc Pardo był temu winien. Skorzystali z tego liczni nieprzyjaciele Pardy, należący do stronnictwa wojskowego, do którego przyrykała także i partja klerykalna, oburzona silnie na prezydenta, że frank-masozizm otwarcie protegował. Na czele nieprzyjaznego Pardo stronnictwa stał Nicolas de Pierola, człowiek ruchliwy i niepomiernie ambitny. Pobity przez prezydenta pod Arequipą, głównem ogniskiem rewolucji klerykalnej, usunął się do Europy, a potem do Chili, skąd mógł on obserwować bieg wypadków i stawić się w razie potrzeby na zawołanie swych stronników.

Tymczasem Pardo, zdawszy rządu generałowi Prado, późniejszemu zdrajcy ojczyzny w czasie wojny z Chili, zamieszkał w Limie, usuwając się, przynajmniej pozornie, od życia politycznego. W gruncie jednak rzeczy oddziaływał nań silnie przez pośrednictwo swej partji, która stanowiła większość, zarówno w senacie, jak w Izbie deputowanych. Przeciwnikom było to bardzo nie na rękę, gdyż czuli, że póki Pardo żyje, będzie miał zawsze silny wpływ na bieg spraw krajowych, przewyższając wszystkich sobie współczesnych mężów stanu energją i zdolnościami. Agitowano więc silnie przeciwko niemu, podburzając poprostu lud do zamordowania ex-prezydenta. Jeden z podobnych ruchów przytrafił się podczas mojej bytności w Limie, w sierpniu 1876 roku. Pierwszej niedzieli zwołano wiec militarystów na głównym placu; schody katedry obrano za trybunę dla mówców—i stała się rzecz niebywała, że u wrót świątyni Tego, Który nauczał miłości bliźniego, słychać było nawoływanie do rewolucji socjalnej, do wyrznięcia bogatych. Pewien robotnik, murzyn, wzywał lud do rozpoczęcia scen z roku 1793. Wszyscy mówcy, jacy dnia tego głos zabierali, wskazywali na Parde, jako na głównego sprawcę ruiny finansowej, nic więc dziwnego, że motłoch, podbechtany podobnemi mowami, a skłonny zawsze do krwawych widowisk, rzucił się z okrzykami „Muera Pardo!“ na dom ex-prezydenta, znajdujący się w niewielkiej odległości. Na szczęście, zastano silną kratę żelazną zamkniętą, a zanim ją zdołano wyłamać, przybył z wojskiem ówczesny prezydent Prado i rewolucjonistów rozpedził. Rozruch skończył się na kilku zabitych i ranionych oraz na dymisji ministerjum. Owego murzyna wsadzono do aresztu, lecz go następnie wypuszczono.

Widząc Pardo, że obecność jego rozdrażnia motłoch, usunął się do Chili, skąd bezwątpienia przez swych stronników nie prze-

stawał oddziaływać na ruch polityczny w Peru. I byłyby z pewnością rzeczy poszły inną koleją, gdyby nie sami przyjaciele jego, którzy, chcąc mu dobrze zrobić, popchnęli go w przepaść. W roku 1878 senat wybiera na swego prezydenta Pardo, właśnie wtedy, kiedy rozdrażnienie przeciwko niemu przybrało największe rozmiary, dzięki bowiem ciągłej agitacji stronnictwa wojskowego, ogół był przekonany, że on właśnie zrujnował kraj, dając zbyt wielkie przywileje licznym bankom, jakie się w Limie namnożyły. Wiedział też Pardo, co go czeka za przybyciem do stolicy, gdyż nie obcą mu była wiadomość o spisku, jaki się na niego szykował. Z właściwą jednak sobie odwagą stanął na wezwanie swych przyjaciół, aby zająć godność prezydenta senatu. Liczne anonimy, jakie go o spisku zawiadamiały, odbierał z obojętnością i wogóle zachowywał się tak, jakby nie groziło mu straszne niebezpieczeństwo: wszędzie chodził sam, często nawet pieszo odbywał przechadzki po ulicach.

Katastrofa nie dała długo czekać na siebie

Wchodząc pewnego dnia do senatu, został ugodzony skrytobójczą kulą. Nędziuchy, którzy na jego życie czyhali, podkupili podoficera gwardji, aby doń strzelił, gdy się pojawi, dodając do zbrodni zabójstwa jeszcze może większą zbrodnię zgwałcenia przybytku prawa i ludowych prerogatyw. Ten, na którego włożono obowiązek czuwania nad nietykalnością przedstawicieli narodu, sam podniósł bratobójczą broń, aby śmierć zadać najoświęciejszemu z pomiędzy nich. Montoya, ów podoficer-zbrodniarz, był niewątpliwie ślepem narzędziem tylko, jak to dostatecznie wykazało późniejsze śledztwo. Tem większa odpowiedzialność spada na inicjatorów haniebnego czynu, którzy mordując u drzwi senatu jego prezesa, targnęli się na świętość i powagę prawa, jakie on reprezentował.

Wkrótce po zamordowaniu Pardy rozpoczęła się wojna w Chili. Po stracie najlepszego peruwjańskiego pancernika „Huascara”, prezydent Prado, pod pretekstem zakupu nowych przyborów wojennych, uciekł do Europy, zabierając ze sobą pieniądze, złożone drogą ofiar na kupno wielkiego pancernika. Pierola próbował znów szczęścia, ogłaszając swoją dyktaturę, a gdy nieprzyjaciel blokował Callao, na ulicach Limy bił się lud z wojskiem, Pierola z La-Cotera, dyktator i uzurpator z obrońcą konstytucji. Poświęcono ambicji 800 ofiar, których krew zlała ulice Limy. Nieprzyjaciel kazał odprawiać modły dziękczynne i bić w dzwony, jak gdyby walną bitwę wygrał. I miał słuszość: nie tracąc ani jednego żołnierza, widział 800 nieprzyjaciół, poległych na polu bitwy.

A cóż się stało z Montoyą? — spytasz czytelniku. Proces jego ciągnął się długo, aż póki Pierola nie został dyktatorem. Wówczas poświęcono go także, aby nie wydał swych współników, zbyt wysoko może postawionych. Rozstrzelano go i poniósł tajemnicę spisku do grobu. A pomimo to sylwetki spiskowców dość były wyraźnie zarysowane w opinji publicznej.



W tym więc krótkim, bo zaledwie 6-letnim okresie czasu (od 1872 do 1878 r.) były w Peru następujące rewolucje: 1) zamach stanu 22 lipca 1872 r. i wynikła wskutek tego kontrrewolucja; 2) rewolucja Pieroli przeciw Pardzie, skończona porażką pierwszego w Arequipie; 3) rewolucja przeciwko Pardzie za czasów prezydentury Prady, 20 sierpnia 1876 r.; 4) rewolucja Pieroli w 1877 r., zaznaczona porwaniem z Callao najlepszego pancernika peruwjańskiego „Huascara”; 5) zamordowanie Pardy tegoż roku i wreszcie 6) rewolucja Pieroli po ucieczce generała Prady do Europy w 1878 roku. Sześć rewolucji w ciągu 6-iu lat! nie mówiąc o różnych rozruchach miejscowych, jakie się tak często zdarzają na prowincji, nawet po małych miasteczkach. Czy może zakwitnąć kraj w którym samowola i bezład są na porządku dziennym?

Ludność limańska przedstawia oryginalną mozaikę najrozmaitszych typów i ras, jakie się od czasu najścia Hiszpanów pomieszały ze sobą. Przeważa niewątpliwie typ indyjski, jako miejscowego pochodzenia. Obok niego rasa biała — potomkowie Hiszpanów — zajęła wybitne stanowisko; dalej zaś murzyński pierwiastek, wprowadzony skutkiem braku rąk roboczych, a ostatnimi czasy Chińczycy, dla tych samych powodów immigrujący do kraju, przyczynili się niemało do przemieszania typu i wytwarzania tej osobliwej mozaiki międzynarodowej.

Niższe warstwy społeczne w Limie sformowały się przeważnie z zawojowanych Indjan oraz z Murzynów niewolników, którym wojna o niepodległość swobodę przywróciła.

Arystokracja powstała z rodzin hiszpańskich, które emigrowały z metropolji w charakterze urzędników rządowych, lub prostych awanturników, szukających fortuny na drugiej półkuli świata. Chińczycy wreszcie stanowią jeszcze po dziś dzień odrębną klasę, która jednak powoli zlewać się zaczyna z niższymi warstwami społecznymi, w miarę jak chińscy kulisi, wysłużywszy czas swego niewolnictwa (8-letni), osiedlają się w Peru, przyjmują chrześcijaństwo i żenią się z Peruwjankami.

Arystokracja limańska nie zdołała utrzymać w czystości swej rasy, co głównie przypisać należy stosunkowo nieznacznej liczbie rodzin hiszpańskich, kolonizujących Peru, i republikańskiemu ustrojowi państwa. Gdybyśmy dziś pilnie zbadali genealogję arystokratycznych rodzin w Limie, śmiało można przypuszczać, że się nie znajdzie ani jedna, w którejby czystość krwi przechowana była bez skazy. Szczególniej krew murzyńska, więcej może niż indyjska, rozlała się po żyłach hiszpańskich zdobywców, znacząc swą obecność zlekka kędzierzawymi włosami, lub szerokim nosem i grubymi wargami. Typ jednak wyższych warstw społecznych jest bardzo piękny. Szczególniej kobiety słyną ze swych wdzięków. Posiadają cerę nadzwyczaj delikatną, niemal przezroczystą, piękne rysy andaluzyjskie, czarne, bujne włosy i nadzwyczaj małe ręce i nogi. Ruchy mają zręczne i dynstygowane, głowę noszą z prawdziwą dumą kastylską. „Mantę” — czarny szal, bardzo bogato haftowany u zamożniejszych dam, zarzucają z gracją

na głowę, pozwalając widzieć z pod czarnych koronek parę błyszczących, pięknych oczu i pyszny profil hiszpański.

W dzień powszedni nie pokazują się Limanki inaczej, jak w swych mantach, które prawie całe ciało okrywają z wyjątkiem dołu sukni. Zwyczaj też chce, że żadna kobieta, nawet europejska z wyższych sfer, nie może iść do kościoła inaczej, jak w mancie. Strój europejski, to jest modny kapelusz i suknia kolorowa, dozwolony jest tylko w święta po południu, gdy na spacer wychodzą, lub wieczorem na przedstawienia teatralne. Zresztą manta jest strojem bardzo skromnym, poważnym, a jednak podnoszącym wrodzone wdzięki Limanek.

Bywając dość rzadko w domach limańskich nie mogłem poznać bliżej ani charakteru kobiet limańskiej arystokracji, ani rodzaju ich zajęć. Przekonać się jednak mogłem, że są bardzo pobożne, rozmowne, śmiałe i zalotne; ta ostatnia wada czy zaleta jest zresztą właściwością wszystkich kobiet całego świata. Limanki chętny biorą udział w rewolucjach, nie występując jednak czynnie, lecz zachowują sobie rolę zakulisową. Zresztą posiadają wszystkie wady i zalety wszystkich kobiet. W mężczyźnie prędzej jeszcze dostrzedz można wybitne cechy narodowe; kobiety są do siebie podobne na całym świecie.

Poza klasą wyższą, którą składają bogaci kapitaliści, kupcy urzędnicy, adwokaci, medycy i t. p., idzie klasa rzemieślnicza, rekrutowana przeważnie pomiędzy kolorową ludnością Limy. Najczęściej spotykanym typem w tej kategorii Limańczyków jest t. zw. „Cholo” — produkt zmieszania się rasy indyjskiej z białą. Stopień przemieszania może być najrozmaitszy, raz spotykamy przewagę krwi białej, to znów indyjskiej. Taki „Cholo” jest to sobie niski, krępy zuch, szeroki w plecach, z szeroką, ciemną twarzą, nieco skośnymi oczami, orlim nosem i czarnymi, prostymi włosami, twardymi jak druty. Ten rodzaj typu spotykamy nawet często między inteligencją; znałem jednego z najwybitniejszych profesorów szkoły medycznej, w którym pierwiastek indyjski utrzymał się prawie w zupełnej czystości. Wielu medyków i adwokatów, mnóstwo oficerów armji należy do kategorii „Cholos”, ciesząc się większem poważaniem w Limie, aniżeli w arystokratycznej stolicy Ekwadoru.

„Zambo” jest drugim typem pospolitym na Pomorzu peruwiańskim, a zatem i w Limie. Pod tą nazwą obejmują mieszańców krwi murzyńskiej z białą lub indyjską. Zambo najłatwiej zdradza swe czarne pochodzenie kędzierzawymi, sztywnymi włosami. Temu charakterowi zwykle towarzyszą grube wargi, mniej lub więcej ciemna cera i szeroki nos o rozdętych nozdrzach.

Wszelką mieszaninę wybitnych ras ludzkich pociąga za sobą ciekawe objawy atawizmu (powrotu do pierwotnego typu), który się przejawia w najrozmaitszy sposób. Często dzieci są zupełnie innego typu, niż rodzice, lub znów dzieci jednych i tych samych rodziców są zupełnie do siebie niepodobne. Wogóle rasa indyjska jest mniej oporną, to jest łatwiej się zaciera, aniżeli murzyń-

ska. „Cholo“ kwarteron już prawie nie zdradza swego indyjskiego pochodzenia, gdy „Zambo“ kwarteron bardzo jeszcze wybitne cechy murzyńskie nosi na sobie. Pod względem zalet moralnych, a głównie szlachetnych rysów charakteru, „Cholo“ stoi wyżej od „Zamba”.

Europa, Ameryka i Afryka dostarczyły materiału na ludność limańską; potrzeba jeszcze było Azji, aby także do współludziału dopuszczoną została. Konieczność sprowadzania z Chin robotnika brak ten wypełniła. Nie mam danych, jak dawno rozpoczęła się imigracja chińska, obliczam jednak że w końcu szóstego dziesiątka lat zeszłego stulecia. Każdy kulis stawał się niewolnikiem na lat ośm, poczem zyskiwał wolność i albo wracał do swej ojczyzny, albo osiedlał się w Peru. Zdaje się, że większość należała do tej ostatniej kategorii, gdyż Chińczycy, zajmujący się dziś handlem lub rzemiosłem w Peru, są bardzo liczni, a sama Lima musi ich kilkadziesiąt tysięcy liczyć. Prawie wszyscy Chińczycy, osiedlający się w Peru, przechodzą na katolicyzm, a wielu z nich zawiera związki małżeńskie z miejscowymi kobietami, które chętnie wychodzą za Chińczyków, znajdując w nich mężów dbałych i pracowitych, co się nie zawsze zdarza z miejscowymi kandydatami do stanu małżeńskiego.

Miejscowi patrzą na Chińczyków niechętnie, nazywając ich z przekąsem „macacos” (małpami). A jednak Chińczycy bardzo szybko postępują naprzód na drodze wzbogacania się. Oszczędni, pracowici, zręczni do wszystkich robót ręcznych zagarniają powoli handel nietylko w stolicy, lecz w całym kraju. Sklepy i trafikarnie chińskie można spotkać prawie we wszystkich miastach i miasteczkach peruwiańskich, a nawet w odległych osadach nad Amazonką i Huallagą znajdują się już Chińczycy.

Odegrają oni z czasem w Peru tę samą rolę klasy wzgardzonej, a jednak potężnej, co u nas żydzi.

Chińczycy w Limie są bardzo liczni, posiadają nawet swoją dzielnicę w mieście. Cała okolica rynku (Plaza del mercado) zamieszkała jest przez Chińczyków, gdzie ciekawy przechodzień może obserwować tych ludzi szczupłych, blado-żółtej cery, ze skąpym zarostem i długim warkoczem, owiniętym w koło głowy.

Ich dziwne sklepy, przypominają kramy rosyjskich kupców. Zajmują one całą południową część rynku, a nadto i na okolicznych ulicach są gęsto rozsypane. Można tam dostać wszystkiego, co tylko państwo Niebieskie produkuje, zacząwszy od kaczek i jaj konserwowanych w oliwie, a skończywszy na drogich wyrobach jedwabnych i z kości słoniowej.

Uderzającą jest rzeczą, jak często Chińczycy dotknięci bywają ślepotą. Mnóstwo żebraków chińskich, pozbawionych wzroku, włóczy się po ulicach, zastępując wzrok długim kijem, którym przed sobą, niby czułkiem, teren badają. Umieją się doskonale orjentować po mieście i zawsze chodzą sami. Suchoty i syfilis są chorobami dość pospolitemi między Chińczykami. Za to żółta febra nie bardzo ich się czepia.

Chińczycy w Peru bardzo się chętnie oddają sztuce kulinarnej, pomimo, że w niej wielkich zdolności nie okazują. Mnóstwo kucharzy w mieście i na prowincji jest Chińczyków, a prawie wszystkie traktjernie (fondas) są utrzymywane przez synów Niebieskiego państwa. Każdy port, każde większe miasto w Peru posiadać musi przynajmniej jedną taką „Fonda China“, gdzie można dostać jeść dość tanio, lecz z pewnem ryzykiem, że się spożyje kotlet koński, lub potrawkę z kota. Właściwością prawie wszystkich chińskich garkuchni są dwie klasy, mieszczące się nieraz w jednym i tym samym pokoju. Różnica jest ta, że za tę samą potrawę w pierwszej klasie trzeba zapłacić reala, a w drugiej — medio (pół reala). W pierwszej za to klasie stół jest przyzwoiciej nakryty i zastawiony, a porcje są nieco większe. A prawda, jeszcze jedna różnica: kawę w drugiej klasie podaje się z kociołką, a w pierwszej przyrządza się na maszynce. Nie potrzebuję dodawać, że kuchnia w takich traktjerniach chińskich jest kombinacją kuchni europejskiej, peruwiańskiej i chińskiej, a najważniejszą potrawą jest ryż syпки.

Konkurencję chińskim traktjerniom robią tak zwane „chinganas“, zakłady gastronomiczne narodowe, utrzymywane przez kobiety z ludu. Chingana mieści się zwykle w małym, ciasnym sklepiku, gdzie we drzwiach stoi niewielki ruszt, na którym „zamba“ jaka, lub „chola“ przyrządza miejscowe przysmaki: „chupe“ narodową zupę z kartofli z serem i papryką, „chicharron“, (skwarki wieprzowe), kielbasy, lub „seco de chivo (koźlina smażona) z ryżem. Jeden stół, nakryty brudnym obrusem i zastawiony kilku talerzami, mieści się w głębi sklepiku, gdzie kolorowa ludność zaspakaja szybko swój głód. Dodam, że niekiedy w podobnych garkuchniach można zjeść wcale smacznie.

Oprócz tych podrzędnych traktjerni, znajduje się spora liczba restauracji, utrzymywanych prawie wyłącznie przez Włochów lub Francuzów. Większość z nich mieści się przy pierwszorzędnym hotelach, jak „Hotel Americano“, „Hotel de Francia e Inglaterra“, „El Cardenal“, „Hotel Maury“ i innych.

Europejczycy odgrywają w Limie pierwszorzędną rolę. Prawie cały handel znajduje się w ich ręku; największe domy bankierskie do Europejczyków także należą. Różne gałęzie handlu są reprezentowane przez rozmaite narodowości. I tak Włosi trzymają przeważnie episerje hurtowne i detaliczne; Niemcy sklepy norymberskie, a Francuzi — magazyny mód, oraz sklepy jubilerskie i krawieckie, Anglicy znów trudnią się przeważnie handlem płóciem, perkalików i t. d.

Najliczniejszą kolonią europejską jest niewątpliwie włoska. „Las pulperias“, mieszczą się na każdym rogu ulic zarówno w Limie, jak i w Callao, a także we wszystkich miastach portowych. Nadto wielu Włochów utrzymuje dorożki i wozy ciężarowe, a z rzemiosł poświęcają się głównie kamieniarstwu i malarstwu pokojowemu.

Oprócz powyżej wymienionych narodowości, wszystkie kraje

europęjskie mają w Limie mniej lub więcej licznych reprezentantów. Spotkamy tu Dalmatów, Kroatów, Portugalczyków, Szwedów itd. Najbardziej jednak wpływowe stanowisko zajmują Anglicy, którzy swoim despotycznym charakterem imponują zawsze i wszędzie. Przyczynia się też do tego ich wyjątkowe położenie, jakie zajęli od kilkunastu lat, biorąc w monopol żeglugę parową na oceanie Spokojnym w części, przylegającej do wybrzeża Ameryki południowej. W każdym razie we wszystkich sprawach międzynarodowych, a często nawet w polityce wewnętrznej sytuacja, jaką zajmuje przedstawiciel Anglii, jest decydująca; wszyscy oglądają się na niego. Prawda też, że Peru zadłużyło się Anglii po uszy, synowie zatem Albionu korzystają z wygodnego położenia wierzyciela względem dłużnika i wpływ swój czuć nieraz dają bardzo wyraźnie. Kiedy Pierola w 1877 roku uprowadził z Callao pancernik „Huascar“, rząd uprosił angielskiego admirała stojącego podówczas w porcie z dwoma statkami angielskimi i ten, nie bacząc na czyste domowy charakter całej sprawy, puścił się w poгон za zbiegiem i silnym ogniem armatnim zmusił go do poddania się. Ani Francuz, ani Niemiec nigdy nie działałoby tak samodzielnie i tylko Anglik zdolny jest do podobnego nieupoważnionego kroku. To też wszyscy ich się boją i szanują.

Rzućmy teraz okiem na zewnętrzne życie Limy, na tę pulsającą wielkiego miasta, jaka uderza wędrowca świeżo przybyłego. Każde większe miasto ma swój właściwy charakter, jaki mu nadają nie tylko jego budowle, lecz cały ten ruch uliczny, w którym się życie jego uwidocznia.

Lima budzi się ze snu wraz ze świtem. Osiełki lub muły obciążowane jarzynami, mięsem, ogrodowiznami, ciągną klusem ku głównemu rynkowi. Mleczarki, siedząc po męsku na koniu zajeżdżają do domów, krzycząc swym piskliwym głosem: „Lechera“ (mleczarka) i sprzedają mleko, czerpiąc je w wielkich blaszankach, zawieszonych po obu stronach siodła. W ślad za nimi pojawiają się i piekarze na mułach: dwie wielkie sakwy skórzane, napełnione chlebem i bulkami, zwieszają się po obu bokach muła; za nimi, oklep, na samym kuprze wierzchowca siedzi z rozkraczonemi szeroko nogami rozwożący chleb, dając znać o sobie silnemi uderzeniami batoga o nadętą skórę sakw. „Las tamaleras“ na małych osiełkach rozwożą ciepłe jeszcze „tamales“ — rodzaj pierożków z kukurydzowej mąki. Te znów mają inny sposób oznajmiania swego przybycia, zawodząc nieco, gdy wykrzykują: „tamalera“. Dalej pojawiają się wędrowni cukiernicy, roznoszący rozmaite słodczyce, które trzymają na głowach w szufladach przenośnych. Lody lub napoje chłodzące są również roznoszone przez specjalnych przekupniów. Wielkie dwukołowe wozy zaprzężone w dwa lub w trzy muły, zwykłe z poranionymi strasznie bokami i krzyżami, przewożą towary; pojawiają się już tu i ówdzie dorożki — rodzaj wygodnych landar, powożonych przez jakiego czarnego furmana w lekkim słomianym kapelusiku i tużurku lub kurcie, gdyż limańscy dorożkarze liberji nie mają. Czasami przemknie jeździec na

koniu stępaku: pewnie albo doktor śpieszący do chorego, albo t. zw. „cobrador“, czyli inkasent, wysyłany przez właściciela licznych „pulperias“, dla sprawdzenia dziennych rachunków i pobrania dochodu. Gdy taki jeździec stanie przed jakim domem, zostawia konia samopas na ulicy. Spokojne zwierzęta stoją luzem na ulicy nie ruszając się z miejsca; czasami tylko, gdy im słońce dokuca, przejdą na drugą stronę i stają w cieniu.

Po rogach ulic, w bliskości pulperji zgromadzają się tragarze, zwykle silni, wysokiego wzrostu murzyni, w fartuchach i z ręcznikami na ramionach. Ci nabierają animuszu przed całodzienną pracą, pokrzepiając się kieliszkiem czystego 30-stopniowego rumu, poczem oczekują cierpliwie, póki ich kto nie zawoła, a czas starają się skrócić rozmową o polityce. Zdania ich w tej materji są wypowiedane tonem decydującym. „Łotr Pardo musi umrzeć, bo okradł naród i wpędził go w taką biedę“, lub: „trzeba rozpędzić całą tę czeredę złodziei, jaka w izbie deputowanych zasiada; wszystko to są lalki tego łotra Pardy; lud musi się postarać o lepszych reprezentantów“. Podobne zdania są wygłaszane publicznie, na głos, często w obecności przedstawiciela władzy, policjanta np., który obok stoi w swym uniformie na wzór angielskiego: czarny hełm, ciemno granatowy mundur i pantalon. Taki przedstawiciel władzy nosi w czasie pokoju małą pałeczkę i rewolwer; podczas rozruchów ulicznych dostaje krótki sztucerek, nabity ostrymi ładunkami.

Już w rannych godzinach ruch w Limie jest znaczny: oprócz przekupniów wszelkiego rodzaju, rzemieślników ciągnących do swych zajęć, urzędników śpieszących do biura, widzimy wszędzie czarne, zręczne postacie dam limańskich, dążących do kościoła na mszę poranną, gdyż każda rodowita Limanka musi codziennie ten obowiązek chrześcijański spełnić. Też same damy, zadosyć czyniwszy swym religijnym popędem, udają się po sprawunki do sklepów, gdzie spędzają obyczajem kobiet wszystkich krajów całe godziny. Często przewróciwszy sklep do góry nogami, wychodzą bez żadnego kupna, aby rozpocząć to samo w innym sklepie. Zupełnie jak u nas! Popołudniowe godziny zwykle spędzają w domu, wyglądając na ulicę z balkonów lub okien parterowych. Wówczas wielbiciel plci pięknej, przechodząc ulicami, znajduje się jakby na wystawie pięknych kobiet: co krok spotyka piękne twarzyczki, ozdabiające lepiej od naszych kwiatów okna i balkony domów.

Dnie powszednie mało są poświęcane na spacer. Dopiero w niedzielę popołudniu cała śmietanka limańskiego towarzystwa postrojona na sposób europejski, udaje się albo do Ogrodu wystawy, albo do Alameda de los Descalzos, jeżeli nb. niema dnia tego walki byków. Wówczas przez ulice, prowadzące do wystawy, przejeżdżają eleganckie pojazdy, a mniej zamożna ludność ciągnie piechotą na spacer. Bogata młodzież rozwija swe hipiczne talenta (a jeżdżą konno doskonale) na pysznych rumakach santeńskich z grubym karkiem i bujną grzywą i ogonem. Nieje-

den z tych wierzchowców kosztował właściciela 2,000 soles (4,000 rubli).

Lima posiada kilka świąt do roku, które, oprócz solennych nabożeństw, obchodzone bywają kilkudniowymi zabawami. Do najwybitniejszych należą: święta niepodległości (28 lipca), obchodzone ośmiodniowymi festynami i zabawami w Ogrodzie wystawy, gdzie rozgrywają się różne igrzyska i sztuki; dalej święto Dos de Mayo (2 maja) obchodzone również dwudniowymi zabawami, i nareszcie święta karnawału czyli ostatki, na których nie zdarzyło mi się ani razu być obecnym. Ze świąt kościelnych największą pompą odznacza się dzień św. Róży, jako Limanki rodem i patronki całego Peru.

W dniu 30 sierpnia, w którym to święto wypada, arcybiskup Limy celebrował sumę w katedrze, gdy cały plac główny obstawiony jest czterema bataljonami wojska. Poczem w uroczystej procesji obnoszą wkoło placu relikwie Świętej, gdy cztery orkiestry wojskowe wykonywują utwory poważne. Szkoda tylko, że każda z nich gra co innego, powodując trudny do opisania hałas, powiększany jeszcze licznymi rakietami, jakimi Peruwjanie starają się podnieść solenność nabożeństwa. Rakiety puszczane w dzień są okrasą każdego święta peruwjańskiego.

Wszystkim większym świętom limańskim, czy to kościelnym, czy też cywilnym, towarzyszy t. zw. „noche buena“ (dosłownie „noc dobra“). Jest to najulubieńszy rodzaj spacerów dla mieszkańców Limy. Na głównym placu—Plaza de Armas — w kolo wodotrysku rozstawione są krzesła, do których prawa nabywa się za opłatą 2 reali. Cały plac wkoło zastawiony jest stolikami, na których przepięknie sprzedają zakąski, napoje chłodzące lub wreszcie zabawki dziecięce. O 8 ej wieczorem plac cały zostaje rześcicie oświetlony, nadciąga kilka orkiestr wojskowych, które kolejno wykonywują różne utwory miejscowego lub europejskiego pochodzenia, tańce narodowe, walce Straussa lub wyjątki z oper. Publiczność tłumnie zalega plac.

Damy, odświętnie ubrane, lecz obyczajem limańskim bez kapeuszy, spacerują wkoło placu. Wszyscy słuchają muzyki, tłoczą się, depczą sobie po nogach, popychają, przeglądają jeden drugiego. Jest to jedna z tych efemerycznych wystaw płci pięknej, jakie się i u nas po spacerach trafiają, coś w rodzaju ogrodu Saskiego w dzień świąteczny po sumie. Wogóle Lima robi na cudzoziemcu dodatnie wrażenie, a pobyt w tem mieście byłby bardzo przyjemny dzięki łagodnemu klimatowi i gościnnemu charakterowi mieszkańców, gdyby nie dwie plagi, jakie tak często Limę nawiedzają, a mianowicie: wspomniane wyżej częste rewolucje i trzęsienia ziemi, które przecięciowo około 8-u razy nawiedzają miasto w ciągu roku. Popłoch w mieście staje się wtedy straszny. Gdy tylko posłyszysz się głuche podziemne dudnienie, a następnie mniej lub więcej silne wstrząśnienia, kto tylko żyje, wybiega na ulicę. Jeżeli trzęsienie ziemi trafi się wieczorem lub nocną porą, popłoch jest jeszcze większy: kobiety z rozpaczliwym

krzykiem wybiegają na ulicę w samych koszulach, psy zaczynają szczekać i wyć, czując instynktem niebezpieczeństwo. Każdy stara się dostać na miejsce otwarte, zabezpieczając się tem od przygniecenia walącymi się domostwami, w razie, gdyby katastrofa przybrała większe rozmiary. Obawa ta jest zresztą bardzo usprawiedliwioną kilkakrotnem zniszczeniem, jakiego Lima doznała wskutek silnych trzęsień ziemi, które się przytrafiają mniej więcej w 50-letnich okresach czasu. Często się zdarza, że po pierwszym uderzeniu w kwadrans lub pół godziny nadchodzi drugie, znacznie silniejsze. Wtedy biją dzwony kościelne, aby ostrzedz mieszkańców przed spodziewanem niebezpieczeństwem. Ponure głosy dzwonów podnoszą jeszcze grozę położenia.

Trzęsienie ziemi sprawia na osobie nieprzywykłej dziwne uczucie, będące, jak się zdaje, mieszaniną strachu i ciekawości, wobec tego nadzwyczajnego zjawiska przyrody. Przywykliśmy uważać grunt, jaki mamy pod nogami, za coś tak trwałego, tak niewzruszonego, że pojąć nie możemy, jakim sposobem zaczyna on pod naszymi nogami wahać się, oscylować i bujać. Pomimo całego niebezpieczeństwa i strachu, który niewątpliwie nawet najmocniejszych ludzi w niepokój wprawia, obserwujemy z niezmierną ciekawością skutki tych sił, które do nas gdzieś z głębi ziemi, z tego tajemniczego środka przychodzą. Trzęsienie ziemi posiada dla nas zupełnie ten sam urok nadzwyczajności, co pojawienie się komety na niebie lub zaćmienie słońca, z tą jednak różnicą, że w danym razie zostajemy jeszcze pod wrażeniem niepewności położenia, posiadającym także swój urok, urok obecnego niebezpieczeństwa, które prawdopodobnie szczęśliwie przeminie.

Lima posiada dwie linje kolei żelaznej, które ją łączą z portem Callao; stara linja zwie się „Ferro-carril ingles”, jako należąca do towarzystwa angielskiego, a nowa, otwarta około 1876 r., „Ferro-carril Trasadino”, gdyż jest tylko przedłużeniem linji, prowadzącej w Kordyliery. Kolej żelazna Orojska, jak ją jeszcze nazywają, jest bezwątpienia jednym z najdotykniejszych objawów ludzkiego geniuszu. Zbudowana pod kierunkiem ziomka naszego, ś. p. Ernesta Malinowskiego, miała połączyć Limę z bogatymi kolonjami Chanchamayo, leżącymi na wschodnim stoku Kordyljerów, wskutek jednak braku funduszów musiano przerwać roboty w miejscowości Chilca na wysokości 12,000 stóp nad poziomem morza. Jest to więc najwyższa kolej na całej kuli ziemskiej. Kolosalne były trudności, aby odpowiednim spadkiem wygrać na krótkiej stosunkowo przestrzeni owe 12 tysięcy stóp: musiano się uciekać do ciągłych zwrotów wężykowatych, do tuneli, wreszcie do mostów niepomiernej wysokości, jak np. sławny most „Verrugas”, wznoszący się na żelaznem rusztowaniu, 130 metrów (426 stóp) wysokiem. Nie mówiąc o mostach wiążących, jest to najwyższy most na całym świecie.

Kolej Orojska, łącząc stolicę z bogatym wschodnim stokiem Kordyljerów, miała się przyczynić do zaludnienia europejską immigra-



cją tych bogatych i żyznych obszarów, jakie w systemach rzek Chanchamayo, Paucartambo i Tulumayo leżą.

Koszty budowy po dziś dzień wyniosły już kilkadziesiąt milionów franków, a linja, przerwana w połowie drogi nie przynosi prawie żadnej korzyści dla kraju. W ten sposób zmarnowano ogromne sumy, rozpoczynając budowę nadzwyczaj kosztownych dróg żelaznych, które następnie porzucić musiano zaledwie w połowie ukończonemi. Tak poroniono projekt połączenia znacznego miasta Cajamarca z portem Pacasmayo, przerywając roboty w miejscowości La Vina. Wązko-torowa droga mająca prowadzić z portu Chimbote do miasta Huaraz, również w połowie przerwana została, pochłaniając rządowi 12,000,000 soles (24 mil. rubli), a i linja, rozpoczęta pomiędzy portem Payta i miastem Piura, również porzuconą została dla braku funduszków. Peru chciało iść za przykładem Yankesów, którzy budują koleje w pustyni, aby ją potem zaludnić, nie zwróciło jednak uwagi na bardzo ważną różnicę, jaka między obu krajami zachodzi.

Stany Zjednoczone pracują a ludność ich wzrasta szybko, dzięki ogromnemu napływowi europejskich wychodźców; Peru bawi się w rewolucję, a europejska immigracja nigdy nie przybierze tak wielkich rozmiarów, póki ją będą miały gdzie pomieścić takie kraje jak Stany Zjednoczone lub Rzeczpospolita Argentyńska, oba leżące o połowę bliżej od Europy, a przedstawiające większe bezpieczeństwo i klimat odpowiedniejszy dla emigracji starego lądu.

---

### ROZDZIAŁ III.

Okolice Limy. — Callao. — Chorillos. — Pomorze peruwjańskie (La Costa). — Wyprawa do Chimbote na lwy morskie.

Obszerny trójkąt, jaki tworzy dolina Rimaku, wydostawszy się z ciasnego zamknięcia Kordyljerów, opiera się swym wierzchołkiem o pasmo gór przy niewysokim szczycie ś-go Krzysztofa (Cerro de San Cristobal), wznoszącym się tuż ponad stolicą Peru. Południowy bok trójkąta, utworzony przez zniżające się stopniowo odnogi Kordyljerów, kończy się przy morzu niewielkiem wzgórzem Chorrillos (Morro de Chorrillos), północną zaś stronę zamykają niewysokie wzgórza około portu Ancon. Srodek równiny przecina rzeka, a raczej strumień Rimac, toczący swe nurty po łożysku zawałonem okrągłymi kamieniami, przez rzekę z gór przyniesionymi.

Nierozstrzygniętą jest dotychczas kwestja powstania równiny Rimaku i gdy część geologów przypisuje jej podmorski początek, inni znów, a głównie Raimondi, nie wątpią o jej aluwialnem pochodzeniu. Zdaje się jednak, że prawda jest pośrodku, a mianowicie, że dolina Rimaku zawdzięcza swój początek napływowi rzecznyemu, lecz że następnie wskutek ciągłego wahania się poziomu ładu w Południowej Ameryce zanurzona została pod morzem, przynajmniej w swej dolnej, przymorskiej części, aby z czasem znów się wyostać ponad poziom morza pod wpływem sił wewnętrznych. Tym tylko sposobem objaśnimy sobie z jednej strony materiał niewątpliwie rzeczno-pochodzenia, z jakiego utworzona jest równina, a z drugiej równomierny rozkład na jej powierzchni drobnych kamyków i szczątków garncarskich, jaki tylko pod morzem mógł być uskuteczony. Podobny wypadek zachodzi w wielu dolinach Pomorza peruwjańskiego, że wspomnę tutaj widzianą przezemnie równinę Pacasmayo, gdzie podwójne działanie rzeki i morza jest widoczne.

Część równiny limańskiej, ta mianowicie, gdzie grubsza warstwa naniesionego mułu na to pozwoliła, obróconą została na pola uprawne, dając możność potworzenia bogatych plantacji trzciny cukrowej, bananów, lub najrozmaitszych ogrodowizn. W wielu

jednak miejscach gruby żwir, zalegający powierzchnię, stanął temu na przeszkodzie: tam ziemia pozostała gołą lub usianą rzadkimi karłowatymi krzakami. Pobrzeża rzeki zarasta prawie wyłącznie niewysokie drzewko *pajaro bobo*, tworząc dość rzadkie zarośla, w których swobodnie przechadzać się można.

Góry otaczające Limę są prawie zupełnie z roślinności obnażone; są to szare masy skaliste, piętrzące się majestatycznie tuż poza miastem i wznoszące się kilku grzbieciami coraz to wyższymi, aż póki nie dojdą granicy wiecznych śniegów. Roślinność w porze suchej ograniczać się zdaje do pewnej *Tillandsii*, czółgającej się po zagłębieniach, zeschniętej i na pozór życia pozbawionej. Lecz w miarę, jak zimowe mgły poczynają zalegać przymorski pas Peru, te góry jałowe pokrywają się szybko efemeryczną roślinnością: skłony ich zarasta rzadko trawa, jasno żółto-zielonego koloru; zaczyna kwitnąć charakterystyczna dla tej części kraju roślina, zwana abancaj, o wielkich żółtych kwiatach. Jest to czas „paseos de Abancaes“ — spacerów, jakie Limańczycy na okoliczne góry odbywają.

Wogóle okolice Limy noszą charakter jałowy, pustyniowy. Z wyjątkiem części zajętych pod uprawę, gdzie jasna zieleność trzciny cukrowej, lub bogate linje bananów urozmaicają widok, wędrowiec stoi wobec wielkich jałowych powierzchni, grubym żwirem zasypanych, lub szarych mas skalistych, dzikich i jednostrajnych. Dopiero z pewnej odległości, krajobraz widziany przez niebieskawą warstwę powietrza, staje się dla nas malowniczym, osobliwie, gdy piękna pogoda pozwala nam dostrzegać grzbieciny piętrzących się w dali Andów, których najwyższe szczyty białego śniegu wieczny. Rzadko jednak mamy sposobność napawania się tym wspaniałym widokiem. Zimą gęste mgły zaścielają całą równinę w ciągu długich miesięcy; w lecie znów chmury grupują się u szczytów Kordyljerów, zasłaniając je przed naszym wzrokiem.

Fauna okolic Limy, tak jak i flora dość się ubogo przedstawia. Z ssących zaledwie parę przytoczyć mogę, a mianowicie sarnę zaroślową i małego pomorskiego liska, oprócz kilku zapewne gatunków myszy i nietoperzy, jakie każda niemal okolica Pomorza peruwjańskiego posiada. Ptactwo nieco bogatsze ma przedstawicielstwo. Dwa gatunki ścierwników, zwanych przez krajowców gallinazos, ciągną licznie do padliny tu i owdzie porzuconej, starając się powetować stratę czasu, poświęconego na długi post, na jaki często są narażane. Niekiedy zamieszka się pomiędzy nie król Andów, kondor, lub poblizki mu, lecz znacznie mniejszy kondor pomorski, posiadający głowę i wielki grzebień na nosie, pięknego pomarańczowo-czerwonego koloru. Miejscowi zwą go niekiedy „rey de los gallinazos“ (królem urubów), gdyż według ich twierdzenia wszystkie zgromadzone na ucztę sępy ustępują dobrowolnie na bok, gdy na padlinę taki kondor pomorski się rzuci. Fakt ten jednak według mej własnej obserwacji nie potwier-

dział się, widziałem bowiem razem uczujące: kondora pomorskiego i oba gatunki czarnych ścierwników.

Pola uprawne nawiedzane bywają przez małe papużki, rzucające się z hałasem na żerowisko. Tu też kręci się mucholówka, uganiająca się za owadami, jakie ze swego stanowiska wypatruje i w lot łowi. Mały czarny wróbelk ożywia powietrze krótkim śpiewem, wylatując niewysoko w powietrze i szybko zapadając na dawne miejsce. Tu i owdzie na dziko rosnącym tytoniu uwija się koliberek, o skromnych barwach, zagłębiający swój cienki dzióbek w dzwoneczkowatych różowych kwiatach tej rośliny. Inny znów koliberek, odznaczający się dwoma długimi białymi piórkami w ogonie, kręci się zwykle na żółtych kwiatach mimozy lub guarango.

Nad rzeką nie trudno jest spotkać się z małym siwym ptaszkiem, o czarnej głowie, skrzydłach i ogonie. Jest to mucholówka, trzymająca się zawsze w bliskości rzek lub strumieni, wśród których na kamieniach siada, wypatrując przelatujące owady. Tu także kręci się zawsze amerykański zimorodek, który, siedząc spokojnie na zwieszających się ponad wodą gałęziach, czatuje na małe rybki w strumieniu; niekiedy wzniesie się na kilka metrów ponad wodą, trzepie się w miejscu z głową w dół spuszczoną, potem nagle szybkim ruchem spadnie jak kamień w wodę, zniknie przez jedno mgnienie pod jej powierzchnią i wnet pokaże się, dzierżąc w swym długim dziobie srebrzystą zdobycz, którą w ustronne miejsce zanosi, aby spożyć w spokoju.

Równina limańska jeszcze przed założeniem stolicy była sławną, tu bowiem wznoszą się nad rzeką Lurin, w południowej części płaszczyzny głośnie ruiny świątyni, poświęconej najwyższemu bóstwu starożytnych Peruwjan, zwanemu Pachacamac, gdzie dziś istnieje miasteczko tego nazwiska.

Oprócz Limy na równinie Rimaku rozsianych jest kilka innych miast i miasteczek, jak Callao, Miraflores, Chorrillos, Lurin, Ate i Lurigancho. Pomiędzy niemi Callao zajmuje pierwsze miejsce, jako główny port Peru i największe po Limie miasto rzeczypośpolitej. Jako port Callao nie posiada równego sobie nie tylko w Peru, lecz prawdopodobnie na całym amerykańskim pobrzeżu Oceanu Spokojnego. Obszerna zatoka, doskonale zastłonięta od południowych wiatrów przez wyspę San Lorenzo, mieści wygodnie i bezpiecznie kilkaset okrętów. Przy zupełnym spokoju wody, którą tylko drobna fala porusza, zatoka Callao posiada dno równe i głębokie. Wygodny dok z ciosowego kamienia, zbudowany jeszcze przy końcu XVII-go wieku, ułatwia wielkim nawet statkom bezpośrednie wyładowywanie towarów. Samo miasto jest jakby częścią Limy przeniesioną nad brzeg morza i jedynie dzielnica stara, położona w okolicach kościoła La Matriz, różni się od niej nieco, posiadając ulice wąskie i nieregularne.

Jakkolwiek Callao powstało prawie jednocześnie z Limą, dziśniejsze miasto nie liczy więcej nad 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> wieku, straszne bowiem trzęsienie ziemi z d. 28 października 1746 roku zniszczyło je

zupełnie. Kataklizm ten należy bezwątpienia do najstraszniejszych w dziejach świata. Miasto obrócone w ruiny przez kilka silnych wstrząśnień, zmyte następnie zostało przez morze, które olbrzymim wałem wdarło się daleko w ląd, a następnie cofając się, uniosło ze sobą domy, kościoły, dobytek mieszkańców i ich samych: pozostały tylko gdzieniegdzie szczątki murów, które oparły się niszczącej sile żywiołu. Przeszło 7,000 mieszkańców znalazło śmierć podczas tej strasznej katastrofy, a ocalało zaledwie 100, gdyż nawet te osoby, które ku Limie uciekać się starały, zostały przez morze w drodze pochwycone. Jak straszną była siła żywiołu wnosić można z tego faktu, że prawie cały kościół ś-go Augustyna przeniesiony został na wyspę San Lorenzo, odległą o jakie 10 wiorst od miasta. Wówczas zniszczone także zostały wspaniałe mury, jakie otaczały Callao w celach strategicznych.

Callao sławne jest dzisiaj swym fortem, w którym realista (zwolennik króla) Rodil trzymał się przez 13 miesięcy, zanim zmuszony głodem kapitulował przed wojskami Boliwara. Widocznie jednak to, co było silnem przed 60 laty, dziś słabem się stało, gdyż podczas ostatniej wojny z republiką Chili, Peruwianie oddali fort ten bez obrony, gdy tylko Lima przez wojska chilijskie zajęta została.

Największą plagą Callao jest jego uboga ludność, tak zwana „gente playera“ — lud nadbrzeżny. Cała ta czereda łapserdaków wszystkich barw i narodowości, zajmujących się przewożeniem pasażerów wraz z bagażami ze statków na ląd, wszyscy ci wioślarze, tragarze i nicponie, będący szumowinami wszystkich krajów całego świata, czyhają na przybyszów, nieobeznanych z miejscowymi warunkami, eksploatując ich o ile się tylko dać może. Z jednego mego przyjaciela chciano ściągnąć 40 soles (80 rubli) za przewiezienie jego i kilku skrzyń z okrętu na ląd, co mogło zająć trzech ludzi w ciągu półgodziny, a gdy tenże zaskarżył ich do policji, odgrażano mu się, że go zabiją przy sposobności.

Wspomniałem już wyżej, że dwie linje kolei żelaznej łączą Callao z Limą: angielska i amerykańska. Pociągi odchodziły na każdej z dwu stacji co godzinę, zmieniając się jednak, tak że właściwie co pół godziny można było z jednego miasta do drugiego przejechać. Dziewięć mil angielskich (15 wiorst) jakie dzielą port od stolicy, przebywa się w pół godziny. Wagony, na tych linjach są systemu amerykańskiego bez przedziałów; wzdłuż całego wagonu znajdują się siedzenia po obu stronach środkowego przejścia. Służba kolejowa składa się przeważnie z cudzoziemców, a między nimi i Polak jeden się znalazł, gdyż teraz Polaków znajdziesz na całym świecie.

Inna znów kolej łączy stolicę z niewielkim miastem Chorrillos. sławnem swemi kąpielami morskimi i świeżem, zdrowem powietrzem. Cała arystokracja limańska przenosi się do Chorrillos na porę suchą, kiedy silne upały czynią pobyt w stolicy przykrym. Chorrillos zbudowane na wysokim brzegu morskim, składa się przeważnie z niewielkich parterowych domków, posiadających cały

front zajęty przez okratowaną werandę, co im nadaje pozór klatek na dzikie zwierzęta, a miastu — wygląd jakiejś olbrzymiej menażerii. Tylko poza temi kratami zamiast dzikich panter lub lwów widzieć można eleganckie sylwetki pięknych dam limańskich, używających świeżego powietrza.

Życie towarzyskie choć bardzo rozwinięte w Chorrillos, monotonne jest i proste. Wizyty u znajomych, kąpiele w morzu, gra w karty, a wieczorem spacer na „Malecon“, rodzaj digi wzniesionej nad brzegiem morskim, wypełniają czas Limańczyków, przepędzających porę letnią w Chorrillos. Wielu mężczyzn jeździ codziennie do stolicy, gdzie ich powołują obowiązki. Bogatsza młodzież stara się jednostajność próżniaczego życia zabić regatami na morzu, utworzyła więc klub „Chorrillos“, rodzaj towarzystwa wioślarskiego, posiadającego swą przystań, gdzie wszelkie rodzaje czółen, oglądać można.

Zwycięskie wojska, zajawszy Chorrillos, dopuściły się czynów niesłychanego wandalizmu. Część bogatych willi została obrócona w perzynę, inne znów zamieniły się w koszary wyuzdanego żołdactwa. Po bogatych kobiercach stapał teraz śniady potomek Araukanów, a suto oprawne lustra odbijały jego twarz, srogością napiętnowaną. Przepyszne fortepiany poszły do kuchni, gdyż ognia nie było czem zapalić. Brano, co się dało, a resztę rozbijano.

Meble, których sprowadzenie kosztowało tysiące, zamieniały się od jednego uderzenia w kupę nieużytecznych gratów, którymi palono w piecach. Jeden tylko krok dzieli zbytek od nędzy, życie od śmierci. Część mieszkańców Chorrillos, zmuszonych przemieszkować tam dla różnych przyczyn, znalazła śmierć okropną, lub co gorsza hańbę. Hańbiono kobiety, znęcano się nad mężczyznami, których bez najmniejszej litości mordowano. Jeden dzień wyuzdania zamienił piękne i drogie cacko w kupę gruzów, wśród których wałały się niepochowane ciała dawnych mieszkańców.

Oddalmy się jednak od tego wstrętnego widoku walki dwóch ludów, z których jeden zawsze musi być silniejszym, zapomnijmy choć na chwilę o tej smutnej prawdzie, że wiek XIX-ty ery chrześcijańskiej niewiele się jeszcze różnił od czasów, kiedy człowiek polował na człowieka, aby się jego mięsem nakarmić. Wieluż to z nas pod batystową koszulą kryje najniższe instynkta zwierzęce, na podobieństwo owego człowieka, małpy, do którego wstyd nam się przyznać, bo to razi nasze ludzkie uczucia, pomimo że obce są nam nieraz uczucia człowieczeństwa. Schrońmy się choć na chwilę do tych pustyń rozległych, jakie stanowią przymorską część Peru. Tam znajdziemy się w samotności, wśród obszarów przecież piasków i skał dzikich, odetchniemy spokojnie czystym lazurówem powietrzem, uczujemy nad sobą tchnienie Stwórcy wszech rzeczy.

Pustynia zaległa całą przymorską część Peru, zaczynając od granic Chili przez Boliwię. Dopiero koło Tumbezu krajobraz szybko zaczyna się zmieniać i w miarę jak się zbliżamy ku granicy Ekwadoru, roślinność pojawia się coraz obficiej, aby poza rzeką Zarumillą, która dzieli oba państwa, pokryć grunt bogatymi lasa-

mi. Zresztą całe te dwadzieścia kilka stopni geograficznych ciągnie się wzdłuż brzegu morskiego pustynia piaszczysta miejscami, to znów naprzemian urozmaiconą gołemi skałami.

Płynąc wzdłuż pobrzeża peruwjańskiego, wędrowiec ciągle ma przed oczami falistą powierzchnię, zasypaną po wpadlinach białym piaskiem, z pośród którego sterczą mniej lub więcej wyniosłe masy skał, czarne lub szare. Góry te, niewysokie zwykle na pobrzeżu, rosną coraz bardziej na dalszym krajobrazie, piętrzą się jedne nad drugimi, przybierając imponujące rozmiary potężnego pasma, które przerywa całą długość ładu południowo amerykańskiego. W dali ponad tą masą skał, pobródzowanych krętymi wpadlinami, widać zwykle kilka szczytów śnieżnych. Często dla zbytnej odległości nie rozróżniamy przez mglistą warstwę powietrza samej góry, tylko biały śnieg błyszczy w powietrzu podobny do obłoku, od którego rozróżnić go możemy po jego nieruchomości. Obłok zmienia powoli lecz stale kształt swój, te zaś kilka plam białych pozostają ciągle w jednakowym położeniu.

Pustynia jednak boliwijsko-peruwiańska nie rozciąga się jednym nieprzerwanym pasem. Liczne strumienie, biorące początek w Kordyljerach, przecinają te niegościnnie przestrzenie w kierunku poprzecznym, tworząc w pewnych odstępach rodzaj oaz, w których woda pobudza życie roślinne, dostarczając zarazem żywnego gruntu, jaki z Kordyljerów naniósł. Wszystkie doliny Pomorza peruwjańskiego są urodzajne i w roślinność dość bogate, pozwalając znużonemu widokiem ciągłych piasków oku podróżnika, napawać się piękną zielenią swych drzew akacjowych lub pól uprawnych. Doliny te spotykają się dość często, są jednak miejsca, gdzie pustynia zajmuje znaczne obszary, jak np. sławna pustynia Atacama, zalegająca boliwijskie pomorze i pustynia Sechura w północnem Peru, ciągnąca się nieprzerwanie na przestrzeni stu kilkudziesięciu wiorst. Sechura jednak nie jest pustynią pozbawioną zupełnie roślinności: rośnie tam pewien krzew, zwany przez tubylców *yuca del monte* (dziki maniok), który konie lub bydło zdziwczale, włóczące się tam bez właściciela, z pod piasku wygrzebuje.

Jeżeli pustynię przymorską w Peru przetniemy w kierunku poprzecznym, od morza ku Kordyljerom, zauważymy, że charakter jej zmienia się w miarę zbliżania się ku górcom. Zrazu gołe piaski, które wiatr niesie na szczyty wznoszących się tu i owdzie gór skalistych, lub zgromadza w symetryczne, jakby ręką ludzką usypane wydmy półksiężycowate, zamieniają się stopniowo na płaszczyny zasiane dużymi głazami kamiennymi, lub porośnięte rzadkimi, karłowatymi krzakami. Im bliżej góra, tem roślinność bogatszą się staje, aż póki typ okolicy nie zamieni się z pustyni zupełnie na to, cośmy kiedyś nazwali „wzgórzami“, trzymając się ściśle nazwy miejscowej „Las Lomas“, nadawanej temu rodzajowi okolic przez Peruwjan <sup>1)</sup>. Rozsiane tu i owdzie kaktusy, lub pojedyn-

<sup>1)</sup> Patrz: Wspomnienia z podróży po Peru, przez autora, (Wszechświat 1882 r.).

czo stojące drzewa, stanowią cechę wyróżniającą „wzgórza” od innych okolic Peru.

Mówiąc o klimacie Limy, wspomniałem, że pory roku są tu tylko dwie, to jest lato i zima, a raczej pora sucha i pora dżdży-sta, nadmieniając, że pierwsza ciągnie się od listopada do kwie-tnia, a druga od maja do października. Ten sam rozkład pór ro-ku napotykamy na całym Pomorzu peruwjańskim, z wyjątkiem najbardziej na północ położonej prowincji Tumbezu, gdzie rozkład pór roku jest wprost przeciwny, co za główną przyczynę ma tę okoliczność, że równik termiczny nie odpowiada równikowi ge-ograficznemu, lecz przechodzi mniej więcej między 4<sup>o</sup> i 5<sup>o</sup> szer. połud. i gdzie nadto dzięki blizkiemu sąsiedztwu Kordyljerów, po-krytych bogatymi lasami, będącymi zawsze zbiornikiem wilgoci, padają podczas zimy rzęsiste deszcze. Przeciwnie, ku południowi aż po granicę chilijską deszcze ulewne przytrafiają się tylko w wy-jątkowych latach. Miejsce ich zastępują gęste mgły, które są po-prostu chmurami nie mogącymi się zgęścić w większe krople.

Każdego podróżnika uderza ogromna różnica w wilgotności obu skłonów pasma Andyjskiego, gdy bowiem na wschodniej stro-nie padają deszcze w takiej ilości, że śmiało te strony uważać mo-żna za najbogatsze w atmosferyczne opady na całym może świcie, na zachodnim skłonie, przeciwnie, atmosfera jest sucha, a desz-cze ulewne wyjątkowo się tylko trafiają. Systemy też wodne, bę-dące wynikiem atmosferycznych opadów, są bardzo różne po obu stronach wspomnianego pasma: od strony wschodniej najbogatszy system wodny, utworzony z potężnych rzek Amazonki, Orinoco, La Platy i ich dopływów; gdy od strony zachodniej napotykamy tylko krótkie i ubogie w wodę strumienie górskie, wpadające do morza zaraz po wydostaniu się z gór.

Rozmaicie starano się wytłómaczyć to szczególne zjawisko różnicy wilgotności na obu skłonach Kordyljerów i brak deszczów na Pomorzu peruwjańskim, i gdy jedni za przyczynę uważali sta-łość kierunku wiatrów, które w tej części Ameryki przeważnie z południa wieją, inni szukali początku zjawiska w sąsiedztwie pa-sma Andyjskiego. Raimondi odpowiedział pierwszym, że w Chili i w Guayaquilu wieją te same wiatry, a jednak deszcze padają tam obficie. Drugim zaś przypomniał, że przecież na wschodnim skłonie Kordyljerów wilgotność powietrza jest posunięta do mo-żliwych granic, obecność więc samych gór nie może być wyłącz-ną przyczyną braku deszczów na stronie Oceanu Spokojnego.

Wspomniani uczonej dość szczegółowo rozpatruje w przyto-czonym dopiero co artykule przyczynę w mowie będącego zjawi-ska, znajdując ją głównie w rodzaju gruntu, jaki się spotyka na Pomorzu peruwjańskim. Oto w jaki sposób tłumaczy włoski uczonej brak deszczów w tym pasie.

Całe Pomorze Peru, jak to już wiemy, pokryte jest piaskiem, który należy do bardzo dobrych przewodników ciepła. W lecie więc, nagrzewając się, tworzy wschodzący prąd powietrza, który odniesiony wiatrami ku góróm zgęszcza się i spada pod postacią



deszczów; dlatego deszcze padają w górach, gdy na Pomorzu lato panuje. W zimie znów przeciwnie, piasek dzięki tej samej przyczynie (dobremu przewodnictwu ciepła) oziębia się bardzo, a w skutek różnicy temperatury pomiędzy gruntem i dolnymi warstwami powietrza, zgęszcza się wilgoć, tworząc mgły, pokrywające ziemię. Dzięki też różnicy temperatury nadbrzeżnych piasków i sąsiedniego morza, tworzy się prąd powietrza od lądu ku morzu, unosząc mgły ponad nie; powstaje wówczas wiatr *północny*, który przeszkadza nagromadzeniu się pary wodnej, niesionej przez wiatry południowe. Dlatego deszcze na Pomorzu peruwjańskim nie padają.

Ten sposób objaśnienia sobie zjawiska braku deszczów przez Raimondiego jest słuszny, ale jak mi się zdaje, niedostateczny, przypuszczam bowiem, że ów wiatr północny, który uważany jest przez Raimondiego, jako skutek różnicy temperatury pomiędzy morzem i sąsiednim lądem, jest właśnie główną przyczyną braku deszczów na pobrzeżu peruwjańskim. Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że sam kierunek pobrzeża z południa na północ wyklucza możliwość przypisywania początku wiatrów północnych różnicy temperatur morza i lądu, gdyż wiatr taki miałby kierunek od lądu do morza, czyli ze wschodu na zachód. Oto w jaki sposób zapatrujemy się na tę ważną kwestję.

Postaramy się przedewszystkiem streścić dane, jakie do objaśnienia rozpatrywanego przez nas zjawiska posłużyć mogą, 1). Chłodne wiatry południowe wieją przez całe lato i są zwykle dość silne. 2) W zimie wiatry są słabe i po większej części wieją z północy, czyli od równika, zatem są ciepłe. 3) Pomorze peruwjańskie jest pustynią piaszczystą, a piasek jest dobrym przewodnikiem ciepła. 4) Wzdłuż pobrzeża Chili i Peru płynie zimny prąd oceanowy, zwany prądem Peruwjańskim lub prądem Humboldta. Prąd ten w szerokości Tumbezu (3° 33' szer. połud.) zakręca na zachód ku wyspom Galapagos. O tym ważnym prądzie zapomniał widać włoski uczoney, a jednak ten to może prąd jest główną przyczyną braku deszczów na pobrzeżu peruwjańskim, a przynajmniej odgrywa w tem ciekawem zjawisku pierwszorzędną rolę, jak i charakter gruntu.

Wiemy już, że w lecie wieją przeważnie wiatry z południa, zatem z tych samych stron, skąd płynie prąd oceanowy; przypuszczać więc można, że oba prądy, to jest powietrzny i morski, posiadają też samą temperaturę, co stanowczo przeszkadza zgęszczaniu się pary wodnej; to bowiem zjawisko przytrafia się tylko wtedy, gdy para wodna, dotykając zimniejszego środka, sama się oziębia. Jednocześnie, jak to słusznie Raimondi zauważył, nagrany piasek powoduje prąd powietrza wschodzący; zatem i tu nie znajdujemy przyczyny, któraby mogła sprowadzić zgęszczenie się pary wodnej. Dlatego to w porze letniej panuje piękna pogoda. Przeciwnie w zimie nadciąga ciepły prąd powietrza z północy, różnica więc temperatury powietrza i zimnego prądu oceanowego, wystarczyć może do zgęszczenia pary wodnej tuż ponad samym oceanem.

Mgła zalegnie powierzchnię morza. Jednocześnie wskutek silnego nagrzania piasku na tuż leżącym pobrzeżu, tworzy się od morza ku lądowi słaby prąd powietrza, który pociągnie za sobą gęstą mgłę i niby całunem okryje cały pas przymorski, przeszkadzając promieniom słonecznym nagrzewać piasek, ten zaś przybiera wkrótce chłodną temperaturę sąsiedniego powietrza i gdy nowy prąd nadciągnie od północy, oprócz zimnej powierzchni prądu oceanowego, zastanie jeszcze również chłodną powierzchnię sąsiedniej pustyni. Początek jednak pojawieniu się mgły daje zawsze prąd oceanowy. Nagromadzona mgła, nie mając dostatecznej lekkości, aby się wznieść w górę, zalega powierzchnię morza i sąsiedniego pobrzeża. Dopiero, gdy zawieje chłodniejszy od niej wiatr południowy, zgęszcza się w drobny deszczyk, a w razie gdy wiatr ten jest dość silny, unosi ją z sobą i wówczas chwilowo pogoda zapanauje, póki kierunek prądu powietrznego nie zmieni się na północny.

Za kamień probierczy tego objaśnienia służyć nam może właśnie ta okoliczność, że w Guayaquilu i w Chili deszcze padają, w pierwszej z dwu miejscowości dlatego, że tam już zimny prąd Humboldta nie dochodzi, gdyż, jak to rzekłem, skręca pod 3<sup>o</sup> ku zachodowi, omywając wyspy Galapagos; w Chili zaś dlatego, że tam znów ciepły prąd północnego wiatru albo nie dochodzi, gdyż jest za słaby, albo jeżeli dochodzi, to już znacznie oziębiony, przebiegłszy dwadzieścia kilka stopni geograficznych ponad zimnym prądem oceanowym.

Aby kwestję tę rozpatrzyć wszechstronnie, wspomnieć jeszcze muszę słów kilka o przyczynie wielkiej wilgotności wschodniego skłonu Kordyljerów. Od strony oceanu Atlantyckiego, wieją stale wiatry (passaty), mające kierunek z południowschodu na północ zachód. Wiatry te nasycone wilgocią, jaką najprzód z oceanu, a następnie z olbrzymich lasów brazylijskiego obszaru zabierają, natrafiają na swej drodze na potężne pasmo Kordyljerów, o które uderzają nieco skośnie. Sparaliżowana ich siła zamienia się na ciepło, a wiatry, wznosząc się powoli ku górze, dotykają zimnej powierzchni górnego pasma Kordyljerów, gdzie wskutek różnicy temperatury powietrza i gruntu wilgoć skrapla się, spadając pod postacią ulewnych deszczów. Jeżeli zaś te prądy przedostają się na drugą stronę (zachodnią) pasma gór, wówczas są już suche, gdyż wilgoć swą zostawiły na wschodnim spadku.

A teraz wróćmy na morze peruwjańskie. Wiatry południowe, lub południowo-zachodnie, jakie w lecie przeważnie wieją wzdłuż pobrzeża morskiego, są bardzo w tej porze stałe. Zwykle w nocy panuje cisza zupełna, dopiero po wschodzie słońca zaczyna się lekki wiatr z zachodu, powstający wskutek nagrzania się piasków, nad którymi tworzy się prąd wschodzący. W miarę jak się słońce wznosi nad poziomem, siła wiatru rośnie, a jednocześnie kierunek jego odchyła się stopniowo ku południowi, wiatr bowiem miejscowy, jaki rano obserwowaliśmy, zamienia się na silny prąd powietrza, pędzący od południa. Siła wiatru dochodzi swego maxi-

mum około godziny 4-ej po południu, poczem szybko zaczyna spadać, tak, że zwykle o zachodzie słońca już cisza nastaje.

Nigdy jednak wiatr ten nie zamienia się na huragan, a morze, choć rozkołysane niekiedy, nie bywa burzliwem w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Dlatego też rzadkie rozbicia okrętów, jakie się w tych stronach trafiają, są raczej spowodowane nieuwagą, lub nieznajomością dna morskiego.

Stałość silnych wiatrów południowych powoduje na wielkich piaszczystych równinach pomorza peruwjańskiego tworzenie się wydym, zwanych przez Hiszpanów „los medianos“ („les dunes“ Francuzów). Wydmy te przybierają nieraz formę nadzwyczaj regularną, jak np. półksiężycowe górkki piaszczyste, obserwowane przeze mnie w pobliżu portu Pacasmayo, w północnem Peru. Na obszernej płaszczyźnie, doskonale równej i pokrytej drobnym żwirem oraz szczątkami garncarskimi wznoszą się górkki z piasku na jakie 5—6 metrów wysokie, posiadające powierzchnię ostrosłupa od strony wiejącego wiatru, a półksiężycowato-wklęsłą po stronie przeciwnej.

Każda z nich wygląda, jakby ją człowiek przy pomocy instrumentów, pod cyrkiel, że tak powiem, usypał. Górkki te bardzo wolno posuwają się naprzód w kierunku wiatru, o czym można się naocznie przekonać, egzaminując liczne ścieżki, jakimi poprzerynana jest cała równina, a datującemi niewątpliwie z czasów Inkasów<sup>1)</sup>. Niektóre z tych szlaków są dziś przykryte górkkami, a ponieważ człowiek ich tam nie przeniósł, więc widocznie same, siłą wiatru jedynie tam przewędrowały. Zresztą jest to fakt powszechnie znany geologom i podobne zjawisko trafia się w różnych częściach świata, jak np. w Saharze.

Trudno jest, aby miejsce tak jałowe, jak pustyniowy pas pomorski Peru, posiadało jakąkolwiek faunę; gdzie niema życia roślinnego, tam niema i życia zwierzęcego. Z czworonogów więc spotkamy tu chyba małego liska pomorskiego, który z nadbrzeża zapędzi się tu niekiedy, zwabiony szczątkami konia, lub muła porzuconego przez jaką karawanę. Na tych samych szczątkach wyprawiają sobie ucztę i niektóre sępy, jak kondor lub oba gatunki ścierwników, które posiadają osobliwą zdolność wypatrzenia martwej zdobyczy na wielką odległość. Skapemi resztkami, jakie po nich zostaną, pożywi się jeszcze inny drapieżnik, blizki sępów, tak zwany uarauau, nie odważający się brać udziału w uczcie, póki jego silniejsi krewniacy od stołu nie odejdą. Oprócz tych ptaków widziałem jeszcze w pustyni dwu przedstawicieli pierzastego świata, a mianowicie maleńkiego ptaszka o płowej pustyniowej barwie i dżdżownika krzykliwego, trzymającego się zwykle parami.

Inaczej przedstawia nam się życie zwierzęce nad brzegiem morskim. Ocean posiada swą faunę i florę, daje życie mirjadom istot, kryjących się tajemniczo w jego głębiach. Częstkę tych bo-

---

<sup>1)</sup> *Inca* lub *Inga* nazywał się władca peruwjański przed podbojem

gactw przyrody udziela i brzegom swym, gdzie grunt nasiąknięty słoną wodą przedstawia odpowiednie warunki do życia zwierzątek morskich lub nadmorskich. Zresztą ten brzeg staje się na pewien przeciąg czasu w ciągu dnia dnem morskiem, gdy go przyływ zaleje. Fala nanosi i pozostawia na nim kępy morskich wodorostów; meduzy i małże, rozrzucone przez przyływ, wreszcie tyśiące, miriady krabów, raczków i innych żyjątek nadają piętno życia tym martwym na pozór pobrzeżom. Obfitość morskich żyjątek ściąga ptactwo, które się nimi karmi.

Tu już brzeg pustyni przestaje być pustynią, dzięki sąsiedztwu żywiołu, który go częścią swych bogactw przyrodzonych obdarza. Wodę śmiałoby nazwać można rodzicielką życia.

Brzeg morski różny nosi charakter stosownie do miejscowości i gatunku gruntu. Należy odróżnić dwa główne typy pobrzeża, a mianowicie skaliste i piaszczyste, zwane przez Hiszpanów „playa”. Główna różnica, nie mówiąc już o rodzaju materiału, jaki brzeg stanowi, jest ta, że brzeg piaszczysty, czyli „playa” posiada zwykle mniej lub więcej łagodny spadek, a dzięki temu przyplawy zalewają go na znacznej przestrzeni, gdy brzeg skalisty przeciwnie jest zawsze stromy, a fala odbijając się od niego, rozbrzyguje się na parę wodną, która tęczową rosą spada na głazy kamienne. Ten ostatni rodzaj pobrzeża jest zwykle niedostępny, a liczne zagłębienia i szczyby wrzynają się weń, tworząc małe zatoki o stromych brzegach, raczej ślepe wąwozy, w których morze ryczy i pieni się.

Lekka nawet fala morska, pomimo swej pozornej słabości, rozwija tu siłę tytaniczną: walka miękkiego, płynnego żywiołu z twardą opoką ciągnie się wieki całe, a zawsze na niekorzyść skały, którą woda wolno, lecz systematycznie podmywa, niszczy i w formie drobnych cząsteczek na dno swoje unosi.

Ten jednak rodzaj pobrzeża skalistego, poszczerbionego licznymi zatokami lub wąwozami trafia się tylko tam, gdzie twarde skały ogniowego pochodzenia stanowią linię brzegu, co najczęściej spotykamy w południowej części Peru. Przeciwnie w północnej brzeg morski po większej części utworzony jest z piaszkowcowego konglomeratu, w którym zaokrąglone kamienie zlepione są piaszkowcowym cementem. Brzeg taki ulega bardzo łatwo działaniu fali morskiej, co najlepiej sprawdzić mogłem w porcie Pacasmayo, gdzie linja brzegu podczas mego kilkotygodniowego pobytu uległa znacznym zmianom. Konglomerat ów, stanowiący dzisiaj podstawę równiny, o której poprzednio wspomniałem, utworzył się niewątpliwie pod morzem, a następnie pod wpływem sił wewnętrznych, wyłonił się nad jego powierzchnię na jakie 5—8 metrów.

Rzućmy okiem na sposób, w jaki morze niszczy powoli ten stromy brzeg. Fala stopniowo podmywa go, rozkładając cement łączący okrągłe kamienie, a następnie unosi te ostatnie. Gdy w taki sposób dolna część pobrzeża zostanie podmytą, górna, wisząca w powietrzu, z czasem zawalić się musi, rozpadając się na kilka lub kilkanaście olbrzymich głazów, które czas jakiś w mo-

rze leżą. Powoli jednak i one ulegają niszcącemu działaniu fali która stopniowo wymywa cement, a wówczas pozostają luźno leżące kamienie okrągłe, stanowiąc przez pewien czas ochronną, barjerę, o którą rozbijają się fale. Przychodzi jednak i na nie kolej, fala podczas silnych przypływów na nowiu lub podczas pełni znosi je na dno morskie, a wówczas stromy brzeg, jaki się utworzył po zawaleniu jego części, nanowo ulega rozmywaniu i tak dalej ciągnie się ten proces niszczenia brzegu morskiego. Wskutek tego szybkiego działania fali morskiej na miękki stosunkowo brzeg i wskutek braku skał ogniowego pochodzenia, pobrzeże morskie w północnem Peru nie posiada zatok wygodnych. Wszystkie prawie porty w tej części kraju są to bardzo obszerne, lecz nie głębokie wycięcia brzegu, nie posiadające żadnej zasłony od wiatrów południowo-zachodnich, które swobodnie hulają nad powierzchnią morza.

Porty Pacasmayo, Salaverry, Huanchaco, Malabrigo i Eten, położone w północnem Peru, należą właśnie do tej kategorii, a wyładowywanie statków, lub przesadzanie pasażerów, przedstawia niemałe trudności, często nawet wielkie niebezpieczeństwo. Krótka fala, nic nie znacząca dla wielkich statków, groźną jest dla niewielkich kryp (lanchas), na jakich odbywa się wyładowanie.

Przeciwnie w południowem Peru, gdzie rozgałęzienia Kordyljerów dochodzą do samego brzegu, często spotkać można wygodne zatoki, doskonale zasłonięte od panujących wiatrów. Znaczna ich część jest stworzona jakby podług jednego typu. W południowej części zatoki wznosi się górzysty cypel, kończący jedno z rozgałęzień (contreforts) Kordyljerów; posunięty daleko w morze, stanowi on doskonałą zasłonę od wiatrów południowych, lub południowo-zachodnich. Od niego półkolem ciągnie się brzeg piaszczysty (playa). W głębi widać klinowatą równinę, pokrytą gęstymi zaroślami, lub polami uprawnymi, gdyż jest to zwykle dolina jakiego strumienia. Na morzu wznosi się prawie zawsze jedna lub parę wysepek skalistych, pokrytych białem, lub żółtawem guanem. Do tego typu należą ze znanych mi zatoki: Arica, Supe, Huarmey, Casma, Samanco, Santa i Payta, a na wielką skalę najlepszy z peruwjańskich portów — Callao.

Istnieje jeszcze inny typ zatok, idealny, że tak powiem, jako posiadający wszelkie najlepsze warunki osłony od wiatrów panujących, a ważny bardzo ze względów strategicznych. Są to zatoki ze wszystkich stron zamknięte i połączone z morzem przez wązką cieśninę, którą nadzwyczaj łatwo ufortyfikować.

Najdoskonalszym przykładem tego rodzaju portów jest Rio de Janeiro (w Brazylii) posiadające wszelkie warunki znakomitej przystani handlowej i doskonałego portu strategicznego. Peru posiada podobną zatokę, tylko znacznie mniejszą i o dnie bardziej płytkiem. Jest nią port Chimbote na północ od Callao.

Zatoka w Chimbote jest okolona lądem ze wszystkich stron, a prowadzą do niej trzy wązkie cieśniny, z których dwie tylko dostępne dla większych statków. Trzy te ramiona morskie

przecinają grzbiet gór, chroniący zatokę, na dwie wyspy, jedną małą—północną, a drugą większą i wydłużoną, leżącą ku południowi. Jeszcze bardziej ku południowi zatoka ogranicza się grzbieciem wzgórz wysokich na kilkaset stóp, które stanowiłyby trzecią wyspę, gdyby nie wązki pas piaszczysty, łączący go ze stałym lądem, i zamieniający go na półwysep. Ów pas piasku dzieli zatokę Chimbote od portu Samanco. Tym sposobem zatoka Chimbote zasłonięta jest doskonale ze wszystkich stron i jeżeli nie posiada sławy najlepszego portu na Oceanie Spokojnym, to głównie dlatego, że dość jest ciasna i posiada dno nie tak pewne, jak Callao.

Zapoznawszy czytelnika z charakterem pobraża peruwjańskiego, postaram się teraz dać mu krótki obraz życia zwierzęcego, jakie na niem spotykamy. Brzeg skalisty, pobraże piaszczyste, czyli plaża i morze sprzyjają bardzo rozwojowi tego życia. W mokrym piasku nadbrzeżnym, zalewanym przez przyływy morskie, napotkamy mirjady raczków, przeważnie należących do rodzaju *Olipa*; niektóre też muszki, jak np. należące do rodzaju *Donax* w piasku nadbrzeżnym się kryją. Na gładkiej piaszczystej powierzchni „plai“ natrafimy na mnóstwo dziur okrągłych, idących pionowo w głąb piasku: są to kryjówki pewnego kraba, należącego do rodzaju *Ocyroda*. Zwierzątko to w południowych częściach Peru, aż po Chimbote posiada kolor piaszkowy; bardziej ku północy, na pobrażu Santa Lucia (Tumbez) barwa ta zmienia się na pięknie czerwoną. *Ocyroda* podczas odpływu trzyma się na powierzchni, zbierając swemi szczypcami piasek wilgotny, który niby widelcem do pyszczka sobie podaje. Ruchy te są nadzwyczaj zabawne, nadają bowiem stworzeniu pewne podobieństwo do człowieka. Zdaje się, że następnie wyrzuca ono piasek niestrawiony w postaci kulek, które spotykają się w niezmiernej ilości na równej powierzchni „plai“; dopiero przyływ morski znosi te kulki, lecz z nadejściem odpływu małe kraby znów są zajęte kręceniem ich, usiewając niemi całą powierzchnię nadbrzeżnego piasku. Jelski przypuszczał, że kulki te mają na celu zatykanie otworów jamek na czas przyływu, gdyż zaraz po odpływie znalazł mnóstwo ich u wejścia do nor krabowych; przypuszczam jednak, że są tam zaniezione jedynie działaniem wody, która stopniowo zalewa pobraże w czasie przyływu. Gdym zaś wspomniał o naszej obserwacji ziomkowi naszemu, p. Malinowskiemu w Guayaquilu, ten badając pilnie inny rodzaj krabów, kręcący również kulki, przyszedł do przekonania, że te ostatnie są prosto produktem przetwarzania. Kraby żywią się piaskiem mokrym lub mułem, a zasymilowawszy części pożywne, jakie tam z rozkładu materji organicznych znaleźć mogą, wyrzucają resztę pod postacią kulek, jako niepotrzebny balast.

Wspomniana *Ocyroda* trzyma się, jak to wyżej wspomniałem, na powierzchni piasku podczas odpływu, nie oddalając się bardzo od swojej nory, gdyż każda z nich ma swoją własną, do której w razie niebezpieczeństwa ucieka. Idąc wzdłuż pobraża, widzi-

my na równej jak stół powierzchni setki tych stworzeń, zajętych zgarnianiem piasku przy pomocy swych krótkich szczypców, lub poruszających się zwolna. W miarę jednak, jak się posuwamy naprzód, kraby kryją się szybko do swych nor, tak, że zawsze znajdujemy się w środku koła o promieniu jakich dwudziestu kroków, którego powierzchnia jest wolną od tych stworzeń; dopiero poza tym kręgiem trzymają się one w pogotowiu do ucieczki, jeżeli się bliżej nas znajdują, lub zajęte swą pracą, gdy są na większej od nas odległości. Jeżeli jednak puścimy się szybko ku nim, te, które nieco dalej od swej nory odpełzły, tracą głowę i zaczynają szybko uciekać, lecz zawsze bokiem — na prawo lub na lewo, gdyż to ich sposób chodzenia. Krab, przyparty przez nas, wywraca się w tył i straszy nas swemi kleszczami. Niektóre znów, nie mogąc trafić w pośpiechu do swej nory, starają się schronić do obcej, lecz tam zastawszy już prawego mieszkańca, znajdują się w niemałym kłopotcie, z połową ciała sterczącą na zewnątrz.

Oprócz tych stworzeń, właściwych piaszczystemu pobrzeżu, spotkamy na niem mnóstwo szczątków zwierzęcych, a nawet i żywe stworzenia, jakie morze w czasie przyływu wyrzuca. Setki skorup muszli rozrzuconych po piasku, gdzieniegdzie galaretowata *Medusa*, zamierająca szybko i więdnąca, niby kwiat, pod silnymi promieniami słonecznymi, kępy poplątanych alg morskich, będących schronieniem różnych rakowatych, muszelek i t. p. dostarczają przyrodnikowi bogatego łupu. Trzeba tylko umieć szukać, a zawsze znajdziemy coś godnego dla naszej kolekcji.

Brzeg skalisty bogatszy jest może nawet od piaszczystej „plai”. Tam wśród naturalnych zagłębień, pomiędzy luźno leżącymi kamieniami rozmaite stworzenia znajdują bezpieczne schronienie przed swymi nieprzyjaciółmi. Prześlicznym jest pewien krab z rodzaju *Grapsus ornatus*, wspaniałego wiśniowego koloru z mnóstwem drobnych, żółtych kropeczek. Trzyma się zwykle spokojnie na luźno leżących kamieniach lub głazach skalistych, obojętny na pozór na nasz widok; lecz zbliżmy się tylko, a szybkim ruchem skryje się gdzieś w szparze lub rozpadlinie. Inny znów raczek z grupy długoogoniastych (*Macroura*), do której i nasz rak rzeczny należy, wydaje bardzo silny szcęk swemi szczypcami, jakby kto kamieniem o kamień uderzał. Tu też na głazach skalistych poprzyczepiane gwiazdy morskie, robią na nas wrażenie ciał roślinnych, zeschniętych i do skały przyklepionych; dopiero bliższe badanie przekonywa nas, że się poruszają. Muszelki z rodzaju *Littorina*, *Trochus*, *Patella* i inne tu także trzymają się w wielkich nieraz ilościach. Odwalając wreszcie luźno leżące kamienie, jakie stanowią rodzaj barjery pomiędzy morzem i brzegiem skalistym, znajdujemy tam drobne stworzonka, należące do rakowatych, a tworzące rodzaj *Orchestia*.

Zwróćmy teraz oczy na ptaki, które tu znajdując mnóstwo doskonałego pożywienia, masami trzymają się brzegów morskich. Wszak to one dostarczyły guana, które wzbogaciło Peru chwilo-

wo, aby go później w krytyczną biedę na długie lata wprowadzić.

Pomiędzy ptactwem uderzą nas przedewszystkiem różne gatunki mew, które zawsze towarzyszą statkom, lub unoszą się ponad zatokami, gdzie różne odpadki z kuchni okrętowych łakomy dla nich kasek stanowią. Ciągną za naszym parowcem swym lotem falistym i powolnym na pozór, czatując na żer, którego im kucharz dostarczy. Jedne z nich zapadają zaraz, i siedząc na powierzchni wody, żerują; inne znów w lot porywają kawałki chleba, skorupy z kartofli i tym podobne szczątki pasażerskiego stołu. Gonią się wzajemnie, starając się jaki smaczniejszy kasek odebrać szczęśliwemu posiadaczowi, a talent po temu mają wielki. Raz pamiętam, widziałem, jak jedna mewa porwała z powierzchni morza jakiś kawałek pożywienia, lecz wzniosłszy się na wysokość pokładu okrętowego, upuściła go przez nieostrożność; jeszcze lúp nie doleciał do powierzchni wody — a już go inna, w bliskości będąca, porwała w powietrzu.

Często też zdarzyć się widzieć wędrowcowi pelikany południowo-amerykańskie, jak ciągną stadem z kilkunastu sztuk złożonem, w takim zupełnie szyku, jak nasze dzikie gęsi, to jest klinem, którego kąć zwrócony jest w kierunku drogi ptaków. Lecą wolno, poruszając skrzydłami, położywszy łby na grzbiecie, jak czapła w locie. Zapadają one na zaciszne zatoki, gdzie żerują zwykle, płynąc powoli. Lęgą się one po urwistych, niedostępnych skałach nadbrzeżnych, lub na licznych wysepkach skalistych, jakie się tak często trafiają po brzegach Peru.

Do bardzo charakterystycznych ptaków pobraża peruwjańskiego należy ostrygojad (*Haematopus palliatus*) ptak brodzący z pięknie czerwonym, długim dzióbem, czarną głową i białym brzuchem. Trzyma się prawie zawsze stadkami z kilkunastu sztuk złożonemi, żerując po piaszczystych wybrzeżach, gdzie z mokrego piasku wyciąga raczki i muszelki, które pożywienie jego stanowią. Niekiedy stadka te zapadają na uprzywilejowane miejsca, gdzie rodzaj toków urządzają. Już od świtu głos ich dziwny, przypominający czasami świst lokomotywy, dochodzi nas z pobraża. Gdy dobrze rozednieje, widzieć możemy, jak te ptaki chodzą w koło siebie z pochylonemi głowami, przybierając dziwne pozy.

Na zatoce siadło stado kormoranów (*Carbo brasiliensis*), ptaków wielkości dużej kaczki o ciemnym, czarniawem upierzeniu. Gdy na nie z pewnej odległości patrzymy, widać tylko ich długie szyje z głowami poodwracanemi w różne strony, co przedstawia widok dziwny i dość komiczny.

W ustronnych zatoczkach trzyma się pojedynczo lub stadami nur morski (*Podiceps occidentalis*), nurkujący zręcznie za zbliżeniem się naszej łodzi. Na pobrażu co kroku spotkać można stada biegusów, kuliczków, lub samotnie żerującego kulona (*Numentius hudsonicus*), zanurzającego co chwila swój długi, zakrzywiony dziób w wilgotny piasek, skąd wyciąga raczki z rodzaju *Hippa*.

W licznych rozpadlinach morskiego pobraża wypelza na mokre głązy osobliwy ptak, którego u nas głuptakiem nazwano



(*Spheniscus Humboldti*); krajowcy zaś ochrztili go nazwą „pajaro niño” czyli „ptak-dziecię”, chcąc przez to wskazać niedołęztwo tego ptaka, który latać nie może, lecz który za to pływa i nurkuje znakomicie. Tam także spotykamy jedyny niemal gatunek lądowego ptaka, właściwy morskim, skalistym, pobrzeżom, rodzaj drozda skalnego (*Cinclodes Taczanowskii*), choć w rzeczywistości należy on do zupełnie innej rodziny jak drozdy, a mianowicie do pelzaczy amerykańskich, spotykanych jedynie na Nowym Łądzie.

Czworonogi mają tu bardzo nielicznych przedstawicieli: wspomniany już kilkakrotnie lisek (*Canis deserti*), wygrzebujący kraby z piasku nadbrzeżnego i lew morski (*Otaria jubata*) stanowią całą faunę tych jałowych pobrzeży. Do lwów morskich wrócę za chwilę, a teraz chciałbym jeszcze uwydatnić w pamięci czytelnika ogólny widok, jaki nam brzeg morski w północnym Peru przedstawia. W tym celu zaprowadzę go na jedno ze wzgórz, okalających zatokę Chimbote, skąd wzniesieni na kilkaset stóp nad powierzchnię morza, objąć będziemy mogli cały krajobraz za jednym rzutem oka.

Niebo mamy pogodne, usiane tylko drobnymi pierzastymi chmurkami; na niem słońce, jasne słońce zwrotnikowe, skrzy się, śląc ciepło i światło na ziemię. Błady błękit nieba odbija się w oceanie, co się przed nami rozciąga aż po krańce widnokregu; myśl nasza biegnie po jego gładkiej powierzchni daleko na zachód, do Polinezji, która tam gdzieś rozsiała się tysiącami wysp. Widać parowiec jakiś, śmiało mknący po oceanie, i znaczący przejście swoje czarną smugą dymu, którą ciągnie za sobą. Nad nami pływa kondor, zuchwale potrząsając swym grzebieniem, jakby się spodziewał, że może dostarczymy mu karmu, którego pewnie od dni kilku nie miał. Pan to absolutny tych dzikich pobrzeży. U stóp naszych spokojne morze rozbija się na parę wodną, uderzając o skały. To co dla nas wskutek znacznej wysokości wydaje się być lekkim kołysaniem, jest to dość gruba fala, która tylko potrzebuje odpowiednich warunków, aby siłę swą pokazać. Znalazłszy je na pobródzowanym pobrzeżu skalistym, ryczy i szaleje, śląc w górę krople, rozbite o głązy, a promienie słoneczne tworzą w nich tęczę.

Zwracamy oczy ku lądowi. Tu piękna zatoka, otoczona pierścieniem wzgórz jałowych i szarych, rozpacza swe spokojne wody, na których wdali rozróżnić możemy kilka statków nieruchomie stojących na kotwicy. Poza nią piaszczysta równina, usiana zielonemi plamami, jakie tworzą porastające na niej krzaki „chilca” (*Baccaris Feuillei*), klinem wrzyna się pomiędzy góry. Dalej grzbiety Kordyljerów, jeden, drugi, dziesiąty poplątane ze sobą, pietrzące się jeden nad drugim. Charakter krajobrazu dziki jest, a jednak wspaniała i pociągająca.

Ze względów ekonomicznych Pomorze, choć w większej części jałowe i nie posiadające kopalni mineralnych, które prawie wyłącznie zgrupowane są na znacznych wysokościach wzdłuż grzbietu Kordyljerów; Pomorze, mówię, dostarczyło Peru niemało bo-

gactw, szczególnie w ostatnich latach czterdziestu, od czasu, jak zaczęto uprawę trzciny cukrowej na wielką skalę, oraz eksploatację guana. Niewielkie stosunkowo kliny, jakimi się kończą u morza wszystkie rzeki, wpadające do oceanu Spokojnego, posiadają ziemię nadzwyczaj urodzajną, dla braku jednak deszczów wymagającą sztucznej irygacji, którą nie zawsze jest łatwo przeprowadzić, biorąc na uwagę małą ilość wody, niesionej przez górskie strumienie zachodniego skłonu Andów. Woda ta w znacznej części zużytkowana zostaje w górach jeszcze przez miejscowych rolników, w nieznacznej też ilości dochodzi do pomorskich dolin.

Niemniej jednak powstały tu plantacje tak olbrzymie, że do obsługi jednej z nich, mianowicie Patapo, używano 1000 kulisów chińskich i 800 parobków miejscowych. Maczka cukrowa i cukier brunatny, wywożone do Europy, Stanów Zjednoczonych i Chili, stanowiły bardzo pokaźną rubrykę w dochodach państwa. Zabronienie w roku 1878 przez rząd chiński wywozu kulisów do Peru, a następnie wojna peru-chilijska zadały cios fatalny cukrowniczo-przemysłowi Pomorza i sądzą, że dziś dochody, jakie kraj ciągnie z tej gałęzi przemysłu, znacznie się zmniejszyły musiały.

Guano stanowiło dla Peru główne źródło dochodu przez ciąg lat czterdziestu. Produkt ten, powstały skutkiem wiekowego nagromadzania się wydzielin ptasich, dzięki zupełnemu brakowi deszczów na Pomorzu peruwjańskim, zawiera ogromny procent soli amonjalkalnych, które mu nadają własności użyźniające. Pokłady guana spotykają się przeważnie na wyspach, rozsianych wzdłuż побереża, chociaż i na stałym lądzie spotkać można często znaczne jego warstwy. Z wysp największą sławę mają Las islas de Chincha, położone w szerokości Pisco, o  $1\frac{1}{20}$  geograficznego na południe od Callao. Komisja wysłana umyślnie przez rząd w 1853 roku, obliczyła ilość guana w Chincha na 12.376.000 beczek, co przedstawiało wartość 600 milionów soles, czyli 1200 milionów rubli. Wspomniane wyspy dały rządowi peruwjańskiemu w ciągu lat dwudziestu (od 1841 do 1860) czystego dochodu 200 milionów soles (400 milionów rubli), a wiemy już, że następnie dzięki kontraktowi pułkownika Bałty weszło jednorazowo do Peru około 300 milionów dolarów. Niech te cyfry posłużą nam za miarę ogromnych bogactw, jakie miliony nieużytecznych na pozór ptaków dały jednemu krajowi.

Oprócz wysp Chincha pokładami guana odznaczają się jeszcze wyspy: Guanape, Pabellon de Pica, Islas de Lobos, i różne drobne wysepki należące do prowincji Tarapaca, zabranej przez Chili w skutek wojny. Te ostatnie zawierały w 1860 roku według obliczenia p. Peacock'a, około 8 milionów beczek guana, co reprezentowało wartość około 800 milionów rubli. Nie wszystko guano posiada jednakową wartość, a najwięcej cenionem jest białe, jako zawierające największy procent cząstek użyźniających.

Własności guana znane były jeszcze starożytnym Peruwjanom przed najściem Hiszpanów, o czym wspomina historyk czasów podbojowych, Garcilaso de la Vega. Indianie eksploatowali

je bardzo umiejętnie, trzymając się ściśle pewnego porządku, gdyż każda prowincja miała wyznaczoną sobie część wysp do użytku. Narzędzia Indian dziś jeszcze spotykają się w warstwach guana. Hiszpanie zaniedbali następnie użytkowania tego cennego materiału, zrażeni zapewne wielkimi kosztami, z jakimi łączy się przewożenie guana do Europy, oraz niebezpieczeństwem opływania przyładka Horn.

Dopiero Humboldt na początku 19-go wieku zwrócił znów uwagę na guano, przesyłając próbki jego do Francji. Zdaje się jednak, że dopiero w 1841 roku rozpoczęto na wielką skalę eksploatację tego znakomitego nawozu. W ostatnich czasach główne partje guana wysyłane były na wyspę ś-go Maurycego. Antylle francuskie (Martynika i Guadalupe) zużywają także znaczną ilość tego nawozu do swych plantacji trzciny cukrowej.

Długi czas nie znano dobrze pochodzenia guana, przypisując mu nawet początek mineralny. Dopiero liczne kości ptaków, jakie w warstwach tej materji znaleziono, rzuciły światło na sposób powstania tak olbrzymich jego warstw. Bliższe zbadanie kwestji wykazało nawet, że wielkie te nagromadzenia wydzielin ptasich zawdzięczać należy tym gatunkom ptaków morskich, które dziś jeszcze na pobrzeżu Peru żyją, a mianowicie kilku gatunkom mew, głuptakom, pelikanom, burzykom, rybitwom, sulom i kilku gatunkom kormoranów.

Dziwnem zaiste wydaje się, gdy pomyślimy, że stada niedołączonych ptaków mogło się przyczynić bezwiednie do wstrząśnienia bytem całego narodu, dając mu chwilowo ogromne bogactwa, które tem smutniejszą uczyniły idącą po nich ruinę.

Zaznajomiwszy czytelnika z ogólnym charakterem Pomorza peruwjańskiego, powrócę teraz do mego opowiadania, które przebrałem był na przyjeździe do Limy d. 31 października 1875 roku.

Chwilowo zamieszkałem w pokoju Jelskiego przy ulicy Junin, w dwupiętrowym domu, otoczonym gankami wkoło na obu piętrach. Pokój nasz przedstawiał oryginalny widok, dzięki nagromadzeniu masy przedmiotów, niezbędnych podróżnikowi. Siodła, narzędzia stolarskie, ciesielskie, stosy papieru i bibuły, deski na skrzynie, blacha cynkowa, wszystko to rozrzucone było w artystycznym nieładzie, pozwalając ledwie znaleźć kawałek wolnego miejsca, gdzieby nogę postawić można było. Jedyne stół, jaki się w pokoju znajdował, tak był zavalony rozmaitymi gratami, żeśmy do herbaty siadali przy małej beczulce, wywróconej do góry dnem.

W braku lichtarza przylepiało się wieczorem świecę stearynową do dna tej beczki. Słowem, był to apartament prawdziwie kawalerski, a niezwykle obfitością przedmiotów, jakie się nagromadzało do przyszłej wycieczki, którąśmy właśnie obmyślali. Zdecydowaliśmy się jednak przed większą wyprawą w głąb kraju, pojechać do którego z portów, aby zdobyć dwa egzemplarze lwa morskiego (*Otaria jubata*), jeden dla Gabinetu Warszawskiego, a drugi dla świeżo powstającego Muzeum Raimondiego.

Zasięgnawszy rady osób kompetentnych, wybraliśmy za cel naszej wyprawy port Chimbote, jako obfitujący w lwy morskie. Według zdania ś. p. Malinowskiego, fokki znajdowały się tam w takiej ilości, że je kijami bito, wyskakując szybko z łodzi na ląd i atakując nieruchawe zwierzęta, zanim się do morza dostać mogły.

Nie tracąc więc czasu, wnet po moim przyjeździe zaczęliśmy robić przygotowania do tej wyprawy, a zaopatruwszy się w odpowiednią ilość prochu, kul, śrótu, ałunu i mydła arszenikowego, spakowaliśmy to razem z narzędziami do preparowania w kilka skrzyń i w cztery dni po mojem wylądowaniu byliśmy już na statku „Santiago”, najlepszym parowcu Kompanji oceanu Spokojnego. Trzeba było widzieć Jelskiego, jak z młodzieńczą energją prowadził przygotowania, znosząc pakiety sprawunków, pakując, zabijając skrzynie. I mnie się jego zapał udzielał, a przyznam się, zem własnego miał także sporo.

Statek „Santiago”, jak wszystkie parowce wspomnianego towarzystwa, kursujące jedynie na pobrzeżu oceanu Spokojnego, był kołowy. Kajuty pierwszej klasy mieszczą się na pokładzie, a oprócz tego w koło sali jadalnej, znajdującej się pod pokładem, ciągnął się szereg eleganckich kajut, przeznaczonych dla płci pięknej. Sala jadalna ze złoconymi gzymsami, i szklanymi ścianami, na których różne kwiaty namalowano; z kanapami, wysłanemi aksamitem i pianinem, ustawionem w jednym jej końcu, posiadała pozór bardzo elegancki i zbytkowny. Niezupełnie do niej pasowali różni pasażerowie z niższych warstw towarzystwa peruwjańskiego, z ciemnymi twarzami, brudnymi rękami i nieznośnym zwyczajem wydawania różnych niepotrzebnych odgłosów, wywołanych zbytniem przejedzeniem się. Rzecz to jednak zwyczajna w tych krajach republikańskich, gdzie niezawsze zamożność idzie w parze z oglądą towarzyską.

Etykieta przy siadaniu do stołu jest różną na statkach angielskich, od przyjętej na francuskich i niewątpliwie bardziej odpowiada wymaganiom towarzyskim. Kapitan prezyduje, sztab zaś cały, składający się z trzech oficerów (first, second i tirth officier), komisarza statku i doktora, zasiada na szarym końcu stołu; resztę miejsca zajmują pasażerowie. Tu więc uwzględniono pierwszeństwo, należące się pasażerom, jako gościom, przed członkami załogi, a kapitanowi przeznaczono miejsce główne dlatego, aby zaznaczyć, że on jest niejako królem tego małego państwa, upoważnionym nawet do najsurowszych środków w razie potrzeby; powaga więc jego ucierpiałaby, gdyby przed nim pasażerów sadzano. Na statkach zaś francuskich kapitan tak samo prezyduje przy stole, lecz obok niego bezpośrednio siadają członkowie sztabu, t. j. pomocnik (le second), doktor okrętowy i komisarz statku; dalej dopiero idą pasażerowie.

Anglicy, korzystając z monopolu żeglugi parowej na pobrzeżach oceanu Spokojnego od Panamy do cieśniny Magellańskiej, nadużywają swego wyjątkowego położenia na niekorzyść pasażerów.

rów. Ceny na statkach Kompanji Pacyfiku są niebywale: za przejazd z Panamy do Guayaquilu, trwający niespełna 4 dni pobierano wówczas około 400 franków, a przytem pasażerowie byli wystawieni na gburowate, a conajmniej despotyczne traktowanie ze strony członków załogi, nie pomijając nawet oficerów statku. Gdybyż przynajmniej zagwarantowaną była nietykalność rzeczy pasażerskich, możnaby poświęcić część swobody osobistej na korzyść ogólnego porządku. Lecz Kompanja umywa ręce od wszelkich strat, jakie mogą przejezdnym spowodować liczne kradzieże, praktykowane po większej części przez marynarzy chilijskich lub peruwjańskich, znajdujących się na służbie angielskiej. Każda kajuta posiada drukowane obwieszczenie, w którem Kompanja pozostawia pasażerom zupełną swobodę pilnowania swych rzeczy od złodziei; poleca natomiast składanie kosztowności i pieniędzy u komisarza statku, za co pobiera bardzo wysoką opłatę.

Kompanja Pacyfiku należy do najbogatszych na całym świecie. Flota jej składała się w czasie mej podróży z sześćdziesięciu kilku parowców różnej wielkości, zaczawszy od olbrzymów, jak na owe czasy, liczących po 5 tysięcy beczek, a skończywszy na małych stateczkach kilkuset-beczkowych służących do obsługi małych portów peruwjańskich lub chilijskich. Oprócz linii między Liwerpoolem i Callao, towarzystwo posyła statki z Callao do Valparaiso, Panamy, Tumbuzu i Eten (w północnem Peru).

Sposób w jaki doszła Kompanja do monopolu na południowo-amerykańskich pobrzeżach oceanu Spokojnego zasługuje na wzmiankę: jest to historia jednej z tych walk silniejszego ze słabszym, olbrzyma z karłem. Kilkanaście lat temu, oprócz Kompanji angielskiej, posyłało swe statki na ocean Spokojny Towarzystwo Transatlantyczne (Compagnie Générale Transatlantique). Statki francuskie odznaczały się przed innymi dobrą kuchnią i gładkiem obejściem załogi. Czy jednak obsługa portów oceanu Spokojnego przysilnem współzawodnictwie Anglików nie przynosiła korzyści towarzystwu francuskiemu, czy też wskutek umowy między dwoma Kompanjami<sup>4</sup> na podstawie której Anglicy mieli jakoby dać znaczną sumę Fracuzom, dość, że Towarzystwo Transatlantyczne wycofało swoje statki z oceanu Spokojnego, kierując je wyłącznie na Antylle i do Środkowej Ameryki. Zdawało się Anglikom, że zostali panami pobrzeży Peru i Chili, gdy niespodzianie dla nich utworzyło się Towarzystwo Chilijskie (Compania Sud-Americana), którego statki zaczęły rywalizować z angielskimi. Były to świetne czasy dla pasażerów. Kompanja angielska, chcąc zgubić swą rywalkę, zaczęła stopniowo obniżać ceny przejazdu, co zmuszało i Towarzystwo Chilijskie do redukowania tychże. Przyszło do tego, że za przejazd z Guayaquilu do Valparaiso, trwający przeszło tydzień czasu, płacono w pierwszej klasie zaledwie 15 soles (75 franków). Chilijscy jednak kapitaliści uparli się walczyć do ostatka, aż w końcu Anglicy, widząc że nic nie poradzą, podali rękę Chilijczykom, a rezultatem tej zgody było nadmierne podniesienie cen na statkach obu towarzystw. Gdy wreszcie nadeszła

wojna między Chili i Peru, Towarzystwo Południowo-Amerykańskie rozwiązało się samo przez się, odstępując rządowi swe parowce na statki transportowe. Mogli więc Anglicy tryumfować, gdyż zostali panami położenia.

Pomijając wygórowane ceny i dość wyraźny despotyzm załogi, statki angielskie na Pacyfiku posiadają wiele zalet. Czystość jest na nich wzorowa i raz zaprowadzony porządek ściśle przestrzegany. Na statkach francuskich można często widzieć pasażerów, sypiących w sali jadalnej lub w pokojach przeznaczonych do palenia. Na parowcu angielskim każdy musi się zadowolić swą kajutą, co niewątpliwie usuwa przykry widok nieporządku, jaki powodują pasażerowie, rozwłóczący pościel po całym statku.

Dodać też tu należy wielki rygor służby, dzięki któremu smutne wypadki rozbicia się statków angielskich przytrafiają się bardzo rzadko.

Kapitan parowca „Santiago”, wiozącego nas do Chimbote, okazał się dla nas bardzo grzecznym, na co wpłynęły stosunki przyjazne, jakie go łączyły ze ś. p. Malinowskim. Dowiedziawszy się, że jedziemy polować na fokę, zapewniał nas o dobrym skutku naszej wyprawy, gdyż sam polował w Chimbote na lwy morskie.

Przyjechawszy do celu naszej podróży, udaliśmy się do administratora budującej się kolei, niejakiego p. Lodge, do którego mieliśmy listy rekomendacyjne od p. Malinowskiego. Nowy nasz znajomy przyjął nas bardzo gościnnie i wyznaczył na mieszkanie duży pokój, urządzone z angielskim komfortem. Co zaś do samej wyprawy na fokę, zapewniał nam wszelką pomoc, o ile na to pozwolą środki, jakimi rozporządzał. Tymczasem zaś oprowadził nas po warsztatach kolejowych i zaproponował wycieczkę do swojej posiadłości (haciendy) Palo-Seco, gdzie świeżo ustawione młyny parowe do wyciskania trzciny cukrowej wkrótce miano w ruch puścić. Propozycję p. Lodge chętnie przyjęliśmy.

Port Chimbote, pomimo doskonałego położenia i znakomitej przystani dla statków, od niedawnego czasu dopiero zwrócił uwagę rządu peruwjańskiego. Nie nadano mu jednak właściwego znaczenia portu wojennego, gdyż w owych czasach nikt nie myślał, że za lat kilka Peru wieść będzie wojnę z sąsiednim krajem. Starano się więc zrobić zeń klucz do departamentu Ancachs, obfitującego w bogate kopalnie rozmaitych metali i w tym celu zamierzano połączyć go koleją żelazną z miastem Huaraz. Aby koleję wybudować jak najmniejszym kosztem, zdecydowano zrobić linię wązkotorową i ta jednak pochłonęła rządowi około 12 milionów soles (24 mil. rubli), pomimo, że jej nawet do połowy długości nie doprowadzono. Te 12 milionów wrzucono bezmyślnie w błoto, gdyż przerwana linja nie przynosi najmniejszej korzyści ani rządowi, ani jałowym okolicom, przez jakie przebiega. Jedynie wygrać na niej mogła wspomniana hacienda Palo-Seco, gdyby nie wojna peru-chilijska.

Kolej biegnie zrazu przez jałową równinę, zwaną Pampa de Chimbote, usianą gdzieniegdzie gęstymi krzakami chilca (*Bac-*

*caris Fevillet*), a następnie wydostaje się do doliny Rio de Santa, najdłuższego ze wszystkich strumieni peruwjańskich, wpadających do Oceanu Spokojnego. Widok zmienia się gwałtownie z pustyniowego na pełen zieleni, właściwy dolinom pomorskim. Obszerne plantacje trzciny cukrowej, należące do majątku Palo Seco, zajmują prawie całą szerokość doliny, a wśród nich wznoszą się doskonale zabudowania gospodarskie, mieszczące kosztowne maszyny, sprowadzone z Europy przez właściciela, niejakiego p. Derteano, jednego z najbogatszych Peruwjan. Derteano miał zamiar użytkować także jałowe równiny zwane Pampa de Chimbote, które można było przemienić na żyzne ziemie, dając im tylko niezbędną do uprawy wodę. W tym celu sprowadził inżynierów cudzoziemców, aby odpowiednie studja przeprowadzili i rzecz godna uwagi, panowie ci zdecydowali, że nie znajdują lepszego kierunku dla kanałów irygacyjnych, jak dawny, którego ślady przechowały się po dziś dzień. Trzeba bowiem wiedzieć, że Pampa de Chimbote była doskonale irygowaną w czasach przedpodbojowych, lecz następnie uległa zapuszczeniu dzięki ciągłym niesnaskom zdobywców hiszpańskich i małemu zajęciu się ich dobrobytem państwa. Zdumiewa nas, jakim sposobem ci napół-dzicy Indianie bez użycia żadnych instrumentów, byli w stanie nadać kanałom irygacyjnym możliwie najlepszy kierunek i spadek. Zdolność tę uważać należy jako instynktową, a przechowała się ona i dzisiaj u potomków dawnych Inkasów. Widziałem na własne oczy, jak pewien prosty rolnik, przy pomocy kilku najemników i posiłkując się jedynie drągami żelaznymi i łopatami, sprowadził na swoje pole wodę z odległości blisko dwu wiorst, mając do walczenia z dość twardą opoką skalistą.

Zamiary p. Derteano nie mogły się ziścić. Podczas wojny oddział chilijski naszedł haciendę Palo-Seco, żądając 100 tysięcy soles kontrybucji, a gdy mu jej odmówiono, wysadził kosztowne budynki w powietrze, nagromadzony zaś cukier zabrał na rachunek kontrybucji.

W drugiej swej połowie kolej żelazna, biegnąc już stale doliną rzeki Santa, dostaje się pomiędzy góry, które miejscami ścieśniają nadzwyczaj łożysko rzeki. Trzeba widzieć tę kolej amerykańską, jak się wije po stromych skłonach gór, mając niekiedy po jednej stronie urwistą ścianę, a po drugiej — szalony górski strumień, z szumem toczący swe nurty po łożysku, zawałonem kamieniami. Możliwie gwałtowne spadki i ciągła zamian kierunku—są to dwie charakterystyczne cechy górskich kolei, od których kolej chimbotańska niczem się nie różni. Znać, że ją budowali Yankes'i.

Sam port Chimbote, który przed niedawnym czasem był nędną osadą rybacką, składa się przeważnie z domków drewnianych, krytych cynkiem, lub według miejscowego zwyczaju—trzcina. Niebrukowane ulice są pełne kurzu, gdyż miasto zbudowane jest na aluwjalnym gruncie rozdrabniającym się pod wpływem promieni słonecznych na pył nadzwyczaj delikatny i lekki. Kilka sklepów

włoskich, kościółek i składy kolejowe stanowią najciekawsze szczegóły miasteczka. Dla wygody statków zbudowano niewielki pomost (dok) drewniany, ułatwiający ładowanie lub wyladowywanie mniejszych okrętów i bark; większe statki wskutek nieznacznej głębokości zatoki, zmuszone są zarzucać kotwicę nieco opodal od doku.

Liczne ślady wskazują, że Pampa de Chimbote była kiedyś bardziej, aniżeli dzisiaj zaludnioną. Co kroku spotykamy ruiny starożytnych budowli, ślady kanałów irygacyjnych, kości ludzkie i szczątki garncarskie, obficie po równinie rozsypane. Dawni władcy bogatej krainy umieli lepiej zużytkować jałowe na pozór ziemie, aniżeli dzisiejsi cywilizowani posiadacze. Wiedzieli oni, że tylko wody potrzeba tej urodzajnej glebie, aby z niej życie wydobyć; wszędzie też, gdzie tego potrzeba zachodziła, przeprowadzali z niezwykłą wytrwałością i znajomością rzeczy, kanały irygacyjne, które sowicie opłacały czas i pracę, zużyte na ich zbudowanie.

Według objaśnień, jakich nam udzielono w Chimbote, wypadło zrobić kilkudniową wyprawę na bezludny półwysep, leżący po stronie portu Supé. Pamięta zapewne czytelnik, że półwysep ten byłby wyspą, gdyby nie wązki pas piaszczysty, łączący go z lądem. Dwoma drogami można się dostać na niego: lądem, na co trzeba zużyć około 4 godzin czasu; lub wodą, przecinając po jednej z cięciw chimbozańską zatokę. Ponieważ i tą drogą zużyć trzeba nie więcej nad 4 godziny czasu, a podróż wodą posiada zawsze ogromną korzyść łatwego przewożenia niezbędnych przedmiotów, zdecydowaliśmy się przeto jechać dużą szalupą, której nam grzecznie udzielił p. Lodge, dodając kilku ludzi stacyjnych do wiosłowania. Stańło na tem, że wyjedziemy na trzy dni, biorąc odpowiedni zapas żywności i wody, gdyż przysła nasza siedziba jest zupełnie bezwodna. Po trzech dniach miała po nas wrócić szalupa i do portu odstawić.

Zapasy żywności były niewielkie i mało urozmaicone: trochę bułek, kilka puszek sardynek, pasztetów strasburskich i mięsa konserwowanego; herbata, kawa, cukier i parę gąsiorów wody — stanowiły całą naszą spiżarnię. Licząc się z tem, że na półwyspie brak zupełnie paliwa, wzięliśmy spirytusową maszynkę do robienia kawy i herbaty. P. Lodge pożyczył nam także wielki kawał żaglowego płótna i kilka dragów, z czego mieliśmy sobie zrobić namiot, przydatny nie tyle do spania, ile do zajęć dziennych przypodziejaniem preparowaniu skór lwów morskich. Podobna praca pod prostopadłymi promieniami słońca bardzoby dla nas przykłą była.

W poniedziałek, 8-go listopada, pożegnaliśmy grzecznego gospodarza i wsiadłszy do wygodnej szalupy, odbiliśmy od brzegu. Czterech wiosłarzy, energicznie wiosłując, doprowadziło nas po dwugodzinnej zaledwie żegludze do celu naszej podróży. Półwysep tworzy od strony zatoki mały, zaciszny port, nad którego brzegami foki obrały sobie stanowisko, o czem przekonaliśmy się



zaraz na wstępie, podpływając do lądu. Spłoszone jednak zwierzęta pouciekały natychmiast do wody, a kilka strzałów, jakie do nich puściliśmy, nie przyniosły żadnego skutku.

Brzeg owej zatoczki, nad którą sobie siedlisko wybraliśmy, był niski, piaszczysty, dopiero w pewnej odległości od wody otaczała go wysoka na kilka łokci górnica, utworzona z samego oguan.

Pomiędzy nią i ścianą skalistą gór półwyspu, ciągnął się rodzaj parowu, zasłanego zbieletemi kośćmi fok różnej wielkości, naniesionymi prawdopodobnie przez morze w czasie jednej z tych wielkich katastrof, tak częstych na amerykańskich brzegach Pacyfiku. Prawdopodobnym jednak byłoby także przypuszczenie, że kości te nagromadzone były przed niedawnym czasem, gdy polowano zawzięcie na foki w celach dobywania tłuszczu, cenionego bardzo jako smar do maszyn, choć znowu sprzeciwia się temu okoliczność, że ruiny pieców do wytapiania smalcu znaleźliśmy w zupełnie innym miejscu.

Cmentarzysko to obraliśmy sobie za miejsce do rozbicia namiotu. Dwa drągi, sprowadzone w tym celu umocowiliśmy jednym końcem w skalistej ścianie, drugi zaś podparliśmy rodzajem filarków, ułożonych z kamieni; na tem rusztowaniu naciągnęliśmy płótno i namiot był gotów. Trzeba było doń wchodzić na czworaku, lecz chronił nas przynajmniej od palących promieni słońca, a w nocy od mgły, jaka niekiedy popadywała. Wszystkie nasze ważniejsze rzeczy znieśliśmy do namiotu, a resztę zostawiliśmy na zewnątrz.

Dopełniwszy tej roboty odprawiliśmy szalupę wraz z ludźmi do Chimbote, i zostaliśmy sami jak dwu Robinzonów na bezludnej wyspie, otoczeni dzikimi skałami i morzem, mając za jedynych towarzyszy foki i stada ptactwa morskiego, zlatującego się na piaszczyste pobraże. Trzeba było przedewszystkiem poznać miejscowość, aby mózż kampanję rozpocząć, posiliwszy się więc suchą bułką z sardynkami i wypiwszy herbatę, poszliśmy na rekonesans. Droga nasza prowadziła bardzo stromym spadkiem góry, zawalonym odłamami skał i porośłym gdzieśgdzie po jarach i wądołach wielkimi kępami suchej, czołgającej się tillandsji. Oprócz niej zrzadka porastające kaktusy, lub jaki drobny kwiatek, tulący się po szczelinach, aby go słońce zbyt nie spiekło — były jedynymi przedstawicielami świata roślinnego. Krajobraz był w najwyższym stopniu dziki i samotny.

Pnąc się pod górę, doszliśmy wreszcie do grzbietu, wzniesionego na jakie 400 stóp nad poziom morza, skąd ujrzeliliśmy przed sobą niezmierną powierzchnię oceanu. U stóp naszych widać było głęboki o prostopadłych ścianach wąwóz, do którego fala morska z hukiem napływała. Ryk jej wszelako pokrywały donośne głosy fok, które nas dochodziły; robiły one wrażenie, jakby mieszane stado wołów, świń i baranów uwzięło się na dawanie koncertu: ryk, beczenie, chrząkanie wydostawały się z pomiędzy

prostopadłych ścian szczeliny, tworząc trudną do opisania mieszaninę głosów.

Spuściliśmy się ostrożnie aż pokąd spadek góry pozwalał na to i znaleźliśmy się wreszcie nad brzegiem przepaści, skąd obserwować można było ciekawy widok. Fala miarowo i spokojnie napływała do szczeliny, dopiero u jej wierzchołka rozbijała się z głośnym szumem o kilka olbrzymich głazów skalistych. Strome brzegi wąwozu, posiadające kilka występów, oraz mała, skalista wysepka, znajdująca się pośrodku szczeliny, oblepione były lwami morskimi (*Otaria jubata*) różnej wielkości. Jedne z nich martwo leżały na odłamach skały, oddając się leniwie spoczynkowi, inne znów, widocznie młode, igrały w wodzie pod okiem matek, leżących na brzegu. Na małej wysepce widać było kilkanaście samic, które łatwo odróżnić od samców, gdyż są o połowę mniejsze i posiadają barwę płową, gdy samce są ciemno brunatne. Pośród nich, niby sułtan wśród haremów, drzemał olbrzymi samiec. Naraz w pobliżu wysepki ukazała się na wodzie potężna głowa innego samca, nadpływającego widocznie z wojowniczymi zamiarami, gdyż wydawał silne chrząkanie, jakby chciał powiedzieć swemu rywalowi: „Zobaczymy, kto silniejszy“. Zrozumiały to wyzwanie spokojnie leżące samice, gdyż popłoch się między nimi robi: rzucają się szybko, łbem naprzód do wody; na wysepce zostaje tylko sułtan i wyłażący z wody rywal. Z rykiem rzucają się na siebie, gryzą się, połyskując białymi kłami. Walka krótko trwała i przybysz został wreszcie posiadaczem wysepki.

Rywalizacja samców straszne wywołuje starcia; nieraz obserwować można te walki, w których słabszy musi ustąpić silniejszemu. Jeden ze zdobytych przez nas egzemplarzy posiadał kilka strasznych blizn na skórze. Lwy morskie żyją, jak się zdaje, w wielożeństwie, a słabsze samce, zmuszone trzymać się na osobności, łączą się w niewielkie stada z kilku lub kilkunastu sztuk złożone i przebywają zdaleka od swych szczęśliwych współzawodników, którzy nie znoszą ich sąsiedztwa.

Długo przyglądaliśmy się tym ciekawym stworzeniom, noszącym wszystkie cechy zwierząt ssących, a posiadającym obyczaj ziemno-wodne.

W końcu sądząc, że niema sposobu dostać się na dno wąwozu, obeszlśmy górę z drugiej strony i wróciliśmy do namiotu.

Następnego dnia, wstawszy przed wschodem słońca, usłyszeliśmy charakterystyczne chrząkanie i ryk lwów morskich w niewielkiej od namiotu odległości. Nie tracąc więc, czasu postanowiliśmy je podejść, co się okazało rzeczą niełatwą. Wiatr mieliśmy bardzo niekorzystny, a i grunt nie odpowiadał celowi. Czołgając się na brzuchach po górze guanowej, posuwaliśmy się naprzód bardzo powoli; niekiedy wiry powietrzne deły nam w oczy drobny pył guanowy, czyniąc w wysokim stopniu przykrem nasze położenie. Po dwugodzinnem czołganiu się znaleźliśmy się na odległość 150 kroków, gdy nas foki poczuły, co zaraz zdradziły niepokojem i widoczną chęcią ucieczki do morza. Jelski miał

swój sztucer; ja wziąłem ze sobą dubeltówkę, nabitą eksplodującymi kulami. Odległość była zbyt wielką, aby strzał mógł być pewny, czasu jednak nie było do stracenia, gdyż jeszcze jedno poruszenie, a wszystkie foki do morza uciekną. Zmierzyliśmy się więc i razem, jak na komendę, daliśmy ognia, lecz bez żadnego skutku. Spłoszone zwierzęta szybko puciekwały do morza; pozostał tylko na brzegu jeden samiec i jeden młody. Podbiegłem ku nim ze 100 kroków i dałem ognia z drugiej lufy, lecz znów bezskutecznie.

Smutne mieliśmy miny, wracając do namiotu, a twarze nasze jeszcze się bardziej wydłużyły, gdyśmy się przekonali, że wody wkrótce zabraknie. Postanowiliśmy więc, że Jelski pójdzie nazajutrz do Chimbote i powróci z zapasem wody i żywności na dni kilka; ja tymczasem miałem badać położenie i próbować szczęścia, gdyby się po temu sprzyjające okoliczności nawinęły. Tymczasem poszliśmy na rozpoznanie drogi przez góry do owego przesmyku piaszczystego, którym towarzysz mój miał się nazajutrz dostać do miasteczka.

Droga była trudna i niebezpieczna. Strome spadki utrudniały pochód, zmuszając nas miejscami do użycia całej naszej zręczności przy skokach z kamienia na kamień, aby tylko w przepaść nie runąć. Po godzinnem drapaniu się po skałach przedostaliśmy się wreszcie na piaszczysty przesmyk, skąd już droga prowadziła po równym gruncie. Wypocząwszy nieco i orzeźwiwszy się morską kąpielą w małej i cichej zatoczce, powróciliśmy do namiotu, przekonani już teraz, że można się lądem dostać do Chimbote. Później odkryliśmy dobrze wydeptaną ścieżkę, pozostałą jeszcze niewątpliwie z czasów Inkasów, którą łatwiej daleko było się przedostać na drugą stronę grzbietu góry, tworzącej półwysep.

Jakoż rankiem następnego dnia wyruszył Jelski lądem do Chimbote, zalecając mi, abym do fok strzelał tylko w takim razie, gdy strzał będzie pewnym, — ranione bowiem foki zawsze giną, gdyż mają jeszcze dość siły, aby się do morza dowlec. Nie miałem też zamiaru polować na nie podczas nieobecności mego towarzysza, wiedząc naprzód, że sam sobie nie poradzę ze zdjęciem skóry. Poświęciłem się tylko zbieraniu krabów, muszli i innych okazów morskich do zbiorów. Około południa wróciłem do namiotu z dość bogatym łupem i posiłem się nieco z naszej skromnej spiżarni. Żyłka myśliwska nie dawała mi tymczasem spokoju, aż w końcu uległem jej i zarzuciwszy strzelbę na ramię, zaopatrzonej w nieco herbaty niesłodzonej, pomaszzerowałem w górę, pragnąc dostać się do owego wąwozu, w którym zawsze spotkać można było paręset fok rozmaitej wielkości. Pierwotnym niaby zamiarem moim było szukanie stosownego przejścia, któremby można się było spuścić na samo dno szczytu. W tym celu poszedłem nową zupełnie drogą, a wydostawszy się na grzbiet góry, przekonałem się, że z pewnym ryzykiem można się tam dostać po bardzo stromym spadku, zasypanym ruchomym piaskiem i od-

łamami skał. Dość szybko i niespodziewanie znalazłem się w odległości zaledwie trzydziestu kroków od lwów morskich, które widocznie obdarzone bardzo słabym wzrokiem, nie widziały mnie, a czuły ich węch nie mógł zdradzić mej obecności, gdyż wiatr dał od morza.

Najbliżej odemnie leżał ogromny samiec, leniwie przeciągający się od czasu do czasu. Strzał miałem do niego pewny, lecz nie uważałem za stosowne zabijać go, gdyż nie dałbym sobie rady ze zdjęciem skóry, a nadto leżał na płycie kamiennej, omywanej przez wzbierające morze; łatwo więc fala mogła unieść ciało zabitego zwierzęcia.

Chwilę stałem niezdecydowany, przyglądając się po raz pierwszy z tak bliska osobliwemu widokowi.

Na trzy strony wznosiły się prostopadłe niemal, skaliste ściany wąwozu; u stóp moich morze rozbijało się z hukiem, zraszając odłamy skał i liczne zwierzęta na nich spoczywające, drobnym, białawym pyłem wodnym. Ryk fali i donośne, mieszane głosy zwierząt zlewały się w jeden zagłuszający łoskot, spotęgowany ciasnotą miejsca. O kilkadziesiąt kroków odemnie wylegiwały się spokojne zwierzęta, gdy inne wesoło igrały na podnoszącej się i opadającej miarowo powierzchni zatoki. Żal mi było wprowadzać śmierć i zamęt pomiędzy tę niewinną rzeszę, lecz z jednej strony żyłka myśliwska, rugująca wszelkie uczucia litości, a z drugiej surowy obowiązek zbieracza przytłumiły niebawem ten głos serca. Prędko zdecydowałem się i wybrawszy jedną z niewielkich samic, dałem ognia, mierząc na komorę. Strzał był celny, gdyż w tej chwili bryznęła obficie krew z rany komorowej, spowodowanej dwunasto-kalibrową kulą, lecz na nieszczęście takie strzały dla fok nie wystarczają.

Raniona foka, parta przez liczne jej towarzyszki, rzuciła się do morza i więcej się nie pokazała. W tej chwili spostrzegłem jedną z zapóźnionych samic, jak się do rzucenia z odłamu skały szykowała. Szybko zmierzylem do niej i wypaliłem, tym razem skuteczniej, gdyż kula przebiła kark przy samej nasadzie czaszki. Strzał był piorunujący i biedny zwierz ani drgnął. Lecz w chwili, kiedy z tryumfującą miną biegł do niego, gwałtowny bałwan wzniosł się ponad głazem, podmył ciało foki i uniósł na dno morskie; tylko duża plama krwi znaczyła to miejsce, gdzie zwierz zatonął.

Zły i smutny zawróciłem i szybko zacząłem się pod górę drapać, jak gdybym zbrodnię popełniwszy, uciekał przed własnymi wyrzutami sumienia. W początkach myśliwskiej kariery wielu zapewne doznaje przygnębiającego wrażenia na myśl niepotrzebnego mordowania bezbronnych istot lecz, z czasem serce nasze hartuje się, a miejsce uczucia litości zajmuje wszechwładnie instynkt zabijania, oraz chęć popisania się celnością strzału. Każdy myśliwy doznaje niezwyklej radości na widok śmiertelnie ranej zwierzyny, zwalającej się jak snop, gdy śrót lub kula przebijają który z ośrodków życia. Ja jednak wtedy początkowałem do-

piero, niech mi więc myśliwi wybaczą, że jeszcze dawał dostęp uczuciom litości.

Szybko, o ile na to pozwalał stromy spadek i usuwający się z pod nóg piasek, wdrapałem się na grzbiet góry, skąd łatwo dostałem się do namiotu. W drodze jeszcze spostrzegłem, że w miejscu, gdzieśmy już raz z Jelskim próbowali szczęścia, wyległo z dziesiątek lwów morskich, prawie samych tylko samców, jeden większy od drugiego. Zapragnąłem raz jeszcze skorzystać ze sposobności i starać się podkraść na strzał pewny. Widząc, że czołganie się górką guanową byłoby niekorzystne, gdyż wiatr był nieodpowiedni, obszedłem górą aż do jednego z grzbietów pobocznych, który kończył się na pobrzeżu właśnie w tym miejscu, gdzie się foki wylegały. Tu wiatr miałem skośny, była więc nadzieja, że mi się uda zejść ostrożne zwierzęta, pomimo, że miejsce było odkryte, tylko tu i ówdzie rozrzucone odłamy skał stanowiły dla myśliwego jaką taką zasłonę. Szedłem śmiało, licząc na wiatr dość korzystny i na wrodzoną ślepotę lwów morskich. Dopiero znalazłszy się od nich na odległość 150 kroków, położyłem się na brzuchu i dalej posuwałem się, czołgając. W taki sposób zdołałem zbliżyć się do fok na jakie 50 kroków, gdy nagle wiatr chwilowo zmienił kierunek i zwierzęta rzuciły się ku wodzie. Zerwałem się szybko na nogi, widząc swoje nadzieje i tym razem rozwiane, lecz w tej chwili spostrzegłem, że jeden z największych samców, zaspany widocznie bardzo, nie zrozumiał niebezpieczeństwa położenia, gdyż leniwie podniósł głowę, wolno zadarł ją do góry i ziewnął szeroko. Padł strzał szybki i piorunujący, a echa rozniosły go po górach i wądołach. Bezwładnie osunęła się głowa zwierzęcia, a gdym podbiegł do niego, już tylko ostatnie konwulsyjne drgania wzruszały jego bokami, a krew spiekła obficie płynęła pyskiem.

Była wtedy godzina 5-ta po południu; nazajutrz bowiem towarzyszy mój mógł przybyć dopiero około dwunastej, a przez ten czas gnicie postąpiłoby bardzo pod promieniami zwrotnikowego słońca, ja zaś sam nie zdołałbym nawet przewrócić olbrzymiego zwierza do góry brzuchem. W podobnych okolicznościach decyzja musiała być szybką. Widząc, że fala morska nawet podczas przypływu nie dojdzie do miejsca, gdzie leżało martwe ciało foki, wróciłem szybko do namiotu, umieściłem w nim wszystkie rzeczy, mogące uleść zniszczeniu lub uszkodzeniu na nocnej rosie i zarzuciwszy strzelbę na ramiona, puściłem się ochoczo ku Chimbote. Już słońce zaszło i poczynano się ściemniać, gdym się wy dostał z gór na piaszczysty przesmyk, skąd równą drogą po mokrym piasku pobrzeża maszerowałem bez żadnej przeszkody. Zciemniło się; tylko księżyc oblewał przedmioty swemnie pewnym światłem. Szedłem bardzo szybko, zatrzymując się tylko chwilami dla napicia się herbaty, którą niosłem w manierce, płosząc od czasu do czasu zapadłe na pobrzeża dla noclegu ptactwo morskie. Po trzygodzinnym marszu stanąłem wreszcie w miasteczku, znużony całodziennym chodzeniem i głłodniały strasznie.

Ogarnawszy się nieco i wymywszy twarz, która od trzech dni wody słodkiej nie widziała, zasiadłem w schludnym pokoju do wieczerzy, opowiadając swoje całodzienne przygody z zapalem nowicjusza. Jelski tłómaczył moje słowa naszemu gospodarzowi na hiszpański, gdyż podówczas zaledwie poczynałem władać tym językiem. Okazało się, że moja podróż do Chimbote była konieczną, towarzysz mój bowiem najął był wraz z łodzią pewnego rybaka, rodem Greka i miał wyruszyć dnia następnego na półwysp dopiero po śniadaniu. Teraz postanowiliśmy, że się tam udamy jak można najwcześniej, aby rozpocząć preparowanie skóry lwa morskiego, zanim ciepło promieni słonecznych rozłoży jego ciało.

Tego jeszcze dnia załatwiliśmy kilka ważnych sprawunków, dotyczących naszej spiżarni i przy gotowaliśmy, baryłkę słodkiej wody, która dla nas na półwyspie była kwestją życia. Maleńka łódki Greka budziła pewne obawy, gdyśmy do niej dnia następnego wsiadali: nas trzech i różne przedmioty wypełniały ją po brzegi, zanurzając w wodzie więcej, niż potrzeba. W dodatku świeży ranny wiaterek podnosił w zatoce falę dość grubą jak na tak mały stateczek, bryzgając na nas od czasu do czasu kropkami wody. Constantino, nasz rybak, który miał nam towarzyszyć aż do skończenia wyprawy, usilnie pracować musiał dwoma wiosłami, aby doprowadzić do celu ciężko naładowane czółno. Dopiero po czterogodzinnej ciężkiej i dość niepewnej przeprawie zbliżyliśmy się do naszej zatoczki, gdzie z przerażeniem spostrzegliśmy stada kondorów i urubów, uczujących na zabitej przezemnie focie. Już nam się zdawało, że wszystkie nasze nadzieje w łeb wzięły; tem większą była radość nasza, gdyśmy spostrzegli, wyskoczywszy na brzeg, że całe uszkodzenie ograniczało się do dwu małych dziur w skórze i do wylupienia oczu. Drapieżniki nie miały dość czasu, aby grubą skórę przebić na większej powierzchni, ucztą więc dla nich jeszcze się nie rozpoczęła.

Ten to egzemplarz foki znajduje się dzisiaj w gabinecie warszawskim. Przed zdjęciem skóry piękny ten samiec mierzył 2 metry 37 cent. od końca nosa do końca ciała, a potężna jego czaszka przechodziła wielkością największe głowy bengalskiego tygrysa. Fajkowy nos, krótki pysk—nadawały mu nieco wygląd buldoga; wydłużona sierć na karku i szyi przypominała rzeczywiście lwa, od którego nazwę zapożyczył. Walcowate ciało było tak ciężkie, że z trudnością we trzech przewróciliśmy je do góry brzuchem, aby poprowadzić główne cięcia, ułatwiające obdarcie ze skóry.

Tego jeszcze dnia zdjętą skórę przenieśliśmy do namiotu, gdzie nam jej czyszczenie zajęło półtrzecia dnia czasu. Robota była ciężka i w wysokim stopniu żmudna. Siedząc po turecku na ziemi, wystawieni w części na działanie palących promieni słońca, oddychając cały czas wstrętnym pyłem guanowym, odznaczającym się bardzo ostrym i nieprzyjemnym odorem — oczyszczaliśmy skórę z tłuszczu i mięsa. Constantino dopomagał nam ocho-

czo w tej ciężkiej pracy, zabawiając nas rozmową i opowiadaniem o Grecji lub Konstantynopolu, w którym lat kilka przebył. Chwile posiłku były dla nas krótkimi momentami wytchnienia, gdyż spieszyć było trzeba z oczyszczeniem skóry, aby ją wyalunować, zanim rozkład nastąpi. Wreszcie trzeciego dnia pod wieczór ujrzelśmy z radością wielką skórę doskonale oczyszczoną i natartą ałunem przemieszanym z solą kuchenną. Mogliśmy odetchnąć swobodniej i pomyśleć o zdobyciu drugiego egzemplarza.

Jeszcze tego dnia, kiedyśmy z Chimbote wrócili i skórę przed namiot przenieśli, przytrafił nam się następujący wypadek z liskiem pomorskim (*Canis deserti*). Siedzieliśmy już w namiocie na naszych posłaniach, paląc papierosy i prowadząc głośną rozmowę. Mogła być godzina 8-a wieczorem; błdy księżyc rzucał niepewne światło na cmentarzysko lwów morskich, jakie mieliśmy przed sobą. W odległości kilkunastu kroków od namiotu rozrzucone były szczątki foki, świeżo obrane ze skóry. Nagle spostrzegliśmy niewielkie stworzenie, śmiało podchodzące do resztek mięsa, jakgdyby nas wcale w namiocie nie było. Strzelby mieliśmy obok, lecz nie nabite; Jelski chwycił odcylcową dwururkę i szybko nabił pękającą kulą, gdyż były to jedyne gotowe ładunki, jakieśmy mieli ze sobą. Wskutek jednak niepewnego światła księżyc strzał zgórował i kula eksplodowała w znacznej od namiotu odległości, uderzywszy o nadbrzeżne kamienie. Lisek na strzał umknął szybko. Kombinując jednak, że wrócić może, nabiłem w tej chwili swoją pistonówkę grubym śrótem i postawiłem przy sobie. Jakoż nie więcej jak w dziesięć minut powrócił, a zachwalstwo swe życiem przypłacił. Na nieszczęście egzemplarz ten nie zdał się do zbiorów, gdyż następnego rana już tak nadgnił na brzuchu, że mu sierć kępami wylaziła; preparacja zaś skóry lwa morskiego tyle nam czasu pochłaniała, że nawet o zrobieniu szkieletu myśleć nie mógł. Brak ten wypełniłem następnie w Tumblezie, gdzie mi się udało zdobyć bardzo ładny okaz tego nowego dla nauki gatunku.

Ukończywszy z pomyślnym skutkiem preparowanie skóry, wyznaczaliśmy sobie dzień jeden na spoczynek, który polegał na tem, żeśmy nasz namiot przenieśli o paręset kroków w stronę morza i urządzili go wygodniej w miejscu zasłoniętym zupełnie od wiatru. Jeden z drągów oparliśmy pionowo jednym końcem o ścianę skalistą; drugi zaś podparliśmy pozostałą żerdzią; poczem przykryliśmy to proste rusztowanie płótnem żaglowem. Dzięki temu urządzeniu mieliśmy namiot dwa razy wyższy, unikając przykrego wczolgiwania się na czworakach i zachowywania stale siedzącej pozycji.

Resztę czasu użyłem na małe polowanie, jakieśmy w łodzi wraz z Constantinem po zatoczce urządzili. Spostrzegłszy tutajszego bezłota (*Spheniscus Humboldti*), dałem do niego ognia, lecz raniony ptak znurkował i wypłynął o 200 kroków dalej. W tej chwili Constantino wskazał mi w dość znacznej, jak na strzał, odległości piękno morskiego nura (*Podiceps occidentalis*), którego

bardzo pragnąłem zdobyć. Strzał pomimo znacznej odległości był bardzo szczęśliwy; z tryumfem powróciłem do namiotu, niosąc rzadką zdobycz, którą dnia następnego odpreparowałem, napychając ją w braku innego materiału — słomą, jaka się między naszymi gratami znalazła.

Tymczasem obserwowaliśmy pilnie ruchy fok, starając się o ile możności pozostawić je w spokoju, aby łatwiej było zabić drugi egzemplarz dla Muzeum Raimondiego. Ukończywszy preparowanie nura, wziąłem strzelbę i manierkę z niesłodzoną herbata, udając się do owej szczyby, gdzie kilka dni temu tak niefortunnie dwie foki zamordowałem. Dnia tego udało mi się zbliżyć na odległość strzału do dwóch bardzo pięknych samców; leżały jednak na tak pochyłych głazach, że w razie nawet szczęśliwego postrzelenia jednego z nich trup zwierzęcia zsunąłby się niechybnie do morza. Nie chcąc bezpotrzebnie zwierząt tępić, zostawiłem je w spokoju, obserwując tylko z ciekawości w ciągu paru godzin ruchy i zachowanie się lwów morskich, słuchając ich głosów potężnych, które prostopadle ściany wpadliny potęgowały niezmiernie.

Następnej nocy obudziły mnie około 1-ej g. ryki i chrząkania fok, dochodzące z nieznacznej odległości. Otworzywszy oczy, spostrzegłem mego towarzysza, jak siedząc w kuczki przed namiotem, pilnie przyglądał się ruchom zwierząt, których ciemne masy można było rozróżnić przy świetle księżyca w odległości trzystu kroków od namiotu. Uradziliśmy cichaczem, że ja z dubeltówką podczołgam się jak najbliżej i dam ognia. Postanowienie to natychmiast wykonałem. Zarzuciwszy na siebie nieco ubrania, zacząłem się podczołgiwać na brzuchu z jak największą ostrożnością. Wszystko szło pomyślnie, pókim się nie znalazł na odległość 25 kroków od lwów morskich; tu nagle zwierzęta poczuły mnie i z szybkością, ograniczoną ich niezdarnymi ruchami, rzuciły się ku morzu. Szybko zmierzylem, nie widząc nawet dobrze muszki, gdyż w tejsze chwili obłok zakrył mi księżyc: kula w chwilkę potem eksplodowała w znacznej odległości, a ja z niczem wróciłem do namiotu.

Kilka jeszcze prób niefortunnych dzieliło nas od dopięcia zamierzonego celu. Raz Jelski zabił ogromnego samca, lecz ten w konwulsjach konania zsunął się był do morza i przepadł. To znów ja położyłem trupem samicę, która również do morza wpadła, aby się więcej nie pokazać. Aż wreszcie dnia 16 listopada usiłowania nasze uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem.

Po południu dnia tego spuściliśmy się należycie uzbrojeni na dno wąwozu, który już był kilkakrotnie świadkiem naszych bezowocnych operacji. Jelski miał swój doskonały sztucer Gastine-Renette'a, ja zaś odtylcową dubeltówkę, nabitą eksplodującymi kulami. Ostrożnie spuszczać się po urwistym spadku, znaleźliśmy się wreszcie na dnie wąwozu poza wielkim odłamem skały. Lwy morskie jak zwykle pływały po wodzie, ryczały, beczały, lub oddawały się sjeście na głazach skalistych. Jeden z nich, potężny



samiec, spał sobie najspokojniej w odległości zaledwie 20 kroków od nas, zwrócony ku nam głową. Szeptem naradziliśmy się, że dla większej pewności strzelimy razem, mierząc w małą łysin-kę, jaką zwierz na czole posiadał. Mierzyliśmy długo, opierając łokcie o głaz kamienny zasłaniający nas od strony morza. Trze-  
ba było raz skończyć i drogi czas na co innego poświęcić. Zlane w jeden, huknęły potężnie dwa strzały: zwierz drgnął konwulsyjnie i pozostał w tej samej pozycji warującego psa. Obie kule prze-  
szły kość, robiąc tylko jedną dziurę tam właśnie, gdzie się przedtem łysek znajdował. Mogliśmy tryumfować.

Lecz czasu nie było do stracenia, gdyż przyływ morski już się zaczął, a foka leżała tak blisko morza, że lada chwila obawiać się należało, aby jej fala nie uniosła. Szybko puściłem się ku namiotowi, drapiąc się z trudnością pod górę zziąjany i niepewny, czy zdążymy w porę, skórę ściągnąć. Wreszcie, upadając ze znu-  
żenia, dostałem się do naszej siedziby, gdzie zastał Constantina, świeżo wracającego z bezowocnej wyprawy na foki, na jaką poje-  
chał czólnem z moją dwururką pistonową. Zabrawszy go i za-  
opatrzywszy się w postronki, wróciliśmy jaknajprędzej do Jelskie-  
go. Czekala nas tu robota przykra i trudna. Ciężki i ślizki zwierz  
leżał tak niekorzystnie pomiędzy dwoma głazami, żeśmy go  
z trudnością we trzech przekręcili. Zdjęcie skóry było nadzwyc-  
zaj utrudnione i fale przyływu omywały już nogi nasze, gdy-  
śmy tę swoją robotę kończyli. Teraz trzeba było ciężką, nieo-  
czyszczoną skórę, ważącą przynajmniej wraz z głową i nogami  
jakie 300 funtów, przenieść do namiotu.

Constantino okazał się w tym razie nieocenionym. Zlany po  
tem, zziąjany, windował się z ogromnym ciężarem po stromym spa-  
dku, gdzie nawet bez ładunku trudno się było wdrapać. Co kil-  
kanaście kroków stawał i odpoczywał. Myśmy dopomagali mu,  
o ile sił nam starczyło i tak w końcu wywindowaliśmy drogocen-  
ną skórę na grzbiet góry, liczący, jak sobie czytelnik przypomni,  
około 400 stóp nad poziom morza. Stąd praca poszła już łatwiej,  
gdyż można było zwinieć w kłębek skórę staczać po stromym  
spadku. Zaraz po przybyciu do namiotu wyłunowaliśmy ją i na-  
solili, pozostawiając wykończenie do dnia następnego, gdyż słoń-  
ce zachodziło, a zmęczeni byliśmy strasznie.

Wysławszy Constantina po wodę i żywność do Chimbote,  
poświęciliśmy całe dwa dni następne na oczyszczenie skóry i do-  
piero d. 19. listopada zaczęliśmy pakować rzeczy do powrotu. Oko-  
ło 4-ej po południu wszystko było gotowe do drogi, okazało się  
jednak, że skóry i inne nasze graty tak obciążały małą łódeczkę,  
że się prawie po same brzegi w wodzie zanurzała, niepodobna  
więc było myśleć o jechaniu wodą. Odesłaliśmy tylko rybaka  
z rzeczami, my zaś dwaj puściliśmy się łodem do miasteczka,  
gdzieśmy szczęśliwie dotarli po kilkugodzinnym marszu. Wkrótce  
po nas nadpłynął też i Constantino.

Tak się skończyła nasza dziesięciodniowa wyprawa na foki.  
Przez ten czas żyliśmy jak Robinson zdala od ludzi, mając za to-

warzyszy ptactwo i lwy morskie. Pomimo licznych niewygód i częstych niepowodzeń, pobyt nasz na bezludnym półwyspie pozostał bardzo miłe wspomnienie. Namiot mieliśmy obszerny i dość wygodny, tylko ostry pył guanowy przenikał wszystkie nasze przedmioty, brudząc nas samych. Pościel jeszcze po miesiącu czuć było przykrym zapachem guana.

Widok mieliśmy na zatokę chimботаńską. Poza namiotem wznosiła się wysoka ściana skalista; u stóp naszych szumiała fala morska. Zrana, bywało, gdy oczy otworzę, widzę mego towarzysza siedzącego już na pościeli. Na wschodzie świetna smuga zwiastuje, że słońce zaraz wejdzie; niebo zasnuwane szaremi chmurami, które wkrótce rozpląną się w powietrzu. Ptactwo budzić się zaczyna, sępy przelatują z miejsca na miejsce; w dali przeciąga stado pelikanów, kulon świszczę, a na brzegu tokują ostrogojady, naśladując niby świst lokomotywy. Wstawszy, jeden z nas zajmuje się przyrządzeniem kawy lub herbaty na maszynie spirytusowej, a Constantino tymczasem przeciąga się na pościeli: dziwny stosunek, gdzie pan odgrywa rolę służącego i odwrotnie, lecz w Ameryce nie razi to jakoś; w obec dziewiczej przyrody, rzuceni na kupę skał, czujemy się równi wszyscy, uczymy się cenić serce, a nie tytuł. Zanim przystąpimy od zjedzenia śniadania, wartoby się umyć, lecz myć się nie ma w czym i gdzie, bo myć się wodą morską, to lepiej wcale się nie myć. Szybko wypijamy kawę, zakąsiwszy suchą bułką; czas już do roboty lub na wyprawę. Koło 1-ej skromny obiad, składający się z herbaty, chleba z masłem konserwowanem i sardynkami lub pasztetem sztrasburskim, a bywały dni, żeśmy suchym chlebem żyli wyłącznie.

Nie mniej jednak, powiadam, wiele było poezji w tem życiu odludnem na łonie Matki Przyrody. Czas zatarł zupełnie wspomnienie wszelkich niewygód i przykrości; pozostała tylko pamięć radości z dopięcia zamierzonego celu.

Kilka dni jeszcze zabawiliśmy w Chimbote, aby dać skórom lwów morskich czas do podeschnięcia; my tymczasem zrobiliśmy kilka wycieczek w okolice miasteczka, a korzystając z grzecznego zaproszenia p. Lodge, pojechaliśmy z nim koleją żelazną dla obejrzenia robót, przerwanych już podówczas z braku funduszków.

Bezpośrednie okolice miasteczka, czyli takzwana Pampa de Chimbota, jałowa i porośnięta jedynie kępami chilca (*Baccaris Feuillei*), niebogaty zbiór zapewniała ornitologowi. Dwa gatunki kolibrów, przedrzeźniacz (*Mimus longicaudatus*) i papużka (*Myiopsitta orbignesia*), latająca dość licznymi stadkami, były prawie jedynymi przedstawicielami fauny ornitologicznej. Po suchym, lotnym pyle biegały niewielkie piękne jaszczureczki, błękitne z czerwoną głową (*Liocephalus*); tropy ich, między którymi ciągnie się zawsze żłobek wryty wlokącym się ogonem, spotkać można wszędzie bez wyjątku. Kilka skórek ptasich było jedynym łupem ornitologicznym z tej jałowej okolicy.

Wreszcie dnia 23 listopada zawinął do portu maleńki parowiec „Supe”, najmniejszy ze wszystkich statków kompanji Ocea-

nu Spokojnego. Nie byliśmy przygotowani na ten niespodziany wypadek, a czasu mieliśmy zaledwie 3 godziny. Szybko jednak spakowaliśmy nasze rzeczy i na czas jeszcze znaleźliśmy się na małym parowcu, rugując z jedynej kajuty, jaką posiadał, kapitana statku, który się wyniósł pod pokład. Podróż do Limy mieliśmy dość nieprzyjemną. Stateczek był przepelniony trzodą chlewną, wiezioną do stolicy, a gdy jeszcze w dodatku zabraliśmy w porcie Huacho mnóstwo przekupniów z owocami, miejsca już prawie nie było do swobodnego poruszania się. Nasza ciasna kajuta mieściła aż czterech pasażerów 1-ej klasy.

Z tem wszystkim jednak przybyliśmy do stolicy d. 26 listopada, radzi z naszego łupu zoologicznego. Skóry oddaliśmy do garbarni i w oczekiwaniu świąt Bożego Narodzenia, któreśmy zamierzeli spędzić w Limie, mogliśmy czas poświęcić na przygotowania się do całorocznej wyprawy. Było podówczas naszym zamiarem zbadanie lasów prowincji Jaen. Za radą jednak Raimondiego plan nasz pierwotny zmieniliśmy, wybierając za cel naszej przyszłej wyprawy najbardziej ku północy wysuniętą prowincję Tumbes, gdzieśmy się spodziewali znaleźć wiele rzeczy ciekawych.

---

## ROZDZIAŁ IV.

**Tumbez. — Dolina rzeki. — Wzgórza (Las Lomas) — Obyczaje mrówkojada. — Fauna doliny Tumbezu.**

Przygotowania do naszej nowej wyprawy ukończyliśmy dopiero po Nowym Roku, a pożegnawszy naszych dobrych przyjaciół, znaleźliśmy się wreszcie d. 6 stycznia na pokładzie znanego nam już statku „Santiago“, który miał nas przewieźć do Tumbezu. Bagaż mieliśmy bardzo znaczny, gdyż wyprawa potrwać mogła przynajmniej sześć miesięcy, należało więc zaopatrzyć się we wszystko na cały ten przeciąg czasu. Rzeczy nasze, jak narzędzia preparatorskie, stolarskie, blacharskie, zapasy papieru, mydła arsenikowego, prochu, śrótu, ba! nawet naczynia kuchenne — mieściły się w mocnych sosnowych skrzyniach, posiadających takie rozmiary, aby je w razie potrzeby można było przewozić na mułach, lub nawet przenosić na plecach tragarzy. Waga też ich musiała być odpowiednią, nie przewyższając w żadnym razie 5 arrobas<sup>1)</sup> jako możliwego maximum połowy ładunku jednego dobrego muła, który więcej nad 10 arrobas w górach dźwigać nie może. W tej jednak wyprawie sprawę transportu mieliśmy znacznie ułatwioną, gdyż do Tumbezu jechaliśmy morzem, co usuwało potrzebę równoważenia ładunku.

Ponieważ pierwotnym zamiarem naszym było, nie wracając do Limy, udać się z Tumbezu wprost do prowincji Jaen, zaopatrzyliśmy się w znaczną sumę srebrnej monety, gdyż podówczas, a zapewne i po dziś dzień jeszcze, wewnątrz Peru papiery bankowe nie miały prawie żadnej wartości. Srebro nasze umieściliśmy w skrzyniach, zatrzymując tylko przy sobie po kilkadziesiąt soles na wydatki bieżące. Okoliczność ta stała się przyczyną kłopotu, jaki mieliśmy na komorze w Callao. Celnik, człowiek grzeczny widocznie, przepuścił nasze skrzynie bez rewizji, *pro forma* jednak zrewidował nam ręczne kuferki, w których właśnie umieściliśmy nieco srebra, zwiniętego w rulony.

---

<sup>1)</sup> Arroba = 25 funtom hiszpańskim.

— Co to takiego? — pyta nas celnik.

— Nieco solesów na wydatki bieżące — odpowiadamy.

— To panowie nie wiecie, że nowe prawo, świeżo przez obie Izby przyjęte, zabrania stanowczo wywożenia monety srebrnej peruwjańskiej z wszystkich portów kraju?

W samej rzeczy nie wiedzieliśmy nic, że rząd peruwjański dla ukrócenia ciągłego wywozu srebrnych solesów z Peru za granicę wydał dekret, zabraniający tego stanowczo bez właściwego upoważnienia władzy. Jeżeli zaś ktokolwiek pragnął przewieźć pewną sumę w srebrze peruwjańskim z jednego portu do drugiego, zmuszony był oddawać ją zarządowi komory, który brał na siebie przesłanie pieniędzy do miejsca przeznaczenia, gdzie właściciel mógł je odebrać w zarządzie celnym po przedstawieniu kwitu. Była to manipulacja zupełnie nowa, o której nic a nic nie wiedzieliśmy. Tak nas nieprzygotowanych przydybała interpelacja celnika, żeśmy nie wiedzieli, co robić w danym razie.

— Jakaż na to rada?

— Niema innej, tylko trzeba natychmiast srebro na papiery zmienić. Inaczej nie mogę panów z portu wypuścić.

— Ależ to tak nieznaczna suma, zaledwie 50 soles, zresztą jedziemy do Tumbezu, a nie za granicę. Jesteśmy przyrodnikami, a nie przemysłowcami pieniędzy peruwjańskich.

— Nie oponujcie panowie — powiada ciszej celnik. — Wiem, że macie w skrzyniach daleko większą sumę, ale już udaję tylko, że mi to jest obcem. Idźcie więc do pierwszego lepszego wekslarza i zmieńcie te 50 solesów na inną monetę, jeżeli chcecie uniknąć większego kłopotu.

Zdziwieni niepomału, skąd ten człowiek mógł mieć o nas tak dokładne informacje, zdecydowaliśmy, że ja pojedę na statek z całym ładunkiem, a Jelski pobiegnie tymczasem wymienić owo nieszczęsne srebro. Wsiadłem więc do oczekującej łodzi i popłynąłem, rozmyślając nad tem nowem, a głupim prawem, które, jako środek sztuczny, bynajmniej nie ochroniło Peru od ruiny finansowej. Tem osobliwym wydał mi się ten dziwny sposób zatrzymywania w kraju pieniędzy, które magnes potrzeby ciągnął do Europy, że pozwalano wywozić wszelkie inne monety, nawet srebro w sztabach; cóż więc łatwiejszego, jak przetopić solesy i wywieść je z kraju. Każdy porządny człowiek miał ogromny kłopot na komorach, a prawo nie zapobiegało bynajmniej ciągłej defraudacji srebra peruwjańskiego, które Anglicy na swych parowozach do Europy wywozili. Często człowiek w krytycznym położeniu nie stara się zgłębić rzeczywistych przyczyn złego i zamiast radykalnych, używa powierzchownych środków, oszukując sam siebie więcej, niż innych. Przeczuwamy ukryte przyczyny choroby, a jednak boimy się ich sondowania, aby nam się straszna rzeczywistość nie pokazała. Jest to jedna z najpospolitszych słabości człowieka.

Już dzwoniło na odjazd, kiedy Jelski wreszcie powrócił, przywoząc zmienione pieniądze; kwadrans opóźnienia, a straciłby

dwa tygodnie czasu, gdyż statki parowe do Tumbezu tylko dwa razy na miesiąc kursowały. Radzi byliśmy i tak, żeśmy się z tego kłopotu szczęśliwie wywinęli, gdyż trafiwszy na innego celnika, moglibyśmy mieć daleko większy ambaras, jeżeliby zachciało mu się skrzynie rewidować. Tymczasem zajęliśmy naszą kajutę i powitaliśmy znanego nam już z poprzedniej podróży kapitana Pott'a, który nas między swymi pasażerami zawsze wyróżniał.

Trzy i pół dnia podróży morskiej dzieli port Callao od Tumbezu. Statki, płynące do tej ostatniej miejscowości, nie zatrzymują się w żadnym z licznych portów pośrednich z wyjątkiem Payty, która leży w nieznaczonej już odległości od Tumbezu.

Payta jest głównym portem departamentu Piura i w tym celu zamiarem rządu było połączyć go koleją żelazną z miastem Piurą, stolicą departamentu; lecz i tu, jak prawie na wszystkich innych liniach, musiano przerwać roboty z powodu smutnego stanu finansów. Trudno wystawić sobie port bardziej dziki i jałowy, jak Payta; przypominał mi w zupełności Antofagastę: tak samo ani źdźbła zieloności, a wodę trzeba przywozić z bardzo daleka. Na golem, piaszczystem pobrzeżu u stóp niewysokiego wzgórza, kończącego się cyplem w południowej części zatoki, rzucono kilkadziesiąt szarych domów i szałasów; kościółek i komora są jedynymi nieco większymi budynkami. I byłaby Payta miejscem ponurem w najwyższym znaczeniu tego wyrazu, gdyby nie czysty lazur nieba, wesole, podrównikowe słońce i lud rzeźki, ochoczy. Indianie paytańscy, należący do typu zwanego „Indios Sechuras“, od wielkiej pustyni Sechura tak nazwanych, uchodzą za najlepszych marynarzy i dostarczają prawie wyłącznie zdolnych sterników (pilotos), znających doskonale wszystkie niebezpieczne przejścia portów Guayaquilu, Manta, Bahía i innych. Wróć jeszcze kiedyś do nich przy sposobności, aby nie przerywać toku opowiadania.

O płynąwszy Przylądek Biały (Cabo Blanco), stanowiący najbardziej na zachód wysunięty punkt Peru, przybiliśmy czwartego dnia naszej podróży do Tumbezu.

Portu we właściwym znaczeniu tego wyrazu niema tu wcale, a statek dla licznych mielizn zarzuca kotwicę w znacznej odległości od lądu. Gólem okiem widzimy niską linię brzegu, ograniczoną lasem manglowym (*Rhizophora mangle*), która kończy się na północy kilku zachodzącymi daleko w morze cyplami. Poza tem ciągną się jałowe na pozór wzgórza, będące odnogami Kordyljerów. Miasta nie widać żadnego, tylko przy pomocy lunety dojrzeć można kilka szarych chatek, tulących się do ściany lasu. Sam zaś Tumbes leży w odległości 6 kilometrów w głąb kraju; rolę portu odgrywa osada Cucaracha, składająca się z sześciu czy ośmiu chat, między którymi jedna służy za letnie pomieszkanie kapitana portu, bawiącego tu niekiedy dla kąpieli morskich.

Urzędnik ten przyjechał niebawem łodzią w towarzystwie kilku innych osób z miasteczka. Dzięki grzeczności pewnego Francuza, niejakiego p. Martinot, zaznajomiliśmy się natychmiast z Don Pedrem Delgado, kapitanem portu, który nas ze zwykłą Peruwjanom

galanterją do swej łodzi zaprosił. Oddawszy więc rzeczy nasze przewoźnikom, zajęliśmy ofiarowane nam miejsca i pod silnem parciem czterech wiosł rażno popłynęliśmy ku głównemu ujściu rzeki Tumbezu, która w tem miejscu tworzy obszerną deltę, pokrytą przeważnie gąszczem ryzoforowym i poprzerzynaną licznymi kanałami.

Wkrótce stanęliśmy niedaleko ujścia rzeki w osadzie Santa-Lucia, składającej się z 3 chat, gdzie czekały konie osiodlane dla tych osób, które wołały ładem, aniżeli wodą jechać do miasta. Do takich należał i Martinot, z którym mieliśmy się w miasteczku spotkać. My zaś w towarzystwie kapitana portu popłynęliśmy w górę rzeki, przyglądając się z ciekawością osobliwemu gąszczowi manglowemu, w którym powietrzne korzenie tworzą nieprzebytą siatkę, sterczącą na gołym błocie. Co chwila płoszyliśmy spokojnie żerujące ptactwo błotne, jak czaple, ibisy, kuliki, ślepowrony i t. p. Tu i owdzie obudzony z uśpienia krokodyl (*Crocodilus occidentalis*), zwolna podnosił swe szare cielsko i flegmatycznie, bez pośpiechu wchodził do wody; płynął chwilę, poczem zwolna znikał pod jej powierzchnią.

Przeplłynąwszy jednym z bocznych kanałów, który nam znacznie drogę upraszczał, wydostaliśmy się znowu do głównego koryta rzeki, skąd wkrótce opuściliśmy obszar ryzoforów. Brzeg stawał się stopniowo coraz wyższym, a prąd rzeki bystrzejszym. Zamiast manglów, bogata roślinność nadbrzeżna, składała się teraz z gąszczy wspomnianej już kilkakrotnie rośliny chilca (*Baccharis Feuillei*) z różnych drzew akacjowych, z trzciny, lub „pajaro bobo“ (*Tessaria legitima*) — niewysokich drzewek o srebrzystoszarym liściu. Minęliśmy zabudowania fabryki, a raczej rafinerji nafty i po trzygodzinnej żegludze stanęliśmy w miasteczku.

Tumbez jest miastem głównem prowincji tegoż nazwiska, należącej do departamentu Piura. Część jej północna aż po prawy brzeg rzeki Tumbez (zatem i samo miasteczko, które na tym brzegu leży), należało za panowania Hiszpanów do wicekrólestwa Quito, słusznie więc Ekwadorczycy upominają się o nią, powołując się na podział nowo-powstałych krajów, których granice potworzyły się według dawnych podziałów na wicekrólestwa. Ponieważ jednak Ekwador, jako znacznie słabszy od Peru, nie mógł prowadzić wojny ze swym sąsiadem, kwestja ta pozostaje dotychczas w zawieszeniu, a z czasem może posłużyć za *casus belli* dla obu krajów; zwłaszcza, że Ekwador oprócz tego reklamuje uzurpowane sobie terytorjum Andoas, aż po sam północny brzeg Amazonki. Nie z jednym też Ekwadorem posiada Peru kwestje graniczne: inne dwa kraje sąsiednie — Brazylja i Boliwja — również posiadają zatargi terytorjalne, choć pierwsza, jako od Peru silniejsza, bez ceremonji zajęła część zakwestjonowaną i wybudowała na niej fort Tabatingę. Boliwja poprzestała tylko na kilku reklamacjach i protestach.

Miasteczko, którego okolice obraliśmy sobie za teatr przyślych naszych poszukiwań, leży na dość wysokim prawym brze-

gu rzeki Tumbezu w odległości jakich 6 kilometrów od morza. Przy zupełnym braku spisu ludności trudno jest oznaczyć liczbę jego mieszkańców; osoby zapytywane przez nas w tej materji, odpowiadały zwykle bardzo niezgodnie: jedne podawały na 1000, inne znów na 2, lub 4 tysiące. Wiedząc z doświadczenia, że zwykle w podobnych razach miejscowi wprowadzają do rachunku nie tylko samych mieszkańców miast, lecz i okolicy (tak zwanej „campina”), skłonny jestem do przyjęcia pierwszej z podanych liczb, jako najwierniejszej, zwłaszcza, że miasteczko na oko nie zdaje się więcej liczyć nad tysiąc mieszkańców. Składa się z kilkunastu ulic nieregularnych i dość wązkich, utworzonych przez szeregi nędznych domów, z których część tylko dachówką, a większość liściami z trzciny cukrowej jest kryta. Ulice są nie brukowane, a na placu zwanym nieodzownie „Plaza de Armas”, trawa porasta obficie. Calle del Comercio (Ulica Handlowa), Calle de la Union (Ulica Jedności), de la Constitucion (Konstytucji) i tym podobne, szumnie głoszą swoje nazwiska, choć na nich ani handlu, ani jedności nie można się dopatrzeć. Pierwszą reprezentuje kilka niewielkich sklepów zaopatrzonych w perkaliki, narzędzia niezbędne kolonistom i inne przedmioty pierwszych potrzeb; co zaś do jedności, to trudno za nią brać — burdy uliczne, jakie się niemal co święta trafiają w miasteczku, a kończą się bardzo często krwawymi scenami, nawet śmiercią pijanych zapaśników. Biedna Konstytucjo! Nazwiskiem twem jakby na urągowisko chrzczą w Peru ulice we wszystkich niemal miastach i miasteczkach, gdyż prawie każdy mieszkaniec, zaczawszy od prezydenta, a skończywszy na ostatnim łapserdaku uważa sobie nie tylko za prawo, lecz nawet za obowiązek plwać na ciebie przy sposobności. Dość jest głosu jednego ambitnego, aby tysiące wyrzutków społeczeństwa, chciwych posad i łatwego zarobku, deptało po tobie swemi brudnemi nogami! Konstytucja w Peru robi takie wrażenie, jak złote okulary na nosie ślepego człowieka, który je po to tylko nosi, aby ciemnemi szklami swą ślepotę przed innymi zakryć.

Domy w Tumbezie są budowane w sposób bardzo prosty: na słupach drewnianych wznosi się dach; miejsca wolne między słupami wypełnia się tyczkami dzikiej trzciny (*Gynerium sagittale*), wtykanemi w ziemię pionowo, poczem się je zewnątrz gliną oblepia. Dom taki okien zwykle nie posiada, a światło dostaje się do wnętrza przez drzwi jedynie. Obszerne podwórza, przy każdym domu spotykane, oddzielone są od ulicy parkanami z tarcic bambusowych. Nieliczne tylko domostwa są zewnątrz pobielane.

Z pomiędzy wszystkich domów wyróżniał się jeden, wznoszący się na pobrzeżu. Gontowy dach, ściany z desek olejno malowane, obszerny ganek, otaczający pierwsze piętro ze wszystkich stron, zwracały nań uwagę każdego przyjeźdnego. Mile też byliśmy zdziwieni, gdy nas nowy nasz przyjaciel, p. Martinot, uwiadomił, że dom ten należy do pewnej niewiasty, która odnajmuje pokoje przyjeźdnym, dając zawsze pierwszeństwo cudzoziemcom, jako ludziom zamożnym po większej części i sumiennym w wy-



płacie czynszu dzierżawnego. Do tych ważnych powodów łączyła się jeszcze wrodzona sympatja donii Mercedes Galvez do Europejczyków i yankes'ów, gdyż po dwakroć w swem życiu była towarzyszką życia cudzoziemców, z których ostatni obdarował swą dawną przyjaciółkę tym właśnie pięknym domkiem.

W towarzystwie Martinot'a złożyliśmy natychmiast wizytę pani Mercedes, niskiej i tłustej kwarteroncy, lat około czterdziestu, odzianej według miejscowego zwyczaju w lekką perkalową suknię, mocno wydekoltowaną, co się objaśnia gorącym klimatem. Chętnie ofiarowała nam jeden umeblowany pokój na pierwszym piętrze za wynagrodzeniem 10 soles miesięcznie, co było na ówczesne stosunki ceną bardzo umiarkowaną. Przyszłość pokazała, żeśmy szczęśliwie trafili w wyborze naszego mieszkania, gdyż dona Mercedes, oraz jej matka i brat okazali się ludźmi nadzwyczaj dobrymi, i po dziś dzień zachowaliśmy dla nich wiele wdzięczności za życzliwe, a często serdeczne traktowanie, jakim nas darzyli.

Pokoik nasz był bardzo ciasny, lecz za to czysty i widny; w jednej ścianie znajdowały się drzwi prowadzące na szeroką odkrytą galerję, która dom okalała ze wszystkich stron; w drugiej — zaś oszklone okno — rzecz bardzo rzadka w tym kraju. Zresztą z okna tego nie wieleśmy korzystali, gdyż po większej części pracowaliśmy albo na galerji, gdy cisza na to pozwalała, albo przy drzwiach otwartych, które nam więcej światła dostarczały, aniżeli niewielkie i w części dachem galerji zakryte okno. Ciasnotę zmniejszyliśmy nieco, lokując mniej potrzebne rzeczy na ganku, choć i bez tego dwa łóżka, niewielki stolik do preparowania i kilka skrzyń naszych tak wypełniało małą ciupkę, że się w niej trudno obrócić było. Radzi jednak byliśmy z naszej nowej siedziby, głównie z powodu suchości mieszkania, położonego na pierwszym piętrze, oraz ze stosunków przyjaznych z naszą dobrą gospodynią i jej najbliższem otoczeniem, co nieraz w podróży jest rzeczą pierwszorzędną ważności. Nie masz nic gorszego dla podróżnika, jak trafić na gospodarzy swarliwych lub chciwych; wystarcza to nieraz do zamącenia szczęśliwego bytu, jakim cieszyć się może przyrodnik, zajęty swą ulubioną pracą.

Pozostawała jeszcze kwestja żywienia się, lecz i tu nieoceniony Martinot wybawił nas z kłopotu, prowadząc do jednej z kilku garkuchni, utrzymywanej przez pewnego Ekwadorczyka rodem z Machali, niejakiego Hernandez'a, który za wynagrodzeniem 24 soles miesięcznie od osoby, podjął się nas żywić, dając ranną kawę, śniadanie i obiad. Kuchnia, jak na małe miasteczko była niezłą, choć nie odznaczała się wielką rozmaitością potraw. Kawę mieliśmy zawsze z mlekiem świeżem i mrówkami, tego jednak trudno było uniknąć, gdyż małe te owady przepelniały wszystkie domy, załaząc wszędzie, szczególnie zaś do cukru, z którym dostawały się do kawy. Omlet znów, jakim nas raczył Hernandez od czasu do czasu składał się z ciasta, krajanych jaj na twardo, cebuli i rodzenków — kombinacja niekoniecznie szczęśliwa w naszym pojmowaniu sztuki kulinarnej. Lecz podróżnik musi szyb-

ko przyzwyczajając się do okoliczności, więc i my nie szemraliśmy na wytwory Hernandez'a. Raz tylko przyszło do kolizji między nami i naszym jadłodawcą, gdy nagabnięty o brudny obrus, jakim stół nakrył, przyniósł nam prześcieradło — gdybyż czyste przynajmniej — lecz nie; wziął je prosto z łóżka. Zresztą stosunków naszych nie zaćmiła żadna chmurka nieporozumienia, aż dopiero pod koniec, gdy się nam przejadły ciągle powtarzane befsztyki i rosoly z makaronem, przenieśliśmy się do chińskiej gar-kuchni, czyli trafiliśmy z deszczu pod rynnę, gdyż Chińczyk kucharz częstował nas zupełnie temi samemi potrawami, co nasz poprzedni jadłodawca.

Ów Hernandez oprócz sztuki kulinarnej uprawiał jeszcze inną, a mianowicie tapicerską. Materace z brody Absalona (*Tillandsia usneoides*), wyrabiane przez niego, rozchodziły się nietylko po miasteczku, lecz płynęły nawet parowcami do Limy, gdzie zbyt miały zapewniony. W Peru i Ekwadorze bardzo często spotkać można ludzi zajmujących się dwoma, a nawet i więcej procederami. Wielu rzemieślników posiada obok szyneczki, w których sprzedają wódkę; często też szewc, krawiec lub blacharz jest zarazem właścicielem małej „chacra” — pola uprawnego, które w wolnych chwilach obrabia na własny domowy użytek.

Rodzina Hernandez'a składała się z żony i córki, młodej szesnastoletniej panny, w której potrójna krew (biała, czarna i indyjska) skombinowała się w bardzo sympatyczną całość. Dolores była niezwykle na swój wiek poważną i małomówną; siedząc za kantorkiem lub pomagając rodzicom w codziennych robotach, zachowywała wdzięk i dystynkcję, tak często spotykanią na Pomorzu peruwjańskim między kobietami krwi mieszanej. Tragiczny jej los zasługuje na wzmiankę. Po naszym wyjeździe Dolores wyszła za mąż za jakiegoś Włocha, właściciela handelku w Chorrillos, dokąd wraz z mężem przenieść się musiała. Podczas straszego łupiestwa, dokonanego przez Chilijczyków w tem miasteczku, nieszczęśliwa kobieta znajdowała się właśnie w stanie poważnym. Rozpasane żołdactwo, wpadłszy do domu, zamordowało męża, broniącego żony od zniewagi, poczem biedaczka stała się ofiarą potwornej zbrodni, którą życiem przyplaciła. Notuję autentyczny fakt ten, aby wystawić pod pręgierz publiczny wojska chilijskie, które podczas ostatniej wojny dały dowody niesłychanego barbarzyństwa i zwierzęcości. Nie wątpię, że tysiące Chilijczyków podobne fakta potępiło, lecz czyż to zmniejsza choć trochę odpowiedzialność wodzów, którzy pozostawili zupełną swobodę rozhukanemu żołdactwu?

Martinot, trudniący się w ujściu rzeki połowem ostryg, które do Limy odstawiał, znał wszystkich mieszkańców miasteczka Tumbezu, dokąd od lat kilku stale zajeżdżał. Jemu też zawdzięczamy wprowadzenie nas do domów wszystkich miejscowych notabłów, z którymi następnie dość wprawdzie rzadkie, ale stałe stosunki podtrzymywaliśmy. Tym sposobem poznaliśmy proboszcza staruszka, eks-kawalerzystę; pewnego generała ekwadorskiego, za-

pędzonego tu burzami rewolucji i kilku miejscowych kupców, którzy, jak to zwykle w tej klasie ludzi bywa, pomimo serdecznych zapewnień przyjaźni, patrzyli na nas raczej jako na przedmiot do eksploatacji, aniżeli jako na przyjaciół. W domu znów naszej gospodyni mieliśmy sposobność poznać cały personel kopalni i rafinerji nafty, składający się prawie wyłącznie z yankesów. Między nimi osobliwie zasługuje na wzmiankę pewien medyk, dr. Craw, właściciel ładnej posiadłości w okolicach miasteczka; dalej don Esteban Smith, brat dyrektora kopalni i wreszcie p. Mac-Gregor, konsul Stanów Zjednoczonych, którego w następstwie po naszym wyjeździe spotkał los tragiczny. Zajmując się gdzieś w okolicach rzeki La Chira poszukiwaniem złota, zamordowany został zdradziecko przez własnych służących, Chińczyków. Wszyscy ci ludzie zachowywali z nami serdeczne stosunki, odwiedzając nas zawsze, skoro tylko potrzeba sprowadzała ich do miasteczka. Doktorowi Craw zawdzięczam nadto wyleczenie mnie z przykrej choroby, o której w właściwym miejscu pomówię.

Urządzenie naszego nowego mieszkania rozpakowanie rzeczy i inne tym podobne roboty, wywołane przeniesieniem się na nową siedzibę, zajęły nam parę dni czasu; poczem Jelski wyruszył na kilkukodniową podróż po całej prowincji w celu zdjęcia mapy dla R<sup>zu</sup>mondiego, któremu brakowało danych geograficznych, dotyczących tej części kraju; ja zaś mogłem wreszcie rozpocząć ekskursje w najbliższych okolicach, z którymi muszę zapoznać czytelnika, gdyż należą do nieznanego mu jeszcze, a wspomnianego poprzednio typu „Las Lomas“ (wzgórza).

Rzeka Tumbes, biorąca początek na wyżynach ekwadorskich w prowincji Loja, tworzy po wydostaniu się z gór obszerną równinę, jak zwykle kształtu mniej więcej trójkątnego, utworzoną z naniesionego mułu. Przymorską podstawę tego trójkąta zajmuje właściwa delta rzeki, pokryta gąszczem ryzoforowym, reszta zaś równiny przedstawia rozmaity charakter, stosownie do bliższego lub dalszego sąsiedztwa rzeki, co zresztą za ogólne przyjęć możemy prawo, objaśniające się większą lub mniejszą ilością wody.

Brzegi rzeki pokrywa nieszerokim pasem bogata względnie roślinność, składająca się przeważnie z drzew akacjowych, jak guarango (*Acacia punctata*), algarrobo (*Prosopis dulcis*) i różne gatunki mimoz, urozmaicone gdzieś tam szerokolistnymi guawami (*Inga vera*), lub wprowadzonym przez Hiszpanów mangowcem (*Mangifera indica*). Drzewa te, pokryte ljanami i podszyte w wielu miejscach gęstą trzciną, zwaną przez krajowców cana brava (*Gynerium sagittale*), robią już do pewnego stopnia wrażenie lasu, choć w ścisłym znaczeniu na to miano nie zasługują, gdyż ciągną się zbyt wązkim pasem, a nadto nie posiadają tych niezbitych zwiastunów gorącego lasu amerykańskiego, jakimi są cekropie i palo de balsa, czyli „drzewo tratwowe“ (*Ochroma piscatoria*) spotykane w podobnych okolicach nieco bardziej ku północy, w bliskości Guayaquilu, położonego na terytorjum Ekwadoru.

Grunt w takich gąszczach jest zwykle goły, popękany w porze suchej, błotnisty — gdy deszcze styczniowe padać zaczynają.

Bardziej ku ujściu rzeki, w bezpośrednim sąsiedztwie pasa ryzoforowego, ta roślinność drzewiasta zastąpiona zostaje przez wielkie, lecz niewysokie gąszcze, utworzone przez roślinę, zwaną chilca (*Baccaris Feuillei*), która zdaje się być jednym z pierwszych pionierów świeżo tworzącego się pasa roślinnego. Nawet niektóre z wysp ryzoforowych są pokryte pośrodku tymi krzakami, którym zwykle towarzyszy inny, zwany „lipe“, oraz nieliczne i słabo rozwinięte drzewa akacjowe, głównie zaś mimozy, wytrzymałe od innych na ciężkie warunki gruntowe, oraz na brak wilgoci.

Tam, gdzie rzeka tworzy nieznacznie nad jej poziom wzniesione wysepki, lub na niewielkich równinkach, napotykanym tu i owdzie na łukach rzeki, jedyną roślinność stanowi znane nam już drzewko pajaro bobo (*Tessaria legitima*), spotykane powszechnie w gorących częściach Peru i Ekwadoru nad brzegami rzek. Towarzyszy mu prawie zawsze rzadka i niewysoka trawa, pokrywająca dość skąpo piaszczysty, a niekiedy żwirowaty grunt, na jakim „pajaro bobo“ porasta.

c Sama rzeka Tumbes posiada prąd znośny dla żeglugi, na przeźnieniu między miasteczkiem i ujściem, wynoszącej mniej więcej około 6 do 8 kilometrów. Już wyżej miasteczka koryto jej ścieśnia się dość wysokimi brzegami, a prąd staje się miejscami tak silny, że go tylko małymi łodziami i to z wielkim trudem wyrzucić można. Za spławną też w ścisłym znaczeniu tego wyrazu uważać należy wspomnianą tylko co dolną część rzeki, aż po miasteczko, dokąd dochodzą nawet większe stateczki, zwane przez krajowców „chatas“, a odbywające stale morskie niedalekie podróże do Santa Rosa, Guayaquilu lub Payty. Spadek między miastem i ujściem jest tak nieznaczny, że podczas małych wód w porze suchej przyplawy morskie, nie przenoszące, jak się zdaje, więcej nad 10 stóp, czuć się dają w samym miasteczku, a wówczas żeglujący wspomnianymi czatami trzymać się muszą pory przyplawu, gdyż w przeciwnym razie woda okazuje się zbyt niską dla tak dużych statków. Dopiero, gdy w styczniu, lutym, a szczególnie w marcu spadną wielkie deszcze w górach ekwadorskich, rzeka wzbiera znacznie i zalewa nawet kanały delty, które w porze suchej posiadają wodę słoną. Prąd wtedy w rzece jest bardzo silny i czaty z trudnością posuwać się mogą w górę rzeki przy pomocy długich tyk, zwanych „palancas“. W tej też epoce największych wód wypada częste podmywanie i spowodowane niem obrywanie się brzegów, co niekiedy wpływa na zupełną zmianę dotychczasowego kierunku rzeki. Dawne łożyska łatwo jest poznać po znacznie niższym poziomie od otaczającej równiny, jako też po roślinności, składającej się przeważnie ze znanego nam już „pajaro bobo“. Osobliwie ujście rzeki podlega częstym zmianom, o czym we właściwym miejscu obszerniej pomówię.

Opisany dopiero co pas przyrzeczny zajęty został w znacz-

nej części pod uprawę, dzięki bardzo urodzajnym gruntom i sąsiedztwu wody, które ułatwia sztuczną irygację w razie zbyt długo przeciągających się posuch. Tylko część dolna tego pasa, przylegająca do pasa ryzoforowego nie jest zdatną pod kulturę, gdyż posiada grunty słone, jako przed niedawnym stosunkowo czasem przez wodę morską zalewane. Zato górna część jego, przykryta już dość znaczną warstwą rzeczno-mułną, nadaje się nadzwyczaj pod uprawę różnych roślin, właściwych strefom gorącym. Banany, trzcina cukrowa, palmy kokosowe, ryż, maniok, mangowce, drzewo bawełniane i inne użyteczne rośliny wydają tu plon obfity przy nieznacznej stosunkowo pracy ze strony rolnika. Największą może niedogodnością jest sztuczne nawodnianie które przy braku kanałów irygacyjnych, z góry rzeki idących, uskutecznić należy przez ciągnięcie kablami wody rzecznej i rozlewanie jej po plantacji. Tę jednak niedogodność przypisać należy li tylko niezradności i lenistwu mieszkańców, gdyż liczne ślady kanałów irygacyjnych wymownie świadczą, że cała równina tumbeska była doskonale nawadnianą w czasach przedpodbojowych; dość więc byłoby tylko pogłębić istniejące kanały i przyprowadzić je do porządku, aby mógł ciągnąć nieocenione korzyści z obszernej i nadzwyczaj urodzajnych gruntów, leżących dziś odłogiem dla braku wody. Pracę tę tem skuteczniej możnaby było przeprowadzić, że rzeka Tumbes posiada ilość wody, przewyższającą nawet potrzeby miejscowe, co dość rzadko zdarza się w innych dolinach Pomorza peruwjańskiego.

Uprawa trzciny cukrowej, odgrywającej tak ważną rolę w rolnictwie dolin pomorskich Peru, bardzo jest słabo rozwinięta nad Tumbesem, co głównie przypisać należy rozbięciu się gruntów nadrzecznych na małe posiadłości, lub posiadanie ich przez gminy, co prawie na jedno wychodzi, gdyż ziemie gminne bywają zwykle rozparcelowane pomiędzy licznych członków komuny. Z tego powodu w dolinie Tumbes nie widzi się wcale tak olbrzymich plantacji trzciny cukrowej, jak te, które napotykałyśmy po innych dolinach Pomorza peruwjańskiego, a jedyną nieco większą fermą, gdzie uprawa tej rośliny szerszych dosięga rozmiarów, jest posiadłość pp. Smith'a i d-ra Craw, którzy ostatnimi czasy sprowadzili nawet maszynę parową do wyciskania soku trzcinowego. Inni zaś więksi właściciele, jak Taboada i Sifuentes wolą działalność swoją skierować na hodowlę bydła rogatego i koni, oraz na eksploatację drzewa algarobowego, jako paliwa, aniżeli na kosztowną i wiele pracy wymagającą uprawę trzciny cukrowej.

Zwróciłem poprzednio uwagę czytelnika, że względnie bogaty w roślinność pas przyrzeczny dość jest wązki. W miarę jak się od rzeki na jedną lub drugą stronę oddalamy, roślinność staje się coraz to uboższą, aż w końcu zamienia się na rzadkie, niewysokie krzaki lub krzewy, urozmaicone tu i ówdzie kaktusami o kształtach kandelabrow ( *Cereus peruvianus* ), lub innym gatunkiem tych roślin, czołgającym się po ziemi nakształt wielkich, kolczastych węzłów. Bodaj, że krzaki mimozy stanowią przeważną masę roślinności

tumbeskiej równiny, która przez to staje się niejako przejściem od właściwego typu doliny, do wzgórz (Lomas), jak się o tem wkrótce będzie mógł czytelnik przekonać, gdy szczegółowiej odzworuje ten osobliwy rodzaj okolicy.

Blżej ku morzu, lecz już w nieznacznej odległości od samego miasteczka, równina tumbeska poprzecinana jest pasami słonego gruntu, posiadającego poziom nieco niższy, aniżeli reszta okolicy. Sól wykwita na mulastej, popękanej powierzchni tych gruntów, wskazując wyraźnie, że je przed laty morze pokrywało.

W samej rzeczy wątpić nie można że są to dawne kanały manglowe, na co wskazuje dostatecznie ogólny ich kierunek, odpowiadający mniej więcej kierunkowi dzisiejszych odnóg i rozgałęzień rzeki w delcie Tumbezu.

Niepodobna też jest wątpić, że ujście rzeki znajdowało się ongi tam, gdzie się dziś miasto rozciągnęło, o czem świadczy dokładnie leżący tuż pod niem pokład błota ryzoforowego, przykryty dzisiaj grubą warstwą mułu rzecznoego. Cała więc równina utworzoną została przez namulenie przy wspólnem działaniu rzeki, morza, wiatrów i drzew manglowych, ułatwiających w najwyższym stopniu osadzanie się i utrwalanie naniesionego mułu. Wspomniane dopiero co smugi słonego gruntu oddzielone są pasami piasku, na których rzadka i karłowata roślinność porasta. Miejscowi nazywają te słone ziemie „los salitrales“, sądząc widocznie, że to saetra, a nie sól morska wykwita na nich. Najstarsze z nich, położone bliżej wierzchołka trójkąta pokrywa jakaś mięsista roślina, niespotykana przez nas gdzieindziej.

Aluwjalną równinę, opisaną dopiero co przez nas, odgraniczają z dwu stron wzgórze, wzniesione nad nią na kilkadziesiąt stóp i stanowiące przed laty brzeg morski, o czem świadczą dokładnie olbrzymie skorupy ostryg (*Ostrea sp.*) i innych muszli, należących do tych samych rodzajów, jakie dziś jeszcze w ujściu rzeki spotykamy. Wzgórze te, stanowiące najniższe rozgałęzienia Kordyljerów, są odmiennego pochodzenia, jak aluwjalna równina i w nowszych przynajmniej czasach geologicznych nie były pokryte przez morze. Widok jaki one przedstawiają należy do bardzo charakterystycznych, a tak osobliwych, że nic podobnego pewnie w żadnej części świata nie spotkamy.

Wystawmy sobie powierzchnię falistą, poprzerywaną na wszystkie strony niegłębokimi jarami, pokrytą czerwonawą gliną ze żwirem przemieszaną, a na niej porastające w znacznych odstępach drzewa bezlistne, niewysokie, koszlawe i pokrzywione, lub znane już kaktusy kandelabrowate, a będziemy mieli przybliżone pojęcie o tem, co Peruwjanie nazwali „las Lomas“, odróżniając wybitnie ten typ od innych okolic. Setki wiorst możemy jechać, a krajobraz pozostanie ten sam. „Wzgórze“ jest to przejście od pustyni do roślinodajnych obszarów.

Liczne jary i wądoły, przerzynające powierzchnię wzgórz w najrozmaitszych kierunkach, posiadają roślinność bogatszą nieco, złożoną przeważnie z mimoz i innych drzew akacjowych, któ-

rym towarzyszy bardzo charakterystyczne i osobliwe drzewo, zwane przez miejscowych „palo santo“, czyli drzewo święte (*Guayacum sanctum*). Wydaje ono bardzo silną woń terpentynową, od której przy dłuższym pobycie łatwo jest dostać bólu głowy. Po tych też jarach czołga się ów kaktus wijący, jakiśmy na równinie tumbeskiej widzieli.

Tu i ówdzie głębiej wryta powierzchnia tworzy to, co miejscowi „rios secos“ — suchemi rzekami—nazywają. Są to wodocięki utworzone przez zimowe deszcze, pozbawione jednak zupełnie wody w czasie pory suchej. Takie suche rzeki tworzą pod względem bogactwa roślinności przejście od wzgórz do właściwej doliny, a podobnych przejść spotkamy serje kompletne, stosownie do ich wielkości. Łatwo bowiem zrozumiałą jest rzeczą, że czem większą jest sucha rzeka, tem więcej wody nią płynie pod czas deszczów, a tem samem dłużej konserwuje się wilgoć, która większy wzrost roślinności sprowadza. Tym sposobem utworzymy dokładne przejście od jałowych wzgórz, przez nieznaczne zrazu jary, następnie przez suche rzeki, do bogatej w roślinność doliny.

Niekiedy falistą powierzchnię wzgórz przecina dość głęboka i szeroka dolina, na dnie której rzeki nie spotkamy, chyba podczas bardzo silnych deszczów. I tu roślinność przypomina już w części roślinność dolin, znacznie jednak uboższą z powodu długotrwałego braku wody. Tu też po raz pierwszy spotkamy się z najoryginalniejszym olbrzymem świata roślinnego, z tak zwanym „seibo“ lub „barrigon“ (*Bombax*). Osobliwe to drzewo posiada pień rozdęty w połowie wysokości, a u podstawy kilka dośrodkowych zagród trójkątnych, które służą widocznie do podtrzymania olbrzymiego cielska potwora. Na zielonej, połyskującej korze jeżą się liczne i mocne, stożkowate kolce. Potężne konary albo liście wcale nie posiadają, albo w nieznacznej ilości, gdy pora dżdżysta nadejdzie. Rodzaj miękkiej jak puch bawełny, jaką to drzewo wydaje, użytkowują krajowcy na materace, poduszki do siodeł i inne t. p. cele.

Deszcze sprowadzają na wzgórzach nagłą lecz krótkotrwałą zmianę. W ciągu tygodnia czasu, obnażone przedtem falistości, pokrywają się dość rzadką trawą, która stanowi jednak dla nich piękną szatę zieloności, gdy na nie zdaleka patrzymy. Gołe przedtem gałęzie rzadkich drzew pokrywają się szybko liściem. Cały krajobraz, dziki niedawno i pustyniowy, zmienił nagle swój pozór, mile pieszcząc oko świeżą, choć efemeryczną zielenią. Ulewne deszcze tworzą po jarach kałuże wody i małe chwilowe jeziora, które szybko pokrywa jakaś wodna roślina, zwana przez miejscowych sałatą (lechuga). Na nich rozlega się teraz świst kulika (*Totanus*), a nawet kaczkę zalatują, znajdując żer, wywołany chwilowem pojawieniem się wody. Zdżiczałe bydło, włóczęce się po obszernych przestworach wzgórz, szybko zaczyna się tuczyć, znajdując wszędzie obfitą i tłustą paszę, oraz wodę, tak niezbędną do jego istnienia. Nawet drobne ptactwo przybrało teraz świeże szaty, gdyż to dla niego weselna pora, wywołana obfitością żeru. I jeżeli wzgórze

nie dorównywiają wtedy wspaniałym lasom sąsiedniego Ekwadoru, niemniej jednak uroczy przedstawiają widok w swej wiosennej sukience.

Już pod koniec marca deszcze stają się coraz to rzadszymi; spragniony, wyschły grunt pije wilgoć z łatwością, a skwarne, podrównikowe słońce i suche powietrze dopomaga szybko do osuszenia ziemi. Chwilowa roślinność, nie znajdując już teraz dostatecznej ilości życiodajnej wody, schnie szybko; drzewa zaczynają tracić liście. Wzgórza w ciągu trzech miesięcy, przechodzą wiosnę, lato i jesień, a właściwiej może tylko wiosnę i jesień, gdyż przedział czasu dzielący dojście do zupełnego rozwoju roślinności od chwili, kiedy ta zamierać poczyna, tak jest krótki, że go prawie w rachubę brać nie należy. Zato pora sucha ciągnie się przez ośm długich miesięcy, podczas których cała uboga roślinność wzgórzy, z wyjątkiem chyba kaktusów i mimoz, obumiera częściowo, przebywając, podobny sen letargiczny, jak i nasza flora podczas miesięcy zimowych.

Zeschła się szybko piękna, jasno-zielona trawa, pokrywająca dopiero co falistą powierzchnię wzgórzy; obnażone z liści, tu i owdzie sterczące drzewa wznoszą swe gołe bądyle ku niebu; efemeryczne jeziorka poschły, a na ich miejscu popękana, mulasta powierzchnia nieprzyjemnie razi oko. Gdzieś tam, po głębszych jarach trzyma się jeszcze nieco mętnej, cieplej wody, lecz i ta szybko ulatnia się pod działaniem prostopadłych promieni słońca. Spragnione bydło zgromadza się jeszcze koło tych resztek ożywej wody, lecz gdy i jej zabraknie, daleko pociągnie, ku większym rzekom, aby tam swe pragnienie ugasić. Wesole niedawno jeszcze ptactwo umilkło teraz, jakby się bało naruszyć głęboką ciszę, którą śmierć rozpostarła. Kręcą się jeszcze tu i owdzie kacyki (*Icterus gracaе-annae*), wróble (*Haemophila Stolzmanni*), lub przeciągają stadka małych papużek (*Psittacula coelestis*), lecz brak ich śpiewu, który nadawał eufoniczny koloryt całej okolicy; obecność swoją zdradzają tylko niekiedy piskiem, ożywiającym od czasu do czasu cichą samotnię wzgórzy.

Wędrowiec, który niedawno jeszcze widział całą okolicę w odświeżonej szacie zieleni, przykrego doznaje wrażenia na widok zamarłej przyrody. Wszak i u nas jesienny krajobraz obudza u wielu bardzo osób uczucie smutku i moralnego przygnębienia. Łatwo jest znaleźć psychologiczną przyczynę tego. Widok zamierającej przyrody, żółtych liści, które wiatr chłodny kręci w powietrzu, pomimowoli przypomina każdemu, że i dla nas jesień nastąpi, a po niej, zamiast zimy, śmierć nieunikniona. Nic więc dziwnego, że każdy woli wiosnę, aniżeli jesień. Nawet pustynia ma swoją poezję, jeżeli ją zawsze widzimy bez zmiany; gdy jednak wiemy, że ta pustynia przed niedawnym czasem przedstawiała wesoły krajobraz, pełen zieleni i świeżości, doznajemy przykrego uczucia.

Opisany dopiero co przez nas typ okolicy, który słusznie przez krajowców nazwą „Lomas” ochrzczony został, dochodzi



w prowincji Tumbez do samego morza, gdy przeciwnie bardziej ku południowi odsunięty jest do podnóża Andów, a miejsce jego nad morzem zajmuje wązki pas pustyniowy, który w poprzednim rozdziale opisałem. W górach ciągną się „las lomas“ do wysokości około 1000 stóp nad poziomem morza, poczem stopniowo w miarę, jak się wznosimy, roślinność staje się obfitszą aż w końcu kraina przybiera cechy właściwej „Sierry“, o której w przyszłości obszerniej pomówimy.

Pod względem następstwa pór roku, a właściwiej pod względem rozkładu atmosferycznych osadów w różnych jego epokach, Tumbez jest okolicą pośrednią pomiędzy suchem, deszczóww pobawionem Pomorzem peruwjańskim i wilgotnym, przymorskim pasem Ekwadoru. Widzieliśmy już przedtem, że półroczne, gęste mgły i półroczna zupełna susza stanowią meteorologiczny charakter całego Pomorza peruwjańskiego. Z drugiej strony ekwadorskie okolice nadmorskie, pokryte w znacznej części wilgotnymi lasami, posiadają także dwie pory roku, lecz pora dżdżysta odznacza się wielką obfitością deszczów ulewnych, pora zaś sucha właściwie na to miano nie zasługuje, gdyż i podczas niej deszcze ulewne padają, lecz rzadziej, aniżeli w miesiącach zimowych, a raczej dżdżystych. Podwójne też sąsiedztwo dwu tak różnych meteorologicznie obszarów, jak Pomorze peruwjańskie i w najwyższym stopniu wilgotne podnóże Andów ekwadorskich, odbiło się i na klimacie prowincji Tumbez, która nosi niejako meteorologiczny charakter obu sąsiednich przestworzy. I tak miesiące styczeń, luty, marzec i część kwietnia odznaczają się dość częstymi deszczami, padającymi przeważnie w nocy, chociaż zdarzają się dni, w których deszcz leje od rana do wieczora. Deszcze te zawdzięcza Tumbez sąsiedztwu pomorskich lasów Ekwadoru, gdzie właśnie pora dżdżysta wypada na wspomniane miesiące. Przeciwnie znów od maja do listopada, t. j. podczas pory mglistej na suchem Pomorzu peruwjańskim, mgły zachodzą aż po Tumbez i nawet nieco dalej ku północy, obecność ich jednak przypada zwykle nocą i rankami, dni zaś są słoneczne.

Klimat Tumbezu nazwać trzeba gorącym, boć miejscowość ta leży pod 3° szerokości południowej, zatem, prawie pod samym równikiem; klimat ten jednak dość jest łagodny w porównaniu z wielu punktami, leżącymi pod tą samą szerokością, a za przykład wziąć możemy miasto Para przy ujściu Amazonki (1° 30' szer. połud.), gdzie upały w ciągu roku całego są nieznośne i nie spadają nigdy poniżej 30° Cels. Sąsiedni Tumbezowi Guayaquil posiada prawie tę samą szerokość co Para, a jednak klimat jego jest bez porównania znośniejszy. Ta różnica w średnich temperaturach miejscowości leżących po obu stronach lądu południowo-amerykańskiego pochodzi głównie z powodu sąsiedztwa chłodnego prądu Humboldta, oraz gór stanowiących wspaniałą wieńiec śnieżnych szczytów w środkowym Ekwadorze; panujące też chłodne wiatry południowe od strony Pacyfiku przyczyniają się niemało do utrzymania znośnej temperatury. Noce w Tumbezie bywają dość przy-

jemne, a skwar słoneczny w ciągu dnia łagodzi znacznie świeży wiaterek, wiejący od morza.

Wiatr ten tak jest nasycony solą morską, że przy dłuższym pobycie na świeżem powietrzu, drobne kryształki jej osiadają na naszej twarzy; łatwo o tem przekonać się możemy, prowadząc je zykiem po wargach. Okoliczność ta powoduje, że pomimo suchego klimatu wszelkie przedmioty żelazne rdzewieją szybko, gdyż sól osiadająca na nich ściąga z powietrza wilgoć, która szybko utlenia żelazno. Podróżnik też napotyka niemało pracy i kłopotów z utrzymaniem w czystości broni i wszelkich żelaznych narzędzi, co jedynie osiągnąć może przez częste ich smarowanie tłuszczem.

Liczne wycieczki w okolicach miasteczka, jakie zaraz po przybyciu rozpocząłem, dały mi możność zaznajomienia się z niezbyt wprawdzie bogatą, lecz bardzo ciekawą fauną tej krainy. Ssących Tumbez posiada niewiele gatunków, gdyż na to nie pozwala dość pustyniowy charakter okolicy: sarna gąszczowa (*Cervus nemorivagus*), lisek pomorski (*Canis deserti*), mrówkojad (*Myrmecophaga tamandua*), dwa gatunki dydelfów (*Didelphys cancrivorus* i *D. marinus*), kilka gatunków myszy i nietoperzy stanowią bodaj wszystkie ssące, jakie się w okolicy miasteczka spotykają. O sarnie wspomnę nieco obszerniej, mówiąc o faunie Sierry, gdzie ona jest daleko pospolitszą; lisa poznał już nieco czytelnik z naszej wyprawy do Chimbote; niewiele by też o nim można było dodać. Tu jednak po raz pierwszy spotykamy się z bardzo charakterystycznym dla okolic Tumbezu zwierzęciem, to jest z mrówkojadem, którego obyczajem udało mi się poznać głównie na chowanym egzemplarzu uważam też za stosowne podzielić się z czytelnikiem rezultatem mych obserwacji, które mogą przyczynić się do wyświetlenia obyczajowej strony tego mało znanego zwierzęcia.

Dzięki swym nocnym obyczajom mrówkojad czteropalczasty (*Myrmecophaga tamandua*<sup>1)</sup>, wymyka się z pod obserwacji przyrodnika; nic też dziwnego, że dane, dotyczące jego sposobu życia, a zebrane w części bezpośrednio przezemnie, a w części dostarczone mi przez krajowców—są bardzo nieliczne. Zwierz ten żyje w stepie (na wzgórzach), trzymając się zawsze pojedynczo. Dzień spędza, śpiąc na drzewie, lub w norze zwinięty w kłębek, z nosem pomiędzy tylnymi nogami. Tak jest wtedy nieczuły na wszelkie zewnętrzne wrażenia, że go można zejść z łatwością i zabić kilku uderzeniami pałki po nosie. Nie stara się uciekać, gdyż wogóle jest ciężki i szybko biegać nie umie; broni się tylko rozpaczliwie, starając się zadać rany swymi potężnymi pazurami przednich nóg. Jeżeli go psy atakują, zwykle otrzynują ciężkie rany, a niekiedy śmierć ponoszą, gdyż im silny zwierz brzuchy jednym uderzeniem łapy rozpruwa. Nie sądzę też, aby oprócz czło-

---

<sup>1)</sup> Należy odróżnić go od wielkiego mrówkojada (*Myrmecophaga jubata*), zamieszkującego wyłącznie wilgotne lasy zwrotnikowej Ameryki.

wieka miał innych nieprzyjaciół: ssących drapieżnych brak prawie zupełnie w okolicach zamieszkiwanych przez niego, a żaden z miejscowych ptaków drapieżnych nie zdołałby mu poradzić, gdyby mu przysłała ochota napastować tego niezgrabnego, lecz niezwykłe na swą wielkość silnego zwierza.

Z nadejściem nocy mrówkojad opuszcza swe legowisko i wyrusza na poszukiwanie gniazd termitowych, gdyż trzeba wiedzieć, że te owady stanowią jego wyłączne pożywienie. Termyty są to niewielkie stworzonka białawe z czarną główką.—Świdrują one wewnątrz drzewa liczne kanały, a z próchna, jakie stąd pochodzi, zmieszanego z rodzajem twardniejącej na powietrzu cieczy, wydzielanej przez te owady, tworzą na zewnątrz drzewa olbrzymie guzy, mające nieraz około metra średnicy. Guz taki, a właściwie gniazdo termitowe pokrywa cienka i bardzo łomka skorupa, pod którą krzyżują się liczne kanały, przecinające nieregularnie gniazdo. Jeżeli część takiej skorupy zdejmujemy, wewnątrz przedstawi nam się jako twarda masa, podziurawiona na kształt gąbki licznymi kanałami, po których snują się mirjady termitów.

Mrówkojad, wlaższy na gniazdo, rozrywa skorupę swymi silnymi pazurami, a wówczas zapuszcza w liczne kanały swój długi, podobny do robaka dżdżowego — język, pokryty zawsze jakąś materją lepką, do której termyty przylegają. Każde wsunięcie lub wysunięcie języka dostarcza mrówkojadowi kilka lub kilkunaście termitów; trzeba więc bardzo długiego czasu, zapewne kilku godzin, aby się zwierz tej wielkości, co mrówkojad, najadł tak drobnymi owadami.

Norę zdaje się kopać mrówkojad w wyjątkowych tylko razach. Jedną z nich widziałem rozkopaną w pobliżu miasteczka; prowadziła poziomo w małej głębokości od powierzchni; długość jej wynosić mogła około 7 stóp. Jeden z krajowców zapewniał mnie, że jest to pierwsza nora, jaką spotyka w swem życiu i że mrówkojad zwykł sypiać na drzewach. Ponieważ w okolicy oprócz pewnej sówki (*Athene cunicularia*) i dużej jaszczurki (*Teyovaranus Branicki*), żaden inny zwierz nory nie kopie, przypuszczam, że ta, którą obejrzałem, zrobiona być musiała przez mrówkojada, gdyż podziemne siedliska obu wspomnianych stworzeń byłyby za małe dla tak dużego zwierzęcia.

To są bodaj jedyne szczegóły, jakie mi się zebrać udało o dzikim mrówkojadzie; te jednak dopełnić można skutecznie obserwacjami, czynionymi przezemnie w ciągu sześciu miesięcy nad chowanym okazem tego zwierzęcia. Dowiedziawszy się, że w okolicach Tumbezu trzyma się jakiś mrówkojad i przypuszczając, że mógłby to być nowy dla nauki gatunek, obiecaliśmy sute wynagrodzenie za każdy zdobyty egzemplarz. Jakoż dnia 14 lipca 1876 r. jeden z mieszkańców miasteczka, niejaki Jan Bautista uwiłdomił nas, że poprzedniego dnia złowił dwa żywe egzemplarze tego ciekawego zwierza i przywiązał je do drzewa, skąd je trzeba zabrać. Pragnąc przynieść je żywymi, wziąłem ze sobą niewielką skrzynkę, sznur, gwoździe i w towarzystwie Jana udałem

się do okolicznych gąszczy. W drodze Bautista opowiedział mi, że dnia poprzedniego długo tropił mrówkojady na mialkim pyle mulastym stanowiącym grunt równiny tumbeskiej, aż wreszcie wpadł na trop, który go do nory doprowadził. Norę rozkopał wielkim nożem, służącym do cięcia gałęzi i wyjął matkę z dzieckiem, które do jednego z krzaków algarrobowych przywiązał. Zbliżając się do tego miejsca, spostrzegliśmy kilkanaście urubów (*Cathartes*), siedzących częścią na ziemi, częścią na okolicznych drzewach, jakby oczekiwały cierpliwie na śmierć obu stworzeń. Fakt ten uderzył mnie bardzo, gdyż jak się okazało oba mrówkojady były zupełnie zdrowe i żadnej rany na sobie nie nosiły; dowodził więc, że uruby są obdarzone wielką zmyślnością, skoro widok dwóch przywiązanych zwierząt mógł je skłonić do długiego wyczekiwania, jakby wiedziały, że oba mrówkojady śmierć poniosą; nie mogły bowiem przewidywać, że je ktoś przedtem zabierze. Ta zdolność kombinowania u stworzeń, stojących nisko na skali umysłowego rozwoju, zastanowiła mnie bardzo; na razie jednak widok drapieżników obudził we mnie obawę, że już mogły skórę obu mrówkojadów nadwerężyć; natychmiast sprawdziłem jednak, że obawa moja była płonna.

Oba mrówkojady wisiały na gałęziach, obejmując je czterema nogami, z ciałem w dół zwieszonym, jak to czynią pokrewne im leniwce, należące do tego samego rzędu bezzębnych (*Edentata*). Ponieważ gałąź, do której była przywiązana samica, znajdowała się na nieznacznej wysokości, zwierz widocznie starał się oswobodzić i zrył ziemię pod sobą; pyszczki obu były obmazane lepka śliną i piaskiem oblepione. Stara na nasz widok zaczęła się bardzo niepokoić, wyrzucać nogami ziemię w górę, parskać i syczeć jak kot, a wkońcu wpadając w coraz to większy gniew, stawała na tylnych łapach, starając się nas dosięgnąć silnymi pazurami nóg przednich. Z tego, com widział, przypuszczać mogę, że przy swej sile i olbrzymich, haczykowato zagiętych pazurach, mogłaby silnie zranić. Młody, o połowę mniejszy od samicy drzemał sobie tymczasem spokojnie, a gdy go się poruszało, otwierał swe małe oczki i leniwie zwracał głowę w stronę niepokojącej go osoby.

Obejrzawszy norę i spakowawszy z niemalym trudem oba żywe zwierzęta do skrzynki, ponieśliśmy je do domu. Tu spostrzegłem, że młody siedział na grzbiecie matki, obejmując ją czterema nogami i pozycję tę zachował cały czas aż do dnia następnego, w którym odbyłem egzekucję nad starą, gdyż ta do kolekcji pójść musiała. Nawet podczas tej przykrej operacji biedne stworzenie trzymało się silnie swej matki, nie zdając sobie sprawy z całego tego wypadku. Wnoszę stąd, że samica nosi swe dziecię na grzbiecie przez długi czas, gdyż ten młody liczyć już musiał przynajmniej 3 do 4 miesięcy wieku.

Postanowiłem go chować, karmiąc za radą Rouggera mlekiem i mięsem siekanem. Pierwsze jednak dni źle się zapowiadały: widocznie nowy pokarm nie bardzo przypadł do smaku

memu wychowawcowi, gdyż mleko pił niechętnie zrazu, spożywając dziennie bardzo nieznaczny ilość. Wypuszczał przy tem swój robaczkowaty język, a pazurami przednich nóg, które zawsze trzymał blisko gęby, drapał ciągle talerz, jak gdyby ruch ten był u niego instynktowym, wywołanym potrzebą rozdrapywania gniazd termitowych. Trzeba mu było talerz ręką przytrzymywać, gdyż zwykle przewracał go i mleko na ziemię rozlewał.

Trzymałem go z początku w skrzynce, do której pakuł na podściółkę włożyłem. Pewnego razu zauważyłem, że długi swój język zapuszczał pomiędzy szpary skrzyni; przyszło mi też na myśl skorzystać z tej okoliczności: rozmoczyłem nieco bulki w mleku i wzdłuż szpar ponakładałem. Próba udała się i zwierz zjadł po raz pierwszy nieco większą ilość pokarmu. Odtąd nabrałem pewności, że mi się go uda wychować.

Trawienie u tych zwierząt odbywać się musi bardzo wolno, gdyż dopiero na czwarty dzień niewoli dostrzegłem pierwsze jego ekskrementa, w których obecność niestrawionych główek termitowych sprawdziłem. Później też zauważyć mogłem, że wypróżniał się w dość znacznych odstępach czasu, z wyjątkiem tych dni, w które niedyspozycja żołądkowa wyprowadzała go ze zwykłego trybu, co zresztą trafiało się bardzo rzadko, wtedy mianowicie, gdy przez nieuwagę dostawał mleka nieco skwaśniałego.

Zrazu był dość dziki i nieprzystępny. Za zbliżeniem się naszem parskał i syczał jak kot, a niekiedy stawał na tylne łapy, roztwierając szeroko swe przednie kończyny, jakgdyby niemi swego przeciwnika chciał objąć. Powoli jednak przyzwyczajał się do obecności ludzi, a unikając wszelkich ruchów gwałtownych, które go widocznie straszyły i drażniły, można go było bezpiecznie brać na rękę. W tym celu używałem zwykle następującego środka: wskazujące palce każdej ręki podsuwałem mu wolno pod jego wielkie pazury, które natychmiast ścisnął nerwowo; wówczas bezpiecznie można go było wziąć na rękę, gdyż główną broń miał sparaliżowaną. Tak stopniowo przyzwyczajał się do mnie, aż w końcu oswoił się kompletnie i nawet niewinnym, choć bardzo niezdarnym zabawom czas poświęcał.

Zrobiłem mu w podwórzu silną klatkę. Dzień spędzał zwykle śpiąc zakopany w pakułach; dopiero za nadejściem nocy stawał się niespokojnym, usiłując ciągle wydobyć się z niewoli, czego też dopiął razu pewnego. Zamiast jednak uciec w gąszcze, zawędrował spokojnie do sąsiedniego domu i wszedł do jednej z izb, której mieszkańcy nie spali jeszcze. Zbiega przytrzymał i odniesiono mi go natychmiast. Za ten czyn samowolny wpakowałem go do mocnego worka i zawiązałem na noc. Egzaminując dnia następnego dziurę, przez którą zbiedz zdołał, zdziwiłem się niepomału, widząc przez jak wąską szparę tak spory zwierz przecisnąć się zdołał. Pomimo, że głowa jest bardzo szczupła w stosunku do tułowiu, wystarcza jej szerokość, aby zwierz całe ciało przesunął.

Ciało jego, pomimo nadzwyczaj silnej budowy szkieletu, po-

siadało giętkość niepospolitą. Spał zwykle, trzymając łeb na brzuchu, pomiędzy przednimi i tylnymi kończynami. Raz też zastałem go w najoryginalniejszej pozycji: leżał do góry brzuchem, trzymając na nim tykwowy talerzyk, który uchwycił wszystkimi czterema nogami, tak, że tykwa stanowiła rodzaj spójnika dla jego czterech kończyn. Pozycja ta ułatwiała mu podczas snu trzymanie głowy i zgięcie całego ciała ku środkowi. Pięść przednich kończyn stawiać może z wielką łatwością do góry podeszwą, przyczem skręca ją ku środkowi (prostopadle do osi ciała). Staw biodrowy tak jest urządzony, że zwierz bez wysilenia drapać się może po całym cieple, z wyjątkiem małej przestrzeni kuprowej i zabrzusznej. A przynosi mu to wielką korzyść, gdyż pcheł ma wielką ilość i ciągle potrzeba użycia grzebykowatych pazurów tylnych kończyn czuć się daje. Bardzo mało dba też o pozycję, w jakiej go się trzyma: bywało nieraz, wezmę go za ogon i zwieszę głowę na dół, a on najspokojniej drapie się tylną nogą po brzuchu.

Wogóle było to stworzenie ospałe i nieruchawe. Gdy go się ze snu obudziło, podnosił zwolna głowę, otwierał swe małe, wypukłe oczy, które od czasu do czasu leniwie przymykał przed rażącym go światłem. Obcesowe obejście raziło go i gniewało; przybierał wtedy opisaną wyżej obronną postawę i wydawał charakterystyczne syczenie; raz nawet rozdrażniony, wydał z siebie głos silny, krzykliwy, podobny do głosu sroki. Obchodząc się łagodnie, można go było rozweselić nawet; lubił szczególnie, gdy go się drapało po plecach lub po gardzieli. Gdym zaczynał przed nim skrobać palcem po desce, przyczajał się chwilkę, nastawiając uszu, poczem rzucał się niezręcznie na mą rękę i miętosił ją swymi pazurami. Była to jedyna zabawa, jakiej się chętnie od dawał.

Puszczając na niego czasami dwa młode pieski, zaciekawiony, jak się też względem nich zachowa. Psotne stworzenia łapały go za uszy, za kark, niekiedy za ogon, ciągnąc na wszystkie strony; on sapał tylko i szedł naprzód, mało uwagi zwracając na te karesy. Niekiedy przewracały go do góry brzuchem, lecz i to nie mogło go wyprowadzić ze zwykłej apacji.

Małe jego oczy, nieco wypukłe, pozbawione były wszelkiego wyrazu; a prawda, miały wyraz, ale ospałości, do czego przyczyniały się głównie leniwie opadające od czasu do czasu powieki. Żrenica mrówkojada jest niewielka, co zwykle zdarza się u tych zwierząt nocnych, którym wzrok bardzo jest potrzebny, jak np. u leniwców, dydelfów, kolczaków (*Sphiggurus*) i innych. Gałka oczna jest w części ruchomą, co pozwala niekiedy widzieć białka w znacznej części. Wyraz oczu jest przy tych poruszeniach niezwykle głupi i komiczny.

Jeżeli wzrok mrówkojada, a jak się zdaje i słuch jego są słabo rozwinięte, za to węch musi mieć doskonały. Już widząc nozdrza jego pokryte bezustannie śliną, czy może wydzielinami nosowymi, a priori wnosić można, że zmysł węchu musi być u niego doskonale rozwinięty. Przekonałem się o tem, robiąc nastę-

pujące doświadczenie. Wychowaniec mój zwykł był po zjedzeniu porcji mleka wstawać na tylne nogi, podpierając się ogonem, jakby się chciał przekonać, czy niema w okolicy jakiego nieprzyjaciela. Rzucał wkoło swym bezmyślnym wzrokiem, poczem kierował się zwykle prosto do swej skrzynki, do której sam wlaził, zakopywał się w pakuły i zasypiał. Postawiłem mu raz talerz z mlekiem na środku podwórza, skrzynkę zaś pozostawiłem w kącie, rozrzucając wkoło pakuły, a wieko postawiwszy nieco na stronie. Po uczcie mrówkojad, wietrząc, skierował się ku tym przedmiotom, do skrzynki jednak nie mógł trafić, gdyż go zbijały z tropu pakuły i wieko. Kilkakrotnie odnosiłem go na środek podwórza, odwracając głową w przeciwną stronę; zawsze wracał do swego legowiska, lecz do skrzynki trafić nie mógł. Dopiero, gdy pakuły do niej włożył i postawił wieko tuż obok, skierował się prosto ku niej, wlaził do środka i zasnął natychmiast. Widocznie więc w swych nocnych wycieczkach kieruje się głównie węchem, a nie wzrokiem.

Do wyszukiwania gniazd termitów pomaga mu niewątpliwie silny odór, jaki te owady z siebie wydają. Odór ten udziela się w wysokim stopniu i mrówkojadowi. Mój jednak wychowaniec, karmiony mlekiem, a następnie mięsem siekanem i ryżem, pozbył się go zupełnie po pewnym przeciągu czasu.

Do mleka przyzwyczał się zupełnie, głównie też mlekiem karmiłem go przez pierwszy miesiąc, dając mu je po 5 razy dziennie. Wspomniałem już, że z początku pijąc mleko, drapał ciągle po talerzu, powtarzając instynktowe ruchy, jakie przy rozdrapywaniu gniazd termitowych zwykł wykonywać. Z czasem jednak, gdy spostrzegł, że drapanie to powoduje rozlewanie mleka, odzwyczaił się stopniowo, przytrzymując zawsze brzeg talerza swymi silnymi pazurami. Jedną miał tylko niewygodę z piciem mleka, a mianowicie, że mu się w nozdrza nalewało, co go zmuszało do częstego parskania.

Chcąc się przekonać, jak się zachowuje wobec gniazda termitowego, sprowadziliśmy mu raz duży jego kawał i porzuciliśmy na środku podwórza. Zrazu wahał je przez dobrą chwilę, poczem rozdrapał część jego i zaczął szybko swym długim językiem poruszać, zapuszczając go w liczne kanały gniazda. Przy tej operacji pięści przednich kończyn trzymał ciągle tuż obok ryjka, rozdrapując stopniowo gniazdo swymi potężnymi pazurami; noga przytem pozostawała w spokoju, tylko pazur zginał się, odrywając twardą masę gniazda termitowego. Oczy miał prawie ciągle zamknięte, gdyż mu termity łeb i całe ciało oblażyły; drapał się też nieustannie tylnymi nogami, a gdy mu owady zbyt blisko dokuczały, zgarniał je z nosa i ze łba swymi hakowatymi pazurami przednich kończyn. Widziałem kilkakrotnie, jak długi język jego pokazywał się z przeciwnego końca kanałów mogących mieć do 3 cali długości. Dopuszczony do gniazda siedział na niem zwykle po godzinie, a nawet i więcej, zajęty bezustannie polykaniem termitów.

Zmuszony następnie wyjechać na miesiąc do Limy, uprosiłem Jelskiego, aby wziął opiekę nad moim wychowalcem, co też jak najchętniej uczynił. Jelski zaczął powoli przyzwyczajać mrówkojadę do siekanego mięsa, które dla zabezpieczenia od psucia silnie cukrzył. Był to więc postęp, gdyż można było urozmaicać jedzenie naszemu mrówkojadowi. Przy mięsie jednak trzeba mu było dawać kilka razy na dzień wody, gdyż cukier pobudzał w nim silne pragnienie.

Wyjazd nasz do Santa Lucia w delcie rzeki Tumbezu raz jeszcze wpłynął na zmianę pokarmu naszego pupila. Ponieważ w miejscowości tej oprócz nas dwóch znajdował się jeden tylko mieszkaniec, nieodpobna więc było dostać mleka, mięso zaś świeże dostarczały ptaki upolowane przez nas, lecz te nie codziennie się trafiały, gdyż były dnie, któreśmy wyłącznie poświęcali na zbieranie muszli, krabów i innych morszczyzn. Wówczas zacząłem go przyzwyczajać do ryżu sypkiego, który zrazu niezbyt chętnie zajadał; szybko jednak polubił go i przez parę miesięcy prawie wyłącznie ryżem się karmił.

Dnia 23 października, zatem przeszło w 3 miesiące po złowieniu mrówkojady, zaniosłem go do gniazda termitowego, odłupałem część zewnętrznej skorupy i przypuściłem doń mego wychowalca. Liznął parę razy i szybko oddalać się zaczął. Poniosłem go do wody, dałem się napić, wiedząc, że często pragnienie przytłumia głód; poczem wróciłem do gniazda termitowego. I tą razą jeść owadów nie chciał. Dałem mu wówczas siekanego mięsa z pewnego drapieżnika: zjadł wszystko. Z tego widać, jak łatwo zwierzę traci swe wrodzone instynkta. Tego też dnia zrobiłem próbę wykapania go w rzece, pragnąc go wymyć mydłem, gdyż był dość brudny. Sapał przytem niemiłosiernie, dając znać, że mu się ta przymusowa kąpiel wcale nie podoba; pływał jednak niezłe.

Po pięciu miesiącach niewoli zauważyłem że z smutkiem, że zamknięcie nie służy memu wychowalcowi. Jadł wprawdzie dobrze, lecz brak ruchu i odpowiednich ćwiczeń spowodził silną zmianę w całym organizmie, która objawiać się zaczęła ogólnem osłabieniem ciała. Pazury tylnych nóg tak mu wybijały, że je trzeba było kilkakrotnie obcinać; jednocześnie długi ogon, który przedtem nosił zawsze poziomo, zlekka zagięty ku górze, teraz włókł bezwładnie po ziemi, zostawiając wyraźny ślad na piasku, jakby od włóczenia postronka. Słaby był przytem do tego stopnia, że chodzić prawie nie mógł.

Staralem się podtrzymać w nim ulatające zwolna życie, puszczając go niekiedy na swobodę pod moim nadzorem; przechadzki te jednak kończyły się zwykle tem, że załaził do jednej z porzuconych beczek i w niej zasypiał. W skutek tego zwolniłem bardzo mój dozór, aż w końcu d. 18 grudnia 1876 roku podczas jednej z takich wycieczek znikł mi zupełnie.

Wiedziałem, że nie zawędruje daleko, gdyż Santa-Lucia położoną jest na jednej z wysp manglowych, oddzielonej szerokim kanałem od stałego lądu; tylko podczas największych odpływów



tworzyło się wązkie przejście, na które nie łatwo było trafić zwierzęciu. Straciłem nadzieję odzyskania go, gdy trzeciego dnia po ucieczce, sąsiad nasz przyniósł mi go zdrowego zupełnie. Czuć od niego było termitami, z czego wniosłem, że się do nich podczas swej dwudniowej wycieczki dobierał. Przekonałem się o tem następnie, badając kał jego, w którym główki termitów znalazłem. Tegoż jeszcze dnia wymknął mi się powtórnie, gdyż zapomniałem drzwi klatki zamknąć. Widocznie swoboda zasmakowała mu bardzo. Ślad świeży prowadził po piasku prosto do gąszczu manglowego i tam ginął na dość twardem błocie ryzoforowem. Znów przepadł przez dwa dni; dopiero na trzeci rano spostrzegłem ślad jego pod domem<sup>1)</sup>, skąd prowadził prosto do gęstego krzaku rośliny zwanej „chilca”, położonego o sto kroków od domu. Widocznie pragnienie zapędziło go w nasze strony, gdyż rzeka przy ujściu i kanały manglowe zawierają wodę mocno słoną. Otropiwszy krzak, przekonałem się, że się musi w środku znajdować i w samej rzeczy przydybaliśmy go tam śpiącego najspokojniej. Oba razy po powrocie z wycieczek okazywał raczej oznaki pragnienia, a nie głodu.

Widząc, że zwykł wracać do domostw, zostawiłem mu drzwi klatki otwarte. Powędrował sobie i już go więcej nie widziałem. Kręcił się jednak w okolicy i parę razy nawet do domostw zachodził, lecz mnie wówczas nie było, a mieszkańcy bali się go złowić. Badając świeży ślad jego w dwa tygodnie po ostatniem wypuszczeniu, przekonałem się, że ogona już więcej nie włóczył, co mnie bardzo uradowało, gdyż przekonałem się, że do dawnych sił powrócił. O dalszych jego losach nie wiem.

Tym sposobem udało mi się przechować w ciągu 6 miesięcy jedno z najciekawszych zwierząt. Przypuszczając, że miał już 3 do 4 miesięcy, kiedy go złowiono, musiał liczyć 9 do 10 miesięcy, gdy go po raz ostatni wypuścił. Przez ten czas doszedł już niemal wielkości starego zwierzęcia. Przypuszczam więc, że mrówkojad osiąga pełni rozwoju conajmniej po roku. Próba moja wykazała wprawdzie, że chować można ten rodzaj zwierząt przez długi przeciąg czasu; nigdy jednak niewola nie zastąpi w zupełności bytu na swobodzie, gdyż nie podobna dostarczyć tym stworzeniom odpowiednich warunków bytu.

Brak odpowiedniego karmu, a co najważniejsza, przymusowa beczynność sprowadza w silnym, ruchu i pracy wymagającym organizmie mrówkojada stopniowy upadek sił, który niewątpliwie skończył by się przedwczesną śmiercią.

---

<sup>1)</sup> Domy, a raczej chaty w Santa-Lucia są budowane na palach.

Wzgórza (Las Lomas) stanowią przejście od pustyni do okolic nazywanych przez Hiszpanów „campos” lub „savianas”, to jest równin, lub zlekka falistych przestrzeni, pokrytych trawą i gdzieś niedzie rosnąciami drzewami lub krzakami. W samej rzeczy wzgórza podczas suchej pory przybierają charakter pustyniowy, urozmaicony nędzną zielenią kaktusów, lub pojedynczo rosnących krzaków; dopiero za nadejściem pory dżdżystej szybko wyrastająca trawa i liście na nielicznych drzewach okolicy, czynią ją podobną do brazylijskich lub gujańskich campos'ów. Temu typowi okolic odpowiada też i ptactwo, jakie się na wzgórzach spotyka; przeważają wróblowate i muchołówki, a brak zupełnie różnych leśnych rodzin, jak tukany, mrówkołowy, (*Formicariidae*), głowacze (*Capitonidae*) i inne t. p.

Pod względem ornitologicznym trzeba też odróżnić bezpośrednio okolice rzeki, czyli samą dolinę, gdzie roślinność jest względnie bogatą, od wzgórz właściwych, noszących pół pustyniowy charakter. Trafiają się ptaki, które wyłącznie przebywają w jednej z tych okolic, nie zalatując nigdy do drugiej, pomimo bezpośredniego sąsiedztwa obu. Zbytecznym też jest dodawać, że sama dolina, jako bogatsza w roślinność, obficie też jest od wzgórz uposażoną w ptactwo; zbliżając się nieco swym charakterem do lasów wilgotnych, posiada też i niektóre ptaki do leśnych rodzin należące.

Do najpospolitszych między nimi należy t. zw. „negro” (*Lamprosar Warszewiczi*), czarny ptak wielkości szpaka, trzymający się zwykle towarzysko w zaroślach nadrzecznych, skąd niekiedy do samego miasteczka zalatuje. Przed zachodem słońca ptaki te obsiadają liczne nadbrzeżne gąszcze, produkując się hałaśliwym koncertem, w którym nie podobna rozróżnić pojedynczych motywów. Każdy z ptaków wydaje co pewien przeciąg czasu swój śpiew krótki, lecz nie pozbawiony harmonji; ponieważ jest ich ogromna ilość, głosy zlewają się w jednolite świegotanie, które powietrze bez ustanku napęnia, ożywiając niezmiernie okolicę.

Zrobię czytelnikowi jedną uwagę, która posłuży mi nieraz przy kreśleniu szkiców rozmaitych okolic peruwjańskich. Śpiew ptaków i wogóle ich różne głosy czy to mile, czy nieprzyjemnie, grają niemałą rolę w ogólnym charakterze okolicy. Gdy przed oczami mamy ciągle pewien krajobraz i gdy jednocześnie słyszmy często powtarzające się głosy, dwa te wrażenia, tak się zlewają w naszej pamięci, że następnie dość jest przywołać jedno z nich, aby drugie bezpośrednio stanęło w naszej wyobraźni. Każdy z was, czytelnicy, doświadczał zapewne nieraz podobnego wypadku z różnymi zapachami, które nam przypominają pewne okoliczności, w jakich je czuliśmy. Dla mnie np. dość jest poczuć zapach kamfory, aby mi przypomnieć muzea zoologiczne; zapach kwasu karbolowego przypomina mi lekcje anatomji lub fizjologii. Taki sam wypadek zachodzi i z dźwiękami: niektóre melodie wywołują w pamięci naszej różne okoliczności, w jakich je często słyszeliśmy. Pozwolę więc sobie nazwać tę muzyczną, że tak powiem,

stronę krajobrazu—harmonją okolicy. U nas, pod szarem niebem północy, jednostajność przyrody i względne ubóstwo ptactwa nie wywołuje tak wybitnych wrażeń, abyśmy byli w stanie łączyć bezwiednie w pamięci naszej różnorodne wrażenia śpiewu ptaków z krajobrazem okolicy, gdyż ta wszędzie posiada charakter podobny. Lecz w krajach zwrotnikowych, w Peru szczególnie, gdzie życie zwierzęce jest w wysokim stopniu rozwinięte; gdzie nadto w skutek różnorodności warunków klimatycznych napotykaemy liczne typy okolic, zasadniczo różne jedna od drugiej tak pod względem roślinności, jak i życia zwierzęcego, tam harmonja okolicy wybitny nosi charakter, uprzytomniając nam różne szczegóły krajobrazu, jakie w stanie utajonym przechowuje pamięć nasza.

W harmonji okolicy Tumbezu ważną bardzo rolę odgrywa inny niewielki ptak zwany przez krajowców „ollero”, co po polsku garncarz znaczy (*Furnarius cinnamomeus*), należący do rodziny pelzaczy amerykańskich (*Dendrocolaptidae*). Donośny jego głos, wyrażający szereg tonów, spadających w gamie chromatycznej, co chwila słyszeć się daje. Garncarz nazwanym tak został dla swych wielkich kulistych gniazd, jakie z gliny buduje. Gniazdo posiada jeden otwór, prowadzący małym zakrętem do wnętrza. Ponieważ ptaszek ten zdaje się co roku budować nową siedzibę, więc ilość tych gniazd tak jest wielka, że w okolicach Tumbezu każde niemal większe drzewo nosi na sobie przynajmniej jedno, a niekiedy dwa lub trzy gliniane pomieszczenia garncarzy. Swojski to bardzo ptaszek, zalatujący ciągle do miasteczka, gdzie po śmietniskach butnie spaceruje, szukając pożywienia.

Najmilszym jednak śpiewakiem okolicy jest przedrzeźniacz peruwjański (*Mimus longicaudatus*) zwany przez krajowców „sona” lub „chisco”. Wielkości drozda, o upierzeniu szarem, posiada długi ogon, który zwykł ku górze zadzierać, gdy skacze z gałęzi na gałęź lub po ziemi. Pora dżdżysta jest dla nich epoką miłosnych konkurów, podczas których samiec długimi godzinami oddaje się śpiewowi, bardzo przez mieszkańców cenionemu. Gdy podówczas wyjdziemy w okolice miasteczka, spostrzeżemy prawie na każdym krzaku, lub kaktusie siedzącego spokojnie przedrzeźniacza. Śpiew jego dość cichy, zbyt może gardłowy, rozchodzi się na wszystkie strony. Krótka pora wiosny i lata stanowi jedyny okres, w którym przedrzeźniacz słyszeć się daje; z nadejściem pory suchej ptak milknie prawie zupełnie.

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia następującego wypadku, jaki mi się zdarzył w Tumbecie z przedrzeźniaczem; rzuca on bowiem pewne światło na ciemną kwestję umysłowych zdolności ptaków w ogólności, stanowiąc „pendant” do opowiedzianego przeze mnie zdarzenia z urubami, które czatowały na śmierć dwu przywiązanych, lecz zupełnie zdrowych mrówkojadów.

Pewnego razu jakiś chłopiec przyniósł mi gniazdo przedrzeźniacza, zawierające troje młodych piskląt, które postanowiłem odchowić i w tym celu włożyłem je wraz z gniazdem do dużej klatki, aby pies jaki lub kot nie dobrał się do nich. Klatkę

postawiłem na odkrytej galerji, okalającej dom cały z czterech stron. Widocznie rodzice towarzyszyli chłopcu, kradnącemu ich skarb, gdyż oboje siedzieli na dachu sąsiedniego domu, wydając zaniepokojone głosy. Gdy od klatki odszedł, samica przyleciała na nią, starając się dostać do młodych; otworzyłem drzwiczki. W samej rzeczy biedna matka nadleciała powtórnie i nie rachując się z niebezpieczeństwem, weszła do klatki. Oznaki takiej miłości macierzyńskiej skłoniły mnie do dania ptaszynie zupełnej swobody działania, przewidywałem bowiem, że się wychowaniem swych dzieci zajmie. Od tego czasu samica oddała się trudom macierzyńskim, nie zwracając uwagi na niezwykle położenie swego potomstwa: odlatywała do sąsiednich gąszczy, przynosząc różne jagody lub owady, któremi młode karmiła. Tylko samiec bardziej był niedowierzający: trzymał się zawsze zdaleka, siadając na okolicznych domach, skąd nas nieustannie dochodził jego śpiew przyjemny.

Pewnej niedzieli siedziałem na galerji zajęty czytaniem; klatkę dnia postawiłem z drugiej strony domu, aby obecność nasza nie przeszkadzała samicy w jej trudach macierzyńskich. Długi czas nie zwracałem uwagi na to, że wydaje ona swój zwykły głos alarmujący, skacząc po poręczy ganku z widocznymi oznakami zaniepokojenia. Dopiero gdy się do mnie stopniowo zbliżyła na odległość wyciągniętej ręki, uderzony zostałem tą jej nie zwykłą swojskością: widocznem było, że chciała zwrócić moją uwagę. Wstałem i poszedłem do klatki, gdzie mi się cały niepokój starej wyjaśnił: wiatr zatrzasnął drzwiczki i biedaczka nie mogła się dostać do swych dzieci; wiedziała, że ja jej w tym kłopotcie dopomóc mogę, więc mnie swymi ruchami i głosem alarmowała. Dowodzi to wielkiej zmyślności, która graniczy bardzo blisko z naszą inteligencją i w żadnym razie objaśnioną być nie może prostym instynktem. Instynkt obejmuje tylko te wypadki, w których wiekowe przyzwyczajenie wyrobiło całe szeregi bezmyślnych ruchów, a raczej odruchów, użytecznych dla gatunku. W opisanym zaś wypadku widoczną była pewna rozwaga, której w żaden sposób nie podobna podciągnąć pod kategorię czynności instynktowych, gdyż należy do zupełnie innej grupy objawów psychicznych, ujętych pod ogólną nazwą inteligencji. W nagrodę takiego bezinteresownego przywiązania pozwoliłem samicy odchować swe potomstwo i wyprowadzić je, gdy już latać mogło.

W okolicach Tumbezu przemieszkują inny osobliwy ptaszek, zwany przez krajowców „jergon” (*Campylorhynchus balteatus*). Uczeni ornitologowie zaliczają go do tej samej rodziny, co i strzyżyka, zwanego wołowem oczkiem; nie zdaje mi się jednak, aby to stanowisko było dlań właściwem. Jest to ptaszek wielkości dzierzby, o ubarwieniu składającym się z poprzecznych prążków, naprzemiany brudno-białych i czarniawych, skąd i nazwa jego miejscowa pochodzi od wyrazu „jerga”, którym Peruwjanie oznaczają rodzaj podobnie zabarwionego grubego sukna, jakiego na potniki używają. Wspomniany ptaszek trzyma się parami, niekiedy

zaś po trzy razem, co Jelski za wskazówką krajowców za rodzaj bigamji uważa. Gniazda buduje wielkie, nieforemne, na które używa najrozmaitszego materiału, zaczynając od ździebeł trawy i końskiego włosia, a kończąc na kawałkach papieru, szmatach i pęczkach brudnej waty, jakie na śmietniskach znajduje, lub wprost zdomów kradnie. Głosu jego boję się nawet śpiewem nazwać, gdyż jest to kombinacja tonów syczących, chrapliwych, w której jedynym pierwiastkiem muzycznym jest pewien rytm, jaki ptaki ściśle zachowują. Śpiewają zwykle dwa naraz, zachowując doskonale takt; gdy jednak trafi się czasami jaka niewprawna para, zgodzić się nie może jeden z drugim i zwykle w takich razach po kilku nieudanych próbach przerywają ten osobliwy koncert. Pomimo swego nieprzyjemnego głosu „jergon“ jest miłym bardzo ptaszkiem, zyskując sobie sympatję swojskością obyczajów. Często widzieć go można zalatującego do odkrytych ze wszystkich stron chat wieśniaczych, gdzie pod strzechami łowi zapamiętałe pająki, prusaki i inne robactwo, kryjące się zwykle po domach.

Trudno mi też pominąć milczeniem innego ptaszka wielkości szpaka, zwanego w Peru „guarda caballo“, co dosłownie znaczy stróż koni lub pilnujący koni (*Molothrus purpurascens*), gdyż zwykle towarzyszy koniom lub bydłu rogatemu, siadając im na grzbiecie w celach wyciągania różnych pasorzytów skórnych. Ptaszek ten trzyma się stadami, a w stosunkach swych ze wspomnianymi zwierzętami jest równie dowierzający, jak nasze wrony lub sroki z trzodą chlewną. Jedne z nich siadają koniom na grzbiecie, gdy inne otaczają łeb jego nachylony ku ziemi, gdy koń trawę szczypie; posuwają się naprzód wraz ze swym przyjaciелеm, spodziewając się znaleźć co na ziemi, z której koń trawę oczyszcza. Guarda-caballo posiada jeszcze inny osobliwy zwyczaj kładzenia jaj w cudze gniazda na podobieństwo naszej kukułki. Często przynoszono nam gniazda innych ptaków, zawierające zwykle, oprócz jaj prawnych, jedno lub dwa należące do tego intruza. Wspomniany powyżej „jergon“, pewna maleńka mucholówka (*Ornithion pusillum*), wróbel południowo amerykański (*Zonotrichia pileata*) i świergotek (*Anthus peruvianus*), a prawdopodobnie wiele innych ptaszków widzi się nieraz zmuszonymi karmić takiego pasorzytę ze szkodą swego prawego potomstwa, gdyż mała ptaszyna nie jest w stanie nastarczyć potrzebom większego od siebie wychowańca, który pochłania wszystkie karm zniiesiony przez przybraną matkę, sprowadzając zwykle śmierć jej własnych dzieci.

Nazwa „guarda-caballo“ stosowaną bywa przez pomorzańskich do innego jeszcze ptaka, należącego do rodziny kulek (*Crotophaga sulcirostris*), zwanego także „garrapatero“ od wyrazu „garrapata“—kleszcz. Czarny ten ptak z wysokim, niby papuzim dzióbem, z długim ogonem, zwykł także towarzyszyć koniom i bydłu, wyświadczając im te same usługi, co opisany dopiero *Molothrus*. Stadka ich złożone z 8—10 sztuk spotkać nieraz można w nadrzecznych gąszczach, gdzie ptaki siedzą spokojnie po krzakach, lub też uganiają się za sobą po ziemi. Ptak

ten posiada ciekawy sposób rozmnażania się: kilka samic razem buduje obszerne gniazdo z chrustu na ziemi lub tuż nad nią i wspólnie znoszą jaja, wysiadując jednocześnie na ogólnem gnieździe. Świeżo zniesione jaja są czysto białe; pod cienką jednak warstwą białą kryje się właściwe tło seledynowe, które odkrywa się stopniowo w miarę, jak samice, poruszając się na gnieździe, zdrapują pazurkami cienką, zewnętrzną powłokę. Tym sposobem im jajo jest starsze, tem jest więcej podrapane, a na jajach bliższych wyklucia zwykle cała biała powierzchnia jest już zniszczona i jajo posiada barwę czysto seledynową.

W gąszczu nadrzecznym życia jest dosyć, szczególnie w godzinach porannych. Wesołe tangary (*Tanagra cana*), popielate z szafirowemi skrzydłami, kręcą się parami lub stadkami z kilku sztuk złożonemi, ożywiając powietrze swym cieńkim, lecz melodyjnym głosikiem. Tu i owdzie cirkają maleńkie, raczej do trzmieli niż do ptaka podobniejsze koliberki (*Myrmia micrura*), kręcą się po mimozach i akacjach, szperając po maleńkich kwiatkach, lub odpoczywając na pojedynczych, suchych gałązkach. Burczenie ich, niby burczenie trzmieli, napełnia powietrze; gdy je po raz pierwszy zobaczył, wziąłby je za owady, tak są do nich wielkością i lotem podobne. Zdaleka dochodzi nas wrzaskliwe krakanie papug (*Conurus erythrogenys*), które ku nam ciągną. Głos ich słyhać bliżej i bliżej. Zapadły obok na drzewie algarrobowem, przymilkły, wydając tylko pojedyncze, przytłumione krakanie; łuszcą strączki algarrobowe, którymi się tu głównie karmią. Pod koniec pory dżdżystej, gdy w górach kukurydza dojrzewa, papugi te znikają zupełnie z okolic Tumbezu, przelatując do Sierry, gdzie wtedy obfitość dojrzewającego ziarna zapewnia im karm obfity i łatwy do zdobycia. Strączkami algarrobowymi karmi się inna jeszcze papuzka, maleńka, wielkości szczygła, nie więcej (*Psittacula coelestis*). Liczne ich stadka, świergocąc, przelatują z miejsca na miejsce. I one podobno wspólnie, po kilka samic razem niosą jaja do jednego gniazda. Zwykle zajmują opuszczone gniazdo garn-carza, dziuple dzięcioła i t. p. Jakkolwiek zbijają się w większe stadka, w każdym z nich pary trzymają się osobno. Zwyczaj to powszechny u papug: gdy ciągną stadem wysoko, każda para łatwo odróżnić się daje.

Sama rzeka karmi inne gatunki ptaków. Zimorodki (*Ceryle Cabanisi*), nadbrzeżne muchołówki (*Fluvicola atripennis*), różne gatunki czapel i kuliczków, trzymają się zawsze w jej sąsiedztwie, gdyż na brzegach owady lub małe krabiki, a w rzece rybę znajdują. Niekiedy unoszą się powolnym, miarowym lotem olbrzymie fregaty (*Tachypetes aquila*), które tu z delty od czasu do czasu zalatują. Ostrożna i rzadka węzówka (*Plotus anhinga*) z długą, wysmukłą i giętką szyją zasiadła na kłodzie drzewa wyrzuczonego na brzeg przez rzekę. Ma się na baczności i zejść ją nie łatwo.

Na wzgórzach ptactwo jest w części odmienne i nie tak liczne, jak w nadbrzeżnych gąszczach, roślinność tam uboższa i nieco

różna. Przeważają tu liczne gatunki wróblowatych, trzymających się w Ameryce Południowej prawie wyłącznie miejsc otwartych. Stądka ich spotykają się co kroku, szczególnie gdy nasiona świeżo porosłej trawy dojrzewają pod koniec pory dżdżystej. Do najciekawszych wróbli okolic Tumbezu należy bezwątpienia *Gnathospiza Raimondii* — nowy rodzaj, opisany z naszej kolekcji przez Taczanowskiego. Jest to ptaszek o ubarwieniu szarem z lekką domieszką barwy żółtej na głowie i gardzieli. Dziób ma osobliwy: gruby i wysoki, przypominający kształtem dzioby oryginalnych wróbli z rodzaju *Geospiza*, który obejmuje najbardziej charakterystyczne formy ptaków wysp Galapagos \*).

Ponieważ wyspy te wulkanicznego pochodzenia zasiedlone zostały przez przypadkowe migracje ptaków stało-lądowych i następnie pod wpływem odosobnienia i różnych warunków klimatycznych wyrodziły się w odmienne formy, jakkolwiek noszące ogólny amerykański charakter; przypuszczać więc należy, że *Gnathospiza* jest protoplastą *Geospizy*, lub że oba te rodzaje miały bezpośredniego wspólnego przodka.

Niewątpliwą jest rzeczą, że grupa wysp Galapagoskich, posiadająca zresztą o ile o tem wnosić mogą z licznych opowiadań, oraz opisów podróżników, podobny charakter do okolic Tumbezu, otrzymała swych pierwszych mieszkańców z tej, a nie z innej części lądu stałego południowo-amerykańskiego. Jedyne ssące, uważany przedtem za formę właściwą wyłącznie wyspom Galapagoskim, a mianowicie szczur (*Mus galapagoensis*) znaleziony przez nas został w okolicach Tumbezu, a identyczność jego z formą wyspową sprawdzoną została przez p. Thomas'a z muzeum Brytańskiego, który go z egzemplarzami typowymi porównał. Fauna ornitologiczna okolic Tumbezu także odpowiada faunie wysp Galapagoskich, na których przebywają albo te same gatunki, co i w sąsiedztwie Tumbezu, albo li też formy bliskie, zastępcze. Już nieco bardziej ku północy zaczynają się pomorskie lasy Ekwadoru, posiadające bardzo różną avifaunę, z której żaden przedstawiciel nie znajduje się na wyspach w mowie będących, co łatwo sobie objaśnić dwiema okolicznościami: raz, że archipelag Galapagos nie posiada lasów, zatem wszystkie formy leśne, jakieby się tam przypadkowo dostały, musiałyby przepaść, nie znajdując odpowiednich warunków; a powtóre, że ptaki leśne są zastąpione od przypadkowych migracji, którym zwykle początek dają silne burze i huragany.

Jeżeli więc odrzucimy pewne prawie przypuszczenie, że archipelag Galapagos otrzymał pierwszych przedstawicieli swej avifauny z okolic Tumbezu, wówczas przyjąć tylko możemy inne, a mianowicie, że w owych oddalonych czasach, kiedy się wspomniana

---

\*) Wyspy Galapagos leżą pod równikiem o 500 mil morskich na zachód od lądu południowo-amerykańskiego. Są własnością Ekwadoru. Wsławiły się badaniami Darwina, który porównyując ich zwierzęta z fauną stałego lądu, wpadł na myśl zmienności gatunków i stworzył swą znakomitą teorię.

grupa wysp z Oceanu wyłoniła, pomorze ekwadorskie, pokryte dziś lasami, nosiło jeszcze ten sam charakter, jaki dziś mają okolice Tumbezu, to jest, należało do typu nazwanego przezemnie „Wzgórzami”.

Wróćmy teraz do *Gnathospizy*. Ptasek ten pojawia się perjodycznie w okolicach Tumbezu w porze dżdżystej, kiedy wyrasta krótkotrwała trawa, której nasionka zdają się stanowić główne pożywienie gnathospizy. W tej porze zalatuje ona jeszcze nieco bardziej ku północy, zapędzając się aż pod Guayaquil, gdzie znaleziona została przez towarzysza mej drugiej wyprawy, Józefa Siemiradzkiego. W porze suchej znika zupełnie z okolic Tumbezu, lecąc prawdopodobnie bardziej ku południowi, gdzie pora mgieł wypada właśnie podczas suszy tumbezkich. Ptak ten w każdym razie posiada dość ograniczony okrąg rozmieszczenia geograficznego, trzymając się prawie wyłącznie okolic typu „Wzgórze”, zatem pomiędzy 2° i 8° szerokości południowej. Olbrzymie stada, jakie tworzy, spotyka się dość często na stepie w miesiącach styczniu, lutym i marcu. Jelski spotkał pomiędzy Tumbezem i miejscowością Mancora stada tak liczne, że je uważa za największe, jakie w swej karierze ornitologicznej zdarzyło mu się widzieć.

Oprócz *Gnathospizy* spotyka się na wzgórzach kilka innych gatunków wróbli, które tworzą często mieszane stadka, żerujące wspólnie na zeschniętych trawach. Z pomiędzy nich „el arzero” (*Sycalis flaveola*) odznacza się pięknym, kanarkowem ubarwieniem i pomarańczowym wierzchem głowy. Inny znów maleńki wróbelek (*Neorynchus nasesus*) posiada wysoki i krótki dzióbek, kształtem podobny do papuziego.

Z pomiędzy innych ptaków trzymają się stale na wzgórzach dwa gatunki wielkich mucholówek zwanych tyranami (*Tyrannus niveigularis* i *Myiodynastes Bairdi*) siadające zwykle na suchych gałęziach drzew, skąd w lot owady łowią. W braku ich nie gardzą roślinną strawą. Tu i owdzie spotkać można pięknego kacyka (*Icterus grace-annae*), pięknie pomarańczowego koloru z czarną głową, plecami i skrzydłami. Zwykł przebywać parami, a samiec w porze lęgowej wydaje harmonijny, choć może zbyt gardłowy śpiew. Stadka małych papużek (*Psittacula*) ożywiają także od czasu do czasu samotnie wzgórzy.

Ptaki drapieżne dość są liczne w tych okolicach, liczniejsze nawet stosunkowo, aniżeli w wilgotnych lasach południowej Ameryki, pomimo, że te są niezrównanie bogatsze w ptactwo, od suchych i jałowych wzgórzy. Objaśnienia tego faktu nie trudno jest znaleźć. Większość drapieżników południowo-amerykańskich karmi się jaszczurkami, węzami, a nawet krabami i owadami; jaszczurki zaś są bardzo nieliczne w lesistych miejscowościach. Z drugiej strony nieprzebyte gęstsze lasy amerykańskie stanowią doskonałą kryjówkę dla drobnych ptaków, co utrudnia niezmiernie drapieżnikom ich codzienne łowy. Dlatego przeważnie zwykły się trzymać miejscowości otwartych.

Do najokazalszych drapieżników okolic Tumbezu należy



„aguya“ (*Geranoaetus melanoleucus*)—popielaty z czysto białym spodem. Ten bodaj wyłącznie ptactwem się karmi, napadając papugi, gołębie, kaczki lub inne większe ptaki. W braku ich łowi myszy, lub inne drobne czworonogi. Lot ma wspaniały, całą postawę—imponującą. Pokrewny mu „gavilan sonso” krajowców (dosłownie głupi jastrząb — *Urubitinga uncinctus*) prawie wyłącznie żyje jaszczurkami, myszami lub wiewiórkami, które z gniazd wyciąga. Nazwano go głupim, gdyż nie zachowuje zwykłej drapieżnikom ostrożności. Gdy siedzi na drzewie, lub na samotnym kaktusie, można go podejść i obchodzić, nie płosząc bynajmniej.

Do bardzo charakterystycznych ptaków okolic Tumbezu należy ziemna sówka (*Athene cucularia*), kopiąca w gliniastym gruncie nory, przy których zwykle w ciągu dnia siedzi spokojnie. Wejście nory jest usiane kosteczkami myszy, a głównie wielkiej ropuchy (*Bufo transandinus*), które nocną porą łowi.

Często widzieć można sowę tę, jak o zmierzchu na śmietnikach oddaje się polowaniu na ropuchy. Gdy się do niej w dzień przy norze strzeli, raniona znika natychmiast pod ziemią; strzał musi być śmiertelny, jeżeli jej nie chcemy stracić na pewno.

Na tem zakończę mój pobieżny szkic avifauny okolic Tumbezu. Staralem się wybrać ptaki najbardziej charakterystyczne dla tej krainy, a i tak obawiam się, czy zbytnio nie znużyłem uwagi czytelnika. Ptactwo gra pierwszorzędną rolę w krajobrazie danej okolicy, którą ożywia swą ruchliwością i śpiewem; ssące są bez porównania rzadsze, a większość ich posiada nocne obyczaje. Wybacz mi przeto czytelnik, że pragnąc wyrycić mu w pamięci charakter tej lub owej krainy, głównie na ptaki zwracam uwagę, wspominając o innych zwierzętach o tyle, o ile one rzucają nam się w oczy przy pobieżnym przeglądzie okolicy chyba, że się trafią o nich szczegóły przez nikogo nie ogłaszane.

Jaszczurki, z wyjątkiem gatunków nocnych, lubią słońce, dlatego pospolicie spotykamy je w miejscowościach odkrytych aniżeli w lasach wilgotnych. Okolice Tumbezu posiadają ich kilka gatunków, należących przeważnie do rodziny *Iguanidae*. Najpospolitszą jest spora jaszczurka z rodzaju *Liocephalus*, posiadająca grzbiet kasztanowaty, a głowę i boki ciała, pięknego, błękitnego koloru. Ślady, pozostawione przez nią na ziemi przy włóczeniu długiego ogona, są nadzwyczaj liczne. Urywaniem ruchami posuwa się naprzód, szukając nasion roślinnych, lub wypatrując owady, które bardzo lubi. Gdy muchę jaką spostrzeże, szybkim ruchem rzuca się na nią i zreźnie łowi. Spłoszona umyka śpiesznie, zadarłszy ogon prostopadle do góry. Istnieje w okolicach San Pedro — bardziej ku południowi—inny gatunek jaszczurki, który mieszkańcy łowią zapamiętale na sidła, gdyż ma posiadać mięso bardzo smaczne. Nie udało mi się sprawdzić, o ile gust ten jest usprawiedliwiony.

Wielki gatunek legwana (*Iguana tuberculata*) przebywa w gąszczach nad rzeką, załaząc wysoko na drzewa. Jest to jaszczurka licząca niekiedy do 1½ metra długości, z czego połowa przynajmniej wypada na biczowaty ogon. Od głowy wzdłuż całego grzbie-

tu biegnie szereg wyrostków, przypominający swą formą piłę; pod gardzielem fałd skóry tworzy rodzaj ścieśnionego z boków worka. Barwa jej bywa zmienna, zaczynając od trawiasto-zielonego koloru, do ciemno-szarego, niemal czarniawego. Zwykle młode są zielone, stare zaś — szare; młode jednak w gniewie, czy w strachu szybko zmieniają kolor na szary. Widziałem też na terytorjum ekwadorskiem, w miejscowości Palmalu olbrzymi egzemplarz przepysznej zielonej barwy.

Legwan wchodzi na drzewa, lubiąc osobliwie i wierzbę peruwjańską (*Salix Humboldtiana*), gdzie prawdopodobnie łowi owady lub ich larwy; przypuszczam też, że niekiedy uda mu się i mniejsze ptaki uchwycić. Gdy siedzi nieruchomie na konarach drzewa, tak się doń ubarwieniem zbliża, iż trudno jest go wypatrzeć i tylko wprawne oko może obecność jego wykryć. Czując się w niebezpieczeństwie, rzuca się głową naprzód do wody i natychmiast pod jej powierzchnią znika. Ruchy ma albo bardzo powolne, krańcowo ostrożne, gdy zdobycz podchodzi; lub gwałtowne, piorunujące, gdy się na nią rzuca, lub gdy ucieka. Po ziemi biega nadzwyczaj szybko, zadzierając ogon do góry obyczajem wszystkich jaszczurek, należących do tej samej familii.

Mięso legwana jest jadalne: posiada białosć i delikatność mięsa kurczęcia, o czem mogłem się być przekonać osobiście, próbując go podczas naszego pobytu, w Lechugalu. Pomimo to mieszkańcy okolic Tumbezu czują ku niemu wstręt wrodzony, nie idąc pod tym względem za przykładem Indian guyańskich lub darieńskich. Według Jelskiego, jaja, szczególnie pieczone, mają być wysmienite.

Armand Reclus twierdzi, że mieszkańcy Darienu łowią żywcem ciężarne samice, otwierają brzuch i jaja wyjmują; poczem zostawiają swobodę zwierzęciu, które przeszło podobnie barbarzyńską operację. Zdarza się, że jedna i ta sama jaszczurka kilkakrotnie podlega wyjęciu jaj, gdyż przy niezwykłej żywotności jaszczurek, przecięcie zarasta szybko i pacjentka nie ponosi żadnego szwanku na zdrowiu. Ciż sami Darieńczycy robią zapasy legwanów, przechowując je żywcem zawieszzone u pułapu przez długi przeciąg czasu.

Opisany dopiero co gatunek zowią mieszkańcy Tumbezu „paczaco“; nazwę zaś „iguana” stosują do innej wielkiej jaszczurki, żyjącej wyłącznie na ziemi. Nowy ten dla nauki gatunek opisany został przez d-ra Stejndachnera z Wiednia pod nazwiskiem *Teyovaranus Branicki* i na cześć ś.p. Konstantego Branickiego, promotora i opiekuna naszych wypraw amerykańskich. Dorosły egzemplarz teyowarana liczy wraz z ogonem od 1 do 1½ metra długości. Kształtem przypomina nieco nilowego ostrzegacza (*Varanus*). żyje wyłącznie na ziemi, gdzie w pośród gąszczy kopie duże nory, opatrzone kilkoma wyjściami; lubi je szczególnie umieszczać pośród gęstych kęp wijącego się kaktusa, który czyni przystęp do nich bardzo utrudnionym. Sam zwierze zdaje się być nieczułym na ukłucia kolców kaktusowych. Jeden wielki egzemplarz, zabity przeze mnie, miał cały ogon gęsto naszpikowany odłamkami kol-

cami tej rośliny, co łatwo sprawdzić mogłem przy ściąganiu skóry. Te kolce, które się tam dawniej dostały, mieściły się już w rodzaju torebek, tworzących się zwykle wkoło materji postronnych w ciele zwierząt.

Jaszczurka ta jest w wysokim stopniu drapieżna. Nie udało mi się sprawdzić dokładnie, co stanowi jej główne pożywienie; przypuszczam jednak, że musi polować na wszystkie drobniejsze stworzenia, jak ptaki, małe ssące, a może nawet i jaszczurki, w braku zaś zwierzęcego karmu żywić się musi roślinnymi cząstkami. O drapieżności jej przekonać się mogłem w Lechugalu, gdy mnie pewnego razu uwiadomiono, że teyovaranus porwał młodego indyka. Pobiegłem ze strzelbą do wskazanego miejsca i w samej rzeczy spostrzegłem olbrzymi okaz, największy ze wszystkich widzianych przeze mnie, jak z niezwywem pisklęciem indyka w paszczy stał nieruchomie. Zabiłem ten egzemplarz, który dla braku ogona był niezdatny do kolekcji. Krajowcy nienawidzą tej jaszczurki, gdyż im znaczne szkody w drobiu wyrządza; utrzymują też że wypatruje miejsca w gąszczach, gdzie się niekiedy domowe kury nosą i jaja ich pożera.

Wężę są dość rzadkie w bezpośrednich okolicach Tumbezu i te w znacznej części do gatunków niejadowitych należą. Zdarzy się wprawdzie słyszeć tu i owdzie od krajowców o żmii zwanej „culebra equis“<sup>1)</sup> (*Bothrops*) dochodzącej nieraz znacznych rozmiarów i bardzo jadowitej; podczas jednak naszego pobytu, który się przeszło rok przeciągnął, nie słyszeliśmy o żadnym smutnym wypadku. Dwa egzemplarze tej strasznej żmii udało mi się następnie zdobyć podczas mej drugiej amerykańskiej podróży do rzeczypospolitej Ekwadoru, skąd się mogłem przekonać, że dwa potężne kły jadowite są podwójne (po parze z każdej strony). Ukąszenie tej żmii zwykle pociąga śmierć za sobą; w razie jednak szybkiej pomocy lekarskiej, a raczej zachorskiej, dość jest czasu, aby ofiarę wyratować. Znałem pewnego ekwadorczyka, którego „equis“ ukąsił. Skutki były straszne: ból nie do opisania, puchnięcie zakłutego miejsca, a następnie krwotok, ze wszystkich niemal porów ciała, były bezpośrednimi przypadłościami po ukąszeniu. Człowiek ten, pułkownik wojsk ekwadorskich, posiadał kilka ran zagojonych: wszystkie blizny otworzyły się, a wodnista, rozcieńczona krew obficie uchodziła niemi.

Leczenie ukąszonych polega na wypaleniu, a niekiedy na wycięciu rany pierwszym lepszym nożem; poczem bandażuje się miejsce powyżej leżące, aby krążenie krwi zatamować. Użycie amoniaku zewnętrznego i wewnętrznego jest też powszechnie znane i często zastosowywane w gorących częściach Południowej Ameryki; niekiedy zastępują go orzeszkami zwanymi „cedron“, które ze Środkowej Ameryki sprowadzają. Słyszałem od osa-

---

<sup>1)</sup> *Equis* nazwa hiszp. litery X; wąż ten posiada na wierzchu ciała szereg znaków przypominających tę głoskę.

dników porzeczka Amazonki, że skutki użycia cedronu są doskonałe, a miejscowi tak dalece wierzą w jego lecznicze własności, że każdy prawie nosi taki orzeszek przy sobie, aby go zażyć w razie potrzeby. Zażywa się cedron w wódce lub w wodzie, naskrobawszy dozę bardzo małą. Przesadzone dawki sprowadzają podobno obłąd chwilowy, a niekiedy zupełne szaleństwo. W każdym razie jedyne szanse uratowania zakłutego przez żmiję człowieka istnieją przy bardzo szybkim zastosowaniu powyżej wymienionych środków, a i tak zwykle, jeżeli zdołamy ofiarę od śmierci uratować, paraliż ranionego członka, a niekiedy całego ciała, pozostaje jako skutek ukąszenia.

Istnieją też w Ameryce południowej żmije, których zakłucie sprowadza tak gwałtowny rozkład krwi, że wszelka pomoc, choćby najszybciej niesiona, jest bezskuteczną. Za przykład może służyć następujący wypadek, opowiedziany mi przez osobę zupełnie wiarogodną i bardzo poważną, a mianowicie przez dr. Wolfa, znanego w świecie naukowym geologa, który opracowywał mapę geograficzną i geologiczną rzplitej Ekwadoru. Dr. Wolf zajęty był niegdyś swemi pracami topograficznymi w okolicach Sanborondon, na Pomorzu ekwadorskiem, słynącym z obfitości jadowitych węży. Jeden z ludzi naszego uczonego, służących do przenoszenia instrumentów technicznych, został ukąszony w nogę przez małą bardzo żmiję, którą natychmiast zabito. Pomimo dobrego humoru i udanej może nieco wesołości pacjenta, Wolf odprowadził go natychmiast do poblizkiego domu i zastował zwykle środki ratunkowe. W kwadrans po ukąszeniu krew puściła się nosem i uszami, a w pół godziny nieszczęśliwy już nie żył. Wypadek ten tak podzielał na Wolfa, który lat kilkanaście przebył w podobnych miejscowościach, nie zwracając uwagi na żmije, że natychmiast zaczął używać długich i grubych butów; przedtem chodził zawsze w zwykłych kamaszkach. Przypuszczam, że wężyk ten należeć musiał do gatunku zwanego przez krajowców „culebra del sol“ (wąż słoneczny), cieszącego się ponurą sławą najjadowitszej żmii w całym kraju.

Skoro raz już wpadłem na ten przedmiot, muszę zrobić uwagę, że wogóle węże jadowite w gorących stronach Ameryki nie są tak liczne, jak sobie wiele osób na podstawie mylnych wiadomości, podawanych przez podróżników, wyobraża. Niewątpliwie, są one daleko pospolitsze, aniżeli w krajach umiarkowanych, nie należy jednak sobie wyobrażać, abyśmy się z nimi na każdym kroku spotykali. Przebyłem w Ameryce Południowej około lat ośmiu, z których przynajmniej 3 spędziłem w miejscowościach gorących, osławianych nieraz z obfitości węży jadowitych. Przez ten czas, pomimo codziennych wycieczek po lesie lub zarosłach, udało mi się spotkać 4 żmije, a ogólna liczba dostarczonych przezemnie węży jadowitych nie przejdzie z pewnością jednego tuzina. Jak się zdaje, wszystkie węże jadowite są nocne; dzień spędzają pod kłodami zwałonych drzew, w spróchniałych pniach, lub w kępkach pasorzytów roślinnych; zład też i szanse spotkania

się z nimi są bardzo małe. Większość też może fatalnych wypadków przytrafia się nocną porą przez nieostrożność i niedbalstwo; wielu bowiem krajowców, niepomyślnych na niebezpieczeństwo, wychodzi nocą boso na plantacje, lub do lasu, gdzie nietrudno nastąpić na jaką gadzinę.

Wrodzona nieruchomość wszystkich bez wyjątku węży jadowitych przyczynia się też niemało do przysporzenia liczby ofiar ich ukłucia. Gdy prawie wszystkie węże niejadowite są płochliwe, umykające szybko za zbliżeniem się człowieka, żmije przeciwnie, pozostają na miejscu nieruchomo, jakby nieczułe na to, co się wkoło nich dzieje. Barwa ich jest prawie zawsze pstra, podchodząca zupełnie do otaczających przedmiotów; nie więc dziwnego, że niekiedy zdarzy się temu lub owemu nastąpić na nieruchomą gadzinę, w której lada dotknięcie wywołuje instynktowy, szybki ruch głowy, mający na celu obronę od napastnika. Możemy przejść od żmii na pół kroku—pozostanie w spokoju, jeżeli jej nie zaczepimy; dość jest jednak dotknąć jej tylko zlekka, aby ukąszenie wywołać. Tnie zwykle, rzucając głowę na bok, a nie chwytając całą paszczą, tak że zwykle zadaje cios jednym tylko kłębem; sprawdziłem to, drażniąc niewielką żmiją kolbą mej strzelby. Czy jednak wszystkie jadowite węże w podobny sposób rany nаноszą, za to ręczyć nie mogę.

Często słyszeć można w Ameryce Południowej opowieści o żmijach, goniących swe ofiary; i u nas podobna legenda cieszy się wielkiem wzięciem u prostego ludu. Uwaga moja co do wrodzonej ospałości węży jadowitych zdaje się zbijać dostatecznie to twierdzenie. Być może, iż niekiedy bardzo rozdrażniona żmija rzuca się na stojącego obok przeciwnika; ja sam znalazłem się w podobnym, a bardzo krytycznym położeniu; nigdy jednak nie uwierzę, póki bym się sam naocznie nie przekonał, aby nie zaczepiona żmija ludzi goniła. Do bajek też zaliczyć należy opowiadania o „wężu latającym“ (culebra voladora), słyszane przez nas bardzo często na Pomorzu ekwadorskiem. Wąż ten, według zdania krajowców, skręca się w kłębek i rzuca na znaczne odległości; faktem zdaje się być tylko, że jako obdarzony bardzo sprężystymi mięśniami, rzuca się niekiedy z gałęzi na gałąź, jeżeli takowe nieznaczna przestrzeń oddziela.

Bardzo atoli ciekawym i bodaj nieznanym faktem jest pożeranie węży przez węża. W okolicach Tumbezu dość pospolitym jest pewien niejadowity gatunek, zwany „colambo“, dochodzący niekiedy przeszło dwumetrowej długości. Często mówiono nam o nim, że pożera inne węże, choćby jadowite, za co bywa oszczędzany przez krajowców, a niekiedy nawet wprost chowany po domach peruwjańskiego Pomorza. Pobyt nasz w Tumbezie nie dostarczył nam sposobności sprawdzenia tego faktu, lecz w kilka lat później, gdym bawił w miasteczku Yurimaguas, położonem nad rzeką Huallagą, jednym z dopływów Amazonki, doświadczenie własne utwierdziło mnie dostatecznie w prawdziwości tego faktu. Chowalem podówczas przez parę miesięcy pewien gatunek bar-

dzo blizki „colambo“, który w sąsiedztwie domu złowiłem. Był to egzemplarz mierzący około 1½ metra długości. Trzymałem go w pustej skrzyni, którą wiekiem zakrywałem, aby mi się więzien nie wymknął. Pomimo znacznej wielkości, nie starał się bynajmniej gryźć, gdy go się do ręki brało. Ku wielkiemu zdziwieniu krajowców, którzy wszystkie węże za jadowite uważają, brałem go często do rąk, pozwalając okręcać się wkoło mego ciała. Gdy skrzynię otwierał, rozdrażnienie swe, a może przestrach objawiał nadzwyczaj szybkimi, drgającymi ruchami ogona, który wydawał głos trajkotki, uderzając o dno skrzyni.

Pewnego razu złowiłem w lesie niewielką, trzystopową żmiją, którą przyniosłem do domu żywą, zachowując konieczne środki ostrożności. Jakkolwiek gatunku tego nie posiadałem w moich zbiorach, poświęciłem ten okaz dla przekonania się o ile prawdziwym było twierdzenie Pomorzan. Węża mego nie karmiłem przedtem wcale, a już go blisko miesiąca chowałem; prawdopodobnie więc było, że go tak długi post przymusowy skłoni do pożarcia swego krewniaka. Żmiją wrzuciłem do skrzyni, ja sam zasiadłem ciekawy, co z tego będzie. Oba jednak płazy leżały nieruchomo w różnych kątach skrzyni, jakgdyby jeden o drugim nie wiedział. Pomyślałem, że obecność moja staje na przeszkodzie rozpoczęciu ruchów nieprzyjacielskich; zamknąłem więc skrzynię, a przeczekawszy około 20 minut, otworzyłem powtórnie. Wielki wąż łykał żmiją, lecz nie głową lub ogonem naprzód, ale zgiętą wpół, tak że mu łeb i ogon żmii z paszczy sterczały. Raz jeszcze zamknąłem wieko, a gdy je niedługo potem podniósł żmija zniknęła zupełnie. Faktem więc jest pozytywnie stwierdzonym, że pewne gatunki węży karmią się swymi pobratymcami, choćby nawet jadowitymi.

Patrosząc raz pewnego sporą żmiją z rodzaju *Bothrops*, którą do spirytusu zamierzałem włożyć, znalazłem w żołądku spory kiel jadowity. Nie wiem, czy pochodził on z innego pożartego węża, czy też należał do tej samej żmii, dostawszy się po ulaniu do wnętrzości. To drugie przypuszczenie zdaje się być prawdopodobniejszym, gdyż zresztą żołądek był pusty i brak innych kości wykluczał przypuszczenie, że wspomniany kiel mógł pochodzić z połkniętej żmii. Podobny wypadek znalezienia jadowitego kła w żołądku płaza zdarzył się i Jelskiemu podczas jego pobytu w GUYANIE francuskiej.

Peruwjanie czują niewypowiedziany wstręt, a raczej może przestrach na widok wszystkich węży, które bez wyjątku za jadowite uważają. Gdy nas widzieli, że płazy te do rąk żywcem bierzemy, patrzeli na nas z wyrazem strachu, zgrozy i podziwienia. Nic nie pomagały tłumaczenia, że większość tych stworzeń jest niejadowita; przekonani byli, że posiadamy jakiś „contra-veneno“ — antydot — który nas zabezpiecza od ukąszenia żmii. Lud prosty uważał nas zwykle za rodzaj „brujos“ — czarnoksiężników, co zresztą miało swe dobre strony, gdyż nas zabezpieczało w wielu razach od przypuszczalnych zamachów na nasze mienie, a mo-

że i życie. Peruwjanie, przynajmniej lud prosty, wierzy w istnienie pewnych leków i czarów przeciwko kulom lub uderzeniom białej broni. „No lo toma la bala“ — kula go nie bierze — powiadają. Skoro więc byliśmy w ich mniemaniu zabezpieczeni od ukąszenia węży jadowitych, mogliśmy też posiadać owe czary lub leki na kule i noże, co nas w ich oczach czyniło nietykalnymi.

Do tak niebezpiecznych stworzeń, jak węże, są też przywiązane różne legendy i przesady. Że węże ssą kobiety, w to większość Peruwjan wierzy równie trwale, jak i nasz lud prosty, co wskazuje jak dalece niektóre przesady są rozpowszechnione po świecie; czy ten przesąd dostał się do Ameryki przez Hiszpanów, czy też istniał już poprzednio u tubylców, trudno jest to sprawdzić. Inne znów opowiadanie, w jaki sposób żaby bronią się od napaści węży, rozpowszechnione jest bardzo w krajach hiszpano-amerykańskich. Według zdania krajowców, żaba na widok węża, zatacza wkoło siebie krąg ze śliny, ku której węże czują wstręt nieprzewyciężony. Mniemanie to napotkałem u mieszkańców różnych części Peru i Ekwadoru.

Na tem przerwę nieliczne szczegóły, jakie mi się o węzach południowo-amerykańskich w ogólności zebrać dało; a wróćę natomiast do fauny okolic Tumbezu, pragnąc zakończyć sprawozdanie o niej kilku wiadomościami o owadach miejscowych.

Motyle należą niewątpliwie do tych owadów, które najwięcej wpadają nam w oczy przy pobieżnym przeglądzie krajobrazu danej miejscowości; obfitość ich jednak zależy zawsze od mniejszego lub większego rozwoju roślinności. Zwykle też lasy są głównym siedliskiem motyli; w nich też napotykamy gatunki największe, najpiękniej zabarwione i najobficiej reprezentowane. Jałowe okolice Tumbezu, suchy klimat, oraz brak deszczów w ciągu 9 miesięcy — nie sprzyja bynajmniej rozwinięciu się tej grupy owadów. To też motyle okolic Tumbezu są nieliczne, prawie wszystkie małe i nieznaczące. Te same uwagi stosuje się i do żuków (*Coleoptera*) między którymi wymienić tylko mogę wspaniałą choć niewielką *Megacephala*, spotykaną tu i owdzie na piaskach. Jest to niewielki chrząszcz z rodziny szczypawek (*Carabidae*) z dużą głową pysznego koloru amarantowego z silnym metalicznym połyskiem.

Do najwybitniejszych owadów Tumbezu należy wielka czarna osa, należąca do rodzaju *Polistes*, bardzo rozpowszechnionego w zwrotnikowej Ameryce. Buduje ona na pniach drzew wielkie podłużne gniazda, przylepione do kory jedną stroną. Gniazda te zrobione z jakiejś łomkiej masy, przypominają kształtem i poprzecznem karbowaniem skorupy pacerników, czemu zawdzięczają nazwę „guêpe-tatou“, nadawaną im przez kreolów Guyany francuskiej. Peruwjanie i Ekwadorczycy zwą ją „cubo“. Łomka skorupa gniazda pokrywa plastry, które się wewnątrz mieszczą; jeden niewielki otwór prowadzi do środka. Osy siedzą zwykle na gnieździe, część zaś załazi wewnątrz.

Osa ta jest do pewnego stopnia stworzeniem domowem. Przy lekkiej konstrukcji chat wiejskich, pozbawionych zwykle ścian

przynajmniej z dwu stron, zalatuje ona do kuchni, szukając pożywienia. Jeżeli w domu znajduje się grono dojrzałych bananów, lub suszące się mięso, roje ich kręcą się ciągle. Zdarza się często, że w poszukiwaniach swych ludziom na rękach i twarzy siadają, a ta poufałość niekoniecznie jest przyjemną, jeżeli wspomnimy, jak bolesnym jest ich ukłucie. Nie drażnione jednak, spokojnie spacerują po ciele, rezerwując swe straszne żądło na przypadek zaczepki. Miejscowi tak do nich przywykli, że nie zwracają na nie uwagi, opędzając się tylko czasami, jak od much.

Gniazda tych os są bardzo liczne w okolicach Tumbezu; zwłaszcza w nadbrzeżnych zaroślach prawie wszystkie większe drzewa noszą na sobie jedno; a niekiedy parę gniazd takich. Polujący naturalista zmuszony jest liczyć się bardzo z tym niebezpiecznym owadem, którego huk strzału przyprowadza do wściekłości. Po raz pierwszy miałem z nimi do czynienia wkrótce po naszym przyjeździe do Tumbezu. Strzeliłem do jakiegoś ptaszka i podszedłem do drzewa, pod którym spadł, gdy naraz usłyszałem dziwny jakiś szum nad głową, jakby kto orzechy z worka wysypywał. Podniosłem głowę do góry i odrazu zmiarkowałem o co chodzi: rozdrażnione hukiem strzału osy napadły mnie całym rojem. Zerwałem kapelusz z głowy i jak szalony uciekać zacząłem, opędzając się energicznie napastującym owadom; to jednak nie przeskodziło, ażeby mnie dwie osy nie ukłuły. Przebiegłem szybko jakie dwieście kroków i dopiero wtedy uwolniłem się od napastniczek. Później nauczyłem się z nimi postępować: gdy tylko po strzale usłyszałem alarmujący szum w bliskości, zostawałem zwykle nieruchomy; osy te muszą dość słabo widzieć i dlatego odkrywają obecność niepokojącej je osoby po ruchutejże; lub przebiegałem kilkanaście kroków i za jakim krzakiem nieruchomy pozostawałem. Osy wówczas polatają czas jakiś wkoło gniazda, a nie widząc nikogo, prędko wracają na nie.

Ukłucia tych owadów, jakim dwukrotnie podległem — raz w okolicach Tumbezu, a drugi — pod Guayaquilem — nie spowodowało u mnie żadnych ważniejszych następstw, oprócz bardzo silnego bólu, który trwał około 6 godzin. U wielu jednak osób ukłucie jednej nawet osy powoduje zupełną utratę apetytu i silną gorączkę na przeciąg całej doby. Pamiętam, jak w roku 1884, bawiąc w Jaguachi, na terytorjum Ekwadoru, wybrałem się na wycieczkę naukową w towarzystwie pewnego młodego oficera. Strzeliliśmy razem do legwanów, siedzących na wierzbie amerykańskiej, gdym nagle usłyszał dobrze znany mi szum. Przebiegłem dróżką kilkanaście kroków i stanąłem nieruchomy za krzakiem, uniknąwszy zupełnie prześladowania strasznych owadów. Inaczej jednak wyszedł mój towarzysz, który jako mieszkaniec gór, gdzie os tych wcale niema, nie wiedział bynajmniej co to znaczy. Opadły go i kilka zdołało zapaść mu swe jadowite żądła. Biedak dostał silnej gorączki, której ślady przetrwały do dnia następnego; obiadu nawet jeść nie mógł.

Jedną z wielkich plag Tumbezu są mrówki, które prawie



we wszystkich krajach zwrotnikowych do największych szkodników należą. Jedną z nich, maleńką, rudawą, spotyka się we wszystkich częściach gorących Peru; zamieszkuje domy, gdzie szkody czyni we wszystkich wiktualach. Cukier jest zwykle niemi przepelniony, skąd się dostają do herbaty lub kawy. Nieznośne są szczególnie dla przyrodnika, gdyż szkody w zbiorach jego sprawiają. Dość jest położyć na chwilę świeżo przyniesione z wycieczki ptaszki, aby setki tych małych szkodników napadły je zaraz, tnąc niemilosiernie skórę w okolicy nozdrzy. Zwykle nieświadomy podróżnik ponosi w początkach swej kariery straty, których następnie powetować nie może. Ja jednak, korzystając w tym razie z długoletniego doświadczenia Jelskiego, unikałem ważniejszych szkód, zabezpieczając zbiory me w odpowiedni sposób. Dość było umieścić schnące lub świeżo zabite ptaki na półce, której sznurki wysmarowane były dziegciem, aby zabezpieczyć je od zniszczenia przez drobne szkodniki. Na szczęście mrówki te nie napastowały wysuszonych skór ptasich, od których odstraszał je zapewne odór mydła arsenikowego.

Inny znów gatunek mrówki zwanej „pichilinga“ dobierał się wyłącznie do cukru, który z ich przyczyny pozostawał ciągle wilgotnym. Gdy się go do worka z mocnego płótna zawiązało, mrówki nie starały się bynajmniej worka przegryźć, lecz jak słusznie Jelski zauważył, utrzymywały tylko płótno w stanie ciągłego zwilgotnienia, co im pozwalało zbierać cukier przez tkaninę.

Przyrodnik w krajach zwrotnikowych ma do zwalczania tysiączne przeciwności: rdza przegryza mu wszystkie przedmioty żelazne, gdy zaniedba ich doglądania; mrówki, mole i skórniki (*Dermestes*) czyhają na jego naukowe zbiory, zmuszając do ciągłej czujności, jeżeli tylko nie chce strat niepowetowanych ponieść; komary i moskity dniem i nocą trapią go podczas zajęć, wymagających wielkiego spokoju i cierpliwości. Na szczęście Tumbez nie posiada moskitów; lecz zato komary w porze dżdżystej zmuszają go do sypiania pod namiotem (mosquitero), co niekoniecznie przypada do gustu przy gorących nocach, jakie się zwykle podczas deszczów trafiają. Mosquitero jest to perkalowy lub muszlinowy namiot, który się ponad łóżkiem rozpina. Wolne brzegi od dołu zagina się pod pościel, bacząc pilnie, aby żadna szpara nie pozostała, gdyż komary korzystają z najmniejszej dziury, aby się do środka dostać. W każdym razie owady te w Tumbezie nie są jeszcze tak nieznośne, jak w innych okolicach Peru, gdyż się tylko nocną porą pojawiają, a wtedy nietrudno jest się od nich ochronić przy pomocy namiotu. Stokroć jest gorzej tam, gdzie moskity i komary przez dzień cały trapią podróżnika, przeszkadzając mu w jego zajęciach.

## ROZDZIAŁ V.

### Mieszkaniec Pomorza (El costeno).

Zarys przyrody okolic Tumbezu, jaki starałem się skreślić w poprzedzającym rozdziale, byłby bardzo niekompletnym, gdybym pominął człowieka — pana całego stworzenia — według zrozumiałego, a tak powszechnie przyjętego wyrażenia. Niestety, sprawdzić to nieraz mogłem, że ów pan przyrody niezawsze jej ozdobę stanowi; przeciwnie, w wielu miejscach przyroda straciła wiele na obecności człowieka, gdyż ją w części zniszczył, lub swemi niesmacznymi dziełami zepsuł. Przyroda w zetknięciu z człowiekiem traci urok dziewictwa. I powiem nawet więcej, że ze względów estetycznych wolę dzikiego Indjanina, niżli cywilizowanego lub napół cywilizowanego potomka rasy kaukazkiej, gdyż Indjanin dziewiczej przyrody swą obecnością nie szpeci, owszem jest wśród niej takim samym dziewiczym zjawiskiem, jak tapir lub jaguar. Skromna jego chata, porzucona wśród czterech ścian wspaniałego lasu, lub małe, bananami i maniokiem zasadzone pola nie psują harmonji, gdyż i jedno i drugie noszą na sobie to samo piętno nieskalanej pierwotności, co otaczający krajobraz. Dzikie człowiek eksploatuje przyrodę na swoją korzyść, lecz jej nie niszczy. Strzela ptaki lub zwierzyne, łowi ryby, wycina pod pola małą przestrzeń lasu, gdyż mu tego do życia potrzeba; szkody jednak, jakie wyrządza, są nieznaczne; śladów ich nikt nie dopatrzy. Lecz gdy wśród wspaniałych przestworzy leśnych rozpanoszy się człowiek — genjusz (ale chyba złego), wówczas biedna przyrodol! zniszczą twe klejnoty jeden po drugim. Olbrzymie drzewa, które, rzechy można, czasy stworzenia pamiętają, padną pod uderzeniami siekiery; świst parowej maszyny spłoszy różnobarwne ptactwo; zamiast harmonijnych tonów mistrzów skrzydlatego świata, rozlegać się będzie denerwujący głos katarynki lub okrzyki pijanych robotników.

Cywilizacja! Prawda, że jej biegu nikt nie powstrzyma i nikt nie powinien się starać powstrzymywać. Lecz ci, którzy mieli sposobność zetknięcia się z dziewiczą przyrodą, którzy zaniemieli tysiące razy na widok jej cudów, rozumieją łatwo, jak wstrętnym

nieraz jest widok starcia się cywilizacji z pierwotnym światem.

Kto chce go poznać, niech jedzie do Panamy, niech jedzie do północnej Ameryki, a może przyzna mi słusność. Mieszczuch, który nigdy nie wytknął swej głowy poza brudne, miazmatyczne mury swego miasta, nie zrozumie mnie może, a jednak i on pomimowoli czuje ten utajony popęd ku pierwotnej przyrodzie, gdyż i jego ciągnie magnes jakiś poza obręb miasta, gdzieś na wieś, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Niechżeż więc pamięta, że widział tylko parodię lasów, parodię dziewiczej przyrody i niech wybaczy w swej miłości dla cywilizacji tym, którzy nie wszędzie są w stanie uwielbiać jej różnorodne skutki. Widzę potrzebę nadejścia tej chwili, kiedy cały obszar kuli ziemskiej ulegnie wpływowi cywilizacji; lecz przyznam się szczerze — nie wdycham do niej.

Na szczęście — choćby dla takich, jak ja ludzi — znaleźć można jeszcze dzisiaj olbrzymie przestrzenie, które się oparły niszczącemu wpływowi cywilizacyjnego żywiołu i zapewne wieki jeszcze opierać się będą.

Peru należy wraz z całą Ameryką Południową do tych nietkniętych przestworów. Tu i owdzie rozrzucone miasta i osady ludzkie giną w ogólnej masie dziewiczego gruntu; są to maleńkie mrowiska wśród olbrzymiego obszaru puszczy. Stąd pochodzi, że nawet człowiek cywilizowany, czy napół cywilizowany, nosi tu wybitne cechy człowieka pierwotnego. Czy charakter ten jest rzeczywistym piętnem, czy też poprostu odbłyskiem dziewiczej przyrody, jaka nas zewsząd otacza, rażąc nasze oczy i wyobraźnię niezatartem wrażeniem, tego nie wiem, dość, że Peruwjanin harmonizuje ze swą krainą.

Niewątpliwie, dzisiejszy mieszkaniec Peru mógł nawet przechować pewne ślady pierwotności, gdyż pamiętać musimy, że zaledwie trzy i pół wieku dzieli nas od zawojowania tej krainy przez Hiszpanów. Jest to przeciąg czasu zbyt mały, aby rasa ludzi, stojąca względnie na dość niskim stopniu cywilizacji, mogła wznieść się rzeczywiście do poziomu pojęć europejskich. Jeżeli zwierz nocny zmieniał stopniowo swe obyczaje nocne na dzienne, cały ustrój jego oka podlegać musiał stopniowym, a bardzo powolnym przemianom. Gdybyśmy zeń gwałtem chcieli zrobić zwierzę dzienne i na światło wyciągnęli, osłębłyby raczej, gdyż jego organ wzroku nie byłby odpowiednio przygotowany. Niewątpliwie zatem i rasa indyjska nie mogła w ciągu trzech wieków dojść do takiego rozwoju władz umysłowych, jak Europejczycy, którzy przez długie wieki kształtowali się stopniowo. A dodać muszę, że pierwiastek europejski, składający się głównie z emigrantów hiszpańskich, był stosunkowo mało znaczący w porównaniu z całą masą ludności miejscowej.

Ta więc nieznaczna część krwi białej, jaka w żyłach peruwjańskich płynie, wystarczyć nie mogła do zupełnego udoskonalenia mózgu krajowców.

Peru wydało wielu ludzi zdolnych, nawet z pomiędzy In-

djan; lecz nie może się poszczycić ani jednym człowiekiem genialnym.

Jeżeli więc taka jest przewaga pierwiastka indyjskiego w dzisiejszym narodzie peruwjańskim, nic może dziwnego, że Peruwjanin nosi pewne cechy pierwotnego człowieka, które, dodam nawet, stanowią sympatyczną stronę jego charakteru. Każdy wie dobrze, iż cywilizacja ma swoje dobre i złe strony; dobre, gdyż nas pcha na coraz to wyższe poziomy, z których łatwiej objąć możemy świat, jaki nas otacza; złe, gdyż rafinuje i kształci nasze złe skłonności, naszą zwierzęcą stronę. Lepszy jest stokroć złoczyńca prostak, aniżeli złoczyńca wykształcony. Trudno o potworniejsze zbrodnie, jak w narodzie francuskim, który przecież ma pretensje do przewodniczenia ogólnemu postępowi ludzkości. Dlatego to powiadam, że ta prostota, jaką zwykle pomiędzy Peruwjanami spotykamy, stanowi raczej dodatnią, aniżeli ujemną stronę ich charakteru.

Rasa indyjska rozbiła się w Ameryce Południowej na liczne plemiona, które się nietylko językiem, lecz często i ważnymi antropologicznymi szczegółami różnią. Tak np. jeżeli porównamy pierwotnych mieszkańców Pomorza peruwjańskiego, i ekwadorskiego znajdziemy dwa bardzo różne typy, mówiące ongi różnymi językami i wybitnie oddzielone pewnymi cechami, jakie w ich budowie napotykamy. Rzeka Tumbes stanowi mniej więcej granicę tych dwu plemion i ten wzgląd etnograficzny powinien także niemało wpływać na uzasadnione pretensje Ekwadorczyków, którzy chcieliby widzieć swe terytorja rozciągające się aż po wspomnianą rzekę. Nazwijmy rasę pomorskich Indjan Peru—„Indios Securas”—od miasta i pustyni Secura <sup>1)</sup>, gdzie typ ten najwybitniej może jest reprezentowany; a Indjanom Pomorza ekwadorskiego zachowamy nazwę „montubios”<sup>2)</sup> nadawaną im przez białą ludność Ekwadoru. Jeżeli wspomnimy że Secura oznacza największą peruwjańską pustynię, nazwy te będą miały znaczenie, gdyż nam od razu charakteryzują, w jakich oba plemiona żyją. Indjanie securas zamieszkują jałowe, nielicznymi uprawnymi dolinami poprzerywane Pomorze peruwjańskie, gdy montubios zajmują lesiste, wilgotne obszary zachodniego podnóża Andów ekwadorskich. Tym więc sposobem nazwy miejscowe, nadawane obu plemionom, prawie, że bezwiednie, odpowiadają wymaganiom klasyfikacji, mającej jakie takie naukowe pretensje.

Ten sam typ Indjan, któryśmy securami nazwali, zdaje się zamieszkiwać całe Pomorze peruwjańskie i choćbyśmy nawet przy bardziej szczegółowym badaniu znaleźli pewne różnice pomiędzy pomorskimi mieszkańcami północnego i południowego Peru, to te nie osiągałyby znaczenia różnic plemiennych. Rybacy z okolic

<sup>1)</sup> Czyt, Secura.

<sup>2)</sup> *Monte*, — znaczy po hiszpańsku góra, y niekiedy krzaki. W krajach jednak południowo-amerykańskich wyraz ten stosują zwykle do lasów, które także pochodnym wyrazem „montana” oznaczają. Montubio więc znaczy to prostoprostu mieszkaniec leśny.

Chorrillos i Callao należą do tego samego typu Indjan seczurów, który bardzo się różni od górali peruwjańskich. Seczura posiada wzrost niski, ciało zwięzłe, krępe i muskularne, pierś wydatną. Głowa nigdy nie bywa tak koniczną, jak u niektórych górskich Indjan. Czoło ma niskie, a włos czarny, prosty i twardy jak szczecina; obie te cechy są zresztą wspólne wszystkim plemionom indyjskim obu Ameryk. Czarne oczy nieco skośne, nos krótki, orli, wargi wąskie, energicznie zacięte, twarz krótka a szeroka, oraz miedziana barwa ciała zbliżają najwięcej może Indjan seczurów do idealnego typu, jakiśmy przywykli wyobrażać sobie dla rasy czerwonoskórej. Górale serrańscy, oraz leśni Indianie porzecza Amazonki oddalają się więcej od tego typu osobliwie kolorem skóry, który jest raczej oliwkowy niż miedziany.

Zbyt mało miałem sposobności zetknięcia się z seczurami, aby mózż wiele o ich stronie moralnej powiedzieć. Wyraz twarzy mają dobroduszny, co sympatycznie usposabia dla nich podróżnika; na ile też słyszeć mogłem, jest to lud gościnny i łagodny. Szkoda tylko, że namiętnie lubią zabawę i pijatykę, co zresztą jest właściwością wszystkich bez wyjątku Indjan. Większe święta obchodzone bywają u nich kilkodniowymi zabawami, podczas których Indianie piją bez upamiętania. Ulubiony ich napój z fermentowanej kukurydzy, zwany chicha (czycza), przygotowuje się zawczasu w znacznej ilości, a wielu seczurów pozostaje przy niej przez 8 dni z rzędu, pijąc nieustannie, póki się nektar nie wyczerpie. Zbytecznem jest dodawać, że seczury wódkę lubią zapamiętane.

Lud ten od niepamiętnych czasów słynął ze swej zdolności do żeglowania. Z wielką odwagą puszczają się morzem na dalekie, bo parę miesięcy nieraz trwające wyprawy. Łodzi ani statków nigdy nie budują, gdyż na to materiału znaleźć nie mogą na jałowych gruntach, jakie zamieszkują. Wyprawy zaś swoje odbywają na tratwach, zwanych po hiszpańsku „balsas“, zbudowanych z bardzo lekkiego drzewa nazwanego „palo de balsa“ (*Ochroma piscatoria*), a które rośnie na pomorzu ekwadorskiem. Drzewo na tratwy albo sprowadzają z Guayaquilu, albo wylawiają z morza, dokąd je wezbrane w porze dżdżystej rzeki zanoszą.

Tratwa taka, zbudowana z kilkunastu wielkich kłoców, posiada nieznacznie wzniesiony pomost; na nim mieszczą seczury sól i rybę soloną, którą przewożą do miast portowych. Na pomoście też spijają i jedzenie gotują. Pośrodku tratwy wznosi się maszt z jednej sztuki bambusu (*Guadua arundinacea*), do którego przymocowuje się czworokątny żagiel z grubego bawełnianego płótna. Na przypadek zaś ciszy lub wiatru przeciwnego, tratwa posiada z tyłu parę wiosel niezbyt długich, lecz bardzo szerokich, służących do nadawania ruchu postępowego niezdarnemu statkowi; sposób jednak wiosłowania jest niezwykły, gdyż wiosło zapuszcza się z tyłu statku prostopadle w wodę, poczem naciska się nań, jak gdybyśmy niem chcieli coś podważyć. Tratwa przy tym sposobie wiosłowania posuwa się nadzwyczaj wolno, nic więc dziwnego, że po-

dróż z Sechura do Guayaquilu i z powrotem trwa nieraz parę miesięcy, szczególnie, że przy powrotnem żeglowaniu seczury mają przeciwny wiatr południowo-zachodni, a budowa ich żagłów nie nadaje się do lawirowania.

Ten pierwotny rodzaj statków znany był Indianom pomorskim jeszcze przed najściem Hiszpanów. Kiedy Pizarro po raz pierwszy zawinął do Tumbezu, ze zdziwieniem spostrzegł zbliżające się do swego okrętu tratwy indyjskie. Już w owych zapadłych czasach seczury odbywali dalekie podróże na pobrzeżach dzisiejszego Ekwadoru i Peru. Obecnie płyną niekiedy aż do ekwadorskich portów Bahia de Carques i Manta.

Jakkolwiek morze peruwjańskie jest zwykle bardzo spokojne, wyprawy na podobnych statkach należą do bardzo niebezpiecznych, gdyż lada grubsza fala może albo tratwę wyrzucić, albo porozrywać liny, związujące pojedyncze kłocę. Wypadki podobne zdarzają się nierzadko, a wówczas nieszczęśliwa załoga śmierć w toniach morskich znajduje, chyba, że jaki statek szczęśliwym trafem w pobliżu płynący, pomoc jej w porę przyniesie. Pomimo tak wielkiego niebezpieczeństwa, seczury dzielnie stawiają czoło przeciwnościom, i dla nieznacznego zarobku ośmielają się puszczać na dalekie wyprawy.

Do tego skłania ich chęć sprzedania soli i ryby solonej, stanowiących wraz z sieciami rybackimi jedyne artykuły zbytu tych skromnych pracowników. Sól otrzymują przez wyparowanie wody morskiej w sztucznie urządzonych sadzawkach; poczem dzielą ją na funtowe mniej więcej cegiełki i w takim stanie rozprzedają po całym kraju. Sól ta, zwana powszechnie „sal costena“ (sól pomorska) dochodzi aż nad Maranon; dopiero poczawszy od tego miejsca napotyka się sól kamienną (sal de piedra) pochodzącą z kopalni rozrzuconych tu i owdzie we wschodnim pasmie Andów. Sól pomorska jest wszędzie bardziej ceniona od kamiennej.

Skorom opisał pierwotną tratwę Indian pomorskich, muszę wspomnieć o innym rodzaju żeglugi, używanym przez nich jedynie do rybołówstwa na pobrzeżu morskiem. Odbywa się ono przy pomocy czólenek, zwanych „caballitos”,<sup>1)</sup> które odpowiadają niejako aleuckim bajdarkom, choć kształt mają inny i materiał na nie użyty jest zupełnie odmienny. „Caballito“ jest to pęk sitowia związany w kształcie, przypominającym bajdarkę na pół przeciętą, tylko nos ma bardzo ku górze zagięty. Indianin siada na nim, jak na koniu — skąd nazwa pochodzi — wiosłując małym wiosłem, opatrzonem łopatkowemi rozszerzeniami na obu końcach. Wiosło trzyma się pośrodku obydwoma rękami, zagłębiając je w wodę raz z jednej, to znów z drugiej strony. Zabawnie jest

<sup>1)</sup> Rzecz godna uwagi, że zaginęła miejscowa nazwa tych czólenek, jak również i opisanych poprzednio tratw, pomimo, że znane one były Indianom przed najściem Hiszpanów. Wskazuje to, jak dalece pomorska część Peru uległa skasteljanizowaniu. „Caballito“ znaczy po hiszp.—konik.

patrzeć na tych ludzi, gdy pływają niekiedy zdale od brzegu na tak małych i łatwo wywrotnych czółenkach. Niekiedy bałwan zakryje śmiałego żeglarza, wywróci go wraz z jego małym stateczkiem; doskonały jednak pływak w tejże chwili chwytą go i siada oklep na swym morskim koniku. Przy pomocy takich czółenek, spotykanych często po portach północnego Peru, Indianie ciągną w morzu swe rybackie sieci.

Seczury używają dziś wyłącznie języka hiszpańskiego; podczas zaś najścia Hiszpanów mówili narzeczem Quichua (Kiczua), narzuconem im przez władców peruwjańskich, zwanych Inkasami. Trudno jest wiedzieć, jakim językiem mówili przed panowaniem tychże, gdyż ślady zatarty się prawie zupełnie, a różne nazwy miejscowości zdają się wskazywać, że pierwotne ich narzecze było różnem od kiczuańskiego. Przy tej sposobności wspomnę o bardzo ciekawym fakcie etnograficznym.

Miasteczko Eten, liczące około 3,000 mieszkańców, leży na pobrzeżu peruwjańskiem pod 6° szer. południowej. Ludność składa się prawie wyłącznie z Indian czystej krwi, którzy od dawien dawna słyną ze swej oporności na asymilacyjny wpływ hiszpańskiego pierwiastku: żenią się wyłącznie między sobą, unikając starannie najmniejszego choćby przemieszania z ludnością białą, lub murzyńską. Indianie ci mówią specjalnym, sobie właściwym językiem, który w niczem nie jest podobny do kiczuańskiego. Na nieszczęście nikomu dotychczas nie przyszło na myśl wystudjowanie tego ciekawego zabytku lingwistycznego, który posłużyłby może do rozwiązania zawilej i ciemnej kwestji pochodzenia ludności peruwjańskiego Pomorza. Ograniczono się jedynie na wypowiedzeniu kilku nieprawdopodobnych przypuszczeń, między którymi najbardziej w modzie jest to, że Eten jest starożytną kolonją chińską, gdyż znaleziono jakoby wielkie podobieństwo pomiędzy językiem eteńskim i chińskim. Twierdzenie to, oparte na powierzchownem wrażeniu, zbił dostatecznie Raimondi, który na miejscu, za dając szeregi pytań, sprawdził, że język eteński nie ma nic wspólnego z chińskim<sup>1)</sup>. Dotychczas więc pozostaje tajemnicą, czy język eteński jest dawnem narzeczem Indian Pomorza peruwjańskiego w ogólności, czy też jeszcze przed podbojem hiszpańskim stanowił odrębną mowę wpośród ogólnego języka kiczuańskiego. Według zdania historyków, pierwsi zdobywcy spotkali na całym Pomorzu peruwjańskiem to ostatnie narzecze. Wiedząc jednak, że ta część Peru podległa władzy Inkasów na niewiele przed pojawieniem się Pizarry, przypuszczać można, że utrzymały się jeszcze wówczas niektóre osady, mówiące pierwotnem narzeczem Indian seczurów i że do takich należał Eten, który po dziś zdołał się oprzeć kasteljanizacji.

Zrobię tu jedną uwagę, która może posłużyć za wskazówkę przy bliższem badaniu tej ciekawej kwestji. Istnieje w niewiel-

<sup>1)</sup> A. Raimondi. El. Peru. Parte preliminar. Lima. 1874.

kiej stosunkowo odległości od Etenu małe miasteczko portowe, zwane Jequetepeque. W nazwie tej nie masz nic a nic kiczuańskiego; przeciwnie końcowa część *peque* jest wyrazem meksykańskim. Mnóstwo miast w Meksyku i Środkowej Ameryce kończy się właśnie temi dwoma zgłoskami. Aczkolwiek historia nie przekazała najmniejszych śladów stosunków pomiędzy Peru i Meksykiem przedpodbojowym, nie mniej jednak, znając niedokładność źródeł historycznych owej epoki<sup>1)</sup> i skłonność Indian pomorskich do żeglugi, przypuszczać możemy, że stosunki te, choćby nawet oderwane — istniały. Inaczej trudno jest wytłumaczyć sobie początek takiego nazwiska Jequetepeque, chyba że dopuścimy w tym razie czysty przypadek.

Plemię pomorskich Indian Ekwadoru, któreśmy *indios montubios* nazwali, różni się bardzo od opisanych dopiero co seczurów. Wzrost mają wyższy, dochodzący prawie średniego wzrostu Europejczyków, ciało szczuplejsze, pierś węższą i więcej zapadniętą, członki suche i muskularne, lecz bardziej wysmukłe.

Głowa jest kształtniejsza, bardziej do europejskiego typu zbliżona; czoło wyższe, włosy proste, lecz nie tak szczeciniaste, jak u seczurów. Wysokie stosunkowo czoło, twarz ściągalsza i nos pałakowaty, lecz bardziej wydłużony—różni to plemię wybitnie od wszystkich Indian. Zarost mają bardzo skąpy — cecha właściwa rasy indyjskiej.

Bitne to plemię, zamieszkujące pomorze ekwadorskie i wyspę Puna w ujściu rzeki Guayaquilu, opierało się przez długi przeciąg czasu zdobywczemu orężowi Inkasów, i dopiero przed samem przybyciem pierwszych zdobywców hiszpańskich uległo zawojowaniu przez wojska władców kuzkańskich; lecz już w chwili przybycia Pizarry zrzuciło nienawistne jarzmo i z nową zaciętością walczyło przeciwko obcemu panowaniu.

Najście Hiszpanów położyło kres tej wojnie: zwycięzcy i zwyciężeni musieli uleść nowemu, potężnemu zdobywcy.

Charakter ma montubio równie sympatyczny, jak i seczura; obcą mu jest bierna uległość i niewolnicze spełnianie rozkazów, które stanowią cechę Indian górskich, co zarówno dawnym jak i nowszym przyczynom przypisać należy. Mówiłem przed chwilą, że Indianie pomorscy nie ulegli jeszcze krańcowemu despotyzmowi Inkasów, który musiał przecieżyć wyrobić z ludzi powolne wszystkiemu maszyny, a nadto dzisiejszy kierunek na pomorzu zarówno ekwadorskiem, jak i peruwjańskim jest stokroć liberalniejszy, aniżeli w górskich, oddalonych obszarach, gdzie naród zapleśniał w staro-hiszpańskich tradycjach. Ten podwójny wpływ—przed podbojem i po nim — przyczynił się też stanowczo do wytworzenia różnicy charakterów Indian pomorskich i serrańskich, czyli górskich.

Montubio posiada pewną niezależność charakteru, a w obcowaniu z innymi, choćby nawet nierównie wyższymi stanowi

<sup>1)</sup> Permojanie pisma nie znali. Zastępowali je sznóreczkami różnokolorowymi, zwanymi „*quipos*”.



skiem, zachowuje godność właściwą. Nigdy nie dostrzeżesz w nim tej niewolniczej uległości, co u Indjan serrańskich, którzy nienawidząc w głębi duszy rasy panującej, czują jej przewagę, i chylą głowę instynktownie. Życie wolne wśród lasów i łatwość uprawy ziemi która przy małej pracy wydaje plon obfity, wyrobiły w pomorskim Indjaninie Ekwadoru tę niezależność. Też same przyczyny zrodziły w nim hojność i gościnność, gdyż prawem ogólnem jest bodaj, że kto łatwo zarabia, ten łatwo wydaje. Indjanie serrańscy odmawiają zwykle wszelkiej pomocy wędrownikowi, który do ich chaty zapuka; często nawet hojne wynagrodzenie za łyżkę strawy lub kącik do noclegu nie jest w stanie przewyciężyć wyrobionego przez wieki niedowierzania i pewnego wstrętu Indjan serrańskich ku białym. Przeciwnie Indjanin pomorski chętnie gościnności udziela, a chociaż niekiedy dostrzedz można chęć wyeksploatowania gościa, to dziwić się temu nie należy, gdyż wogóle cudzoziemcy w krajach południowo-amerykańskich uważani są za bardzo bogatych, a wyzyskanie ich bynajmniej za grzech poczytywanem nie bywa.

Uprawa roli i polowanie jest głównem zajęciem montubia. Wyciąwszy kawałek lasu, zaprowadza na dziewiczym gruncie plantację bananów, sadi nieco manioku, zasiewa ryż i tytoń. Kilkanaście sztuk bydła rogatego, kilka koni i osłów, kury domowe i trzoda chlewna stanowią jego żywy dobytek. Wydatki ma skromne, gdyż żyje z własnej pracy, a odzienie nosi niewyszukane: krótka bluzka perkalowa, także spodnie i słomiany kapelusz starczą mu na dnie powszednie. Gdy zaś w niedzielę na mszę do miasteczka jedzie, jedyna zmiana w kostjumie, jaką zaprowadza, jest biała, czysta koszula i nowy bardzo nieraz drogi kapelusz panamski, a raczej guayaquिल्ski. Nakrycie głowy u Ekwadorczyków stanowi część ubrania, w której się koncentruje cały zbytek biedaka; można butów nie mieć, lecz „sombbrero fino“ (kapelusz cienki) być musi.

Przerzuciwszy jaskrawe poncho przez ramię i przypięwszy do bosych nóg ostrogi, nierzadko srebrne, ciągnie montubio na swym rączym stępadku do najbliższego miasteczka, gdzie po wysłuchaniu mszy św. oddaje się serdecznym libacjom wraz ze swymi małomiejскими przyjaciółmi. Grosz, zebrany ze sprzedaży tytoniu, ryżu, lub zbywających sztuk żywego inwentarza, stanowi jego czysty dochód, który chętnie traci na poczęstowanie swych przyjaciół. Niekiedy dzieci do szkół posyła; niejedno z nich staje się w przyszłości zdolnym adwokatem lub medykiem; a gdy się młody Indjanin karjerze wojskowej poświęci, nie rzadko dochodzi wyższej rangi. Dzielnym generałem Alfaro, przywódca jednej z ekwadorskich rewolucji i kandydat na prezydenta, z tej rasy Indjan pochodził.

Chaty wiejskie montubiów budowane są zawsze na palach, czego wymaga wilgotność gruntu. Ten typ domostw spotkamy od rzeki Tumbezu napółnoc, aż po Panamę i Guatemalę, gdyż stąd mniej więcej zaczynają się zachodnio-pomorskie lasy Andów, któ-

re się ciągną przez Ekwador, Kolumbję i Środkową Amerykę. Przeciwnie na południe od Tumbezu, wśród suchych przestworzy Pomorza peruwjańskiego, ten rodzaj budowli byłby zbyteczny; chaty więc są naziemne, to jest zbudowane wprost na gruncie. Osobliwą jest rzeczą, że Indianie porzecza Amazonki i jej dopływów pomimo nadzwyczaj wilgotnego klimatu i ciągłych deszczów, budują chaty naziemne a nie na palach; ten ostatni rodzaj budynków spotyka się tylko od strony Oceanu Spokojnego. Konstrukcja takiej chaty jest nadzwyczaj lekka i łatwa. Na sześciu lub ośmiu palach wznosi się strzecha, kryta stosownie do warunków miejscowych liśćmi trzciny cukrowej lub „palmy królewskiej” (*Cocos butyracea*), niekiedy zaś wielkimi liśćmi bananowej rośliny zwanej „bijao” (*Haliconia*). Na wysokości paru metrów nad ziemią wznosi się podłoga z tarcic bambusowych. Ścian zwykle niema, a jeżeli są, to jedynie z dwu stron odwietrznych; jest to proste oszalowanie temiż ażurowemi tarcicami z bambusu. Tylko u zamożniejszych i dbałych o wygodę Indian można spotkać domy oszalowane ze wszystkich stron i podzielone na kilka pokoi.

Mieszkanie więc zajmuje pierwsze piętro, gdy dół odkryty ze wszystkich stron służy jedynie do porzucenia mniej potrzebnych przedmiotów, niekiedy urząda się tu chlewki lub kurniki. Kuchnia mieści się na górze na wolnem powietrzu: o kominach mowy niema. Skrzynia napełniona ziemią a na niej kilka kamieni, służących do ustawienia garnków nad ogniskiem, składają tę pierwotną kuchnię. Garnki, kociołek i patelnia, drewniane lub srebrne łyżki, oraz kilka fajansowych talerzy, kwiecisto umalowanych, stanowi cały dobytek kuchenny i kredensowy biednego montubia; użycie widelca lub noża jest mu obcem w jego własnem mieszkaniu. Gdy jednak w miasteczku do garkuchni na obiad lub śniadanie zajdzie, umie się tymi wynalazkami posługiwać. Za całe umeblowanie domów, służy kilka skrzynek, mieszczących skromną garderobę Indianina i jego rodziny; oraz łóżka, a niekiedy wprost pościel, na podłodze porzucona i przykryta perkalowym namiotem (mosquitero). Jest to cały dobytek ruchomy montubia. Jak w ubraniu kapelusz stanowi główny jego zbytek, tak pomiędzy sprzętami domowymi — łyżki lub kubki srebrne, którymi lubi się przed gośćmi pochwalić, są jego słabą stroną. Musi też mieć koniecznie strzelbę, zwykle marną toledańską pojedynkę, której do swych leśnych wypraw używa. Przypasawszy do boku „machete” — rodzaj wielkiego noża czy małej szabli — jak kto chce — służącej do cięcia nieprzebytego gąszczu leśnego — i zarzuciwszy na ramię swą kozią nogę, puszcza się do lasu, gdzie spotkać może sarnę leśną (*Cervus rufus* i *Subulo simplicicornis*), penelopy <sup>1)</sup> lub leśne kuropatwy, a niekiedy stado dzików amerykańskich (pecari) lub nawet jaguara. Wielu z nich stanowi osobną klasę ludzi, zwanych *tigreros* <sup>2)</sup>, gdyż

<sup>1)</sup> *Penelope* (po hiszp. *pava*) — rodzaj wielkich leśnych ptaków kurowatyh, trzymających się przeważnie na drzewach.

<sup>2)</sup> *Tigre* — nazywają powszechnie w krajach hiszpansko-amerykańskich jaguara.

polowanie na jaguara jest ich specjalnością. Jeżeli drapieżnik ten poczyną robić zniszczenie w bydło, tigrero najmuje się, biorąc na siebie obowiązek zabicia szkodnika. Niektóre większe haciendy ekwadorskie utrzymują nawet takich własnych myśliwców.

Uważałem za niezbędne podać charakterystykę tych dwu sąsiednich plemion indyjskich, gdyż pomimo wielkiego przemieszania trzech ras, a mianowicie indyjskiej, białej i murzyńskiej, szczep czerwonoskóry stanowi, że tak powiem, tło w tej etnograficznej mozaice, a ponieważ dolina Tumbezu jest granicą obu typów, okolice przez nas opisywane koniecznie musiały zaludnić się przybyszami jednego i drugiego, choć typ montubio znacznie przeważa nad seczurami. Mieszkańcy noszą zwykle cechy przemieszanych ras, uważałem przeto za najstosowniejsze scharakteryzować każdy typ oddzielnie, a wówczas średnia posłuży mniej więcej za cechę mieszańca. Reguła ta jednak pod względem moralnym niekoniecznie stosowaną być może; za prawidło nawet postawić można, że wogóle mieszaniec ze względów etycznych stoi niżej od przedstawicieli czystej krwi. Prawidło to spotykamy w świecie zwierzęcym: muł pod względem charakteru jest podlejszy od konia lub osła; a to samo potwierdza się z mieszańcami ras ludzkich. Jeżeli więc krzyżowanie ras czy to ludzkich, czy zwierzęcych, przynosi często użytek ze względów cielesnych, dając mieszańców silnych fizycznie, to przeciwnie, szkodliwym jest do najwyższego stopnia pod względem moralnym.

Należałoby z kolei rzeczy podać charakterystykę dwóch innych szczepów, jakie stanowią jeden ze składowych pierwiastków ludności peruwjańskiej, to jest białego i czarnego. Pominę stronę fizyczną, gdyż każdy z was, czytelnicy, zna mniej więcej powierzchowną stronę Hiszpana lub murzyna. Stronę zaś moralną scharakteryzuję pobieżnie, gdyż i ta niezupełnie jest wam obcą z czytania różnych podróży.

Hiszpan jest szczery, otwarty, niezmiernie łatwy do zawierania stosunków, które go zresztą nie obowiązują do żadnych większych poświęceń: równie łatwo je zrywa, jak zawiera. W charakterze ma wiele wspaniałomyślności i pewnej rycerskości, która nas sympatycznie usposabia względem niego, o ile nie jest zwykłym donkiszotyzmem, łatwo mogącym oczy nasze otumanić. Gościnność jest, jak się zdaje, wrodzona u Hiszpanów, a towarzyszy jej zawsze wysoka doza galanterji, którą niekiedy do przesady posuwają. Trudno też sobie wytlómaczyć, skąd się bierze tak często u Hiszpanów przy całej ich galanterji, pewna gburowatość i opryskliwość, jaką zwłaszcza między ludźmi prostymi spotykamy Ujemnymi też stronami charakteru hiszpańskiego jest niezwykła kłótniwość — o czem zresztą każdy wie dobrze z historii ciągłych rewolucji—oraz dziki nieraz fanatyzm, który w gruncie rzeczy jest brakiem rozwagi. Te ujemne strony charakteru równoważą, oprócz wspomnianych powyżej zalet, spora doza odwagi, noszącej zwykle wybitny odcień zuchwalstwa. Najlepsze dowody jej dali Hisz-

panie w szeregu świetnych podbojów na Nowym Łądzie, oraz podczas wojen Napoleońskich.

Murzyn amerykański jest pierwotnem dziecięciem gorących wybrzeży zachodniej Afryki i musiał też przechować wybitne cechy moralne swych przodków z drugiej półkuli. Dobroduszość i pewna dziecinność, którą przechowują nawet w wieku dojrzałym, zdają się stanowić podstawę jego charakteru. Traktowany po ludzku, przywiązuje się do swego pana wiernością psa; częste przykłady tego spotykamy w historii podróży po Afryce lub Ameryce. Te sympatyczne strony jego duszy uzupełnia wrodzona wesołość, będąca zwykle skutkiem lekkomyślności. Ciemną plamą na tem jasnym tle jest zwierzęce okrucieństwo, jakiego dowody dają nieraz murzyni amerykańscy — pozostałość fatalna po ludożerczych przodkach. Cytowany przeze mnie w pierwszym rozdziale epizod z historii rewolucji nieszczęśliwych Gutierrezów jest jedną z licznych ilustracji tej ujemnej strony murzyńskiego charakteru.

Przy takiej różnorodności składowych pierwiastków etnograficznych, trudno jest pochwycić ogólne rysy charakterystyczne pomorzanina peruwjańskiego, gdyż obok indywiduów, przechowujących mniej więcej czystość tej lub owej rasy, napotkamy nieskończoną różnaitość w przemieszaniu się różnorodnych typów. Wiedząc atoli, że jednostajność otoczenia, czyli to cobyśmy nazwać mogli czynnem i biernem wychowaniem, wyrodzić musi nawet w indywiduach najrozmańciej od natury uposażonych, pewne wspólne rysy charakteru, szukać tych rysów musimy i przy bliższym egzaminie znajdziemy. Przedtem jednak rzućmy okiem na różne stopnie przemieszania trzech szczepów ludzkich.

Kilkowiekowe zetknięcie się rasy białej, indyjskiej i murzyńskiej, pociągnać za sobą musiało powszechne przemieszanie trzech krwi, do czego przyczynił się też niemało republikański ustrój państwa, zaprowadzony od lat dziewięćdziesięciu. Póki Hiszpanie panowali w Peru, rasa biała, osobliwie zaś szlacheckie rody hiszpańskie, trzymały się w dość ścisłem odosobnieniu; odkąd jednak wprowadzono rządy demokratyczne, wytwarzające liberalniejsze poglądy w klasie panującej, zwałił się mur chiński, dzielący białych od indjan i murzynów: stare nawet rody, strzegące przedtem pilnie zubożenia swej krwi błękitnej choćby najmniejszą domieszką krwi kolorowej, wyrzekły się powoli swych przesądów, zachowując mniej skrupułów w wyborze towarzyszków lub towarzyszek życia. Nie chcę przez to powiedzieć, aby weszły w zwyczaj małżeństwa białych z murzynami lub indjanami czystej krwi, gdyż podobne mezaljanse nawet dziś są wielką rzadkością; lecz że nie zwracano tak pilnej uwagi na tę nieznaczną domieszkę krwi kolorowej, która tylko dla bardzo wprawnego oka staje się widoczną. Jednocześnie z tem przy zawieraniu związków małżeńskich zaprzestano baczyć na prawe lub nieprawie pochodzenie, a ponieważ życie w konkubinacie z kolorowemi kobietami było praktykowane przez Hiszpanów od samych początków ich panowania w Peru, wytworzyła się przeto klasa ludzi mieszanych, stanowią-

cych ważny kontyngent przy zawieraniu związków, z których dzisiaj większa pewnie część do rzędu nieprawych należy. Skutek tego był taki, że pomiędzy dzisiejszą ludnością peruwjańską nie znalazłby się ani jeden ród, który genealogicznie mógłby dowieść zupełnej czystości krwi białej. W ścisłym więc pojmowaniu rzeczy należałoby rasę białą wykreślić zupełnie z listy istniejących szczepów Peru, z wyjątkiem chyba cudzoziemców (Europejczyków i yankees'ów), którzy stanowią nalotowy, mało znaczący pierwiastek wśród ogólnej masy peruwjańskiego ludu.

Mieszkańców rasy białej z indyjską nazywają w Peru „cholos”. Mniejszy lub większy stopień przemieszania decyduje o tem, czy ta lub owa rasa przewagę bierze; znajdziemy też z jednej strony prawie zupełny typ indyjski, tylko z barwą nieco jaśniejszą, aniżeli w czystej rasie; lub znów ludzi prawie białych, zdradzających domieszkę krwi czerwonej szorstkością swego prostego, płaskiego włosa i pewną śniadością cery. Skośne nieco, niewielkie czarne oczy i dość grube, zmysłowe wargi stanowią także ślady indyjskiego pochodzenia.

„Zambo” jest ogólnem mianem, używanem w Peru na oznaczenie mieszkańców krwi murzyńskiej z białą lub czerwoną. Wprawdzie wielu podróżników, a za nimi i podręczniki geograficzne używają tej nazwy li tylko na oznaczenie mieszkańców krwi murzyńskiej z indyjską, dając metysom krwi białej z czarną nazwę mulatów; atoli kilkoletni mój pobyt w Peru i Ekwadorze nie dał mi powodów do przyjęcia takiego rozróżnienia. Zdarzyło mi się wprawdzie kilka razy usłyszeć wyraz „mulato”, lecz bodaj, że go stosowano zupełnie w tem samym znaczeniu co i „zambo”, to jest nie zwracając uwagi na rodzaj krwi domieszanej do murzyńskiej. Zarówno w Peru, jak i w Ekwadorze dość jest mieć nieco kędzierzawe włosy, grube wargi i nos spłaszczony, aby pozyskać przydomek „zamba”.

Na Pomorzu peruwjańskiem „cholos” i „zambos” stanowią znaczną część ludności. Wewnątrz kraju, w górskich okolicach, rozpostarły się głównie dwa tylko szczepy, to jest biały i czerwono-skóry, gdyż murzyńska rasa niechętnie zamieszkuje umiarkowane klimaty. W czasach niewolnictwa murzyni sprowadzani byli prawie wyłącznie do plantacji nadmorskich, leżących w niskiej, z bardzo gorącej strefie. Z drugiej znów strony i emigranci hiszpańscy głównie napływali do miast portowych, w skutek czego przemieszanie trzech ras było tu daleko kompletniejsze, aniżeli wewnątrz kraju. Uwagę też moją co do powszechnego zakażenia krwi białej kolorową domieszką zastosować w części można i do szczepu miedzianego, który w nieznacznym już tylko stopniu mógł zachować zupełną czystość rasy. Zdaje mi się, że będę bardzo blizkim prawdy, podając „cholosów” za główną podstawę ludności pomorskiej; za nimi co do liczby idą „zambosy”, potem indjanie czystej krwi, murzyni, a nakoniec biali.

Zauważyłem przed chwilą, że osobniki czystej krwi tej lub owej rasy stoją zawsze wyżej pod względem moralnym, a mówiąc

ściślej, pod względem szlachetności uczuć od mieszaińców r3nych szczep3w. Por3wnywujiac jednak charaktery cholos3w z zambami, musimy przyznać pierwszym pewn3 przewag3, co zapewne st3d pochodzi, że rasa indyjska jest bliższ3 białej aniżeli murzyńska. Cholo jest zwykle łagodny, o charakterze bardziej plastycznym, aniżeli zambo, w którym często pot3guj3 si3 wrodzone ujemne strony murzyńskiego charakteru, to jest okrucieństwo i mściwość. Spotyka si3 i mi3dzy zambami ludzi nadzwyczaj łagodnych, ludzkich, szczerze przywi3zanych do swych zwierzchnik3w. Lecz wielu to gor3ca krew afrykańska pcha do zbrodni. Bardzo często charakter człowieka poznać można u ludzi pijanych. Gdy si3 cholo zbyt3cznym libacjom odda, staje si3 zwykle nadzwyczaj serdecznym, ścisika i całuje swych znajomych, a często płacze rzewnymi łzami. Zambo po pijanemu staje si3 kł3tliwym, szuka zaczepki i często noża dobywa, gdy trafi na zaci3tego przeciwnika. Charakter ma przewrotny i nieukrócony. To teź ta klasa ludzi dostarcza moźe największego kontyngensu do szajek bandyckich, jakie od dawien dawna kraj trapiły i po dziś dzień trapić nie przestaj3.

Pozostaje nam teraz streścić og3lne rysy moralne mieszkańca Pomorza peruwjańskiego bez różnicy rasy. B3dzie to zarazem charakterystyk3 Peruwjanina w og3lności, gdyź różnice, jakie znajdziemy pomi3dzy pomorzaniem i mieszkańcem wnetrza kraju (Sierry) mog3 mieć tylko drugorz3dne znaczenie. Uwaźam sobie za obowi3zek traktować ten przedmiot obszerniej, gdyź wielu podr3zników, patrzc3cych na wszystko powierzchownie, lub teź miłuj3cych si3 w sarkastycznym przedstawianiu rzeczy, zwykle podawać ujemne strony charakteru opisywanego przez si3 narodu. Ktoby czytał tylko np. podr3ż3 po Peru p. Marcoy, a wł3ściwie Saint-Crique, kt3rego tak sprawiedliwie zdemaskował Raimondi,<sup>1)</sup> tenby nabrał bardzo niekorzystnego i zupełnie bł3dnego pojęcia o charakterze narodu peruwjańskiego. Przebyłem w tym kraju lat sześć i wsz3dzie trafiałem na ludzi szlachetnych, z którymi łączyły mnie zwi3zki serdecznej przyjaźni. Obowi3zkiem wi3c moim jest rehabilitacya narodu niesłusznie w wielu razach szkalowanego. Nie pragn3 teź bynajmniej wpadać w drug3 ostatecznośc i stać si3 pochlebca Peruwjan, jak to uczynił inny podr3znik francuski po Peru, kt3remu nawet paryskie Towarzystwo Geograficzne złoty medal za jego dzieło przyznało. Postawiłem sobie tylko za zadanie przedstawić rzeczy tak, jak one si3 w rzeczywistości przedstawiaj3.

K3dzy prawie z podr3zników, lub emigrant3w, przybyłych do Peru dla zrobienia grosza, narzeka na krajowców, napadaj3c na ich nieuczciwośc, na ich skł3nnośc do eksploatawania cudzoziemc3w i inne t. p. wady. Dośc byloby im odpowiedzieć, że te r3żne przywary nie s3 wył3czn3 wlasnośc3 Peruwjan, gdyź wyzysk cudzoziemc3w na wielk3 skal3 odbywa si3 we wszystkich krajach Zachodniej Europy. Dośc jest pojechać do Włoch, Fran-

<sup>1)</sup> Patrz A. Raimondi. El Peru. Parte preliminar. Lima 1874 (w przedmowie).

cji, lub Niemiec, aby się naocznie o tem przekonać. A jeżeli Peruwjanie zachowują się nieraz wrogo względem Europejczyków lub yankeesów, to jest winą tych ostatnich, a nie krajowców. Każdy przybyły do Peru emigrant uważa siebie za coś nieskończenie wyższego od miejscowych mieszkańców, czy ma lub nie po temu prawo. Często bardzo ludzie stanowiący szumowiny europejskiego społeczeństwa, wyrutki różnych krajów, zbiegli z ojczyzny, dokąd prawo nie pozwala im wrócić, chcą odgrywać i często odgrywają na drugiej półkuli rolę ważnych osób, drwiąc sobie z krajowców i traktując ich z góry. Większość europejskich emigrantów, zwykle ludzi źle wychowanych, stara się na każdym kroku pokazać krajowcom swą wyższość, opierając ją na nieskazitelności swej krwi białej. Prawda, że Europejczyk lub yankees stoi wogóle wyżej pod względem moralnym od Peruwjan; muszę to wyznać pomimo całej skromności, jaką mi nakazuje me europejskie pochodzenie; lecz nie idzie zatem, aby wyższość tę nietaktownie zaznaczać przy każdej sposobności. Sam Peruwjanin czuje doskonale różnicę, jaka między nim i Europejczykiem zachodzi; widzi doskonale, że ten jest odeń pracowitszym, sumieniejszym i wogóle uczciwszym. Lecz nic go więcej rozdrażnić nie może, jak imponowanie, którego nieogłędnie dopuszczają się wszyscy niemal cudzoziemcy, zwłaszcza zaś Anglicy.

Tem naganniejszem jest takie postępowanie, że przecież każdy cudzoziemiec zostaje przyjęty w Peru z otwartemi rękami, a osobliwie gdy się na stałe osiedli, od niego li tylko zależy sobie zjednać serca wszystkich; każda panna wyjdzie za niego chętniej, aniżeli za miejscowego, gdyż wie, że o niej nie zapomni. Jakżeż często osoby z bardzo dobrych rodzin, piękne i nawet majątne wychodzą za Europejczyków z niższych klas społeczeństwa, prostaków, a nieraz i gburów. Panuje nawet w tym razie taka nieogłędność ze strony Peruwjan, że wydają swe córki za pierwszego lepszego przybysza, nie sprawdzwszy poprzednio, kto on taki i skąd przychodzi?

Między innymi zacytuję następujący wypadek, jakiego byłem świadkiem w jednym z miast peruwjańskich. Ni stąd ni zowąd pojawił się jakiś yankees tytułujący się doktorem medycyny. Ponieważ w Peru nie zawsze sprawdza się, czy takie indywiduum posiada odpowiednie dyplomy, więc i ów jegomość zaczął bezkarnie ludzi na tamten świat wysyłać.

Napożył pieniądze tu i owdzie, a ponieważ nie żałował ich na przyjęcia, więc też wkrótce narobił sobie przyjaciół. Pan doktor liczył już przeszło lat pięćdziesiąt, to jednak nie przeszkadzało mu zapalać silnym afektem do jednej z najpiękniejszych panien z miasta. Oświadczył się i został przez matkę i pannę przyjęty. Ślub odbył się obyczajem peruwjańskim na koszt „padrina”<sup>1)</sup>, poczem staromłoda para opuściła miasto, udając się do

<sup>1)</sup> Padrino — hiszp.—znaczy ojciec chrzestny. W Peru panuje zwyczaj, że do ślubu obiera się rodziców chrzestnych (a raczej ślubnych), którzy zwykle koszta wesela ponoszą.

innego, gdzie eskulap założył aptekę i dalej prowadził praktykę lekarską. W dwa miesiące po ślubie, niecny ten szarlatan, zostawiwszy swą żonę w ciąży, ulotnił się bezpowrotnie. Chodziły wieści, że przebywa gdzieś nad Amazonką, trudniąc się dozywaniem kauczuku. Po bliższym sprawdzeniu okazało się, że był to zbiegły marynarz, który już w pięciu różnych miejscach Ameryki praktykował swój niecny proceder żenienia się i porzucania następnie żony. Znając całą trudność przeprowadzenia w Peru sprawy rozwodowej, zrozumieć dopiero można, jak straszną krzywdę wyrządził ten nikczemnik swej nieszczęśliwej ofierze.

Ten nikczemny sposób eksploataowania łatwości krajowców w połączeniu z aroganckim traktowaniem ich, musiał obudzić niechęć Peruwjan do przybyszów z drugiej półkuli. Cudzoziemcy odgrywają w Peru po większej części taką samą rolę jak Niemcy u nas, przybývają na kilka lub kilkanaście lat, starają się zrobić majątek i wynoszą się do Europy. Cóż więc dziwnego, że Peruwjanie patrzą na nich z niedowierzaniem i zwykle starają się ich wyzyskać, odpłacając pięknem za nadobne. Niechaj jednak Europejczyk, podróżujący po Peru, stara się obudzić w krajowcach zaufanie, traktując ich na równi z innymi i dając często dowody bezinteresowności, a wówczas przekona się z łatwością, jak szybko pozyska sobie serca wszystkich; będą go na rękach nosili. Panuje wewnątrz Peru zwyczaj po większych i mniejszych miastach, że gdy przyjeżdża lub odjeżdża jaka ważna osobistość, biskup np., lub prefekt, wszyscy notable wyjeżdżają naprzeciw niego lub go odprowadzają całą kalwakatą. Mogę powiedzieć z zadowoleniem, że choć wjeżdżałem do różnych miast i miasteczek skromnie, gdyż mnie nikt jeszcze nie znał, wyjeżdżałem zawsze w otoczeniu kilkunastu, a nieraz kilkadziesiątu jeźdźców, którzy dawali mi tym sposobem dowody swej szczerzej przyjaźni. Jeżeli więc niejeden z podróżników zwichnął nogę podczas swych wędrówek, to niechaj to sobie, a nie krajowcom przypisze.

Niemoralność na Pomorzu jest w ogólności większa, aniżeli wewnątrz kraju, gdyż zdaje się być powszechną regułą, że czystość obyczajów jest w stosunku prostym do ich pierwotności nb. w pewnych granicach. Nieustający napływ emigrantów do miast portowych, ciągłe obcowanie z marynarzami podejrzanej moralności — jednym słowem zetknięcie się ze staroładową cywilizacją w jej ujemnych objawach, niekorzystnie wpływa na moralną stronę pomorzanina. Grunt w nim jest dobry, gdyż posiada z natury charakter dodatni, lecz ogólny nastrój wychowania narodu nazywać, jest w najwyższym stopniu wadliwą. Peru, wybiwszy się z pod panowania hiszpańskiego, weszło od razu na fałszywą drogą, która może ten kraj do zatracenia samodzielnego bytu doprowadzić. Jest to dziecko, nie umiejące chodzić, a któremu udało się zerwać podtrzymujące je paski. Oparłszy ustrój państwa



na wyuzdanej samowoli, którą szumnie zatytułowano wszechwładztwem ludu, kraj ten, potrzebujący jeszcze silnej ręki kierownika, biegnie szybko po równi pochyłej. Rząd republikański spoczywać może jedynie na trwałych podstawach zaparcia się samego siebie i poczucia obowiązków obywatelskich. Nawet w krajach stokroć dojrzalszych politycznie, aniżeli Peru, ta forma rządu nie może się jeszcze dzisiaj przyjąć, gdyż ogólna masa ludzkości, czyli lud prosty nie doszedł jeszcze do niezbędnego poziomu cnót obywatelskich.

Główną podstawą państwa jest rodzina, która przedstawia naród w miniaturze. Dziecko, przywykające od młodu szanować swych rodziców, widząc w nich uosobienie władzy, wdraża się do uznawania tejeż, przywyka do niej, a z czasem, gdy się staje dojrzłym członkiem narodu, łatwiej pojmuje potrzebę autorytetu. W Peru, niestety, osobiwie na Pomorzu, rodzina strasznie jest zachwiana, co głównie rozpowszechnionemu życiu w konkubinacie przypisać należy. Wstyd nawet powiedzieć, że przykład idzie z góry: duchowieństwo peruwjańskie jest do gruntu zdemoralizowane, gdyż każdy duchowny traktuje swe powołanie jako czysty interes. Księża żyjący moralnie należą do wielkich rzadkości. Mając taki przykład i lud cały, zarówno inteligencja jak i prostacy, żyją zwykle na słowo; gdybyż przynajmniej dochowywali wierności. Bywa często, bardzo nawet często, że mężczyzna posiada kilka, nawet kilkanaście towarzyszek, a dzieci jednego ojca nie znają się nawzajem. Skutek tego taki, że często bratobójstwa, świadome nawet, trafiają się podczas rewolucji miejscowych. Nie ulega wątpliwości, że miłość dziecka dla rodziców lub dla swych sióstr i braci nie jest wrodzoną, lecz wyrobioną ciąglem obcowaniem i otrzymywanemi dobrodziejstwami. Dziecko które się wychowuje, nie znając swej rodziny, nigdy nie będzie żywiło do niej przywiązania, choćby nawet w przyszłości poznało swych życiodawców.

Obok tej zasadniczej wadliwości, życie oparte na stosunkach nieprawych pociąga jeszcze i inne, niemniej może ważne. Nigdy ojciec dziecka nieprawego nie zajmie się jego wychowaniem z równą starannością, co potomstwa prawego, a w większości wypadków zupełnie o niem zapomina. Z drugiej znów strony, dziecko nieprawe, pokrzywdzone zwykle w prawach spadkowych, z niechęcią a często z nienawiścią, patrzy na swego życiodawcę, który mu nawet odmawia nazwiska swego. Zbytecznem jest nawet mówić o smutnych skutkach nieprawych stosunków w ogólności, gdyż każdy z czytelników rozumie to doskonale.

Powiedziałem już, że życie w konkubinacie jest bardzo rozpowszechnione w Peru, osobiwie zaś na Pomorzu. Statystyka Limy z roku 1860 podaje na 3034 urodzeń 1384 prawych, a 1650 nieprawych<sup>1)</sup>. Nie wątpię, że stosunek ten jest jeszcze większym

<sup>1)</sup> M. F. Paz-Soldan. Geogr. del Peru. Paris. 1862.

na prowincji, gdzie duchowieństwo bardziej jest jeszcze rozluźnione, aniżeli w stolicy. Nawet lud prosty, który zwykle trzyma się ściśle tradycji, oraz religijnych przepisów, w tym razie staje się wolnomyślnym, stawiając często księży za przykład, gdy go się w tej ważnej kwestji zapytamy.

Tu spoczywa główna przyczyna ogólnego rozluźnienia obyczajów narodu peruwjańskiego i jego upadku moralnego. Tam gdzie niema fundamentu, niema i gmachu. Niemoralność w stosunkach małżeńskich pociąga fatalnie za sobą niemoralność we wszystkich innych gałęziach ludzkiej działalności. Uwidacznia się to dla narodu peruwjańskiego w dwu wybitnych rysach jego życia społecznego, a mianowicie w rewolucjach i w bandytyzmie.

Czytelnik nabrał już niejakiego pojęcia o rewolucjach peruwjańskich z historii braci Gutierrezów, którą skreśliłem w drugim rozdziale niniejszej pracy.

Pozostaje mi jeszcze dać ogólny rys tych zaburzeń wewnętrznych, które tak często wstrząsają bytem narodu peruwjańskiego w szczególności, a wszystkimi krajami hiszpano-amerykańskimi w ogólności. Rewolucje uważane są tam za coś tak zwykłego, że nikt nawet nie podejrzewa ich niemoralności, oraz olbrzymiej szkody jaką narodowi przynoszą.

Naród dzieli się, jak to bywa zawsze, na dwie partje: zachowawców i postępowców, choć w gruncie rzeczy podział ten jest sztuczny, gdyż ani zachowawcy nie są prawdziwymi zachowawcami, ani postępowcy — prawdziwymi postępowcami. Dość, że dla formy, aby pewne decorum zachować, dzielą się tu wszyscy na dwie partje. Kandydat jednej z dwu, po zaciętej walce wyborczej dostaje się na prezydenturę; w tej walce wyborczej wszechwładztwo ludu zostaje sparaliżowane przekupstwem, wódką i bagnietami. Nowy prezydent zmienia odrazu całą prawie administrację, obsadzając wszystkie, a przynajmniej ważniejsze posady swymi protegowanymi. Spadli z etatu urzędnicy stanowią ogromny kontyngens małkontentów, którzy przyłączają się do niefortunnego rywala nowego prezydenta. Już od pierwszych chwil urzędowania tego ostatniego intryga rewolucyjna nurtuje niezadowolone stronnictwo, które czeka tylko okazji, aby tłumione powstanie wywołać. Następuje walka obu stron, kończąca się szczęśliwie dla jednej lub drugiej, ogłasza się nowe wybory, a czasami dyktaturę i rzeczy znowu idą tym samym porządkiem. Jest to szemat, według którego płynie życie polityczne krajów hiszpano-amerykańskich z wyjątkiem Chili. Zmiany, jakie zająć w nim mogą, ograniczają się jedynie do liczby kandydatów na prezydenturę, których niekiedy bywa trzech lub czterech, co bynajmniej istoty rzeczy nie zmienia, lecz tylko całą sprawę komplikuje,

Widać już z tego, że tak ważna kwestja rządu, a raczej kierowników jego jest sprawą czysto osobistej natury, rodzajem interesu, służącego do wzbogacenia się, a przynajmniej otrzymania korzystnej posady. Ten rodzaj zapatrywania się jest tak powszechny, a zwyczaj robienia rewolucji tak zakorzeniony w charak-

terze Peruwjan, że każdy z nich doszedłszy do korzystania z rozumu jest już gotowym rewolucjonistą, przymyka do tej lub owej partji i do końca życia nię pozostaje.

Łatwo jest pojąć, że gdzie pobudki są tak naganne, gdzie walka toczy się nie o ideę, lecz o osobistość, w której partyzanci widzą swe nadzieje; tam i częste dezercje z partji do partji lub zdrady trafiać się muszą. Tak zwany „caudillo“, czyli naczelnik pewnej partji, porzucany bywa sromotnie przez swych zwolenników, skoro tylko znajdzie się w drażliwym położeniu, lub oczekiwania partyzantów zawiedzie. Tylko bohaterowie, walczący za wzniosłe idee, zyskać mogą sobie niezachwianych stronników; handlarze zaś narodowej woli prędzej czy później spodziewać się muszą zdrady swych interesowanych stronników.

Charakterystyczną stroną południowo amerykańskich rewolucji są siły, jakeimi rozporządza „caudillo“ w początkach swego powstania. Wojsko, jak wiadomo, decyduje zwykle o rezultacie walk partyjnych; zwykle więc szef powstania stara się zbuntować najprzód koszary, skąd rewolucja przechodzi dopiero na ulicę lub pole. Jest to wtedy typowe „pronunciamiento“. Gdy jednak prawy prezydent posiada pewien urok pomiędzy żołdactwem, wówczas „caudillo“ najmuje sobie poprostu drużynę wśród ludności miejskiej i wiejskiej. Nazywa się to „enganchar la gente“, co znaczy dosłownie zahaczać, czyli werbować ludzi. Nie robi się przy tem najmniejszych skrupułów w wyborze nowozaciecznych, między którymi znaczny procent stanowią bandyci, kryminaliści i wogóle ludzie podejrzaney konduity. Jeżeli szczęście służy naczelnikowi powstania i ten po obaleniu prezydenta zdola zająć jego miejsce, cała ta czereda żąda wynagrodzenia za swój udział, a ponieważ nie wszyscy kontentują się pieniędzmi, wielu z nich wstępuje na urzędy wojskowe i cywilne. Stąd pochodzi, iż nierzadko w administracji kraju, a zwłaszcza pomiędzy oficerami armii spotkamy ludzi, których przeszłość do kryminału kwalifikuje.

Te nieregularne drużyny, noszą miano „montoneras“<sup>1)</sup> i są prawdziwą plagą dla kraju. Brak subordynacji wojskowej, oraz sam charakter nowozaciecznych czyni je niebezpiecznemi zarówno dla spokojnych, pracą zajętych mieszkańców, jak i dla podróżników, zmuszonych wędrować po kraju. Pojawienie się montonery gorszem jest od przelotu szarańczy, a najwięcej cierpią na tem biedni indjanie, którym rozpasane, nieregularne wojsko znaczne szkody w dobytku czyni, zabierając konie, muły, drób, nie mówiąc o gwałtach delikatniejszej natury.

Drugim smutnym objawem w życiu społecznem Peruwjan jest bandytyzm, zwany po hiszpańsku „bandolerismo“, który stanowi chroniczną chorobę kraju, osobliwie zaś Pomorza. Im bardziej w głąb kraju, tem plaga ta staje się rzadszą, a wewnętrzne prowincje, jak np. departamenty Amazonas i Loreto są od niej

<sup>1)</sup> Nazwa „montonera“ powstała za czasów wojen o niepodległość, używali jej stronnicy króla na oznaczenie nieregularnych drużyn patrijotów.

zupełnie wolne. Bandytyzm koncentruje się zwykle po większych drogach, lub w okolicach znaczniejszych miast departamentalnych. Każdy z wielkich szlaków, prowadzących z miast portowych do znaczniejszych centrów wnętrza kraju, posiada jedno miejsce, w którym szajki złoczyńców czynią zasadzki na przejezdnych podróżników, zwykle kupców, udających się w interesach handlowych na Pomorze lub odwrotnie. Miejsce takie jest zwykle doskonale wybrane do zasadzki, czyniąc obronę albo niemożliwą, albo przynajmniej bardzo utrudnioną. Na wielkiej drodze handlowej z Trujillo do Cajamarca miejscowość Portachuelo cieszy się ponurą sławą zorganizowanych napadów bandyckich; taką samą renomę posiada punkt zwany Las Viejas po drodze z miasteczka Chepen do Chota i miejscowość La Puntilla, leżąca pomiędzy haciendą Patapo i miasteczkiem Chongollape na ważnej drodze prowadzącej do Cutervo.

La Puntilla jest miejscem doskonale wybranem do zasadzki. Wzgórza dochodzą do samej doliny rzeki, zarośniętej na znacznej przestrzeni dziką trzcina. Droga biegnie pomiędzy stromym skłonem odnóg górskich i zaroślami trzcinowemi, w których bandyci się kryją. Jeżeli spodziewają się obrony, wówczas z zasadzki strzelają do przejezdnej karawany; napadają zaś otwarcie, gdy mała liczba przeciwników czyni opór z ich strony niemożliwym.

Jeszcze w siódmym dziesiątku lat zeszłego stulecia punkt ten taką miał sławę, że kupcy, jadący z Cutervo, Jaen lub innych miast, wybierali się jak na wojnę, pozostawiając w domu testament. I dzisiaj jeszcze zbierają się po kilku lub kilkunastu razem, jeżeli mają znaczniejszą sumę pieniędzy do przewiezienia. Stare ruiny indyjskie, leżące w Puntilla, są cmentarzyskiem, na którym mnóstwo kości nieszczęśliwych podróżników spoczywa.

Jak dalece bandytyzm jest w Peru rozwinięty, dowodzi pewna klasyfikacja, stosowana do różnych rodzajów bandytów. Dzielą ich na trzy rodzaje, z których tak zwani „valientes“ (odważni) stanowią najszlachetniejszą grupę w tej ponurej korporacji. „Valiente“ jest to bandyta z powołania, traktujący swój proceder con amore, oddając mu się więcej przez zamiłowanie niż z interesu. Jest to prawdziwy typ bandyty w rodzaju Rinaldo-Rinaldiniego, kradnący nieraz dlatego, aby biedniejszemu łup oddać, a mordujący tylko w ostateczności. Dzisiaj typ ten, rekrutujący się zwykle z synów bogatych rodzin, zaginął prawie zupełnie; istniał jednak jeszcze przed niedawnym czasem.

Tradycja przechowała w narodzie czyny niektórych sławniejszych bandytów, jak Rayo w Peru, lub Frias'a w Ekwadorze. Lud uważa ich niemal za bohaterów, chętnie opowiadając różne epizody, w których wspomnieni bandyci dawali nieraz dowody szalonej odwagi, połączonej z innymi szlachetnymi rysami.

„Bandido“ ściślejszego pojęcia jest drugim i najpospolitszym rodzajem złoczyńcy, napadającym z zasadzki. „Bandido“ niepokoi zarówno bogatych kupców, jak i biednych poganiaczy mułów, którym nikczemnie odbiera skromną, świeżo zarobioną sumkę pieniędzy.

dzy. Jeżeli opór napotyka, nie robi sobie wielkich skrpułów, mordując swe ofiary, gdy mienia swego bronią.

Trzeci wreszcie rodzaj, najpodlejszy ze wszystkich, składają tak zwani „maleros“<sup>1)</sup>. Jest to przeciwny biegun rodzaju „valiente“ na średnicy bandyckiej korporacji. „Malero“ także traktuje swe rzemiosło con amore, lecz jedynie z zamiłowaniem do morderstwa. Ta najnikczemniejsza klasa ludzi szuka zaczepki, aby nożem cios śmiertelny zadać, a często bez przyczyny, w rozmowie pchnąć może pugnałem swego interlokutora, nie mając w rzeczywistości nic przeciwko niemu. Zbiegnie następnie, ukryje się kilka miesięcy, a gdy o nim zapomną, pokazuje się nanowo, pewny, że go nikt przesładować nie będzie.

Bandytyzm nie przybiera dzisiaj w Peru takich rozmiarów, jak przed niedawnym jeszcze czasem. Nie dalej jak na lat dwadzieścia przed moją podróżą, w Limie, w stolicy kraju, zorganizowane bandy złoczyńców napadały w biały dzień na domy bogatych mieszkańców, a gdy siła zbrojna przychodziła na odsiecz, zawiązywała się walka uliczna, w której często bandyci zwycięstwo odnosili. Energiczne środki, jakie niektórzy prezydenci, a osobliwie Manuel Pardo przedsięwzięli przeciw złoczyńcom, przyczyniły się skutecznie do zmniejszenia tej plagi. I dziś jednak, szajki po kilkunastu lub kilkudziesięciu bandytów niepokoją kraj w różnych jego punktach.

Do rozwinięcia się bandytyzmu przyczynia się głównie miękkie prawodawstwo peruwjańskie, a co gorzej niedbałe wypełnianie obowiązków przez różnych przedstawicieli prawa. Kara śmierci nie istnieje w Peru, a morderstwo karane bywa nie więcej jak piętnastoletniem więzieniem. Nadto prawo peruwjańskie wymaga koniecznie dwu świadków popełnionej zbrodni, jak gdyby morderca potrzebował brać ze sobą kilku ludzi, żeby ci przeciw niemu świadczyli. Jeżeli więc zbrodniarz nie jest schwytany na gorącym uczynku, zwykle unika wszelkiego przesładowania.

Stokroć większą szkodę pod tym względem przynosi ogólne w narodzie pobbłażanie dla bandytów, któreby raczej za obawę wziąć należało. Bardzo często przedstawiciel władzy, np. podprefekt pozostawia w spokoju znanych doskonale bandytów li tylko z obawy ich zemsty. W Tumbezie pokazywano nam kilku ludzi którzy nie jedną duszę ludzką mieli na swem sumieniu, a pomimo to przechadzali się swobodnie, wolni od wszelkiej odpowiedzialności. Bywały przykłady, że bandyta, zrobiwszy znaczny majątek na swem niecnem rzemiosle, osiedlał się w mieście, opływając w dostatkach. Rękami krwią splamionemi niósł do ust srebrne naczynia, złupione kiedyś na nieszczęśliwych ofiarach. I jakkolwiek bandyci peruwjańscy nie wywierają na ludności miejscowej tak bezwzględного terroru, jak np. mafia sycylijska, to nie mniej obawa przed nimi paraliżuje często sprężyny sprawiedliwości publicznej.

<sup>1)</sup> Od hiszpańskiego wyrazu *mal* — zło, lub zły.

Pewien podprefekt zdaje się w mieście Canta, zapytywany przez ziomka naszego, Babińskiego, dla czego nie przedsięwzięje środków energicznych przeciwko grasującym po okolicy złoczyńcom, odpowiedział: „Trudno jest, panie, z tą siłą, jaką ja tu rozporządzam, poradzić silnym szajkom bandyckim. Mam do dyspozycji 10 ludzi, a oni przeciwstawić mogą bandę z 50 lub sześćdziesięciu drabów, dobrze zorganizowanych. Chcąc nie chcąc muszę z nimi żyć w przyjaźni i wielu łotrów tolerować w mieście“. Była to racja nie koniecznie decydująca, gdyż znam przykłady, gdzie zwierzchnik rozporządzał mniejszą jeszcze siłą a jednak zdołał oczyścić okolicę z panującej plagi.

Okolice wspomnianego już miasteczka Chepen słynęły z silnych i doskonale zorganizowanych szajek bandyckich, które siały postrach w znacznym promieniu. Na szczęście gubernadorem<sup>1)</sup> został niejaki Smith, syn Anglika i Peruwjanki. Dzielną tę osobistość, liczącą już przeszło lat pięćdziesiąt, miałem sposobność poznać podczas mego trzykrotnego pobytu w Chepen. Smith słynął w okolicy jako najlepszy jeździec i lasero, czyli władający lasem (arkanem). Pałał on nienawiścią ku bandytom jeszcze z lat młodych, kiedy szajki ich dokonywały strasznych rzeczy w okolicach departamentalnego miasta Chiclayo. Zuchwalstwo swe posuwali do tego stopnia, że nocną porą napadali na miasto liczące kilka tysięcy mieszkańców i porywali córki porządnych rodziców, aby swe zwierzęce chucie zadowolić. Dopiero, gdy młodzież miejscowa utworzyła towarzystwo anti-bandyckie, samowola złoczyńców ukróconą została. Każdy bandyta podlegał prawu Lyncha: rozstrzelowano go na miejscu złapania, bez sądu, bez apelacji. Smith był jednym z najżarliwszych członków tego pożytecznego stowarzyszenia i zaprawił się doskonale do wypraw na ludzi-zwierzęta.

Kiedy został gubernatorem Chepenu, przypomniały mu się dawne czasy. Jako człowiek prawy, nie mógł patrzeć spokojnie na straszne nadużycia złoczyńców; a odwagi miał dostateczny za sobą, aby móżd im czoło postawić.

Natychmiast też zorganizował wyprawę na bandytów, a złowionego jednego złoczyńcę odesłał do władzy sądowej w *San-Pedro*, stolicy prowincji. Jakież jednak było jego zadziwienie, gdy po ośmiu dniach spostrzegł na ulicach miasteczka swobodnie spacerującego bandytę, którego władze prowincjonalne uwolniły od wszelkiej odpowiedzialności.

Zgniewało go to strasznie, zamilkł jednak, postanowiwszy sobie nadal osobście sprawiedliwość wymierzać. Jakoż od tej chwili każdego bandytę, złowionego w okolicy, kazał rozstrzeliwać w więzieniu tegoż jeszcze dnia. „Los mando a San Pedro“ (posyłam ich do ś-go Piotra), mawiał, robiąc aluzję, że ich do nieba

---

<sup>1)</sup> Gubernador jest to zwierzchnik władzy wykonawczej w mieście głównym dystryktu, tak jak podprefekt jest naczelnikiem prowincji (powiatu), a prefekt — departamentu (guberni).

posyła. Skutki były doskonałe, gdyż w przeciągu niedługiego czasu uwolnił okolice od tej strasznej plagi.

Ogólny poziom moralności w Peru jest znacznie niższy, aniżeli w cywilizowanych krajach europejskich. Morderstwa lud prosty nie uważa za zbrodnię, lecz za nieszczęście. „Se ha desgraciado“ zwykli mówić o mordercy, co znaczy dosłownie „nie-szczęśliwił się“. Wobec takiego zapatrywania się na ważną kwestję moralności, bandyci znajdują między ludem jeżeli nie poparcie, to przynajmniej opiekę, wywołaną częścią przez strach przed nimi, a częścią przez brak poczucia obywatelskich obowiązków. Człowiek, który morderstwa się dopuścił, z łatwością znajdzie schronienie wśród swych przyjaciół, a przy ogólnem niedołęstwie i rozprężeniu czynników sprawiedliwości, dość jest nieraz kilku miesięcy czasu, aby czyn karygodny uległ zapomnieniu. Jeżeli zbrodniarz kilkakrotnie już dopuścił się występku, znika conajwyżej z okolicy na dłuższy przeciąg czasu, poczem wraca spokojnie do miejsca swego zamieszkania, wolny od wszelkich prześladowań.

Lud prosty, a często nawet i bogaci hacendados<sup>1)</sup>, aby się zasłonić przed napaścią wybitniejszych bandytów, stara się połączyć z nimi związkami kumostwa, które we wszystkich krajach hiszpano-amerykańskich posiadają równie ważne znaczenie jak związki krwi. „Compadre“ (kum) jest uważany na równi z bratem, a może nawet i wyżej stawiany. Zdarza się bowiem często, że gdy syn ojca, lub brat brata w kumy zaprosi, tytułują się już później kumami. Syn mówi ojcu „kumie“, a nie „senor“ (panie) jak zwykle. Bójka pomiędzy kumami jest uważaną za większy skandal, aniżeli między braćmi, a przy całym rozwolnieniu obyczajów nielegalne związki między compadre i comadre są powszechnie potępiane.

Zwykle lud prosty bywa religijny, nawet fanatycznie religijny; w zachowywaniu jednak przepisów religijnych posiada właściwy pogląd; jak często chłop nasz uważa za większe przestępstwo opuszczenie mszy niedzielnej, lub naruszenie postu, aniżeli kradzież. Podobny wypadek zachodzi i co do kumostwa w Peru. Bandyta, mordujący z zimną krwią swe ofiary, aby je z mienia obłupić, pilnie strzeże obowiązków kuma, a przez to osoba związana węzłami kumostwa z bandytą, osobiście z hersztem bandy, wolną jest od napaści.

Często bogatsi właściciele ziemscy należący do inteligencji miejscowej, przechowują u siebie prześladowanych złoczyńców, którzy tem samem zaciągają obowiązki wdzięczności względem swego protektora. Sam znam takie wypadki dawania przytułku osądzonemu na więzienie bandytom. Niekiedy znów człowiek wpływowym i zamożnym, kierowany ludzkimi pobudkami, odbiera na swoją odpowiedzialność osadzonego w więzieniu złoczyńcę, daje mu środki uczciwego zarobkowania, chcąc ocalić zbłąkaną

<sup>1)</sup> *Hacendado* — właściciel majątku ziemskiego, zwanego po hiszp. hacienda.

owieczkę; często jednak przywykły do hultajstwa nicpoń, zapomina o dobrodziejstwie, jakiego doznał i po krótkim przeciągu czasu wraca na drogę występku.

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć o trzecim ujemnym rysie moralnego życia w Peru, a mianowicie o niesumienności kupieckiej, która rzecz można przenika wszystkie sfery społeczne narodu. Niesumienność jest zwykłą rzeczą we wszelkich stosunkach pieniężnych. Handel peruwjański nie opiera się na uczciwości i legalnym zysku, lecz na oszukaniu kupującego, czyli na wyzyskiwaniu. Kupić jak najtaniej choćby jak najlichszy towar i sprzedać go za dobry po cenie jak najwyższej. Oszukanie kogoś przy kupnie lub zamianie posiada osobny termin: „Hacer buen negocio“ — zrobić dobry interes. Jako kupcy, Peruwjanie podobni są zupełnie do naszych żydów, którzy na tych samych podstawach fundują manipulacje handlowe. W skutek tego po miastach prowincjonalnych wszystkich towar jest lichy, a jednak drogi. Kto chce kupować przedmioty w dobrym gatunku, musi je nabywać w Limie, lub przynajmniej w większych miastach pomorskich; mniejsze miasteczka są zawałone tandetą, kupowaną często na licytacjach w Callao, kiedy komora sprzedaje długo leżący towar, zwykle zgniły. Lud prosty tak przywykł do oszukaństw ze strony kupców, że każdy indjanin lub cholo, zanim kupi sobie co potrzebnego, obejdzie przedtem wszystkie sklepy miasteczka i dopiero porównawszy ceny, decyduje się na nabycie przedmiotu.

Gdybym na tem przerwał charakterystykę pomorzanina, a właściwie Peruwjanina w ogólności, pozostawiłbym w umyśle czytelnika niebardzo korzystne wrażenie, a przecież postawiłem sobie za zadanie rehabilitować choć w części naród, wśród którego spędziłem tyle lat szczęśliwych. Ścisłe węzły przyjaźni, jakie zaciągnąłem z wielu Peruwjanami, kładą na mnie obowiązek bronięcia ich wobec opinii publicznej.

Główne wady charakteru peruwjańskiego ludu, jakie starałem się przed chwilą przedstawić, to jest lekkomyślność, manifestująca się w ciągłych rewolucjach, brak poczucia obowiązków obywatelskich, widoczny przy zachowaniu się względem bandytyzmu i niesumienność w stosunkach handlowych są nader niekorzystną rekomendacją, jeżeli na nie bez żadnych zastrzeżeń patrzeć będziemy; lecz wady te jako ogólne, tracą przez to na ważności. Zdanie powyższe wygląda na paradoks, a jednak chciałbym przekonać czytelnika, że tak jest w rzeczywistości. W narodzie zdrowym moralnie odpowiedzialność za występki spada na indywidualium; zbrodniarz wśród uczciwego społeczeństwa musi być zbrodniarzem do szpiku, kości, gdyż brak mu wymówki, że społeczeństwo zepsuło go złym przykładem. Przeciwnie, w narodzie nadgniłym moralnie, odpowiedzialność za występki spada na całe społeczeństwo, przez co jednostka w nieznacznym tylko stopniu nosi winę na sobie.

Ogólna choroba moralna w narodzie, może być wywołaną niekorzystnymi okolicznościami. Niepodobna wyobrazić sobie spo-



leczeństwa, złożonego jedynie ze złych członków; wszędzie znajdziemy grunt dobry i zły i tylko odpowiedni kierunek decyduje o tem, czy cały naród złą lub dobrą drogą pójdzie. Podobny wypadek przytrafił się z narodem peruwjańskim. Przypomnijmy sobie, że Peru nie posiada bynajmniej tradycji cywilizowanych ludów, że nie miało czasu wykształcić się moralnie przez długie wieki. Najpierw panowanie Inkasów zaznaczyło się niesłychanym despotyzmem, jakkolwiek opartym na ojcowskich rządach. Napół cywilizowany naród dostaje się pod panowanie Hiszpanów, którzy za jedyny obowiązek postawili sobie ograbić indjan z ich złota, a zresztą mało się troszczyli o stan moralny tak odległej kolonii. Naraz kilku ludzi przedsiębiorczych i powodowanych ludzkimi uczuciami postanawia obalić rządy hiszpańskie, buntuje lud cały i osiąga szczęśliwy rezultat. W jednej chwili masy, utrzymywane dotychczas żelazną dłonią najezdników, wydostają się z tego silnego ucisku; nazwałem je już podobno dzieckiem, które zerwało paski podtrzymujące je i stara się samo chodzić; choć po temu sił mu jeszcze braknie. I to dziecko wybiera sobie najidealniejszą, choć w rzeczywistości najmniej praktyczną formę rządu, to jest republikańską. Pędzi naprzód bezmyślnie, podobne do pary koni, które zerwawszy lejce, ponoszą nie wiedząc dokąd i poco; zmęczone dopiero bezmyślną gonitwą, biedz już dalej nie mogą, a wówczas pierwszy lepszy przechodzeń przytrzymuje je i odprowadza do stajni potulne jak baranki. Historia krajów hiszpano-amerykańskich uczy nas, że despotyzm dyktatorów nie jest tam bynajmniej rzadkością.

Tak więc ujrzało się Peru pozostawione samemu sobie w zaraniu swego samodzielnego życia politycznego. Dobry przykład, doświadczenie wiekowe innych narodów, same nawet ideały republikańskie dochodziły tam z poza oceanu jak daleki, niedobrze zrozumiany odgłos. Trzeba było niemal samemu tworzyć sobie szemat przyszłego życia, gdyż na tradycjach indyjskich, jako pół dzikich, oprzeć go nie było można, a tradycja hiszpańskich rządów była całemu narodowi nienawistną. Jedynym węzłem, jaki łączył jeszcze przeszłość z terażniejszością była religja katolicka, lecz niestety i tu wyszła na jaw ogromna niekorzyść, jaką znaczna odległość dawnej kolonii od centrum katolicyzmu wytworzyła. Ogół duchowieństwa, mało wykształcony stosunkowo, wyrobił sobie samodzielną, a bardzo naganny pogląd na rzeczy, którego Rzym ukrócić nie mógł, gdyż może o nim nie wiedział, a zresztą znaczna odległość czyniła to prawie niemożliwym. Rozwolniło swe kapłańskie więzy duchowieństwo, a za niem, jako za przewodnikiem i cały naród obniżył poziom swej moralności. Tu leży przyczyna, dlaczego zmuszeni jesteśmy patrzeć pobłażliwie na niektóre kapitalne wady narodu peruwjańskiego; wszedłszy raz na pochyłą drogę idzie nią, gdyż nie masz, ktoby go powstrzymał i dobrze nim pokierował.

Przypuszczam, że niejeden z czytelników przeciwstawi mi Stany Zjednoczone, które też powstały na dziewiczym gruncie, bez

tradycji, bez wiekowego doświadczenia, a jednak żyją i kwitną. Nie zapominajmy jednak, że zachodzi olbrzymia różnica pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a dawnymi kolonjami hiszpańskimi, które wszystkie bez wyjątku zamieniły się na samodzielne republiki. A naprzód Anglja w charakterze kolonizatorce bez porównania wyżej stoi nietylko od Hiszpanji, ale od wszystkich narodów świata, z wyjątkiem może jednej Holandji. Rządy jej w zamorskich krajach cechuje dbałość o dobrobyt i autonomja, jaką nadaje prawie wszystkim swym koloniom. Gdyby dziś Australja, przypominająca ze wszech miar dawne kolonie północno-amerykańskie, zechciała się oddzielić, nie zasłaby w gruncie rzeczy żadna zmiana, gdyż kraj rządzi się samodzielnie, a ludność już jest do tego oddawna przyzwyczajona. Powtóre w Stanach Zjednoczonych nie masz tak wybitnego rozdwojenia na dwie przeważające rasy, jak w Peru, gdyż szczerp tubylców, zamiast się mieszać z przybyszami, niknie powoli; dzięki zaś olbrzymiej imigracji Europejczyków rasa biała stanowi znakomitą większość, wśród której rozplywa się nieznacznie i topnieje szczerp indyjski. A względ to ważny dla dwu powodów: raz, że dominująca rasa biała łatwiejszą jest do przyjęcia lub przechowania cywilizacji, aniżeli indyjska, a powtóre nie masz tego rozbicia się na dwa szczepy, równie może silne, a wrogo patrzące na siebie. W Peru indjanie widzą w białych swych ciemieńców, a zemsta ich, zaznaczona straszniemi rzeziami, wybuchła po wojnie chilijskiej; biali znów, lub ci, którzy za białych chcieliby uchodzić, patrzą na indjan z rodzajem wzgardy i wstrętu. Trudno więc, aby prosperował naród, w którym dwa wrogie żywioły tajoną walkę toczyły przez pół-czwarta wieku, aż póki walka ta nie wybuchła z okazji najścia Chilijczyków.

Zresztą nie myślę bronić Peruwian, jako rewolucjonistów *par excellence*. Swarliwość ich, oraz skłonność do ciągłych rewolucji jest dziedziczną chorobą, którą dostali w spadku po swych hiszpańskich przodkach. Bandytyzm znów raczej za wadę pewnej klasy, nie całego narodu uważać należy; nieudolność władz pozwoliła mu się rozwinąć, terroryzuje więc pewne okolice, zmuszając do uległości zarówno władze, jak i osoby prywatne, którym nie zawsze staje odwagi na stosowanie prawa Lyncha. Ogólną jednak niesumienność w sprawach handlowych wytłómaczyć w części można.

Pomijając przyczyny, jakie mogły tak powszechną chorobę rozwinąć, przyjmijmy ją za fakt spełniony i postawmy się w położeniu każdego z osobna indywiduum. Od dziecka przywykło patrzeć na pozbawione skrupułów tranzakcje kupieckie, nie rozumie, że postępując uczciwie, wygrać nawet może; obcą mu jest doniosłość maksymy Franklina. Wiedząc, że przy kupnie lub zamianie, będzie oszukany, jeżeli się tylko nie dopilnuje, stara się zrównoważyć szanse, oszukując innych. Że jednak wada ta nie jest wrodzoną u Peruwjan, mogłem się o tem wielokrotnie przekonać w stosunkach mych z przedstawicielami wszystkich sfer społecznych. Zrazu Peruwjanin patrzy na nas, tak jak przywykł pa-

trzeć na wszystkich i jeżeli tylko sposobność się nawinie, wyzyska nas niemiłosiernie, gdyż podejrzewa, że i my byśmy zrobili z nim tak samo. Niechno jednak raz, drugi i trzeci przekona się o naszej uczciwości i bezinteresowności, wówczas za punkt honoru uważa sobie odplacić nam tą samą monetą. Wieleż to razy ludzie, oszukujący bez najmniejszego skrupułu indjanina, który do nich po towar przychodził, postępowali z nami uczciwie, a często nawet wspaniałomyślnie. Dwa razy w mej podróży znalazłem się w bardzo przykrem położeniu: bawiąc wewnątrz kraju, znalazłem się bez grosza, gdyż z powodu wojny, pensji mej z Limy nie mogłem sprowadzić. Oba razy zawierzono mi li tylko na słowo dość znaczne sumy pieniędzy; a dodam, że oba razy opuściłem miejscowość na zawsze, nie było więc najmniejszej rękojmi, że dług zwrócę. Podobne czyny świadczą doskonale o dobrych stronach charakteru Peruwjanina.

Dodawszy do tego gościnność, którą w Peru wszyscy za święty obowiązek uważają, oraz łatwość zawierania stosunków, pewną swobodę, otwartość charakteru i wyszukaną galanterję, która często z rycerskością graniczy, otrzymamy w sumie bardzo sympatyczny charakter, który nas dobrze względem Peruwjan usposabia. Być może dlatego, że w moralnej stronie jego napotykamy niektóre dodatnie i ujemne rysy polskiego charakteru.

Naród taki, jak peruwjański, możnaby zreformować, podźwignąć z chwilowego moralnego upadku, w jaki go okoliczności nieprzyjazne wpełchnęły, lecz tylko przy rządzie despotycznym. Parlamentarny ustrój państwa nie nadaje się do tego, gdyż trudno jest wśród upadłego moralnie narodu znaleźć odpowiednią większość ciała prawodawczego, któraby mogła skuteczne środki obmyślać i w wykonanie wprowadzić. Na to potrzeba jednego człowieka, łączącego w sobie wysoki patriotyzm z poczuciem sprawiedliwości, a obok tego nieubłaganą wolę i energję. Ze taki człowiek może naród poprawić, mamy najlepszy dowód na dyktatorze sąsiedniego Ekwadoru, nieodżałowanej pamięci Garcii-Moreno, któremu niestety mordercza ręka nie pozwoliła dokończyć pożytecznego dzieła.

Garcia-Moreno rządził despotycznie krajem przez lat piętnaście. Widząc kraj swój pogrążony w kałuży zepsucia i występku, postawił sobie za zadanie podnieść go do poziomu krajów europejskich. Zaczął od duchowieństwa. Rozpędził na cztery strony świata zepsutych mnichów ekwadorskich, a na ich miejsce sprowadził zakonników z Europy i nimi klasztory obsadził. Proboszczów, żyjących powszechnym zwyczajem w konkubinacie, prześladował, degradując ich, lub wysyłając na odległe i mało dochodne probostwa. Z osobami zaś prywatnemi postępował bez ceremonji: kazał im się żenić i rzecz skończona. Bandytyzm prześladował nieubłaganie; stosując karę śmierci, lub deportację na wyspy Galapagos, do wszystkich złowionych przestępców. Na Galapagos też zsyłał kobiety niemoralnego prowadzenia, a między niemi

uległa też banicji i pewna dama z wyższego towarzystwa, która ucieczką ratowała się od sromotnej kary.

Nieposłusznych buntowników rozstrzeliwał bez miłosierdzia, mało bacząc na stanowisko społeczne przez nich zajmowane; nawet swych osobistych przyjaciół nie oszczędzał, jeżeli tylko zdradzić go chcieli. Ciekawe szczegóły opowiadają o egzekucji d-ra Viola, przyjaciela dyktatora: Viola konspirował także, lecz dyktator w czas spisek wykrył i kazał rozstrzelać swego dawnego sprzymierzeńca. Wiedząc, jak Moreno matkę swą kochał, uproszono ją, aby się za skazanym wstawiła. Staruszka padła na kolana przed swym synem, błagając go o zlitowanie się nad skazanym; Moreno pozostał niezwruszonym i egzekucję odbyto o naznaczonej godzinie. „Lepiej jest tych kilku awanturników rozstrzelać, — mawiał, — aniżeli patrzeć później na tysiące ofiar, jakie każda rewolucja zabiera. Jeżeli palec zgangrenowany, odciąć go, gdyż inaczej choroba całe ciało obejmie”. I miał rację.

Ten olbrzym nieubłagany a sprawiedliwy szybko podnosił naród z moralnego upadku. Jeżdżąc sam incognito po całym kraju, badał pilnie potrzeby mieszkańców i przestrzegał osobiście nadużyć, jakich się urzędnicy dopuszczali. Zaprowadził w administracji „Tribunal de Cuentas” — rodzaj izby obrachunkowej. Urzędników złych rugował, zastępując ich osobami uczciwymi. Jednocześnie zaprowadzał liczne ulepszenia w kraju. Zbudował drogę kołową z Ambato do Quito, a miał ją aż do Chimbo doprowadzić, dokąd dochodziła kolej żelazna z jego inicjatywy zbudowana. Założył w stolicy Muzeum Zoologiczne, Obserwatorium Astronomiczne; sprowadził do Wszechnicy w Quito kilku znakomitych uczonych europejskich, między nimi głośnego geologa, d-ra Wolfa, którego uniwersytet w Bonn na katedrę zapraszał. Żył skromnie, a znaczną część swej pensji na cele publiczne obracał.

Nieszczęściem dla Ekwadoru znalazł się nikczemnik, który położył kres działalności tyle dla kraju użytecznej. Kolumbijczyk nazwiskiem Rayo, mający osobistą urazę do dyktatora, gdyż go zdegradował z urzędu gubernatora w Napo — za to że Indian eksploatował nieuczciwie, podjął się zamachu na życie człowieka, przed którym kraj cały drżał ze strachu. W 1875 roku, na dwa miesiące przed moim przyjazdem do Ameryki, Moreno został nikczemnie, zamordowany przy wejściu do swego pałacu w Quito. Wiele lat upłynęło od tego czasu, a jednak dziś jeszcze czuć pożyteczną działalność tej nieugiętej woli; co tylko Ekwador ma dobrego, zawdzięcza to Morenie. Bandytyzm tak wyplenił, że pomimo długiego przeciągu czasu, dziś jeszcze plaga ta głowy nie podniosła.

Obecnie kraj cały żałuje Moreny, nie wyłączając nawet dawnych jego nieprzyjaciół, którzy przeciwko niemu spiskowali; każdy rozumie to dobrze, lecz po niewczasie, że Moreno był w stanie postawić kraj na stopie państw cywilizowanych. Dwóch takich dyktatorów z rządu podniosłoby naród z moralnego upadku, lecz na nieszczęście ludzi tak genialnych, jak Moreno, nie spotyka się

na każdym kroku. Peru nie miało ani jednego podobnego mu prezydenta i długo czekać może, nim go dostanie. Raz jeszcze powtarzam, że zdaniem mojem tylko taki jeden człowiek jest w stanie wyleczyć cały naród z moralnej chronicznej choroby.

Wróćmy teraz do Tumbezu. Poznawszy nieco ogólny charakter Peruwjanina, łatwiej będzie poznać czytelnikowi, w jakiej sferze obraca się wędrowiec w krainie Inkasów.

Tumbez jako stolica prowincji, jest siedliskiem niektórych władz. Główną osobą jest jak zawsze przedstawiciel władzy wykonawczej, czyli podprefekt; za nim do notablów urzędowych należy sędzia 1-ej instancji (juez de primera instancia), który jako doktor praw reprezentuje kwintesencję inteligencji. Kapitan portu, doktor prowincjonalny, naczelnik komory, naczelnik poczty, proboszcz i kilku bogatych kupców lub właścicieli ziemskich stanowią kulturalny pierwiastek wśród małomiejskiej ludności. Resztę składa lud prosta, czyli mieszańcy, zajmujący się drobnym handelkiem, rzemiosłami lub uprawą ziemi. Rolnictwu zresztą poświęca się prawie cała ludność Tumbezu, gdyż okoliczne ziemie w znacznej części do gminy należą i każdy z mieszkańców posiada swoją czakrę (pole uprawne).

Ludność Tumbezu, jak zresztą na całym peruwjańskim Pomorzu nie grzeszy pracowitością. Łatwość zarobkowania czyni mieszkańców ciężkimi do pracy; nieraz wystarczają dwa lub trzy dni robocze, aby zapewnić utrzymanie na resztę tygodnia, a pomorzanin nie weźmie się do roboty, choćby najłżejszej, jeżeli tylko ma jeszcze parę groszy w kieszeni. Następujący fakt służyć może za przykład, jak dalece Peruwjanin ceni wysoko swoją pracę.

Jelski potrzebował gniazda pewnej pszczoły, trzymającej się w okolicach Tumbezu, zlecił więc jednemu z krajowców zdobycie go, obiecując dobre wynagrodzenie. Wyszukanie i przeniesienie do miasteczka takiego gniazda mogło zająć maksimum dwie godziny czasu, gdyż rzeczona pszczoła nie była rzadkością. Wielkie też było nasze zdziwienie, gdy jegomość ów, przyniósłszy dany przedmiot, zażądał w zamian 2 pesos (8 franków). Jelski ofiarował mu połowę tej ceny, lecz niepoń zgodzić się na to nie chciał, dodając, że woli wyrzucić gniazdo, jak za bezcen sprzedawać. Ponieważ 4 franki było i tak ceną bardzo wygórowaną, Jelski się uparł przy swoim. Tumbeski obywatel dotrzymał słowa i gniazdo wyrzucił. Dodam, że płaca dzienna parobka w okolicach miasteczka wynosi 1 peso (4 franki).

Chęć wyzyskiwania rozwija się u pomorzan peruwjańskich od młodego wieku. Gdy pora łęgowa rozpoczęła się dla miejscowego ptactwa, rozpuściliśmy po miasteczku wiadomość, że wszelkie jaja ptasie kupować będziemy, wyznaczając z góry przyzwoitą zapłatę. Trzeba było widzieć obłędnie, jakie co dzień po powrocie z wycieczki w domu mieliśmy. Schodzili się do nas chłopcy i podrostki zarówno z prostego ludu jak i synowie bogatych rodziców. Do szkoły nie chodzili, byle tylko parę reali zarobić.

Pewnego razu przyszedł młodzieniec 18-letni, należący do złotej młodzieży miasteczka, przynosząc zabitego przez siebie lisa. Sądziłem, że mi go w prezencie przynosi, lecz na wszelki wypadek, choć silnie zaambarasowany, zapytałem wiele żąda? „Cztery reale“ — była odpowiedź eleganta. Zapłaciłem cztery reale, więcej tym wypadkiem zażenowany, aniżeli sam młodzieniec. Raz znów mała dziewczynka z ludu przyniosła mi motyla zupełnie starożytnego i do kolekcji niezdatnego. Przez ciekawość jednak zapytałem, wiele też żąda za niego, a otrzymawszy odpowiedź, że dwa reale, poradziłem grzecznie dziewczynce, aby się naprzód w szkole czytać i pisać nauczyła, gdyż nie należy w tak młodym wieku puszcząć się na spekulacje.

Na pochwałę jednak Tumbezczyków powiedzieć muszę, że skłonność do hulatyki nie jest w nich tak dalece rozwinięta, jak u mieszkańców wielu miast peruwjańskich. Cały tydzień panuje w miasteczku cisza; trudno jest sprawdzić, o ile każdy jest pracą zajęty, w każdym razie nie słychać odgłosu zabawy. Dopiero w sobotę wieczorem wszyscy prawie bez wyjątku oddają się ulubionym tańcom, popijając suto miejscową wódkę z trzciny cukrowej. Przechodząc ulicą, słyszymy z różnych domów smętne śpiewy chóralne, którym towarzyszy melodyjny dźwięk gitary i charakterystyczne klaskanie w dłonie. Są to minorowe tony „zamacueca“ lub „chilena“ — dwu najulubieńszych tańców peruwjańskich. Gdy przez drzwi otwarte wewnątrz zajrzemy, przedstawi się nam charakterystyczny widok. Wśród obszernej izby, przy słabym świetle paru kaganków lub świec łożowych, tłoczą się żądni zabawy w malowniczych grupach: w kącie śniady zambo, w koszuli tylko i płóciennych pantalonach śpiewa przy akompaniamencie gitary kilku innych podtrzymuje śpiew akordowymi tonami, które dziwny smutek na duszę sprowadzają; czuć w nich boleść jakąś, jakby jęk tajonego cierpienia. Śpiewacy, prócz gitarzysty, przyklaskują w takt dłońmi. Na środku izby para tancerzy, młodzieniec i dziewczyna — oboje krwi mieszanej, o ciemnej cerze, kruczych, kędzierzawych włosach, z oczami czarnemi, ognistemi, snują się naprzeciw siebie, obchodzą, skręcają na miejscu i znów się ku sobie zbliżają poważnym, dystyngowanym, rzecz można, ruchem. Tancerz odrzucił na jedno ramię swe różnobarwne poncho, prawą ręką ujął słomiany kapelusz, którym od czasu do czasu nad głowę wywija; lewą ujął się pod bok. Niekiedy namiętniejszym nieco ruchem nóg zdradza swą gorącą krew południową. Ona skromnie spuszcza oczy i zlekka z gracją wywija białą chusteczką, która u południowo-Amerykanów kastaniety zastępuje. Ruchy obojga są prawie zawsze skromne, a u kobiet zwłaszcza zawsze pełne naturalnego wdzięku.

Wszystkie narodowe tańce peruwjańskie, jak „zamacueca“, „tondero“, „chilena“, „gavilan“, że nie będę wyliczał więcej, tańczone bywają parami. Dwoje tancerzy staje naprzeciw siebie z chustkami w prawej ręce; czasami tancerz chustki nie ma, więc ją kapeluszem zastępuje. Kilka pierwszych taktów muzyki przepu-

szczają, stojąc spokojnie; we właściwym dopiero miejscu zbliżają się, przebierając nogami w takt muzyki, zakręcają wokół siebie, lub się mijają i znów ku sobie podchodzą. Pod tym względem wszystkie tańce peruwjańskie są do siebie podobne, różnica zaś polega jedynie na różnym tempie lub na porządku w wykonywaniu figur, to jest w mijaniu się lub podchodzeniu. Każdy prawie taniec składa się z dwóch części, z których pierwsza nie ma odpowiedniej nazwy, a druga zwie się „estribillo“, co dosłownie znaczy—strzemionko. „Estribillo“ posiada tempo więcej przyspieszone, aniżeli pierwsza część, ruchy też tancerzy są gwałtowniejsze, czasami w tańcach ludowych dość namiętne, nigdy jednak nie przechodzące w wyuzdanie, chyba że tancerz wypije więcej nad to, co potrzeba.

Śmiało rzec mogę, że wogóle tańce peruwjańskie są przyzwyczajone od europejskich polek lub walców, a ze względów estetycznych nierównie też wyżej od nich stoją. Peruwjanki, choćby nawet z prostego ludu, posiadają wdzięk szczególny, nacechowany dziwną godnością ruchów i gracją, która im się po Hiszpankach w udziale dostała.

Wróćmy jeszcze do izby, do której przez drzwi niedyskretnie zajrzeliśmy. Mieszane głosy rozmowy głuszą niekiedy tony muzyki. Tutaj dwu przyjaciół w zapale alkoholycznego uniesienia, ściska się serdecznie, płacząc nad sobą, jakgdyby na całe życie rozstać się mieli; tam znów mocno pijany zambo śpiewa ochryplym głosem jakąś piosenkę miłosną, lecz wódka pamięć mu odjęła, gdyż płacze się, a czasami pozostaje w niemem oglupieniu; przyłączy się on wkrótce do kilku innych towarzyszy, leżących bezwładnie na tapczanie pod wpływem alkoholu. Naraz gwałt się robi wielki, parę podniesionych głosów panuje nad zgiełkiem zabawy. W jednej chwili całe zebranie grupuje się wokół dwu uniesionych do najwyższego stopnia biesiadników, którym wódka nerwy rozstroiła. Muzyka ucichła, gdyż podobne klótnie często kończą się krwawymi scenami.

I w rzeczy samej błysnęły noże, jeden z zapaśników ugodzony żelazem zachwiał się i padłby niechybnie, gdyby go nie podtrzymali stojący obok towarzysze. Niestety! jakżeż często zabawy takie kończą się podobnymi scenami. W Peru nie masz mężczyzny, któryby licznych wrogów nie posiadał: jednych poróżniły sprawy miłosne, innych polityka, lub procesy prywatne; często zawiść jest przyczyną strasznych, nieubłaganych nienawiści.

Zabawy sobotnie w Tumbezie trwają noc całą i dzień następny. Młodzież, należąca nieraz do klasy inteligentnej, wychodzi nocną porą na ulicę w grupach po kilku razem. Jeden ma gitarę, która niezbędnie akompaniować musi śpiewom chóralnym. Grupy takie chodzą po ulicach miasteczka noc całą, urządzając serenady pod oknami znajomych, zwłaszcza jeżeli w domu jaka przystojna dziewczyna mieszka. Śpimy nieraz spokojnie, gdy naraz budzą nas smętne akordy gitary; dziwnie rozlega się wśród nocnej ciszy ten śpiew smutny, wyrażenie uczuć całego narodu. Często zadają sobie

pytanie, dlaczego ten naród wolny, opływający w dostatki, polubił minorowe tony, które przecież boleść, a nie radość wyrażają? Muzyka stosować się musi do stanu naszej duszy: lubimy wesołe tony, gdy wesoło usposobieni jesteśmy; lecz gdy na dni naszych uczuć kryje się ferment boleści, tajonego smutku, wówczas bardziej nam do gustu przypada muzyka smętna. Widocznie Peruwjanin nosi w sobie zarodek smutku, skoro tak lubi minorowe tony swych pieśni. I ja je lubiłem, gdyż odpowiadały nieraz stanowi mej duszy, — były oddźwiękiem smutku, jaki nieraz osiada na myślach wędrowca.

W poniedziałek rano każdy wraca do swych codziennych zajęć, ten do roli, ów do łockia lub siekiery; tylko bardziej zapamiętali hulacy trzymają się miejsca nocnej zabawy, z którą żal im się rozstać; lecz w końcu sił braknie, znużone dwoma bezsennymi nocami powieki kleją się pomimowolnie; snu nie przewycięży, więc i oni zlegną, wycieńczeni długą hulatyką. Miasteczko uspokoiło się; praca zajęła miejsca zabawy.

Nie należy jednak przypuszczać, aby ta praca była równie uciążliwą, jak na starym łądzie. Bynajmniej. Na dziewiczych gruntach Ameryki życie jest niezmiernie łatwe, kłopoty o chleb powszedni bardzo małe, walka o byt nieznaczna. W Limie jeszcze spotkasz tu i owdzie wyciągającego rękę Łazarza, zwykle Chińczyka; lecz na prowincji ta chroniczna dolegliwość Europy jest tylko wyjątkowym objawem. Nędzy w Peru niema; jest niekiedy ubóstwo, lecz zwykle wywołane lenistwem, lub niemoralnością. Parobek na plantacji zarabia dziennie 4 do 6 franków; dobry a pracowity rzemieślnik z łatwością może podwójną sumę przez dzień osiągnąć. Nawet lud prosty, który się najmuje za tragarzy do przenoszenia towarów w miastach portowych, miewa często 15 do 20 tr. dziennego dochodu. Rolnictwo też nie wymaga takiego zachodu, jak w Europie: doskonałe, tłuste grunty obchodzą się zupełnie bez orki i nawozu, wydając zawsze plon obfity. Dość jest gąszcz oczyścić, posiać lub posadzić żadaną roślinę, aby nieznaczna praca nasza sownie wynagrodzoną została; jedynym kłopotem będzie oczyszczenie parę razy na rok plantacji z chwastu, który w tych stronach wyrasta nadzwyczaj bujnie. Kwestja irygacji przy długich posuchach na Pomorzu peruwjańskim jest także dość ważnym kłopotem przy uprawie ziemi. Nigdy jednak sumy pracy peruwjańskiego robotnika nie można porównywać z kłopotami i pracą europejskich ziemian.

Ta łatwość zarobkowania w Peru wyradza zato inną niedogodność, której starano się zapobiedz różnymi sposobami. U nas często czuć się daje brak pracy; tam znów przeciwnie, właściciele ziemscy na brak rąk roboczych narzekają. Starano się to pokryć imigracją chińską, co w rzeczy samej przyczyniło się niemało do podniesienia rolnictwa, lecz nie tyle jego stanu, który pozostał i na długo pozostanie bez zmiany, ile sumy pracy około uprawy ziemi. Chiński jednak robotnik kosztował drogo, gdyż właściciel płacił jednorazowo za każdego Chińczyka 500 soles, czyli 1000



rubli, a nadto obowiązany był mu płacić po 1 soles (2 ruble) tygodniowo przez przeciąg lat ośmiu, na jakie chiński kulis był skontraktowany. Na podobny więc zbytek pozwalali sobie tylko bardzo znaczni właściciele ziemscy, gdy mniejsi obywateli musieli miejscowymi siłami, które wprawdzie drożej od chińskich kosztowały, lecz nie wymagały tak znacznego jednorazowego nakładu. W końcu rząd chiński, dowiedziawszy się o nieludzkim traktowaniu swych poddanych w haciendach peruwjańskich, zabronił około roku 1878 emigracji kulisów do Peru. Był to kłopot olbrzymi dla właścicieli większych posiadłości, z których niejedna runąć musiała. Nie wiem, w jaki sposób dzisiaj radzą sobie peruwjańscy hacendados przy braku chińskich kulisów.

Ten brak rąk roboczych dotkliwie czuć się daje nie tylko w rolnictwie, lecz na wszystkich punktach rękodzielniczej działalności człowieka zwłaszcza na Pomorzu peruwjańskim. Nieraz przytrafi nam się dać coś do roboty rzemieślnikowi, którego niemal prosić trzeba, aby był łaskaw obstalunek nasz wykonać. Tłómaczy się, że czasu niema, gdyż wypada mu właśnie dwa dni zabawy, na gospodarza której obrany został.

Po długich korowodach podejmuje się za wygórowaną cenę, zalegnie w terminie oddania i w końcu da nam fuszerkę, którejby się wstydzil każdy sumienny majster europejski. Zmuszony byłem raz jednego zapłacić 20 soles, czyli 40 rubli za zrobienie jednego garnituru, na który cały materiał sam dostarczyłem.

Rzeka Tumbez obfituje w ryby szczególnie w styczniu i lutym, gdy napływa do ujścia pewna wielka i bardzo smaczna ryba, zwana „robalo“, a jednak w miasteczku nigdy ryby na targu nie dostanie. Kilku rybaków, raczej, amatorów, jak profesjonalistów złowioną rybę soli i w części na własny użytek przechowuje, a w części znajomym sprzedaje. Wyjeżdżają oni niekiedy tylko, prawdopodobnie, gdy grosza w kieszeni zabraknie, lub do ust niema co włożyć. A jak wielkie dochody mogłoby dać rybołówstwo, dowodzą następujące dane: 4 łodzie rybackie każda o 2 ludziach, złowiły od 4-ej godziny do 10-ej rano, zatem w ciągu 6 godzin, 64 sztuk wspomnianej ryby „robalo“, z których każda średnio warta była sola, czyli 2 ruble; znaczy: że na ośmiu zarobili 128 rubli. W ciągu 6 godzin każdy zarobił 16 rb.! A każdy z nich chodził bosy i za przykładem mędrca *omnia sua secum portabat*.

Życie z dnia na dzień jest cechą bodaj wszystkich krajów zwrotnikowych, wywołaną niezwykle łatwością warunków bytu. „Byleśmy mieli dzisiaj co do ust włożyć, o jutro nie dbamy” zdaje się być hasłem podrównikowych mieszkańców. Odbija się to na życiu społecznem, na otoczeniu człowieka, na jego domach, na ubraniu, na wszystkim. Majątki zmieniają właścicieli z równą łatwością, jak rząd ministrów, a naród prezydentów. Łatwo też pojąć, że żadnych ważnych ulepszeń nikt nie zaprowadza. Niech nam za przykład służy lekkomyślność Tumbezczyków w sadzeniu palm kokosowych, które dają doskonały dochód, lecz dopiero po kilkunastu latach. Istnieje w okolicach Tumbezu pewna ilość plantacji

palm kokosowych; kto je posadził, trudno wiedzieć? Dość, że obecnie nikt nie stara się nowych drzew sadzić, gdyż musiałby czekać na dochód kilkanaście lat, a przez ten czas może przecie umrzeć, lub majątek sprzedać.

Zwraca też Tumbeczyk uwagę jedynie na to, co mu do życia jest niezbędnem, co suty a łatwy zarobek obiecuje. Banany, yuka (maniok), ryż, tytoń i kawony stanowią też jedyne prawie rośliny, jakie na gruntach swych uprawia. Z tego część bananów wysyłaną bywa parowcami do Limy lub Chili, gdzie mają łatwy zbył zapewniony. Zwrócę też uwagę, że uprawa bananów do najłatwiejszych należy.

Hodowla koni i bydła rogatego nadaje się bardzo do charakteru mieszkańców Tumbezu, gdyż niemal żadnej pracy nie wymaga. Zwierzęta domowe rok cały pasą się na powietrzu, obywając się doskonale bez obór lub stajni, których potrzebę wyklucza jednostajny, gorący klimat okolicy. Dojrzeć od czasu do czasu tabuny, poznać raz na rok cielaki lub źrebięta z ostatniego miotu, a wreszcie złowić na arkan sztuki przeznaczone do sprzedaży lub na zabicie—stanowią nieliczne kłopoty pomorskiego hodowcy. Dzięki też temu hodowla wspomnianych zwierząt stanowi główną gałąź dochodową prowincji Tumbezu.

Wielkie stado bydła rogatego i tabuny koni pasą się swobodnie na znacznych obszarach wzgórz, które słyną miejscami z obfitości paszy zarówno w porze dżdżystej jak i suchej, gdyż zeschnięta trawa równie jest pożywną, jak świeża; brak tylko wody czuć się im daje podczas letnich posuch, zmuszając biedne stworzenia do dalekich wędrówek dla zaspokojenia uciążliwego pragnienia, które sól zawarta w powietrzu, a krystalizująca się na wszystkich przedmiotach, podnieca do najwyższego stopnia. Bydło pomorskie jest ładne, o sierci krótkiej, połyskującej. Życie na swobodzie i brak widoku ludzi rozwija w niem, osobliwie w bykach, wielką złośliwość, którą napadami na przejezdnych objawiają. „Toros bravos“ (byki złe albo dzikie) są niemalą plagą dróg publicznych w Peru, dzieląc w tym razie ponurą sławę wraz z bandytami. Tu i owdzie słyhać opowiadania o zabitych przez dzikie bydło podróżnikach, lub różne epizody szczęśliwego uniknięcia niebezpieczeństwa. Przytrafiły się i mnie parę razy podobne wypadki, mogę więc złożyć wiarogodne świadectwo, że podróżowanie po drogach peruwjańskich na wierzchowcach leniwych z natury, lub zmęczonych drogą, należy niekiedy do bardzo niebezpiecznych przedsięwzięć.

Partje bydła rogatego odstawiane bywają najczęściej do Limy. Każdy parowiec — a bywało ich dwa na miesiąc w czasie naszego pobytu — zabiera kilkadziesiąt wołów i krów, które miejscowi na tratwach do statku odstawiają. Manipulacja to bardzo trudna, biorąc na uwagę wrodzoną dzikość tych stworzeń, która wymaga ze strony eskortujących wielkiej wprawy, zręczności i odwagi. Nikt jednak nie umie obchodzić się lepiej z bydłem rogatem, jak Peruwjanie, a raczej wszyscy amerykańscy potomkowie Hiszpanów.

Konno jeżdżą doskonale, arkanem władają z wielką wprawą, a przytem konie mają doskonale ujeżdżone do tego celu; rzadko więc w takich razach smutne wypadki zdarzać się mogą.

Z hodowli koni, a szczególnie mułów słynie cały departament Piura. „Las mulas piuranas“ (muły piurańskie) sławne są w całym kraju, dzięki pięknym kształtom, wytrzymałości i innym ważnym zaletom. Konie też pomorskie, będące potomkami doskonałej rasy andaluzyjskiej, odznaczają się pięknym składem zdradzającym pochodzenie z krwi arabskiej, rącznością i wytrzymałością.

Większość ich należy do rasy stępaków (inochodów), którą miejscowi cenią bardzo dla ich wygodnego skrocza, przy którym długie nawet podróże nie są uciążliwe.

W prowincji Tumbezu słynie najwięcej z hodowli dobrych koni i mułów oraz z obfitości bydła rogatego hacienda de Mancora, leżąca na południowo-zachód od miasteczka. Majątek ten należy do największych w kraju, jeżeli nie jest największym, liczy bowiem około 120 wiorst długości i około 56 szerokości. Dzisiaj olbrzymia ta posiadłość musiała się rozbić na mnóstwo działów, gdyż dawny właściciel zostawił po sobie przeszło czterdziestu potomków nieprawego łoża, którzy jako adoptowani przez ojca, według praw peruwjańskich, dziedziczą po nim majątek. Mancora oprócz hodowli zwierząt domowych słynie także z jedynej na cały kraj kopalni nafty. Nieżyjący dziś właściciel Mancory popełnił był tę nieroztropność, że odprzedał Towarzystwu grunty, na których znajdują się źródła naftowe, przez co pozbawił majątek bardzo ważnego dochodu, jaki dzisiaj ciągną przeważnie cudzoziemcy. Powtarza się tu ta sama historia, jaka się u nas często przytrafia, że niedołęztwo krajowców oddaje w ręce cudzoziemców bardzo ważne źródła dochodów.

Kopalnie nafty znajdują się w miejscowości Zorritos, leżącej na północo-zachód od miasteczka, a na południe od ujścia Tumbezu, tuż nad brzegiem morskim. Dla ważnych jednak powodów rafinerję założono w bliskości miasteczka nad rzeką, dokąd na „czatach“ (chatas) — opisanych powyżej kilkunasto tonowych stateczkach — dowożono ropę naftową dla oczyszczenia. Względy jednak, dla jakich oddzielono rafinerję od kopalni musiały ustąpić innym ważniejszym, gdyż ostatnimi czasy połączono znowu oba zakłady w Zorritos.

Towarzystwo, zajmujące się dozywaniem nafty tumbeskiej, stało czas jakiś na niepewnym gruncie, a długi jego wynosiły znaczną sumę. Dopiero odkrycie, podczas naszego pobytu, wielkiego źródła równającego się wydajnością wszystkim razem przedtem znanym, dzwignęło odrazu przedsiębiorstwo z krytycznego położenia. Pomimo znacznych strat, jakie towarzystwo poniosło w tym samym (1877) roku, a mianowicie spalania się jednorazowo nafty za 5000 soles, i zatonięcia całego ładunku jednej czaty, przynoszącego spółce straty na taką samą sumę, można było dług spłacić szybko i znaczną dywidendę akcjonariuszom zapewnić.

Nafta tumbeska odgrywa w Peru taką samą rolę, jak u nas galityjska, względnie do nafty amerykańskiej jest gorzej oczyszczona, przez co daje po spaleniu więcej sadzy, aniżeli ta ostatnia. Ponieważ jednak jest od niej tańszą, cieszy się zawsze łatwym zbytem.

Administracja kopalni i rafinerji składała się podczas naszego pobytu prawie wyłącznie z yankees'ów; tylko personel roboczy rekrutowany był przeważnie z miejscowego żywiołu. Na czele zakładu stał p. Smith, człowiek energiczny i rzutki, prawdziwy typ yankees'a. Jemu to głównie i wspomnianemu powyżej Mac-Gregorowi, którego spotkał los tragiczny, zawdzięcza kopalnia swój rozwój i odkrycie nowego źródła.

Ponieważ bardzo często źródłom nafty towarzyszą kopalnie węgla kamiennego, robiono więc liczne poszukiwania w okolicach Zorritos, w nadziei, że pomyślny rezultat uwieńczy trudy i pokryje kosztą wiercenia. Kopalnia węgla na Pomorzu peruwjańskim byłaby prawdziwą kopalnią złota, jeżeli weźmiemy na uwagę, że całe pomorze Pacyfiku posiada jedyną kopalnię węgla we wspomnianej poprzednio miejscowości Lota (Chili), gdzie nadto węgiel jest w złym gatunku, co zmusza do przywożenia aż z Anglii tego cennego paliwa. Zrozumiałą też łatwo jest rzeczą, dlaczego poświęcono się poszukiwaniom węgla z takim niemal zapalem, jak eksploatacji złotodajnych gruntów. Odznaczył się w tym kierunku Amerykanin, kapitan Brown, który w rzeczy samej znalazł pokład węgla, lecz tak cienki i w tak złym gatunku, że go się nie opłacało wydobywać. Musiano w końcu zaniechać bezowocnych poszukiwań.

Posiada jednak Tumbes materiał palny, który jeżeli nie dorównywa w zupełności węglowi kamiennemu, to przynajmniej jest jego najlepszym ekwiwalentem. Mówię o drzewie algarrobowem, oraz o węglu z tego drzewa wypalonym. Algarrobo (*Prosopis dulcis*) należy do tego samego rodzaju co i drzewo wydające chleb świętojański, skąd też i nazwa hiszpańska pochodzi.\*) Jest to niewątpliwie najużyteczniejsza z dzikich roślin północnej części Pomorza peruwjańskiego. Pień posiada „algarrobo” gruby, lecz pokoszlawiony i poskręcany; niewysoko nad ziemią rozwidlają się liczne konary, które tworzą rzadką, ubogim liściem, wiecznie zapyłonym, ubraną koronę. Gaje, utworzone przez te drzewa, dość daleko od siebie rosnące, pozbawione są prawie zupełnie cieniu, grunt stanowi sypki, nadzwyczaj miękki muł, unoszący się za każdym stąpnięciem, jak popiół na świeżem pogorzeliisku.

Pod koniec pory dżdżystej, w miesiącu kwietniu i maju, wydaje „algarrobo” znaczną ilość długich, cienkich strączków, żółknących i opadających po dojrzeniu. Strąk taki w smaku jest słodka-

---

\*) Hiszpanie północno-amerykańscy stosują nazwę „algarrobo” do drzewa świętojańskiego.

wy, bynajmniej dla naszego podniebienia nie wstrętny. Stanowi on przez całe miesiące jedyne pożywienie licznych zwierząt domowych, jak: koni, bydła rogatego, kóz i baranów. W wielu też miejscach departamentu Piura uboga ludność nie gardzi tymi strąkami, jedząc je w braku lepszego pożywienia, lub przyrządzając napój fermentowany, znany w Peru i Ekwadorze pod ogólną nazwą „chicha“.

Ziomek nasz, p. Bujnicki, eks-obywatel, zatem agronom, dostawszy się na posadę administratora jednego z większych majątków w okolicach m. Trujillo, wpadł na myśl zużytkowania olbrzymich przestworów algarrobowych, ciągnących się podobno na 40 wiorst; wnioskował słusznie, że strąki algarrobowe służyć mogą skutecznie do fabrykacji wódki. Zrobił też próbę na małą skalę, która świetnie wypadła. Przywiezioną przez Bujnickiego do Limy wódkę algarrobową, próbowałem, znajdując w niej smak przyjemny i moc odpowiednią. Bujnicki wiele sobie z tego odkrycia obiecywał: wypisał z Europy duży alembik, mający służyć do fabrykacji wódki algarrobowej. Było to jeszcze w roku 1876; od tego czasu nic nie słyszałem o naszym rodaku, nie wiem też, jak mu się udała próba fabrykacji na większą skalę.

Wątpię jednak, czy „algarrobo“ będzie kiedykolwiek rywalizowało z trzcina cukrową; wiem natomiast, że roślina ta przynosi mieszkańcom podwójną korzyść doniosłego znaczenia, raz jako roślina pastewna dziko rosnąca, a powtóre jako nieporównane paliwo. Drzewo algarrobowe jest niezmiernie zbite, a przez to ciężkie: potrzeba najlepszych siekier amerykańskich lub angielskich, aby je ścinać i porąbać, gdyż przy swojej twardości posiada słoje skręcone, utrudniające niezmiernie łupanie. Obok tego pali się z wielką łatwością, wydając ogromną ilość ciepła. Węgiel, wypalony z algarrobu jest lżejszy od kamiennego, lecz prawie równie twardy i nadzwyczaj ciepłodajny. Korzystają krajowcy z tych doskonałych własności drzewa algarrobowego, które już to w stanie surowym, już to zwęglone rozchodzi się po całym pomorzu, nie wyłączając Limy, gdzie jest powszechnie używane do opalania kuchni, a jako węgiel—przez krawców, blacharzy i innych rzemieślników.

Tumbez wywozi znaczną ilość drzewa algarrobowego do Limy. Jeden z kupców miejscowych, posiadający znaczną posiadłość w okolicach miasteczka, ciągnął wielkie zyski ze swych gajów algarrobowych, przesyłając własnym statkiem żaglowym duże partie drzewa i węgla algarrobowego. Ponieważ jednak roślina ta, jak wszystkie drzewa zbite i twarde, rośnie nadzwyczaj wolno, obawiać się należy, że przy bezmyślnem trzebieniu z czasem zaginać może. Wprawdzie czasy to bardzo odległe, gdyż przestrzenie pokryte algarrobami są nadzwyczaj wielkie, a ludność stosunkowo nieliczna; lecz kto przewiduje wcześniej, ten przewiduje najlepiej; pomorze peruwjańskie poniosłoby niepowetowaną stratę gdyby mu kiedy zabrakło tej użytecznej rośliny.

Wspomniałem już przedtem, że według instrukcji Raimondiego Jelski wnet po przybyciu do Tumbezu musiał zrobić kilka wypraw po terytorjum prowincji dla zdjęcia mapki, której brakowało w cennych materiałach zebranych w ciągu 19 lat przez znakomitego włoskiego podróżnika. Kilkotygodniowa nieobecność mego towarzysza zmusiła mnie do radzenia sobie samemu w dość trudnem położeniu, gdyż nie znałem jeszcze podówczas hiszpańskiego języka. Ponieważ jednak „nie święci garnki lepią“, więc i ja starałem się lawirować wśród różnych niedogodności, jakie podobne położenie zrodzić może, mając zawsze na myśli główny cel podróży. Pomyślny wynik każdej wyprawy naukowej zależy głównie od tego, abyśmy nie spuszczały z oczu głównego jej celu, kierując wszystkie nasze siły dla osiągnięcia jego. Wówczas różne przeszkody,—raz mniejsze, to znów większe — omijać będziemy skutecznie, mało uwagi na nie zwracając, myśl przewodnią, ów cel, do którego dążymy, świecić nam nie przestanie jak gwiazda biegunowa, do której zawsze stosować się będziemy, naciągając wszystkie okoliczności w taki sposób, abyśmy z małemi stratami upragnionego rezultatu dopięli.

Zresztą położenie moje w Tumbezie, nawet przy nieznanomości języka miejscowego, nie było zbyt przykre. Cieszyłem się względniemi wygodami, jakie cywilizacja jest w stanie podróżnikowi dostarczyć, klimat był nie tak zabójczy, jak w wielu okolicach Ameryki Południowej, a ludność miejscowa nadawała się do życia spokojnego, pozbawionego trosk o bezpieczeństwo osoby i mienia. Staralem się też o ile możności pokryć brak doświadczenia w mej nowej karierze żywym zapalem, cechującym zwykle wszystkich nowicuszów, a który z czasem przeradza się w stałe zamilowanie, podbudzane ciąglą zmianą widoków i niezwykłym powabem zwrotnikowej przyrody. Wieluż to młodych ludzi, zamiast marnować siły swe i majątek na poziome zabawy wielkich miast, utleniające szybko ich miłość do życia, znalazłoby źródło niewyczerpanych rozkoszy duchowych w uwielbianiu dzieł Stwórcy.

Nigdy nie porzucę tej myśli, że podróżowanie w młodym wieku jako środek pedagogiczny oddać może nietylko jednostkom, ale i ludzkości nieocenione usługi. Kto lat kilka w młodości poświęci inteligentnie na wędrowki po dalszej obczyźnie, ten ma zapewniony materiał rozmyślań na całe życie.

Ornitologiczne moje wycieczki odbywałem w okolicach Tumbezu codziennie, wychodząc zwykle po śniadaniu, a wracając pod wieczór. Wkrótce jednak przekonałem się, że ten system ma liczne złe strony, a między innemi tę najważniejszą, że ptactwo w ciągu skwarnych godzin dnia mniej jest ruchliwe, aniżeli rankiem, kiedy skośne promienie słońca nie mają jeszcze tej ciepłodajnej siły, co potem, koło południa. Oprócz tego, wycieczki po jałowych, bezwodnych wzgórzach należały do najprzykrzejszych z powodu silnego pragnienia, jakie skwar słoneczny i sól w powietrzu zawarta silnie podbudzają. Staralem się temu zapobiedz w części, biorąc ze sobą manierkę z czarną kawą niesłodzoną, która dość

skutecznie pragnienie gasi. Wkrótce jednak, dla wyżej wymienionych względów, zmieniłem porządek pracy dziennej w taki sposób, że wychodziłem ze strzelbą rano, zaraz po wypiciu kawy a wracałem około 11-ej przed południem na śniadanie. Popołudniowe godziny zajęte miałem preparowaniem zdobytych do kolekcji ptaków, a wieczór poświęcałem spisywaniu notat, lub niekiedy rozmowie z gospodarzami, w której ćwiczyłem stopniowo moją znajomość hiszpańskiego języka. Taki rozkład pracy zachowałem i później w ciągu mej kariery podróżniczej, z wyjątkiem tych miejscowości górskich, w których umiarkowany klimat pozwalał na przechowanie zabitych ptaków do dnia następnego; wówczas zwykle wychodziłem jednego dnia na wycieczkę całodzienną, a następny cały poświęcałem na preparowanie zdobyczy.

Instrukcje, jakie przywiozłem z Warszawy co do zbierania kolekcji, były nieliczne. Główny nacisk miałem na zbiory ornitologiczne, gdyż zarówno ś.p. Konstanty Branicki, jak i Taczanowski ten dział zoologii najwięcej popierali; zgadzało się też to zupełnie z mojem usposobieniem i zamiłowaniem do ornitologii. Oprócz ptaków, miałem zbierać wszelkie inne twory zwierzęce, osobiwie zaś owady, płazy, ziemnowodne, ryby i muszle. Zawsze też poświęcałem wiele czasu tym stworzeniom, których znaczną część zdobywa się zwykle przez krajowców. Skorośmy do jakiej nowej miejscowości przybywali, rozpuszczaliśmy natychmiast wieść, że kupować będziemy wszelkie węże, jaszczurki, lub żaby, naznaczając z góry wykombinowane według warunków miejscowych ceny. Już wkrótce potem widzieliśmy u progu naszego krajowców różnego wieku, zwłaszcza zaś chłopaków, znoszących — ten węża, ów jaszczurkę, kraba, lub żabę. Rzadsze i cenniejsze owady, a niekiedy i ptaki, których nam się zdobyć nie udało, nabywaliśmy także.

Często przy tych wizytach miewaliśmy sceny zabawne. Różne uwagi i pytania zadawane nam przez tych codziennych gości, odznaczały się naiwnością. Dziwiło ich np., że strzelamy tak małe ptaszki, jak kolibry. „Muszą doskonale strzelać — mawiali. — Patrz, tego koliberka w oko trafił.“ Rzeczywiście śrucinka przypadkiem wybiła oko małej ptaszynie. Dziwiły ich nadzwyczaj różne nasze narzędzia i instrumenty, jak pensety, skalpele, busolki lub aneroidy, których znaczenia często zrozumieć nie mogli pomimo naszych objaśnień. Intrygował ich też niemało cel zbierania ptaszków, owadów, żab lub ropuch; zwykle z niedowierzaniem słuchali naszych objaśnień. Nie mogło im się pomieścić w głowie, że dwu ludzi „bogatych” poświęca czas na strzelanie i wypychanie ptaszków, na łowienie małych owadów, po to jedynie, aby potem umieścić to wszystko w wielkim budynku, nazwanym „Muzeum“, gdzie każdy wejść może *za darmo*, aby to wszystko oglądać. Wielu z nich podejrzewało jakieś czarnoksiężskie cele, inni znów uważali nasze zajęcia jedynie za pozór do zamaskowania właściwego celu podróży, prawdopodobnie poszukiwania złota i srebra. Podróżujący po Peru przyrodnik przygotowanym być musi na ciągle, nudne

nieraz pytania w tym kierunku. Raimondi radził nam odpowiadać, że własności medyczne zbieranych naturaljów są główną przyczyną robienia kolekcji; tym sposobem pozbywał on się najprędzej nieproszonych natrętów.

Kilka też razy zdarzyło mi się słyszeć z ust miejscowych zdanie, że ptaki i owady zbierane przez nas służyć muszą za wzory do różnych deseni perkalikowych; jeden nawet twierdził napewno, że na świeżo przybyłych płócienkach angielskich dopatrywał odwzorowane te same kwiaty i ptaki, jakie się w okolicy spotykało. Zwykle objaśniwszy raz pytających nas co do celu naszej podróży, pozostawialiśmy im swobodę rozwijania rozmaitych hipotez, słuchając tylko pilnie i uśmiechając się niekiedy z naiwnych uwag. Takie postępowanie utwierdzało ich jeszcze bardziej w zasadności ekscentrycznych przypuszczeń, a nam przyczyniało pewnego uroku tajemniczości, służącej nam za najlepszą rękojmię bezpieczeństwa. Szanowali nas zwykle i w głębi duszy bali się, pomimo, że ludzkim postępowaniem, staraliśmy się zawsze przywiązać ich do siebie.

Uwagi swoje robili zwykle bez żadnej ceremonji, głośno, obyczajem wszystkich natur pierwotnych, nieokiełznanych jeszcze względami konwenansu.

Niektórzy tylko, bardziej delikatnej natury, prowadzili rozmowy półgłosem, wśród których często słyszeć było można wyraz „gringo“. Nazwa ta, posiadająca niekiedy wielki odcień pogardliwości, stosowaną jest w całej Inkazji do yankees'ów i Europejczyków wszystkich narodowości z wyjątkiem Hiszpanów, których „chape-tones“ (czapetones) przezywają, „Gringo“ według Dykcjonarza Akademji Hiszpańskiej ma być zepsutym wyrazem „Griego“ (Grek lub grecki), który Hiszpanie stosują często do osób źle mówiących po hiszpańsku. Ponieważ zaś większa część cudzoziemców przybywających do krajów hiszpano-amerykańskich mówi niewyraźnie, a często bardzo źle po hiszpańsku, więc i wyraz „griego“, a potem „gringo“ został do nich zastosowany. W wielu nawet okolicach Peru utworzono wyraz „gringeria“, lub „Gran Gringeria“, oznaczający niby ową olbrzymią krainę, w której „Los Gringos“ mieszkają.

W pierwotnym unayśle prostaczego ludu Peru wytworzyło się ogólne pojęcie geograficzne w taki sposób, że przyznają tylko trzy wielkie krainy: „El Peru“, „Gran China“ i „Gran Gringeria“. Pierwszą zamieszkują Peruwjanie, drugą Chińczycy, a trzecią „Gringowie“, czyli ludzie czystej rasy białej. Ta ogólna geografia znajduje zastosowanie w licznych okolicach Peru pomiędzy ludem prostym.

Bardzo często ogólny wyraz „gringo“ zastąpiony bywa wyrazem „Ingles“ (Anglik) na oznaczenie cudzoziemca w Peru. Anglicy wywierają taki urok na krajowcach swymi statkami parowymi, maszynami i swym charakterem despotycznym, że lud prosty identyfikuje wszystkich Europejczyków z tym dzielnym narodem. „Ingles“ jest często przyzwoitszym w formie synoni-



mem wyrazu „gringo“, używanym na oznaczenie każdego cudzoziemca. Jelski i ja bywaliśmy nieraz w wielkim kłopotcie, gdy nas oświeceńszy nieco mieszkaniec, rozróżniający już wybitniejsze narodowości europejskie, zapytywał, do jakiej my należymy? „Ustedes son Ingleses?“ pytano nas zwykle (panowie jesteście Anglikami?). „No, señor, Polacos“ (nie, panie, Polakami).

Wówczas następował szereg pytań, zdradzających zawsze najwyższą nieznajomość geografji. Czy Polska leży w Stanach Zjednoczonych? Czy Berlin jest stolicą Polski? Czy Polacy mówią po francusku? i mnóstwo innych w tym samym rodzaju. Kłopotliwe objaśnianie tych pytań udzielać nawet niekiedy należało osobom wykształceńszym, gdyż nieznajomość geografji jest ogólną w Peru, zwłaszcza jeżeli chodzi o kraj, mający tak nieznaczące polityczne znaczenie w dzisiejszem życiu Europy.

Zwrócił też moją uwagę obserwowany wielokrotnie uśmiech na twarzach interlokutorów przy wyrazie „Polaco“, kiedy dawał odpowiedź na pytania, do jakiej narodowości należymy. Zdarzało się to dość często okolicach Tumbezu, choć i w innych prowincjach Peru powtarzało się niekiedy. Oczy nam się otworzyły dopiero wtedy, gdy pewnego razu jakiś wyrostek w pierwotnej naiwności swego ducha powiedział nam: „Ależ u nas polakami (polacos) nazywają się osły i kondory“. Na taki komplement zamilkliśmy, gdyż i u nas używa się nazwy prusaków lub francuzów dla pewnych niechlujnych owadów. Przypuszczam więc, że jest to pozostałość z czasów wojen Napoleońskich, rodzaj zemsty za Somo-Sierre, która to pozostałość jeszcze za czasów kolonialnych przeszczepioną została z Hiszpanji do Ameryki Południowej. W następstwie starałem się zawsze mówić „Polones“ a nie „Polaco“, unikałem tym sposobem sarkastycznych uśmiechów i znaczących spojrzeń.

Zaczeplano nas zwykle angielskim wyrazem „mister“ lub francuskim „monsieur“, wymawiając ten ostatni „monsjur“. Co zaś do wyrazu „mister“ to niektórzy obywatele peruwiańscy musieli go używać w znaczeniu imienia własnego, gdyż wielu rozpoczynało z nami rozmowę od wyrazów „Senor mister“, <sup>1)</sup> co zupełnie odpowiada wyrażeniu „gaspadin pan“ używanemu przez mieszkańców Syberji w tytułowaniu Polaków. Tak jak owo „pan“ znaczy u Sybirjaków—Polak, tak „mister“ dla Peruwian jest równoznacznym z wyrazem „cudzoziemiec“.

Na pochwałę jednak Tumbezczyków powiedzieć muszę, że pominawszy szeregi nudnych a często niedyskretnych pytań, zachowywali się podczą swych wizyt przyzwoicie, a co najważniejsza, że szanowali cudzą własność. Wogóle przez ciąg naszej podróży peruwiańskiej ponieśliśmy nadzwyczaj mało strat z przyczyny kra-

---

<sup>1)</sup> Senor po hiszp. znaczy pan, czyli jest wyrazem równoznacznym z angielskim *mister*.

jowców, czego nie mogę powiedzieć o mej drugiej wyprawie do Ameryki Południowej na terytorjum rzeczypospolitej Ekwadoru. W Peru oprócz paru mało znaczących kradzieży nie doznaliśmy żadnych większych strat ze strony miejscowej ludności.

W początkach marca 1875 r. powrócił wreszcie Jelski ze swej parotygodniowej wycieczki po prowincji, a ponieważ i ja przez czas mego pobytu w Tumbezie wyczerpałem już prawie zupełnie ornitofaunę okolicy do tego stopnia, że moje wycieczki już prawie wcale nie przysparzały nowych zdobyczy, więc śmiało mogliśmy przygotować się do nowej wyprawy, aby w nieznanym nam okolicach szukać okazów dotychczas nieposiadanych.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### Dolina rzeki Zarumilla.

W początkach marca wrócił wreszcie Jelski ze swej kilkotygodniowej wyprawy, podczas której zwiedził południową część prowincji aż po Mancorę, oraz północną po rzekę Zarumilla, stanowiącą granicę pomiędzy Peru i Ekwadorem. Rzut oka na przyrodę doliny Zarumilla upewnił go, że zarówno fauna jak i flora tej okolicy różni się bardzo od przyrody okolic Tumbuzu; uważał więc za stosowne, abyśmy tam wycieczkę zrobili choćby tylko na parę tygodni czasu. Rozpatrzywszy tę ważną dla nas kwestję wszechstronnie, uradziliśmy jechać do miejscowości Lechugalu, położonej w dolinie wspomnianej rzeki, gdzie Jelski zawarł już znajomość, z niejakim Józefem Ortizem, przyjacielem i kumem przewodnika mego towarzysza. Postanowiliśmy też zabrać ze sobą Antoniego Anteparę, który służył doskonale za dragomana przez ciąg wyprawy Jelskiego. Muszę słów kilka poświęcić tej osobistości, grającej ważną rolę w przyszłej naszej wyprawie nad granicę ekwadorską.

Antonio Antepara był to rosły i tłusty zambo o ciemnej cerze i dobrodusznym, szczerym wyrazie twarzy.

Srebrny kolczyk w lewym uchu, biały kapeluszek słomkowy na głowie, czysta perkalowa koszula, także spodnie i różnobarwne poncho, zwinięte i przerzucone przez ramię—stanowiły jego ubranie. Kamasze nosi tylko czasami, w dniu galowe; ponieważ jednak przyczyniały mu więcej szkody, aniżeli pożytku, poświęcał często względy dobrego tonu dla wygody i chodził boso. Trzymał się zawsze prosto, z pewną godnością; biorąc się jedną ręką pod bok, drugą gestykułował żywo obyczajem wszystkich ludów południowych. W stosunkach z ludźmi był gładkim, co mu zjednywało serca wszystkich, a ponieważ podróżował wiele po kraju, zwłaszcza po prowincji, miał wszędzie pełno znajomych, kumów i krewniaków, co go czyniło nieocenionym jako przewodnika. Jelski przeważał go Siemprepara (zamiast Antepara), co znaczy po hiszpańsku „zawsze staje“, gdyż nie było po drodze domu, ani chaty, przy którymby się nie zatrzymał i na pogawędkę chwilki nie poświęcił.

Wszędzie witano go serdecznie, jak starego znajomego, przez co podróżnik będący pod jego opieką z łatwością znajdował nocleg lub potrzebną w drodze strawę. Wprawdzie płacić mu trzeba było po 2 soles (4 rb.) dziennie, dając kompletne utrzymanie, ale zato miał nam koni i mułów doglądać i zajmować się wszystkimi drobiazgowymi kłopotami gospodarskiego charakteru. Był to jednocześnie przewodnik, masztalerz, koniuszy, marszałek i podskarbi naszego dworu. Przez cały czas służył nam wiernie, czasami w rachunkach był trochę niedokładny, wogóle jednak byliśmy zeń bardzo zadowoleni i radzi, żeśmy go ze sobą wzięli.

Wyprawa nasza do Lechugalu obliczoną była początkowo na 2 tygodnie czasu; stosownie też do tego wzięliśmy zapasy amunicji i żywności o ile takowej dostać tam nie było można. Tak np. wiedząc, że na wsi o mięso trudno, kupiliśmy dużego kozła, kazaliśmy go zabić i mięso według miejscowego zwyczaju poćwiertować, nasolić i wysuszyć na słońcu. Mięso w takim stanie nazywa się „charqui” lub „sesina” i może być przechowanym przez długi przeciąg czasu, jeżeli go tylko chronimy od pleśni i skórników (*Dermestes*). Wołowina, w ten sposób przyrządzona, posiada sobie właściwy, dość przyjemny smak, w skutek czego można się z nią spotkać niekiedy nawet w pierwszorzędnych restauracjach limańskich. Okazało się jednak, że kozłina, zwłaszcza ze starego kozła, zachowuje nieprzyjemny smak i odór tłuszczu kozłego, który nam zatruwał żywot podczas naszego pobytu w Lechugalu.

Oprócz suszonego mięsa wzięliśmy także nieco smalcu wieprzowego <sup>1)</sup>, stanowiącego zawsze artykuł dość trudny do nabycia po wsiach. Mąka pszenna dopełniała nasze zapasy spiżarniane. Wzięliśmy też ze sobą naftę, gdyż przekonaliśmy się, że ambaras z przewożeniem tego gazu sownie wynagrodzonym zostaje przez dobre oświetlenie, jakim się wieczorami cieszyć mogliśmy. Następnie przez cały czas trwania obu mych podróży miałem ze sobą zawsze naftę i parę lamp z zapasowymi cylindrami, co mi pozwalało wieczorem oddawać się swobodnie pracy, czego przy lojówkach, a nawet przy świecach stearynowych niekoniecznie dopełnićby można, biorąc na uwagę lekki prąd powietrza przy konstrukcji domów, pozbawionych zupełnie ścian, lub przynajmniej źle zaopatrzonych. Na krótsze wyprawy brało się naftę w butelkach <sup>2)</sup>; większą zaś ilość przewoziliśmy w blaszankach, które po opróżnieniu służyły do pakowania różnych okazów, w spirytusie zakonserwowanych.

Wreszcie d. 11 marca, gdy wszystko do drogi było przygoto-

---

<sup>1)</sup> Użycie masła jest prawie nieznaną w Południowej Ameryce, a wszystkie potrawy przyrządzają się na smalcu wieprzowym krajowym, lub sprowadzanym ze Stanów Zjednoczonych. Masło konserwowane w blaszankach kosztuje bardzo drogo (4 franki za funt) i używanem bywa jedynie do chleba.

<sup>2)</sup> Jedna butelka wystarczała na tydzień czasu, paląc średnio od 6½ do 10 lub 11-ej godziny wieczorem.

wane, zjawił się Antoni, prowadząc dla nas wierzchowce — konia dla mnie, a muła dla Jelskiego — oraz parę osiołków, które nasz bagaż miały zabrać. Sam Antoni jechał na mule doskonałej rasy piurańskiej. Był to wierzchowiec niezbyt rosły, lecz muskularny, z suchymi nogami. Zginało się to stworzenie pod ciężarem swego grubego jeźdźcy, który przynajmniej 250 funtów ważył, a jednak nigdy nie widzieliśmy na niem zmęczenia. Antoni nadużywał niekiedy dobroci swego wierzchowca, dodając do swego ciężaru sto-funtowy blisko ładunek sakw (alforjas).

„Alforjas“ są to sakwy z jednej mocnej sztuki bawełnianej, które się przez tylną część siodła przewiesza w taki sposób, że po każdej stronie mamy po jednej wielkiej kieszeni, do której kładziemy różne przedmioty niezbędne w podróży, jak niektóre szczególne pościeli, ubranie zapasowe i zimne jedzenie (fiambre) niezbędne w bezludnych, lub mało zaludnionych okolicach. „Alforja“ jest to nieodzowny szczegół podróźniczego rynsztunku, a zwykle nawet przy dalekich, kilka dni trwających wyprawach, bierze się dwie pary takich sakw — jedna służąca do pościeli i suchej bielizny, a druga na pomieszczenie stawy zapasowej. Umieszcza się jedną na drugiej i na tem się siada dopiero.

Kilka niedokładności w przygotowaniach wstrzymało nasz wyjazd do godziny 1-ej po południu, a czekała nas podróż 6-godzinną, gdyż odległość między Tumbezem a Lechugalem obliczoną jest na 12 do 14 leguas <sup>1)</sup>, jadąc zaś drobnym kłusem po równej miejscowości jedzie się przecięciowo 2 leguas na godzinę. Puściliśmy się wreszcie w podróż, pędząc przed sobą dwa osiołki obciążone naszym bagażem; my trzej stanowiliśmy arjergardę tej małej karawany.

Był to czas największego rozwoju życia roślinnego na wzgórzach, które pokrywała rzadka, lecz pięknie zielona trawa. Nieliczne drzewa i krzewy odziały się już liściem, nadając krajobrazowi wesoly, ponętny pozór. Skwar popołudniowego słońca łagodził świeży wiaterek, od morza wiejący; rażno też posuwaliśmy się naprzód, prowadząc rozmowę z naszym przewodnikiem, pod którym muł stękał niekiedy. Koń znów mój posiadał kłusa tak wysokiego, że mi wyrazy nierytmicznie z ust wyskakiwały, raz powstrzymane silnem wstrząśnieniem, to znów wylatujące z niepospolitą gwałtownością. Pomimo to humory były świetne, gdyż nadzieja ujżenia nowych okolic i zdobycia nowych łupów ornitologicznych uśmiechała się nam obu; Antoni zaś nigdy dobrego humoru nie tracił.

W miarę, jak się ku granicy ekwadorskiej posuwaliśmy, krajobraz zmieniał się stopniowo, lecz dość szybko dzięki coraz to obfitszej roślinności. „Rios secos“ (suche rzeki) pojawiały się coraz to częściej, wskazując, że wilgotność wzmagała się, im wię-

<sup>1)</sup> Legua peruwjańska liczy od 4 do 5 kilometrów, stosownie do okolicy. Na Pomorzu równa się średnio 4 wiorstom. Właściwa legua hiszpańska (legua castellana) liczy 66 *cuádras*, a *cuádra* = 100 *varas* — *Vara* = 84 centymetr. — czyli że lagua taka posiada 5½ kilometra.

cej zbliżaliśmy się do podnóża Kordyljerów. Po trzy-godzinnej jeździe drobnym kłusikiem, lub truchtem, dojechaliśmy do „Quebrada Grande“ <sup>1)</sup> — obszernej lecz niegłębokiej doliny w pośród falistej powierzchni wzgórz. Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że dnem tej rozpadliny rzeka płynie; jest to dolina sucha, niby jedna z tych „rios secos“, tylko na wielką skalę. Na dnie obszerne jezioro, utworzone przez padające właśnie deszcze, pokryło się już w znacznej części wodną sałatą, wśród której rozróżnić można było sterczące głowy kaczek (*Dendrocygna discolor*). Na każdym kroku mijamy spokojnie pasące się krowy, lub byki, tłuste i lśniące. Nie zawsze jednak należy im dowierzać, gdyż niektóre sztuki należą do kategorii „toros bravos“, czyli złych byków, które za punkt honoru uważają sobie napadać na przejezdnych. W tej to miejscowości Antoni na krótki czas przed naszym przejazdem uniknął szczęśliwie szarży jednego takiego byka, a na dwa lata przedtem pewien chłopczyzna, jadący spokojnie na mule, został zabity wraz z wierzchowcem przez złośliwe zwierzę.

Wydostawszy się na drugą stronę „Quebrada Grande“ jechaliśmy znów zlekką falistą powierzchnią wzgórz. Słońce chyliło się ku zachodowi, czuć się dawało świeżość nadchodzącego wieczoru, a wśród głębokiej samotni wzgórz rozlegał się tylko świst pojedynczych ptaków, lub ponure złowrogierczenie ukrytych byków. Zaszło słońce. Spieczona, rozgorączkowana twarz nasza przyjemnie podrażnioną zostaje świeżym powietrzem, zmęczone rażącym blaskiem oczy, spokojnie teraz obejmują łagodny koloryt krajobrazu. Czuć wilgoć w atmosferze. Oddychamy pełną pierśią z taką chciwością, z jaką spragniony pije świeżą wodę ze źródła, które po całych godzinach pragnienia spotkał na swej drodze.

— Oto dolina Zarumilli, słyhać głos Antoniego, który się naprzód wysunął.

Pośpieszamy za nim, a przed oczami naszymi roztacza się obszerny widok. Wzgórza kończą się raptownie, a przed nami widnieje rozległa, równa powierzchnia, nad którą wzniesieni jesteśmy na kilkanaście metrów. Oko nasze obejmuje to morze zieleni, utworzone przez korony drzew, jakie zaścielają całą dolinę rzeki; wśród nich tu i owdzie wznoszą się imponujące konary brzuchalów (*Bombax seybo*), okryte liściem w tej porze. Na dalszym planie, w niebieskawej atmosferze piętrzą się galezie Kordyljerów ekwadorskich, wśród których panuje szczyt Pitapongo, pokryty ciemnym lasem w dolnej swej części; górna zaś wznosi się widocznie ponad granice drzewiastej roślinności, gdyż rudawa barwa wierzchołka dostatecznie wskazuje, że jest to sfera pastwisk alpejskich, to co Peruwjanie „Puna“, a Ekwadorczycy „Paramo“ nazywają.

Kilka zakrętów drogi wdół doprowadziło nas do dna doliny pośród osobliwych drzew, jakie tę okolicę zaścielają. Tu znów

<sup>1)</sup> *Quebrada* (hiszp.) wąwóz lub strumień górski; tu jednak użyty raczej w znaczeniu doliny.

nowy dla nas a niezwykle widok. Niewysokie, lecz rozłożyste drzewa rosną dostatecznie rzadko, aby oko mogło zawsze obejmować widokraag w promieniu kilkuset kroków. Wszystkie drzewa pokrywa suto szara broda Absalona (*Tillandsia usneoides*), zwieszająca się bogatymi festonami z konarów i gałęzi. Tu i owdzie olbrzymi bombax wznosi swój zielony, kolczasty pień, podparty kilku dośrodkowemi zagrodami. Równy jak powierzchnia stołu grunt doliny pokrywa prześliczna, jasno-zielona trawa, nadająca krajobrazowi pozór jakiegoś sztucznego parku. Gdzieniedzie napotyka się nieznaczne kałuże wody, nagromadzonej podczas ostatnich deszczów; kulik lub mały, czarny nureczek stanowi faunę tych efemerycznych jezierek.

Cudny to był widok. Zapadający mrok zacierał stopniowo ostrzejsze kontury drzew, zlewając wszystko w sympatyczną całość półcienia. Przy zupełnej ciszy lekkie sploty brody Absalona pozostawały nieruchomo, budząc w nas wrażenia jakiegoś zaczarowanego ogrodu, którego strzegą olbrzymy o rozwartych ramionach—owe dziwne bombaxy z pniem rozdętym w połowie wysokości. Świeże, wilgotne powietrze zamarło, spokój panuje wszędzie; najłżejsze źdźbło trawy pozostaje w stanie bezwładności. Zewsząd słychać donośny, czysty świst: to kuropatwa leśna (*Crypturus rubripes*) wabi się, gdyż nadszedł czas lęgowy, więc się nawołują jedne z drugimi. Wśród czerniejącego gąszczu migają już tu i owdzie niebieskawe iskierki amerykańskiego robaczka świętojańskiego (*Elater noctiluca*)<sup>1)</sup>. Ściemniło się wkrótce do tego stopnia, żeśmy ścieżki, prowadzącej między drzewami nie widzieli, zabłądziliśmy też wśród labiryntu dróżynek sielskich; trzeba było kilkakrotnie zapalki rozpałać i tylko dzięki Antoniemu wydostaliśmy się wreszcie na główny szlak, prowadzący do Lechugalu. Nizkie konary tamowały drogę, zmuszają nas do ciągłej bacności, a i tak nie obeszło się bez kilku uderzeń i podrapań. Wreszcie około godziny 7-ej usłyszeliśmy niedalekie naszczekiwanie psów i przejechawszy obok kilku rozrzuconych chat, stanęliśmy przed siedzibą Ortiza.

Dwa domy na palach, jeden obok drugiego wzniesione i połączone wążką kładką, stanowiły przyszłe nasze mieszkanie. Jeden z nich, oszalowany bambusowemi tarcicami z dwu stron tylko, służył za sypialnię i bawialnię naszego gospodarza, drugi—otwarty na wszystkie strony—mieścił kuchnię. Nacięty kloc zastępował schody; w nocy podnoszono go, aby psy sąsiadów nie dostały się do mieszkania i szkody w zapasach żywności nie zrobiły.

— Buenas noches, senores — było nasze powitanie, głośno wypowiedziane, aby pokryć silne ujadanie dwu psów, jakie nas opadły.

— Buenas noches, apeen se ustededs (Dobrej nocy, usiądźcie panowie), była stereotypowa w takich razach odpowiedź i ukazał

<sup>1)</sup> Owad ten należy do rodziny *Elateridae* (sprężyków) a nie do *Mulaco-dermatów*, jak nasz robaczek świętojański.

się człowiek średniego wzrostu, podszedł ku nam, powitał każdego z osobna, zawołał na dwu synów wyrostków, dając im dyspozycję co do naszych wierzchowców; poczem wprowadził nas na górę, gdzieśmy powitali żonę, a raczej towarzyszkę życia naszego nowego gospodarza. Tu mogłem się przyjrzeć dopiero Ortizowi.

Był to doskonały typ „montubia”. Średniego wzrostu, muskularny, suchy, jakby ze stali zbudowany, miał Ortiz cerę ciemną, brązową, włos czarny, lecz niezbyt szczeciniasty. Orli nos, energicznie zacięte wargi i głęboka bródka, dzieląca brwi, nadawały twarzy jego wyraz surowy. Nosił głowę prosto, nawet zlekka do góry zadartą, z pewnym rysem wyniosłości. Traktował nas jak równych sobie, nie wpadając bynajmniej w arogancję.

Dzielny ten człowiek stał się z czasem naszym serdecznym przyjacielem. W jego miedzianej piersi biło uczciwe, zdolne do przywiązania serce. W ciągłych stosunkach pieniężnych z nami był tak mało dbałym o swą własną korzyść, żeśmy nieraz sami zmuszeni byli podnosić ceny przez niego oznaczone.

Inaczej rzeczy miały z jego połowicą. Donna Carmen, lub Carmela, jak zwykle zdrabniają Pomorzanie to imię, była zambą, co już dość nieprzychylnie usposabiało względem niej. I w rzeczy samej, młoda ta jeszcze kobieta była złością — przewrotną i bezczelną. Przez cały czas naszego pobytu musieliśmy bardzo politykować, aby o ile możności zneutralizować złe skłonności gospodyni, która przy nas lżyła swą własną matkę najbrudniejszymi wyrazami. Ortiz tylko swemu niepospolitemu taktowi zawdzięcza, że dom jego nie był dlań prawdziwym piekłem.

Rodzinę Ortiza dopełniało dwu synów wyrostków i córka, dwudziestoletnia dziewczyna — wszystko troje będące owocem pierwszego małżeństwa. Córka podczas naszego pobytu uciekła z kochankiem, który się z nią następnie ślubnie połączył wbrew woli ojca. Synowie byli to chłopcy spokojni i pracowici, szanujący swego ojca, uczynni dla innych. Gdyby nie młoda Ksantypa, rodzinę tę uważaćby można było za wzorową.

Uderzał osobiście w postępowaniu Ortiza takt niezwykle, z jakim traktował swych synów. Nigdy nie słyszeliśmy wymysłów, nawet prostego lajania, a jednak obaj chłopcy przed ojcem chodzili na palcach, spełniając cicho i natychmiastowo wszelkie jego rozkazy. Pod jego spokojną, nieco surową powierzchownością czuć było wolę silną i niewzruszoną, która sama przez się rugowała wszelkie nieposłuszeństwo ze strony synów. José i Tomas — imiona dwu młodych Ortizów — robili wobec ojca wrażenie pionków, które jakaś siła utajona poruszała.

Zachowanie się Ortiza względem występnej córki było nieprzeblagane, co tem więcej dziwić nas musiało, żeśmy go samego widzieli żyjącego w nietajonym konkubinacie z Carmelą. Przyjaciół Ortiza uwiódł mu córkę; plodem było dziecko, które się przy matce chowało; ojciec córce przebaczył, lecz był nieprzeblaganym względem jej uwodziciela, który chcąc błąd naprawić, zapragnął połączyć się węzłem ślubnym ze swą kochanką. Rzecz



dziwna: Ortiz stanowczo potępił tę jedyną drogę w podobnie drażliwych położeniach, i zamknął drzwi swemu niedoszłemu zięciowi, córkę zaś trzymał przy sobie wraz z dzieckiem. Lecz jakie względy powstrzymają kobietę, gdy raz pokocha? W czasie naszego pobytu w Lechugalu Ortizówna uciekła z kochankiem do Tumbezu, gdzie się połączyli dozgonnym węzłem małżeńskiego Sakramentu. Dla Ortiza był to cios niespodziewany; uciekł się obyczajem wielu do kieliszka i dnia tego w wódce szukał pociechy wbrew zwykłej wstrzemięźliwości. Po pijanemu skarżył się przed nami na swój los, płacząc jak dziecko. Gdy dnia następnego wytrzeźwiał, przeproszał nas za swe postępowanie, pytając czy nas przypadkiem nie obraził w stanie nietrzeźwym —delikatność uczuć, którą nie zawsze spotykamy nawet pomiędzy ludźmi wykształconymi.

Pomimo wielkiej uczciwości, Ortiz posiadał słabość właściwą wszystkim prawie krajowcom: rozumiał doskonale szkodliwość złego, a jednak przez brak poczucia obowiązków obywatelskich był jego niewinnym tolerantem. Lechugal, jako punkt leżący na pograniczu dwu republik, miał zawsze sławę przytułku złoczyńców, którzy z łatwością unikali prześladowań ze strony władzy, przechodząc raz na jedną, to znów na drugą stronę granicy. Nie należał bowiem wyobrażać sobie, aby granica między Peru i Ekwadorem była również strzeżoną, jak nasze linje graniczne. Jeżeli władza zarządzała wyprawę na bandytów, co zresztą trafiało się bardzo rzadko, ci unikali z łatwością pogoni, przechodząc na obce terytorjum, gdzie już siła zbrojna zapuszczać się nie mogła.

Przywódcą okolicznych bandytów był niejaki Juan Lopez, przyjaciel, jak się dowiedzieliśmy Ortiza, który go wprawdzie kilkakrotnie ostrzegał i do upamiętania namawiał, lecz go tolerował i niekiedy podobno w domu swym przechowywał. Kiedyśmy w Lechugalu bawili, podprefekt tumbeski pragnąc zapewne pokazać cudzoziemcom swą dbałość o spokój prowincji, zarządził wyprawę do Lechugalu, mając głównie na celu złowienie Lopeza; aby zaś więcej jeszcze gorliwość swoją uwydatnić, sam objął dowództwo nad 10-ma żołnierzami, składającymi wyprawę. Byłby to czyn ze wszech miar chwalebny, gdyby nie ta okoliczność, że o wyprawie tej wiedzieli wszyscy na 3 dni przed jej przybyciem do Lechugalu. Lopez siedział sobie najspokojniej, pijąc ze swymi znajomymi, a gdy otrzymał wiadomość, że wyprawa się zbliża, znikł w gąszczu, przeszedł rzekę Zarumillę i znalazłszy się na terytorjum ekwadorskiem, wolnym już był od pogoni. Każdy musiał przyjść do wniosku, że podprefekt naumyślnie rozpuścił wieść o szykującej się wyprawie, aby dać możność ucieczki niebezpiecznemu złoczyńcy. Tym sposobem zaspokoił własne sumienie, a zarazem unikał zemsty bandytów. Fakt taki doskonale ilustruje stosunki miejscowe i objaśnia przyczynę rozwinięcia się bandytyzmu w Peru.

W takim to otoczeniu mieliśmy spędzić kilka tygodni czasu, poświęcając się spokojnym zajęciom przyrodników-kolektorów.

Warunki na pierwszy rzut oka były bardzo niekorzystne, gdyż znajdowaliśmy się zupełnie na łasce lub nielasce niebezpiecznych złoczyńców. Czy jednak wskutek wpływów Ortiza, czy dzięki dość rozpowszechnionemu uszanowaniu dla cudzoziemców, które w obecnym wypadku podnosił jeszcze urok nadnaturalności, jaki nas zwykle otaczał, dość żeśmy się cieszyli pełnym spokojem, poświęcając czas nasz zbieraniu kolekcji.

Zato skądinąd trafiliśmy na różne przeszkody, któreśmy zwalczając musieli cierpliwością i przyrodniczym zapalem.

O nich pomówię wkrótce.

Urządziliśmy się jak można najlepiej przy skromnych środkach otoczenia. Za stół do preparowania i pisania notat służyły nam dwie skrzynie nasze, któreśmy jedną obok drugiej postawili; siadaliśmy przy nich w kucki na rozesłanych pellonach, co było niekoniecznie wygodnem przy kilkogodzinnej pracy. Jeść nam gotowała Carmela; monotonność naszego stołu była zastraszająca: dwa razy na dzień pieczona kozłina suszona, ryż i banany. Objaśnić też muszę, żeś się jeszcze podówczas nie przyzwyczaił do kuchni peruwiańskiej, w której pieprz kajeński, jako przyprawa, główną rolę odgrywa. Podniebienie moje, zepsute na dostatnich stołach cywilizowanego świata nie przywykło jeszcze do tej twardej jednostajności źle przyrządzonych potraw. Byłem, rzecz można, nowicjuszem w trudnej i przykłej karierze podróżnika. Dziwić się też bardzo nie można, żeś jadł z pewnym wstrętem proste potrawy, przyrządzane przez Carmelę, usiłując jedynie głód najprzykrzejszy zaspokoić. Schudłem szybko i zmizerniałem na tym niewyszukanym stole; zacząłem poznawać odwrotną stronę medalu.

Czas rozłożyliśmy sobie według szematu, przyjętego w Tumbesie: rano po czarnej kawie szło się na ekskursję, z której wracaliśmy przed południem i spożywaliśmy śniadanie. Resztę czasu do wieczora zajmowało preparowanie ptaków, lutowanie kolekcji w spirytusie i t. p. zajęcia. Wieczór zapalaliśmy lampę i siadaliśmy przy skrzyniach, oddając się łowom owadów, które na światło obficie przylatały; lub też pisaliśmy nasze notaty. Rodzina Ortiza zasiadała w koło na rozwieszonych hamakach lub na ziemi, przyglądając się ciekawie naszym zajęciom i prowadząc z nami rozmowę. Oni zarzucali nas zawsze masą pytań, dotyczących naszej ojczyzny lub wyprawy; my znów, wiedząc, jak wiele można nieraz skorzystać z podobnej rozmowy, zapytywaliśmy ich o różne zwierzęta miejscowe, o sąsiednie lasy ekwadorskie, znane doskonale Ortizowi i jego synom, o ich przyrodę i warunki, w jakich się tam żyje.—„Don Juan, pyta mnie Carmela, jak się nazywa w twoim języku sombrero“?—„Kapelusz“—odpowiadam. „Kapelusz“ powtarza cała kompanja i śmiechom nie ma końca. I byłoby to spokojne życie bez zarzutu, gdyby nie różne plagi, jakie nas trapiły. Meszki i komary dały nam się we znaki.

Meszka (*mosquito* lub *rodador*), jest to maleńki owad dwuskrzydły, pojawiający się dniem jedynie w ogromnej masie. Natręty-

tność ich jest nie do zniesienia. Siadają na twarzy, na rękach, zapuszczając swój mały, jadowity ryjek w ciało nasze, na którym tworzy się wkrótce białawy bąbel z kropelką krwi po środku. Bąbel znika, lecz czarna plamka długo jeszcze pozostaje. Po kilku dniach mieliśmy ręce i twarze pokryte czarnymi drobnymi kropkami.

Świerzb od ukłucia meszki trwa wprawdzie niedługo, lecz ciągle odnawiany podtrzymuje w nas stan nerwowego rozstroju. Przykrem jest szczególnie ukłucie w ucho lub w wargi. Staraliśmy się zapobiedz choć w części tej nieznośnej plądze, smarując twarz i ręce naftą, co nas rzeczywiście chroniło przez jakiś czas od nielitościwych owadów; lecz smarowanie to należało powtarzać po kilka razy na dzień, gdyż dobroczynne skutki jego kończyły się wraz ze zwietrzeniem nafty, co zwykle po dwu godzinach następowało. Niejeden też czytelnik pojmie łatwo, jak wstrętą jest podobna prezerwatywa, lecz z dwojga złego woleliśmy smarowanie tłuszczem, aniżeli ciągle ukłucia meszek.

Hiszpańska nazwa „rodador“ pochodzi od wyrazu „rodar“ co znaczy „stoczyć się“, gdyż meszki te, gdy je się na ciele w spokoju zostawi, tak się krwią opijają, że następnie latać nie mogą, lecz oderwawszy się od ranki, staczają bezwładnie na ziemię.

Po zachodzie słońca meszki znikają, lecz prawie jednocześnie pojawiają się komary, zwane po hiszpańsku „zancudos“. Zna je każdy z was, więc zbytecznym byłoby opisywanie, gdyż komary amerykańskie, których na nowym lądzie znajduje się nieskończoność gatunków, różnią się od naszych powierzchownie tylko. Gdyśmy wieczorem zasiedli przy lampie, zmuszeni byliśmy nogi obwijać płachtami, a na ciało kłaść grubsze odzienia, gdyż natrętne owady z łatwością kłuły przez zwykłą płócienną koszulę. W nocy zaś staraliśmy się od nich ochronić, sypiając w perkalowym namiocie.

Gdy już sen zaczynał morzyć powieki, rozciągaliśmy nad podłogą wielki „mosquitero“ (namiot), zaścielaliśmy pod nim naszą skromną pościel, składającą się z kołdry, służącej za materac, prześcieradła—służącego za kołdrę i siodła, grającego rolę poduszki; wsuwaliśmy się pod namiot, którego brzęgi szczelnie przykrywaliśmy pościelą i przy pomocy świecy zabijaliśmy pewną liczbę komarów, które się tam przy założeniu dostały; poczem gasiłszy świecę i staraliśmy się zasnąć. Zwykle jednak pozostawało kilka nieznośnych owadów, które swem cienkiem, fałszywym brzęczeniem spędzały sen z powiek. Znów zapalaj świecę, znów przeglądaj starannie całe wnętrze namiotu. Wreszcie śmierć kilku niewczesnych intruzów robi nadzieję spokojnej nocy. Przykładamy głowy do twardych poduszek. Noc cicha; słychać tylko miarowe rechotanie wielkich ropuch (*Bufo transandinus*), które nas dochodzi z pobliskiej sadzawki. Sen szybko odrętwia nasze ciało i umysł. Zasnęliśmy.

Zwykle Ortizowie szli wcześniej od nas do łóżek. Bywało,

chrapią już wszyscy i my zbieramy narzędzia, chcąc się na spoczynek udać, gdy naraz szczekanie psów zwiastuje gości.

— Buenas noches, senores—słychać niewieście głosy z dołu.

Ortiz wyłazi ze swego namiotu, spuszcza zwodzony most swego zamku—ów kloc grający rolę schodów i wsuwa się na górę mama, kilka córek, synalek podrostek—cała rodzina sąsiadów, przychodząca z wizytą do swych kumów. Zaspana Carmela ukazuje się także, tylko młodzi Ortizowie są wolni od przyjmowania; chrapaniem swem zdradzają umiejętność korzystania z tych przywilejów etykiety. Wszyscy siadają w hamakach, lub na ziemi i rozpoczyna się rozmowa, za temat której służą miejscowe plotki i komeraże. Ja siedzę zły w hamaku, gdyż mi komary dokuczają, a namiotu niema gdzie rozbić; Jelski cierpliwszy odemnie, stara się czas wyzyskać, więc spisuje notaty. Wreszcie koło 1-ej po północy goście wynoszą się i my udajemy się na spoczynek.

Straszniejszą w skutkach od moskitów i komarów plagą Lechugalu i wszystkich gorących okolic Ameryki jest nigua lub pique (*Pulex penetrans*), małeńka pchła, żyjąca w piasku, i suchym pyłe w sąsiedztwie domostw. Zapłodniona samica wpija się w ciało (zwykle w nogi), stopniowo wświdrowuje się pod skórę, gdzie jaja dojrzewają. Odwłok pęcznieje nadmiernie, tworząc rodzaj białawej torebki, napełnionej jajami, pośrodku której widać mały punkcik—głowę i nogi owada. Skutki tego bywają nieraz straszne.

Bardzo często świerzb, jaki powoduje wświdrowująca się nigua, bywa zrazu tak słaby, że go zauważyć niepodobna; szczególnie osoby mało wprawne przepuszczają zwykle sposobność łatwego wydobycia niguu w chwili, kiedy dopiero zaczyna przenikać w ciało. Jeżeli przez nieświadomość, lub niedbalstwo pozwolimy pchle rozwinąć się w naszym ciele, wówczas silny świerzb, a następnie ból zmusza nas do zrobienia operacji tem dotkliwszej, im dłużej pozostawiliśmy owada w ciele naszym. Pierwszy mój debiut na tej ciernistej drodze pociągnął za sobą przykre skutki; stosownem więc jest, abym go treściwie opisał.

Jeszcze na dwa tygodnie przed wyjazdem do Lechugalu poczułem świerzb w podeszwie lewej nogi, chociaż jednak przypominał mi się on często, nie zwracałem nań uwagi, przypisując go jakim zwykłym przyczynom. W parę dni po przyjeździe do Ortizów świerzb ten zamienił się w ból dotkliwy, zwłaszcza przy chodzeniu. W nocy ból wzmógł się do tego stopnia, że m oka zmrużyć nie był w stanie; towarzyszyła mu gorączka. Gdy o tem dnia następnego Jelskiemu opowiedział, ten zapragnął obejrzeć zboliałe miejsce; jeden rzut oka wystarczył mu do sprawdzenia prawdziwej przyczyny dolegliwości.

— Pan masz niguę—rzekł do mnie i natychmiast wziął się do bolesnej w takich razach operacji. Rozpęczniałą nadmiernie pchłę wyjął mi z ciała. To mi jednak ulgi nie przyniosło; przeciwnie, ból i gorączka wzmogły się i znów noc całą spędziłem

bezsennie. Nazajutrz rano Jelski wraz z Antonim obejrzeni znów ranę, a sondując ją igłą przekonali się, że druga nigua, starsza od pierwszej, obrała sobie siedlisko w tej samej dziurze. Znów nastąpiła operacja boleśniejsza jeszcze od pierwszej, lecz w końcu wydobyto nieżywego już i psującego się owada, a wtedy prawdziwą ulgę znalazłem. Lecz pozostała w podszewie głęboka ranka, otwierająca się ciągle przy codziennych wycieczkach: nocą zasklepiała się, w dzień otwierała. Parę dni odpoczynku nie wystarczyło do jej zagojenia, żal mi zaś było tracić czas marnie w nowej a tak ciekawej okolicy. Chromając więc, chodziłem ciągle na ekskursje i dopiero w dwa miesiące potem, gdyśmy do Tumbezu wrócili, ranka zasklepiała się ostatecznie.

Jest to zwykły los nowicjuszków, że ich niguy więcej przesładują, brak zaś wprawy powoduje, że obecność szkodliwego owada sprawdzoną zostaje zwykle późno, co utrudnia wydobycie jego i smutne skutki sprowadza. Jeżeli wczas się spostrzedz, wydobyć można obrzydłe stworzenie z wielką łatwością i z małym bólem; nieco popiołu tytoniowego, lub fenolu wystarcza, aby ranke od jątżenia zabezpieczyć. Lecz gdy się jaja rozwiną i owad przez to napęcznieje, trudności się zwiększają, a często rozdrażnienie zmusza nas do leżenia w łóżku przez parę dni czasu.

Miejscowi wydobywają niguy z wielką zręcznością, często bez żadnego bólu. Towarzysz mój odznaczał się także niezwykłą wprawą w tego rodzaju operacjach. Cała sztuka polega na tem, aby powiększyć ranke, sprawiając pacjentowi jaknajmniej bólu, poczem wyjąć owada całego. Najgorsze skutki sprowadza pozostawienie części rozerwanej niguy w rance: ciągly świerzb w połączeniu z bólem i jątżenia się zaatakowanego miejsca są zwykłymi następstwami takiej niezręcznej operacji.

Doskonałym też środkiem zapobiegającym złym skutkom niezręcznego wyjmowania niguy jest skoncentrowany kwas karbolowy, lub nawet „Phenol Boboeuf“, którego kropelkę należy wprowadzić do ranki zaraz po operacji. Ostatnimi nawet czasy zaczęto używać instrumentu, o którym mówił mi rodak nasz, p. Malinowski: jest to mała bombka, przy pomocy której wprowadza się do ranki kroplę kwasu karbolowego, nie wyjmując bynajmniej pchły; płyn zabija owada i jako anti-septyczny zapobiega jego rozkładowi.

Stopy są częściami ciała najbardziej przez te owady przesładowanemi, zwłaszcza zaś na brzuścach palców i pod paznokciami, skąd je nadzwyczaj trudno wydobyć. W innych miejscach nigua, wyjątkowo tylko może się osiedlić: złowiłem jedną pod paznokciem ręki, a drugą na wewnętrznej stronie przedramienia: wypadki jednak takie są nadzwyczaj rzadkie. Pomimo, że pięta ludzka posiada zwykle skórę bardzo zgrubiałą, nigua z łatwością prześwidrowuje ją; wydobycie owada połączone jest wtedy zwykle z wieloma trudnościami, należy bowiem znacznie otworek powiększyć, aby wyjąć głęboko siedzącą niguę.

Spotyka się niekiedy w Peru ludzi, prawie zawsze między

Indjanami lub Czolami (Cholos), którzy w skutek niedbalstwa pozwolili się tak dalece rozwinąć niguom w swem ciełe, że już nawet nie myślą o ich wydobywaniu. Stopy ich są pokryte sękami i guzami, w których kryją się całe kolonje tych wstrętnych owadów. Ludzi takich zwa krajowcy „niguentos“, brzydząc się nimi, jak trędowatymi. Na pozór nie okazują oni żadnycy dolegliwości, tak dalece znieczuleli na ból, jaki nigua sprawia zwykłym śmiertelnikom.

Dziwnem się wydać może, iż owad tak mały śmierć nieraz sprowadzić jest w stanie; wypadki to wprawdzie bardzo rzadkie, trafiają się jednak od czasu do czasu. Wilgotny i gorący klimat miejsc, w których pchła w mowie będąca się trzyma, tak dalece krew naszą rozkłada, że lada zadraśnięcie jątrzy się zwykle czas długi, a większe rany potrzebują nieraz miesięcy czasu do zupełnego zagojenia. W skutek tego niezręczne wyjęcie niguycy, lub jej zapuszczenie sprowadzić może jątrzenie się ranki, które w gangrenę przechodzi niekiedy. Słyszałem o pewnym młodym lekarzu francuskim, który zapragnawszy niguycy przewieźć do Europy, aby nad niemi studja przeprowadzić, zapuścił je w nogach, udając się z Cayenny do Francji. Nie dochował się jednak licznego potomstwa, gdyż mu nogę trzeba było amputować.

Ze zwierząt domowych trzoda chlewna podlega najczęściej tej strasznej pladze i służy niejako za główny rozsadnik pcheł świdrujących. Wieprze posiadają zwykle nogi pokryte guzami, a ogon do najwyższego stopnia zdeformowany przez niguycy. W miarę jednak tuczenia owady czy giną, czy się wynoszą, gdyż gruba warstwa tłuszczu nie pozwala im dostać się do mięsa. Z innych zwierząt obserwowałem jeszcze psy zarażone przez pchły świdrujące; memu wyżłowi kilkakrotnie wyjmowałem te owady z twardej podeszwy nóg. Zdaje mi się, że wszystkie zwierzęta kopytne (oprócz świń) są wolne od tej nieznośnej plagi.

W rozmieszczeniu orograficznem<sup>1)</sup> nigua sięga normalnie wysokości 6,000 stóp nad poz. morza, czyli mniej więcej granicy uprawy trzciny cukrowej, która charakteryzuje regiony gorące. Wyjątkowo jednak, lecz zwykle nielicznie spotyka się te owady aż po granicę kultury, czyli mniej więcej do 10,000 stóp nad poziomem morza.

Są to najważniejsze dane, jakie mi się zebrać udało o tej strasznej pladze Ameryki podzwrotnikowej. Niguycy dały mi się we znaki podczas bytności w Lechugalu: bywały dnie, że mi po kilkanaście naraz wyjmowano z mych nóg, a ponieważ każda ran-ka przechowuje zwykle po kilka dni rozdrażnienie, łatwo sobie wyobrazić, jak przykrem nieraz dla mnie było chodzenie na ekskursje. Nafta i w tym razie okazała się dość skuteczną: smarując

---

<sup>1)</sup> Rozmieszczaniem orograficznem nazywam rozpostarcie się jakiego gatunku w płaszczyźnie pionowej.

codziennie rano stopy moje tym płynem, zapobiegłem prawie zupełnie dalszemu wświdrowywaniu się owadów.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że na moskitach, komarach i niguach skończy się lista plag, w jakie obfituje Lechugal. Miejscowość ta posiada jeszcze w swej faunie maleńkiego, mikroskopowego kleszczyka, który przebijając skórę naszą sprawia świerzb nieznośny, a z czasem liczne owrzodzenia nóg naszych. Małe to stworzonko, zwane w Ekwadorze „coloradilla”<sup>1)</sup> lub „selemba”, a na wschodnim stoku Andów peruwiańskich — „ponga” — jest barwy czerwonej, a tak małe, że je gołem okiem jedynie na czarnym tle dostrzedz możemy. „Ponga” trzyma się w ogromnych ilościach na niektórych uprzywilejowanych roślinach, osobliwie zaś na licznych trawach (*Gramineae*), skąd dostaje się na ciało ludzkie. Miejsce, gdzie taki maleńki akaryd siedlisko obrał, poznać można po małym, czerwonym pryszczyku i po nieznośnym świerzbie, trudnym do zwalczenia. Przy niezwyklej obfitości tych kleszczyków całe nasze ciało, głównie jednak nogi, są pokryte tymi pryszczykami, które z wolna zamieniają się na wrzodzianki, a z tych powstają jątrzące się rany. Obrażenia te w nocy powodują świerzb tak szalony, że pomimowoli we śnie rozdrapujemy je, przedłużając do nieskończoności zagojenie.

Już wkrótce po przybyciu do Lechugalu zaczęły się pojawiać na mych nogach owrzodzenia, które starałem się leczyć, smarując kolejno łojem, naftą, fenolem, lecz zawsze bezskutecznie; później dopiero dowiedziałem się, że siarka jest jedynym radykalnym lekarstwem na ten rodzaj świerzby. Liczba ran rosła stopniowo i każda z nich powiększała się także w skutek ciągłego drapania. Pomimo jednak przykrego bólu, jaki mi sprawiały owrzodzone, a nadzwyczaj czułe miejsca, przy chodzeniu, kontynuowałem wycieczki me w okolicach; nieraz buta włożyć nie mogłem, gdy się nowa wrzodzianka uformowała; wychodziłem wtedy boso. Łada dotknięcie najmniejszej gałązki sprawiało mi ból dotkliwy, lecz nie mogłem pogodzić się z myślą siedzenia w domu, kiedy wkoło mnie ptactwo nieznanne świergotało i kręciło się. Każda wycieczka dawała jakieś rzeczy nowe i ciekawe, a wtedy sama myśl, że trzeba będzie to wszystko przerwać i do łóżka na kilka tygodni położyć się, przejmowała mnie dreszczem, obciążając myśl moją ołowiem smutku. Jeżeli który z was, czytelnicy, doznał kiedy podobnego położenia, kiedy czując się zdrowym na ciele, widzimy członki nasze sparaliżowane, odmawiające posłuszeństwa, ten zrozumie całą przykrość mej sytuacji.

Na razie jednak nie poddawałem się dolegliwości, starając się ją zwalczyć energją. Włóczyłem się codziennie na ekskursje, chromając zwykle na mych obolałych od nigu i pongi nogach, — raz boso, to znów w łapciach własnej roboty. Kilka dni jednak

---

<sup>1)</sup> Od wyrazu „colorado” — czerwony.

po dokuczliwej operacji z pierwszemi niguami zmuszony byłem w domu pozostać, a wówczas poczciwy Jelski, strzelał i dla mnie ptaszki, abym miał w domu zajęcie, pozostawiając mi zawsze wybór pomiędzy zdobytymi okazami. Dzięki temu przerwy w robocie nie było i kolekcje rosły, o ile na to przykry stan ciała pozwalał.

Rzut oka na przyrodę doliny rzeki Zarumilla poznajomi nas z tą ciekawą okolicą, stanowiącą przejście od jałowych wzgórz do wilgotnych lasów Pomorza ekwadorskiego. Przejściowy ten charakter odbija się nie tylko na florze i faunie okolicy, lecz także na jej klimacie. Rzeka Zarumilla nie stanowi wprawdzie granicy etnograficznej, gdyż widzieliśmy, że indyjskie plemię „montubios“ sięga aż po Tumbes; lecz zato jako granica klimatyczna, a w skutek tego i fytograficzna ważną odgrywa rolę.

Dolinę rzeki podzielić można na dwa tarasy, z których jeden — niższy — nazwiemy przyrzeczym, a drugi — pasem brody Absalona (*Tillandsia usneoides*), nadającej mu właściwy charakter. — Sama rzeka Zarumilla jest nieznacznym strumieniem, który podczas lata wysycha nieraz zupełnie, pozostawiając tylko tu i owdzie kałuże wody. Nawet podczas dżdżów przejść ją można w bród, który ginie tylko chwilowo podczas silniejszych ulew, spadających podówczas w odnogach Andów ekwadorskich, skąd Zarumilla początek bierze. — Dno rzeki pod Lechugalem jest piaszczyste. Na łukach strumienia tworzą się małe równinki z białego piasku na którym porasta niewysoka i cienkopienna akacja (*Acatia punctata?*) o drobnem, koronkowatym ulistwieniu.

Mulasty grunt tarasu przyrzecznego nosi na sobie bujną roślinność, złożoną z wysokich drzew i podszycia, jakie tworzą nizkie, lecz gęste krzewy, poplątane zwojami ljan. Pomiędzy drzewami przeważa wysoki „hebano“, który oprócz nazwy, niewłaściwie przez krajowców nadanej, nic wspólnego z prawdziwym hebanem nie posiada. Cecropje, właściwe lasom wilgotnym, a porastające na przyrzecznym tarasie, wskazują na jego przejściowy charakter.

Dwie pory roku, to jest wilgotna (od grudnia do kwietnia) i sucha (od maja do listopada) sprowadzają radykalną zmianę w krajobrazie przyrzecznego tarasu w skutek tego, że wielkie drzewa i nizkie podszycie niejednocześnie liściem się okrywają. Gdy bowiem podczas ulew wielkie drzewa pozbawione są zupełnie liści, wówczas pokrycie stanowi gąszcz wielki, ograniczający bardzo widnokrąg krajobrazu; przeciwnie zaś w czasie posuch nizkie krzewy tracą liście, a wielkie drzewa dostają je wtedy, co łatwo objaśnić sobie korzystaniem z wody zaskórnej, którą ssą głęboko sięgające korzenie. Łatwo jest zrozumieć, jak ta zmienność wpływa na charakter krajobrazu: w zimie nizki gąszcz, z którego wznoszą się wysokie, lecz obnażone drzewa; w lecie znów drzewa z gęstymi koronami, a pod nimi gołe badyle krzaków.



Górny taras, nazwany przez nas „pasem brody Absalona” wzniesiony jest nieznacznie ponad przyrzecznym. Poznaliśmy go już w głównych zarysach podczas naszej podróży z Tumbezu do Lechugału. Jest to las, a raczej zbiorowisko niewysokich, rozłożystych, koszlawych drzew (*Erythrina*), bujnie pokrytych zwieszającymi się splotami siwej brody Absalona, przygluszającej prawie zupełnie liście koron. Tu i owdzie wznoszą się potężne rozdęte pnie brzuchalów (bombaxów) o zielonej korze, ostrych stożkowych kolcach i konarach olbrzymich. Grunt pokrywa piękna zielona trawa, niby sztuczny gazon parków angielskich. Podszycie spotyka się niewszędzie: składa go przeważnie wijąca, szerokolistna roślina, zwana przez krajowców „borrachera”<sup>1)</sup> (*Ipomea*), ściętniająca miejscami horyzont. Kwitnie ona w początkach maja, wtedy właśnie gdy schnąć zaczyna. Wielkie jej fioletowe kwiaty rozwijają kielichy w nocy, a w dzień zamykają, co bardzo wpływa na lokalną zmianę krajobrazu. Tu i owdzie wśród erytrynowych zarośli napotyka się małe jeziorko, uformowane przez deszcze. Widzieliśmy już, że na jeziorkach takich trzyma się kulik (*Totanus solitarius*) i nureczek (*Podiceps dominicus*). Miły widok przedstawiają te zbiorniki wody o lustrzanej powierzchni, odbijającej okoliczną zieleni. Z ustaniem deszczów woda szybko ulatnia się i na jej miejscu pozostaje szara popękana powierzchnia.

Pora sucha sprowadza w pasie brody Absalona równie radykalne zmiany, jak i na wzgórzach, skąd też zarośli erytrynowych stanowczo nie można zaliczać do kategorii lasów wilgotnych. Już pod koniec kwietnia drzewa szybko liście tracą, trawa się zsyca, „borrachera” świecić zaczyna gołymi, poplątanymi bądylami. Krajobraz szybko szarzeje, brzydnie. Obnażony grunt, pokryty przedtem świeżą zielenią równej trawy, razi teraz oczy nasze swą gołizną. W całym krajobrazie pozostały tylko ciemno-brunatne pnie i konary drzew, siwa broda Absalona, którą lekki wiatr porusza, i szary, zlekka zwirowaty grunt; tylko tu i owdzie porastające krzewy przechowały jeszcze nieco zieleni, jakby na przypomnienie tego życia, które tu przed niedawnym tętniało.

Fauna doliny Zarumilli nosi na sobie jak i flora charakter przejściowy, zaznaczony obecnością licznych gatunków, należących do rodzin wyłącznie leśnych.

Prócz tego okolica ta posiada niektóre formy sobie tylko właściwe, przez co uważaną być może za typ okolic samodzielny, na równi prawie ze „Wzgórzami”. Powtarza się też tu ogólne prawo, że obfitszej roślinności towarzyszy zawsze bogatsza fauna, co innymi słowami da się wyrazić w aforyzmie, że życie roślinne zapładnia życie zwierzęce.

Ssaki jednak doliny Zarumilli nie są obfite, ani bardzo rozmaite, a większość ich bodaj należy do fauny Tumbezu: sarna gąszczowa, mrówkojad, lisek pustyniowy (jak się zdaje bardzo tu

<sup>1)</sup> Borrachera, hiszp.—znaczy dosłownie pijatyka. Roślina ta jest bardzo silną trucizną dla koni i bydła rogatego

rzadki), dydelf i kilka gatunków myszy, lub nietoperzy, są wspólnymi mieszkańcami obu okolic. Sąsiednie zaś lasy wilgotne, oprócz jaguara, który tu rzadko zachodzi, nie posiadają w dolinie Zarumilli swych czworonogich przedstawicieli. Posiada jednak Zarumilla jednego ssącego, sobie wyłącznie właściwego, a mianowicie wiewiórkę (*Sciurus stramineus*), bardzo licznie spotykaną w pasie brody Absalona. Dość powiedzieć, że razu pewnego zabiłem w ciągu pół godziny 5 sztuk tych zwierzątek, nie uganiając się bynajmniej za nimi. Wiewiórki są wogóle rzadkie nawet w wilgotnych, bogatych w roślinność lasach amerykańskich; często przy całodziennem włóczeniu się po lesie nie spotkasz ani jednej. Godną więc jest uwagi obfitość tych zwierzątek w ubogich stosunkowo zaroślach doliny Zarumilli.

Rozróżniając trzy wybitne typy okolic prowincji Tumbezu i sąsiedniego ekwadorskiego kantonu Santa-Rosa, a mianowicie jałowe, ubogie w roślinność „Wzgórza“, dalej zarośla erytrynowe Zarumilli, które możemy podciągnąć do ogólnego typu *lasów schnących* i wreszcie wilgotne lasy sąsiednich odnóg Andów ekwadorskich, znajdziemy, że typ pośredni, a mianowicie lasy schnące, pod względem ornitologicznym przedstawia cechy przejściowości od „Wzgórz“ do lasów wilgotnych, co znaczy, że część gatunków ptaków, spotykana w tym obszarze należy do jednego, a druga— do drugiego z dwu krańcowych typów. Oprócz tego jednak lasy schnące, jako typ samodzielny, posiadają wiele gatunków sobie właściwych. Tego rodzaju okolice, co Zarumilla, spotykają się na znacznych obszarach południowej części pomorza ekwadorskiego, choć różnią się od pasa brody Absalona brakiem właśnie tej brody. W ogólnych jednak rysach podchodzą do tej samej kategorii lasów schnących i fauna ich jest w części samodzielną. Wybierając z najbardziej wybitnych ptaków każdego z trzech regionów znajdziemy:

Z pomiędzy ptaków właściwych „Wzgórzom“ znanego nam już garniarza (*Furnarius cinnamomeus*), który swym donośnym, chromatycznym głosem tak ważną rolę odgrywa w harmonji okolicy, dalej „jergona“ (*Campylorhynchus balteatus*), małą papużkę pomorską (*Psittacula coelestis*), tangarę modroskrzydłą (*Tanagra cana*) i wiele innych mniej wybitnych gatunków.

Sąsiednie lasy Ekwadoru dostarczają faunie Zarumilli sporego kontyngensu ptaków, nie spotykanych nigdy na jałowych wzgórzach. Pomiedzy nimi pierwsze miejsce zajmują dwa gatunki pilików (*Trogonidae*), z których jeden czerwono brzuchy (*Trogon melanurus*) posiada cały wierzch i przód szyi ciemno-metalicznie zielony, a brzuch pąsowy. Jest to ptak nieruchliwy, poważny: siedzi zwykle spokojnie na niższych gałęziach drzew, wylatując od czasu do czasu w powietrze, aby zerwać jagodę z krzaku, lub złowić przelatującego owada. Miejscowi zwa go „paloma vaquera“, coby można przetłumaczyć „gołąb-pasterz.“ Do gołębia tak ten ptak podobny, jak i kawka, którą nasz ornitolog z XVIII wieku, ks. Kluk, „gołębiem-kawką“ nazywa; swe zaś czynności pasterskie

ogranicza na tem chyba, że od czasu do czasu spojrzy na włóczące się bydło rogate. Drugi gatunek trogona, o brzuchu żółtym i wierzchu ciała ciemno-granatowym (*Trogon caligatus*) podobne ma obyczaje, co i pierwszy. Żaloszny jego, trzy - sylabowy głos rozlega się niekiedy wśród gąszczy nadrzecznych.

Momot, lub „relojero“ (zegarmistrz) miejscowej ludności (*Momotus microstephanus*) należy także do wybitnych leśnych gatunków. Jest to ptak wielkości sójki o upierzeniu szaro-brunatnem, ozdobionem na głowie czarną z niebieskiem czapeczką. Na przodzie piersi kilka czarnych piórek tworzy jakby lżę na szaro-brunatnem tle: jest to cecha właściwa wszystkim gatunkom momotów. Najbardziej jednak ciekawą częścią tych ptaków jest ogon, w którym dwie środkowe sterówki wydłużają się, a obnażone z chorażgiewki w znacznej części, rozszerzają się na końcu w rodzaj dwu łopatek. Już ten ustrój dwu sterówek ogona czyni je podobnemi do wahadła zegarowego, a trzeba wiedzieć, że momot ma osobliwy zwyczaj miarowego poruszania od czasu do czasu swym ogonem na prawo i na lewo w pauzach mniej więcej sekundowych, co jeszcze bardziej przypomina ruch wahadła. Stąd też krajowcy nazwali go zegarmistrzem, choć właściwie należałoby go zegarem przezwąć.

Tu też spotkaliśmy po raz pierwszy miłą i tak często po domach peruwjańskich spotykaną papużkę guayaquilską (*Brotogerys pyrrhoptera*). Liczne ich stada nadlatują w porze dżdżystej z sąsiednich lasów guayaquilskiego okręgu, żerując na drzewach, pokrytych w tym sezonie owocami. Słychać ich szczebiotanie zdaleka: zbliża się ku nam. Stado złożone z kilkudziesięciu, a nieraz setki sztuk, gwaro nadleciało na jedno z wyniosłych drzew, wśród gęstej korony którego znikło dla naszego oka, mieszając się swem zielonem pierzem z zielenią liści. Dopiero, gdy się pilniej wpatrzymy, zobaczymy, jak jedne łuszczą owoce, gdy inne siedzą spokojnie parami, pieszcząc się i całując. Szczebiotanie ich rozlega się daleko, napelniając okolicę gwarem niezwykłym. Zagrzmiał nasz strzał i całe stado z krzykiem zrywa się, opisuje duże koło i wraca znów na drzewo, nie zdając sobie sprawy, skąd huk pochodził; niejedna z biedaczek nie doliczy się swego towarzysza; napróżno szczebiocze i kręci się, szukając małżonka, który zawisł już u torby myśliwca. Papużki te posiadają osobliwy zwyczaj kolonialnego gnieźdzenia się w gniazdach termitów. Stamtąd wybierają je krajowcy i sprzedają do Guayaquilu, skąd się rozchodzą w znacznych ilościach po całym pomorzu peruwjańskiem, a nawet i do Chili wywożone bywają. Wszyscy je lubią i chowają dlatego, że z łatwością naśladowują różne głosy i wyczuwają się niektórych wyrazów, szczególnie zaś „perriquito“, <sup>1)</sup> który jest ich własną nazwą miejscową.

<sup>1)</sup> *Perico* lub *perriquito* zdrobniała nazwa Pedro (Piotr); Hiszpano-amerykanie nadają tę nazwę wszystkim gatunkom małych papug; większe zaś zwa „loros“ lub „loras“.

Leśna rodzina pełzaczy amerykańskich (*Dendrocolaptidae*) posiada też paru przedstawicieli w zaroślach zarumillańskich, a między nimi osobliwego szablodzioba (*Xiphorhynchus thoracicus*). Jest to ptak wielkości szpaka, o zabarwieniu na przemiany szarem i kasztanowatym, z jasną pstroczną na gardzieli i karku. Dziób posiada bardzo długi, szczupły i szablowo zgięty. Ktoby nie znał obyczajów szablodzioba, nie wiedziałby do czego mu służy ten organ niezwykle rozwinięty. Przyglądając mu się jednak pilnie, spostrzedz łatwo możemy, że gdy pełza po prostopadłych pniach drzew, szpera nim w zagłębieniach kory, w dziurach i dziuplach, gdzie łowi kryjące się owady.

Sąsiedztwo lasów wilgotnych uwydatniają jeszcze w dolinie Zarumilli przedstawiciele innych rodzin, jak tyranów (*Tyrannidae*), kotingów (*Cotingidae*, reprezentowane przez rodzaje *Hadrostomus* i *Callopsaris*), oraz kilka gatunków kacyków (*Icteridae*), pomiędzy którymi najwybitniejszym przedstawicielem jest „culemba“ (*Cassicus flavicrissus*) piękny czarny ptak wielkości orzechówki, z białym dziobem, pięknie błękitnymi oczami, oraz żółtymi ramionami i nasadową częścią ogona. Stada ich złożone z kilkudziesięciu osobników obierają sobie siedlisko na jednym z wielkich drzew — zwykle na bombaksie — na którym zawieszają swe długie, workowate gniazda z brody Absalona. Gwar koło takiego drzewa wielki: co chwila nadlatują lub odlatują pojedyncze ptaki, wydając donośny fletowy głos; matki, zajęte wychowaniem potomstwa, kręcą się koło gniazd, załazą do nich i wkrótce znów odlatują, szukając pożywienia dla swych dzieci. Strzały nasze nie płoszą ich prawie wcale: co najwyżej kilka tchórzliwych ptaków odleci na sąsiednie drzewo, lecz i te wracają szybko, widząc, że ich towarzysze nie straszą się huk. Śliczny widok przedstawiają te piękne ptaki koloru czarnego z cytrynowym, gdy się po wielkich konarach bombaksów kręcą, napełniając krajobraz życiem i świetną barwą. Krajołowcy lubią je bardzo, gdyż się łatwo przyswoić dają, dostarczając swym chlebobdawcom ciągłej rozrywki. Wydobycie jednak młodych połączone jest zawsze z wielu trudnościami, gdyż ptaki umieszczają swe gniazda na końcach najcieńszych gałęzi drzew rozłożystych.

Kolibry, stanowiące ozdobę stref zwrotnikowej Ameryki, są nieliczne w dolinie Zarumilli. Zaledwie cztery gatunki udało nam się zdobyć lub obserwować w okolicach Lechugalú, a i to dwa tylko przebywają w porze suchej, a dwa podczas deszczów. Liczna ta rodzina odgrywa nadzwyczaj małą rolę w ogólnym obrazie życia zwierzęcego w dolinie Zarumilli.

Okolica ta posiada jeszcze w swej faunie ptaka, który zdaje się być jej tylko właściwym. Jest to kuropatwa leśna (*Crypturus rubripes*), opisana przez Taczanowskiego z jedyne go egzemplarza, jaki się Jelskiemu zdobyć udało. Sąsiedni dystrykt ekwadorski Santa-Rosa posiada inny gatunek tego samego rodzaju (*Crypturus transfasciatus*) rozciągający się aż pod Guayaquil i zapewne jeszcze

bardziej ku północy, pokąd sięgają lasy schnące guayaquilskiego obszaru.

Kuopatwa leczugalska obyczajem pokrewnych sobie gatunków trzyma się w gąszczu lub w trawach podleśnych, żerując na ziemi. Charakterystyczny jej głos, złożony z donośnego i czystego świśnięcia, posłyszeliśmy po raz pierwszy w podróży naszej z Tumbezu do Lechugalu. W marcu i kwietniu rozlega on się rankami i po zachodzie słońca na wszystkie strony, pomimo, że ptaków samych widzieć nie można; tylko czasami spłoszona kuopatwa zerwie się łopotliwie z pod naszych nóg i przeleciawszy nieznaną przestrzeń, zapadnie w trawę. Świstanie kuopatw jest ich głosem wabiącym; słyhać go tylko w porze dżdżystej, podczas której dla ptaków tych przypada epoka miłosnych zapasów. W końcu marca starki wodzą już małe stadka swych dzieci, złożone z 6—8 sztuk. Krajowcy polują na tę kuopatwę dla jej doskonałego mięsa; nie umiejąc jednak strzelać w lot, muszą je wypatrywać na ziemi, co w porze dżdżystej, przy dość wysokiej trawie, jest rzeczą prawie niemożliwą.

Ptactwo drapieżne ma w dolinie Zarumilli licznych przedstawicieli, liczniejszych niewątpliwie, aniżeli we wszystkich innych okolicach Peru, przezemnie zwiedzanych. Sokolów jednak brak tu zupełnie, gdyż ptaki te więcej miejsc otwartych, aniżeli gąszczów trzymać się zwykły. Leśne gatunki drapieżników amerykańskich karmią się przeważnie jaszczurkami, żabami, węzami, małymi ssącymi, które nieraz z gniazd wykradają, w części zaś owadami lub drobniejszymi ptakami, które im się niekiedy złowić udaje. Jest to niższa kategoria ptaków drapieżnych, oddalonych bardzo od szlachetnego typu sokołów lub orłów. Między innymi trzyma się w dolinie Zarumilli osobliwy ptak, należący do tego rzędu, a zwany przez miejscowych „valdivia” (*Herpetotheres cachinnans*) stworzenie pół-dzienne, pół-nocne, o głowie dużej, przypominającej nieco głowy sów. Spotkać go można dniem spokojnie siedzącego na drzewie; wieczorem słyhać jego żalony głos, jakby *kakau*; głos ten rozlega się niekiedy nocną porą. W wolu zabitego rankiem egzemplarza znalazłem świeżo zjedzone, wielkie—krocionogi (*Scolopendra*), które są stanowczo stworzeniami nocnymi, kryjącymi się w ciągu dnia pod korą drzew lub w spróchniałych pniach; przypuszczać więc należy, że „valdivia” nocną porą łowom się oddaje.

Najwspanialszym jednak drapieżnikiem okolicy jest „aguilon” (*Thrasaëtos orniatus*) należący do tego samego rodzaju co i straszna harpia (*Thrasaëtos harpia*), tylko znacznie odeń mniejszy. Jedyne egzemplarz widziany przez nas, zabity został przez jednego z synów Ortiza. Obok niego wymienić też muszę węzajada—„culebrero” krajowców (*Geranospiza coerulescens*), pięknego, siwego jastrzębia, który zdaniem miejscowej ludności karmi się przeważnie węzami, choć myśmy młode wiewiórki, świeżo z gniazda wyjęte, znaleźli w wolu jednego z zabitych okazów. Inny znów piękny

kasztanowaty myszołów (*Urubitinga meridionalis*), karmi się przeważnie wielkimi ropuchami (*Bufo transandinus*).

W dolinie Zarumilli spotyka się gdzieśgdzie dość znaczne jeziora, których oś wielka zachowuje kierunek doliny. Podobne jeziora, zwane w systemie Amazonki „cochas“ zdają się być właściwością wszystkich dolin, utworzonych przez namulenie, przy współdziałaniu gąszczy manglowych, o czym we właściwym miejscu obszerniej pomówię. Najznaczniejszem z tych jezior w okolicach Lechugału jest „Pozo de Lambedero“, liczące  $\frac{3}{4}$  wiorsty długości przy  $\frac{1}{4}$  szerokości. Z wyjątkiem samego środka i kilku smug dośrodkowych, jezioro pokryte jest jakąś wodną rośliną, zwaną przez krajowców „lechuga“ (sałata) skąd i nazwa Lechugał powstała.<sup>1)</sup> Wśród jezior tych lub po ich brzegach trzyma się błotne i wodne ptactwo, które tu żer obfity znajduje. Białe czaple (*Ardea leuce*) sterczą niekiedy spokojnie na brzegu, odbijając się ostro od zieleni otaczających jezioro gąszczy; czasem zalatuje rzadka i ostrożna czapla królewska—„garza real“ (*Ardea cocoi*). Na obnażonych, suchych pniach, sterczących tu i owdzie ponad wodą siedzą spokojnie węzówki, (*Plotus anhinga*), ptaki podobne do kormoranów, lecz z szyją długą, przypominającą węża. Żaden jednak ptak nie spotyka się na zarumillańskich jeziorach w takiej obfitości, jak kaczka drzewna.

Kaczka drzewna (*Dendrocygna discolor*) zawdzięcza swą nazwę rodzajową osobliwemu zwyczajowi siadania na drzewach. Jezioro Lambedero jest dla niej zbiorowiskiem podczas pory dżdżystej—w lutym, marcu i kwietniu. Spotyka je się wtedy w znacznych ilościach, siedzące częścią na wodnej sałacie, z której główki im sterczą, a częścią na suchych pniach, okalających jezioro. Pod koniec pory deszczów kaczki rozbijają się na pary i lęgą się prawdopodobnie — przynajmniej w znacznej części — na małych, efemerycznych kałużach wody, tak licznie spotykanych w zarosłach zarumillańskich. Nazwa miejscowa „cuchivivi“ pochodzi od donośnego świstu, jaki kaczka ta wydaje, zwłaszcza, gdy nocną porą ciągnie z miejsca na miejsce. Krajowcy oswajają często te ptaki, które chętnie przebywają w towarzystwie kaczek domowych.

Wraz z kawką drzewną trzyma się na jeziorze Lambedero mała kurka wodna, zwana przez tubylców „gallareta“ (*Parra jacana*). Spód posiada czarny, skrzydła kasztanowate, uzbrojone na zgięciu w ostrogę, grającą zapewne ważną rolę podczas pasów miłosnych. Palce tego ptaka są niepomiernie wydłużone i służą mu do utrzymania się na liściach wodnych roślin. „Gallareta“ trzyma się stale wśród sałaty, po której chodzi z łatwością, dzięki swym długim palcom.

<sup>1)</sup> Przez dodanie końcówki *al* do nazwy jakiej rośliny Hiszpanie tworzą wyraz na oznaczenie miejsca gdzie ta roślina porasta i tak: *platanal* (bananiarnia) od *platan* (banan); *palmaal*—od palma. Niekiedy dla dźwięczności *l* końcowe zamienia się na *r*, jak np. w wyrazie *alfalfar* (pole lucerny) od *alfalfa* (lucerna). Kończówka ta (*al*) jest analogiczną z naszą *isko* lub *ysko* w wyrazach: *rżysko*, *pszeniczysko*, *kartoflisko* i t. p.

Według zdania krajowców, jezioro Lambedero, jak i wszystkie tego rodzaju zbiorniki wody w dolinie Zarumilli, obfituje w krokodyla (*Crocodylus occidentalis*), choć nam pomimo częstych wycieczek nie udało się widzieć ani jednego. Ortiz opowiadał nam, że złowił jednego, mierzącego 8 varas (6,72 metra) długości. Osobniki, trzymające się takich jezior i wogóle wód stojących, mają należeć do najniebezpieczniejszych, co łatwo objaśnić sobie można brakiem lub przynajmniej ubóstwem ryb w jeziorach zarumillańskich.

Przypuszczać należy, że kaczki i inne ptactwo wodne stanowi główne pożywienie krokodylów trzymających się w wodach stojących; niekiedy zaś zwierzęta domowe, jak kozy, cielęta lub psy stać się mogą pastwą tych potworów, gdy nieogłędnie zbliżą się do wody.

Widziałem też raz nad brzegiem jeziora Lambedero wielkiego węża, należącego prawdopodobnie do rodzaju *Eunectes* (anakonda). Pewnego przedpołudnia wziąłem był z sobą Antoniego, aby mi służył za wiosłarza przy polowaniu na jeziorze, gdyż kazaliśmy właśnie sprowadzić łódkę z sąsiedniej osady Lambedero. Wysiedliśmy już na ląd, gdy Antoni przypadkiem spostrzegł przez wąską szparę w zwalonym, wypróchniałym pniu drzewa, wielkiego węża. Zawołał mnie natychmiast i zaczęliśmy radzić, jak sobie postąpić w tym razie, aby węża dla kolekcji zdobyć. Przez szparę widać było kilka zwojów łuskowatego cielska, upstrzonego wielkimi czarniawymi kołami. Strzelać w szparę można było tylko z bardzo bliska, narażając egzemplarz na zbytek uszkodzenie śrutem. Po długich korowodach zdołałem namówić Antoniego, aby go kijkiem wystraszył, a ja miałem strzelać, gdy się w otworze dziupli pokaże. Nie przewidzieliśmy jednak, że spłoszony płaz zamiast nazewnątrz uciekać, skryje się jeszcze głębiej w wypróchniałym pniu, co się też i stało. Uradziliśmy więc, że jeszcze dnia tego po południu wrócimy z siekierą, główny otwór zatkamy, a szparę rozszerzymy i przez nią płaza dobędziemy. Gdyśmy jednak w kilka godzin potem przyszli, już węża w pniu nie było. Sądząc z grubości, był to największy wąż, jakiego mi się udało widzieć podczas całej mojej podróży.

Dział owadów nie jest ani licznie ani świetnie reprezentowany w dolinie Zarumilli; w rzędzie jednak tęgopokrywych (*Coleoptera*) posiada kilka wspaniałych przedstawicieli. Złotek olbrzymi (*Euchroma gigantea*) należy niewątpliwie do najokazalszych chrząszczy całego świata. Jest to owad na jakie 6 centymetrów długi, pokryty delikatnym żółtym pyłkiem, podobnym do likopodiowego. Starszy tę lekką powłokę, odkrywamy właściwą powierzchnią skrzydeł, pobródowaną drobnymi podłużnymi rowkami; różne kolory tęczy mienia się na niej pięknym metalicznym blaskiem. Lot posiada *Euchroma* potężny i wspaniały, zachowując zwykle prostą linię, lub niekiedy opisując śmiałe łuki. Silne burzenie, jakie przytem słyhać, rozchodzi się na znaczną odle-

głość. Owad ten pojawia się głównie w miesiącach zimowych (lutym, marcu i kwietniu); potem znika zupełnie.

Inny piękny owad z rodzaju *Phanaeus*, należy do tej samej rodziny, co i nasza zwykła krówka; wielkością też ją przypomina. Zagłowie (*thorax*) u samca przybiera siodłowaty kształt; z głowy wystaje długi, zlekka szablowlaty róg, zaginający się na zagłowie. Owad posiada piękną barwę zieloną z silnym metalicznym połyskiem. O zmierzchu słychać ich potężne burczenie, gdy się na pomiot bydlęcy zlatują.

Motyle, stanowiące prawdziwą ozdobę wilgotnych lasów zwrotnikowych, są stosunkowo nieliczne w schnących lasach porzecza Zarumilli; barwy też ich nie są tak świetne, jak pospolicie bywają na tych owadach, trzymających się stref gorących. Pojawiają się tu jednak niektóre gatunki leśnej grupy *Heliconiae*, właściwej wszystkim puszczeniom zwrotnikowej Ameryki. Są to motylki średniej wielkości o skrzydłach dość długich i pięknie zaokrąglonych. Zwykła ich barwa bywa czarna, urozmaicona czerwonymi lub żółtymi plamami; niektóre znów gatunki posiadają skrzydła przezroczyste, niknące prawie zupełnie dla oka w czasie poruszania. *Heliconiae* trzymają się zawsze cienistych miejsc lasu, latając swym wolnym, słabym lotem po ścieżkach lub gąszczach puszczy.

Inny znów motyl należący do rodzaju *Ageronia* zwykły siadać na prostopadłych pniach drzew, obracając się zawsze głową ku dołowi. Roztwarte skrzydła przykłada do kory drzewa, do której tak dalece barwą podchodzi, że go tylko wprawne oko entomologa odkryć może, gdy taką nieruchomą pozycję zachowuje. Motyl ten wydaje w locie skrzydłami dość silny trzask, któryby można porównać do trzasku potartej zapalki. Odgłos ten, zależący widocznie od woli owada, daje się słyszeć niekiedy tylko, zwłaszcza gdy się para motyli ugania za sobą. Gdy o tym szczególnie zwyczajnie pisał do prof. Antoniego Wagi, uczony ten dość sceptycznie zapatrywał się na moją relację; mogę jednak ręczyć za sumiennosc obserwacji, którą powtarzałem nie tylko w dolinie Zarumilli, lecz i w innych miejscowościach, przez nas eksplorowanych, zwłaszcza zaś nad górnym Maranonem.

Kończąc mój szkic fauny porzecza Zarumilli, zwrócić muszę uwagę czytelnika, że zmiany pór roku pociągają za sobą ważne zmiany w życiu zwierzęcem, które słabnie z nadejściem pory suchej. Część przedstawicieli świata zwierzęcego znika zupełnie, gdyż jedne przebywają długi sen letni, gdy inne wynoszą się do okolic wilgotnych, głównie do sąsiednich obszarów guayaquilskich. Zmiany te, zależne od pór roku, czuć najwięcej na ptactwie, które niedalekie przeloty odbywa. Wiemy już, że lasy schnące Zarumilli leżą pośrodku dwu tak różnych obszarów, jak jałowe wzgórze tumbeskie i wilgotne lasy guayaquilskiego obszaru. Łatwo więc zrozumieć, że rozwinięcie się roślinności w porze dżdżystej zbliża swymi warunkami ten pas pośredni do lasów wilgotnych, gdy przeciwnie, pora sucha, niszcząca czasowo część flory, czyni ten obszar podobnym do sąsiednich „Wzgórz“. W skutek



tego podczas deszczów znaczna część ptaków nalatuje z lasów wilgotnych, znikając z nadejściem suszy, a wówczas na ich miejsce przybywają niektóre gatunki ptaków, właściwych wzgórzom.

Tę zmienność awifauny zarumillańskiej zauważyć mogliśmy, gdyśmy następnie w miesiącu październiku zrobili wycieczkę do Lechugalu. Pierwsza nasza wyprawa w początkach marca wypadła w czasie największego rozwoju życia roślinnego i zwierzęcego; druga znów dała nam poznać chwilę anti-kulminacyjną tego rozwoju. Rezultat pobieżnego porównania ptactwa, trzymającego się w tych dwu różnych porach roku, był następujący:

Niektóre ptaki należące do rodzajów leśnych znikły zupełnie w październiku, jak np. culemba (*Cassicus flavicrissus*) i przedstawiciel koting (*Hadrostomus homochrous*), które przedtem należały w okolicach Lechugalu do najpospolitszych ptaków; wielki też tyran (*Myiodynastes audax*), bardzo często w marcu spotykany, wyniósł się także zapewne do sąsiednich lasów wilgotnych. Natomiast pojawił się tyran właściwy wzgórzom (*Myiodynastes Bairdi*), oraz kilka innych gatunków, charakteryzujących dość jałowe okolice ujścia rzeki Guayas (Guayaquil).

Dwudniowy pobyt w październiku nie pozwolił na skrupulatne przeprowadzenie porównania, któreby niewątpliwie wykazało daleko większą liczbę gatunków, odbywających przeloty stosownie do pory roku.

---

Nazwałem zarośla zarumillańskie lasami schnącymi, gdyż podlegają częściowemu letargowi w czasie pory suchej, która zwykle do 8-miu miesięcy (od kwietnia do listopada) się ciągnie. Podróż moja, jaką w kilka lat potem do Ekwadoru odbyłem, nauczyła mnie, że podobny typ okolic sięga aż pod Guayaquil, a prawdopodobnie posuwa się jeszcze o jeden stopień geograficzny bardziej ku północy. Tym sposobem obejmowałby on całą południową część pomorza ekwadorskiego — od oceanu do podnóża Andów,—gdzie się zaczynają lasy wilgotne. Pas ten lasów schnących rozszerza się, lub zwęża stosownie do tego, czy Kordyliery zbliżają się, lub oddalają od brzegu morskiego. Nadmienić jednak muszę, że lasy schnące okolic Guayaquilu tem się różnią od zarumillańskich, że w nich brak prawie zupełnie brody Absalona.

O ile zaś mogę sądzić z opowiadania mieszkańców, w Peru typ ten okolic ciągnie się u podnóża Kordylijerów nieco na południe od Tumbezu, kończąc się prawdopodobnie pod 4<sup>o</sup> lub 5<sup>o</sup> szerokości południowej. Dalej ku południowi miejsce jego na podgórzach Kordylijerów zajmuje znany nam już typ okolic „Las lomas“.

## ROZDZIAŁ VII.

### Palmal.

Jeszcze przed wyjazdem naszym do Lechugalu slyszeliśmy kilkakrotnie opowiadania o wielkich lasach, zalegających przymorską część rzeczypospolitej Ekwadoru. Na pytania, zadawane przez nas w tej materji, objaśniano nas, że są to wielkie puszcze, obfitujące w zwierzynę wszelkiego rodzaju, zaczynając od jaguara i amerykańskiego dzika, zwanego „pekari“, a kończąc na leśnych kuropatwach, penelopach i ptastwie różnego rodzaju. Przywykłym do jałowego widoku okolic Tumbezu, czyniły na nas te opowiadania wrażenie jakiejś legendy o zaczarowanym kraju. Jelski, znający już wspaniałe lasy Guyany francuskiej i wschodniego Peru, pragnął odnowić znajomość z cudami Przyrody, tak obficie rozsianymi wśród dziewiczych puszczy Ameryki Południowej; mnie znów ciągnął nieprzeparty magnes ciekawości do tych krain, które znałem dotychczas jedynie z opisów podróżników, lub z opowiadań Jelskiego. Często powtarzana nazwa „Palmal“, jaką nosi las ekwadorski, leżący najbliższej granicy peruwjańskiej, budziła we mnie żywą chęć dostania się raz przecie do tego raju, w którym różnobarwne ptastwo i motyle czyniły w mej wyobraźni wrażenie latających kwiatów.

Wycieczka do Lechugalu ułatwiła nam zwiedzenie tych lasów; byliśmy u drzwi zaczarowanego pałacu; jakżeż więc nie wejść do niego? Ortiz, który posiadał czakrę w Palmalu <sup>1)</sup>, twierdził, że dzieli nas tylko odległość 5 godzin drogi, a opowiadania jego o przyrodzie tych okolic podniecały w nas coraz bardziej chętkę udania się tam choćby na kilka tygodni. Nie mając też danych co do naukowych eksploracji Ekwadoru, przypuszczaliśmy, że regjon ten nie był przez nikogo badany, co nam robiło nadzieję zdobycia wielu rzadkości, a może nawet i nowych dla nauki gatunków. Później dopiero dowiedziałem się, że podobne, co

<sup>1)</sup> Objaśniłem już tworzenie się wyrazów z końcówką *al* lub *ar*. Dodam więc, że w niektórych okolicach Ekwadorskiego Pomorza mówią Palmar, a nie Palmal, uważając widocznie pierwszy z wyrazów za dźwięczniejszy.

Palma, okolice ekwadorskiego pomorza badane już były, dość zresztą powierzchownie, przez Anglika Frasera, a fauna ich ornitologiczna znana już jako taka z kolekcji, przesłanych przez niego, oraz przez cały zastęp strzelców ekwadorskich, trudniących się zbieraniem ptaszków świetnie ubarwionych, które na handel do Europy przesyłali.

Ten wzgląd jednak nie powstrzymałby nas bynajmniej, gdyż z doświadczenia wiedzieliśmy, że nawet okolice badane już dość skrętnie przez naszych poprzedników, dawały zawsze pewien, często nawet dość znaczny procent, gatunków nowych dla nauki. I tym razem fakta potwierdziły nasze doświadczenie, gdy badając następnie wraz z Siemiradzkiem w latach 1882 i 1883 podgórze Andów ekwadorskich, znaleźliśmy znaczną ilość nowości w faunie ornitologicznej tych okolic.

Prowizoryczne wycieczki, jakie najprzód Jelski, a po nim i ja, do Palmału zrobiliśmy zdecydowały nas do przeniesienia się choć na kilka tygodni do tych wspaniałych lasów. Wprawdzie stan mego zdrowia był nieświetny, obolałe nogi często dawały znać o sobie, lecz cóż znaczą dolegliwości cielesne w obec świętego zapału naturalisty-poety? Perspektywa życia w lesie, na swobodzie, pierśią w pierś z najcudniejszą Przyrodą, tłumiała nawet głos rozsądku, który radził kilkotygodniowy spoczynek i leczenie nóg poranionych. Nie pytałem się, jak chodzić będę na wycieczki codzienne, wiedziałem tylko, że chodzić będę, trawiony gorączką myśliwego-przyrodnika.

Przygotowania nasze do tej nowej wyprawy trwały krótko, gdyż zapas narzędzi i przedmiotów, niezbędnych w życiu kolektorskim, był dość ograniczony. Ortiz wynajął nam parę koni i osiołków do przewiezienia rzeczy, dodając nam obu swych synów na poganiaczy i tak w początkach kwietnia 1876 roku ruszyliśmy ku nowej naszej siedzibie. Towarzysz mój i ja szliśmy piechotą, choć przyznać muszę, niebardzo dowierzał moim schorowanym nogom. Puściliśmy chłopców z ładunkiem naprzód, a sami zdążyliśmy w arjergardzie, przyglądając się pilnie leśnemu krajobrazowi.

Przeszedłszy w bród rzekę Zarumillę, znaleźliśmy się w posiadłościach Ekwadoru. Droga prowadziła czas jakiś okolicą, podobną do lechugalskich zarośli, wkrótce jednak dość szybka zmiana zwróciła już naszą uwagę. Grunt stawał się coraz to bardziej falistym, a roślinność w miarę tego bogatszą; stąpaliśmy po dolnych rozgałęzieniach Kordyljerów. Wzrok nasz lubował się wyniosłymi drzewami, gęstymi splotami ljan, które urozmaicały wielkie fioletowe kwiaty powoju; nogi grzęzły coraz więcej w błocie; znać było, że wkraczamy do krainy wielkich deszczów. Gdyśmy wreszcie po paru godzinach marszu dobrnęli do nowej przeprawy na Zarumilli, która tu znaczny łuk opisuje, zmiana w krajobrazie była kompletną, a zachwyty mój nie miał granic. Pióro mi z ręki wypada, gdy się do kreślenia tych widoków biorę; czuję się w położeniu ptaka, któremu skrzydła ucięto.

Szeroka, błotnista droga prowadzi do brodu; nogi bydłał grzęzną po kolana; słychać ciągle chlubotanie wody i grząskiego błota. Na prawo i na lewo wznoszą dumnie swe korony wyniosłe drzewa, okryte gęstymi zwojami ljan i powojów, podobne do słupów, umiejętnie ręką ludzką ubranych. Powoje tworzą całe ściany wspaniałej zieleni, poza którymi kryje się las wilgotny i gorący. Drogą ciągną leniwie olbrzymie błękitne motyle, kąpiąc się w jaskrawych promieniach zwrotnikowego słońca; puszcza jednak milczy, gdyż skwarne godziny dnia są chwilami spoczynku dla jej licznych mieszkańców. Niekiedy tylko pojedynczy głos zdradzi, że pod tym całunem zieleni tętni życie, uśpione południowym gorącym.

U brodu widok jeszcze piękniejszy. Niewielki strumień szumi wśród porzuconych kamieni; zwirowate dno widać jak przez tafelę czystego szkła o powierzchni zlekka falistej i ruchomej. Przepyszny bambus kolczasty wznosi się po obu stronach strumienia ścianami delikatnej zieleni, a przerzucając się z jednego brzegu na drugi—tworzy wspaniałe łuki, ozdobione drobnym, pierzastym liściem. I na tych wyniosłych trzcinach powój rozpostarł swe panowanie, otaczając węzłowe łodygi swemi cienkimi, pełnymi liścia zwojami. Ponad gęstwą bambusową wystrzelują ku niebu pnie palm, ubrane w rozkoszne pęki pierzastych liści, z pośrodku których wznosi się szpicem najmłodszy z nich, zwinięty jeszcze w rurkę. Ku górze tło krajobrazu stanowi ciemna zieleń wysokich drzew, a nad nią piękny, delikatny błękit nieba, upstrzony tu i owdzie białym obłokiem.

Nikt nie jest w stanie zrozumieć z opisu całego zachwyty, jakiemu ulegamy w chwili zetknięcia się po raz pierwszy ze wspaniałą podrównikową przyrodą. To, cośmy dotychczas znali tylko z zimnych, małowiąjących sztychów, lub z nędznych reprodukcji cieplarnianych — stoi teraz przed nami w całej swej okazałości i czarodziejskim przepychu, oblane żywym światłem równikowego słońca, ziejące ciepłą wilgocią leśnej atmosfery. Ten krajobraz majestatyczny i spokojny zarazem, pełen poważnej zieleni, światła i cieniu podnosi ducha naszego ku Panu Wszechrzeczy, umoralnia nas, dowodząc wyraźnie, że świat był, jest i będzie pięknym, o ile go człowiek nie oszpeci. Jednocześnie dziwić się nie przestajemy, jak te ślepe żywioły, te siły bezwiedne, regulujące porządek w dzikiej przyrodzie, obdarzone są poczuciem piękna, w obec którego wszelkie wysiłki inteligentnej twórczości człowieka są tylko albo marną reprodukcją tejsze przyrody, albo smutnem dążeniem do osiągnięcia monotonnej symetrii. Wszak ślepo, bezwiednie działa i to ciepło, które pobudza życie w kielkującej roślinie i ten deszcz ulewny, który grunt ryje głębokimi brózdami i ten uragan, walący niebotyczne, przeżyte drzewa i ten prąd szalony wezbranego strumienia, toczący w swych nurtach głazy kamienne, które gdzieś w dole bezładnie porzuca. A jednak kombinacja tych wszystkich żywiołów układa przedmioty w całość niedościgle piękną, może właśnie dlatego, że brak w niej

zupełnie śladów dążenia do konwencjonalnej symetrii. Wszystko jest naturalne, pozbawione wszelkiej naciąganej pretensji, świeże i dziewicze, pełne tego, co człowiek nazwał „artystycznym niedładem”.

Te jednak refleksje formułują się w naszym umyśle dopiero potem, gdy pierwsze chwile zachwyty przejdą nieco. Zrazu stoimy oniemiały ze zdziwienia, pełni jakiejś wewnętrznej radości, z której nawet nie usiłujemy zdać sobie sprawy, pozostawiając analizę naszych uczuć na potem. Posuwamy się naprzód po wąskiej leśnej ścieżynie, wodząc wokół zachwyconym wzrokiem, gdyż każdy krok naprzód odkrywa nam nowe piękna, nowe fantastyczne kombinacje linii, światła i cieniów. Tu wyniosłe proste, o toczonym pniu, drzewo zwraca naszą uwagę: konary jego, wydłużające się do ogromnej wysokości, podtrzymują gęstą, kopułową koronę; tam znów liany wijące się, jak wąż wokół pni, lub biegnące prostą linią od ziemi ku górze niby liny; owdzie grupa eleganckich palm, zalotnie wyglądająca z gąszczu leśnego, przykuwa na chwilę wzrok nasz zachwycony. I byłoby nam żal porzucić każdy z tych pięknych szczegółów, gdyby nie pewność, że za chwilę zobaczymy inne, równie porywające. Dążymy więc naprzód, aby w czas do celu naszej podróży dobrać.

Okolo godziny 4-ej po południu stanęliśmy wreszcie na miejscu. Czakra Ortiza było to kilka morgów ziemi, oczyszczonej wśród lasu i zajętej pod uprawę bananów, kawy, fasoli i kukurydzy. Mała i dobrze podniszczona chata, a raczej szalas, stanowił jedyne domostwo tej leśnej kolonji. Domek ten, zbudowany powszechnym tu zwyczajem na palach, kryty liśćmi palmowymi, pozbawiony był zupełnie ścian, a podłogę, wznoszącą się na metr ponad ziemią, posiadał z tarcic bambusowych przegniłych już porządnie. Chałupina ta, lepiąca się jedną swą stroną do gęstej ściany lasu, miała nam służyć za pomieszkowanie przez czas naszego pobytu w Palmalu. Dwu sąsiednich czakrerów<sup>1)</sup> rozłożyło się tu obozem, gdyż bojąc się, że za dnia do swej kolonji nie dojadą, postanowili noc tu przepędzić.

Nie wiem nawet, czy cały obszar palmalskiego lasu posiada właściciela. W wielu miejscach południowo-amerykańskiego ładu, osobliwie zaś wśród dzikich leśnych regionów, spotkamy tak zw. „terrenos valdios“, czyli grunty niemające posiadacza. Każdy ma prawo zostać tam prawym właścicielem kawałka ziemi, opłacając jednorazowo pewną, nieznaczną sumę na dobroczynność. W Peru np. płaci się podobno 15 soles (30 rs.), nabywając tym sposobem prawa do znacznego nieraz obszaru ziemi. W górach rozległość nabytych tym sposobem gruntów ogranicza się zwykle od rzeki, lub strumienia do najbliższego grzbietu górskich rozgałęzień; wzdłuż zaś doliny prawo naznacza bodaj jednomilową<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> *Chacrero* lub *chacarero* właściciel czakry, czyli malej plantacji.

<sup>1)</sup> Mowa o mili hiszpańskiej, zwanej legua, a równającej się 4--5 wiorstom,

rozciągłość. Podobne prawa co do gruntów wolnych istnieją także i w Ekwadorze i, jeśli się nie mylę, Palmaal należy właśnie do tej kategorii ziem niezależnych.

Prawie wszyscy lechugalczyki posiadają swe plantacje na terytorjum Palmału. Są to niewielkie przestrzenie, rozrzucone wzdłuż rzeki zwanej Rio de Palmaal a będącej jednym z dopływów Zarumilli. Niezwykła urodzajność dziewiczych gruntów, pozwalająca przy całorocznych prawie deszczach na uprawę wszystkich zwrotnikowych roślin, skłania lechugalczyków do zakładania tu swych plantacji, na których przepyszne banany, doskonały tytoń, ryż, kukurydza, kawa i fasola wydają plon znakomity. Nie masz tu obawy długich posuch, a tem samem znika wszelka potrzeba sztucznej irygacji, tak niezbędnej w Tumbezie, a nawet i w Lechugalu. Część też roku spędzają koloniści w Palmaal, kiedy nadchodzi pora siewu, lub zbioru.

Wycięcie lasu i oczyszczenie gruntu pod nowo-powstającą czakrę należy do najtrudniejszych zadań południowo-amerykańskiego rolnika; raz oczyszczone pole służy potem długie lata, nie wymagając prawie żadnej uprawy. Aby wyciąć las peruwjański, czakarero oczyszcza najprzód gęste podszycie, składające się z krzaków i mniejszych drzew, a wtedy dopiero bierze się do najtrudniejszego zadania, to jest do cięcia olbrzymów leśnych. Na szczęście dla niego większość drzew południowo-amerykańskich posiada drzewo miękkie, dość łatwo poddające się uderzeniom siekiery; inaczej wycięcie lasu byłoby dla pojedynczych ludzi rzeczą prawie niemożliwą. Trzeba widzieć i słyszeć padające kolosy leśne, aby mieć pojęcie o strasznym zamęcie i huku, jaki upadek podobny pociąga za sobą. Nieregularny łoskot dwu, a niekiedy czterech siekier zlewa się w pojedyncze uderzenia, to znów rozchodzi się z osobna. Podcięty olbrzym trzyma się jeszcze prosty; nie zdradzając najmniejszym drżeniem swego blizkiego upadku; pojedyncze trzaśnięcie zwiastuje już jednak, że ten wkrótce nastąpi. Wprawne oko widzi nieznaczne pochylenie, towarzyszące temu ostrzegającemu trzaskowi; drwal mieć się już musi na baczności, kierując się wprawą i doświadczeniem, aby zmiążdżenia uniknąć. Trach; znów trach, później szybciej trach, trach i drzewo zrazu zwolna, potem coraz szybciej, gwałtowniej pochyla się. Ljany, łączące go z sąsiednimi koronami, naprężyły się, jak cięciwy łuków, upadku jednak nie powstrzymają: pękły, jak jedna, olbrzym spada na sąsiedni wierzchoł, skręca się po nim, łamię kilka potężnych konarów, a zwalczywszy te przeszkody, jak piorun wali się na ziemię, która strasznym jękiem zwiastuje siłę upadku.

Niekiedy znaczne rozszerzenie podstawy drzewa zmusza drwala do wzniesienia wysokiego rusztowania, aby ciąć w miejscu nie tak grubem. Łatwo jest sobie wyobrazić, jak niebezpiecznie jest wtedy rąbać drzewa, nie mając swobody ruchów na wązkim a wysoko położonem rusztowaniu. To też o wypadki przy cięciu lasu nie trudno: tego padające drzewo zmiążdży; ów sobie

siekierą nogę niebezpiecznie zrani. Rad jest czakrero, gdy się trudna robota raz przecie skończy, oddycha swobodniej, gdyż ma byt zapewniony na całe życie. Obficie znalazł potem swym ziemię, aby mózdz z niej korzyści ciągnąć przez długie lata.

Świeżo wycięty las przedstawia straszny chaos powalonych w nieładzie drzew, połamanych i poplątanych gałęzi, wśród których kroku niemal postąpić nie można. W takim stanie zostawia się przyszlą czakrę przez kilka miesięcy, mając na widoku wyschnięcie przynajmniej cieńszych gałęzi, oraz liści. W tym celu cięcia dokonywa się zwykle pod koniec pory dżdżystej, aby korzystać z suchych, słonecznych dni lata. Wówczas rolnik ścina wszystkie gałęzie i konary, gromadzi je na kupy i ogień na pole puszcza. Jeżeli czas, poprzedzający wypalenie plantacji, był suchy, wówczas robota ukończona; pozostaną tylko grube pnie, które z czasem zgniją i spróchnieją zupełnie. Lecz lasy południowo-amerykańskie zwykle nie posiadają dobrze zakreślonej pory suchej, a często w roku całym nie znajdziemy dwu tygodni stałej pogody. Z niepokojem też bada rolnik stan rzeczy, a każda nadciągająca chmura napelnia go trwogą, wróżąc nowe trudy około oczyszczania pola. Gdy bowiem ciągle deszcze moczą świeżo ścięte drzewa, niema nadziei na dobre wypalenie gałęzi i chrustu, które w podobnych razach należy z wielkim trudem na brzegi czakry usuwać.

Gdy pole oczyszczone już zupełnie z wyjątkiem pni wielkich drzew, których ogień nie bierze, gdyż do wyschnięcia ich długiego potrzeba czasu, wówczas przystąpić można do siania lub sadzenia. Pług lub brona, są tu narzędziami znanymi tylko ze słyszenia chyba. Machete, wielki nóż do cięcia gąszczu i gałęzi—siekiera i drag żelazny a niekiedy motyka są tu niemal jedynymi przyrządami rolnika. W dziewiczym gruncie robi się kołem dziurę, w nią się kładzie kawałek trzciny cukrowej, pokrajaną łodygę manioku, lub kilka ziaren ryżu, czy kukurydzy, a przydeptawszy nogą, odchodzimy pewni, że plon obfity zbierać będziemy. Jedyny kłopot, jaki jeszcze rolnikowi pozostaje, jest oczyszczenie parę razy do roku pola z chwastu, rosnącego tu z nadzwyczajną szybkością. Roślinność pod wpływem skombinowanego działania ciepła i wilgoci rozwija się tu z taką szybkością, że kilkomiesięczny przeciąg czasu wystarcza najzupełniej do pokrycia gruntu wysokim gąszczem, zagłuszającym wszelką roślinę uprawną. Lecz kłopot oczyszczenia czakry z chwastu jest niewielki w porównaniu z obfitym plonem, jaki się rolnikowi w udziale dostaje.

W ten sposób uprawia się ziemię w całym leśnym obszarze Ameryki Południowej, zarówno w Peru, jak i w Brazylii, Kolumbji lub Boliwji. Palmal nie stanowił wyjątku pod tym względem, a lechugalczyki, którzy tu swe czakry pozakładali, cieszyli się zawsze niesłychanym urodzajem. Ortiz posiadał w Palmalu dwie czakry, to jest tę, do której przybyliśmy i drugą, większą, o półgodziny drogi w górę rzeki położoną.

Teraz jednak obie te kolonie były niezamieszkałe, gdyż nie nadszedł jeszcze czas siejby; musieliśmy więc pozostać z Jelskim sami, podejmując na siebie wszelkie kłopoty gospodarskiej natury.

Ledwieśmy do czakry Ortiza przybyli, gdy łączny obejrzenia raz jeszcze wspaniałego widoku, pobiegłem nad strumień, płynący o kilkadziesiąt kroków od chaty. Chłopcy gospodarza zajęci byli tymczasem rozjuczaniem mulów. Stanąwszy nad wodą, zacząłem znów podziwiać wspaniałą krajobraz, gdy nagle wzrok mój padł na jakiś czarny przedmiot, który zwrócił moją uwagę. Na niższych konarach wysokiego „palo de balsa“ (*Ochroma piscatoria*) dostrzegłem spokojnie siedzące, czarne jak smoła stworzenie, które mi się przyglądało z widoczną ciekawością, bez najmniejszej jednak domieszki strachu. Odrazu poznałem, że był to wielki czarny wyjec (*Mycetes palliatus*), którego skórki widzieliśmy kilkakrotnie w Lechugalu na torbach tamtejszych mieszkańców. Piękna ta małpa, najedzona widocznie, oddawała się sjeście, siedząc w kuczki, a osoba moja stanowiła widać dla niej rodzaj niezwyklej rozrywki. Biedaczka nie wiedziała, że spotka we mnie najzaciejszego niszczyciela nie tylko osobników jej rodu, lecz wogóle wszelkich żyjących i poruszających się tworów.

W jednej chwili byłem w domu, a porwawszy strzelbę, nabitą grubym śrutem i torbę z amunicją, pobiegłem nad strumień, dając jednocześnie znać Jelskiemu o mojem odkryciu. Wróciwszy nad strumień, spostrzegłem, że małpa nie zmieniła pozycji; zmierzylem więc do niej, a strzał był piorunujący, gdyż jak się potem przekonałem, 2 śruciny trafiły w samo czoło. Zwaliała się z drzewa, lecz nie padła, przytrzymana owiniętym w koło gałęzi ogonem, i tak zawisa. Wypadek podobny z małpami amerykańskimi dość jest zwykły, gdyż chwytym swym ogonem prawie zawsze są za gałąź uczezione silnie, a śmierć raptowna sprowadza widocznie zdrętwienie mięśni. Takie samo zdarzenie miał towarzysz mój z wyjcem rudym (*Mycetes rufus*), podczas swego pobytu w Gyanie francuskiej.

Nadbiegł też i Jelski, a jednocześnie przekonałem się, że to całe stado małp oddawało się wśród koron drzewa sjeście, którą przerwał niespodzianie mój strzał donośny. Naraz spostrzeżliśmy kilkanaście sztuk czarnych stworzeń, poruszających się dość wolno pośród gęstwy drzew. Przeszliśmy na drugą stronę małego strumienia i rozpoczęliśmy kanonadę do niewinnych stworzeń. Ja szczęśliwie zrzuciłem jedną młodą małpkę, a Jelski jednocześnie rozstrzeliwał jej matkę, dając do niej z kolei 5 strzałów. Twarde to stworzenie niełatwo spada, jeżeli tylko strzał nie jest piorunujący: zestrzelane nieraz jak sito, trzymając się jeszcze słabymi członkami gałęzi i dopiero, gdy śmierć nastąpi, spada na ziemię. I ta samica, zestrzelana strasznie, wisała na gałęzi, wyciągała nerwowo jeden z członków, zdradzając straszne bóle agonji; aż litość brała patrzeć na biedne stworzenie i kląć się chciało człowiekowi, że się wziął do tak niehumanitarnego rzemiosła. Wreszcie pozostała na gałęzi nieruchomo, lecz widać życie z niej jeszcze nie ule-



ciało, gdyż spaść nie chciała. Przerwaliśmy na tem nasze polowanie, trzeba było bowiem dwa grube drzewa ścinać, aby obie małpy zawieszono dostać, a tu już wieczór zbliżał się szybko. Reszta małp kręciła się jeszcze po sąsiednich koronach, gdyż wyjce wogóle nie są ruchliwe, różniąc się tem zasadniczo od wszystkich innych rodzajów, jak czepiaki, kapucynki, małpeczki i inne czwororękie amerykańskiego ładu.

Gdyśmy do domu wrócili, niosąc egzemplarz młodej małpki, zabitej przeze mnie, już ani Ortizów, ani obu sąsiadów nie zastaaliśmy; pojechali oni na nocleg do drugiej czakry, gdyż w małej chałupinie trudnoby nam było w sześciu nocować. Ja wziąłem się do sporządzenia skromnej wieczerzy, a Jelski tymczasem poszedł z siekierą ścinać drzewo, na którym mój samiec pozostał zawieszony. Okazało się jednak, że „palo de balza”, acz bardzo miękkie, nie łatwo było dla ostrej nawet siekiery podatne, a godzinne prawie rąbanie posunęło robotę bardzo nieznacznie. Trzeba było wyrzec się na dziś dalszej roboty, gdyż mrok zapadał szybko, jak zwykle w krajach podrównikowych. Posiliwszy się więc nieco, zapaliliśmy naftową lampę i wzięliśmy się do rozpakowania naszych rzeczy.

Już była pewnie godzina 8-a wieczorem, gdyż ciemność zupełna od godziny przynajmniej rozpostarła się nad okolicą, gdyśmy usłyszeli trzask gałęzi i głuchy łoskot spadającego ciała.

— Małpa spadła, rzekłem do mego towarzysza.

— Kto to wie—odpowiedział mi—w lesie spada tyle rzeczy. Może to owoc jaki wielki, lub gałąź złamana.

— Pójdę się przekonać jednak—dodałem i wzięwszy lampę poszedłem pod drzewo, gdzie mój wyjec wisiał. Obszukałem skrupulatnie wkoło, i nic nie znalazłszy, wróciłem do domu. Rozbiliśmy pośrodku chaty nasz namiot i znużeni drogą, wkrótce zasnęliśmy.

Nazajutrz rano, skoro tylko rozedniało, poszliśmy nad strumień przekonać się co słyhać z naszymi wczorajszymi ofiarami. Mój wyjec wisiał zawsze na ogonie ponad strumieniem. Okazało się jednak, że to samica, raniona przez Jelskiego, spadła rzeczywiście w nocy, a odgłos jej upadku słusznie nas zaalarmował. Przy zdejmowaniu skóry okazało się potem, że biedne stworzenie miało całą pierś i boki zestrzelane grubym śrutem, lecz dzięki swej żywotności wytrzymało jeszcze blisko 4 godziny na gałęzi.

Wiedząc już z doświadczenia, jak trudno niewprawionemu ścinać „palo de balza”, uradziliśmy, że Jelski pójdzie do sąsiedniej czakry po jednego z Ortizów, a ja tymczasem śniadanie, składające się z kawy i pieczonych bananów, przygotowuję. Wkrótce powrócił mój towarzysz z Józefem, który w niespełna kwadrans ścinał grube drzewo. Pobiegłem niespokojny ku zwałonemu kolosowi i z tryumfem wyciągnąłem przepyszny okaz starego samca, zdobiący obecnie Warszawski Gabinet Zoologiczny. Był tak ciężki, że na plecy zarzucić musiał, aby go do domu przenieść.

W samym więc początku wypadła nam zmusna robota preparowania trzech małp, co przy naszym skrupulatnym systemie zajęło nam prawie całe dwa dni czasu. Tymczasem Ortizowie pożegnali się z nami, ruszając do Lechugalu, a my pozostaliśmy sami jedni wśród wielkiego obszaru lasu. Nie było jednak czasu myśleć o naszej samotności, gdyż preparowanie małp tyle nam roboty dało, że nawet o sporządzeniu przyzwoitszej strawy myśleć nie było można, a kontentowaliśmy się jedynie czarną kawą z pieczonymi bananami, lub kawałkiem przysmażonego na patelni małpiego mięsa.

Wiele osób z podziwieniem i pewnym rodzajem wstrętu słucha, gdy im opowiadam o małpich bifsztetekach. Małpy należą w leśnych okręgach Ameryki Południowej do bardzo cenionej zwierzyny, a niektóre z nich, jak np. czepiaki (*Ateles*) nawet dla europejskiego podniebienia są bardzo smacznym kąskiem. Prawda, że wiele osób czuje ku małpom wstręt nieprzewyciężony, stwierdzając tem pomimowoli teorię Darwina, lecz my z Jelskim wolni byliśmy od tego wyimaginowanego raczej, jak wrodzonego wstrętu i zjadaliśmy z apetytem nasze małpy. Okazało się jednak, że tylko samica i młody były jadalne, mięso zaś samca posiadało silny i bardzo nieprzyjemny odór.

Ten gatunek wyjca, zamieszkujący wyłącznie, jak się zdaje, zachodni, przymorski pas Ekwadoru i sąsiedniej mu Kolumbii, należy niewątpliwie do najokazalszych małp Nowego Łądu. Ciało jego pokrywa czarny, miękki włos, wydłużający się ku dołowi boków, gdzie przybiera zlocisto płową barwę. Znaną jest rzeczą, że wyjce wogółności dzięki osobliwej budowie narządów głosowych są w stanie wydawać głos bardzo silny, który niekiedy ryczenie lwa, lub jelenia przypomina, to znów podobnym jest do chrząkania trzody chlewnej. Słychać go zwykle rano lub pod wieczór, jak swem niskim, stentorowem brzmieniem przerywa leśną samotnię, pokrywając wszelkie inne głosy puszczy. To stado, z któregośmy trzy sztuki zabili, trzymało się jeszcze przez dni kilka w bliskości domu, dając znać o sobie donośnem ryczeniem; pilna jednak robota nie dozwoliła już nam uganiać się za niem, a zresztą zdobyte egzemplarze wystarczały na razie; trzeba było myśleć o zainstalowaniu się i zbieraniu innych ciekawych okazów.

Urządzenie się nasze nie zajęło nam wprawdzie wiele czasu, lecz niestety! jakżeż było dalekiem od względnego komfortu, jakim cieszyliśmy się w Tumbezie, a nawet w Lechugalu. Chatka nasza była tak ciasną, że gdy jeden kąć zajmowała skrzynia, napełniona ziemią, a reprezentująca kuchnię, w innych zaś rozstawione były nasze skrzynki, worki i butelki, pozostawało pośrodku zaledwie trochę miejsca, aby się móż obrócić. Tu stała skrzynia, służąca za stół preparatorski, a wieczorem—za biurko do pisania. Na noc odsuwało ją się na bok i rozbijało perkalowy namiot, mający nas chronić od mustyków i komarów. Do tej niewygody, jaka z ciasnoty miejsca wypływała, dodajmy jeszcze nieznośny

dym od ciągle podtrzymywanego ogniska, roje komarów i mustyków, ekspensujących nieustannie naszą cierpliwość, a czasami najścia mrówek drapieżnych, a wówczas będziemy mieli dość kompletny obraz naszych niewygód przy leśnem, niezależnem życiu. Mrówki drapieżne, należące do rozpowszechnionego wśród lasów zwrotnikowej Ameryki rodzaju *Eciton*, dały nam się we znaki zaraz na samym wstępie. Pierwszego jeszcze wieczoru, gdyśmy byli zajęci rozpakowywaniem skrzyń naszych, uczuliśmy naraz bolesne ukłucia w różnych częściach ciała. Jelski, znający już dobrze ten rodzaj intruzów, od razu się opatrzył i zrozumiał przyczynę dotkliwych ukłuć.

— Mrówki nas napadły — rzekł do mnie — trzeba się z domu usunąć.

W samej rzeczy spostrzegliśmy przy świetle lampy tysiące niewielkich czarnych owadów, uzbrojonych silnemi szczękami, któremi przypinają się do ciała, kłując jednocześnie żądłem. Zauważyliśmy jednak, że główna droga tych mrówek przechodzi jednym tylko rogiem domu, usunęliśmy się więc na przeciwną stronę i byliśmy tym sposobem prawie zupełnie zabezpieczeni od ukłucia owadów.

Mrówki te, o których w następstwie obszerniej pomówię, wędrują zawsze ścięśnioną kolumną, napadając i niszcząc wszystko, co tylko zniszczyć się uda; ograniczają się jednak zawsze do zwierzęcych szczątków, czem się różnią od innej grupy mrówek, zwanych „arrieras” (*Oedocoma*), karmiących się wyłącznie ciałami roślinnemi. Owady, pająki, larwy, nawet mniejsze kręgowce stworzenia, jak żaby, a pewnie i węże — stają się pastwą ecitonów, gdy się tylko na ich drodze znajdują. Napadłszy na dom, oczyszczają go z karaluchów i wszelkiego innego plugastwa, nie tykając jednak spiżarnianych zapasów; człowiekowi więc przynoszą więcej pożytku, aniżeli szkody.

Ecitony palmalskie należały do jakiegoś czarnego gatunku, najmniejszego ze wszystkich znanych mi odmian. Były zresztą dość rzadkie, a na dom nasz napadły tylko dwa razy przez ciąg naszego pobytu w Palmalu. Wizyta za pierwszym razem nie trwała więcej jak 2 godziny, co dowodzić się zdaje, że kolumna mrówek była stosunkowo bardzo nieliczną.

Niemalym też dla nas kłopotem był cały szereg gospodarskich zajęć, poczynając od rąbania drzewa na paliwo, a kończąc na praniu bielizny, które nam znaczną część czasu zabierały. Urządziliśmy się tak, że jednego dnia jeden, a drugiego — drugi gotował strawę dla obu. Pozostanie mi nazawsze w pamięci mój debiut na tem polu. Towarzysz mój zrana poszedł na ekskursją, a ja tymczasem miałem śniadanie sporządzić. Narabiałem drew, które z sąsiedniego pola przyniosłem, i wziąłem się do rozpalenia ognia. Strasznie mi to jednak nie szło: wilgotne drzewo palić się nie chciało, pomimo zużycia całego pudelka zapalek i dmuchania z takim przejęciem, żeby to nawet w zachwyty wprawić mogło najlepszego puzonistę. Dym mi oczy wygryzał,

lzy obficie płynęły, a ogień jak nie chciał, tak nie chciał się palić. Wrócił Jelski z ekskursji i jeszcze mnie zastał nad rozdmuchiwanym dymu, gdyż ognia widać nie było. Dopiero towarzysz mój, wprawny już w tego rodzaju robotach, w kilka minut przy pomocy drobnych szczepek ogień rozpałił. Z czasem i ja się nauczyłem tego użytecznego proceduru.

Skromne też było nasze jedzenie. Podstawę stanowiła mąka pszenna, z której dwa razy na dzień zacierkę przyrządzaliśmy, oraz banany, podawane w różnych postaciach, to jest pieczone, smażone lub gotowane. Czasami pojawiała się świeże mięso małpy, dzikiego kota (*sic*) (*Felis yaguarundi*), małej sarenki, lub penelopy (*Ortalia erythroptera*) rodzaju drzewnych kurowatych, właściwych lasom Ameryki Zwrotnikowej. Groch, fasola lub kartofle, jako wymagające więcej zachodu z przyrządzeniem, pojawiały się na naszym stole jedynie w dni świąteczne, kiedy czas swobodniejszy na to pozwalał.

Bananiarnia, do której domek nasz przytykał, dostarczała nam bananów sto razy więcej, aniżeli wymagały skromne potrzeby dwu konsumentów. Doskonały ten owoc jest prawdziwym dobrodziejstwem stref zwrotnikowych, dając znaczną ilość doskonałego pożywienia przy niewielkim stosunkowo nakładzie pracy. Banan niedojrzały, w którym krochmal nie zamienił się jeszcze na cukier jeść można gotowany, jako jarzynę, lub pieczony—a wtedy chleb zastępuje. Dojrzały znów pod wszelkimi postaciami jest wysmienity, a na surowo należy z pewnością do najsmaczniejszych owoców. To też każdy z biednych mieszkańców gorącej Ameryki przedewszystkiem banany sadi. Oczyściwszy miejsce na plantację, wtyka linjami w odstępach dziesięciokrokowych pędy bananowe, a po roku (nieraz prędzej nawet) ma zapewniony zbiór obfity przez długi przeciąg czasu, gdyż ścięta roślina z korzenia odrasta nieustannie. Kilkakrotne do roku oczyszczenie bananiarni z chwastów wystarcza do kilkudziesięcioletniego utrzymania przy życiu posadzonych roślin.

Banany w Palmalu rosły w niezwyklej obfitości, gdyż Ortiz na obu plantacjach zasadził przeszło 1500 sztuk tych roślin użytecznych. Mnóstwo też drogocennego owocu gniło na ziemi, nie znajdując oprócz robactwa innych konsumentów. Gdy gospodarz zjeżdżał na czas robót do Palmalu, karmiła się bananami nie tylko jego rodzina, lecz cały żywy inwentarz, jak konie, krowy i trzoda chlewna, a jeszcze owocu zbywało. Niech z tego wnosi czytelnik o urodzajności ziemi w leśnych obszarach południowej Ameryki, gdzie parotygodniowa praca kilku ludzi zapewnić może pożywienie dla całej rodziny na przeciąg całego roku.

Kłopoty jednak i niewygody, o jakich przed chwilą wspomniałem, łatwo byłoby zwalczyć przy pewnym zasobie energii i przyrodniczego zapala. Czekala nas troska inna, bardzo niemiłej natury, gdyż dotycząca bezpośrednio naszych zbiorów, a przez to głównego celu naszej podróży. Pierwszych dni kilka obeszło

się bez deszczu, nie wiedzieliśmy więc, z której strony grozi nam niebezpieczeństwo. Wszedłem był właśnie na ekskursję w stronę drugiej czakry Ortizów; towarzysz mój, na którego wypadła kolej gotowania, pozostał w domu. Zabiłem zaledwie parę ptaszków, gdy zaczął padać rześisty deszcz, jedna z tych ulew podzwrotnikowych, która w ciągu kilku minut moczy nas do ostatniej nitki, a po drózkach leśnych tworzy obszerne kałuże wody. Wkrótce przekonałem się, że ekskursja podczas takich deszczów jest zupełnie jałową, gdyż się wszystkie ptactwo kryje skrzętnie po gąszczu, chroniąc się przed ulewą; zawróciłem więc i zmoczony do kości, puściłem się ku domowi, gdzie mnie czekała niemiła niespodzianka: pośrodku chaty zgromadzone rzeczy, przykryte były nieprzemakalną opończą Jelskiego, a on sam siedział na nich. Komentarzy do tego nie trzeba było: stara strzecha palmowa przeciekała na wszystkich punktach.

Nie masz nic gorszego w wyprawach tego rodzaju, jak brak dobrego dachu. Ciągła obawa o całość schnących okazów nie pozwala ruszać się swobodnie, krępując czynności w sposób niekorzystny. O ile wszelkie niewygodny dotyczą tylko osoby samego podróżnika, można je sobie lekceważyć, gdyż przy niewielkiej nawet dozie cierpliwości i zaparcia samego siebie łatwe są one do zniesienia i byle tylko trwałych śladów na zdrowiu nie powodowały, zostawiają nawet po sobie miłe wspomnienie; radzi jesteśmy, żeśmy tę lub ową przeszkodę zwalczyli, tego lub owego niebezpieczeństwa uniknęli. Lecz gdy okoliczność jaka zagraża całości zbiorów, wówczas troska marszczy nasze czoło, gdyż pracę długich nieraz miesięcy, zdobytą tysiącami drobnych poświęceń, zlaną kroplami naszego potu, widzimy wystawioną na szwank i myśl, że niejedna rzadkość, która nam dostarczyła chwil niewypowiedzianego zadowolenia, przepaść może, przejmując nas trwogą. Ten niepokój o całość kolekcji, stanowi główne tło, a może jeden z największych powabów podróżowania, cóż bowiem za radość potem, gdy się dowiemy, że zbiory nasze doszły swego celu, że je specjaliści studjują, znajdując formy nowe dla nauki, lub rzadkości wielkie, białe kruki zoologicznych muzeów.

Wielką też troską dla nas było to nowe odkrycie, że dach nasz nic nie wart i że wszystkie nasze rzeczy, zarówno kolekcje, jak i narzędzia znajdują się w niebezpieczeństwie zniszczenia. Na szczęście w takich krytycznych razach, budzi się w nas wskutek reakcji wielka energia i pomysłowość, dążąca ku zapobieżeniu złemu. Trzeba było działać szybko, aby nowy deszcz nie zastał nas nieprzygotowanymi. To też gdy tylko ulewa minęła, poświęciliśmy resztę dnia na cięcie liści bananowych, które następnie rzucaliśmy luźno na strzechę. Pracę tę ukończyliśmy dnia następnego, a wkrótce przekonać się mogliśmy, że zapobiegła ona prawie zupełnie przeciekaniu. Należało jednak co kilka dni manipulację tę powtarzać, gdyż liście zsychały się, a nadto silne ulewy zsuwały je, odkrywając dawne dziury. W każdym razie można było rozpocząć pracę około kolekcjonowania.

Tu jednak pojawił się nowy kłopot, któremu na szczęście łatwo było zapobiedz. W Palmalu obfituje pewna mucha złości-  
sto-zielona, niosąca jaja do mięsa.

Wkrótce spostrzeżliśmy się, że wybierała ona sobie w tym celu zabite przez nas ptaki lub ssące, którym w pióra lub sierć jaja zносиła. Zapobiegliśmy temu, owijając zabite ptaszki w kawałek muślinu, który na szczęście znalazł się pod ręką w postaci saszka na motyle.

Bardzo też dała nam się we znaki w Palmalu wilgoć. Już to deszcze padają tam przez rok cały bez przerwy; zdarzają się tylko lata, że jeden miesiąc się bez nich obchodzi. Tak np. w roku 1876, w którymśmy tam bawili, cały marzec był pogodny. W początkach naszego pobytu, to jest w pierwszych dniach maja deszcze padały zwykle po południu lub nocą. Ranek prawie zawsze był pogodny. Dopiero koło godziny 2-jej po południu zaczynało się chmurzyć, a pod wieczór deszcz rześisty łać zaczynał i trwał nieraz do następnego rana. Na dobre jednak rozpoczęły się deszcze pod koniec maja, a wówczas trafiały się nierzadko całodziennie ulewy. Wilgoć była straszna: dziś wysmarujemy rzemie-  
nie łojem, jutro już je pleśń pokrywa kompletnie. Pleśnią czuć było wszystko—bieliznę, rzeczy, narzędzia drewniane etc. Strzel-  
by i wszelkie żelastwo pomimo codziennego smarowania oliwą rdzewiało strasznie; małe ptaszki, wysychające w Tumbezie w 3—4 dni, tu potrzebowały 8—10, i nigdy nie wysychały kompletnie.

Wszystkie te okoliczności, razem wzięte i skombinowane z nie-  
światnym stanem mego zdrowia, nie mogły wpływać korzystnie na postęp pracy około zbiorów. Robiło się jednak, co było moż-  
na. Pomimo tylu trosk i ciągłych dolegliwości cielesnych kil-  
kotygodniowy pobyt w Palmalu pozostawił w pamięci mej jak-  
najprzejmniejsze wrażenie.

Dziewicza puszcza zazdrosną była o swe skarby, skąpiła nam ich, stawiała przeszkody do ich zdobycia, lecz za to cóż za rozkosz, gdy się je zdobywało. Nigdy mi się w pamięci nie zatrą-  
te moje pierwsze chwile na łonie wspaniałej, podrównikowej przy-  
rody.

Zrana budzą nas chrapliwe, stentorowe głosy wyjców, zdol-  
ne dreszczem strachu przejąć niewtajemniczone w ich pochodze-  
nie osoby. Raz pojedyncze głosy dudnią w powietrzu, to znów  
mieszają się w jeden chór, jakby całe stado jednocześnie rycza-  
ło. W długich pauzach, jakie małpy zwykły między jednym,  
a drugim ryczeniem robić, słychać wrzaskliwe głosy pewnej  
pięknej papugi (*Pionus chalcopterus*), żerującej dużemi stadami na  
drzewach wkoło czakry. Wyszedszy z namiotu oddychamy świe-  
żem, pełnem wilgoci powietrzem. Niebo czyste, złości się już na  
wschodniej stronie, zwiastując szybkie pojawienie się słońca. Ży-  
cia wkoło pełno. Po bananiarni i na plantacji kręcą się różno-  
barwne ptaszki, między którymi znana nam już tangara mo-  
droskrzydła (*Tanagra cana*) i „viuda“ (*Rhamphocelus icteronotus*)—  
czarno-aksamitny ptaszek z żółtym kuprem, najczęściej widzieć

się dają. Śpiew kacyka (*Icterus mesomelas*), powtarzającego pięknie wygwizdane zwrotki, rozlega się na wszystkie strony. Zwykle zaczyna jeden gdzieś niedaleko od nas, prześpiewa swą strofkę i zamilknie, lecz jednocześnie drugi dalej podchwytyjąc ten sam kuplecik, za nim trzeci jeszcze dalej. Robi to wrażenie, jak gdyby echo powtarzało dokładnie te same nuty. Dźwięczny głos kusaka (*Formicarius*) przypominający świst lokomotywy, drży w powietrzu czysto i donośnie. Z nadrzecznych gąszczy bambusowych dochodzi nas wrzaskliwe tokowanie penelop (*Ortalia erythroptera*), imitujące jakby wyrazy „uataraku”, lub „manakaraku”, skąd i nazwy nadawane tym ptakom przez krajowców Ameryki Południowej, pochodzą.

Pełni zachwytu dla tego cudnego widoku, idziemy do poblizkiego strumienia wykapać się w jego przejrzystych wodach, poczem szybko pijemy ranną kawę, zagryzając pieczonym bananem i zarzuciwszy strzelbę na ramię, śpieszymy do lasu, by z rannych godzin skorzystać, gdyż wtedy najwięcej ptactwa spotkać można. Towarzysz mój pozostaje w domu, gdyż to jego dzień zajmowania się kuchnią. Wycieczkę moją kieruję ku strumieniowi, pragnąc łożyskiem jego puścić się w górę ku drugiej czakrze Ortizów. Niegłęboka woda pozwala przechodzić raz na jedną, to znów na drugą stronę strumienia; niekiedy zwalony pień drzewa, lub porzucone łodygi kolczastego bambusu tamują chwilowo drogę. Wielki mój nóż (*machete*), służy mi wówczas do utorowania drogi, posuwam się więc dalej swobodnie.

Połowanie zapowiada się dobrze. Zaraz na wstępie spotykam niewielkie stadko penelop, które z łatwością zejść się dają na strzał pewny. Jedna z nich rażona mym strzałem, pada w nieprzebyty gąszcz bambusów, gdy towarzyszki jej, spłoszone hukiem, śpiesznie odlatują w głąb lasu. Wydobycie zabitej sztuki zajmuje mi wiele czasu, gdyż bambusy rosną nadzwyczaj gęsto, a wielkie ich ciernie chwytają silnie za ubranie, drąc je na szmaty przy każdym niebacznie poruszeniu. Zwolna, obliczając starannie każdy ruch, posuwam się naprzód, nachylając się tam gdzie potrzeba, lub tnąc nożem, gdy cieńszy bambus drogę tamuje. Z tryumfem wydobywam zabita sztukę, przytraczam do torby i nabiwszy strzelbę, brnę dalej po wodzie, lub stąпам po drobnym żwirze tam, gdzie małe równinki zajmują wewnętrzne strony łuków strumienia.

Tu i owdzie spotykam mieszane stadka drobnych ptaszków, kręcących się wśród koron wysokich drzew, skąd nas pisk licznych głosów dochodzi. Nie zawsze jednak uda się dojść do drzewa, gdyż ptaszki długo na miejscu nie popasają, a gąszcz bambusowy wszędzie nam drogę tamuje. Czasami ponury, spokojnie siedzący na bambusach brodatek (*Malacoptila panamensis*) zwróci moją uwagę, lub piękny zimorodek (*Ceryle inda*) z zielonym metalicznym wierzchem i rudym spodem, równym lotem przeleci koło mnie i zasiadłszy na zwisłych gałęziach, wypatruje w wodzie zdobyczy. I on powiększy wkrótce nasze zbiory.

Na wilgotnym piasku pobraża widać liczne ślady małej leśnej sarenki (*Subulo*), przypominającej kasztanową barwą i prostymi, bez rozwidlenia różkami małą kózkę, tylko że brody nie posiada. W jednym znów miejscu zwraca uwagę naszą wielki, okrągły trop o czterech bardzo rozstawionych palcach; tuż obok inny, mniejszy znacznie, lecz zupełnie kształtem podobny do pierwszego. Widok ten emocjonuje nas nieco; nerwowo ściskamy strzelbę, patrząc czy pistony trzymają się na kominkach; macamy w kieszeni parę kul, które zawsze w zapasie nawykliśmy nosić. Ostrożności te bardzo są usprawiedliwione, gdyż to trop jaguara, najniebezpieczniejszego z południowo-amerykańskich drapieżników, króla tych puszczy nieskończonych. <sup>1)</sup>

Trop ginie zaraz w gąszczu; nadzieja spotkania się z drapieżnikiem słaba, a opowieści o jego krwiożerczości po większej części przesadzone. Na człowieka rzuca się w rzadkich bardzo wypadkach, przyciśnięty głodem, lub raniony niefortunnym strzałem. Wkrótce też zapominamy o chwilowej emocji, puszcza się dalej, podziwiając coraz to nowy, a ciągle niezwykle piękny widok, jaki nam zakręty rzeki odkrywają. Słońce już się wzniosło dość wysoko, w cieniu jednak chłód przyjemny panuje. Z puszczy podnosi się jakaś woń nieokreślona, którą pełną pierśią wdychamy, jakgdybyśmy pragnęli część tej dziewiczej przyrody sobie przyswoić, do naszej istoty wszczepić. Zapominamy o wszystkich przeciwnościach; bóle cielesne dla nas nie istnieją; żyjemy chwilę szczęściem absolutnem, gdyż nawet myśl o dalekiej ojczyźnie, o naszych starych rodzicach odbiegła nas zupełnie. Jesteśmy sami w obec puszczy i Boga, którego oddech czujemy w wilgotnem, aromatycznem powietrzu, w wesołych promieniach słońca, łamiących się na kroplach rosy, w łagodnym szmerze przejrzystego strumienia, w całym tym porywającym swą powagą i urokiem krajobrazie. O błogosławione chwile szczęścia i zapomnienia!

Nagle stajemy zdziwieni, osłupieni. Z gęstej kępy krzaków dochodzi nas gwizdanie, jakby ludzkie. Lecz przecież oprócz nas dwu nie masz nikogo w całym tym lesie. A zresztą, wsłuchując się, poznajemy, że żaden człowiek takby zagwizdać nie umiał. Krótka strofka powtarza się raz, drugi, trzeci. Melodyjne nuty, posiadające jednocześnie głos flecika i srebrzysty dźwięk dzwoneczka, drżą w powietrzu z niesłychaną czystością. Brzmienia ich, ani precyzji żaden instrument, ludzką ręką wykonany, nie byłby w stanie naśladować, tak są wykończone, tak dźwięczne, tak porywające. Słuchamy osłupieni, z otwartymi ustami, powstrzymując oddech, aby jego szmerem nie stłumić ślicznej harmonji; obawiamy się ruszyć, aby nie spłoszyć wirtuoza, gdyż pragnęlibyśmy, aby tak śpiewał bez końca. Lecz umilkł cudowny śpie-

---

<sup>1)</sup> Kręciła się wtedy w okolicy duża samica z młodym. Jeszcze przed wyjazdem naszym do Palmalu zabiła ona wieprza pod domem jednego z leczugalskich mieszkańców. Następnie Antoni spotkał ją koło Arenillas na trupie świeżo zabitej krowy.



wak i tylko wyobraźnia powtarza nam jeszcze słyszana dopiero co strofkę. Czekamy, aby ją jeszcze raz chociaż powtórzył, lecz na-próżno. Wówczas tniemy gorączkowo gąszcz, aby śpiewaka zoba-czyć, lecz mała, skromnie ubarwiona ptaszyna skryła się już wśród labiryntu liści i gałęzi, a my stoimy smutni, że ten porywający kon-cert trwał tak krótko.

Ptaszek, obdarzony tak ślicznym głosem, obok którego śpiew naszego słowika wydałby się niemal dysharmonją, należy do tej samej rodziny, co nasz strzyżyk wołowe oczko. Jest to sławny na Peru „organito“ lub „flauterito“<sup>1)</sup> (*Cyphorhinus*), którego kilka gatunków zamieszkuje gorące lasy Ameryki Południowej i środkowej. Wielkości wróbla, posiada krótki ogonek, a ciemno-szarem i rudem ubarwieniem zlewa się z kolorami otaczających przedmiotów. Trzyma się zawsze największego gąszczu, skacząc niewysoko nad ziemią lub po ziemi, a owady i larwy stanowią jego wyłączne pożywienie.

Tymczasem słońce wzbilo się już wysoko, grzejąc swymi prostopadłymi promieniami ziemię i roślinność; zmoczone deszczem nocnym liście schną szybko, a niektóre z nich więdną nawet pod silnem działaniem ciepła. Milkną powoli głosy ptaszków; przyroda zapada chwilowo w drzemkę południowej sjesty. Żywe promienie światła słonecznego łamią się wśród gąszcza leśnej zieleni, wdziera-jąc się jaskrawymi snopami w miejscach pozbawionych kopuły drzew. Różnobarwne motylki wirują swym cichym lotem w po-wietrzu, zbierając się gromadnie na mokrym piasku pobrzeża, gdzie długie godziny południowego skwaru poświęcają ssaniu wilgoci, stanowiącej ich główne pożywienie. Czasami zjawi się pośród nich olbrzymi *Morpho*, posiadający cały wierzch skrzydeł prze-pysznej atlasowo-błękitnej barwy; w locie rozmiarami swemi czyni więcej wrażenie ptaka, aniżeli owada.

Zwracamy się ku domowi, gdyż o tej porze dnia wycieczka ornitologiczna zbyt słaby wydaje rezultat; pochowane w gęstych koronach drzew ptactwo odpoczywa teraz, czyszcząc i muskając swe pióra, zlepione chwilowo nocną rosą. Po godzinnym marszu jesteśmy z powrotem w domu, gdzie nas czeka skromne, lecz smaczne śniadanie, przyrządzone przez naszego towarzysza; — smaczne, gdyż podbudzony kilkogodzinnem chodzeniem apetyt czyni nas mało wybrednymi na gatunek strawy. Tu komuni-kujemy sobie nawzajem wrażenia ubiegłego ranka, poczem zabie-ramy się do naszych preparatorskich zajęć.

---

<sup>1)</sup> Już same nazwy (flauterito — flecista; organito — organki) wskazują dostatecznie na rodzaj śpiewu tego ptaszka. Różne gatunki tego rodzaju dość odmienny śpiew posiadają, choć zawsze czuć blizkie pokrewieństwo. I tak gatunek znaleziony przezemnie w kotlinie Amazonki (*Cyphorhinus Salvini*) śpiewał podwójnemi nutami; inny znów (*C. dichrous*), spotkany przezemnie nad górną Pastazą (w Ekwadorze) wygwizdywał niekiedy duety (po dwa naraz)— jeden drugiemu akompanijując tercjami lub kwintami. Gatunek palmalski zwie się naukowo *C. phaeocephalus*.

Innym znów razem kierujemy wycieczkę naszą po ścieżce, prowadzącej do drugiej czakry Ortizów. Ranny chłód i świeża leśna atmosfera podbudza w nas niezwykłą rzeźkość i ruchliwość. Uczucie szczęścia przenika całe nasze jestestwo, dziękujemy w duszy Bogu za te chwile zadowolenia. Stajemy się szczerze pobożnymi, a zachwyty nasz i wdzięczność dla Stwórcy jest najlepszą manifestacją tej pobożności prawdziwej. Dalecy jesteśmy od tych ludzi, którzy kiwaniem głowy nad książką od nabożeństwa starają się ujawnić podniesienie swego ducha ku Niebu, kiedy myśl ich odbiega w sfery, nic wspólnego z Bogiem nie mające. I myśmy się tak kiedyś modlili i widzimy całą różnicę pomiędzy obecnem, a dawnym uczuciem pobożności. I niech mi wolno będzie powiedzieć, że ta niema rozmowa nasza ze Stwórcą wśród dziewiczej puszczy stokroć więcej jest szczerzą, a przez to lepszą, aniżeli stereotypowe bicie się w piersi w kościele. Tam chcieliśmy z Bogiem porozmawiać i znajdujemy bezmyślny tłum ludu, który uwagę naszą od celu odwodzi; tu, na łonie dziewiczej przyrody, wśród drzew niebotycznych chcąc nie chcąc z Panem Wszechmocny spotkać się musimy, gdyż Go czuć wszędzie i myśl nasza bezwiednie prawie wznosi się ku Niemu, koncentrując wszystkie uczucia nasze w jednym okrzyku zachwyty, który jest alfą i omegą naszej pobożności. Wieluż to ateuszów nawróciłaby jedna tylko chwila takiego obcowania z nieskalanymi dziełami Stwórcy!

Kontemplacja cudnego widoku odwiodła nas na chwilę od głównego celu naszej wycieczki, lecz tego zapomnienia żałować nie myślimy, gdyż ono nas właśnie uszlachetnia, jej to zawdzięczamy nie jeden chwalebny uczynek. Jest to wrodzona, instynktowa dążność człowieka do uznawania ponad całem tem zbiorowiskiem stworzeń jakiejś nieskończonej wyższej Istoty, która dzierży w swych rękach ster tego olbrzymiego okrętu, zwanego Wszechświatem. Chwila hołdu, jaka Jej się należy, nie jest bynajmniej czasem straconym. Oddawszy Bogu, co się Bogu należy, przejdźmy teraz do naszych zajęć.

Stąpamy lekko po wilgotnych liściach, zalegających grunt leśny lub po rozmięklej glinie i czarnoziomie, rozdeptanym ludzkiemi i końskimi nogami. Oczy nasze pilnie badają korony drzew, lub podszycie leśne, szukając celu dla naszej dwururki. Czasami ujrzymy w gąszczu ponad ziemią kręcące się drobne ptaszki, lub zatrzyma nas stadko ożywiającej korony wysokich drzew. Dochodzi nas głos jakiś żalony, złożony z dwu nut krótkich, fletowych. Kierujemy się szybko, o ile gąszcz na to pozwoli, gdyż te nuty należą do jednego z najpiękniejszych ptaszków palmalskiego lasu. W miejscu bardziej otwartem, w pełni słonecznego światła spostrzegamy siedzącego na poprzecznej ljanie ptaszka wielkości srokośza. Cały bladej płowej barwy, upstrzonej ciemnymi, poprzecznymi prążkami, posiada na czole pęk dość długich czerwonych piórek, zakończonych czarnymi, metalicznie połyskującymi plamkami; samica tego gatunku zamiast czerwonych ma pióra te pięknej

ochrowo-żółtej barwy. Spokojnie siedzący ptak składa cały ten pęk piór na głowie, czyniąc je niewidocznymi na pewną odległość. W locie jednak lub podekscytowany, nastawia je i rozciąga w przepyszny wachlarz, który przód czoła zdobi nadzwyczajnie. Jest to sławna muchołówka królewska (*Muscivora occidentalis*) — gatunek pokrewny gujańskiej formie (*Muscivora regia*) i równie jak tamta rzadki po kolekcjach; łatwo więc wyobrazić sobie nasz zapał niezwykły, naszą gorączkę ornitologiczną na widok tej pysznej ptaszyny. W chwili, gdy ją spostrzegamy, wylatuje w powietrze, goniąc za jakimś motylem, a złapawszy go, wraca na swe dawne stanowisko i stara się połknąć sporego owada. Lecz strzał celny zrzuca ją na ziemię. Poezja ustąpić musiała przed nauką — boginią zimną i bez serca.

Cztery bardzo podobne do siebie gatunki muchołówki królewskiej, zwanej przez Francuzów „le roi de gobe mouches”, zamieszkują leśne regiony Ameryki Południowej i Środkowej (Meksyk, Ekwador, wschodnią część Peru i Guyanę). U wszystkich, samiec posiada wachlarz czołowy krwisto-czerwony, samica — ochrowo-żółty. W obu płciach każde piórko wachlarza zakończone jest czarną z granatowym połyskiem centką. Mucholówka ta przebywa zwykle w gąszczu leśnym, wybierając jednak miejsca, gdzie brak większych drzew dozwala wdzierać się swobodnie promieniom słonecznym. Tam na nieznaczej od ziemi wysokości zasiada spokojnie, czatując na motyle i inne owady, które w lot łowi, wracając obyczajem muchołówek na dawne miejsce. Głos jej minorowy, pełny i czysty, składa się z dwu nut tylko, niemniej jednak czyni na nas silne wrażenie, co niewątpliwie rzadkością ptaka i silną żądzą zdobycia go objaśnić się daje.

Jelski znalazł pewnego razu gniazdo tego ptaszka, zbudowane w kształcie długiego worka, zawieszzonego na niższych gałęziach drzew. Materiał użyty na gniazdo, była to znana nam już z doliny Zarumillańskiej „broda Absalona”. Gniazdo zawierało dwoje młodych, które towarzyszył mój przyniósł do domu, pragnąc je chować. Jeden zdechł wkrótce; drugi chował się doskonale, karmiony przez nas muszkami, a w braku ich nawet pokrajanem na drobne kawałki mięsem żabki drzewnej. Oswoił się do tego stopnia, że gdy już mógł przelatywać nieznaczone przestrzenie, towarzyszył nam w naszych zajęciach około domu, napraszając się swym żalosnym głosem pokarmu. Razu pewnego zabiłem go przypadkowo rzuconym liściem banana, nie wiedząc bynajmniej, że ptaszyna znajdowała się w bliskości.

Jelski przypuszczał, że świetnie ubarwiony czub muchołówki królewskiej służy jej do omamiania motylów podczas łowów na nie. Ponieważ widziałem raz, że ptak podnosi czuba w czasie lotu, przypuszczam, że twierdzenie mego towarzysza jest bardzo słuszne.

Wróćmy do naszej wycieczki porannej. Z zabitym ptaszkiem, radzi ze zdobycia takiej rzadkości, idziemy dalej, pragnąc nastrzelać jaknajwięcej. To jednak niezawsze nam się udaje, gdyż lasy

Ameryki Południowej, acz bardzo ożywione, nie zawsze jednak przedstawiają wydajne pole dla ekskursji ornitologicznych. Bywa i tak, że parę godzin wędrujemy, nie mogąc znaleźć celu dla naszej strzelby. Pochodzi to stąd, że większa część ptaszków leśnych zbija się w mieszane stadka, które w celach wspólnych łowów przerzynają puszcę w różnych kierunkach, posuwając się ciągle naprzód. Tym sposobem życie ornitologicznego świata koncentruje się na pewnych nieznacznych przestrzeniach, gdy reszta puszczy pozostaje samotną, ożywioną tu i owdzie pojedynczo szwędającymi się ptaszkami. Gdy więc dzień nieszcześliwy dla myśliwca wypadnie, przejść można znaczne przestrzenie, nie zabiwszy ani jednej sztuki.

Posuwamy się więc w milczeniu, krokiem lekkim, do którego szybko nas wdraża życie leśne. Łapcie skórzane, pokrywające nasze nogi, dotykają ziemi bez żadnego prawie szmeru, dzięki rannej wilgoci, jaka zeschłe liście moczy. Tym sposobem łatwo zejść możemy czy to ptaka większego, czy czworonoga, zwykle bardzo ostrożnego. Naraz z pośród leśnego spokoju rozlega się łoskot, spowodowany widocznie uderzeniami twardego ciała o drzewo. Stajemy dziwiwni, szukając napróżno przyczyny jego: na uderzenia siekiery zbyt prędko jedno po drugim następuje, a zresztą w lesie, oprócz nas, ludzi niema; dzieciół znów, kując drzewa, powoduje łoskot podobny, lecz pojedyncze uderzenia prędeż i nierównomiernie po sobie następują. Nie wiedząc przyczyny, najlepiej ją odkryć. Tak też i my czynimy, puszczać się gąszczem prosto na głos, dochodzący nas z małemi pauzami. Już go słychać blisko, coraz bliżej; prowadzimy wzrokiem po pniach okolicznych, gdy naraz w koronie wysokiego drzewa robi się zamęt, szum jakiś, pisk i głosy niepojęte. Szybko wznosimy głowę i odkrywa nam się tajemnica tego niepokoju. To stado małpek (*Cebus capucinus*) żerowało w koronie wysokiego drzewa, a łoskot pochodził od uderzeń twardymi owocami o konary. Skradamy się do jednej z małp, lecz niezmiernie chyże stworzenie już znikło w gąstwie drzewa, jednocześnie widzimy drugą, rzucającą się na sąsiednią koronę, więc za nią biegniemy szybko, lecz nim do drzewa dobiegliśmy, już tam spokój panuje. Gorączkowo rzucały się na prawo, na lewo — zawsze bezskutecznie. Spłoszone stado rozprysnęło się w jednej chwili, a my, niewprawni jeszcze w tego rodzaju polowanie, stoimy zawstyżeni, że taka okazja z rąk nam się wymknęła. Należało jednej małpy pilnować, a nie rzucać się na wszystkie strony. Lecz ta refleksja przychodzi nam zapóźno, więc wracamy na dróżkę i zabiwszy jeszcze kilka drobnych ptaszków, kierujemy kroki nasze ku domowi.

Szybko czas płynął w Palmalu wpośród codziennych zajęć i kłopotów. Wkrótce opatrzyliśmy się, że prowizja nasza ma się ku końcowi — zaczynało brakować smalcu i mąki — dwu najważniejszych artykułów naszej spiżarni. Jeden z nas musiał się zdecydować na podróż do Tumbezu; los padł na mnie. Na szczęście nadjechał któryś z Ortizów, więc zabrałem się z nim nie-

zwłocznie do Lechugalu, a stamtąd w towarzystwie starszego z synów naszego gospodarza, pojechałem do miasta, skąd wróciłem po pięciu dniach nieobecności, z których cztery wypadły na samą podróż tam i z powrotem. Z Lechugalu wróciłem do Paimalu w towarzystwie całej rodziny Ortizów, która tu już ściągnęła na czas dłuższy, gdyż rozpoczynały się roboty około siejby tytoniu i sadzenia drzewek kawowych. Gospodarstwo zamieszkali w drugiej czakrze, gdzie właśnie najważniejsza część pracy wypadła.

Pewnej niedzieli cała rodzina Ortizów przyszła do nas z wizytą. Poczciwy gospodarz, widząc smutny stan naszej siedziby, a głównie brak porządnego przykrycia, który nas utrzymywał w ciągłym niepokój o całość naszych kolekcji, zaproponował nam, abysmy się do drugiej czakry przenieśli, gdzie ofiarował nam do dyspozycji obszerną szopę, zwaną po hiszpańsku „ramada”, a służącą do suszenia tytoniu. Był to duży budynek, utworzony z 8 słupów, pokrytych strzechą; ścian ani podłogi wcale nie było. Przy braku jednak huraganów, a nawet silniejszych wiatrów można było lekceważyć brak ścian; co zaś do podłogi — zbyteczną ona była na dzień, a w nocy spać mogliśmy na tapczanie, który zbudować należało. Co nas też głównie skłaniało do przyjęcia propozycji Ortiza, to pewność dobrej, nieprzeciekającej strzechy, oraz stołowanie się u Ortizów, co by nam oszczędziło masę czasu, pochłanianego jak dotychczas przez gospodarskie zajęcia.

Po rozważnej naradzie stanęło na tem, że pójdziemy za radą Ortiza, o czem uwiadomiliśmy go dnia następnego, w poniedziałek. Przy pomocy gospodarza i jego mulów przeprowadziliśmy wszystkie nasze manatki w dwa obroty i zainstalowaliśmy się na nowej naszej siedzibie. Czekano nas jednak nie mało jeszcze roboty przy ostatecznem urządzeniu się, a na nieszczęście nie mogliśmy w tem liczyć na pomoc Ortizów, zajętych pilnymi pracami około własnej plantacji. Już ta wygoda, żeśmy ani gotować, ani prac bielizny nie potrzebowali, była dla nas wielkiego znaczenia.

Czakra, na której teraz zamieszkaliśmy, leży w górę rzeki względem pierwszej i jest od niej znacznie większa. Lewy brzeg strumienia zajęty był pod banianiarnię i plantację ryżową; tu też znajdował się dom mieszkalny Ortizów. Na prawym, gdzie się nasza „ramada”, czyli szopa mieściła, gęste krzaki pokrywały grunt w znacznej części i dopiero przy nas pracowity gospodarz ziemię oczyścił i tytoniem zasiał.

Pierwsze dni na naszej nowej siedzibie poświęcone były wewnętrznemu urządzeniu. Przedewszystkiem rozpaliliśmy duży ogień w jednym z rogów obszernej szopy, starając się go za przykładem westalek ciągle podtrzymywać, czego łatwo było dopiąć, kładąc wielkie polano wilgotnego nieco, a przez to niełatwo palnego drzewa; tym sposobem każdej chwili mogliśmy ogień rozdmuchać, dorzucając nieco suchych, drobno poszczepanych drzazeg. Gdy trzeba było herbatę lub kawę zagotować, co się u nas zresztą kilka razy na dzień przytrafiało, mało zachodu mieliśmy

z rozdmuchaniem ognia. Następnie do słupów podtrzymujących dach ponawbijaliśmy dużych sztytów i na nich rozwiesiliśmy wszystkie narzędzia, służące do ciągłego użytku. Najwięcej jednak czasu zajęła nam robota kilku stołów i tapczana, mającego nam służyć za łóżko, gdyż niepodobna było bez szkody dla zdrowia spać na wilgotnej ziemi. Za materiał, użyty w tym celu służył nam bambus, roślina ze wszech miar użyteczna, a przez to zasługująca na bardziej szczegółową wzmiankę.

Widzieliśmy już poprzednio, że w Tumbezie i wogóle na całym północnym Pomorzu Peruwjańskim bambus odgrywa nadzwyczaj ważną rolę przy budowie domów i parkanów. Tamten jednak gatunek, zwany przez Peruwjan „cana de Guayaquil“ (trzcina guayaquilska) (*Guadua arundinacea*) jest rośliną uprawną, a raczej sadzoną—gdyż uprawy żadnej nie wymaga. Pierwotną jej ojczyzną jest Azja, a do Ameryki wprowadzoną prawdopodobnie została przez Hiszpanów. Dziko zaś rosnący po lasach Nowego Świata bambus kolczasty, jest rośliną endemiczną i różni się od azjatyckiego gatunku mniejszym wzrostem i grubością, oraz silnymi cierniami, pokrywającymi obficie łodygę, osobliwie zaś cienkie jej rozgałęzienia.

Każdy z was, czytelnicy, zna niewątpliwie łaski bambusowe, przychodzące do nas z Chin. Wystawmy sobie podobną trzcinę, lecz mającą blisko czterech cali średnicy przy kilkudziesięciu stopach wysokości, a będziemy mieli przybliżone pojęcie co to jest bambus budowlany, że go tak raz na zawsze nazwę. Jest to długa rura, podzielona w odległościach łokciowych, lub nieco mniejszych poprzecznymi przegródkami, stanowiącemi kolanka rośliny. Zewnętrzna powłoka łodygi bambusowej zawierająca znaczną ilość krzemionki, jest nadzwyczaj twarda i tylko przy zręcznym, skośnym cięciu może być rąbaną bez szkody dla tnącego narzędzia. Kilka niewprawnych uderzeń wystarczy, aby najlepszy nóż (machete) amerykański, poszczerbić jak pilę.

Przygotowanie tarcic bambusowych, odgrywających tak ważną budowlaną rolę, odbywa się w sposób następujący. Zwaloną łodygę pozbawiamy cienkiej i miękkiej górnej połowy, a pozostałą gęsto nacinamy siekierą lub maczetem na węzłach, tak jednak, aby się nacięcia dwu sąsiednich węzłów mijały ze sobą. Gdy tym sposobem wszystkie węzły są już nacięte, robimy jedno nieprzerwane cięcie wzdłuż całej łodygi i roztwieramy ją, przydeptując nogą, co nam daje tarcicę, ażurową wprawdzie w skutek rozszerzonych nacięć, lecz lekką, sprężystą i bardzo mocną. W takim stanie służyć nam może czy to na oszalowanie ścian, czy za podłogę górnego piętra, czy wreszcie za mocny i łatwy do zbudowania parkan.

Znając taki sposób przygotowania tarcic bambusowych, przystąpiliśmy do roboty trzech stołów i jednego wspólnego tapczana, który nam za łóżko miał służyć. Nogi robiliśmy z bambusowych łodyg cylindrycznych (nienacinanych), wbijając je głęboko w ziemię, aby je o ile możności, niewzruszonymi uczynić. Górna część posiadała widelkowate nacięcia, w które kładliśmy dwa podłu-

zne bambusowe drążki; na nich zaś umieszczaliśmy raz koło razu krótkie poprzeczne tarcice i dopiero na tych ostatnich także podłużne deski. Tym sposobem sporządziliśmy trzy stoły, o blacie nie dość równym wprawdzie, lecz stokroć wygodniejsze od niewielkiej skrzyni, jaka nam dotychczas do preparowania lub pisania służyła, a przy której siedzenie w kuczki było dość męczącym. Dwa stoły przeznaczone były do preparowania, trzeci służył nam do suszenia okazów zoologicznych, które na noc składaliśmy do skrzyni z wiekiem, aby je od szczurów i wielkich karaluchów ochronić. Tapczan, zasłonięty wspólnym namiotem. doskonale wypełniał rolę łóżka.

Roboty te wraz z oczyszczeniem dróżki, prowadzącej do pobliskiego strumienia, zajęły nam kilka dni czasu, poczem mogliśmy wreszcie czas poświęcić naszym oficjalnym, a tak ulubionym zajęciom, ludząc się nadzieją, że dobry rezultat uwieńczy naszą gorliwość. Ortizowie przy oczyszczaniu gruntu pod plantację natrafiali czasami to na węża ciekawego, to znów na jaszczurkę lub żabę, znosząc nam wszystko z właściwą im bezinteresownością, a myśmy zdobyte okazy pakowali do blaszanek z alkoholem. To znów jeden z sąsiednich czakarerów, imieniem Nicanor, zapalony myśliwy, dostarczył nam już parę czworonogów, a mianowicie sarenkę, wydrę południowo-amerykańską, które nam za przystępną cenę sprzedał, obiecując dostarczać wszelkie swe myśliwskie zdobycze. I nasze wycieczki ornitologiczne dawały zawsze jakieś nowe, a ciekawe nabytki, które nasz zapal myśliwski podtrzymywały.

Nie sądzonem jednak było wtedy, aby nasza eksploracja palmalskiego lasu doprowadzoną była do zamierzonego końca; nagromadzanie się powolne przyczyn szkodliwych doprowadzić musiało wreszcie do obalenia wszystkich naszych nadziei. Walka dnia każdego, bezustanne wysiłki sztucznie podtrzymwanego ducha energii ustąpić w końcu musiały miejsca moralnemu przynębieniu. Choroba nóg moich przybierać zaczęła rozmiary zestraszające; rany pokrywające je szerzyły się i mnożyły, czyniąc prawie niemożliwym dalsze chodzenie, gdyż krok każdy przyczyniał mi bólów dotkliwych, a dotknięcie najmniejszej gałązki było dla mnie prawdziwą męczarnią.

Jednocześnie towarzysz mój, trzymający się dotychczas zdrowo, zaczął także odczuwać smutne skutki zjadliwego klimatu. Paroksyzm zimnicy, a wraz z nim formowanie się olbrzymiego wrzodu na przedramieniu wymownie świadczyły o złych wpływach nadmiernej wilgoci, skombinowanej z gorącym równikowym. Duch nasz upadał pod tymi ciosami materialnymi, lenistwo i zwątpienie zaczęło nas ogarniać. Zrobiliśmy naradę, której rezultatem było postanowienie natychmiastowego wyjazdu do Tumbezu. Zainterpelowany w kwestji mułów i koni Ortiz, okazał się gotowym do wynajęcia ich; naznaczyliśmy więc dzień odjazdu na wtorek 30 maja 1876 r., a tymczasem przystąpiliśmy do pakowania naszych rzeczy i kolekcji. Ortiz wyruszył do Lechugalu po muły i osły i wrócił z nimi w poniedziałek.

Dwudniowa podróż do Tumbezu była dla nas nadzwyczaj przykrą. Droga z Palmalu do Lechugalu tak rozmokła wskutek ciągłych deszczów, że biedne zwierzęta grzęzły po kolana, a w wielu miejscach Ortiz musiał ciąć krzaki po bokach, aby ominąć głębsze kałuże i błotniska. Niezrównoważony ładunek krzywił się ciągle na grzbietach zwierząt, zmuszając do ciągłych poprawek. Do tych nieprzyjemności łączyły się gwałtowne bóle, jakich obaj doznawaliśmy w skutek naszych dolegliwości; w wielu miejscach, znużeni i rozdenerwowani, woleliśmy iść piechotą, aniżeli jechać nogą za nogą.

Pierwszego dnia, już wieczorem, dowlekliśmy się do Lechugalu, gdzie z niewypowiedzianą rozkoszą mogliśmy odpocząć przez noc całą, spożywszy przedtem skromną wieczerzę, złożoną z herbaty, sera i bananów pieczonych. Dnia następnego wyjechalśmy z Lechugalu o 10-ej rano i dopiero po 8-godzinnej wolnej jeździe stanęliśmy w Tumbezie, zbolali, znużeni i całodziennem słońcem na stepie przepaleni. Lećz tu wreszcie kończyły się nasze cierpienia. Mogliśmy rozciągnąć nasze zbolale członki w wygodnych łózkach, a sprowadzony z garkuchni Hernandez'a obiad był przecież podobnym do ludzkiej strawy, której od tak dawna brak nam było. W duszach naszych zapanowało uczucie błęgiego spokoju i świeżo przebyte strapienia zbladły już dla nas; pozostał tylko żal, że ta dwumiesięczna wyprawa nie wydała takiego rezultatu, jakibyśmy osiągnąć pragnęli.

Zanim jednak porzucę ostatecznie las palmalski, zatrzymać muszę przez chwilę uwagę czytelnika nad obszarem puszczy ekwadorskich, zalegających zachodni stok Andów, od 4<sup>o</sup> szer. połud. aż po granicę kolumbijską i dalej przez Kolumbję do Panamy. Podczas mej drugiej podróży do Ameryki Południowej, która w części z geologiem Siemiradzkiem, a w części sam odbyłem, zdołałem przecież urzeczywistnić moją żądzę zbadania tego ciekawego obszaru; uzupełniłem tym sposobem braki, jakie powstały przez nasz przedwczesny odwrót z Palmalu. Wyprawa do Guayaquilu (1882 r.), a stamtąd do Chimbo leżącego u podnóża Andów ekwadorskich dała mi możność wypełnienia luki z przed 6 lat, choć przyznać muszę, z niemalą szkodą dla zdrowia. Gdy więc słów kilka poświęcę lasom chimbeńskim, bardzo podobnym do palmalskiej puszczy, uzupełnię tym sposobem zarisy tej ostatniej, a jednocześnie dotknę kwestji, która w następstwie niniejszego opowiadania dłużej nas nieco zajmie, a mianowicie kwestji rozkładu lasów na łądzie Południowej Ameryki.

Pamiętać wypada przedewszystkiem, że zachodni, pacyficzny stok Kordyljerów pokryty jest lasami, zaczynając od Panamy, aż po granicę między Peru i Edwadorem, czyli mniej więcej po 4<sup>o</sup> szer. połud. Dalej ku południowi, na terytorjum peruwjańskim, lasy występują na zachodnim stoku nieznacznie płamami, ograniczając się jedynie do wysokości 5.000' — 10,000' nad poz. morza, czyli, że poniżej 5000' w gorących częściach podnóża Andów lasów niema, a zastępuje ich miejsce typ okolic, nazwany przez nas



„Wzgórzami“. Powyżej znów 10,000' zaczyna się region pastwisk alpejskich, zwany w Ekwadorze „Paramo“, a charakteryzujący się brakiem drzewiastej roślinności. Z tego więc widzimy, że lasy zachodniego skłonu Andów ciągną się wązkim stosunkowo pasem wzdłuż łańcucha gór na przestrzeni jakich 14 stopni geograficznych. Pas ten największą szerokość posiada w Kolumbii, to jest w północnej swej części—zweżając się stopniowo ku południowi, gdzie się kończy, jak to już powiedziałem, mniej więcej pod 4<sup>o</sup> szer. połud.

W przyszłości poznamy, że wschodni stok Kordyljerów pokryty jest lasem na całej przestrzeni, zaczynając od północnej Kolumbii, aż po południową Boliwię, czyli mniej więcej na przestrzeni 30<sup>o</sup> geograficznych i że lasy te dostawczy się na olbrzymie równiny porzecza Amazonki, górnej La Platy i Orinoco — ciągną się jedną nieprzerwaną prawie masą aż po brzegi Atlantyku, wówczas zrozumiemy, że dwa obszary leśne, to jest zachodni—pacyficzny i wschodni, czyli atlantycki, bardzo są nierówne i że pierwszy z nich jest w stosunku do drugiego, jak mała wyspa do kontynentu. Proszę też czytelników, aby pamiętali zawsze o tem, że oba te nierówne obszary leśne są prawie wszędzie izolowane od siebie przez górne piętro Kordyljerów, pozbawione roślinności drzewiastej, którą zastępuje trawa alpejska, a miejscami na wysokich szczytach — lodowe obszary wiecznych śniegów.

Gdy następnie wrócę jeszcze do tego przedmiotu, postaram się wyluszczyć motywy, jakie mnie przyprowadziły do mniemania, że lasy zachodniego stoku Kordyljerskiego są młodsze od wschodnich, zalegających obszerne systemy Orinoco, Amazonki i La Platy. Obecnie ograniczę się tylko na zaznaczeniu rezultatu powierzchniowej obserwacji, która mnie nauczyła, że pierwsze z nich nie dorównują drugim rozwojem roślinności, tak jak są od nich swym obszarem mniejsze. W pomorskich lasach Ekwadoru drzewa nie są ani tak liczne, ani tak wyniosłe, jak w amazońskich, a główną ich masę stanowi gąszcz, utworzony przez niewysokie drzewa, krzewy i zwoje wijących się roślin. Wynioślejsze okazy rosną dość rzadko, a korpulencją swą i wzrostem nie dorównują olbrzymom wschodniego obszaru.

Tę samą przewagę po stronie amazońskich lasów spotkamy także przy porównaniu faun obu wskazanych obszarów leśnych i aczkolwiek lasy ekwadorskie posiadają przedstawicieli prawie wszystkich rodzin, właściwych lasom amazońskim, to jednak brak w nich mnóstwa rodzajów, a liczba gatunków jest bez porównania niższą. Powtarza się tu tylko znane zoogeograficzne<sup>1)</sup> prawo, że fauna wysp jest zawsze uboższą od fauny odpowiednich wielkością i warunkami obszarów stałego lądu, za przyczynę czego uważać należy utrudnione warunki emigracji tvorów zwierzęcych z lądów na wyspy.

<sup>1)</sup> Zoogeografią nazywa się nauka o rozmieszczeniu zwierząt na powierzchni kuli ziemskiej.

Klimat lasów, pokrywających zachodnie podgórze Andów ekwadorskich jest w wysokim stopniu wilgotny, mniej jednak gorący, aniżeli klimat odpowiednich szerokością geograficzną brazylijskich, lub guyańskich pobrzeży Atlantyku, co niewątpliwie przypisać należy regularnym wiatrom chłodnym, wiejącym z południo-zachodu, a w części pewnie sąsiedztwu śnieżnych szczytów ekwadorskich Kordyljerów. Niemniej jednak, pomimo względnie umiarkowanej temperatury, trudno o miejscowości bardziej niezdrów, aniżeli zachodni pas lasów, o czym mogliśmy się dostatecznie przekonać na nas samych, zarówno w wycieczce naszej do Palmalu, jak następnie przy eksploracji lasów Chimbo, odbytej w latach 1882—83. Połączone działanie ciepła, wilgoci i całych zastępów najrozmaitszych pasorzytów zarówno zwierzęcych, jak i roślinnych, powoduje częściowe zakażenie krwi, objawiające się pod postacią rozmaitych owrzodzeń lub ran, trudnych do wyleczenia. Dość jest nieraz skaleczyć się, lub zadrasnąć nawet, aby nabawić się rany, jątrzącej się przez długie nieraz miesiące. Widzieliśmy już chorobę, spowodowaną przez małego kleszczyka, zwanego „selemba” lub „coloradillo”, który mnie zgłębił na długi przeciąg czasu. Po powrocie do Tumbezu położył się musiałem na 2 tygodnie i dopiero smarując codziennie rany pomadą siarkowaną, którą mi przepisał znajomy nasz dr. Craw, udało mi się dość szybko pozbyć wstrętnej i dokuczliwej choroby. Każdy z podróżujących po lasach Południowej Ameryki powinien mieć ze sobą siarkę, gdyż „selemba” spotyka się wszędzie — zarówno w Peru, jak w Brazylii i Ekwadorze.

Inna znów choroba właściwa, jak się zdaje, wyłącznie zachodnim gorącym lasom Ekwadoru, nosi miano „sitalan”. Jest to pasorzyt roślinny, rozwijający się w torebkach włosowych głowy, powodując w miejscach zakażonych tworzenie się wrzodów i strupów. Miejscowi przypisują pochodzenie tej choroby pewnemu drzewu zwanemu „FernanSanchez”, twierdząc, że dość jest stanąć pod takim drzewem i wstrząsnąć niem, aby się choroby nabawić. Zapadłem na nią w listopadzie 1882 roku, bawiąc w Chimbo i pomimo smarowań pomadą jodową, nie pozbyłem się jej, aż w 5 miesięcy potem, gdyśmy przyjechali w góry do umiarkowanego klimatu. Tam choroba ustąpiła w ciągu tygodnia bez użycia żadnych lekarstw.

Nie będę tu opisywał symptomatów tej wstrętnej choroby, podobnej zupełnie do spotykanej tak często między synami Izraela. Zwrócić jednak muszę uwagę na opinię krajowców, którzy wszyscy bez wyjątku przypisują pochodzenie jej wspomnianemu drzewu „Fernan-Sanchez”. Nie mając żadnej pewności co do tego, ograniczyć się tylko muszę na przytoczeniu faktów świadczących pro i contra temu twierdzeniu. Z jednej strony nie ulega wątpliwości, że istnieją w Ameryce Południowej drzewa, których sąsiedztwo sprowadzić może choroby skórne. Między innymi zacytować mogę drzewo, rosnące dość rzadko w dolinie Huayabamba na wschodnim skłonie Kordyljerów peruwjańskich. Krajowcy tak

dalece obawiają się go, że gdy wycinając las pod pola, trafią na nie, pozostawiają je w spokoju, obchodząc zdaleka. Podczas mego tam pobytu jeden z młodych ludzi, syn znanego mi kolonisty, zapragnął przekonać się osobiście co do prawdziwości ogólnego twierdzenia i trafiwszy raz pewnego na to drzewo, ściał je niebacznie. W parę godzin potem już miał całą twarz opryszczoną i zaognioną, a stan ten trwał przez dwa dni przeszło i ustąpił dopiero dzięki częstemu smarowaniu sokiem cytrynowym. Pozór zaognionej skóry jest podobny, jak podczas róży, skąd też miejscowi dają tej przypadłości nazwę „erisipela“. <sup>1)</sup>

Z drugiej znów strony „sitalan“ jakiemu podległem w Chimbo wypadł właśnie w czasie kwitnięcia owego drzewa „Fernan-Sanchez“, na którym strzelałem podówczas codziennie koliberki, kręcące się w znacznych ilościach na kwiatach jego. Lecz Siemiradzki również strzelał je pod temi drzewami, a jednak chorobą tą nie był dotknięty. Skłaniam się też ku mniemaniu, że ja się raczej zaraziłem od pewnego młodego człowieka, cierpiącego na tę chorobę, a który prawdopodobnie użył kiedykolwiek mego grzebienia, leżącego zawsze w pokoju bez żadnego dozoru.

Że jednak choroba ta jest endemiczną, właściwą li tylko zachodniemu podnózu Kordyljerów ekwadorskich, dowodzi dostateczny fakt mego szybkiego wyleczenia się jedynie pod wpływem zmiany klimatu. Pięć miesięcy trwający „sitalan“ ustąpił bez użycia żadnych środków leczniczych, skorom opuścił tylko gorące podnórze Andów i przejechał do klimatu umiarkowanego, jaki charakteryzuje górne piętra Kordyljerów.

Oprócz tego, region owych lasów ekwadorskich, w mowie będących, jest siedliskiem dysenterji, zimnic, malarji, zgnitych feber i innych chorób, właściwych gorącemu klimatowi. Podczas naszego trzymiesięcznego pobytu w Chimbo w ciągu jednego tygodnia zmarły w domu przez nas zamieszkiwanym cztery osoby, z których jedna padła ofiarą żółtej febrji, nabytej w Guayaquilu, a trzy uległy zgnilej gorączce, właściwej pomorskim lasom zachodniego Ekwadoru. Dom ten liczył podczas naszego pobytu dziesięciu stałych mieszkańców, to jest nas trzech (Siemiradzki, ja i nasz kucharz, Chińczyk), oraz rodzinę ekonoma haciendy i jego służbę, a przez owe trzy miesiące nie było *ani jednego dnia*, w którymby przynajmniej jeden z nas nie był chorym: temu dokuczala zimnica, ów leżał z nogami poranionemi przez „selembę“, trzeci zapadał na „sitalan“, czwartemu reumatyzmy spać nie dawały. Ła-

---

<sup>1)</sup> W późniejszych czasach niejaki p. Salvador Morhange, konsul belgijski w Nicei, który długi czas podróżował po Australji, wspominał mi o tamtejszym krzewie z rodzaju *Ramnus*, zwanym przez Anglików „poison-oak“ (jadowity dąb). Zetknięcie się z tą rośliną, a nawet proste zbliżenie się do niej spowoduje opryszczenie i opuchliznę całej głowy, które nierzadko śmiercią się kończy.

two więc zrozumieć można, dlaczego region ten, pomimo blizkiego sąsiedztwa z tak ważnym, jak Guayaquil, portem, omijany był starannie przez europejskich badaczy, co nam pozwoliło wzbogacić naukę jakimi 20 nowymi formami ptaków; lecz, niestety, skutki pobytu w niezdrowym czimbeńskim klimacie jeszcze w pięć lat po eksploracji czuć mi się dawały.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

Tumbez.—Podróż do Limy. — Obyczaje kolczaka.—  
Wycieczka do Lechugalu.

Wspomniałem już, że za radą znajomego naszego d-ra Craw zacząłem leczyć rany moje pomadą siarkową, którą otrzymywałem, mieszając pół na pół kwiat siarczany ze świeżym, niesolonym smalcem. Wiadomość tę podaję dla użytku przyszłych podróżników po Ameryce zwrotnikowej, radząc im używać tego doskonałego środka zawsze, skoro tylko jakiegokolwiek bądź jątrzące się owrzodzenia pokryją ich ciało. Sposobu tego wypróbowałem następnie w bardzo licznych wypadkach nie tylko na sobie, lecz także i na krajowcach, otrzymując zawsze jak najlepsze rezultaty. Gdy rany nie są zadawnione, wystarcza jedno staranne wysmarowanie, zwykle jednak dla większej pewności należy powtórzyć je trzy do czterech razy, zmywając rany przed operacją ciepłą wodą, aby pomada dostała się do żywego mięsa. Moje obrażenia były tak zadawnione i ciąglem chodzeniem rozjątrzone, że byłem zmuszony przez dwa tygodnie w łóżku przeleżeć, a czas ten poświęciłem dopełnianiu dziennika, czytaniu lub innym tego rodzaju zajęciom. Jednocześnie i Jelski z domu nie wychodził, gdyż po peknieniu wrzodu otworzyła mu się straszna dziura, którą należało codziennie kauteryzować, aby powstrzymać nadmierny przyrost mięsa, mogący zatamować pokrycie się rany wolniej narastającą skórą. Przez ten czas jedzenie przynoszono nam do domu, a wizyty tego lub owego ze znajomych stanowiły miłą rozrywkę wpośród monotonnego biegu rekonwalescencji.

Wreszcie d. 15 czerwca mogłem znów udać się na wycieczkę, zachowując przytem pewne ostrożności, aby nadmiernem umęczeniem nóg nie wywołać znowu otwarcia się świeżo zagojonych ran. Pierwsze te chwile odzyskania straconych organów ruchu, napełniły mnie wielką radością, którą pojmie ten tylko, kto się choć raz w życiu w podobnych okolicznościach znalazł. Za to Jelski nie mógł się jeszcze przez parę tygodni z domu ruszać, a ja tymczasem starałem się tak wycieczki naukowe prowadzić, aby,

i jemu roboty w domu dostarczyć, przez co odwodziłem się tylko za jego troskliwość o mnie podczas mej choroby w Lechugalu.

Muszę zwrócić uwagę czytelnika na wielką wygodę z podróżowania we dwóch. Jestem wielkim przeciwnikiem wszystkich wypraw naukowych w licznym towarzystwie, gdyż doświadczenie uczy, że nie odpowiadają bynajmniej kosztom, a często nawet robią fiasco już to wskutek chorób jakim podlegają ich członkowie, a więcej może jeszcze dzięki niesnaskom, nieuniknionym w licznej kompanii, gdzie każdy chciałby przywozić innym, a nikt słuchać. Lecz bardzo popieram podróżowanie we dwóch, z tem jednak zastrzeżeniem, aby się obaj towarzysze dokładnie poznali i w charakterach zesзли. Widoczna tego korzyść jest właśnie w tych razach, kiedy choroba jaka pospolita w krajach podzwrotnikowych, zatrzyma w domu jednego z członków wyprawy, gdyż wówczas towarzysz jego przy prostym podziale pracy dostarczać mu może roboty domowej. Jeżeli zaś puszczamy się na wyprawę sami, wówczas niezbędną jest rzeczą, abyśmy mieli służącego, najlepiej z pomiędzy krajowców, który umie strzelać, zbierać owady i preparować okazy zoologiczne, gdyż ten, przy małym zresztą wydatku, opłaca sownie kosztą, jakie na utrzymanie jego wyłożymy. Przekonałem się o tem dostatecznie i mogę ręczyć za użyteczność podobnego towarzysza.

Wycieczki moje, jakie podówczas odbywałem w najbliższych okolicach Tumbezu, dały mi możność zdobycia kilku jeszcze gatunków ptaków, przedtem nieposiadanych, oraz dubletów bardzo pożądaných, a zarazem pozwoliły mi sprawdzić fakt przelotów, jakie odbywają niektóre ptaki w różnych porach roku. Między innymi przytoczyć muszę małego koliberka, najmniejszego bodaj ze wszystkich znanych (*Myrmia micrura*), który w początkach naszego pobytu w Tumbezie, należał do najpospolitszych ptaszków, co mu nie przeszkadzało bynajmniej stanowić jedną z największych ornitologicznych rzadkości, dzięki niewątpliwie małemu obszarowi, jaki w swem rozmieszczeniu geograficznem zajmuje. Zdziwieni też byliśmy niepomalu, gdy za powrotem naszym z leczugalskiej wyprawy, dostrzegliśmy zupełny brak tego ptaszka. Przedtem basowe jego burczenie, podobne zupełnie do brzęku trzmieli lub innych wielkich pszczołowatych wadów, rozlegało się tam wszędzie, gdzie porastało pewien gatunek mimozy, żółto kwitnącej, a donośne ćwierkanie, właściwe licznym kolibrom naprowadzało myśliciwa na ślad tych karłów ptasiego rodzaju. Nieobecność ich w miesiącu czerwcu łatwo objaśnia się kwitnieniem i przekwitaniem kwiatów, wypadającym w różnych porach roku dla różnych okolic kraju, co zwykle pociąga za sobą niedalekie wędrówki kolibrów z okolicy do okolicy w miarę tego, jak ten lub ów gatunek kwiatów pojawia się, lub znika w sąsiednich obszarach.

Na nieszczęście nie udało nam się sprawdzić, w którą stronę *Myrmia* kieruje swe wędrówki, przypuszczać jednak można, że ku południowi, do gorących dolin podnóża peruwjańskich Andów. Piękny ten koliberek, którego samiec ozdobiony jest pyszną tar-

czą piór łuskowatych o metalicznym fioletowym blasku, pojawił się znowu w okolicach Tumbezu w początkach lipca i wkrótce stał się równie pospolitym, jak w styczniu.

Wycieczki moje przerwałem, skoro tylko towarzysz mój odzyskał możność władania ręką. Ponieważ bezpośrednio okolice miasteczka pod względem ornitologicznym można było uważać za dostatecznie zbadane, postanowiliśmy zająć się czas jakiś łowieniem myszy, gdyż ta gałąź zoologii bywa zwykle po macoszemu traktowana przez podróżników, przez co ma się zawsze wielkie szanse zdobycia form nowych, a przynajmniej bardzo rzadkich. Jelski, który wogóle sztukę kolektorską posunął niemal do możliwych granic doskonałości, zwłaszcza pod względem przechowywania zdobytych okazów, i w sposobach łowienia myszy wprowadził liczne, a długoletniem doświadczeniem wywołane, ulepszenia, któreśmy zarówno w Tumbecie, jak i wszędzie zresztą stosowali.

Warunkiem *sine qua non* zdobywania dobrych okazów myszy jest używanie takich łapek, które dostarczają nam egzemplarze żywe i nieuszkodzone, w innym bowiem razie kilka godzin czasu, jakie od złowienia się zwierzątka do świtu dzieli, wystarcza mrówkom drapieżnym, których nie brak nigdzie w gorących częściach Południowej Ameryki, do uszkodzenia myszy. Przy łowieniu żelazkami zdarzało mi się nieraz znajdować egzemplarze żywe jeszcze zupełnie, a już w części przez mrówki objedzone. Z drugiej znów strony myszolówki druciane nie nadają się do łowienia gatunków leśnych lub polnych, które zawsze prawie czują pewien wstręt, a raczej wrodzoną, instynktową obawę do wszelkiego żelastwa. Aby więc oba te względy ominąć, Jelski zastosował sposób prosty, a w praktyce dający jak najlepsze wyniki. Robił mianowicie niewielkie drewniane skrzynki, których wieko zastawiało się na trzech patyczkach, opatrzonych przynętą — zwykle bananem, maniakiem surowym, lub kukurydzą. Do takich skrzynek myszy szły bardzo chętnie, a nadto łowiły się żywcem, przez co unikaliśmy zepsucia egzemplarzy przez owady drapieżne.

W następnej naszej podróży do prowincji Jaen mieliśmy już cały komplet deseczek przyrzniętych według odpowiedniej miary i stanowiących  $\frac{1}{2}$  ładunku muła, czyli jedną skrzynię. Deseczki te na miejscu zbijało się niewielkimi ćwiekami, a po skończonem myszolóstwie rozbijało się na nowo i dla przewiezienia na inne miejsce do skrzyni pakowało, przez co oszczędzaliśmy wiele na czasie. W Tumbecie jednak nie wprowadziliśmy jeszcze tego ulepszenia, trzeba więc było deski rznąć, zbijać pudełka i zawiaski przystosowywać, co nam zajęło niemało czasu, aż w końcu znaleźliśmy się w posiadaniu dwudziestu kilku łapek, z których korzystaliśmy naprzemian — jednego dnia Jelski, a drugiego ja.

Myszolówki te rozstawialiśmy w dość znacznej od miasteczka odległości, wybierając zawsze gąszcz jak największy, którego zwykły się trzymać wszelkie gatunki myszy i szczurów. Trzeba było przytem zachowywać różne ostrożności, aby okoliczni miesz-

kańcy nie podpatrzyli naszego zajęcia, gdyż w takich razach łapki pozostają na ich łasce, lub nielasce i zwykle giną, pomimo niewielkiej wartości, jakie mogą przedstawiać proste sosnowe pudełka z zawiaskami z płótna żaglowego. W tym celu wychodziliśmy z miasteczka nad rankiem, skoro tylko świtać zaczynało, niosąc nasze skrzynki w worku na plecach i tak rozglądając się, jak złoczyńcy, czy nas kto nie podpatruje, wybieraliśmy miejsca stosowne. Co kilka dni należało łapki przestawiać do nowych miejsc, gdyż myszy trzymają się widocznie ograniczonych przestrzeni, dzięki czemu kilkodniowe łowy, jeżeli nie wyczerpują zupełnie danego obszaru, to przynajmniej redukują na nim znacznie ilość tych stworzeń. Co rana obchodził jeden z nas zastawione łapki i wybierał z nich złowione okazy, poczem zmieniał przynętę i zastawiał na dzień następny.

Rezultat mieliśmy znakomity, większy bez porównania, aniżeliśmy się zrazu spodziewali. Tym bowiem prostym sposobem zdobyliśmy 8 gatunków małych czworonogów, z których 7 myszowatych, a jeden mały gatunek dydelfa (*Didelphys murinus*), właściwy zwrotnikowej Ameryce Południowej — od Guyany do pobrzeża Oceanu Spokojnego. Liczba ta wyda się niejednemu zbyt małą, wiedzieć jednak należy, że rzadko która okolica posiada więcej, niż 7 gatunków myszy; a zresztą łowy nasze trwały nie więcej nad kilka tygodni.

Wbrew jednak oczekiwaniom wszystkie gatunki myszy, zdobyte w Tumbezie należały do gatunków znanych już, lecz zato trud nasz wynagrodzony został znalezieniem jednej formy, która dotychczas uważaną była za wyłącznie właściwą wyspom Galapagos. Jest to niewielki szczurek, który według opinii p. Thomas'a z British Museum, zajmującego się opracowaniem materiałów terologicznych z naszej wyprawy, należy do gatunku *Mus galapagoensis*, znajdowanego przedtem li tylko na wspomnianej grupie wysp. Odkrycie więc nasze zmniejszyło o jeden gatunek liczbę form właściwych archipelagowi Galapagoskiemu.

Po kilku tygodniach łowów przekonaliśmy się, że dalsze ich prowadzenie już się nie opłacało, gdyż powtarzały się ciągle te same formy, co dowodziło, żeśmy miejscową faunę mikroterologiczną wyczerpali. Dla dokończenia eksploracji północnej części pomorza peruwjańskiego należało jeszcze poświęcić kilka miesięcy czasu na zwiedzenie ujścia rzeki Tumbezu, gdzie błotniste mielizny, pokryte w znacznej części gąszczem ryzoforowym, obiecywały korzystne polowania na różne gatunki ptactwa wodnego i błotnego, a także zdobycie przyzwoitej kolekcji ryb, małży, raków, krabów i innych mieszkańców na pół słonej wody, zalewającej kanały delty Tumbezu. Przewidując, że już więcej nie wrócimy do tej części Peru, nie mogliśmy pominąć tak ważnego punktu, posiadającego faunę zasadniczo różną od bezpośrednich okolic miasteczka.

Przed wykonaniem jednak naszego zamiaru, jeden z nas musiał koniecznie jechać do Limy dla porobienia nowych zakupów prochu, śrutu, spirytusu, desek i innych niezbędnych przyborów



„wojennych“. Ja nadto osobiście miałem dwa ważne interesy do załatwienia, a mianowicie wysłanie kolekcji tumbeskiej i leczugalskiej do Warszawy i odebranie mej pensji z domu bankierskiego Graham, Rowe i Co., gdyż przesłanie znaczniejszych sum pieniężnych ze stolicy na prowincję przedstawia w Peru wielkie trudności. Ten też wzgląd skłonił mnie do udania się do Limy, gdy towarzyszył mój tymczasem pozostał na miejscu.

Na statku „Coquimbo“, należącym do Kompanii Pacyfiku, opuściłem Tumbes d. 30 lipca. Tym razem podróż odbyłem trzecią klasą, czyli na pokładzie, raz dla tego, że podróżnik powinien spróbować wszystkiego, a powtóre, że pozwalało mi to zaoszczędzić kilkadziesiąt dolarów, dzięki ogromnej różnicy, jaka istnieje między opłatą w 1-ej i 3-ej klasie angielskich parowców. Oprócz moich pak ze zbiorami i kufra, miałem ze sobą dwie klatki, mieszczące małpkę (*Cebûs capucinus*) i ciekawe zwierzątko południowoamerykańskie, zwane pospolicie aguti (*Dasyprocta aguti*), a należące do rzędu gryzących. Na statku spotkałem znanego mi z Chimbote kapitana Potts'a, którego zresztą więcej interesowała małpka, aniżeli moja własna osoba.

Przejazd trzecią klasą na statkach Kompanii Pacyfiku o tyle jest znośnym, że przy ciepłym klimacie pasażerowie nie są zmuszeni do mieszczczenia się w brudnej i cuchnącej wspólnej sali, lecz rozkładają się obozem na pokładzie. Każdy obiera sobie kącik, jaki mu się spodoba, z wyjątkiem tylnej części statku, zarezerwowanej dla pasażerów pierwszej klasy. Za dach służy gwieździsty firmament niebieski; rolę materaców spełniają twarde deski pokładu, zaślane potnikami, lub narodowem ponczem, w jaki każdy prawowity mieszkaniec Inkazji jest niezbędnie zaopatrzony. Aby uzupełnić to łoże, kładziemy sobie pod głowę wór z bananami i używamy smacznie snu, kołysani lekkim bujaniem się okrętu na spokojnych wodach Oceanu. Jest to oryginalna kombinacja dzielnego życia, do jakiegośmy przywykli od kilku miesięcy, z bytem mieszkańców cywilizowanych krajów, przywykłych do szybkich środków lokomocji parowej.

W sąsiedztwie mojem rozłożyło się dwu Ekwadorczyków z Quito, udających się do Limy. Grzeczni ci ludzie z wielką łaźnością zawiązali stosunki ze mną, częstując mnie serem i słodyczami swego kraju. Na rozmowie z nimi spędzałem większą część czasu; niekiedy też przyłączał się do nas pewien Chaldecyzyk, jak się zdaje misjonarz katolicki a przynajmniej wychowaniec misjonarzy. Był to młody jeszcze bardzo człowiek, lat może dwudziestu kilku, ubrany po europejsku, lecz z dodatkiem południowoamerykańskiego poncza. Po hiszpańsku mówił wcale nieźle, a w rozmowie zdradzał znaczny zasób wiadomości i niepoślednią inteligencję. Z Persji wyruszył przez Kaukaz, Odesę, Lwów i Kraków do Wiednia, skąd przez Francję udał się do Kadyksu i tam wsiadł na statek, udający się na wyspę Kubę. Zwiedziwszy następnie Nowy Orlean i część Meksyku, wyjechał z Acapulco do Guayaquilu. Na nasz statek wsiadł w Paycie, skąd kierował się do Li-

my, aby po krótkim odpoczynku przedsięwziąć uciążliwą podróż do Boliwii, Chili i Argentyny.

Młody ten człowiek służyć może za najwymowniejszy przykład, jak sobie można radzić wszędzie, skoro tylko mamy chęć podróżowania i pewien zasób energii do przelamywania przeszkód. Wyjechał z Persji, znając oprócz swego rodzowitego języka zaledwie trochę francuskiego. Sam jeden zwiedził ćwierć świata i szykował się z największym spokojem do nowej, stokroć trudniejszej podróży. Dalsze losy jego nie są mi znane.

Jedzenie, jakie dawano pasażerom pokładu (trzeciej klasy) nie odznaczało się ani dobrocią, ani obfitością. Śniadanie podawano o 10-ej rano, obiad o 4-ej po południu. Była to zupa kartoflana, podawana w blaszanym naczyniu, kawałek mięsa, trzy kartofle w mundurach i kromka chleba.

Nadto rano o 7-ej kawa z sucharem, a raczej nędzna imitacja kawy z sucharem, a wieczorem nieco lepsza herbata. Kto jednak umie się urządzać, ten tanim kosztem może na pokładzie dostawać pożywienie takie jak w 1-ej klasie. Na statkach angielskich przygotowuje się zwykle taką obfitość jedzenia, że nieraz widziałem, jak całkowite gotowane kury wrzucano do morza. Dość jest więc dać jednego solesa (5 franków) któremu z posługi kuchennej, a będzie nam regularnie przynosił całe talerze doskonałego mięsa i jarzyn. Nie jest to bynajmniej żadną defraudacją, gdyż się odbywa w oczach kapitana i całego sztabu oficerskiego. Każdy też zamożniejszy pasażer trzeciej klasy ucieka się do tego środka, aby uniknąć jedzenia monotonnej i źle przyrządzonej stawy, jaka na niego wypada.

Dla podróżujących na pokładzie statków istnieje jeszcze i inny sposób zapobieżenia złemu. Prawie wszystkie parowce, kursujące na pobrzeżach peruwjańskich, zatrzymują się często, bo raz lub dwa razy na dzień w jakim porcie. Zwykle na przyście statku oczekują już łodzie, w których miejscowe niewiasty przywożą rozmaite wytwory kuchni peruwjańskiej, jak ryby smażone, tamale (rodzaj placuszków z kukurydzy), koźlinę duszoną z ryżem i t. p.—wszystko przyrządzone bardzo smacznie, lecz ogólnym zwyczajem suto zaprawione papryką.

Wielu nawet pasażerów 1-ej klasy, dla których kuchnia angielska nie jest ponętną, zadawała swój apetyt w takich kocujących kuchniach i przyznać muszę, że dla podniebienia zwykłych śmiertelników ten rodzaj stawy jest daleko ponętniejszy, aniżeli sławna zupa angielska „ox-tail“ z wołowego ogona, lub ryż z szafranem, jakim codzień częstuje okrętowy kuchmistrz swych pacjentów.

Do Limy przybyłem 2-go sierpnia, w sam dzień proklamacji nowego prezydenta, generała Prady, wskutek czego miasto, ozdobione różnobarwnymi flagami, przybrało odświętny pozór. Dawnego prezydenta, Pardę żegnano z zapalem, nosząc go niemal na rękach. Nie przeczuwał wtedy biedak, że w 18 dni potem część ludności zrobi rewolucję przeciw niemu, i że w dwa lata potem zginie przesyty zdradziecką kulą.

Historja owej sierpniowej rewolucji 1876 roku doskonale ilustruje stosunki hiszpano-amerykańskiego społeczeństwa i dlatego zajmę nią na chwilę czytelnika.

Widzieliśmy już przedtem, że Pardo był przedstawicielem partji cywilistów, to jest zwolenników kandydatury cywilnej, gdyż poprzednio wszyscy prezydenci byli wojskowymi. Pardo, adwokat z powołania, człowiek bardzo zdolny, miał za sobą całą inteligencję, która w krajach południowo-amerykańskich, z wyjątkiem może Ekwadoru, stanowi jedyną arystokrację wśród ludności miejscowej. Partja więc jego była bardzo silna, gdyż liczyła prawie cały stan kupiecki, adwokatów, dziennikarzy, hacendadów, czyli właścicieli ziemskich i t. p. Plebs zaś, jakkolwiek grający ważną rolę przy wszelkich wyborach, łatwo powodować się daje i zwykle trzyma z tym, który lepiej płaci, a cywiliści płacić mogli, gdyż liczyli w łonie swem najbogatszych bankierów, kupców i ziemian. Partja zaś przeciwna, składała się prawie wyłącznie z wojskowych, którzy zwykle w krajach demokratycznych rekrutują się z ludzi biednych, szukających kariery na polu bitwy lub w rewolucyjnych zamieszkach. Lecz znaczenie tej partji urośnie w oczach naszych, jeżeli zwrócimy uwagę na decydujący wpływ, jaki mają zawsze bagnety przy wszelkich przewrotach politycznych. Wystarczy nieraz jeden bataljon do przeprowadzenia ważnej rewolucji, czego dowody dała nam nieraz i sama Europa.

To znaczenie partji wojskowej w Peru wzrośnie jeszcze w naszym pojęciu, skoro się tylko dowiemy, że do niej szczerze przynikała tak zwana partja klerykalna, dla której osoba Pardy, jako wybitnego przedstawiciela frankmasonerji, była w najwyższym stopniu wstrętną. A trzeba wiedzieć, że wpływ duchowieństwa w Peru, jak i we wszystkich krajach hiszpano-amerykańskich, jest bardzo znaczny, szczególnie zaś pomiędzy ludnością wiejską, trzymającą się zawsze dawnych tradycji. Tym sposobem stronnictwo Pardy liczyć się musiało z bardzo silnym nieprzyjacielem, który czekał tylko sposobności, aby uchwycić ster rządu w swe ręce. Ponieważ okazja nadarzyć się nie chciała, militaryści, forsując wypadki, sami ją stworzyć chcieli, co dało początek sierpniowej rewolucji.

Duszą partji klerykalno-wojskowej był niejaki Nicolas de Pirola, awanturnik, w którym szalona ambicja maskowała brak wszelkich zdolności, przygłuszając nawet uczucia patriotyczne, jeżeli wogóle miał je ten jegomość. Robił on już przedtem rewolucję przeciw Pardzie, lecz pobity przez niego pod Arequipa, uciekać musiał za granicę, gdzie też ciągle przebywał. To mu jednak nie przeszkadzało manewrować niemi intrygi, jakie niezbyt zresztą umiejętnie zaciągali w kraju jego stronnicy. I zamęt sierpniowy jego wpływowi zawdzięczyć należy, jak i kilka innych, które bezpośrednio potem krajem wstrząsnęły.

Na niedzielę d. 20 sierpnia stronnictwo militarne zapowiedziało w Limie wielki meeting na Placu Broni u drzwi samej katedry. Dnia tego przybyło z Callao nadzwyczajnym pociągiem

około 800 osób, mających brać udział w tem zebraniu. Odprawiono mszę św. w katedrze, poczem kilku mówców zaczęło przemawiać do zgromadzonego niezbyt licznie ludu. Między innymi głos zabierał stary marszałek La-Fuente i robotnik Aguilar, murzyn. Wszystkie mowy skierowane były przeciwko Pardzie, wykazując jego niedołężne rządy, które kraj do ruiny finansowej doprowadziły. Napomykano o 80 milionach, skradzionych jakoby przez ex-prezydenta, o głodzie, o nędzy, jaka wkrótce kraj nawiedzi, a w końcu ów Aguilar namiętnie zachęcał ludność do powtórzenia w Limie rewolucji francuskiej. Tak więc przedstawiciele klerykalizmu propagowali jawnie mord i rabunek u samych drzwi świątyni, wobec Ukrzyżowanego, który przecież życiem swem i słowami nauczał nas innych zupełnie zasad.

Katedra limańska zajmuje róg Placu Broni przy zbiegu ulic „de los Judios“ i „de Bodegones“, gdy na rogu przeciwnym wznosi się dom, zajmowany przez arystokratyczny „Club de la Union“, złożony wyłącznie z eleganckiej młodzieży, należącej do stronnictwa cywilnego. Cały ich zastęp zgromadził się w oknach klubu, słuchając tych podburzających przemówień, które nie omieszkały też sprowadzić żadanego skutku. Zaraz po przemówieniu Aguilara tłum rzucił się ku klubowi, lecz dzięki przytomności dwu murzynów, którzy pierwsi wbiegłszy, bramę zamknęli, napad nie przyszedł do skutku; ograniczono się tylko na obłężeniu i strzelaniu z rewolwerów do okien. Wreszcie przybył nowy prezydent, gen. Prado, i tłum nieco uspokoił; lecz wnet po jego odjeździe atak rozpoczęto na nowo, a jednocześnie główna masa motłochu pociągnęła ku mieszkaniu ex-prezydenta z okrzykami „Muera Pardo!“ („Śmierć Pardzie“). Tu jednak napotkano na silną żelazną kratę, broniącą wstępu do wnętrza domu. Zabrano się do wyłamywania jej, lecz w porę przybył znów Prado i pejczem tłum rozpędził, a oddział strzelców, złożony z 50 ludzi zagroził wejście do ulicy. Po odjeździe prezydenta rozpoczęła się utarczka między ludem i żołnierzami, w której zginęła podobno jedna osoba, a kilka innych zostało ranionych.

Na tem zakończyła się rewolucja sierpniowa, sprowadzając jedynie dymisję dwu ministrów i osadzenie w więzieniu Aguilara za podżeganie do mordu i gwałtu. Takich rewolucji spotkamy w krajach hiszpano-amerykańskich setki, stanowią one rodzaj spektaklu, w którym kilku lub kilkudziesięciu aktorów życie traci; poczem sprawy przybierają zwykły swój bieg: kupcy sprzedają towary, dziennikarze kłócą się między sobą, damy kokietują z okien przechodniów, koguty pieją przeraźliwie. Niktby nawet nie przypuszczał, że przed chwilą ważyły się sprawy całego narodu.

Wysłanie zbiorów do Warszawy, oraz zakupienie nowych materiałów do wyprawy, i spakowanie ich zajęło mi kilka tygodni czasu i dopiero 5-go września wsiadłem na statek „Trujillo“, który mnie szczęśliwie do Tumbezu przewiózł. Zostałem tu wszystko jaknajlepiej i rozpakowawszy rzeczy, zabrałem się na nowo do wycieczek, w nadziei, że spotkam co nowego wskutek zmiany

pory roku. Jakoż kilka gatunków ptaków, oraz jaszczurek wzbogaciło moją kolekcję.

Wkrótce po przyjeździe nadarzyła mi się sposobność kupienia bardzo rzadkiego i ciekawego zwierzątka (*Sphiggurus bicolor*), które następnie chowałem przez pół roku blisko, co mi pozwoliło zbadać nieco jego obyczaje, wogóle bardzo mało znane. Wyniki moich spostrzeżeń postaram się tu streścić, gdyż przedtem nigdzie publikowane nie były, a zwierzątko ze wszech miar zasługuje na uwagę.

Kolczak amerykański (*Sphiggurus*) należy do rzędu gryzoniów, lub jak je niektórzy zoologowie nazywają — szczurowatych (*Glirres*). Wielkość kota, posiada całe ciało wraz z ogonem, pokryte kolcami koloru żółtego w nasadowej części, a ciemnobrunatnego — w końcowej, które znakomicie powiększają objętość jego, zwłaszcza jeżeli przestraszony zwierz najeży się. Ogon w części ogołocony jest z kolców i jako chwytny, pozwala zwierzęciu czepiać się gałęzi. Rozdęty, kulowaty nos i niewielkie, wylupiate oczy nadają kolczakowi pozór dość komiczny. Łapki, jakkolwiek zaopatrzone w dość silne, łukowate pazury, zasługują na miano rączek raczej; są nadto pozbawione ksiuka, którego zaczątek widać pod skórą.

Nieliczne gatunki kolczaka zamieszkują ład Południowej Ameryki, trzymając się bodaj wyłącznie miejscowości lesistych. Gatunek w mowie będący (*Sph. bicolor*) odkryty został w Peru przez szwajcarskiego naturalistę Tschudiego, który przeprowadził pierwsze naukowe studia w Peru i wślawił się napisaniem obszernego dzieła o faunie tego kraju. Od owego czasu ten gatunek kolczaka peruwjańskiego dostarczony tylko został przez Jelskiego z środkowych części Peru i przeze mnie z okolic miasta Chachapoyas, tak że ogółem w Europie liczyć można zaledwie trzy egzemplarze tego rzadkiego zwierzęcia. Nic też dziwnego, że obyczaje jego są tak mało jeszcze znane.

Zdaje mi się, że wysoki region leśny, zwany przez Peruwjan „Ceja de la Montana” stanowi prawdziwą ojczyznę kolczaka; w gorących dolinach i na nizinach zwierz ten jest niezmiernie rzadki, albo go brak tam zupełnie. Ten okaz, jaki mi się udało nabyć w Tumbezie, pochodził z Guayaquilskiego regionu leśnego, zatem z okolic bardzo gorących. Lecz musi tam być rzadkim, gdyż w późniejszej wyprawie do Ekwadoru nawet o nim nie słyszeliśmy. Zaznaczyć też muszę, że egzemplarz ten był o połowę mniejszy od zdobytego później przeze mnie w Kordyljerach i przypuszczam nawet, że przy bliższym egzaminie odkryłyby się może cechy, któreby pozwoliły utworzyć zeń nowy gatunek.

Zrazu, oprócz kukurydzy, nic innego jeść nie chciał: obwąchał tylko i odchodził, nie ruszając. Powoli jednak przyzwyczał się do ryżu, bananów i kawona, które z apetytem zjadał. Wogóle zamknięcie nie zdawało się źle wpływać na stan jego zdrowia; do samego końca trzymał się dobrze i gdyby nie smutny wypadek, możeby i do Europy przewieść go się udało.

Z początku trzymałem go na swobodzie. Zwykle dzień spędzał, śpiąc w jakim bardzo ciemnym zakątku, gdyż światła wogóle nie lubił. Spał zawsze w postawie siedzącej, podpierając się ogonem, jak kangury; przytem ciało zginał w taki sposób, że nos opierał o tylne kończyny. Gdym go następnie zamknął do drewnianej klatki, zwykł był sypiać w podobnej pozie na grządce, co dowodzi, że dzień na drzewach spędza, jak to sprawdziłem później w górskim leśnym regionie.

Nocną porą działalność swoją manifestował w rozmaity sposób. Zwykle poświęcał część czasu na gryzienie słupków klatki, w tym jednak kierunku okazywał zupełny brak zmyślności, gdyż nie starał się jednego słupka przegryść, lecz coraz to nowe napocznął i tym sposobem po półrocznej blisko pracy ponadweręzał wszystkie, a żadnego nie przegryzł. Pod tym względem różnił się bardzo od myszy, które zawsze z niezwykłą łatwością wygrześć się umieją, gdyż raz rozpoczętą dziurę starają się powiększyć, aż póki przejścia dla siebie nie zrobią.

Gdy mu się gryść naprzykrzyło, rozpoczynał zwykle ruch osobliwy, którego znaczenie jest mi nieznanem: był to rodzaj deptania dość szybkiego z nóg jednej strony na nogi drugiej i odwrotnie. Powtarzał to co noc i nieraz z taką wytrwałością, że o każdej porze, gdy się zdarzyło obudzić, słychać było to jego tupanie, a niekiedy i zrana kontynuował jeszcze te ćwiczenia. Niedźwiedzie i słonie mają podobny sposób deptania, lecz trochę w inny sposób dokonywanego. Osobliwym też szczegółem było, że nigdy nie skakał na środku klatki, lecz zawsze zwrócony głową do kąta, obcierając się niemal jednym bokiem o kratkę.

Posiadał on jeszcze inny ruch, mający, jak się zdaje, na celu doprowadzenie kolców do porządku. W tym celu stawał na tylnych łapkach, przednie składał zupełnie tak, jak człowiek do modlitwy, wykręcał zwolna głowę wraz z przednią częścią ciała na prawo lub na lewo, poczem wykonywał nią trzy do czterech szybkich ruchów obrotowych, przyczem głowa i łapki opisywały pół okręgu koła, a część tylna ciała pozostawała nieruchomą. Ruch ten odpowiada zapewne wstrząśnieniu ciała, jakie psy i inne zwierzęta zwykły robić.

Było to stworzonko ciche i łagodne. Można je było brać bezpiecznie na rękę; nigdy nie starał się ugryść i tylko należało unikać ruchów gwałtownych, mogących go przestraszyć, gdyż wtedy silnem wstrząśnieniem ciała starał się ukłuć swymi kolcami. Te zaś tak są słabo osadzone w skórze, iż dość jest lekkiego wstrząśnienia, aby głęboko w ciele uwięzły. Posiadają one nadto na samym końcu rodzaj drobnego ząbka, który nadzwyczaj utrudnia wyciągnięcie ich z rany. Stąd też zapewne poszła opowieść Peruwjan, że kolczak rzuca swe kolce na znaczną odległość, co także niewłaściwie przypisują jeżozwierzowi Starego Łądu.

Razu pewnego, gdym był zajęty preparowaniem ptaszków, spostrzegłem, że moje zwierzątko, któremu dałem na stole kuku rydę do jedzenia, dobija się silnie i wspina na tylne łapki, pra-

gnąc dosięgnąć jednego z ptaszków. Ciekawy, co z nim zrobi, dałem mu najpospolitszego: naprzód zaczął objadać lotki, przytrzymując je obydwoma przednimi łapkami.

Następnie ogryzł do połowy nóżki i rozpoczął ciąć pióra ogona; poczem rzucił ptaszka i poszedł gryść korek. Nie wiem, czy ta łapczywość, z jaką domagał się ptaszka, oznaczaćby miała, że się w pewnych razach ptactwem żywi? W przypuszczeniu, że mózg wyjada, oskubałem łeb gołąbka i podałem kolczakowi, nie tknął go jednak.

Jedyny jego głos usłyszałem w następujących warunkach. Pod koniec naszego pobytu w Tumbezie nabyłem młodego ocelota (*Felis pardalis*), a pragnąc przekonać się, jakie zrobi wrażenie na kolczaku, puściłem oba na łóżko. Kocina z figłów złapał mego elewa za ogon, co go tak oburzyło, że zaczął z wściekłością gryść poduszkę, wydając rodzaj warczenia, połączonego z konwulsyjnym ruchem ciała ku przodowi. W tejże jednak chwili zapomniał urazy i zaczął jeść ofiarowany sobie banan; poczem skurczył się w kłębek i wpadł w swój zwykły stan apatyczny, niby sen, niby rozmyślanie.

Koniec jego był tragiczny, jak zwykle zwierząt chowanych. Przybywszy do Limy podarowałem go prof. Raimondiemu, u którego szczęśliwie się chował. Lecz razu pewnego zwierzątko wyszło na ulicę i zabite zostało przez osoby przechodzące, które nie przypuszczały, że to zwierzę chowane.

W początkach października zrobiliśmy dwudniową wyprawę do Lechugalu, biorąc ze sobą dawnego naszego przewodnika, Antoniego Anteparę. Wycieczka ta przekonała nas, jak znacznym zmianom ulega krajobraz na całej przestrzeni od Tumbezu do Lechugalu w miarę, jak pora sucha sprowadza czasowy letarg w świecie roślinnym. Wzgórza zmieniły swój charakter zupełnie: szara lub czerwona powierzchnia gruntu, pokryta zeschniętymi badyłami dużej trawy, robiła przykre wrażenie. Woda wyschła wszędzie i nawet w Quebrada Grande nie znaleźliśmy śladów dawnego jeziora. Te same zmiany zastaliśmy i w dolinie Zarumilli, gdzie gęste podszycie nad brzegami rzeki potraciło zupełnie liście i świeciło suchymi badyłami.

Jednocześnie sprawdzić mogliśmy że i miejscowa awifauna dość znacznym zmianom uległa. Jedniodniowe polowanie dostarczyło nam aż 5 gatunków ptaków, których przedtem nie widzieliśmy w okolicach Lechugalu. Należały one prawie wszystkie do gatunków właściwych suchym lasom okolic Guayaquilu, skąd rozlatują się, gdy w dolinach podgórskich pora sucha wywoła zmiany radykalne. Oprócz tego zauważyliśmy niektóre gatunki właściwe wzgórzom, które też tu zalatują podczas długich posuch. Z drugiej strony brak było tych ptaków, które charakteryzują do pewnego stopnia lasy wilgotne i choć naocznie sprawdzić nie mogliśmy, lecz zdaje się napewno twierdzić możemy, że przelecieć musiały do wilgotnych lasów podgórskich, jak Palma i inne.

Powróciwszy z Lechugalu i przekonawszy się po kilku wy-

cieczkach, że dalsze badanie bezpośrednich okolic Tumbezu już się nie opłaca, zrobiliśmy naradę, z której wypadło, że niepodobna wyjeżdżać wewnątrz kraju, nie zbadawszy delty rzeki, gdzie obszerne mielizny ściągały mnóstwo ptactwa błotnego i wodnego, a gdzie oprócz tego można było porobić piękne kolekcje konch, krabów, raków i wszelkich morskich żyjątek. Nadto gąszcze ryzoforowe obiecywały dostarczyć pewnej liczby gatunków, im tylko właściwych, jak przypuszczał Jelski, znający manglary Guyany francuskiej; to jednak przypuszczenie nie potwierdziło się w następstwie, gdyż oprócz jednego gatunku ptaka nie spotkaliśmy tam nic takiego, czegośmy już przedtem nie zdobyli lub przynajmniej nie widzieli.

W delcie Tumbezu mieliśmy do wyboru dwie osady: Cucaracha (dosłownie karaluch) i Santa Lucia; wybór padł na ostatnią, złożoną z dwu chat, z których jedna zamieszkała przez strażnika celnego, a druga stojąca pustkami, oddana została do naszego użytku przez właściciela, kapitana Davis'a. Wybraliśmy Santa-Lucię dla dwu głównie powodów: raz że można było z niej się dostać do miasteczka drogą lądową; a powtóre, że w Cucarachy, zamieszkałej przez rybaków, narażeni byśmy byli na częste ich wizyty i przerwy w robocie. Zanim jednak przeniosę się tam z czytelnikiem, zapoznać go muszę z ciekawą okolicą, która służyć miała za pole naszych kilkumiesięcznych badań.

---



## R O Z D Z I A Ł IX.

### Delta Tumbezu.

Widzieliśmy poprzednio, że Tumbez wypłynawszy z Kordyljerskich podgórzy, przerzyna trójkątną równinę na przestrzeni jakich 6 lub 7 kilometrów i rozszczepiwszy się na sieć drobnych kanałów, uchodzi do morza pod 3° 33' szerokości południowej. Cała ta dolna część biegu rzeki zasługuje na szczególną uwagę zarówno dla oryginalnego krajobrazu, jaki gąszcz dziwokłowy (ryzoforowy) przedstawia, jak i dla ciekawych warunków utworzenia się całej równiny Tumbeskiej. Bliższe zbadanie tego małego obszaru ziemi posłuży nam może do objaśnienia, w jaki sposób utworzyły się olbrzymie równiny porzeczna Amazonki, Orinoco i Magdaleny.

Kierując się od miasta, czyli od wierzchołka trójkątnej równiny, ku morzu, napotkamy co pewną przestrzeń poprzeczną (to jest prostopadłą do biegu rzeki) pasy ziemi mulastej, różniące się kolorem i składem od reszty gruntu doliny, złożonej z czerwonego nawozowego mułu. Pasy te posiadają zawsze poziom niższy od reszty doliny, i przedstawiają powierzchnię równą, lecz silnie popękaną i pokrytą niekiedy (w pasach najbliższej miasteczka leżących) — oryginalną rośliną. Prawie zawsze na powierzchni tych gruntów wykwita biała sól morska, skąd krajowcy, niewłaściwie zresztą nazywają je „los salitrales,” biorąc sól za saletrę. Obecność tej soli jasno dowodzi, że owe brzegi mulaste pokryte były kiedyś wodą morską, która przez stopniowe wysychanie ustąpiła, pozostawiając w gruncie właściwe sobie sole.

W miarę jak się ku ujściu rzeki zbliżamy, miejsce tych smug mulastych zajmują kanały rzeki, które wychodzą od głównego koryta i albo się łączą jedne z drugimi, tworząc całą sieć rozgałęzień, lub w niektórych wypadkach kończą się na ślepo. Szerokość ich bywa rozmaita, zaczynając od kilku do kilkudziesięciu, stu, a nawet dwustu kroków, wodę zaś posiadają mocno słoną.

Podobny system kanałów rozgranicza mnóstwo wysp i wysepek rozmaitej wielkości. Jedne z nich pokryte są gąszczem dziwokłowym w zupełności, inne w części tylko; są zaś i takie, któ-

re składają się z gołego piasku, pokrytego rzadką roślinnością i kłódami suchego drzewa, naniesionemi przez wylewy rzeki, lub przyplwy morskie. Stosownie do tego wyspy delty Tumbezu podlegz mogą pewnego rodzaju klasyfikacji, co już poprzednio uczynilem,<sup>1)</sup> a mianowicie nazwałem:

1. *Wyspami dziwoklowemi, ryzoforowemi* te, które gąszcz manglowy pokrywa całkowicie.

2. *Wyspami pierścieniowemi* te, które tylko po brzegach posiadają ryzofory; środek zaś ich, wzniesiony nieco ponad zwykły poziom, pokryty jest roślinnością, właściwą dolinie Tumbezu, to jest krzakami *chilca* (*Baccaris Feuillei*), drzewami akacji, mimozy i algarrobo.

3. *Wyspy pół-pierścieniowe* posiadają gąszcz dziwoklowy na jednej tylko wewnętrznej stronie. Powierzchnia składa się prawie zawsze z czystego piasku i pokryta jest tylko rzadkimi krzakami mimozy. Ten rodzaj wysp spotyka się w bezpośrednim sąsiedztwie morza.

4. *Wyspy piaszczyste* podobne są do poprzednich, z wyjątkiem, że gąszczy manglowego albo wcale jeszcze niema po ich brzegach, albo tenże dopiero poczyna się na nich tworzyć. I te wyspy spotykają się w sąsiedztwie morza, co znaczy, jak to wkrótce zobaczymy, że są najmłodszej formacji z całej delty.

Do wysp tych czterech rodzajów przylegają zwykle mniej lub więcej rozległe mielizny, złożone z grzęzkiego błota koloru szaro-lupkowego, zawierającego w sobie, oprócz ogromnej masy organicznych cząstek gnijących, duży procent wapna, gdyż inaczej nie byłobyśmy w stanie objaśnić sobie tej nieskończonej liczby krabów, muszli i innych żyjątek, posiadających skorupę wapienną, na którą materiał brać przecież muszą z otaczającego środka. Mielizny te mają zawsze poziom nieco niższy od poziomu samych wysp, wskutek czego podlegają zalaniu przez przyplwy morskie. Ponieważ jednak posiadają nieznaczne pochylenia od wnętrza ku brzegowi, różne ich części niejednostajnie pokrywane bywają przez wody przyplwu, a mianowicie, brzegi ich zalewane bywają codziennie, gdy części wewnętrzne, to jest przylegające do wyspy, zalewane bywają tylko przez wody największych przyplwów na nowiu i podczas pełni księżyca.

Wskutek też tego niejednostajnego zalewania błoto mielizn nie wszędzie jest jednakowo grzęzkie i gdy po brzegach lub szczególniej pośrodku ich grzęzniemy po kolana, a miejscami i głębiej, wewnętrzne strony podlegające rzadszym zalaniom, są stosunkowo suche i twarde.

Podobne mielizny posiadają osobliwy charakter, właściwy tym tylko okolicom, gdzie w ujściach rzek dziwokle porastają. Są

---

<sup>1)</sup> Patrz artykuł autora: *Uwagi nad przyrastaniem łądu w delcie rzeki Tumbezu*, drukowany w „Wydawnictwie Umiejętności Przyrodniczych“ ks. T. Lubomirskiego, rok 1882 tom II-gi.

to rozległe płaszczyzny, równe jak stół, o poziomie z lekka pochylonym ku wodzie i powierzchni usianej tysiącami dziur różnej średnicy od paru milimetrów do dwu decymetrów, w których kryją się na czas przyływu mirjady krabów. Szara ich powierzchnia podczas przyływu zwolna pokrywa się wodą, w skutek czego kanały rzeczne rozszerzają się wtedy niepomiernie.

Błoto, składające opisane dopiero co mielizny, słusznie nazywać można dziwokłosem lub mangłowem, gdyż tylko na niem rosnąć mogą osobliwe drzewa zwane przez Hiszpanów „mangles,” (*Rhizophora mangle*). Nie chciałbym przesądzać znaczenia tego błota, lecz według mego zdania, zawiera ono taką znaczną ilość cząstek organicznych, że po dokładnem przemyciu z soli morskiej służyć może za doskonały nawóz. I kto wie, czy po wyczerpaniu pokładów guana i saletry chilijskiej, mielizny manglowe nie staną się nowem źródłem bogactwa dla krajów podrównikowych. Korzyść to byłaby wielka, gdyż dziwokle spotyka się na całym świecie w granicach pasa zwrotnikowego, poniesione zaś koszty przy przemycaniu błota z soli morskiej zredukowałyby się przez zmniejszony wydatek na transport do odległych krajów. Tak np. wyspy Antylskie, zużywające dzisiaj znaczną ilość guana pod uprawę trzciny cukrowej, posiadają ryzofory pod bokiem; urządziwszy więc płuczkarnie, oszczędziłyby sobie kosztów transportu.

Wracając do rzeczy, która nas teraz zajmuje, zwrócę uwagę czytelnika na ogólny skład delty Tumbezu, aby mu łatwiej było zrozumieć konkluzje, do jakich następnie przejdziemy. Rzućmy okiem na deltę: z wysokości lotu ptaka przedstawia się nam ona jako system nieszerokich kanałów poprzecznych mających ujście w głównem korycie i dzielących mnóstwo wysp i wysepek o różnym charakterze: jedne z nich są całkowicie pokryte gąszczem ryzoforowym; inne tylko w części; są wreszcie i takie, na których czysty piasek pokrywa rzadka akacyjowa roślinność. Do wysp przylegają rozległe mielizny, zalewane przez przyływy morza. Cała zresztą delta leży w granicach przyływów i odpływów morskich, które czuć się dają wyraźnie aż powyżej miasteczka Tumbezu, czyli o 6 kilometrów w górę rzeki.

Teraz słów kilka o samych dziwokłach, wspomnianych tylokrotnie w ciągu naszego opowiadania. Są to jedne z najosobliwszych drzew, jakie mi się widzieć dało. Gąszcz manglowy przedstawia nam się jako niezliczona ilość tyczek wetkniętych w gładkie błoto, łączących się na wysokości w rodzaj krótkiego pieńka, skąd znów wyrastają gałęzie okryte koroną z liścia owalnego, grubego i bardzo lśniącego. Tylko bardzo stare drzewa są do prawdziwych drzew podobne; lecz takich w okolicach Tumbezu niema; a młodsze gąszcze, jakie tam deltę rzeki porastają, stanowią raczej labirynt korzeni powietrznych i gałęzi, wśród których osobnych drzew niepodobna rozróżnić, gdyż wszystkie są w jeden nierozdzielny gąszcz zlane. Pochodzi to w skutek osobliwego sposobu rozmnażania, jakie ta ciekawa roślina posiada.

Dojrzały owoc nie opada z drzewa, lecz na gałęzi przechodzi

dalsze przemiany kiełkowania; korzonek przebija mięsistą powłokę i wydłuża się, póki nie dosięgnie gruntu; niekiedy zaś rozwinięta już roślina opada i daje początek nowemu drzewu. Oprócz tego część gałęzi rozwija się bez liści i zamiast ku górze, skręca się ku dołowi, zamieniając się na korzenie powietrzne. Tym to sposobem gąszcz dziwokłowy przedstawia zawsze jednolitą całość, w której niepodobna rozróżnić pojedynczych osobników, gdyż cała wyspa jest niejako pokryta jednym osobnikiem, a raczej splątana ze sobą kolonją osobników.

Ten dziwny sposób rozmnażania się ułatwia bardzo manglom rozwijanie się na gruntach przed tem niezajętych, na których zresztą żadna inna roślina rosnąć nie może; jedna roślina wystarcza, aby z niej stopniowo rozwinał się gąszcz cały, jeżeli tylko warunki gruntu na to pozwalają. Nowo zaś powstałe mielizny, oddzielone od dziwokli kanałami, niedługo też czekać na ich pojawienie muszą; przyływ morza zaniesie na nie jedną, dwie lub i więcej opadłych z drzewa roślinek, które, utrwalwszy swe korzenie w gruncie, szybko zaczynają podrastać i w prędkim stosunkowo czasie pokrywają obnażone przedtem mielizny nieprzebytym gąszczem manglowym.

Znając teraz mniej więcej dziwokle, łatwo pojąć będziemy mogli, jak dalece takie zarośla przyczynić się muszą do utrwalenia gruntu, na który materiały dostarczają wielkie wezbrania rzek podczas dżdżystej pory roku w górach. W skutek osłabienia prądu wody wśród gąszczu manglowego, muł, niesiony przez rzekę, osadza się tem łatwiej i dlatego poziom wyspy ryzoforowej szybciej się podnosić musi, aniżeli dno rzeki.

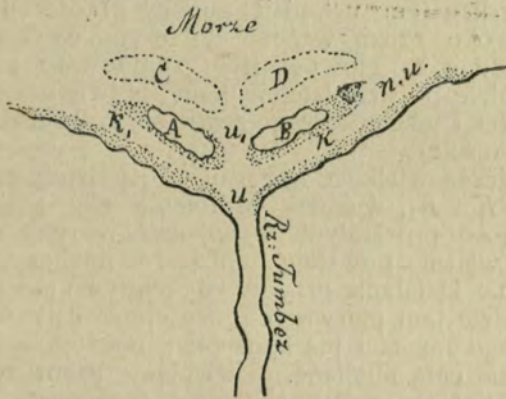
Mając te wszystkie dane, objaśnić możemy, w jaki sposób utworzyła się trójkątna równina tumbeska przy współdziałaniu dziwokli. Na myśl tę wpadł pierwszy Jelski, zauważywszy, że pokład błota manglowego znajduje się pod samem miasteczkiem, czyli u wierzchołka trójkąta. Niewątpliwą więc jest rzeczą, że ryzofory pojawiły się w ujściu Tumbezu zaraz w początku tworzenia się tumbeskiej równiny. Pod miastem jednak warstwa ta stwardniała i zamieniła się w rodzaj gliny, różnej jednak bardzo od wierzchniej warstwy zarówno swym kolorem łupkowym, jak i składem. Ciągnie się ona w dół rzeki, aż do samego ujścia i poniżej rafinerji nafty zawiera mnóstwo skorup małży, należących do tych samych gatunków, jakie po dziś w delcie Tumbezu przebywają.

Drugą wskazówką, jaka Jelskiego naprowadziła na myśl utworzenia się równiny w mowie będącej, są wspomniane powyżej „salitrales,” które uważać należy za dawne kanały manglowe, wyschłe wskutek podniesienia się ogólnego poziomu równiny. Pragnąc wyświecić tę kwestję, doszedłem drogą prostego dociekania, że posuwanie się ładu w dolinie Tumbezu skuteczniać się mogło w sposób następujący.

Głównymi działaczami w powolnym procesie przyrastania ładu w rzeczonyj miejscowości były: rzeka, dostarczająca w czasie wiosennych wezbrań znacznej ilości mułu; oraz regularny polu-

dniowo-zachodni wiatr, niosący ziarenka piasku z obszernych pustyniowych obszarów, leżących na południu ku przylądkowi Białemu (Cabo Blanco). Ryzofory zaś grały w tej całej robocie pierwszorzędną rolę, przyczyniając się znakomicie do utrwalenia gruntu, który bez nich podlegałby rozmyciom przy częstych zmianach łożyska rzeki. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że bez współdziałania manglów przyrastanie łądu byłoby niemożliwym, gdyż badanie delty Nilu wykazało, że i wtedy nawet ziemia przyrastać może; lecz kładę wielki nacisk na to, że ryzofory ogromnie pracę tę *przyspieszają*.

Ważne też, choć zapewne nie pierwszorzędne znaczenie przy tworzeniu się równiny tumbeskiej odgrywają przyływy i odpływy morza, nioszące dość znaczną ilość martwego drzewa, które pomaga do utrwalenia nowotworzących się wysp piaszczystych.



Szemat tworzenia się wysp w ujściu rzeki Tumbes (miejsca kropkowane oznaczają gęszce dziwokłowe).

Załączona figura dopomoże nam do zrozumienia prostego zresztą procesu. Widzimy na niej pierwotne ujście rzeki (u) przed utworzeniem się trójkątnej równiny, zatem mniej więcej w tem samym miejscu, gdzie się dzisiaj miasteczko znajduje.

W czasie wielkich wezbrań, wypadających w styczniu, lutym i marcu, znaczna masa wody rzecznej odpycha morską na pewną odległość od brzegu, gdzie tworzy się pas neutralny, spokojny. W tem miejscu prąd wody słabnie już prawie zupełnie, wskutek czego z mułu, jaki rzeka niesie, osadza się wał, przerwany pośrodku, to jest tam, gdzie istnieje największa siła prądu. Wał ten znany jest i dzisiaj żeglarzom tumbeskim, gdyż tworzy niemalą tamę dla żeglugi, narażając statki żaglowe na rozbicie. W roku 1876 utworzenie się takiego wału spowodowało rozbicie się kilku bark, zwanych przez krajowców „chatas.”

Wał ten daje początek dwóm mieliznom, po jednej z każdej strony ujścia i w pewnej od niego odległości. Z nastaniem pory suchej, gdy wody rzeki opadną, mielizny te stają się widocznymi podczas odpływu, gdy przeciwnie przyplływ je zalewa, nanosząc stopniowo kłody martwego drzewa, jakie wezbrana rzeka przedtem poniosła do morza. Gdy odpływ mieliznę odkrywa, osiada na niej piasek wiatrem z południa niesiony, wskutek czego poziom jej podnosi się, aż póki nie utworzą się dwie prawdziwe wyspy (A i B) na których nie omieszka pojawić się jedna i druga drobna mimoza, a może i inne rośliny lądowe. To jest początek utworzenia się delty.

Wyspy *A* i *B* oddzielone są od lądu symetrycznymi kanałami *K* i *K*<sub>1</sub>, którymi, musi płynąć część wody rzecznej. Bywa też często, że główny prąd rzeki kieruje się niekiedy do jednego z tych kanałów, prawdopodobnie wskutek czasowego zamulenia wielkiego koryta. Za naszym przybyciem do Tumbezu, w styczniu 1876 roku, takim właśnie kanałem uchodził główny prąd wody; lecz jeszcze tego samego roku rzeka wróciła do swego dawnego ujścia. Na kilka lat przedtem to główne ujście znajdowało się znacznie ku południowi, gdzie po dziś istnieje kanał prawie zupełnie zamulony w górnej części i ujście którego zowie się dotychczas „Boca Grande” (Wielkie ujście).

Gdy podczas wielkich wezbrań, część wody rzecznej kieruje się kanałami *K* i *K*<sub>1</sub>, wskutek osłabienia siły prądu wzdłuż porbrzeża dwu nowo-powstałych wysp, mul rzeczny szybko się tam osadza, skąd właśnie powstają te obszerne mielizny, o jakich mówiłem niedawno. Działanie przyplwy i odpływu morza nie omieszka wkrótce zasadzić tam pierwszych szczepów dziwokłowych, które mnożąc się znanym nam już sposobem, pokryją w niedługim stosunkowo czasie całą mieliznę. Utrwalony grunt mielizny szybko podnosi swój poziom przy wiosennych rozlewach i wyspy *A* i *B* przybierają prawdziwy charakter wysp pół-pierścieniowych.

Wówczas ujście rzeki zamiast w *u* znajduje się w *u*<sub>1</sub>, gdzie znowu w czasie wezbrań utworzy się zrazu wał na granicy zetknięcia wody rzecznej z morską i powtórzy się ten sam proces, jaki przed chwilą opisałem.

W miarę, jak się ląd takim sposobem naprzód posuwa, starsze kanały ulegają kompletnemu zamuleniu, a podniesiony poziom najdawniejszych wysp przeszkadza już zalewaniu przez morskie przyplwy. Gdy jednocześnie i piasek, pokrywający je stopniowo, a naniesiony wiatrami, zmienia charakter gruntu, drzewa ryzoforowe, pozbawione właściwych sobie pierwiastków, to jest wody morskiej i grzęckiego błota — schnąć zaczynają. Dlatego zawsze w górnej części delty, zatem w bezpośrednim sąsiedztwie stałego lądu znajdziemy pas dziwokłów uschłych. Gdy zaś zupełnie zginą, miejsce ich zajmuje roślinność właściwa dolinie rzeki, to jest kaktusy, mimozy, chilca (czyłka), algarrobo, guarango i inne.

Biorąc teraz na uwagę, że bardzo często koryto rzeki się zmienia i że niejednokrotnie główny prąd wody zamiast wielkiem

łożyskiem, płynie jednym z bocznych kanałów, zrozumiemy, że takie tworzenie się wysp zdarzyć się może nie tylko przy głównym ujściu, lecz i naprzeciw tych ramion rzeki, a przez to delta przybiera postać archipelagu wysp, poprzerzynanych siecią kanałów.

Niewątpliwą jest rzeczą, że proces opisany przezemnie musi być w rzeczywistości bardzo skomplikowanym, wskutek licznych przyczyn postronnych, jak przypadkowego zamulania różnych części systemu wodnego, nadzwyczajnego wezbrania rzeki, powodującego tworzenie się niespodziewanych ujść i innych tym podobnych nieprzewidzianych czynników. Lecz główną zasadą, szemat, że go tak nazwę, posuwania się lądu w ujściu Tumbezu i innych rzek jemu podobnych, zgadzać się musi mniej więcej z powyższym rysem.

Złożone działanie tak różnych czynników, jak wody rzeki, przyływy i odpływy morza, wiatr i osobliwa roślinność, ulegać musi pewnym zmianom w miarę, jak ten lub ów czynnik bierze przewagę; lecz zmiany te muszą mieć swoje granice i ostateczny rezultat działania wymienionych czynników będzie składową, która zbliża się najwięcej swym kierunkiem do najbardziej energicznych z pomiędzy nich. Powyższe zaś konkluzje nie są tylko czystym płodem rozumowania, lecz opierają się na pewnych danych, które na gruncie zebrać się udało.

A konkluzje te są może ważniejsze, aniżeli zrazu zdawaćby się mogło, gdyż posłużyć nam mogą do objaśnienia, w jaki sposób utworzyły się olbrzymie równiny porzeczka Amazonki, Orinoco i innych rzek zwrotnikowej Ameryki. To co na małą skalę widzimy w delcie Tumbezu, mogło przybrać olbrzymie rozmiary, jeżeli tylko po temu warunki sprzyjały; sądzić zaś można, że te warunki sprzyjać mogły, bacząc na niebywałą wilgotność wschodniego skłonu Kordyljerów i na olbrzymi materiał, jakiego te góry dostarczyć mogły.

Zwiedzenie doliny Amazonki w r. 1881 utwierdziło mnie jeszcze w tem przekonaniu. Rzeka ta, wypłynawszy z Kordyljerów szeregami bystrzyn, wydostaje się na olbrzymią równinę, ciągnącą się do samego ujścia. Na całej tej przestrzeni spadek jest tak nieznaczny, że pomimo 3000 mil angielskich, jakie dzielą ujście rzeki od Kordyljerów, wysokość równiny przy górach wynosi zaledwie kilkaset stóp nad poziomem morza. Szerokość zaś tej olbrzymiej płaszczyzny liczy się w kilku miejscach na tysiąc mil angielskich. Jeżeli więc przyjęlibyśmy, że się dolina Amazońska pod morzem utworzyła, przyjęć byśmy musieli, że siły wewnętrzne działały równomiernie na tak znacznej przestrzeni, co jest prawie rzeczą niemożliwą.

Jeżeli uwagi nasze okazałyby się prawdziwemi, dałyby nam klucz do rozwiązywania bardzo nieraz ciemnych kwestji zoo-geografji, czyli nauki o rozmieszczeniu zwierząt na kuli ziemskiej. Zdarza np. że jakiś gatunek zajmuje pewną bardzo ograniczoną przestrzeń, pomimo, że ze wszech stron otoczony jest innym gatunkiem bardzo bliskim, a rozpowszechnionym na znacznej bardzo przestrze-

ni. Przy pomocy stopniowego posuwania się lądu będzie nam bardzo łatwo fakt ten objaśnić. Ów rejon, który zajmuje dziś gatunek w mowie będący, był niegdyś wyspą. Wyspy oceaniczne zasiedlają się formami lądowymi przez przypadkowe migracje i jeżeli te ostatnie są rzadkie, nowi mieszkańcy wysp, pod wpływem izolacji i specjalnych warunków podlegają mniej lub więcej znacznym zmianom, przeradzając się często na nowe gatunki, a nawet rodzaje, jak to mamy przykład na archipelagu Galopagos i wielu innych. Jeżeli sąsiedni ląd, posuwając się w sposób wyżej opisany, dotrze do wyspy i otoczy ją, gatunki wyspiarskie będą się jeszcze czas jakiś, w pewnych razach bardzo długo utrzymywały, pomimo, że ze wszech stron otaczać je będą formy lądowe. Podobny zdaje się przykład znaleziony w gubernji permskiej, gdzie jarząbek należy do innego niż zwykły europejski, gatunku, który zamieszkuje wszystkie przyległe gubernie.

Czytelnik z powyższego rysu mógł poznać nieco topografię krainy, którą po zbadaniu Tumbezu zwiedzić zamierzaliśmy. Z przyrodą jej zaznajomimy się w toku dalszego opowiadania, które przerwaliśmy na przygotowaniach do nowej wyprawy.

Jelski nie mógł odrazu jechać, gdyż wypadło mu dokończyć prace topograficzne, jakie był przedsięwziął dla Raimondiego w prowincji Tumbezu. Sam więc musiałem rozpocząć poszukiwania, spodziewając się towarzysza mego w tydzień potem. Do przewiezienia rzeczy umówiłem niejakiego Rodriguez'a, który ze swą „czatą“ płynął do ujścia rzeki, wioząc ładunek na spodziewany w d. 22-im października statek parowy z Panamy.

Rodriguez był to Hiszpan rodowity, czerstwy i rubaszny. Tytułowano go kapitanem, gdyż dowodził przed laty jakimś statkiem żaglowym. Wyznaczył on wyjazd na 6-ą wieczorem, lecz już się ściemniło zupełnie, a statek jeszcze ładowano. Zawczasu kazałem przenieść moje paki na pokład, sam zaś poszedłem na obiad. Po drodze zabrałem ze sobą Rodriguez'a, który widocznie zajrzał do kieliszka, znajdując na dnie jego pociechę po stracie zmarłej niedawno żony. Okoliczność ta nie podobała mi się, gdyż z doświadczenia wiedziałem, że miejscowi na wyjeźdnem szukają okazji do pijatyki, wskutek czego zwłoka zwykle bywa znaczna. Nie na rękę zaś mi była zwłoka w obecnym wypadku, gdyż mógł nas złapać odpływ morza, a wówczas rzeka posiada tak mało wody, że większe barki z łatwością osiąść na mieliźnie mogą.

Po obiedzie Rodriguez zalecił mi, abym w domu na niego poczekał, a sam poszedł niby to na pół godziny. Zjawił się dopiero po dobrej godzinie, mocno pijany. Wreszcie o 9-ej wieczór odbiliśmy od brzegu. Statek nasz był naładowany po brzegi, a odpływ już się rozpoczął. Nic więc dziwnego, że jeden z wiosłarzy, Zapata, szemrał pod nosem, że pewnie gdzieś po drodze ugrzęźniemy. Spodziewano się dwu miejsc niebezpiecznych; jakież przewidywania Zapaty sprawdziły się, gdyż nie upłynęliśmy i 200 sążni, gdy statek wpadł na pień podwodny, zatrzeszczał i pochylił się; dzięki jednak energii wiosłarzy przebyliśmy tę pierwszą



przeszkodę. Rodriguez był zły, gderał na Zapatę, że go wprzód o tem nie uprzedził, choć zapomniał nieborak, że przez niego się głównie opóźniłmy.

Mogłem się teraz przyjrzeć naszemu statkowi. Czata \*) jest to niewielka, 15 beczkowa barka, opatrzona jednym masztem o żaglu czworobocznym. Pomost znajduje się w tyle statku, mieszcząc pod sobą skład na rzeczy, obawiające się zmożenia. Tego rodzaju statki służą głównie do pobrzeżnej żeglugi, a w Tumbezie używane są do przewożenia towarów z miasteczka na okręty, zarzucające kotwicę w znacznej odległości. Przy sprzyjającym wietrze posuwają się na swym jedynym żaglu; gdy jednak wskutek licznych zakrętów rzeki korzystać z wiatru nie można, zastępują żagiel długimi żerdziami, zwanymi „palancas,” które załoga popycha statek bardzo powoli.

Nasza „czata” oprócz kapitana posiadała tylko dwu wioślarzy, ja zaś byłem jedynym jej pasażerem. Widząc, że wszystko idzie pomyślnie, rozciągnąłem mą burkę sławucką na towarach i leżąc na niej, przysłuchiwałem się miarowym krokom wioślarzy, przechodzących od przodu statku ku tyłowi i z powrotem. Noc była prześliczna; księżyc w pierwszej kwadrze oświecał nadbrzeżne gąszcze i piękne palmy kokosowe; ciszę przerywał tylko łagodny brzęk cykad. Wkrótce też drzemać zacząłem, gdy naraz obudziło mnie silne wstrząśnienie, trzask... statek pochylił się na jedną stronę. Ugrzęźliśmy znowu na jakimś pniu, lecz tym razem nie pomogły energiczne wysiłki załogi: trzeba było czekać przyplywu, który zaczynał się dopiero nad rankiem, a wtedy była godzina 12 o północy. Nie mając nic lepszego do roboty poszliśmy wszyscy spać.

Gdym się obudził, płynęliśmy już w dół rzeki, mijając zabudowania fabryczne. Mogła być godzina 5-a rano; dniało już i budzące ptactwo ożywiało powietrze swymi głosami, pomiędzy którymi donośna gama chromatyczna garniarza (*Furnarius*) rozlegała się najgłośniej. O pół do 8-ej rano stanęliśmy w Cucaracha.

Pokrzepiwszy się paru filiżankami dobrej kawy, nająłem łódkę i naładowawszy ją memi rzeczami, szczęśliwie popłynąłem do Santa-Lucia, odległej o jakie dwie wiorsty od Cucarachy, gdzie gościnnie przyjęty zostałem przez naszego nowego jądłodawcę, Agapitę Espinoza. Był to wybitny typ pomorzanina z pogranicza ekwadorskiego, mieszanina leśnych „montubios” guayaquilskich z krwią murzyńską, której ślady odkrywaliśmy w naszym gospodarzu po grubych wargach i zlekka kędzierzawych włosach. Był to mężczyzna średniego wieku, szczupły, żylasty, o cerze mocno śniadej. Obyczajem pomorzan nosił tylko płócienną koszulę, także spodnie i słomkowy kapelusz. Z profesji był celnikiem (*guarda del aduana*) i dlatego pewnie przemyczał proch dla kupców tumbeskich.

---

\*) „Chato” (czyt. czato) po hiszpańsku znaczy płaski.

Rodzina jego składała się z żony—tęgiej i przystojnej mulatki, bardzo łagodnego charakteru—i dwu małych chłopaków, z których starszy, Catalino liczył może lat dziesięć. Był to bardzo sprytny dzieciak i w czasie naszego pobytu był nam nieraz pomocnym, już to wiosłując na łodzi, gdyśmy na polowanie jeździli, już też pomagając nam w zbieraniu małży, krabów i innych morskich żyjątek.

Espinozowie zajmowali jedną chatę, gdy druga, należąca do Davis'a, dla nas przeznaczoną została. Był to budynek stary i grożący zawaleniem, zbudowany na niewysokich palach według ogólnego planu w tej części Peru. Ściany z bambusowych tarcic przepuszczały swobodnie wiatry, dość silne w tej porze roku, tak że podłoga ugiwała się i trzeszczała pod naszymi nogami. Wnętrze przepierzone było na trzy izby, z których największą zająłem na mieszkanie, pozostawiając dwie inne na skład większych, a mniej potrzebnych przedmiotów. Przedewszystkiem jednak należało uprzątnąć domostwo z beczek tranu wielorybiego, złożonych w największym nieładzie. W robocie tej wyręczył mnie Perico, ów wioślarz, który mnie z Cucaracha odstawił. Jemu też, jako cieśli, powierzyłem robotę drzwi, okazało się bowiem, że domostwo pozbawione było zupełnie tej niezbędnej ochrony przeciw złodziejom, których nie brak pomiędzy nadmorską ludnością, zwłaszcza zaś pomiędzy załogami statków wielorybnych, tak często zawijających do portu tumbeskiego.

Gdy Perico zajęty był robotą drzwi, ja tymczasem rozpakowywałem rzeczy, rozwieszałem po ścianie narzędzia i przybory myśliwskie, rozpiąłem mój „mosquitero“ (namiot), niezbędny przy rojach komarów, pojawiających się co wieczór. Słowem, dokonać musiałem wszelkich robót, właściwych przy instalowaniu się podróznika. Zarazem ułożyłem się z żoną Espinozy co do stołowania nas, którego podjęła się za wynagrodzeniem 15 solesów miesięcznie od osoby.

Pierwszych dni kilka poświęciłem na pobliskie wycieczki, zdobywając za każdym razem nowe dla zbiorów okazy. W tydzień też po mnie przybył i Jelski, dokończywszy szczęśliwie swych prac topograficznych. Przewidując, że w Tumbezie niełatwo z nadziei łódź do przewiezienia swych rzeczy, pojechałem po niego czólnem Espinozy, biorąc ze sobą pewnego Ekwadorczyka, bawiącego czasowo w Santa-Lucia. Pódróż w górę rzeki trwała do 4 godzin, lecz dzięki pomocy mego nowego znajomego odbyliśmy ją, nie czując wielkiego zmęczenia. Zabawiwszy w miasteczku jeden dzień, powróciliśmy wraz z Jelskim do nowej siedziby i teraz obaj razem mogliśmy rozpocząć nasze zwykłe zajęcia.

Pole do zajęć mieliśmy obszerne, roboty po uszy. Z jednej strony odkryte przez odpływ morski mielizny ścigały mnóstwo ptactwa błotnego, z drugiej znowu błoto manglowe kryło w sobie mirjady drobnych istot, należących do rozmaitych działów zoologicznych. Dość było w tem grzędkiem błocie rękę zanurzyć, aby natrafić na jaką ciekawą muszlę, kraba lub raczka. Pobrzeża znów piaszczyste żywiły mnóstwo innych gatunków, równie ciekawych,

a często pięknymi barwami ozdobionych. Pozwoli więc czytelnik, że przez dłuższą chwilę zatrzymam uwagę jego nad przyrodą tej ciekawej krainy. Rys ten zaznajomi go nie tylko z tworami delty Tumbezu, lecz i wszystkich innych okolic dziwokłowych, tak często spotykanych w ujściach rzek Ameryki gorącej.

Mamy już niejakię pojęcie o gąszczach manglowych, przedstawiających jeden z najoryginalniejszych krajobrazów, jakie widziałem kiedykolwiek. Na gołej, mulastej przestrzeni wznosi się cały labirynt gęsto rozsianych tyczek, łączący się na pewnej wysokości w nierozplątaną siatkę gałęzi i korzeni powietrznych. Ponad tem zaczyna się korona drzew o liściach dość dużych, mięsistych, lecz nie dających wiele cieniu. Korona ta, widziana z pewnej odległości, zbija się w jedną masę ciemnej zieleni, upstrzonej grubemi, jakby od niechcenia narzuconemi plamami cieniu.

Gąszcze te rozciągają się długimi brzegami, ginąc coraz na dalekim widnokręgu; tu i owdzie wrzynają się daleko w morze pojedynczymi, ostro zakończonymi cyplami. Gdy na taki cypel spojrzemy z małej nad wodą wysokości, wskutek zjawiska mirażu wydadzą się nam jakby ku górze zagięte i w powietrzu zawieszzone były.

Ku morzu ciągną się długie łąchy piaszczyste, białe, lśniące, urozmaicone rzadką, blado-zieioną roślinnością akacją. Do nich przylegają wielkie płaszczyny mulaste, równe jak stół, jednostajne, barwy szarej. Gdy przyplływ morza podnosi poziom wody, na ich miejsce rozciągają się wielkie lustrzane powierzchnie, odbijające w sobie manglową zielen z niezwykłą dokładnością. Sprowadza to pewną zmianę w krajobrazie, zależną od perjodycznego pojawiania się i znikania manglowych mielizn. Poza tem wszystkim rozciąga się niezmierny, błękitny basen, podnoszący się białym wałem na pobrzeżu piaszczystem; jednostajny szum jego słycać daleko przy pomyślnym wietrze.

Tak się przedstawia delta Tumbezu. Zbytecznem jest nawet dodawać, że klimat jej niczem się nie różni od klimatu wzgórz sąsiednich. Długie posuchy, niebo czyste, skwar zwrotnikowego słońca — są cechami letnich miesięcy, urozmaiconych niekiedy rannemi mgłami (las garuas); w styczniu, lutym i marcu przepadają deszcze ulewne, a ponieważ pora dżdżysta wypada wtedy i w sąsiednich Kordyljerach, więc rzeka wzbiera i mętne jej wody wycieśniają z kanałów dziwokłowych słoną wodę morską.

Panujące wiatry są tu, jak i na całym Pomorzu peruwjańskim, południowo-zachodnie z wyjątkiem letnich miesięcy, w których od czasu do czasu wiatry przybierają kierunek północno-zachodni.

Noce są nadzwyczaj ciche, a spokój ten trwa zwykle do 10-jej rano; poczem zaczyna dąć lekki zrazu wiaterek, wzmagający się stopniowo, aż póki nie zmieni się około 3-iej lub 4-iej godziny po południu na silny wiatr, marszczący spokojną przedtem powierzchnię morza. Około zachodu słońca wiatr się ucisza i wieczorem spokój zupełny panuje w powietrzu.

Trudno jest wystawić całą piękność kanałów ryzoforowych podczas tych spokojnych wieczorów. Czerwony księżyc zwolna wysuwa się z poza ciemnej linii gąszczy manglowego; zwierciadlaną powierzchnię wody marszczy tylko pluskająca ryba. Ptactwo do snu się szykuje; stado białych jak śnieg ibisów obsiadło gałęzie. Zdala rozlega się silny świst kulona (*Numenius hudsonicus*), lub chrapliwe tony ślepowrona; górą ciągną zapóźnione czaple. W ciemnych toniach wody podejrzewamy krokodyla i pewien niepokój podnosi jeszcze urok czarującego krajobrazu.

Fauna delty Tumbezu bardzo jest urozmaicona; brak tam jedynie większych ssących, dla których gąszcz ryzoforowy nie musi być odpowiednim. Lecz ptaków, zwłaszcza błotnych i wodnych, bardzo się tu wiele spotyka. Rybna do możliwych granic rzeka ściąga różne ptaki wodne, gdy znów obszerne mielizny dziwokłowe, obfitujące w małże i raki najrozmaitszych wielkości i gatunków dostarczają ptactwu brodzącemu obfitego i łatwego do zdobycia żeru.

Tu jednak zwrócić muszę uwagę, że gdy w innych okolicach maximum i minimum pożywienia zależne jest od pór roku, w delcie Tumbezu szczególnie zaś dla ptactwa błotnego, warunkuje się ono przyptywami i odpływami morza, czyli że zmienia się w różnych porach miesiąca. Na nowiu i podczas pełni księżyca, jak wiadomo, wahania poziomu morskiego są największe, a więc wtedy mielizny zalewane bywają najkompletniej, skąd wynika, że wtedy ptactwo błotne ma najmniej czasu do żerowania, a więc będziemy mieli dla niego minimum pożywienia; gdy przeciwnie, pierwszej i drugiej kwadrze, zatem najmniejszym przyptywom odpowiadać będzie maximum żeru. Zmiany też poziomu morskiego, powodują, że ptaki z naturyienne w pewnych porach miesiąca żerować muszą w nocy, wtedy mianowicie, gdy wielkie przyptywy w ciągu dnia się trafiają, zalewając mielizny mangłowe; słychać podówczas w ciągu nocy nawoływania błotnego ptactwa, korzystającego z kilku godzin odpływu.

W każdym razie niewiele okolic świata znajdzie się tak ożywionych, jak ujście Tumbezu. Ruch błotnego i wodnego ptactwa i wrzawa, jaką niemal ciągle słychać, nadaje krajobrazowi życie niezwykle: w powietrzu unoszą się olbrzymie fregaty, mewy, rybołówki i oracze (*Rhynchops*); na obszernych mieliznach kręcą się nieustannie, szukając żeru, całe stada kuliczek, siewek, biegusów, ibisów i czapeł; na rzece znów pływają spokojnie pelikany lub kormorany, zajęte łowieniem ryb. Tylko wewnątrz dziwokłowego lasu ciche i samotne: słychać tam jedynie od czasu do czasu harmonijny śpiew małego ptaszka o żółtym spodzie (*Dendroica aureola*), będącego jedynym niemal przedstawicielem skrzydatego świata wśród gąszczy dziwokłowych.

Do najciekawszych ptaków delty Tumbezu, a można powiedzieć i całej Ameryki zwrotnikowej, należy fregata (*Tachypetes aquila*), należąca do rzędu ptaków pływających. Niewielka stosunkowo w ciele, posiada olbrzymie skrzydła i długi, widłowato wy-

cięty ogon. Tego rodzaju budowa wskazuje już, że do znakomitych latawców należy i w samej rzeczy, bliższy będziemy prawdy, twierdząc, że powietrze jest głównym żywiołem tego ptaka. Dnie całe widzieć można fregaty szybujące w przestworzach bez najmniejszego znaku znużenia. Lot ich napozór powolny, gdyż ptaki te rzadko i zwolna uderzają skrzydłami, posiada jednak w gruncie rzeczy szybkość nadzwyczajną, bowiem są pewne dane do przypuszczenia, że ptaki te przebywają w ciągu jednego dnia (12 godzin) olbrzymią przestrzeń 2500 kilometrów. Ostre ich, długie skrzydła i widłowaty ogon wyraźnie zarysowują się na czystym błękitnie nieba. Niekiedy ptak w locie wstrząśnie całym swym ciałem, opuści się nieco, gdyż przy tym ruchu skrzydła bezwładnie trzyma, poczem leci znów, opisując w powietrzu wielkie kręgi.

Długość skrzydeł nie pozwala temu dzielnemu latawcowi siadać na wodzie lub na ziemi, gdyż przy odbiciu się nie znalazłby dość przestrzeni dla rozmachu. Zawsze też wybiera na odpoczynek albo gałęzie dziwokłowe, albo też sterczące tu i owdzie z wody konary martwego drzewa. Gdy chce odlecieć, rzuca się w przestrzeń i wtedy dopiero otwarłszy swe długie skrzydła, kilku potężnymi uderzeniami wybija się w górę. W południowej części delty istnieje pewna niewielka wysepka dziwokłowa, gdzie fregaty obrały sobie siedlisko; można ich tam było widzieć dziesiątki, spokojnie oddające się wypoczynkowi; wszystkie drzewa pokryte były ich białymi wydzielinami.

Na uwagę zasługuje rozmieszczenie tego ptaka, gdy bowiem od strony oceanu Atlantyckiego widziałem go aż po Rio Janeiro (po 23° szerokości S), na pobrzeżu Pacyfiku port Payta (5° szer. S.) stanowi jego południową granicę. Objąść to chyba jedynie można brakiem drzew większych na pobrzeżach peruwjańskich na południe od Tumbezu.

Pośród licznych stad kulików i biegusów, tak obficie rozsypanych na mieliznach pomorskich delty, pojawiają się od czasu do czasu wspaniałe flamingi czyli t. zw. czerwonaki (*Phoenicopterus ignipalliatus*), mniejsze znacznie od swych afrykańskich współrodzajowców, lecz przechodzące tamte świetnością ubarwienia: ciało i szyję mają pięknie różowej barwy, a skrzydła pąsowe. Barwy te już nawet na znaczną odległość widocznymi się stają. Ptaki te jednak pojawiają się dość rzadko w ujściu Tumbezu, za dowód czego służyć może fakt, że przez ciąg 5-u miesięcy widzieliśmy je zaledwie trzy czy cztery razy; a przytem ostrożność swą posuwają do tego stopnia, że tylko raz jeden udało nam się podpłynąć je na strzał; zabity egzemplarz dostał się do Warszawskiego Gabinetu Zoologicznego. Nadmienię też, że ptaki te zawsze widzieliśmy po trzy razem.

Podobnie też obserwowaliśmy zawsze po trzy zalatujące inne piękne ptaki z rzędu brodzących, zwane u nas warzęchami (*Platylea ajaja*), a świetnością ubarwienia nie ustępujące bynajmniej wspomnianym dopiero co flamingom, tylko że skrzydła ich nie są pąsowe, lecz karminowe. Dziób mają na końcu szeroki bardzo

i płaski, kształtem przy pominający nieco łyżkę, skąd też i nazwa peruwiańska „cuchareta” (od wyrazu „cuchara” — łyżka) pochodzi. Warzęchy jak i flamingi, pojawiają się w ujściu Tumbezu bardzo rzadko, a ostrożnością swą paraliżują wszelkie usiłowania myśliwego. Pomimo to udało nam się po kilku niefortunnych wyprawach zabić parę tych pięknych ptaków. Raz podczołgałem się na strzał po czystej i równej jak stół mieliźnie, korzystając z leżącej kłody martwego drzewa, która mnie przed badawczym wzrokiem ostrożnych ptaków zakrywała. Innym znów razem spróbowaliśmy zatknąć na przodzie łódki krzaczek dziwokłowy i pod zasłoną jego zjechaliśmy oszukane warzęchy na odległość 80 kroków.

Do rzadkich też gości należy wielki ptak, blizki naszych bocianów, a zwany przez krajowców „garzon” (*Tantalus loculator*). Stadka ich są nieco liczniejsze, gdyż składają się zwykle z 6 do 9 osobników. Trudno jest wystawić sobie oryginalniejszy widok, jak stado tych białych ptaków, posiadających głowy i skrzydła czarne, jak szeregim, niby żołnierze, zwolna posuwają się po mieliźnie, nachylając od czasu do czasu głowy, by małą jaką lub raka złowić. Zmiarkowawszy niebezpieczeństwo, ciężkimi uderzeniami skrzydeł odlatują, dotykając zrazu ziemi nogami, potem wyżej i wyżej się wznoszą, zachowując jednak szyk, jaki podczas żerowania przyjęły. Raz tylko udało mi się strzelać do nich, dla znacznej jednak odległości strzał mój pozostał bez skutku.

Wszystkie trzy poprzednio wyliczone ptaki, jakkolwiek ubarwieniem, lub osobliwością budowy i obyczajów mogą budzić ciekawość badacza, niemniej jednak, posiadając obszerne rozmieszczenie geograficzne, od dawna były znane uczonym i nie należą bynajmniej do białych kruków ornitologii. Rzecz się ma inaczej z gatunkiem ptaka kurowatego, zwanego przez krajowców *pava aliblanca* (*Penelope albipennis*, Tacz). Penelopy tworzą osobną rodzinę, właściwą Ameryce zwrotnikowej, a liczni jej przedstawiciele zamieszkują Brazylię, Peru, Ekwador, Kolumbię, Guyanę i kraje Ameryki Środkowej. Wszystkie bez wyjątku są właściwe leśnym obszarom, trudno więc było przypuszczać, że w okolicach Tumbezu, gdzie lasów właściwych niema, znajdzie się jeden gatunek, należący do rodziny tych ptaków. Zatrzymam przy nim nieco dłużej uwagę czytelnika, gdyż jak się o tem z Jelskim przekonaliśmy, ptak ten jest blizkim zaginięcia; z jednej więc strony zwrócenie nań uwagi może powstrzymać nieroztropne tępienie; a z drugiej przedśmiertna historia gatunku może się stać z czasem, gdy go zabraknie na kuli ziemskiej, ważnym dla nauki przyczynkiem.

Penelopa białoskrzydła jest to ptak nieco mniejszy od indyczki o ubarwieniu oliwkowo - czarniawem, z lekko brudno - białą pstrociną na piersiach; końce skrzydeł ma białe, co ją odróżnia od wszystkich współrodzajowców. Pod gardzielią zwiesza się niewielki woreczek, barwy mięsisto - pomarańczowej. Ptak to, jak

wszystkie penelopy, niezgrabny, o locie ciężkim i niewytrzymałym; po ziemi biega z nadzwyczajną szybkością.

Według opowiadania krajowców, lat temu sześćdziesiąt penelopa białoskrzydła należała do bardzo pospolitych ptaków w całej dolinie rzeki Tumbezu; pod samem miasteczkiem była ich taka obfitość, że polowanie opłacało się sownie myśliwemu. Dzisiaj liczone pary, zamieszkują jedynie wyspę zwaną „La Condesa“ w delcie rzeki, a polowanie należy do najtrudniejszych, co zresztą może być błogosławioną okolicznością, zabezpieczającą ptaki te od zupełnej zagłady.

Wyspa „Condesa“ należy do kategorii tych, które poprzednio pierścieniowemi nazwałem. Otoczona ze wszech stron trudnym do przebycia gąszczem dziwoklowym, posiada środek sam nieco wzniesiony i zarośnięty rzadkimi algarrobami, oraz krzakami „lipe“, „chilca“ i innymi. Penelopy w ciągu dnia trzymają się w nie dostępnym gąszczu dziwoklowym, a tylko wczesnym rankiem lub przed zachodem słońca opuszczają swe kryjówki, przelatując ku środkowi wyspy, gdzie strąki algarrobowe lub jagody „lipe“ za pożywienie im służą. Chcąc więc na nie polować, należy o świcie być już na wyspie, przebywszy poprzednio część grzązkiej mierzyny, gdzie bosa nasze nogi wystawione są na ukłucia straszniego „camaron brujo“, o którym wspomnę we właściwem miejscu. Sama znów wyspa jest siedliskiem takiego mnóstwa komarów, że nas rozpacz porywa, gdy obsiadą nasze ciało, klując niemiłosiernie. Gdybyż to jeszcze rezultat polowania był zapewniony, można by cierpliwie przenieść te męki, lecz ptak jest tak rzadki i tak ostrożny, że zwykle wracamy do domu nie strzelivszy ani razu. Penelopy, raz spłoszone, wynoszą się do gąszczów dziwoklowych, gdzie niepodobna im już nic zrobić.

Pomimo kilku niefortunnych wypraw, udało nam się wreszcie z Jelskim zabić po jednym egzemplarzu. Oprócz tych dwu okazów, z których jeden posłużył ś. p. Taczanowskiemu jako typ do opisu nowego gatunku, znajduje się jeszcze jeden w zbiorach Raimondiego w Limie; żadne inne Muzeum nie posiada dotychczas tego ze wszechmiar ciekawego i że tak powiem godnego współzucia gatunku.

Jak się pokazało po bliższem zbadaniu gatunek ten zamieszkuje wszystkie większe doliny północnej części pomorza peruwjańskiego od granicy Ekwadoru po rzekę Chicama, czyli pomiędzy 3°33' szer. połud. i 8°6' szer. południowej.

Obecność jego przy bliższej indagacji sprawdzoną dla nas została dla doliny rzeki Achira (według świadectwa Raimondiego, który tam swój egzemplarz zdobył), dalej w dolinie rzeki Lambayeque w miejscowości zwanej Puntilla; i wreszcie w dolinie rzeki Zana w okolicach haciendy Nancho podług informacji krajowców, danych Jelskiemu.

Oprócz więc tych czterech miejscowości, dla których obecność penelopy białoskrzydłej została dostatecznie sprawdzoną, podejrzewać jeszcze tylko możemy znajdowanie się jej w obszernej dolinie

rzeki Chicama, a może i nad rzeką Santa, nieco więcej ku południowi.

O ptaku tym piszę zawsze z wielką dozą sympatji, gdyż blizkie jego zaginięcie, jakiego można być prawie pewnym przy zupełnej obojętności rządu peruwjańskiego dla spraw tego rodzaju, byłoby niepowetowaną stratą dla nauki, byłoby jedną wydartą kartką więcej w historii przyrody. Być może, iż za lat 50 penelopa białoskrzydła przejdzie do mytologii ornitologicznej na równi z nestorem (papugą), lwem morskim, (*Otaria Stelleri*) i innymi tworam, zaginionymi za naszej niemal pamięci.

Dzięki szczęśliwemu trafowi, udało się Jelskiemu zdobyć młode pisklę tego gatunku, które wspólnem staraniem wychowaliśmy. Ptak ten tak się dalece do nas przywiązał, że biegał za nami, jak pies po ulicy. Zawiózłszy go do Limy, podarowaliśmy Raimondiemu, gdzie go spotkał zwykły los stworzeń chowanych: kręcąc się pomiędzy ludźmi, został rozdeptany, powiększając tym sposobem o jeden liczbę znanych okazów tego gatunku.

Ptaki drapieżne słabo są reprezentowane w ujściu Tumbezu. Do najwybitniejszych należy rybołów (*Pandion haliaëtos*), który jakkolwiek uważany bywa za odmianę amerykańską, to jednak według zdania znakomitego znawcy tych rzeczy, Taczanowskiego, niczem nie różni się od naszego gatunku. Ptak ten, nieliczny zresztą w delcie Tumbezu, gnieździ się tam na drzewach manglowych. Głos jego cieni i przenikliwy, niby świst na tataraku, rozlega się często z wyżyn powietrznych, skąd ptak wypatruje zdobycz w wodzie. Gdy tylko rybę jaką blisko powierzchni wody zobaczy, rzuca się ze znacznej wysokości i unosi swą zdobycz, aby ją w spokoju spożyć na jednym z drzew, ulubionych miejsc sjesty rybołowa.

Bardzo też ciekawym jest myszołów rakarz, lub jak go krajowcy nazywają „gavilan cangrejero“ <sup>1)</sup> (*Urubitinga schistaceus*), karmiący się wyłącznie krabami. Często widzieć go można, jak siedząc na mieliźnie dziwokłowej, cały zabłocony, spożywa różne rakowate stworzenia, tak obfite w tej okolicy. Dziwnem jest to zboczenie prawdziwych instynktów ptaków drapieżnych Ameryki Zwrotnikowej, gdzie różne gatunki myszołowów karmią się prawie wyłącznie jaszczurkami, a jak ten np. w mowie będący—krabami.

Podróżnika na razie uderzyć może brak prawie zupełnie sępów amerykańskich na pobrzeżu morskiem; brak to jednak pozorny tylko. Niech tylko pojawią się szczątki muła, krowy jakiej, a nawet krokodyla, a już setki ptaków tych (*Catharista atrata* i *Oenops aura*) nalatują z różnych stron. Wśród nich ucztuje niekiedy wspomniały król sępów, zwany przez krajowców „rey de los gallinazos“ lub „buitre costeno“ (*Sarcorhamphus papa*), o którym powyżej wzmiankę zrobiłem.

Właściwy jednak charakter nadaje okolicy ptactwo błotne,

<sup>1)</sup> Cangrejo—krab.



które wielkimi masami zalega mielizny błotniste, znajdując na nich żer obfity. Gdy przyływ zaleje obszerne powierzchnie mulaste, cisza zwykle panuje w powietrzu, gdyż ptactwo po drzewach i gąszczach oczekuje cierpliwie nadejścia stosownej chwili: wtedy chyba ostry świst rybołowa, lub żalosne krakanie mew narusza spokój okolicy. W miarę jednak jak woda szybko ustępuje z mielizn, ruch i życie przybierać zaczyna coraz większe natężenie: białe jak śnieg ibisy (*Ibis alba*) przechadzają się pojedynczo lub małymi stadkami, ostro rysując swe kontury na szarem i ciemnozielonym tle krajobrazu; śnieżną też szatę posiadają dwa gatunki białych czapeł, z których mniejsza należy do najpospolitszych ptaków tej krainy; po białym piasku pobraża morskiego uwijają się zręczne i miłe sieweczki piaskowe (*Aegialitis nivosa*) a nad okolicą dominuje silny i pełen smutku głos kulona kronsznepa (*Numenius hudsonicus*). Wrzawa i zgielk przyjemnie pieści ucho, przedłużając się niekiedy do późnej nocy, gdy wielki odpływ na tę porę przypada.

Nie zdziwi nas ta obfitość ptactwa błotnego, gdy przyjrawszy się bliżej mieliznom dziwokłowym, przekonamy się, że są one przepelnione myrjadami rozmaitych żyjątek. Kraby, raki, raczki, małe rybki, małże najrozmaitszych gatunków, dwu i jedno skorupowe, robaki pierścieniowe — wszystko to żyje w grzązkiem błocie lub na jego powierzchni. Zanurzymy tylko rękę, a setki żyjątek wyciągniemy. I nie wątpię, że nie masz na świecie ośrodka, w którymby życie zwierzęce takiego napięcia dochodziło, jak w błocie dziwokłowym.

Zwłaszcza kraby spotyka się tu w masach nieprzeliczonych, a między nimi rodzaj *Galasimus* posiada chyba najliczniejszych przedstawicieli. Stworzenia należące do tego rodzaju dzielą się w delcie Tumbuzu na dwie wybitne grupy, z których jedna reprezentowana jest przez kraby średniej wielkości z wielkimi płaskimi nożycami, skąd je krajowcy nazywają krawcami (*los sastres*), a druga liczy różne krabiki małych rozmiarów ze szczypcami wątlami, często bardzo wydłużonemi. Każda z tych dwu większych skupień liczy po kilka odmian, które przy dzisiejszym stanie nauki z pewnością za osobne gatunki uważać należy, a różniące się rozmiarami szczypców i ubarwieniem. Zwłaszcza druga grupa małych krabików zmienną jest do tego stopnia, że mogłem w niej naliczyć 4 do 5 różnych gatunków. Zmienność ta zależy niewątpliwie od różnego stopnia zalewania przez przyplawy morskie zamieszkałej przez kraby mielizny a także od ilości soli morskiej, w wodzie zawartej. Aby lepiej zrozumieć tę uwagę, przypomnijmy sobie, że mielizny dziwokłowe przylegają zawsze dowysp piaszczystych lub porośniętych mangłami i że poziom ich wznosi się nieco od brzegu ku wyspie. Łatwo więc zrozumieć, że różne części tych mielizm niejednostajnie zalewane bywają przez przyplawy i gdy części nadbrzeżne podlegają zakryciu wodą codziennie po dwa razy na przeciąg kilku godzin, pas przylegający do wyspy, posiadając poziom wyższy, ulega tylko zalaniu podczas największych przy-

plywów, to jest zaledwie dwa razy na miesiąc i to w ciągu krótkiego czasu. W skutek tego i sam charakter gruntu bardzo jest odmienny i gdy w częściach przybrzeżnych muł jest czysty i grzązki, przeciwnie w pasie przywspowym znajdziemy dużą przymieszkę piasku, a przez to grunt twardszy. Pas ten górny pokryty nadto bywa pewną charakterystyczną trawą (*Cyperus*), rosnącą kępami, gdy części mielizny o poziomie niższym są obnażone.

Ponieważ wspomniane kraby kopią dziury w których się ukrywają przed nieprzyjacielem lub w czasie przyływu, a do zrobienia ich używają niewątpliwie swych oryginalnych nożyc, łatwo więc zrozumieć, że gatunkom, żyjącym na mule miękkim i grzązkim nie są potrzebne organa te tak silne, jak tym, które trzymają się w pasie górnym, gdzie grunt jest suchszy i twardszy. Tym sposobem będziemy mieli objaśnioną tak wielką różnicę w długości i tęgłości szczypców. Co zaś do ubarwienia, to zmienność jego zależną być musi głównie od większej lub mniejszej ilości soli morskiej w zalewającej mieliznę wodzie, czyli od bliższego lub dalszego sąsiedztwa z morzem, a także od dłuższego lub krótszego wystawiania na światło słoneczne, co także łatwo pojmujemy, dowiedziawszy się, że kraby w mowie będące spędzają na powierzchni mielizny cały czas wolny od zalewu; że zatem gatunki trzymające się pasa górnego pozostają pod działaniem światła słonecznego daleko dłużej aniżeli gatunki nadbrzeżne. Zbytecznym jest też dodawać, że części mielizny pośrednie między skrajnymi posiadają też i warunki pośrednie.

Zwrócę tutaj uwagę przyrodników, że badanie szczegółowe tych krabów wydać może bardzo ważne rezultaty, gdy bowiem obserwacje nasze nad zmiennością form względnie do warunków otoczenia, możemy tu odbywać na przestrzeni jednej wiorsty, przy badaniu innych tworów przebiegać musimy znaczne obszary, aby otrzymać te same wyniki.

Gdy więc kogokolwiekbyś zapędzą losy do takich krajów, gdzieby mógł podobne badania przeprowadzić, radzę mu, by korzystał ze sposobności, która nie wszędzie zdarzyć się może. Ponieważ tego rodzaju obserwacje wymagają długiego czasu, a mój rodzaj zajęć wypełniał mi prawie wszystkie chwile dnia, nie mogłem osobiście poświęcić się im, pomimo wielkiej skłonności do takich badań.

Tym sposobem w grupie mniejszych *Gelasimus*'ów znalazłem, jak to powiedziałem 4 do 5 gatunków, z których trzy wybitniejsze zamieszkują mielizny bardzo różnego charakteru, a mianowicie jeden z nich o wierzchu skorupy pięknego szafirowego koloru, o szczypcach — fioletowo różowych zamieszkuje w samem ujściu rzeki po brzegach piaszczystych zalewanych codziennie przez przyływy morskie, gdzie nadto woda jest zupełnie słona. Druga forma z kształtu podobna do pierwszej, lecz barwy ceglastej trzyma się wyłącznie pasa cyperusowego, dokąd przyływy dochodzą tylko dwa razy na miesiąc na bardzo krótki przeciąg czasu. I tu jeszcze woda bywa zawsze słoną, z wyjątkiem chyba raz do roku

trafiających się wezbrań rzeki, której nurty wycieśniają z ujścia wodę morską. Trzeci wreszcie gatunek koloru piaskowo-szarego, o bardzo wydłużonych i szczupłych nożycach żyje o parę wiorst w górę rzeki, powyżej fabryki, gdzie woda w czasie największych tylko przypliwów przybiera smak słonawy.

Kraby te nadto, jak inne, należące do rodzaju *Ocypoda*, mają zwyczaj zaścieławania całej równej jak stół powierzchni przez się zamieszkałej kulkami wielkości grochu. Znaczenie tych kulek było dla nas niezrozumiałem, a Jelski znalazłszy je zaraz po odpływie w otworach dziur krabowych, zrobił przypuszczenie, że służą one do zatykania nor na czas przypliwu. Prawdopodobniejszem jest jednak cytowane powyżej zdanie ziomka naszego, s. p. Malinowskiego, którego uwagę przypadkiem zwróciłem na ten przedmiot: twierdził on, że [są to poprostu ekskrementa krabów. W samej rzeczy badając uważnie te stworzonka, jeżeli nie są przepłoszone, zauważymy, że są ciągle zajęte spożywaniem piasku lub mułu, który zgrabiają nożycami z powierzchni i jak widelcem podają sobie do jamy paszczowej, umieszczonej od spodu: robi to nadzwyczaj zabawne wrażenie dziwnych stworzonek, jedzących na podobieństwo ludzi łyżkami i widelcami. Zdaje się więc, że ten piasek po zaasymilowaniu części pożywnych przez zwierzątko, wyrzucony zostaje na zewnątrz w formie kulek, a obfitość ich objaśni się nam, jeżeli zwrócimy uwagę, jak niewiele cząstek pożywnych zawierać może tego rodzaju pożywienie, co prawdopodobnie zmusza kraby do poświęcenia całego czasu, wolnego od przypliwu na sprawę odżywiania. Znajdowanie się zaś kulek w otworach nor krabowych wytlómaczyć można wprost za pomocą zaniesienia ich tam przez fale przypliwu.

Kraby z rodzaju *Galasimus* okazują przestרח na widok człowieka. W miarę jak się posuwamy po mieliźnie, stworzonka te, siedzące zwykle w bliskości swych dzieci, szybko się do nich kryją, wkrótce jednak po naszym przejściu wylazą na powierzchnię.

Tym sposobem zajmujemy zawsze środek koła o promieniu jakich 30 do 40 kroków, wolny zupełnie od krabów, gdy reszta mieliżny gęsto jest usianą temi stworzeniami. Jeżeli przyspieszymy kroku, te z krabów, które się więcej od swej nory oddaliły, tracą głowę i w pośpiechu wpadają do cudzej, gdzie się już prawy właściciel znajduje, ponieważ oba nie mogą się całkowicie pomieścić, intruz pozostaje w części na zewnątrz.

Podobne obyczaje posiada wspomniana wyżej *Ocypoda* — spory krab z małemi nożycami. Piękna ceglasto-czerwona barwa jego skorupy uwydatnia go zdaleka na piaszczystem pobrzeżu, na którem wyłącznie się trzyma. Gdy nań szybko nacieramy, ucieka zrazu obyczajem wszystkich krabów bokiem — na prawo lub na lewo, wybierając nóżkami z nadzwyczajną szybkością; przyparty jednak, gdy do nory swej dobiez nie zdoła, przewraca się do góry nogami, strasząc nas swemi kleszczami. Krab ten posiada osobliwe oczy, osadzone na długich szypułkach, które zwykle pio-

nowo nastawia. Podobnie jak i *Galasimus* kręci kulki piasku, zaścielając niemi całe pobraże.

Oprócz krabów z rodzaju *Ocypoda* i *Galasimus* delta Tumbezu jest odczynną wielu innych bardzo ciekawych gatunków. Dwa z nich, zwane przez krajowców „Sinboca“ i „cangrejo de comer“ czyli krab jadalny, należące jak się zdaje do rodzaju *Gecarcinus*, są prawdziwymi olbrzymami krabiego rodu. „Sinboca“ odznacza się potężnymi kleszczami, których skutecznie używa w walkach z sobie podobnymi, jakie się często trafiać muszą. Trzyma się on wyłącznie w gąszczu dziwokłowym, gdzie kopie olbrzymie nory podobniejsze do jam królika, aniżeli do nor rakowatego stworzenia. W norach tych, nie wiem dlaczego obierają sobie siedlisko myrjady komarów, które za zbliżeniem się człowieka licznie wylatują, aby ssać jego ciało. „Sinboca“ nie jest jadalnym, gdy przeciwie „cangrejo de comer“ (krab jadalny) uważany jest za specjal pomiędzy uboższą ludnością. Tuzin tych krabów kosztuje na miejscu franka. Spożywa się je pieczone całkowicie na węglach; przyznam się jednak, że do wielkich specjalów nie należą dzięki słodkawemu smakowi mięsa, a w każdym razie o wiele niżej stoją od homara, lub naszego rzeczno raka, co zresztą da się powiedzieć o wszystkich krabach jadalnych, znanych u nas pod nazwą pajaków morskich.

Do najpiękniejszych krabów należy średniej wielkości *Grapsus*, zamieszkujący pojedynczo pobraża kanałów dziwokłowych. Skorupa jago ciemno-karminowej barwy usiana jest mnóstwem żółtych kropeczek, tworzących piękny rysunek na ciemnym tle. Inny znów krab drapieźny (*Lupea*) o tarczy wydłużonej na boki w formie długich i ostrych kolców, żyje wyłącznie w wodzie. Krab ten poruszeniem nóg podnosi lekki muł dna rzeczno, który go całkowicie przykrywa; nazewnątrz pozostają tylko oczy osadzone na długich szypułkach. W ten sposób krab zostaje starannie ukryty przed wzrokiem innych stworzeń, które łowi za zbliżeniem się ich na żadaną odległość.

Najwybitniejszym jednak przedstawicielem całego skupienia Rakowatych w delcie Tumbezu jest bez zaprzeczenia „camaron brujo” krajowców, czyli rak-czarnoksiężnik (*Squilla* uczonych). Jest to spory rak o odwłoku, czyli t. z. szyjce bardzo rozwiniętej i opatrzonej na końcu licznymi, bardzo ostrymi kolcami. Zamiast zwykłych nożyc, posiada to stworzenie na przodzie ciała parę artykułowanych i silnych łapek, których ostatnie stawy są zazębione w kształcie grzebienia. Czarnoksiężnik zadaje niemi silne bardzo uderzenie ku przodowi, działając jak lancetami, jednocześnie zaś uderza i kolczastym odwłokiem, który ku spodowi z łatwością zgiąć może, podobnie jak i nasz rak rzeczno. Trzyma się on wyłącznie w grzązkim błocie manglowem, ukryty zupełnie dla oka ludzkiego, przez co właśnie staje się bardzo niebezpiecznym.

Według powszechnej opinii krajowców stworzenie to jest równie jadowite jak najjadowitsze żmije strefy zwrotnikowej. Nie posiadam dostatecznych danych, aby decydować w tej kwestji;

porywnywuając jednak ten wypadek z jadowitością koleców u niektórych ryb morskich (jak np. u „la vive” Francuzów), nie możemy stanowczo lekceważyć opinii krajowców. Obok tego możnaby jednak postawić przypuszczenie, że rozjątrzenie rany, spowodowanej ukłuciem czarnoksiężnika pochodzi od błota manglowego, zawierającego taką masę cząstek organicznych w stanie rozkładu. Znałem pewnego chłopca, który szukając dla nas jaj ptactwa błotnego, został ukłuty w nogę przez czarownika: pod wpływem obawy nie zawahał się wypalić natychmiast rany, która pomimo to jątrzyła się jeszcze przez dwa miesiące. Chodząc bosy po błocie dziwokłowem, w którym nieraz wypadają grzęznąć po kolana i głębiej, przychodził mi na myśl rak czarownik i fatalne skutki jego ukłucia, którego w takich razach niepodobna uniknąć, gdyż straszne stworzenie ukryte jest dla naszego wzroku w gęstym mule ryzoforowym.

Ujście Tumbezu obfituje w mnóstwo najrozmaitszych ryb, które po większej części z morza napływają. Pomiedzy niemi liczne gatunki należą do bardzo smacznych zwłaszcza kilkufuntowa „lisa”, odznaczająca się bardzo delikatnym mięsem. Miejscowi rybacy łowią ryby przeważnie przy pomocy sieci, zwanej po hiszpańsku „ataraya,” a po francusku „l'epervier. Jest to sieć w kształcie lejka opatrzona na dole u otworu ciężarkami ołowianymi, których zadaniem jest pociągnąć sieć na dno w chwili rzucenia. Sieć taką rybak zbiera na jednym ręku, a drugą rzuca nią w sposób, aby się cała otworzyła, opadając szybko na dno, przykrywa wszystko, co się pod nią znajduje. Oczywiście jest rzeczą, że tego rodzaju sieć używaną być tylko może na niegłębokiej wodzie, gdyż w przeciwnym razie ryby znajdujące się bliżej dna miałyby czas uciec, zanimby spodnia część sieci dna dosięgnęła.

W ten sposób łowić można z brzegu; daleko jednak praktyczniej urządzają się rybacy tumbescy, którzy zwykle na łodzi robią wyprawy i gdy jeden stojąc na przodzie łodzi, rzuca i wyciąga sieć, drugi z tyłu wiosłuje, starając się robić jaknajmniej hałasu. Połów najlepiej udaje się w nocy w czasie przypływu, gdy wielizny pokryją się warstwą wody na łokieć do dwu grubości. Wówczas masa ryb, zwabionych prawdopodobnie obfitym żerem, napływa w takie miejsce, a połów wydaje znakomity rezultat. Bywało, że dwu rybaków wypłynąwszy o godzinie 10 ej wieczorem, wracało nad rankiem, przywożąc do 100 funtów rozmaitej ryby. Pomimo tak wielkiej łatwości w łowieniu, ryba na targu tumbeskim jest prawdziwą rzadkością.

Osobliwy sposób łowienia ością praktykują rybacy tamtejsi na rybie, zwanej przez krajowców „mero,” dochodzącej niekiedy 2 i więcej metrów długości. Wielka ta ryba ma zwyczaj zostawania spokojnie na dnie rzeki przez bardzo długi przeciąg czasu. Rybak, odkrywszy jej obecność jedynie po małych kulkach powietrza, wydobywających się na powierzchnię wody, zbliża się ostrożnie i długą ością stara się namacać niewidzialną rybę, któ-

ra nie ucieka pomimo takiej poufalości. Zbadawszy tym sposobem dokładnie pozycję swej ofiary, rybak na oślep zadaje cios, a posiada w tem zwykle tak wielką wprawę, że nigdy nie chybi. „Mero“ jako mięso bardzo nisko stoi, wskutek czego spożywaną bywa przez biedniejszą ludność, która ją chętnie dla taniości nabywa.

Od czasu do czasu w ujściu rzeki pojawia się w ogromnych masach „ryba-igła” („aguja“ — krajowców, *Belona* uczonych). Pewnego wieczoru siedząc w naszej chacie przy spisywaniu notat. zaalarmowani zostaliśmy bardzo silnym szumem w stronie rzeki. Przypuszczając, że uragan nadchodzi, wybiegliśmy na ganek, zdziwieni jednak byliśmy zupełnym spokojem atmosfery i przejrzystości nieba, na którym świeciły wspaniałe konstelacje południowe. Dopiero Agapito objaśnił nas, że to ryba igła, napływając w porze dżdżystej w ogromnej ilości z morza, szum ten powoduje. Wysłaliśmy natychmiast pewnego majtka, który nam złowił kilka egzemplarzy tej ciekawej ryby, posiadającej kości pięknego zielonego koloru.

Aby uzupełnić ten obraz świata zwierzęcego w ujściu rzeki Tumbezu, wspomnieć też należy o muszlach, które w niezliczonych ilościach zamieszkują mielizny dziwokłowe i piaszczyste pobrzeża morskie. Dość jest rękę po łokieć zanurzyć w błocie, aby natrafić na różne gatunki małży dwuskorupowych; powierzchni znów snują się ruchem nie uchwyconym większe i mniejsze muszle jednoskorupowe. Na korzeniach ryzoforów trzyma się pewien gatunek ostrygi (*Ostrea*), którą znany nam francuz Martinot do Limy eksportował, choć pod koniec naszego pobytu zaniechał tego przedsięwzięcia. Ten sam gatunek bardzo jest ceniony, w sąsiednim porcie ekwadorskim Guayaquilu. Do jadalnych małży także należy niewielki *Mytilus*, zwany przez Francuzów la moule,“ a przez Hiszpanów „almeja.”

Ujście rzeki będące właściwie częścią morza zauzурpowaną przez posuwający się ląd, żywi w swych nurtach mnóstwo stworzeń właściwych morzu. Tu i owdzie spotka się zaniesione przez przyływ meduzy, galaretowate stworzenia w formie klosza, z długimi czułkami na spodniej stronie ciała; holoturje o ciele długim i cylindrycznym; przyczepione nieruchomie do mułu *Actiniae*, które za dotknięciem kurcząc się, puszczają ze środkowego otworu fontannę w formie cienkiego strumienia wody. A gdy noc zapadnie wśród ciemnych toni błyszczą myrjady iskier, spowodowanych przez fostoryzujące stworzonka, zwane *Noctilucae*. Widoczną jest rzeczą, że zjawisko fosforescencji dochodzi największego napięcia w porze suchej podczas przyływu morskiego, gdyż wtedy woda w ujściu rzeki jest najślodsza; gdy przeciwnie ginie prawie zupełnie podczas wielkich wezbrań rzeki, której nurty wycieśniają wodę morską.

## ROZDZIAŁ X.

Obyczaje krokodyla. — Życie w Santa-Lucia. — Wielorybnictwo w okolicach Tumbezu. — Przygotowania do powrotu. — Obyczaje ocelota. — Powrót do Limy.

Pomiędzy tworamii, zamieszkującymi ujście rzeki Tumbezu, najbardziej rzucającym się w oczy i najwięcej zasługującym na wzmiankę dla swej ponurej sławy jest bez zaprzeczenia krokodyl, któremu dłuższą chwilę poświęcić musimy. Dzięki swej wielkości, sile i postrachowi, jaki szerzy pomiędzy ludźmi i zwierzętami domowemi, jaszczurka ta przy braku wielkich ssących, uważana być musi pomimowoli za króla dziwokłowych samotni, chociaż właściwiej może byłoby ją nazwać piratem rzecznym, do którego podobnym jest ze swych nikczemnych obyczajów.

Wiadomą jest niemal powszechnie rzeczą, że trzy rodzaje stanowią grupę krokodylowatych jaszczurek, a mianowicie: *gawial*, zamieszkujący południową Azję, *aligator*, — właściwy Ameryce zwrotnikowej i wreszcie *krokodyl*, spotykany w Afryce i Ameryce południowej. Zwrócę też uwagę czytelnika na ten ostatni szczegół, gdyż dość jest rozpowszechnionem mniemanie, że krokodyl właściwy zamieszkuje wyłącznie Afrykę gorącą, a na lądzie amerykańskim spotyka się li-tylko aligator. Zdanie to jest bardzo błędne, gdyż krokodyl napotyka się we wszystkich rzekach Ameryki zwrotnikowej, gdzie nawet zdaje się być pospolitszym od swego krewniaka z Mississipi; na pobrzeżu zaś zachodniem od strony Oceanu Spokojnego, aligatora brak zupełnie, a miejsce jego zastępuje krokodyl.

Dwa gatunki krokodylów zamieszkują Amerykę Południową: *Crocodylus acutus*, znany jeszcze od czasów Humboldta, spotyka się w systemie Oceanu Atlantyckiego, zatem w rzekach: Magdalenie, Orinoko, Amazonce i w gujańskich; niedawno zaś opisany krokodyl zachodni (*Crocodylus occidentalis*) zastępuje go od strony Pacyfiku w rzekach Kolumbijskich i Ekwadorskich. Południową granicą tego gatunku jest rzeka La Chira, uchodząca do morza nieco na południe od Tumbezu.

Krokodyl zachodni dochodzi nieraz ogromnych rozmiarów. Dwa egzemplarze zdobyte przez nas mierzyły po  $4\frac{1}{2}$  metra długości, a nie należały bynajmniej do największych. Ortiz, nasz lechugański gospodarz, zapewniał nas, że krokodyle napotymane w jeziorach sąsiadujących z rzeką Zarumillą dochodzą nieraz 7 i 8 varas<sup>1)</sup>, zatem 6,72 metra, a walcowate ich ciało posiada około metra średnicy. Ja sam widziałem w ujściu rzeki Tumbezu okazy mierzące przynajmniej 5 metrów długości. Czytelnik nabierze niejakiego pojęcie o ogromie tych zwierząt, gdy mu przytoczę fakt znalezienia całej przedniej nogi muła wraz łopatką w żołądku jednego ze zdobytych przez nas potworów.

Krokodyle w rzece Tumbezie nie są tak liczne jak w sąsiedniej kotlinie Rio Guayas, czyli rzeki Guayaquilu, gdzie można je widzieć nieraz po kilkadziesiąt na jednym miejscu. Niemniej jednak naliczyłem pewnego razu w okolicach Cucarachy 14 tych płazów, rozciągniętych wzdłuż pobrzeża na przestrzeni paruset kroków. Wogóle jaszczurki te najliczniej trzymają się w ujściu rzeki, czyli w pasie dziwokłowym, gdzie prawdopodobnie zwabia je większa obfitość ryby. Powyżej miasteczka trafiają się już bardzo rzadko, gdyż prąd wody jest zbyt szybki, czego płazy te zdają się nie lubić.

Trudno jest zdecydować, co stanowi główne pożywienie krokodyla, gdyż rzadkie stosunkowo wypadki porwania konia, muła, psa, kozy lub człowieka nie pozwalają przypuszczać, aby mięso większych ssących było dlań jedynym pokarmem, choć w każdym razie i ono musi figurować na liście potraw tego potwora. Widząc jednak, z jaką łatwością krokodyl bierze się na kiszki bydłace, możemy podejrzewać, że padlina, tak często spotykana w rzekach Ameryki południowej, musi dlań stanowić jeden z ważniejszych wiktualów. W każdym razie wiedząc, że stare samce pożerają często młode krokodylatka, mamy prawo przypuszczać, że wszelki pokarm zwierzęcy jest dla krokodyla dobrym, że zatem i ryby łowić musi, do czego pomaga mu niemało jego zwinność w wodzie, oraz kształt i barwa, które przy zachowaniu nieruchomej pozycji czynią go prawie niewidocznym, lub podobnym do zwalonej kłody. Wprawdzie w żołądku preparowanego przez nas krokodyla znaleźliśmy tylko oprócz wspomnianej nogi muła, około 10 funtów żwiru, to jednak na podstawie twierdzenia krajowców przypuszczać możemy, że ryba jest głównym pokarmem krokodyla.

Siła trawienia tych potworów jest bardzo wielka. Znalezione przez nas kości muła, musiały się już od dość dawna w żołądku znajdować, a ponieważ objętość ich nie pozwalała na wyrzucenie w całości przez kiszki, przyszliśmy więc do wniosku, że i kości przetrawia, w czym nas umocniło jeszcze znalezienie mnóstwa dziurek obwiedzionych zieloną barwą, jakie we wspomnianej nodze muła znaleźliśmy. Obecność też tak znacznej ilości żwiru w żołądku krokodyla objaśniona być może tylko potrzebą roztarcia tru-

---

<sup>1)</sup> *Vara* miara hiszpańska, równająca się 84 centymetrom.



dniejszych do strawienia części zwierzęcych. Analogiczny wypadek spotykamy u niektórych ptaków, jak np. u kurowatych, które zwykły polykać znaczną ilość drobnego żwiru lub piasku.

Krokodyl w całym swem postępowaniu zdradza podłość i tchórzostwo. Ofiary swej prawie nigdy nie atakuje otwarcie, lecz stara się do niej zbliżyć pokryjonomu, płynąc pod wodą, póki się nie zbliży na taką odległość, aby jednym rzutem mógł osiągnąć swojej zdobyczy. Zaczają się zwykle na pobrzeżu w sąsiedztwie miejsc, do których zwierzęta domowe wodę pić przychodzą, a wciągnąwszy swą ofiarę do rzeki, pożera ją gdzieś w samotności. Niekiedy jednak, gdy go głód przycisnie, staje się zuchwałym do najwyższego stopnia, a wówczas i ludzi ośmiela się atakować.

Wogóle jednak krokodyle Tumbeskie pod tym względem są dość łagodnych, a może prędyj — tchórzliwych uosobień. Zapewniano nas bowiem, że nigdy, jak mogli zapamiętać starzy ludzie, nie było wypadku pożarcia człowieka przez te potwory. Miejscowi kąpią się w rzece, nie zwracając bynajmniej uwagi na sąsiedztwo tak strasznych stworzeń, a i my przez cały czas naszego pobytu w Santa-Lucia prawie codziennie używaliśmy kąpeli, mając nieraz na widoku jednego a nawet i więcej krokodyłów. Opowiadano nam też, jak pewien pijany marynarz, spostrzegłszy w ujściu rzeki kilka tych jaszczurów, rzucił się do wody, brawując niebezpieczeństwo, z którego bez szwanku wyszedł. To obojętne zachowanie się krokodyla wobec człowieka tłumaczy się chyba obfitością ryby w Tumbezie, gdyż w sąsiednich rzekach La Chira i Guayas, zamieszkałych przez ten sam gatunek, fatalne wypadki pożarcia ludzi, a zwłaszcza dzieci przez krokodyle, zdarzają się dość często.

Na pomorzu ekwadorskiem mieszkańcy mają nawet osobny termin dla krokodyłów-ludożerców, które zowią „legartos cebados”. Są to zwykle bardzo stare i rosłe krokodyle, które raz popróbowawszy mięsa ludzkiego, tak w niem zasmakowały, że nie opuszczają żadnej sposobności zadowolenia swego smakoszostwa. Gdym bawił w roku 1884 w miasteczku Yaguachi, niedaleko Guayaquilu, zdarzyły się aż dwa wypadki atakowania dzieci przez krokodyla — prawdopodobnie tego samego. W pierwszym z nich potwór porwał za udo kąpiącego się chłopca 12-letniego, lecz dzięki pomocy nadbiegających ludzi złe jego zamiary sparaliżowane zostały. Innym znów razem krokodyl rzucił się na chłopaka, niosącego mięso ze szlachtuza, położonego nad samą rzeką. Chłopak tem się ocalił, że rzucił straszemu zwierzęciu mięso, a sam uciekł.

Do najniebezpieczniejszych należą podobno krokodyle, trzymające się jezior i zalewanych perjodycznie sawan. Trzeba wiedzieć, że rzeka Guayas podczas silnych deszczów w Kordyljerach występuje z brzegów, zalewając okolicę na znacznej przestrzeni. Otóż woda, dostawszy się do miejsc, posiadających poziom niższy od brzegów rzeki, tworzy czasowe jeziora, zwane przez miejscowych „las tembladeras”. Roślinność wodna szybko się tu rozwija, nalatuje mnóstwo ptactwa błotnego i wodnego i sucha przedtem okolica zamienia się na obszerne jezioro, pełne życia i wrzawy.

Woda jednak pod silnem działaniem promieni słonecznych wysycha i w sześć miesięcy potem wszystko wraca do dawnego stanu, a miejsce jeziora zastępuje szara popękana powierzchnia, pokryta badyłami uschłych roślin.

Na takich tembladerach trzymają się krokodyle, dla których czaple, kaczki i inne ptactwo pokarm stanowić musi. Gdy jednak woda wyschnie i życie zamiera, niektóre z tych potworów wynoszą się do rzek sąsiednich; inne znów zakopują się w muł, który z czasem wysycha, tworząc nad nimi twardą skorupę. W takim stanie krokodyl spędza sześć miesięcy pogrążony w rodzaju snu letargicznego. Gdy czas przebudzenia nadejdzie, rozrywa mulastą skorupę, jaka ciało jego przykrywa i wówczas podobno, zgłodzony i wycieńczony długim postem nie waha się ludzi atakować.

Widząc ruchy krokodyla zdawałoby się mogło, że zwierz ten niezdarnym być musi na lądzie. Mniemanie to jest bardzo mylne, gdyż krokodyl biega po ziemi z taką szybkością, że człowieka z łatwością dogonić może. Ponieważ jednak zwierz to niezwrotny, uniknąć go można, według zdania krajowców, opisując niewielkie koła. Szybkość jego ruchów obserwować mogłem w kilku wypadkach, gdy umykał w pośpiechu do wody.

Trudno jest nam wyrokować o zmysłach krokodyla, według jednak pewnych danych zdawałoby się mogło, że węch, a może i słuch ma znakomicie rozwinięte, wzrok zaś stosunkowo słaby. Uważałem, że płynąc z wiatrem na tego płaza, nigdy go dosięgnąć nie mogłem. Wieleż razy korzystając z przyjaznego wiatru, starałem się podejść do krokodyla przy pomocy żagielka, aby wiosłem szumu nie sprawiać; za każdym razem ostrożny zwierz podnosił się zwolna na swych nogach, zwolna wchodził do wody, przez chwilę pływał po powierzchni, poczem stopniowo zanurzał się i znikał, pomimo, że dzieliła nas jeszcze znaczna przestrzeń, nie pozwalająca nawet na pewny strzał sztucerowy.

Ta nadzwyczajna ostrożność krokodyla czyni polowanie na niego bardzo trudnem w delcie Tumbezu i zwykle zasadzka, podjazd, a nawet podczołgiwanie pozostają bez skutku. Pragnąc zdobyć parę pięknych egzemplarzy, jeden dla Muzeum Raimondiego w Limie, a drugi — dla Warszawskiego Gabinetu, urządzaliśmy kilka wypraw, z których pierwszą zaraz po przybyciu do Tumbezu. Szczegóły dotyczące tych polowań powinny zainteresować czytelnika, pozwoli więc, że go przez chwilę niemi zajmę.

W lutym 1876 r. popłynęliśmy z Tumbezu do Cucarachy, zabierając ze sobą tylko najniezbędniejsze do preparowania narzędzia. Za przewodnika służył nam ten sam Antonio Antepara, którego czytelnik poznał już z naszej wyprawy do Lechugału. Skorzystalismy też z uprzejmego zaproszenia p. Delgado, kapitana portu, który podówczas bawił na letniem mieszkaniu w Cucarachy i zajechaliśmy do jego domu, gdzie też nie omieszkaliśmy rozpakować naszą jedyną skrzynię, szykując się natychmiast do łowów. Wszystkie jednak nasze wycieczki pozostawały bezskutecznymi. Raz probowaliśmy podejść do krokodyla łodzią, lecz ostrożny

zwierz, nie dając się oszukać, umykał do wody, zanim na pewny strzał zbliżyć się można było. Innym znów razem pozostawaliśmy na zasadzce w miejscach ulubionych przez pojedyncze wielkie krokodyle i pomimo ciężkich prób, jakie nam komary przechodzić kazały, pozostawaliśmy nieruchomie przez przeciąg kilku godzin. Lecz i ten sposób nie dawał pomysłnych rezultatów, gdyż zwierz, czy to widząc nas wysiadających, czy może czując węchem obecność naszą, nie pokazywał się zupełnie. Próbowaliśmy stawiać wielkie wędy, używane przez krajowców, kładąc na przynętę żołądek kozłęcia; i tu czekał nas przykry zawód.

Wreszcie dnia 17 lutego, gdy już zdecydowani byliśmy porzucić łowy, które zajmując nam czas drogocenny, nie dawały żadnego rezultatu, szczęście sprzyjać nam zaczęło. Dnia tego wyjechaliśmy we trzech łodzią, a wysadziwszy Jelskiego na jednej z wysp dziwokłowych, gdzie chciał raz jeszcze poprobować szczęścia z zasadzki, ja z Antonim popłynęliśmy ku głównemu ujściu, gdzie z daleka widać było kilka wielkich krokodyli używających wypoczynku wzdłuż wybrzeża. Przybiwszy do brzegu znacznie, powyżej tego miejsca, zostawiliśmy łódkę przy brzegu, a sami zaczęliśmy podchodzić najbliższego z potworów. Widząc jednak, że w ten sposób nic nie zrobimy, zacząłem się podczołgiwać ku ostatniemu, leżącemu już w samym prawie ujściu rzeki do morza. Był to niewielki, bo 2,70 metra mierzący krokodyl, nie posiadał więc takiej czujności jak jego starzy i doświadczeni towarzysze. Nie szczęście mieć jednak chciało, że równość wybrzeża stawała na przeszkodzie zbliżeniu się na strzał pewny, a mając w rękę zwykłą gładką flintę nie chciałem próbować szczęścia na zbyt wielką odległość. Zerwałem się więc szybko i o ile mi moje młode nogi pozwoliły, podbiegłem ku zwierzowi, który też w jednym momencie oka wpadł do wody i oddaliwszy się na kroków 40, pływał po powierzchni, ukazując mi tylko parę swych chytrych oczu i koniec nosa. Nie mając nic do stracenia, strzeliłem, mierząc w oko: zwierz po strzale wykręcił się do góry brzuchem i... woda poniosła go do morza. Nie mając w bliskości łódki, musiałem ze smutkiem patrzeć, jak ginie dla mnie pierwszy zabity przezemnie krokodyl. Zmartwiony wracałem w towarzystwie Antoniego do naszego czółna, gdyśmy zauważyli, że w górze rzeki jeden z największych krokodyli wyczołgał się znów na brzeg. Chcąc raz jeszcze spróbować szczęścia, pozostawiłem Antoniego na miejscu, a sam położywszy się na brzuchu, zacząłem się podczołgiwać wzdłuż wybrzeża, zachowując jaknajwiększe środki ostrożności. Kto nie próbował tego rodzaju lokomocji, nie może mieć pojęcia, jak wielkiej pracy i jak długiego czasu potrzeba, aby przebyć przestrzeń kilkuset kroków. Przeczolgawszy się tak ze dwieście kroków, uniosłem nieco głowy, aby przekonać się zza małego pagórka, jak daleko jestem jeszcze od mojego celu, gdy nagle tuż obok mnie, może o dwa kroki zaledwie rozległ się potężny ryk i kolosalnych rozmiarów krokodyl jak olbrzymia kłoda zwałił się do wody. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zmiarkowałem, że to inny

osobnik, niewiedzący nic o mojem sąsiedztwie, tak jak ja nie wiedziałem o nim, wyczołgał się był na brzeg i spostrzegł mnie dopiero, gdy ja patrząc w innym kierunku, uniósł głowę, aby zobaczyć tego, do którego się podczołgiwał. Trudno jest zdecydować, który z nas, czy ja, czy krokodyl był więcej przestraszony tem nagłym odkryciem, ja jednak korzystając z tego, że potwór nie odrazu się zanurzył, strzeliłem za nim i jak się zdaje śmiertelnie go ranilem, gdyż rzucił się konwulsyjnie i znikł pod wodą.

Widząc, że moje strzały zbyt już popłoszyły ostrożne stworzenia i nie spodziewając się niczego na ten dzień, wsiedliśmy do czółna, a zobaczywszy po drodze Jelskiego, który oprócz roi komarów nic więcej w swej zasadzce nie widział, wróciliśmy do domu, zli i przygnębieni, że krokodyle tak sobie z nas podrywają. Zdecydowaliśmy też powrót do Tumbezu na dzień następny, gdy nazajutrz rano, marynarze, powracający z połowu ryb, dali nam znać, że trup krokodyla leży na jednej z mielizn w stronie północnej od głównego ujścia. Była już godzina 10 rano i podrównikowe słońce paliło należycie. Nie było więc czasu do stracenia, jeżeli nie chcieliśmy stracić tego egzemplarza.

Wziąwszy na łódkę parę linek, popłynęliśmy, Jelski, Antoni i ja, we wskazanym kierunku. Krokodyl leżał, świecąc swym białym brzuchem, na środku obszernej i nadzwyczaj grzęzkiej mielizny. Podpłynawszy do brzegu, przekonaliśmy się, że dojść będzie tylko można, czołgając się na brzuchach, gdyż idąc zwykłym sposobem, ryzykowaliśmy — a zwłaszcza otyły Antonio — zagręznąć po same uszy.

Tak też zrobiliśmy, a uwiązawszy łódkę na brzegu, aby jej nam fala nie uniosła, rozebraliśmy się do naga i popelziliśmy do krokodyla, leżącego od nas o paręset kroków. Był to ten sam osobnik, do którego strzeliłem w samym ujściu: prąd uniosł go do morza, a przyplwy nocny wyrzucił na mieliznę, o wiorstę odległości od miejsca strzelania. Kula trafiła w samo oko i śmierć była piorunująca. Ze smutkiem jednak przekonaliśmy się zaraz, że okaz ten niezdatnym będzie do wypchania, gdyż pod wpływem palących promieni słońca, rozkład bardzo już naprzód postąpił, i naskórek — zwłaszcza na brzuchu — odstawać zaczął. Wiedząc jednak, jak cennym nabytkiem dla Muzeów europejskich jest szkielet krokodyla, postanowiliśmy, okaz ten zabrać i z mięsa oczyścić. Założywszy więc liny pod pachy zwierzęcia, pociągnęliśmy go z niemalym trudem po grządkim błocie, sami zmuszeni czołgać się na brzuchach. Dopiero włożywszy zdobycz do łodzi, łatwiej powiosłowaliśmy ku domowi, gdzie zaraz wzięliśmy się do nieprzyjemnej operacji czyszczenia szkieletu. Ponieważ zwierz roztaczał już wkoło siebie woń niemiłą, zmuszeni byliśmy zająć się tą pracą w pewnej odległości od osady, pod prostopadłymi promieniami słońca, wśród roi komarów, które niemiłosiernie znęcały się nad naszą twarzą i rękami. Dokończywszy szczęśliwie tej roboty dnia następnego i zadowoleni, że nasza wyprawa choć w części się udała, powróciliśmy do miasteczka. Zdobyty okaz mierzy, jak to wyżej wspomniałem, 2,70

metra, a szkielet jego znajduje się w Zootomicznym Gabinetie Uniwersytetu w Warszawie.

Pobyt nasz w Santa-Lucia znów nam dał sposobność niejednokrotnych wypraw na krokodyle, zwykle jednak kończyły się one w taki sposób, że bez strzału wracaliśmy do domu. Wówczas, nie chcąc już tracić czasu na próżno, umówiliśmy się z pewnym starym rybakim, imieniem Damazio, który się podjął złowić dla nas dwa wielkie krokodyle. Cena za każdego miała być względna do wielkości, a mianowicie zobowiązaliśmy się płacić po 1 solesie (2 rsr.) za „varę“ długości; że zatem krokodyl mający 5 varas (4,20 metra) wypadłby 5 solesów (10 rsr.). Stary dotrzymał obietnicy i w ciągu 1½ miesiąca dostarczył nam dwa potężne okazy, mierzące każdy po 5 varas długości.

Pierwszego złowić na hak, mający około pół metra długości i bardzo mocny. Hak taki przywiązuje się do silnej linki, długiej na 12 sążni, przyczepiając na drugim końcu kawałek drzewa, odgrywającego rolę splawika. Rybak owinąwszy wędę wnętrzościami bydłęcia, kozy lub wieprza, puszcza ją swobodnie w miejscu, gdzie który z potworów zwykle się trzymać, sam zaś w małej łódeczce ukrywa się w sąsiednim gąszczu, cierpliwie obserwując splawik, którego poruszenia wskazują mu, że się już zdobycz wzięła na wędę. Nie śpieszy jednak, dając czas aby krokodyl mógł całkowicie hak połknąć, co się zwykle zdradza gwałtownymi poruszeniami splawika. Wówczas rybak stara się przywiązać swobodny koniec liny do najbliższego drzewa, a skracając stopniowo postronek, dociąga z wolna swą zdobycz do samego brzegu. Tutaj zwierzę jest już zabezpieczony, unika bowiem wszelkich gwałtownych ruchów, które mu straszny ból w żołądku sprawiają. Liny zaś przegryźć nie może, gdyż jego zęby prędzej do szarpania, niż do cięcia są zdadne.

Inny znów sposób zwany „con el casonete“ jest tylko modyfikacją pierwszego, od którego różni się jedynie tem, że zamiast żelaznego haka, używa się kołka z mocnego drzewa na pół łokcia długiego i zaostzonego na obu końcach. Kołek ten owinięty starannie wnętrzościami bydłęcia, po połknięciu staje w żołądku na poprzek, a ostre jego końce przy gwałtownych ruchach krokodyla głęboko wpijają się w ścianki żołądka. W taki sposób Damazio złowić drugiego krokodyla, tego mianowicie, który dzisiaj znajduje się w Gabinetie Zoologicznym w Warszawie.

Uskutecznił zaś to niedaleko głównego ujścia rzeki, w odległości jakich 2 wiorst od naszej siedziby w Santa-Lucia. Przywiązawszy kolosa do korzeni dziwokłowych, przybył do nas w towarzystwie syna, gdyż we dwóch nie byłiby w stanie opanować tak potwornej bestji, a bał się holować go na jednej linie, aby ta nie pękła. Popłynęliśmy więc na dwu łodziach biorąc ze sobą cały zapas lin, postroneków, a nadto strzelby na przypadek, gdyby niesfornego więźnia należało na miejscu rozstrzelać.

Krokodyla zastaliśmy spokojnie leżącego, widocznem jednak było, że się szarpał strasznie, gdyż piasek pod nim był zryty, jak-

by zorany, Gdy Jelski, ja i syn Damazego chwyciliśmy za linkę, aby przytrzymać go, stary Damazio starał mu się lasso zarzucić na rozszerzoną część pyska; przy tej jednak operacji potężny zwierz rzucił się tak gwałtownie, żeśmy wszyscy trzej linkę puścić musieli, a Jelski, który widocznie najsilniej trzymał, sądził w pierwszej chwili, że ma skórę z rąk zdartą. Szczęściem, że koniec linki pozostał do drzewa uwiązany, gdyż inaczej nie byłibyśmy w stanie krokodyla utrzymać. W końcu jednak udało się zrzecznemu rybakowi okrzęcić jedną linę poza wielkimi klami, na przegubie, który charakteryzuje łeb krokodyla i różni go od aligatora; a drugą pod pachami zwierzęcia. Wówczas my dwaj z Jelskim popłynęliśmy naprzód naszą łódką, aby w Santa-Lucia jedzenie przygotować, a obaj rybacy podjęli się dostawić żywego krokodyla do samego domu naszego.

I w samej rzeczy przed wieczorem ujrzelśmy łódź zbliżającą się powoli. Był to widok zdumiewający, jeden z tych wybitnych przykładów genjusza ludzkiego, zdolnego poskromić najstraszniejsze twory przyrody. Z jednej strony starzec, stojący nad grobem, w wątlej łódeczce; z drugiej straszny potwór, będący w stanie jednym uderzeniem ogona rozbić marną łupinę i zmiążdżyć w swych szcękach starego zuchwalca.

Przyholowawszy do brzegu krokodyla, obaj rybacy przywiązali go do słupa, w odległości kilkudziesięciu kroków od naszej chaty. Ponieważ mrok już zapadał i nie można było myśleć o rozpoczęciu preparowania, pomimowoli zmuszeni byliśmy zostawić krokodyla przy życiu, nie bacząc na straszne męki, jakie mu przecież wędka w poszarpanych wnętrznościach sprawiać musiała. Do tego nieludzkiego kroku zmuszała nas obawa szybkiego rozkładu i niemożność spreparowania skóry przed nadejściem zgnilizny. Następnego dnia rano trzeba było przystąpić do przykłej egzekucji, przyczem mieliśmy sposobność przekonania się o niezwykłej żywotności krokodyla. Pragnąc poznać, jak działać nań będzie kula eksplodująca, strzeliłem na komorę, zwierz drgnął tylko, rozwarł szeroko paszczę, wydając chrapliwe tony i plując obficie spiekłą krwią; z otworu przez kulę zrobionego buchał obficie dym pochodzący z rozerwanej kuli, a przy wydychaniu powietrza dziurą tą wydobywał się świst wyraźny; jak się następnie przy preparowaniu pokazało płuca miał poszarpane i spalone, a kolumnę pacierzową silnie wstrząśniętą i nadwyrężoną. Pomimo to zwierz żyć nie przestawał i dopiero druga kula, skierowana w kręgi szyi przecięła nic jego żywota.

Ponieważ nie znalazłem w żadnym podręczniku właściwego sposobu preparowania skóry krokodyla, przeznaczonej na wypchanie, podam tu w krótkości ten, jakiegośmy użyli przy obu egzemplarzach, z których ostatni szczególniej wyszedł bardzo dobrze. Przydać to się może w przyszłości któremu z podróżników, gdyby miał okazję strzelania krokodylów lub aligatorów. Nadmienię też, że sposób podawany przez angielskiego uczonego Günthera nie odpowiada zupełnie celowi. Pozostawieni własnemu conceptowi,

zmuszeni byliśmy wynajdywać dopiero środek zabezpieczenia skóry od zepsucia, zachowując naskórek na głowie, gdzie skóra mocno do kości przyrasta. Jelskiemu należy się główna zasługa w odpreparowaniu krokodyla, do czego przyczyniła się bardzo jego długoletnia praktyka preparatorska oraz inteligentne traktowanie przedmiotu.

Przewróciwszy zwierza do góry brzuchem, robiliśmy jedno cięcie wzdłuż ciała od spodu łba, aż po sam koniec ogona; cztery inne cięcia prowadziliśmy po wewnętrznej stronie nóg, łącząc je z przekrojem środkowym; poczem zdzieraliśmy skórę, pozostawiając przy niej czaszkę i kości nóg a oczyściwszy ją starannie z wszelkich mięśni, soliliśmy mocno i wystawialiśmy na słońce zawieszoną na rusztowaniu z drągów, aby powietrze z wszystkich stron mogło dochodzić.

Najtrudniejszą jednak w preparowaniu jest głowa, gdyż skóra tak szczelnie przystaje do kości, że niema sposobu oddzielić jej i solą lub alunem od gnicia zabezpieczyć. Jelski postąpił sobie w ten sposób, że wszystkie kości niepotrzebne wyrębał dłutem, dostając się tym sposobem w wielu miejscach do skóry, a nadto od strony zewnętrznej nakłówaliśmy gęsto naskórek, aby umożliwić parowanie wilgoci, zawartej między skórą i kośćmi po licznych dołkach, w jakie obfituje nierówna, jakby chropowata głowa krokodyla. Po 5 dniach suszenia, skóra gotowa była do spakowania i jak się okazało w następstwie, doskonale nadawała się do wypchania. Sama preparacja zajęła nam dwóm 2 i pół dnia czasu, a spakowanie wymagało wielkiej staranności, aby zabezpieczyć tak cenny nabytek od zepsucia lub zniszczenia.

Jednocześnie też udało nam się zdobyć jaja krokodyla, przy czem sami sprawdzić mogliśmy sposób ich zakopywania. Okoliczność tę zawdzięczamy Espinozie, który mi kilkakrotnie wspominał o przypuszczalnym gnieździe krokodyla, a nawet pewnego razu podczas polowania na penelopy, pokazał mi to miejsce, twierdząc, że podczas odpływu samica wygrzewa się tam w sąsiedztwie i nigdy nie odpływa. Polegając na jego opinii wybraliśmy się pewnego ranka we trzech, to jest Jelski ja i Espinoza, który wziął ze sobą rydel, gdy my obaj zaopatrzyliśmy się w strzelby, kulami nabite, gdyż według zdania mieszkańców samica jajswych broni rozpaczliwie i nawet wabić ją można, trąc jednym jajem o drugie. W obec takich opowiadań wyprawa nasza przybierała znaczny odcień niebezpieczeństwa.

Rzeczony gniazdo znajdowało się na znanej nam już wyspie, zwanej „Condesa”. Była to powierzchnia piaszczysta, mogąca mierzyć około 10 kroków wzdłuż i 6—w szerz, skopana, jakby zryta starannie. Przylegała niemal do jednego z kanałów, okalających wyspę. Gdy ja z Jelskim ulokowaliśmy się od strony, z której należało się spodziewać niebezpieczeństwa, trzymając w pogotowiu strzelby z odwiedzionymi kurkami, Espinoza sondował piasek rydlem, starając się odszukać właściwego gniazda. Już był przeszukał całą powierzchnię zrytą i wąpić zaczęliśmy o istnieniu gniazda, gdy

nagle Espinoza, zmartwiony widocznie zawodem, jaki nam robił, wykrzyknął z radością:

— Tu są jaja!—i począł ostrożnie piasek odkopywać. Oczom naszym ukazał się dodek mogący mierzyć około 40 centymetrów głębokości i nieco skośnie wykopany: na dnie jego leżało 48 jaj białych wielkości indyckich, lecz formy bardzo podłużnej i walcowatej, o skorupie bardzo chropowatej. Piasek w dołku pomimo niskiego poziomu tej części wyspy był zupełnie suchy.

Samica pomimo rabunku jej skarbow nie pokazała się wcale, skąd przyszliśmy do przekonania, że zbyt wiele odwagi i miłości macierzyńskiej przypisywali krokodylom miejscowi mieszkańcy. Jaja zabraliśmy do domu, gdzie przystąpiliśmy do ich wydmuchania. Okazało się, że wszystkie były już mocno zalęgnięte, co jednak nie przeszkodziło nam oczyścić je starannie i do zbiorów naukowych wcielić.

Faktem jest jednak, że samica zarówno jaj jak i potomstwa swego pilnie strzeże, trzymając się od niego w niewielkiej odległości brak jej tylko pomimo całego przywiązania odwagi do skarcenia napastnika, jeżeli nim jest tak niebezpieczne stworzenie. jak człowiek. Pewnego razu płynąc rzeką w pobliżu Cucarachy, spostrzeżyliśmy całe stado młodych krokodyląt, wystawiających swe główki z wody pod zwieszającym się krzakiem dziwoklowym. Pragnąc dla skompletowania serji tej jaszczurki zdobyć i młode okazy, dałem ognia z dubeltówki, strzelając śrótem, zwanym „maczkim“ (*dust*). Strzał był tak skuteczny, żeśmy wzięli zabitych i ranionych 13 stworzeń, mogących mierzyć po 20 centymetrów długości. Nie widząc jednak wówczas, jak się zachowuje samica przy porwaniu jej potomstwa, przedsięwzięliśmy pewne środki bezpieczeństwa i gdy ja wylawiałem zabite i ranione potworki, Jelski z ręką na cynglu obserwował pilnie powierzchnię wody. Lecz i wtedy samica nie dała znać o sobie najmniejszą zamarszczką wody, pomimo, że w bliskości znajdować się musiała,

Na tych maleńkich okazach raz jeszcze sprawdzić mogliśmy niezwykłą żywotność krokodylów. Przybywszy do domu powrzucaliśmy krokodylątka do mocnego spirytusu, aby pozabijać tym sposobem żyjące jeszcze egzemplarze. Po czterech godzinach wziąłem się do patroszenia ich, a pragnąc jednego zachować w całości, rozciąłem go na spodzie wzdłuż całego ciała, aby spirytus mógł przeniknąć pomiędzy wnętrzości i zabezpieczyć je od rozkładu. Jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy spostrzegli, że serce jeszcze bije, gdy wogóle dość jest dla ryb, węży, jaszczurek i ssących półgodzinnego pobytu w spirytusie, aby wszelkie ślady życia zniknęły ostatecznie.

Według zdania niektórych podróżników, będącego w harmonii z opinią Peruwian z pogranicza ekwadorskiego, wielkie krokodyle pożerają mniejsze osobniki swego rodzaju. Na potwierdzenie tego mniemania składają się jeszcze dwie okoliczności, zauważone przez nas, a mianowicie, że podrostki jedno - metrowej długości spotyka się bardzo rzadko i zawsze pojedynczo, pomimo tak wielkiej pło-



dności, jaką się odznacza samica; a powtóre, że ta ostatnia stara się wyprowadzić swe potomstwo w miejsca ustronne, jak np. w zamulone kanały, dokąd większe krokodyły nie zwykły zachodzić. W każdym razie, gdyby nawet młode wolne były od pożarcia przez swych ojców, ginąć ich musi bardzo wiele w skutek innych przyczyn, gdyż krokodyl w delcie Tumbezu jest stosunkowo nieliczny.

Aby zakończyć tę notatkę o krokodylach, wspomnieć muszę słów parę o użyteczności, jaką zwierzę ten przynosi, choć prawdę powiedziawszy więcej szkody, aniżeli pożytku przyczynia to stworzenie wstrętne i strach budzące w ludziach i zwierzętach.

Jedyną prawdziwą korzyść, jaką z olbrzymiej tej jaszczurki otrzymujemy, jest skóra, o pięknym deseniu i znakomitej trwałości. W ostatnich czasach wywóz skór krokodylich do Europy przybrał większe rozmiary, zdaje się jednak, że dotychczas jedynie północna Ameryka podjęła ten nowy rodzaj przemysłu, a w południowych Stanach Zjednoczonych nawet zaprowadzoną została formalna hodowla aligatorów, przyczem mięso zabitych osobników służy za pokarm żyjącym. Są tam podobno majątki, które podobno do 5000 skór rocznie wysyłają. Dziwi mnie też bardzo, że w Ameryce Południowej, gdzie przecież obfitują krokodyły, nikt się jeszcze dotychczas na ten rodzaj przemysłu nie puścił. Nie mówię tu o Tumbezie, gdzie krokodyl jest stosunkowo rzadkim; lecz w Amazonce, w rzekach Guyańskich, w Orinoco, w Guayas i w innych, zwierzęta te tak się obficie spotyka, że tępienie ich mogłoby dać ważny dochód, zwłaszcza tym osobom, któreby się pierwsze do tego przedsięwzięcia wzięły.

W Peru, a mianowicie w Tumbezie, pojedyncze wypadki tępienia krokodyłów, mają jedynie na celu albo prostą przyjemność zadowolenia myśliwskich skłonności, albowież dobywanie tłuszczu, który u starych okazów w znacznej ilości wypełnia jamę brzuszną. Sadło to po wytopieniu daje rodzaj smalcu, posiadającego według zdania mieszkańców ważne medyczne własności. Zwrócę tu uwagę, że w Ameryce Południowej wszystkie tłuszcze zwierzęce cieszą się wielką sławą w medycynie miejscowej, do najbardziej jednak używanych należy tłuszcz pumy (lwa amerykańskiego), niedźwiedzia i krokodyła. Smalec krokodyli w ostatnich szczególniejszych czasach (od roku 1875) nabrał wielkiej ceny w oczach krajowców, którzy leczą nim podobno choroby piersiowe, przypisując mu skuteczniejsze działanie, aniżeli tranowi stokfiszca. Lekarstwo to tak jest poszukiwanem przez miejscowych, że płacą za litrową butelkę 12 reales (6 franków). Ponieważ Damazio z obu naszych okazów wydobył około 60 funtów sadła, z których spodziewał się wytopić 40 butelek smalcu, okazuje się więc z tego, że połów opłacił mu się sownie, gdyż oba egzemplarze mogły mu dać blisko 300 franków, licząc w to 50 fr. zapłaconych przez nas. Dziwić się tylko wypada, że przy tak łatwym zarobku (stary na złowienie obu egzemplarzy zużył nie więcej nad 5 do 6 dni czasu) krajowcy tak małą zwracają uwagę na tę gałąź przemysłu. Ubiegł ich w tym

razie pewien Irlandczyk, handlarz bydła, który pod koniec naszego pobytu w Tumbezie zajął się na serjo eksploatacją krokodylich skór i tłuszczu, a o ile słyszałem wynik osiągnął dobry, pomimo rzadkości i ostrożności krokodyłów w tej części kraju.

Krokodyl posiada na spodniej części ciała 3 pary gruczołów piżmowych, a odór jego tak jest silny, że z wielką łatwością węchem możemy odkryć obecność tych jaszczurów, lub nawet miejsca, gdzie przed chwilą leżały. Po odpreparowaniu naszego drugiego krokodyla w miesiąc jeszcze czuć było silny odór piżma na miejscu, gdzieśmy byli zajęci zdzieraniem skóry. Jeden z naszych ziomków, posiadający fabrykę wód gazowych i perfum w Limie, dowiedziawszy się od nas o tych szczegółach, wysłał jednego ze swych dependentów do Tumbezu w celu zbadania na miejscu o ile byłaby korzystną eksploatacja piżma krokodylowego. W każdym razie dla dobra ludzkości i spokoju śmiertelników, obdarzonych węchem, pragnęłoby należało, aby to przedsiębiorstwo nie przyszło do skutku.

Zdarzyło nam się widzieć raz wielkiego krokodyla, pływającego w morzu niedaleko ujścia rzeki. Zapytani przez nas mieszkańcy, co by mogło skłaniać te słodkowodne stworzenia do morskich wycieczek, odpowiedzieli nam, że bardzo stare osobniki idą tam ducha wyzionąć. Prędzejbym jednak przypuszczał, że w polowie za rybami gady te zapędzać się nieraz do morza muszą, gdyż ten, któregośmy widzieli, bynajmniej nie posiadał miny zdychającego.

Cztery miesiące, któreśmy spędzili w Santa Lucia, przeszły nam cicho wśród ciągłych zajęć kolektorskiego życia. Rodzina poczciwych Espinozów żyła z nami w jaknajwiększej przyjaźni, nie mącąc naszego spokoju ani wygórowanemi żądaniami, ani zamachami na naszą własność, jakie się nierazdo zdarzają w pośród miejscowej ludności. Wogóle z przyjemnością rzec mogę, że podczas mych sześcioletnich podróży zawsze miałem szczęście trafiać na poczciwych gospodarzy, co niewątpliwie w znacznym stopniu przyczyniło się do pomyślnego wyniku mojej wyprawy.

Wczesnym rankiem, gdy pierwsze promienie słońca rozprzały mrok nocy, budził mnie zazwyczaj żalony głos kulona, dochodzący z przeciwległej mielizny. Pomimo tak wczesnej godziny niestrudzony mój towarzysz już używał orzeźwiającej kąpieli, a szum maszynki spirytusowej zwiastował, że kawa wkrótce będzie gotową. Spożywszy nasze ranne śniadanie, płynęliśmy gdzieś na wyprawę, raz ze strzelbą na błotne ptaństwo, to znów uzbrojeni jedynie w woreczki płócienne, do których zbieraliśmy muszle, raki kraby i inne morszczyzny. Wróciwszy do domu zajmowaliśmy się preparowaniem ptaków, lub też oczyszczeniem muszel i pakowaniem raków lub ryb do spirytusu. Wieczorem po skromnym obiedzie, składającym się przeważnie z rosółu rybiego i gotowanej lub pieczonej ryby, zasiedliśmy na godzinę do naszych notat, a Espinozowie zwykle przychodzili do naszej chaty, zasiadając na ziemi w koło stołu i rzucając od czasu do czasu dyskretnie py-

tanie. Komary jednak które rojami po zachodzie słońca wylatywały z sąsiednich gąszczy dziwokłowych, nie pozwalały nam długo przesiadywać. Wziąwszy więc świecę pod namiot, kończyliśmy nasze zajęcia, wolni od natrętnych owadów, a około 10-ej wieczorem na spoczynek szliśmy.

Wycieczki nasze mogliśmy jedynie odbywać w łodzi, gdyż Santa Lucia leży na niewielkiej wyspie, ze wszech stron wodą otoczonej, a i cała okolica, jak to mógł czytelnik z opisu zauważyć, nie pozwala na lądowe wycieczki. W tym też celu wynajęliśmy miesięcznie łódkę od Espinozy, a ja w krótkim czasie nauczyłem się bardzo dobrze wiosłować, a nawet dorobiwszy sobie przy pomocy pewnego marynarza, Dalmaty, żagielek, chętnie korzystałem z wiatru, gdy jego kierunek na to pozwalał. Pewnego jednak razu Espinoza zapomniał przywiązać łódkę do brzegu i gdy odpływ nastąpił, uniósł ją do morza, gdzie fala na brzeg wyrzuciwszy wątłe czułenko rozbiła ją w kawałki. Pozbawieni tym sposobem wszelkich środków lokomocji, zmuszeni byliśmy pomyśleć o nowym czólnie i ja w tym celu pojechałem konno na starej klaczy Espinozy do miasteczka, gdzie po długich poszukiwaniach znalazłem u jednego z kupców bardzo ładną łódeczkę z drzewa cedrowego <sup>1)</sup> (*Cedrella*). Jak zwykle w takich razach bywa, ów kupiec portugalski rododem, po znajomości wziął odemnie dwa razy drożej, aniżeli ta łódka była warta. Odznaczała się ona wielką lekkością, tak, żeśmy we dwóch mogli ją przenosić, co nieraz ułatwiało nam przeprawy przez zamulone kanały. Przy tej lekkości nowy nasz stateczek mógł unieść sześciu ludzi, lub odpowiedni ładunek. Podróż na niej do Santa—Lucia odbyłem z niezwykłą szybkością, gdyż przebyłem przestrzeń dzielącą Tumbes od naszej siedziby w 2 i pół godziny, gdy zwykle przy wiosłach zużywaliśmy na to około 3 godzin czasu.

Zwykle w sobotę po południu odbywaliśmy obaj z towarzyszem moim wyprawę do miasteczka, aby na niedzielnym targu porobić zakupy wiktuałów i różnych potrzebnych rzeczy na cały tydzień. Łódź nasza podobną była w takich razach do arki Noego na małą skalę, gdyż oprócz skrzyń, przeznaczonych na pozostawienie w miasteczku, wieźliśmy ze sobą zwykle parę klatek z chowanymi zwierzętami. Jelski siadał z wiosłem na przodzie, ja z tyłu w roli sternika, manewrując żaglem, o ile wiatr na to pozwalał. Zwykle przejazd w górę rzeki trwał około 4 godzin, czasem więcej, gdy po drodze ptactwo błotne strzelaliśmy. Porobiwszy w miasteczku niezbędne zakupy i odwiedziwszy naszych dobrych znajomych, powracaliśmy w niedzielę na noc do Santa-Lucia, gdzie znów tydzień cały oddawaliśmy się naszym zajęciom.

Zwykle nasze myśliwskie wycieczki skuteczniałem w towarzystwie Jelskiego, a gdy ten miał robotę w domu, brałem ze sobą Catalina, który mi w takich razach za wiosłarza służył. Ponieważ

---

<sup>1)</sup> Ten sam rodzaj, którego używają na pudełka do cygar hawańskich Drzewo to niewłaściwie nazwano w Ameryce cedrem.

przy tego rodzaju wyprawach należało zabłócić się po uszy, zwłaszcza przy szukaniu muszli lub raków w mule dziwokłowym, upraszczaliśmy sobie pranie bielizny w ten sposób, żeśmy w strojach adamowych lub w jednej tylko koszuli jeździli na wycieczki. Wymazani błotem i niepodobni do ludzkich stworzeń napełnialiśmy nasze worki konchami lub krabami, poczem wykąpowszy się w rzece, wracaliśmy do domu.

Przez jeden miesiąc pobytu w Santa-Lucia towarzyszył nam stale, wspomniany powyżej marynarz, Dalmata, imieniem Jan, który w przerwie między dwiema wyprawami, używał wypoczynku w domu Espinozów. Trudno było spotkać poczciwszego człowieka od tego wielorybnika o skórze wygarbowanej przez ostre wiatry morskie, i o niebieskich, jasnych, zawsze uśmiechniętych oczach. Pomagał nam często w naszych zajęciach z największą bezinteresownością, a gdy nie miał nic do roboty, budował małe stateczki dla dzieci Espinozy. Poczciwiec — każdemu starał się przysłużyć o ile mu sił na to starczyło, uchylając się zawsze od wszelkiego pieniężnego wynagrodzenia.

W towarzystwie tego Dalmaty i na jego propozycję odbyłem raz pewnego wycieczkę do dawnego ujścia rzeki, zwanego po dziś dzień „Boca Grande” (wielkie ujście). Zrazu miał z nami jechać i Jelski, okazało się jednak, że ma w domu wiele zaległej roboty, więc tylko we dwóch z Janem przedsięwzięliśmy tę wycieczkę. Do łodzi wzięliśmy nieco żywności, jak mięsa, ryby solonej, herbaty i chleba, a nadto strzelbę, woreczki płócienne i słój ze spirytusem, przeznaczony na morskie żyjątko. Rano o godzinie 9-ej wypłynęliśmy z Santa-Lucia, ja—w roli sternika, a Dalmata z wiosłem na przodzie łodzi. Przebywszy poza Cucarachą główne koryto rzeki, skierowaliśmy się jednym z bocznych kanałów, zkad należało się przedostać przez bardzo wąską strugę, przerzynającą w poprzek gąszcz dziwokłowy. Na szczęście kanalik ten dzięki przypływowi był dostępnym dla naszej łódki w czasie bowiem odpływu wysycha prawie zupełnie. Przebywszy go nie bez trudu, wydostaliśmy się na długą i szeroką łachę, oddzieloną od morza wąską piaszczystą wydumą, na której bieleła mnóstwo martwych muszli. Po drugiej stronie łachy wznosił się ciemną ścianą gąszcz dziwokłowy, odbijający się jak w zwierciadle w spokojnej wodzie zatoki.

Przebywszy ją wzdłuż, zamiarem naszym było dostać się przez niewielki kanał do Boca Grande, okazało się jednak, że przesmyk ten zaniosło zupełnie piaskiem. Jan zaproponował przeciągnąć łódkę na drążkach, widząc jednak, że to nam zbyt wiele czasu zajmie, postanowiłem zostać na miejscu, zwłaszcza, że okolica miała pozór bardzo obiecujący. Wyciągnęliśmy więc łódkę na brzeg i rzeczy wyładowawszy, wzięliśmy się zaraz do szukania morszczyzn. Połów mieliśmy obfity szczególnież muszlach, których wiele gatunków przedtem nieposiadanych zdobyłem.

Pod wieczór rozłożyliśmy wielkie ognisko z martwego drzewa, w obfitości zalegającego piaszczystą wydumą, a upiekłszy mięso i przy-

gotowawszy herbatę, spożyliśmy naszą skromną strawę. Z na-  
dejściem zmroku zajaśniało wzdłuż pobrzeża kilka ognisk, rozłożo-  
nych prawdopodobnie przez rybaków. Ulokowawszy się przy  
ognisku, od strony dymu, aby nam komary nie dokuczały, rozło-  
żyliśmy się, ja owinięty w mą burkę, słuchając zajmujących opowia-  
dań Dalmaty, któremu jego wyprawy wielorybnicze obfitego mater-  
jału dostarczały do ciekawych historii. Były to chwile szczęśliwe,  
spędzone na łonie Matki Przyrody; za dach służyło nam lśniąca  
gwiazdami niebo, a za pościel szczery biały piasek. I lepiej nam  
tam było pewnie, aniżeli niejednemu bogaczowi w zbytkownym  
pałacu.

Nazajutrz rano, pokrzepiwszy się nieco herbatą i pieczoną na  
węglach rybą, zajęliśmy się jeszcze szukaniem muszli, a docze-  
kawszy się przypływu, ruszyliśmy ku domowi, gdzie też szczę-  
śliwie koło południa stanęliśmy z bogatym łupem konchologicznym.

Dalmata swą usłużnością i pocziwością, która mu z twarzy  
patrzała, tak nas był ujął, żeśmy po krótkiej między sobą naradzie  
zdecydowali się zgodzić go w charakterze kucharza, służącego,  
marszałka—słowem faktotuma. I niewątpliwie człowiek ten oddałby  
nam wielkie usługi w naszych podróżach wewnątrz kraju, lecz nie-  
szczęście mieć chciało, że tego samego dnia, w którym mu propo-  
zycję zrobiliśmy, przyjął zadatek od jednego z właścicieli wie-  
lorybniczych stateczków, aby się dnia następnego puścić na nie-  
bezpieczną wyprawę. Musieliśmy uleść tej przykrej dla nas ko-  
nieczności. Wyprawa ta, odbyta na statku kapitana Davis'a, nie  
udała się, jak wiele innych podobnych: statek się popsuł, musiano  
go na mieliznę wyciągnąć, a tymczasem załoga, zniechęcona tą oko-  
licznością, rozeszła się na wszystkie strony i między innymi nasz  
Jan Dalmata przeniósł się do sąsiedniego portu Payty, gdzie przyjął  
miejsce w składzie węgla kamiennego.

Wogóle przemysł wielorybiczny należy do najniebezpieczniej-  
szych, a zarazem najryzykowniejszych przedsięwzięć i do pewne-  
go stopnia może być porównanym do ryzykownego, lecz w najwy-  
szym stopniu niepewnego przewożenia kulisów chińskich. Już sam  
charakter załogi statków wielorybicznych, rekrutowanej przeważ-  
nie z szumowin wszystkich narodowości, ze zbiegłych marynarzy  
rządowych, ze złoczyńców kryjących się przed wymiarem sprawie-  
dliwości i t. p. żywiołów, nie przedstawia żadnej gwarancji bezpie-  
czeństwa; nierzadko też słyszeć można o morderstwach popełnio-  
nych na osobach kapitanów, o buntach i aktach piraterji. Samo też  
polowanie na wieloryba lub rekina połączone jest z wielkiem nie-  
bezpieczeństwem dla załogi szalup wielorybicznych, a finansowe  
wyniki wypraw, jeżeli często bywają bardzo świetne, to i nierzadko  
równają się kompletnej ruinie właściciela statku.

Wyjątkowo też chyba porządny marynarz zgodzi się na okręt  
wielorybiczny, a nasz Jan pocziwy robił wrażenie perły wśród  
tej klasy ludzi wyzutych z wszelkich zasad uczciwości, wśród tej hor-  
dy wyrzutków społeczeństwa. Pominąwszy zaś samo otoczenie lu-  
dzi niegodnych, rodzaj zajęć i pełne niebezpieczeństw wyprawy

nie mogą zachęcać ludzi spokojnych i czystość lubiących. Statki wielorybnicze, przesiąknięte zjełczalym tłuszczem, szerzą wkoło siebie odór tak nieprzyjemny i niezdrowy, że w portach południowych dozwolono im jest zarzucać kotwicę w znacznej tylko od brzegu odległości. Gdy trzeba wytapiać tłuszcz wieloryba, cała zatoka kąpać się literalnie musi w tym wstrętnym smalcu, aż póki wszystkie tłuszcze wysmażony — i do beczek zlany — nie zostanie. Łatwo więc zrozumieć można, że tylko wysoką zapłatą i nadzieją zysków zwerbować można niezbędną załogę.

Na wybrzeżach peruwjańskich i ekwadorskich łowi się głównie kaszalota (*Physeter macrocephalus*), oraz pewien rodzaj wieloryba, zwanego przez peruwjan „tiburon sin hueso“, co znaczy „rekin bez kości“ (prawdopodobnie gatunek należący do rodzaju *Balaenoptera*). Połowem ich zajmują się statki różnych narodowości, przeważnie jednak północno - amerykańskie. Widziałem pewnego kapitana yankes'a, odbywającego tę niebezpieczną i nieraz kilka lat trwającą wyprawę w towarzystwie młodej, przystojnej żony, która drogo mogła zapłacić swój zapał do tego rodzaju sportu w otoczeniu tak podejrzaniem, jak załoga statku wielorybniczego.

Peru posiada także pewną liczbę większych okrętów wielorybniczych, między którymi jeden należący do najbogatszego kupca tumbeskiego, pana Taboady. Głównie jednak Peruwjanie, zwłaszcza z Tumbezu i Payty, wysyłają na połów małe, 40-tonowe stateczki, zwane po hiszpańsku „pailebotes“. Są to dwumasztowe barki, posiadające załogę złożoną z kilkunastu ludzi i przeznaczone wyłącznie do połowu rekinów, których wątroba daje tran bardzo ceniony do smarowania maszyn, oraz na inne użytki. Przód statku zajmuje kajuta, mogąca pomieścić ośmiu majtków; z tyłu zaś znajduje się mieszkanie kapitana oraz trzech innych oficerów, zwanych pilotami. Na pokładzie, pomiędzy dwoma masztami, znajduje się wielki kociół służący do wytapiania tranu. Wreszcie pod pomostem mieszczą się beczki, do których zlewa się tłuszcz wytopiony z rekinów.

Do obsługi takiego stateczku służą dwie typowe wielorybnicze szalupy, różniące się tem od zwykłych okrętowych łodzi, że mają tył zarówno jak i przód ostro zakończony, co im umożliwia pływanie w obie strony, niezbędne przy manewrowaniu w czasie harpunowania. Szalupa taka posiada załogę złożoną z 6 ludzi, to jest sternika (*piloto*), majtką rzucającego harpun i 4 majtków wiosłujących. Na przodzie łodzi znajduje się lina długa na kilkadziesiąt sążni, nawinięta na koło; do swobodnego jej końca przywiązany jest harpun.

Każdy z was, czytelnicy, słyszał nieraz o tem narzędziu, a jednak niewiele osób zna prostą budowę jego. Harpun jest to rodzaj drzewca długiego na 2 metry i okutego na jednym końcu. Ostrze jest ruchome, osadzone na żelaznym sztyfcie, co mu pozwala przybierać pozycję prostopadłą do osi drzewca. Przed rzuceniem ostrze to nastawia się w przedłużeniu tejże osi i w tem położeniu utrzymuje się go przy pomocy małego pierścionka. Gdy jednak

ostrze przenika w ciało ofiary, dość jest małego szarpnięcia, aby pierścionek ten zsunął się, a wtedy ostrze przybiera położenie prostopadłe do osi drzewca, uniemożliwiając wyrwanie harpuna z mięsa wieloryba lub rekina.

Statek puszcza się na wyprawę zaopatrzony stosownie do jego wielkości, gdyż mniejsze statki, jak „paile-bote“ nie odbywają długich wypraw, wystarcza im więc żywność, obliczona na parę miesięcy czasu; przeciwnie większe okręty, zajmujące się połowem kaszalotów, posiadają zapasy na rok i więcej czasu. Pływając po miejscach uczęszczanych przez wieloryby, załoga stara się wypatrzyć pojedyncze osobniki lub stado. Gdy z czatowni dadzą sygnał, spuszcza się szalupę, w której zajmuje swe miejsca czterech wiosłarzy po środku, harpuniarz — na przodzie, a piloto, czyli sternik — w tyle szalupy. Głównem zadaniem tej garstki odważnych ludzi jest zbliżyć się do swej ofiary, nie będąc przez nią zauważonymi, do czego bardzo pomocnym jest żagiel, przy sprzyjającym wietrze; gdy jednak wiatr przeciwny stoi temu na przeszkodzie, wielorybnicy starają się zbliżyć na wiosłach, robiąc jaknajmniej hałasu. Gdy szalupa zbliży się do wieloryba na właściwą odległość, harpuniarz, człowiek silny i zręczny, rzuca harpun. Raniony zwierz, poczuwszy w sobie ostre narzędzia z niewypowiedzianą szybkością zaczyna uciekać, wlokąc za sobą linę, która odwija się z taką szybkością i siłą, trąc o brzegi szalupy, że dym z rozgrzanego drzewa idzie. Gdy się cała długość liny skończy, szalupa przywiązana do niej, porwana zostaje szalonym pędem, holowana przez spłoszone i zbolełe zwierzę. Są to bardzo krytyczne chwile dla załogi, gdyż nieraz wskutek gwałtownych ruchów ofiary może się ona wyrwać. Bywały też często wypadki, że ciągniona przez wieloryba szalupa, oddaliła się od statku na taką odległość, na jakiej ani statek jej, ani ona statku odnaleźć nie mogła i nieszczęsna załoga ginęła z głodu, jeżeli jej jaki przypadkowy traf nie zesłał pomocy. Znałem marynarza, który wraz ze swymi pięciu towarzyszami spędził 6 dni na grzbiecie wieloryba, karmiąc się z głodu jego wstrętnem mięsem, aż póki nie przyszedł im w pomoc jakiś statek kupiecki, płynący wypadkiem w bliskości.

W zwykłych jednak okolicznościach wieloryb, przepłynąwszy mniej lub więcej znaczną przestrzeń, powoli zaczyna ustawać, z czego stara się skorzystać załoga szalupy, podciągając ją na linie do zmęczonego kolosa. Wówczas harpuniarz przechodzi do steru, a miejsce jego zajmuje piloto z laną (la lanza) w rękę. Lanza jest to prosty oszczep służący do zabicia wieloryba. Wprawny marynarz rzuca laną, starając się ugodzić swą ofiarę w krzyż niedaleko poza głowę. Rzadko jednak kiedy uda się to za pierwszym rzutem, częściej zaś potrzeba rzucić dwa, trzy i więcej oszczepów, zanim który z nich zada cios śmiertelny. I wtedy załoga wystawiona bywa na wielkie niebezpieczeństwo, gdyż olbrzym w gwałtownej agonji z łatwością może rozbić wątły stateczek. Pewnego kapitana, który przy nas wypłynął z Santa-Lucia zaharpunowany rekin pociągnął na dno morza zaplątanego w linę i tylko dzięki nie-

zwykłej przytomności umysłu zawdzięczyć onimógl swe wyratowanie.

Skoro tylko zwierz zostanie zabity, statek, trzymający się zawsze jaknajbliżej, o ile na to pozwala mu korzystny wiatr i nie przechodząca pewnych granic szybkość, podpływa do trupa, a wówczas rozpoczyna się czynność wytapiania tranu, który kubłami z olbrzymiego zwierza na pokład statku windują. Jest to operacja w najwyższym stopniu przykra, gdyż biedni marynarze po całych dniach nurzają się we wstrętnym i cuchnącym tłuszczu, z którego nawet trudno im się obmyć przy braku większej ilości słodkiej wody. Do pracy tej jednak zachęca ich nadzieja dość znacznego zysku, gdyż oprócz zwykłej zapłaty, kapitan, pilotowie i majtkowie pobierają pewien procent od całej sumy, osiągniętej ze sprzedaży. O ile mnie pamięć nie zawodzi, na paile-botach tumbeskich kapitan otrzymuje 2 i pół beczki tranu na 100 zdobytych, a każdy z marynarzy—po jednej beczce,—co w każdym razie daje im niezły zarobek.

Wogóle rzecz można, że wyniki wypraw wielorybicznych są w najwyższym stopniu niejednostajne i gdy raz dają właścicielowi statku doskonały dochód, w innych wypadkach mogą sprowadzić jego ruinę, jeżeli niepowodzenie trwać będzie przez kilka wypraw z rzędu. Za przykład mogą nam służyć dwie wyprawy tumbeskich paile-botów, dokonane za naszej bytności w Santa-Lucia. Jeden z nich, należący do tumbeskiego kupca, nazwiskiem Yanela, powrócił po 20 dniach nieobecności, przywożąc 72 beczek tranu, wytopionego z wątrób 20 rekinów <sup>1)</sup>; był to rezultat świetny, zapewniający właścicielowi statku doskonały procent. Przeciwnie, paile-bote innego właściciela, nazwiskiem Avalo, powrócił po półtora-miesięcznej nieobecności przywożąc zaledwie 4 beczki tranu i straciwszy doskonałą szalupę, którą rekin rozbił. Załoga po 6-godzinnem pływaniu, została wyratowana przez własny statek.

Te kilka szczegółów, jakie starałem się podać czytelnikowi o przemyśle wielorybicznym na wybrzeżach zachodnich Ameryki Południowej, utrwali nas jeszcze w przekonaniu, że na przedsiębiorstwo tak awanturnicze tylko awanturnicy puszczać się mogą i że każdy przyzwoitszy majtek woli spokojnie służyć na kupieckim statku lub parowcu choćby przy mniejszej zapłacie. Byliśmy świadkami odpłynięcia kilku statków wielorybicznych z portu Tumbezu, a widok tych ludzi śmiałych, lecz zdemoralizowanych, oraz sceny, jakie się przy nas rozegrały, dostatecznie usprawiedliwiły złą opinię, jakiej używają załogi okrętów oddających się temu przemysłowi.

Między wielu innemi przypominam sobie przygotowania do wyprawy wielorybicznego paile-bote, należącego do kupca Avali. Załoga złożona jak zwykle z kapitana, dwu pilotów i 8 marynarzy przez dni kilka zajęta była w Santa-Lucia suszeniem mięsa, zwożeniem słodkiej wody i innemi przygotowaniami. Kapitan prawdę

---

<sup>1)</sup> Niektóre wyjątkowe okazy dają do 20 beczek tranu.



powiedziawszy, nie różnił się niczem od samych podwładnych: nosił perkalikową koszulę, płócienne pantalon, jak i tamci, a przysiętem nie używał butów, czyli chodził boso, pomimo stanowiska, które mu dawało prawo życia i śmierci nad załogą. Przy tak demokratycznym zapatrywaniu się na ubiór, kapitan widocznie był zwolennikiem równości i pod innymi względami, gdyż w dzień wyjazdu oddawał się sutym libacjom wraz ze swymi podwładnymi. Gdy przybył Avalo, właściciel statku, kapitan pod wpływem alkoholu, obraził się na niego bez najmniejszej przyczyny, zabrał swój kufer i odjechał do miasteczka. Za nim poszło zaraz kilku marynarzy, a jeden z nich, znajdujący się już na statku i nie mając innego środka dostania się na ląd, rzucił się w pław do wody, unosząc w zębach worek, w którym swoją garderobę przechowywał. W obec takiego rokoszu Avalo znalazł się w niemałym kłopotcie, gdyż opóźnienie wyjazdu narażało go na niemałe straty. Dnia jednak następnego, gdy kapitan wraz z załogą wytrzeźwiał, nastąpiła zgoda i statek podniósł kotwicę. Podobne sceny trafiają się bardzo często.

Wielorybnicy, klasa ludzi śmiałych, lecz zepsutych i niechętnie poddających się rygorowi dyscypliny, często podnoszą rokosz na otwartem morzu, gdzie bezkarnie prawie dopuszczają się różnorodnych występków zdala od wymiaru sprawiedliwości. Sąsiedni archipelag Galapagos, leżący o 50 mil angielskich na zachód od półwyspu Ekwadoru, słynie z licznych morderstw, jakich się dopuściły załogi okrętów wielorybniczych na osobach kapitanów lub majtków. Podczas naszego pobytu w Santa-Lucia, trafił się też podobny wypadek na pailebocie Yaneli. Gdy stateczek ten powrócił do portu, brakło na nim kucharza, który według słów załogi zginął śmiercią tragiczną, uderzony przez rekina w chwili harpunowania. Tego rodzaju wypadki trafiają się tak często, że nikomu na myśl nie przyszło dochodzić prawdy, która jednak prędzej czy później wyjść na jaw musi, gdy ją ukrywa większa liczba ludzi. I w tym wypadku nie przeszło miesiąca czasu, gdy poczęły chodzić głuche wieści, że ów kucharz nie przez rekina, lecz przez własnych towarzyszy zabity został, w skutek czego rozwinęto śledztwo, prowadzone jak zwykle w Peru niedbale i tendencyjnie. Jakkolwiek nie wiem końca tej sprawy, gdyż wkrótce potem opuściliśmy Tumbes, mogę przypuszczać, że zbrodnia ta, jak wiele innych, nie była karana, a jej autorowie spokojnie przechadzają się po ulicach miasta, gdyż sprawiedliwość peruwjańska boi się zemsty zbrodniarzy i dlatego woli ich pozostawiać w spokoju, licząc zapewne na to, że jeżeli nie tu, to na tamym świecie zbrodnia znajdzie zasłużoną karę.

W lutym 1877-ym roku zaczęliśmy przygotowywać się do wyjazdu z Santa-Lucia, robiąc od czasu do czasu wycieczki do miasteczka, aby część naszych zbiorów przewieźć. Rezultat wyprawy był świetny, gdyż zdobyliśmy prawie wszystko to, co było warte zdobycia. Z drugiej znów strony należało nam śpieszyć do Limy, aby zawczasu przygotowania do nowej wyprawy uskutecznić i z początkiem pory suchej puścić się wewnątrz kraju, do

zapadłej prowincji Jaen, którąśmy sobie obrali za miejsce naszych przyszych eksploracji. Szybko też porobiliśmy przygotowania do podróży, dni całe spędzając na lutowaniu blaszanek, z różnemi stworzeniami w spirytusie, jak ryby, raki, niektóre konchy, jaszczurki i inne. Około połowy lutego byliśmy już gotowi do opuszczenia naszej chaty, która nam przez ciąg czterech miesięcy za przytułek służyła, gdy stary ten budynek, jakby ze smutku po nas, zagroził upadkiem. Dnia poprzedzającego nasz wyjazd, zdziwieni byliśmy widząc, że wszystkie dotąd proste kąty w drzwiach i belkowaniu, zamieniły się na ostre i rozwarte. Z pośpiechem musieliśmy powynosić nasze rzeczy do chaty Espinozy, u którego też i przenocowaliśmy. Czas był wielki, gdyż tej właśnie nocy chata nasza runęła.

Nie będąc w stanie pomieścić wszystkich skrzyń naszych na naszej łódce, zostawiliśmy cały bagaż u Espinozy, a sami puściliśmy się piechotą do Tumbezu, zabierając jedynie ze sobą klatki ze zwierzętami i gdy ja niosłem na plecach chowanego ocelota, towarzysz mój dźwigał penelopę. Wyszliśmy już pod wieczór, aby uniknąć skwaru słonecznego, a przebywszy w bród jeden z nowo utworzonych kanałów dziwokłowych, puściliśmy się po obszernej równinie do miasteczka. Po drodze orzeźwialiśmy się od czasu do czasu soczystymi owocami kaktusów, z których jeden podobny do tuny (*Opuntia*) posiada mnóstwo drobnych i delikatnych na pozór kolców. Aby uniknąć nieprzyjemnego pokłucia się niemi, należy przednio owoc chustką lub szmatą wytrzeć. Jeszcze nam paru wiorst do miasteczka brakowało, gdy lunął deszcz rześisty. Wogóle deszcze dość pospolite w tej porze, były wyjątkowo częste i ulewne w 1877 roku, a wezbrana rzeka rozlała swe mętne, żółtawe wody po wszystkich kanałach dziwokłowych.

Już o późnym zmierzchu zmoknięci dobrnęliśmy do Tumbezu, witani radośnie przez naszą poczciwą gospodynię, donę Mercedes, jej matkę i brata, który zgodził się natychmiast za umiarkowaną cenę sprowadzić nasz bagaż z Santa-Lucia. Jakoż dnia następnego popłynął tam wraz z moim towarzyszem wielką łodzią i cały nasz ładunek szczęśliwie do miasteczka dostawił.

Roboty w miasteczku mieliśmy jeszcze bardzo wiele, gdyż należało zbijać skrzynie drewniane, lutować blaszanki, owijać, pakować. Same skrzynie na krokodyla — jedna blaszana a druga drewniana z listwami — zajęły mi dwa dni czasu, a wolałem je robić sam, niż dawać rzemieślnikom, gdyż podróżnik koniecznie musi znać się trochę na stolarstwie i blacharstwie, aby sobie mózż dać radę w takich bezludnych miejscach, gdzie o pomocy fachowych rzemieślników ani myśleć nie można. Jednocześnie zbiór nasz powiększał się szybko mnóstwem jaj miejscowego ptactwa, które częścią sami zbieraliśmy, a częścią dostarczone nam zostały przez chłopców. Codzień odbywały się do naszego mieszkania wędrówki malców, i gdyśmy wracali ze śniadania, zastawialiśmy ich pełno, wyczekujących na galerji naszego domu. Następowala wówczas kolejna indagacja do jakiego ptaka te lub owe jaja należą, poczem

zapłata i wypraszenie tych chłopaków, z którymi już interes został uregulowany. Roboty z wydmuchiowaniem jaj mieliśmy wiele i często piersi nas bolały od tej pracy. A jeszcze pozostawało katalogowanie jaj, ich pakowanie w watę i w pudełka, co wszystko przewlekło nasz wyjazd aż do marca.

Gdyśmy wreszcie przygotowania nasze ukończyli, znaleźliśmy się w obec 34 skrzyń, zawierających w części kolekcje, a w części nasze przybory, narzędzia, odzież i t. p. Trzeba było pomyśleć o bezpiecznym przesłaniu tego wszystkiego na parowiec, a tu jak na złość częste deszcze spowodowały wezbranie rzeki, której wody przy ujściu do morza tworzyły niebezpieczny dla statków wał, wywracający mniejsze łodzie, lub rzucający na mieliznę większe statki, jak np. czaty.

Przybór wody był tak znaczny, że w dniu 7 marca rzeka wystąpiła z brzegów, zalewając niektóre ulice miasteczka. Wypadek to rzadki, trafiający się w odstępach mniej więcej 10-letnich. Ostatni wylew zdarzył się w 1864 roku i był jeszcze większym od obecnego, gdyż woda zalała nawet plac cały i jedynie na łodziach można było komunikować się w miasteczku. Zaraz po owym wielkim wylewie pojawiła się żółta febra, zabierając na całym pomorzu peruwjańskim liczne ofiary. W samym Tumbezie zmarło wówczas 600 osób, co stanowiło podówczas  $\frac{1}{4}$  część całej ludności. Opowiadał mi pewien skrzypek, że w jego rodzinie straszna zaraza porwała aż 10 osób. Słusznie też obawiano się i w 1877 roku pojawienia się żółtej febrы tembardziej, że niepokojące wieści o niezwykłym rozwoju epidemji dochodziło z Brazylii, Panamy i sąsiedniego Guayaquilu. Na szczęście obawy te okazały się bez zasadnemi.

Wylew rzeki sprowadził w Tumbezie niezwykle ożywienie i zajęcie. Różne zabawne sceny, spowodowane przenoszeniem na barkach przechodniów, ściągnęły na balkony miejscowe piękności, które uważając to widowisko za pewien rodzaj festynu, postroiły się odświętnie, kokietując przechodniów. Na pobrzeżu partja nagich mulatów rewidowała masy płynącego z góry drzewa, bananów, krzaków, a gdy spostrzegła na którym z nich owoce, przyciągała do brzegów. Na jednym z drzew spostrzeżono nawet wielkiego węża, zapewne boa, pospolitego dosyć w tych stronach; temu jednak dozwolono swobodnie przepłynąć do morza. My sami, aby się do naszej jadłodajni dostać, zmuszeni byliśmy część drogi odbywać na plecach najętych ludzi.

Na krótki czas przed naszym wyjazdem w ujściu rzeki przytrafiły się dwa wypadki, spowodowane falą, jaka przy zetknięciu się dwu potężnych mas wody podniesioną bywa. Czata, wioząca ładunek nafty na przybyły z Panamy parowiec, rzuconą została na mieliznę i cały ładunek zatonał. Tegoż samego dnia wyróciła się łódź, wioząca pasażerów na statek, a chociaż ludzie uratowali swe życie, bagaż ich, dość cenny tym razem, poszedł na dno. Wypadki te niekoniecznie zachęcały nas do wyjazdu w tak krytycznej chwili, gdyż nie chcieliśmy ryzykować rezultatów pół-

rocznej naszej pracy, przeprowadzonej z niemalym trudem i kosztem. Zapewniano nas jednak, że około 6 marca morze się uspokoi, a w skutek tego oznaczyliśmy nasz wyjazd na 9 tegoż miesiąca, w którym to dniu spodziewany był parowiec, krążący między Panamą i Callao.

W wilgę wyjazdu pożegnaliśmy kolejno wszystkich naszych znajomych tumbeskich. Pocziwa donna Mercedes była niepokieszona; i myśmy żalowali tej dobrej kobiety i jej domu, w którym spokojnie spędziliśmy blisko rok czasu. Pokażny nasz ładunek przenieść kazaliśmy na czatę i raz jeszcze żegnając dobrych ludzi, podaliśmy na pokład statku. Morze w samej rzeczy było spokojne i fatalny wiał przy ujściu rzeki przebyliśmy szczęśliwie.<sup>1</sup>

Oprócz ładunku i bagaży wieźliśmy ze sobą do Limy całą menażerję, a mianowicie: ocelota, kolczaka, penelope, kilka papużek<sup>4</sup> kilka dziwokłowych kacyków (*Quiscalus assimilis*), parkę sówek (*Scops*) i ciekawe stworzonko, podobne nieco do małpy lub lemura (*Cercolaptes caudivolvulus*), którego na statku od jednego z pasażerów nabyłem. Bilety przez oszczędność wzięliśmy do 3 klasy, a rozłożywszy się na pokładzie, zajęliśmy się karmieniem naszego zwierzyńca. Wkrótce też pasażerowie statku otoczyli nas kołem, podziwiając naszą menażerję, osobiście kolczaka i ocelota.

Ocelot (*Felis pardalis*) jest to rodzaj dzikiego kota, niby mały jaguar, do którego zbliża się swą centkowaną koszulką. Dobrze wyrosnięty dochodzi wielkości psa legawego. Zamieszkuje lesiste części Ameryki Zwrotnikowej i tępiony bywa przez krajowców dla znacznych szkód, jakie w drobiu i mniejszych zwierzętach domowych wyrządza. Ze wszystkich dzikich kotów ocelot może najłatwiej oswoja się i przywiązuje do człowieka, o czym się mogłem dwukrotnie przekonać.

Okaz będący w mojem posiadaniu przywiozła pewną jejmość z ekwadorskiego miasteczka Santa-Rosa i sprzedała mi go za kilka solesów. Był to mały kociak o wejrzniu dzikiem i uszach krótkich, szeroko rozstawionych, co go na pierwszy rzut oka różniło od kota domowego. Centkowanie uwydatniało się jeszcze dość słabo na ciemnym tle sierci; charakterystycznym też było dla niego dość znaczne zgarbienie krzyża, które kot domowy przybiera jedynie, przeciągając się, lub w gniewie. Zresztą przy powierzchownym rzucie oka robił wrażenie małego burego kociaka.

Karmiłem go mlekiem, które dość chętnie pijał, często jednak trzeba mu było dawać mięsa i wtedy dopiero uwydatniała się jego dzika natura. Gdy mu chciałem odebrać podany kawałek mięsa, jeżył się, oczy mu się iskrzyły, a głuche warczenie, różne od kociego, zdradzało w nim swobodnego mieszkańca puszczy. Pomimo łagodnej swej natury i wielkiego oswojenia, do jakiego doprowadziłem go po miesięcznem chowaniu, niepohamowana dzikość brała w nim górę na widok mięsa; rzucał się na nie i drapał mi rękę, gdy mu chciałem łakomy kąsek odebrać. Tę samą odwagę i niezależność charakteru objawiał na widok psa: poza, jaką wtedy przybierał i gwałtowność ataku, wybitnie różniły go wtedy od

zwykłego kota, w którym tchórzostwo dominuje nad właściwą kotom antypatją do psiego rodu.

W wyborze jednak pokarmu o tyle był wybredny, że mięso musiało być świeże, najwyżej dwudniowe, co mi nie mało kłopotu przysparzało, gdyż przy częstym braku mięsa, na rynku tumbeskim, musiałem umyślnie ptaszki dla niego strzelać, jeżeli to był dzień, w którym na wycieczkę ornitologiczną nie szedłem. Aby oszczędzić sobie chodzenia, drobniejsze ptaszki dawałem mu całkowicie, oskubawszy tylko i posiekawszy nożem z kośćmi i wnętrznościami.

Przywiązał się do mnie głównie dla tego, że na noc brał do łóżka pod namiot, gdzie mi często spać nie dawał zbytkując i biegając po pościeli. W ciemne noce zachowywał się dość spokojnie, gdy jednak księżyc świecił, harcom jego nie było końca i musiałem go nieraz karcić: wówczas przywarowywał w rogu namiotu (moskitera) i zasypiał spokojnie.

Jak się był do mnie przywiązał, świadczy wymownie jego śmierć głodowa po przyjeździe do Limy. Nie chcąc zabierać go ze sobą do wnętrza kraju, gdzie podróż przedstawia liczne trudności, podarowałem go jednemu z naszych ziomków, który go umieścił w obszernej klatce. Ocelot od chwili rozstania się ze mną nie chciał przyjmować pokarmów, pomimo, że nowy właściciel kupował mu na rynku najlepsze mięso i w tydzień potem zdechł z głodu, wycieńczony i wychudzony strasznie. Ten dowód przywiązania ocelota nie był dla mnie jedynym, gdyż w lat kilka potem chowałem inny okaz tego samego gatunku, o czym we właściwym miejscu wspomnieć nie omieszkam.

W takim to otoczeniu zwierząt i ptaków chowanych odbywaliśmy naszą podróż do Limy na znanym nam już parowcu „Santiago“. Na drugi dzień po wyjeździe z Tumbezu stanęliśmy o godzinie 5-ej rano w porcie Payta, gdzie według zapewnień znajomych nam osób, znajdował się nasz pocziwy Jan Dalmata. Pragnąc zobaczyć go raz jeszcze, pojechałem na ponton łodzią gdy jednocześnie Jelski odbył wyprawę na ląd po mięso dla zwierząt, gdyż kucharz okrętowy z niezadką u Anglików szorstkością odmówił nam kawałka surowego mięsa. Jan, zobaczywszy mnie, wzruszony był tą oznaką uznania z mej strony; pożegnałem go, aby już go więcej w życiu nie ujrzeć i wróciłem na okręt. Nigdy chyba najslabsze oznaki przywiązania nie budzą w nas takiej sympatji, jak w podróży: otoczeni ludźmi obcymi, często zawistnymi lub źle usposobionymi, spragnieni jesteśmy choćby małej iskierki współczucia i przyjaźni i dlatego oznaki jej, choćby chwilowe, są dla nas nieocenionej wartości, a pamięć ich pozostaje przez resztę naszego życia.

Około godziny 2-ej po południu podnieśliśmy kotwicę, opuszczając Paytę i płynąc całą siłą pary, minęliśmy wkrótce Islas de Lobos. Na godzinę przed nami wypłynął był z portu inny parowiec tejże samej Kompanji Oceanu Spokojnego. Jak się wkrótce dowiedzieliśmy, pasażerowie obu statków porobili grube zakłady o to, który z dwu parowców prędzej w Callao stanie; był to więc

wścig trwający blisko dwie doby, a jak się zdaje i kapitanowie byli w tej rywalizacji zaangażowani, co podnosiło ogólne zainteresowanie. Na wyjeźdźnym z Payty rywal nasz był tak daleko, że go ledwie na widnokręgu widać było, gdyż o godzinę wcześniej wyjazd dawał mu przynajmniej 14 węzłów korzyści; nasz parowiec za to należał do najszybszych w całej flotyli Towarzystwa. Następnego dnia odległość między statkami nie zmniejszyła się na pozór. Dopiero na trzeci dzień rano, spostrzegliśmy naszego rywala na jednej linii z nami, a wkrótce wyprzedzając go znacznie, straciliśmy z oczu. Minąwszy port Ancon, ujrzeliśmy wyspę San Lorenzo i las masztów okrętowych w zatoce Callao, gdzieśmy stanęli o godzinie 10 rano, witając port głośnym wystrzałem armatnim.

Tymczasem wśród naszych towarzyszy podróży zaszła nagle zmiana, dodam tylko—powierzchnowa, co zwykle trafia się na pokładach parowców w dzień przyjazdu do stolicy Peru. Cały skład pasażerski przybrał odświętną szatę. Spójrzmy choćby na tę rodzinę, która się obok nas mieściła na pokładzie: ojciec rodziny włożył nadzwyczaj wykrochmaloną koszulę, nowy garnitur i lakierowane trzewiki; panny w sukniach perkalikowych, również bardzo wykrochmalonych, koloru niebieskiego, różowego, lub zielonego, i chodzą pompatycznie, szeleszcząc, szumiąc, gwarząc. Niktby nie poznał w tych czystych i postrojonych elegantach, dawnych brudasów, z rozczochranymi włosami i do połowy obnażoną piersią. Metamorfoza jest kompletna, a dodać muszę, że odbywa się ona pod niedyskretnym okiem załogi i pasażerów.

Radość ze skończenia podróży jest powszechna i każdy pragnąc jaknajprędzej dostać się na ląd, wypatruje z niecierpliwością ukazania się łodzi kapitana portu, bez którego nie wolno nikomu pokładu opuszczać. Wreszcie okazuje się ten tyle oczekiwanym urzędnik, a za nim ciągnie szereg łodzi pasażerskich i powtarza się zwykła w portach scena ataku przewoźników na spokojnych pasażerów, którzy opędzić się nie mogą od tej natrętnej szarńczy.

Upatrzwszy znanego nam już przewoźnika, powierzyliśmy mu nasz bagaż i sami w jego łodzi na ląd popłynęliśmy. Kolej Transandyjska (Ferrocarril Transandeano) dostawiła nas w 1/2 godziny do Królewskiego Grodu, gdzieśmy tymczasowo stanęli w jednym z pierwszorzędnych hoteli, starając się jednak wynaleźć odpowiednie mieszkanie, gdyż trudno było płacić za mały pokój z rodzajem dymnika zamiast okna po 1 dolarze dziennie. Z pewnem też zadowoleniem oddaliśmy się krótkiemu odpoczynkowi po trudach i niewygodach całorocznej wyprawy.

## ROZDZIAŁ XI.

### Pobyty w Limie. — Pacasmayo. — Chepen.

Jednym z pierwszych naszych zajęć po przybyciu do Limy było wyszukanie odpowiedniego mieszkania, gdyż hotelowy numer miał dwie wielkie niewygody, a mianowicie, że był za drogi i za szczupły. Po dość długich poszukiwaniach znaleźliśmy wreszcie dwa pokoje we wschodniej części miasta, na ulicy, zwanej niegdyś Calle de Mestas, a obecnie przechrzczonej na Calle de Huanta. Mieszkanie nasze, za które płaciliśmy umiarkowaną jak na Limę cenę 16 soles miesięcznie, mieściło się w drugim podwórzu czyli w t. z. „traspatio“ limańczyków. Oba pokoje, jakkolwiek leżące obok siebie, nie łączyły się ze sobą, a oprócz drzwi wychodzących na podwórze, nie posiadały żadnych innych otworów, co zresztą bardzo często charakteryzuje budynki peruwjańskie, w których okna są uważane za rzecz zbyteczną, gdyż przyłagodnej temperaturze całego roku można drzwi zawsze trzymać otworem.

Umieściwszy się na nowej siedzibie i odwiedziwszy naszych ziomków, zamieszkałych w stolicy Peru, zająłem się natychmiast wysłaniem skrzyń ze zbiorami do Warszawy, co też skutecznym przez pośrednictwo agenta Ugarte, zamieszkałego w Callao. Później mogliśmy się spokojnie zająć przygotowaniami do nowej naszej wyprawy wewnątrz kraju, którą, jak to już wyżej wspominałem, zamierzaliśmy skierować do zapadłej prowincji Jaen, leżącej na pograniczu Ekwadoru na wschód od prowincji Tumbuz. Ponieważ zamierzona wycieczka mogła potrwać rok czasu, należało więc zaopatrzyć się we wszystkie potrzebne materiały na ten przeciąg czasu, gdyż wewnętrzne miasteczka Peru nie byłyby w stanie dostarczyć nam wielu przedmiotów niezbędnych przy naszych zajęciach. Codzień też wracaliśmy do domu obładowani pakietami; zwoziliśmy deski i blachy, z których następnie skrzynie zbijaliśmy i lutowaliśmy. Wolne chwile poświęcaliśmy na wizyty u naszych rodaków. Zwłaszcza gościnniej dom pp. Ksawerostwa Wakulskich był dla nas nieocenionym i wiele miłych chwil spędziliśmy wśród tej zacnej rodziny. Kilka też razy jeździliśmy do

Chorillos w odwiedziny do p. Malinowskiego, przebywającego tam na letniem mieszkaniu.

Odwiedzając raz u pewnego Ogród Zoologiczny (Jardin de la Exposition) przyszło nam namysł kupić sobie psa legowego, który ułożony do aportowania, mógłby oddać niemałe usługi przy wyszukiwaniu postrzelonego ptactwa. Należy bowiem wiedzieć, że przy strzelaniu drobnych ptaszków znaczny ich procent ginie wskutek wielkich gąszczów, właściwych strefom zwrotnikowym. Ponieważ w Ogródku Zoologicznym znajdowały się podówczas do sprzedania szczeniaki rasy hiszpańskiej (epagneuls), nie myśląc długo, nabyliśmy dwa psiaki, mogące mieć po 2 miesiące wieku. Mój otrzymał nazwę Dżok, Jelski zaś swemu dał miano Dobrego. Przyszłość pokazała, że jakkolwiek oba pochodziły z jednego miotu, nie jednakowe zalety posiadały i gdy mój piesek od samego początku okazał się znakomitym aporterem, oddając mi nieocenione usługi, Dobry był „dobrym” jedynie za towarzysza i stróża, a o szukaniu ptactwa i znoszeniu zwierzyny pojęcia najmniejszego nie miał.

Zrobię tu uwagę, że pies dla podróżnika jest nieocenionem stworzeniem. Pomijając już pomoc, jaką świadczy na polowaniu, obecność jego chroni nas często od gości nieproszonych. Gdy nieraz wypadło nocować wśród miejsc bezludnych, znanych z napadów rozbójniczych, czuliśmy się bezpieczniejsi, mając obok siebie dwu wiernych stróżów, którzy czujnością swą ostrzegali nas zawsze o zbliżeniu się nieznanym osobie. Nadmienię też, że wewnątrz Peru psy rasowe nie są prawie zupełnie znane, wskutek czego widok naszych kudłatych i wielkouchych cerberów wprowadzał na krajowców przestrach niebywały: często na widok ich uciekali, lub kryli się za drzewami, myśląc zapewne, że to jakie straszne bestje. Nie zapomnę nigdy, jak w czasie naszego pobytu w Tambillo, w prowincji Jaen, jeden z przejezdnych obdarował mnie wiązką bananów. Na razie nie mogłem odgadnąć przyczyny takiej czułości; po chwili jednak rzecz mi się wyjaśniła, gdy podróżny prosił mnie, abym psa swego trzymał na uwięzi, gdy on z miasteczka wracać będzie. Nie wątpię też, że względny spokój, jakim się cieszyliśmy w prowincji Jaen, znanej ze swej bandyckiej ludności, zawdzięczamy głównie obecności naszych pocziwych, a w gruncie rzeczy bardzo łagodnych psów.

Trzeci mój pobyt w Limie stał się dla mnie pamiętnym trzema ważniejszymi wypadkami, jakie podówczas zaszły, a mianowicie, strasznem trzęsieniem ziemi na południu Peru i w Boliwii, o którym wspominałem w I-ym rozdziale niniejszej podróży; a następnie epidemją, zwaną „argolla” i rewolucją, jaką podniósł znany rokoszanie, Don Nicolas de Pierolo, późniejszy dyktator Peru.

Pod koniec kwietnia 1877 roku pojawiła się w Limie epidemiczna choroba, którą lud nazwał „argolla”, robiąc prawdopodobnie aluzję do stronnictwa prezydenta Pardy, które tą samą nazwą ochrzczono. Według zdania wielu osób owa „argolla” była po prostu słabą żółtą febrą. Podobna zaraza szerzyła się w Limie



w roku 1868, lecz tak podówczas, jak i teraz nie była śmiertelną, chyba tylko w wyjątkowych razach. W 1877 roku mówiono tylko o dwu wypadkach śmierci, mimo to jednak była to choroba nadzwyczaj przykra i w najwyższym stopniu zaraźliwa, wskutek czego uniknęła jej tylko bardzo nieznaczna liczba osób. Jelski i ja zapadliśmy na nią przed samym wyjazdem z Limy.

U mnie rozpoczęła się pod wieczór bólem żołądka. Na drugi dzień obudziłem się z silnym bólem głowy, dreszczami i zupełnym brakiem apetytu. Ponieważ jednocześnie i towarzysz mój zapadł na tę chorobę, za jego więc radą poszedłem do szpitala francuzkiego, gdzie tydzień cały przeleżałem, dogładany przez francuzkie siostry miłosierdzia. Trudno rzeczywiście było znaleźć lepszą opiekę. Przez ten tydzień, leżąc w ciągłej gorączce, ze trasnym bólem głowy i oczodołów, nie jedząc nic prawie, osłabłem do tego stopnia, że wyszedłszy ze szpitala, zataczałem się, jak pijany. Na szczęście po chorobie apetyt wracał z taką siłą, że dość było kilku dni, aby się zupełnie ze śladów po niej otrząsnąć było można. Większość osób cierpiących na argollę po tygodniu wracała do zdrowia; znałem jednak pewnego Peruwjanina, który dwa miesiące w łóżku przeleżał. Zresztą choroba ta była czysto miejscową i na prowincji znano ją jedynie ze słyszenia.

Drugim ważnym wypadkiem pod koniec naszego pobytu w Limie była rewolucja Pieroli. Ponieważ wypadek ten doskonalnie maluje miejscowe stosunki, nie od rzeczy będzie poświęcić mu słów kilka. Osobistość samego Pieroli jest typem rewolucjonisty, który siebie uważa za zesańca Nieba, a tem samem za jedyną osobę, zdolną krajem rządzić. Kilkakrotne jego próby przyścia do władzy robiły zawsze fiasco, w skutek czego musiał się tulać po obcych krajach, a w chwili wybuchu ostatniej rewolucji znajdował się w Chili. Różnie mówiono o tym ex-seminarzyście: jedni uważali go za człowieka ambitnego o bardzo miernej inteligencji, gdy inni wynosili pod niebiosa jego energję i zdolności finansowe. O tych trudno wyrokować z jego krótkiej dyktatury, do jakiej doszedł podczas wojny peru-chilijskiej; lecz za to dał wtedy dowody zupełnego braku patriotyzmu i wielkiej nieudolności militarnej, o czem we właściwym miejscu wspomniałem.

Rewolucja, o której mowa, rozpoczęła się d. 8 maja wypłynięciem wojennego pancernika „Huascara”, uprowadzonego z portu Callao przez kilku zbuntowanych oficerów. Statek popłynął na południe i kilka dni z rzędu nie było o nim wiadomości. Dopiero parowiec „John Elder” należący do Towarzystwa Oceanu Spokojnego, płynąc z południa, przywiózł wiadomości o zbuntowanym pancerniku. „Huascar” zatrzymał go w jednym z portów południowych, a dowódcy powstania: Carrasco, Echenique i Larranaga domagali się od kapitana angielskiego statku, wydania korespondencji rządowej, grożąc zatopieniem w razie odmowy. Pomimo takiego ultimatum Anglik korespondencji nie wydał i „Huascar” popłynął na południe, gdzie raz jeszcze wystąpił ze swą naiwną pretensją przy spotkaniu z pasażerskim statkiem „Santa-Rosa”, ró-

wniez należącym do Kompanji Oceanu Spokojnego; lecz i tu nie wskórawszy, puścił się na poszukiwania Pieroli.

Tymczasem rząd limański, przestraszony niespodzianą rewolucją, stracił w pierwszej chwili głowę, nie wiedząc, co na to poradzić. Wreszcie po 4 dniach jałowych rozpraw zdecydowano się wysłać flotyllę w pogoń za zbiegiem, do czego oprócz paru innych statków użyto także pancernika, a raczej baterji pływającej „Atahualpa“, mogącej służyć do obrony portów, a nie do pogoni za lekkim i obrotnym parowcem. To też, gdy tylko flotylla wypłynęła poza wyspę San-Lorenzo, silna fala o mało nie zatopiła płaskiego i niezgrabnego pancernika, który nazad do portu przyholować musiano.

Stały wówczas na kotwicy w Callao dwa statki wojenne angielskie: fregata „Shah“ i korweta „Amethyst“. Gdy doszła wiadomość o pogroźkach dowódcy „Huascara“, skierowanych ku pasażerskim statkom angielskim, kupiectwo angielskie zamieszkałe w Limie i w Callao podało petycję do swego ministra, żądając gwarancji. Jednocześnie rząd peruwjański według ogólnej opinji traktował potajemnie z admirałem angielskim, dowodzącym „Shahem“, ofiarując mu sowite wynagrodzenie za złowienie „Huascara“. Trudno jest wiedzieć napewno, czy te pertraktacje istniały lub nie i czy rzeczywiście admirał angielski zląkomił się na obiecane 500.000 solesów, czy tylko występował w obronie interesów swych ziomków; taka jednak była podówczas opinja publiczna. Zaraz też potem rząd limański ogłosił „Huascara“ statkiem pirackim, co dawało prawo każdemu okrętowi wojennemu zatopić go w razie spotkania, a w ślad za tym dekretem nastąpił wyjazd obu statków wojennych angielskich, którym towarzyszyła flotylla peruwjańska.

Tymczasem „Huascar“, zabrawszy na południu szefa rewolucji, Pierolę, wracał ku Limie w nadziei propagowania rokoszu. W porcie Iquique nastąpiło spotkanie się zbuntowanego pancernika z flotyllą anglo-peruwjańską. Admirał angielski wystąpił był parlamentarza, żądając natychmiastowego poddania się; lecz Pierola odmówił i rozpoczęła się bitwa, w której „Huascar“ pomimo doskonałego manewrowania uledez musiał przeważającej sile. Wówczas Pierola zdobył się na krok bardzo polityczny, gdy bowiem widział konieczność poddania się, oddał się w ręce peruwjańskiego a nie angielskiego dowódcy. Postępek ten tak się podobał Peruwjanom, że nawet przeciwne rewolucjonistyczne gazety, które kilka dni przedtem domagały się jego egzekucji, teraz proponowały wybicie medalu na cześć jego.

Wogóle wdanie się Anglików w całą tą sprawę zrobiło jak najgorsze wrażenie w narodzie i przyczyniło się niemało do upadku generała Prady. Gdy nadeszła do Limy wiadomość o bitwie pod Iquique, podrażniony w swej dumie narodowej lud głośno zaczął objawiać swe niezadowolenie, a w Callao motłoch uliczny posunął się do tego, że zerwał herb państwa z konsulatu angielskiego, łącząc jednocześnie cały naród Albionu i królowę Wiktorję

ostatnimi słowy. Był czas, że zaden Anglik nie mógł się pokazać na ulicach Limy i Callao.

I ta jednak czwarta rewolucja Pieroli, jak trzy poprzednie, pozostała dlań bez skutku. Gdy bowiem liczył najwięcej na udział południowych prowincji, skąd sam był rodem, straszny kataklizm d. 9 maja, który zniszczył w części miasto Arikę, odwrócił powszechną uwagę od ruchu rewolucyjnego. Tam gdzie rozbukane żywioły niszczą mienie i życia ludzkie, trudno jest myśleć o zadowoleniu własnych lub cudzych ambicji: lud, przerażony ogromem nieszczęścia, traci wszelką ochotę szukania sprzeczek z innymi. Przeciwnie każdy, czując nad sobą bezpośrednio jakąś wyższą władzę, stara się zjednać sobie bliźnich swoich, aby w razie katastrofy pomoc mieć zapewnioną. Tak więc i ta rewolucja w samym zarodku poronioną została.

Właśnie w samym początku rewolucji byłem gotów do drogi, a ponieważ Jelski miał jeszcze pozostać w Limie przez dwa tygodnie, zdecydowałem się jechać naprzód do Pacasmayo, gdzie w oczekiwaniu mego towarzysza mógłbym się zająć gromadzeniem zbiorów. Dnia też 17 maja wsiadłem na znany nam już statek „Santiago” i po trzydniowej żegludze stanąłem w porcie Pacasmayo. Zdziwi niejednego czytelnika, gdyby ten na mapę chciał spojrzeć, dlaczego podróż z Callao do Pacasmayo trwa tyleż co do dwa razy dalej położonego Tumbezu. Pochodzi to stąd, że parowce, płynące do tego ostatniego portu, zatrzymują się jedynie w porcie Payta, gdy przeciwnie statki pobrzeżne kursujące pomiędzy Callao i Eten przystają w licznych mniejszych portach kaletach <sup>1)</sup> a mianowicie zaczynając od Callao ku północy: w Huacho, Supe, Huarney, Casma, Samanco, Chimbote, Santa, Salaverry, Hunchaco, Molabrigo i Pacasmayo, tracąc w każdym z nich po parę godzin a nieraz i więcej.

Z pomiędzy wymienionych portów zasługują na uwagę Salaverry i Huanchaco, w ujściu do morza doliny Chicama, w której leży znaczne miasto departamentalne Trujillo, założone przez zdobywcę Peru, Franciszka Pizarre. <sup>2)</sup> Salaverry i Huanchaco są typem portów, napotykanych często w północnem Peru, obszerne zatoki, jeżeli na to miano zasługują słabe wycięcia lądu: otwarte zupełnie na wiatry południowo-zachodnie, przedstawiają dla statków bardzo lichą przystań. Gruba fala, jaka zwykle kołysze wody tych zatok, nie pozwala kursować mniejszym łodziom, a ładowanie i wyladowywanie statków odbywać się musi przy pomocy wielkich galarów, zwanych „las lanchas”. Morze w tych portach bywa zwykle tak niespokojne, że parowce unikać muszą spuszczenia schodków dla przyjęcia pasażerów, przybyłych na galarach, a w skutek tego ludzi jak i towary należy ładować na statek przy pomocy windy parowej. W tym celu nieszczęśliwego pasażera wsadzają do beczki bez jednego dna, a przyczepiwszy ją

<sup>1)</sup> Caleta nazywają po hiszpańsku porty najniższej kategorii.

<sup>2)</sup> Pizarro pochodził z miasta Trujillo w Estremadurze hiszpańskiej.

do łańcucha od windy parowej, puszczają w ruch maszynę i ten na podobieństwo pakunku wzniesiony zostaje do góry; tu beczkę chwyta kilku silnych majtków, starając się ją opuścić na pokład z możliwą ostrożnością. Nie trudno w takich razach o sceny komiczne i dlatego zwykle cały personel pasażerski wylega na pokład, aby się przyglądać temu oryginalnemu ładowaniu ludzi. Wszystko to dobrze, o ile wypadki tego rodzaju kończą się na mniej lub więcej silnych uderzeniach, lub na lekkim zmaczaniu pasażera, co niejednemu wystarcza do zadowolenia swej złośliwości, śmiech jednak ustaje tam, gdzie życiu bliźnich zagraża niebezpieczeństwo; a w portach Salaverry i Huanchaco trafiały się już nieraz wypadki zatonięcia całych galarów, naładowanych pasażerami. Jeden z naszych ziomków był świadkiem podobnej katastrofy, w której śmierć poniosło kilkanaście osób.

W niedzielę d. 20 maja o godzinie 9-ej wieczorem stanąłem w Pacasmayo, jednym z ważniejszych portów północnego Peru. Rzut oka *à vol d'oiseau* da nam pojęcie o innych drugorzędnych portach Inkazji. Brzeg wysoki na kilkadziesiąt metrów ciągnie się długą, równą linią ku północy i ku południowi, tworząc niewielkie wycięcie, ledwie pozwalające na miano zatoki. Samo miasteczko, oprócz kilku większych budynków, jak kościół, dom komory, młyn parowy i innych, jest prawie niewidoczny na pierwszy rzut oka, tak się szare, gliniane, dachów pozbawione domostwa, zlewają swą barwę z otaczającym szarym krajobrazem. Najbardziej jednak rzucającym się w oczy przedmiotem portu Pacasmayskiego jest doskonały dok żelazny, zbudowany kosztem rządu przez pewnego inżyniera angielskiego. Ponieważ zatoka posiada dno o bardzo słabym spadku, większe statki zmuszone są zarzucać kotwicę na znacznej odległości od brzegu; aby więc uniknąć trudnego a często niebezpiecznego przewożenia towarów na galarach, zbudowano długi na 150 sążni pomost, którego koniec znajduje się już na 9-cio sążniowej głębokości, czyli w miejscu gdzie mogą przystawać największe okręty.

Według zdania kilku osób, z którymi rozmawiałem, dok pacasmayski jest z pomiędzy doków peruwjańskich najdłuższym i najważniejszym po doku murowanym w Callao i rywalizować z nim tylko może pomost w porcie Pisco.

Dok pacasmayski jest jedną z tych licznych pamiątek, jakie w Peru zostały po złotym, a raczej guanowym deszczu. Były to świetne czasy, w których rząd peruwjański, jak zresztą i cały naród w naiwności swego ducha był przekonany, że pobudowawszy koleje żelazne i wygodne doki, wzbogaci i zaludni kraj imigracją europejską. Naśladować chciał Stany Zjednoczone, to jest jedyny kraj, w którym budowa kolei w okolicach bezludnych przynosi korzyści. Peru jednak nie spostrzegło, że między niem i Stanami Zjednoczonymi zachodzi niezmiernie ważna różnica ekonomiczna, gdy bowiem te ostatnie posiadają stałe, niewyczerpane źródła dochodów, Peru oparło swe bogactwo na dochodach efemerycznych, które prędzej czy później skończyć się musiały, zwłaszcza przy

tak bezmyślnem szafowaniu pieniędzy. Peru zawsze robiło na mnie wrażenie tego marnotrawnego człowieka, któremu jak z nieba ciągle sukcesje spadały: trwonil jedną, dostawał drugą. Wyczerpywały się kolejno srebrodajne kopalnie Potosi, Laicacota, Oruro, Castrovireina, Cerro de Pasco, Hualgayoc i inne, przyszedł czas guano i saletry; guano w części wyczerpało się, a resztę wraz z saletrą zabrali Chilijczycy; lecz przyjdzie czas, że znów odkryje się jaka bogata kopalnia i Peru znów będzie miało pieniądze do trwonienia i do wzbogacania cudzoziemców, gdyż wątpię, aby się nauczyło oszczędności, skoro po tylu i po tak ciężkich naukach żadnej korzyści moralnej nie odniosło.

Otóż był podówczas (tak jakoś po roku 1869) gorączkowy czas budowania kolei żelaznych, które uważano za kwintesencję cywilizacji, gdyż Peruwjanie we wszystkim lubią pozory, a nadto za ideał wzięły sobie Stany Zjednoczone, gdzie przecież tyle kolei buduje się po bezludnych stepach i lasach. Środki też zdawały się wystarczać na to, dzięki olbrzymim sumom, jakie za guano z Europy nadpływały. Ponieważ historia wszelkich błędów, jakie spełniają, bywa doskonałą nauką, wejrzymy więc bliżej w sprawę tej aberacji umysłowej Peruwjan, którzy o władnięci manją wielkości i fałszywego postępu, sprowadzili na siebie kompletną ruinę finansową.

Zadaniem ówczesnych rządów, to jest pułkownika Balty a następnie prezydenta Pardy było połączyć urodzajne wnętrze kraju, położone z drugiej strony Andów z brzegiem morskim, a wówczas przy łatwych środkach komunikacji zaludnić olbrzymie równiny Amazońskiej kotliny emigracją europejską. Była to myśl do pewnego stopnia wielka, zwłaszcza dla tych umysłów, które w znacznej mieszaninie narodów nie widzą zarodków rozkładowego elementu ze szkodą miejscowych żywiolów. Pominąwszy jednak ten skrupuł, który przy dzisiejszym kierunku kosmopolitycznym przez wielu za anachronizm uważanym być może, peruwjańscy politycy nie obliczyli się dostatecznie z siłami, gdyż dopiero późniejsze doświadczenie nauczyło ich brać w rachubę przyrodzone przeszkody, jakie w potężnym łańcuchu Andów na każdym kroku są rozsiane. Kolej wszędzie jest rzeczą kosztowną, na pomorzu zaś peruwjańskim trzy razy, aniżeli gdzie-indziej, a w Kordyljerach nie przesadzę, jeżeli powiem—dziesięć razy kosztowniejszą. Pomyślmy tylko, że przy robotniku nadzwyczaj drogim, przy inżynierach cudzoziemcach, biorących pensję ministrów — cały materiał budowlany, zaczynając od szyn, a kończąc na deskach służących do wzniesienia budynków kolejowych, sprowadzony być musiał ze Stanów Zjednoczonych lub z Europy. Obok tych trudności wynikających z braku odpowiedniego personelu i dostatecznie rozwiniętego przemysłu miejscowego, sama przyroda nagromadziła takie mnóstwo przeszkód, że pokonanie ich wymaga prawdziwie tytanicznej pracy: głębokie na setki metrów wąwozy, szalone spadki, twarde jak stal opoki, rozhukane strumienie i rzeki górskie, niszczące w jednej chwili pracę lat całych, obrywanie się gór tak

częste przy nieustających deszczach kordyljerskich — wszystko to jeżeli nie obezwładnia geniusza ludzkiego, to przynajmniej napręży jego działalność do krańcowych granic. A dodajmy do tego nieuczciwość, starającą się wyzyskać położenie. Każda linja kolei żelaznej peruwjańskiej kosztowała trzy razy tyle była w rzeczywistości warta.

Spójrzmy tylko na listę wszystkich projektowanych i po większej części rozpoczętych a niewykończonych szlaków kolejowych w Peru. Jak to wyżej wspomniałem wszystkie miały na celu łączyć wewnętrzne, czyli serrańskie miasta z najbliższym portem morskim, a nadto linja Oroyska, wychodząca z Limy, miała być przerzuconą do Chanchamayo, na wschodnią stronę Kordyljerów, ułatwiając eksploatację wspaniałych lasów obszaru „Montana”. I tak port Payta miał być połączony koleją żelazną z departamentalnem miastem Piura. Druga linja miała biedz wzdłuż pobrzeża morskiego, łącząc miasta Lambayeque z Chiclayo i San Pedro. Tu znów linja wychodząca z portu Pacasmayo powinna była połączyć ważne miasta serrańskie Cajamarca z pomorzem. Dalej idą: znana nam już linja Chimbote — Huaraz, linja Oroyska z gałęzią do miast Huancayo i do kopalni srebra Cerro de Pasco; przymorska linja Lima-Pisco-Ica; linja Mollendo-Arequipa-Puno z gałęzią do Cuzco — dawnej stolicy Peru; krótka linja Arica-Tacna; wreszcie linja Molle—Noria Nueva, którą jak się zdaje chciano przedłużyć do La Paz, stolicy Boliwii.

Jak widzimy był to plan bardzo obszerny. Przekonajmy się teraz co z niego wykonano. Linja Payta-Piura — nie istnieje. Połączono Lambayeque z portem Eten. Linję Pacasmayo-Cajamarca przerwano w miejscowości La Vina o jeden dzień drogi od Cajamarca; nadto zbudowano gałęzie do miasteczka Guadalupe i do kopalni srebra Chilate. Linję Chimbote-Huaraz przerwano o kilkadziesiąt wiorst od Chimbote. Połączono port Chancay z Limą. Linję Oroyską doprowadzono na szczyt Kordyljerów i przerwano w miejscowości San Mateo. Zbudowano przymorską linję Lima Pisco. Linję Mollendo doprowadzono aż do miasta Puno położonego nad jeziorem Titicaca, przez co ułatwiono komunikację z boliwijskim miastem La Paz. Zbudowano też krótkie linje Arica-Tacna i Molle—Noria-Nueva.

Gdy się teraz zastanowimy, co Peru zyskało na zbudowaniu kilku krótkich i niedokończonych linij kolei żelaznych, przyjdziemy do wniosku, że bardzo niewiele. Wszystkie te arterje mogłyby mieć jakie takie znaczenia (w pewnych razach nawet bardzo ważne), gdyby je doprowadzono do zamierzonego celu; tak jak dzisiaj niedokończone, przynoszą korzyść bardzo problematyczną. Jedyną prawdziwie ważną linją i to bodaj więcej dla Boliwii, aniżeli dla Peru, jest kolej żelazna łącząca port Mollendo z miastem Puno, tędy bowiem odbywa się cały handel boliwijski. Dodam też, że według zdania pewnego inżyniera, Polaka, dobrze w tej materji poinformowanego, oprócz dwu krótkich linij: Lima-Callao i Lima Chorillos, wszystkie inne koleje żelazne w Peru nie opłacają się,

a rząd musi je subwencjonować, aby przy życiu utrzymać. Za przykład weźmy 30-wiorstową drogę żelazną łączącą Limę z Chancay: utrzymanie tej linii kosztuje rząd 25,000 solesów rocznie. W tej samej proporcji niedomagają wszystkie inne koleje peruwjańskie.

Gdybyśmy teraz zapytali, co kosztować mogło te kilkaset wiorst dróg żelaznych, pewniebyśmy oniemieli w obec kolosalnej sumy, rzuconej w błoto do pewnego stopnia. Lecz o tem dokładnie nikt zapewne nie wie, gdyż trudno jest wymagać rachunków od osób, które same dodrze nie wiedziały, co miały. Toż przecież sama kolej chimbozańska, jak to wyżej wspomniałem, pochłonęła 12.000.000 solesów: aż zgroza bierze pomyśleć, ile milionów rubli użyte zostały na zbudowanie kilkudziesięciu kilometrów drogi, którą nikt nie jeździł! Trzydzieści wiorst linii Chancay kosztowało 3 miliony solesów, a według zdania biegłych za milion możnaby to samo zrobić. Nie pytajmy zaś, co wydano na kolej Oroyską, gdyż tego nikt nie wie. I z tego wszystkiego korzyści dziś jedynie taka; że Peruwjanie z dumą wskazują na tę linię jako najwyższą w świecie. Drogo zapłacono za prawo do tych ambitnych przechwałek.

Wróćmy jeszcze do kolei Pacasmayskiej, która miała łączyć znaczne miasto Cajamarca z pomorzem. Widzimy, że doprowadzono ją do miejscowości La Vina i że nadto zbudowano gałęzie do Guadalupe i do kopalni Chilete. Historia kopalni owych jest historją faworytyzmu, rozpowszechnionego w Peru więcej aniżeli gdzieindziej. Położone w warunkach nadzwyczaj niekorzystnych, posiadają klimat w wysokim stopniu niezdrowy, a nadto zupełny brak paliwa uniemożliwia wydobywanie metalu z rudy na miejscu. Żyła to podobno niezbyt gruba, lecz w metal tak obfita, że przy ułatwionych środkach komunikacji opłacało się rudę do Anglii wozic i tam srebro dobywać. Transport jednak na mułach pochłaniał cały zarobek; trzeba więc było kolej zbudować. Towarzystwo jednak nie miało po temu środków, ale za to liczyło w swej liczbie pana prezydenta i kilka innych osób albo u steru państwa stojących, albo przynajmniej dobrze przez rząd widzianych. Zbudowano więc za pieniądze narodowe kolej, z której prawie wyłącznie miało korzystać Towarzystwo. Nie jest to jedyny przykład obracania funduszy ogólnych na korzyść jednostek. Historia finansów peruwjańskich z siódmego dziesiątka lat zeszłego wieku dałaby nam setki, a może tysiące podobnych wypadków.

Smutny los spotkał linię Pacasmayską. W roku 1878 szalony wylew rzeki Magdaleny,<sup>1)</sup> której brzegiem poprowadzono kolej na znacznej przestrzeni, zniszczył zupełnie plant kolejowy, a smutny stan skarbu peruwjańskiego, jaki podówczas stał się już chronicznym, nie pozwolił na odbudowanie zniszczonej linii. Zdaje się, że był to cios śmiertelny dla chiletańskiego przedsiębiorstwa.

Gdy mi na myśl przychodzą te wszystkie wypadki, pomimo woli ubolewam nad Peruwjanami, którzy przez własną nieogłędność

---

<sup>1)</sup> Nie należy mieszać tej rzeki z rzeką Magdaleną w Wenezueli.

wpadli w stan tak krytyczny. Peru było zbyt hojnym i dla tego teraz niedostatek cierpieć musi.

Przybycie moje do Pacasmayo szykowało mi niespodziankę bardzo nieprzyjemną. Zabrawszy ze sobą mój podręczny bagaż, to jest mały kuferek, sakwy i skrzynkę z dwoma sarbakanami (świsłami), pozostawiłem cały mój ładunek na komorze, która dnia tego dla spóźnionej pory nie wysyłała towarów. Nająłem pokój w jednym miejscowym hotelu, należącym do niejakiego Hertery, gdzie za opłatą jednego sola dziennie miałem prawo oglądania wielkiej skrzyni napelnionej karaluchami, a mającej reprezentować umywalnię. Widok z mego pokoju rozciągał się na ocean, pozwalając mi wieczorami spędzać miłe chwile na przyglądaniu się tej uroczej powierzchni morza.

Nazajutrz nie mogłem jeszcze odebrać z komory mych skrzyń, gdyż interes nakazywał mi pojechać do miasteczka Chepen, połączonego z portem koleją żelazną. O godzinie 9-ej rano wsiadłem do pociągu, udającego się do Guadelupe.

Wagony tutejszej kolei zbudowane są według ogólnego typu kolei południowo - amerykańskich, to jest nie podzielone na przedziały; wyplatane, lub skórą kryte, poprzeczne ławki ciągną się wzdłuż całego wagonu. Każda ławka mieści dwie osoby (zatem cztery na całą szerokość wagonu—po dwie z każdej strony środkowego przejścia), a poręczce jak w naszych letnich tramwajach można przekręcać na tę lub ową stronę, stosownie do tego, czy osoba chce tyłem czy przodem do lokomotywy siedzieć. Pociąg chodzi bez żadnych sygnałów. Po drodze nie widać budek drożniczych, a plant kolejowy nie jest rowami okopany i bydło lub konie spokojnie po nim spacerują. Niekiedy silny świst lokomotywy ostrzega jakiego jeźdźca, używającego pomiędzy szynami przejazdki na osiołku. Prawdziwa kolej amerykańska.

Przejechawszy miasteczko San Pedro i San Jose, oraz kilka hacjend, stanęliśmy po dwugodzinnej jeździe w miasteczku Chepen. Powiadano mi, że liczy ono kilka tysięcy mieszkańców, wyobrazi więc sobie czytelnik moje zdziwienie, gdy wsiadłszy z wagonu, nie spostrzegł nic takiego, coby obecność większej osady ludzkiej zdradzało. „Zapewne gdzieś w dole musi się kryć miasteczko”—pomyślałem sobie i zapytałem o drogę. Osoba, do której się skierowałem, ze zdziwieniem odpowiedziała mi, że się w samym Chepen znajduję i dopiero wtedy spostrzegłem niedaleko kilka szarych domków, bez dachu, które rozpoczynały długą i niemal jedyną ulicę, jaka miasto Chepen stanowi.

Powróciwszy tegoż samego dnia do Pacasmayo, udałem się nazajutrz na stację kolei żelaznej, aby po odbytej rewizji odebrać moje skrzynie. W każdej innej chwili wydanoby mi je bez rewizji, w skutek jednak rewolucji obostrzono podówczas czujność w obawie jakiej rewolucyjnej kontrabandy. To też urzędnik komory, przekonawszy się, że niektóre skrzynie moje zawierają śróty, zażądał



odemnie paszportu, a gdy mu powiedział, że dotychczas nikt mnie nigdy o to nie pytał i że takowego nie posiadam, oświadczył mi, że cały mój ładunek zatrzymać musi, gdyż w skutek rewolucji posiadają co do tego bardzo surowe instrukcje. Naprawdę oburzony tym postępkim, perswadowałem mu, że trudno jest robić rewolucję przy pomocy najdrobniejszego śrótu, zwanego maczkim, że wszystkie me kroki nieprzyjacielskie jedynie przeciw ptakom, jaszczurkom, owadom i innym stworzeniom kierować będę. — „Niech się pan wystara o paszport, a wówczas skrzynie wydamy“ — była jedyna odpowiedź celnika. Musiałem się poddać smutnej konieczności, lecz przed odejściem nie mogłem się powstrzymać od wylewu całego mego oburzenia na zatwardziałego urzędnika. Powiedziałem mu między innymi, że gdy buntowniczy statek wypływa z portu w oczach całej floty i tysiący ludzi, wówczas nikt go nie zatrzyma, bo albo ma w tem własny interes, albo się boi odpowiedzialności w obec rewolucjonistów, gdyby ci do władzy przyszli; lecz gdy spokojny podróżnik posiada w skrzyniach kilkadziesiąt funtów śrótu, wówczas „musimy pełnić nasz obowiązek“ i dalejze aresztować cały ładunek. Wysłuchał tej mojej filipika w milczeniu, poczem wróciłem do domu.

W każdym razie w skutek tej dziwnej skrupulatności urzędnika komory znalazłem się w bardzo przykrem położeniu, ze zredukowanym do minimum zapasem bielizny, którą wziąłem był ze sobą do kajuty, mając nadto za całą broń parę sarbakan paryskich, z którymi niepodobna było myśleć o zbieraniu kolekcji ornitologicznych. Zatelegrafowałem natychmiast do Jelskiego, prosząc o śpieszne wyrobienie paszportu, a sam tymczasem zająłem się zbieraniem muszli i jaszczurek. Dopiero w dziewięć dni potem nadjechał sam administrator komory, którego poznałem w domu p. Malinowskiego w Limie; a gdy jednocześnie rewolucja się skończyła, otrzymałem wreszcie mój ładunek w chwili niemal przyjazdu Jelskiego.

Bezpośrednie okolice Pacasmayo posiadają charakter pustyńowy. Są to obszerne równiny, miejscami wydmy piaszczyste, pokryte kępiastymi krzakami (*Ramnus arenarius*), to znów równe jak stół powierzchnie, zasłane żwirem, wśród którego znaczny procent stanowią skorupy garncarskie. Ponieważ ten rodzaj równin zajmuje znaczne bardzo przestrzenie, wszelkie więc hipotezy co do znajdowania się na nich resztek garncarskich w tak ogromnej ilości są trudne do postawienia. Jedynie przypuszczać można, że w czasach przedpodbojowych gdzieś w okolicy znajdować się musiały wielkie zakłady garncarskie, na podobieństwo tych, jakie dzisiaj napotyka się w departamencie Piura, i że ogromna ilość gotowego wyrobu zniszczoną została przez jeden z tych kataklizmów tak częstych na amerykańskich pobrzeżach Oceanu Spokojnego. W każdym razie jednostajny rozkład szczątków garncarskich, oraz niezwykle równa powierzchnia całej tej części ładu peruwjańskiego dowodzić się zdaje, że utworzyła się ona pod morzem i dopiero w nowszych czasach wyłoniła się z dna Oceanu.

Wspomniałem już, że ten rodzaj równin w okolicy Pacasmayo pokrywają tu i owdzie wznoszące się górki półksiężycowe (*los médanos* krajowców), których właściwością jest powolne posuwanie się w kierunku panujących wiatrów. Przy tej sposobności niepodobna mi jest zamilczeć o nadzwyczaj ciekawem i trudnem do uwierzenia zjawisku, obserwowanem przez A. Raimondiego w departamencie Piura<sup>1)</sup>. Sama powaga tego znakomitego podróżnika nie dopuszcza żadnej wątpliwości. W departamencie Piura znajduje się mała osada (*rancheria*), zwana La Capilla i położona wśród wydm piaszczystych. Ruchomy piasek, przez wiatr niesiony zasypuje szybko nędzne chaty mieszkańców; nic nie pomagają opłotki, ani palisady wznoszone od strony wiatru; piasek szybko wznosi się do wysokości opłotka, miazdży go i domostwa zasypuje. Otóż istnieje środek dziwny, zapobiegający w pewnych razach niszczącemu posuwaniu się piasku: dość jest tylko od strony wiatru usypać grunt drobnymi kawałkami węgla. „Jakkolwiek zwyczaj ten wydaje się śmiesznym (są to słowa Raimondiego), gdyż zdrowy rozsądek wzdraga się dopuścić, aby kilka kawałków węgla mogło powstrzymać piasek niesiony przez wiatry, to niemniej jednak zwyczaj jest faktem prawdziwym, gdyż na własne oczy widziałem w wielu miejscach domy otoczone wydmami piaszczystemi, oddzielonemi od ścian mnóstwem maleńkich kawałków węgla.

„Nie należy jednak sądzić, aby tym sposobem można było wszędzie powstrzymać ruch postępowy piasku; gdyż fenomen ten trafia się jedynie przy pewnych wyłącznych warunkach“.

Według słów Raimondiego istnieją w la Capilla domy otoczone z trzech stron wysoką wydmą, gdy między nią i ścianami pozostaje rodzaj korytarza, na pół metra szerokiego, dno którego usiane jest kawałkami węgla. Ograniczam się na przytoczeniu tego niezmiernie ciekawego faktu w nadziei, że może który z podróżników obserwował co podobnego w innych stronach świata. A teraz wrócę do opisu pacasmajskiej okolicy.

Ta pustyniowa część równiny posiada faunę bardzo ubogą. Z ptaków zaledwie kilka spotkać można jak np. sieweczkę piaskową (*Aegialitis vociferans*), małego pustyniowego ptaszka o barwie płowej (*Geositta peruviana*) lub zalatującą tu niekiedy jaskółkę (*Hirundo cyanoleuca*). Tam gdzie po wydmach rosną czołgające się krzaki (*Ramnus arenarius*) zdarzy się też widzieć czasami przedrzeźniacza, lub cukrzyka (*Certhiola peruviana*). W takich też okolicach trzyma się maleńka jaszczureczka należąca do rodziny Iguanidae, u której sprawdzić mogłem ciekawy obyczaj zagrzebywania się całkowicie w piasku. Nieraz zdarzyło mi się widzieć — na piaszczystych wydmach, jak to stworzenie w jednym mgnieniu oka zniknęło w piasku, zanurzając się w nim ruchem wężykowatym. Nieraz też zdziwiony byłem ich raptownem ukazywaniem się tam, gdzie przedtem widać było równiutką, białą powierzchnię piasku.

<sup>1)</sup> Patrz: A. Raimondi. El Peru. Parte preliminar Lima. 1874. str. 364.

Niewątpliwie ciekawy ten obyczaj mieć musi na celu ochronę jaszczurki od jej wrogów, a głównie od ptaków drapieżnych.

Równinę pacasmajską przecina niewielka dolinka, środkiem której płynie mały strumień, mający ujście w morzu. Jest to prawdziwa oaza wśród tej pustyni piasków i niewielkich wzgórz skalistych. Brzegi strumienia gęsto są zarośnięte sitowiem, wśród którego słychać często dziwny głos wodnika (*Rallus nigricans?*). Wczesnym rankiem, lub o zachodzie słońca ptak ten opuszcza swoją kryjówkę, żerując po sąsiedniej murawie. W górę dolinki roślinność staje się dość obfitą, a drzewa algarrobo lub krzaki "chilca" mile pieszczą wzrok nasz, znużony smutną jednostajnością pustyni. Kręci się tu nieco ptactwa: przedrzeźniacze, siedząc na czubkach niewysokich drzew, napełniają powietrze swym urozmaiconym, choć nieco gardłowym śpiewem; niektóre gatunki tyranów oddają się łowom owadów ze zręcznością, sobie właściwą, a ponad murawą snują się lotem strzały jaskółki. W sitowiacz spotkać też możemy bardzo ładnego ptaszka, przypominającego nieco naszego mysiego króla (*Cyanotis Azare*).

Uderzyło mnie w Pacasmayo ubóstwo, a raczej brak zupełny błotnego i wodnego ptactwa na pobrzeżu morskim. „Playa“ czyli pobrzeże piaszczyste obfituje w krabiki i raki z rodzaju *Hippa*, które w Tumbezie stanowią łakomy kąsek dla licznych ptaków, a i niektóre gatunki konch (*Donax* między innymi) spotykają się tam w znacznej ilości. Nie mogłem też sobie objaśnić przyczyny, dla której by ptactwo błotne tak starannie unikało tych pobrzeży, Przez ciąg blisko dwu tygodni, jakie spędziłem w Pacasmayo, patrząc codziennie godzinami całemi na pobrzeże morskie, zauważyć mogłem tylko jedyny gatunek, należący do rodziny kormoranów (*Carbo brasiliensis*); kulików siewek, biegusów — ani śladu.

Najmilszą moją rozrywką po całodziennych zajęciach było zasiaść o zachodzie słońca na galerji mego domu i patrzeć na ten wspaniały Ocean, rozciągający się tuż pod nogami, aż do krańców widnokregu. Wiatr zwykle zcichał zupełnie o tej godzinie i gładka, jakby polerowana powierzchnia morza poruszała się powolną, grubą falą. Błękit nieba udzielał swej barwy morzu, na którym zachodzące naprost mojej siedziby słońce, posyłało snopy światła do wnętrza ziemi. Rumieniło się słońce w miarę zbliżania się do widnokregu, rąbkiem swym dotykało linii dzielącej morze od nieba i powoli tonęło w tej masie wody. Biała fala na pobrzeżu szumi jednostajnie, jakby odmawiając swą modlitwę, którą po wieki wieków powtarzać będzie. Spokój panuje w powietrzu zupełny; lelaki cichym swym lotem unoszą się na szarzącym tle nieboskłonu.

Niebo ciemnieje i morze ciemnieje: na niebie zabłyśły jaskrawe gwiazdy i w morzu błyszczą fosforyczne światełka. A myśl moja wśród tej ciszy biegnie daleko po powierzchni Oceanu, tam do Polinezji, która tysiącami wysproziła się po morskiem przestworzu; a potem dalej i dalej, aż póki nie zrobiwszy drogi wkoło świata, nie oparła się o kraj rodzinny...

Często też chodziłem wieczorem wzdłuż plaży, odkrytej pod czas odpływu. Mój Dżok towarzyszył mi zawsze, znajdując szczególną przyjemność w niesieniu przez cały czas trwania spaceru pęczka słomy, który przy domu znajdował. Szedłem zwykle ku południowi, wdychając z rozkoszą świeże powietrze, przeniknięte zapachem morza. Wilgotny piasek miękko uginał się pod moimi stopami: szedłem jak po najlepszym dywanie. Morze tuż obok podnosiło na wybrzeżu biały balwan, który rósł szybko, pęczniał, wreszcie podwijał się pod siebie i z rykiem rozlewał po równej powierzchni plaży. Zrobiwszy wiorst parę, wracałem do domu, gdzie mnie czekało spisanie notat lub inne jakie zajęcie.

Pewnego razu, korzystając z zaproszenia p. Carlin'a, kupca, rodem z Nizy, osiadłego od dawna w Peru, wybrałem się na dwa dni do miasteczka Chepen, o którym niedawno wspomniałem. Chepen jak i odległe o parę wiorst miasteczko Guadalupe, leży w obszernej dolinie rzeki Jequetepeque, uchodzącej do morza nieco na północ od portu Pacasmayo. Dolina Jequetepeque podobną jest dowszystkich dolin Pomorza peruwjańskiego. Są to prawdziwe oazy wśród jałowych skał i piasków nadmorskiej części Peru. Znaczna część doliny zajęta została pod uprawę trzciny cukrowej, ryżu, kukurydzy, bananów i innych roślin użytecznych, właściwych strefom zwrotnikowym. Pola te poprzęzane glinianymi murami na regularne prostokąty, przedstawiają urozmaicony widok, wśród którego odbija wyraźnie jasna, mocno-żółtawa zielen trzciny cukrowej. W częściach niezajętych pod kulturę, wznoszą się gaje algarrobowe (*Prosopis dulcis*) składające się z rzadko rosnących, zakurzonych i pokoszlawionych drzew algarrobo, pomiędzy którymi tu i owdzie czolgają się krzaki *Zapote-perro* (*Capparis*). Środkiem doliny płynie rzeka, a raczej strumień o łóżysku kamienistym. Na brzegu rosną smukłe i kształtem nieco włoską topolę przypominające wierzby peruwjańskie (*Salix humboldtiana*), lub niewielkie, srebrno-listne drzewka pajaro-bobo (*Tessaria legitima*). Grunt tutaj suchy i pulchny składa się z nadzwyczaj lekkiego i rozdrobnionego mułu, który przy dostatecznej ilości wody staje się najurodzajniejszą glebą. Szkoda tylko, że tej wody w dolinach peruwjańskich jest za mało, aby wystarczała do nawodnienia całej powierzchni.

W sąsiedztwie Chepen rozciąga się obszerna „hacienda“ Lurifico, jeden z tych olbrzymich majątków pomorskich, uprawiających trzcinę cukrową na wielką skalę. Lurifico należała ongi do wspomnianego tak często przeze mnie pułkownika Balty, następnie zaś przeszła na własność milionowego przedsiębiorcy Meiggs'a, rodem ze Stanów Zjednoczonych, który zrobił kolosalną fortunę na budowie kolei żelaznych, lecz następnie wszystko prawie stracił w czasie ogólnego krachu finansowego.

Dzięki też bogactwu właściciela, Lurifico stanęło na wysokości pierwszorzędnych hacjend peruwjańskich: do wyniatania trzciny cukrowej sprowadzono doskonałe maszyny z Anglii, a obszerne plantacje poprzeryzano linjami kolei żelaznej, którą obsługi-

wał tabor, należący do folwarku. Według jednak zdania osób kompetentnych urządzeniu temu nie odpowiadała rozciągłość plantacji, które nadto cierpiały na brak wody.

Korzystając z dwudniowego pobytu w Chepen, wybrałem się w dzień Bożego Ciała na sąsiednią górę, mając na celu zwiedzenie starożytnych fortyfikacji indyjskich, jak również zebranie pewnego gatunku muszli, który według zdania mieszkańców, miał się znajdować na wierzchołku. W tej wycieczce towarzyszył mi jeden z pomocników Carlin'a, młody i wesoły Peruwjanin, zdradzający w sobie domieszkę krwi murzyńskiej. Wspomniana góra wznosi się nad równiną Chepeńską na 1000 stóp, do czego dodawszy 500 stóp wzniesienia równiny nad poziomem morza, będziemy mieli 1500 stóp absolutnej wysokości góry. Kształt jej jest bardzo wydłużony w kierunku z północy na południe, z bardzo stromym spadkiem od strony zachodniej i dość łagodnym — od przeciwnej, czyli wschodniej.

Drapanie się po górze było bardzo uciążliwe. Dosiąwszy wysokości 400 stóp nad powierzchnią równiny, natrafiliśmy na pierwsze egzemplarze wspomnianej muszli (*Bulimus*), przyczepione do ścian skalistych. Tu też rozpoczynał się wielki mur, biegnący ciągle grzbietem wydłużonej góry. Mur ten posiada 1½ metra szerokości, a miejscami, gdzie łagodniejszy nieco spadek góry tego wymagał, dosięga kilku sążni wysokości. Zbudowano go z nieregularnych, ostrokończastych kamieni, które na glinę zlepiono.

Od tego miejsca poszliśmy po murze bez żadnej trudności; miejscami jednak straszno było kroczyć po tym półtorametrowym grzbiecie, mając od strony miasteczka przepaść 800 stóp, a po drugiej — kilkopiętrową wysokość, zdarzały się bowiem miejsca, gdzie góra prostopadłą ścianą wznosiła się od samej równiny. Na wysokości 1300 stóp nad powierzchnią morza dosięgliśmy oryginalnych budowli indyjskich, których znaczenie dotychczas nie było objaśnione. Są to niewielkie kwadratowe kamery, przylegające do opisanego przed chwilą muru i w podobny co i on sposób budowane z nieregularnych kamieni. Oczywista rzecz, że przy powszechnym zwyczaju starożytnych Indjan krycia swych domostw trawą lub liśćmi, dzisiaj nie pozostało najmniejszego śladu dachów. Każda z tych kamer posiada zaledwie kilkanaście kwadratowych metrów powierzchni, a uderza w nich głównie brak drzwi i okien, słowem wszelkich otworów. Niepodobna więc jest określić znaczenia tych oryginalnych celek, a opinja niektórych osób, że były to prawdopodobnie groby Inkasów upada w obec faktu, że wielkie cmentarzysko indyjskie znajduje się u stóp góry chepeńskiej. Chyba, że owe cele służyły dla osób uprzywilejowanych, pochodzących z krwi królewskiej.

W każdym razie ruiny chepeńskie musiały być niegdyś silną fortecą, o czem doskonale świadczy wysoki mur, jedynie w celach obrony wzniesiony. Zagadką jednak pozostaje dla nas, w jaki sposób załoga zaopatrywała się w wodę, gdyż na całej górze niema jej ani kropli, a o kopaniu studni w twardej skale nie mogło być

nawet mowy. Również trudnym, a raczej niemożliwym było sprowadzenie wody na wysokość 800 stóp przy pomocy akwaduktów, jeżeli zważywszy, że cała okolica jest płaską, a kanał musiałby ją przecinać na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst i na wysokości minimum 800 stóp nad powierzchnią równiny. Jedyne więc zrobić możemy przypuszczenie, że wodę noszono lub wożono na lamach z sąsiedniej rzeki, odległej o parę wiorst od góry. W takim jednak razie forteca owa, jak i prawie wszystkie inne miejsca obronne starożytnego Peru, łatwo mogły być zdobyte, odcinając jedynie wszelką komunikację z wodą, chociaż z drugiej strony pierwotny sposób wojowania, praktykowany w owych czasach przez na pół dzikie plemiona peruwjańskie, niwelował prawdopodobnie ujemne strony, z braku wody wynikające.

Wycieczka moja na górę chepeńską wydała podwójny rezultat, gdyż obok zwiedzenia ciekawych ruin, które niewątpliwie wskazują na bardzo rozwiniętą cywilizację Inkasów, mogłem jednocześnie zbierać znaczną liczbę owej muszli, którą przeważnie od strony miasteczka (zachodniej) znaleźliśmy. Towarzyszący mi młody człowiek był niestrudzony w zbieraniu ich i gdy ja już byłem u stóp góry, wracając do domu, on jeszcze zaczepiony na urwistych ścianach, napełniał kieszenie ślimakami.

Wreszcie około jedenastej przed południem byliśmy w miasteczku. Przechodząc placem uderzyły mnie wielkie afisze, z których dowiedziałem się, że jakiś „celebre ruso“ (znakomity Rosjanin) będzie dnia tego dawał przedstawienie magiczne. Zaszedłszy do sklepu Carlin'a, miałem szczęście poznać tę znakomitość. Był to mężczyzna w średnim wieku, o kędzierzawych włosach i mocno zagiętym nosie. Te cechy semickiego pochodzenia maskował nieco oryginalny zarost à la Wiktor Emanuel, składający się z długich wąsów i hiszpanki. Carlin nie omieszkał nas zapoznać, spostrzegłem jednak wkrótce, że nowy mój znajomy czuje się nieco skrępowany moją obecnością. Rzecz wyjaśniła mi się dopiero po przyjeździe Jelskiego, od którego dowiedziałem się, że ów don Eduardo jest żydkim z Suwałk, blacharzem z profesji. Ochrzcizwszy się, zawarł związek małżeński z pewną przyzwoitą osobą w Cajamarca i tam osiadłszy, oddawał się blacharstwu, co mu nie przeszkadzało udawać w Chepen profesora czarnej magii.

Nazajutrz po powrocie do Pacasmayo udało mi się wydobyć wreszcie mój ładunek, zaareztowany na komorze. Zawdzięczałem to głównie zakończeniu rewolucji. Przejrzawszy zawartość wszystkich skrzyń, w których na szczęście znalazłem rzeczy moje w porządku, mogłem jeszcze dni kilka poświęcić zbieraniu ptaków, co mi przysporzyło parę gatunków nowych dla fauny peruwjańskiej. Wkrótce też nadjechał mój towarzysz, Jelski, przywożąc mi wyrobiony staraniem p. p. Raimondi'ego i Malinowskiego cyrkularz ministra spraw wewnętrznych do wszystkich prefektów całego Peru, w którym osobę moją, przedstawiającą wszelką gwarancję, rekomendowano ich pieczy, zalecając, aby w razie potrzeby ułatwiono mi wszelkie środki lokomocji. Zanotować muszę, że cyr-

kularza tego nigdy nie zdarzyło mi się użyć i przepodróżował on ze mną 4 lata nie opuszczając nigdy mego portfela, a dziś służy mi tylko jako pamiątka mych dalekich wycieczek.

Pierwszem naszym zajęciem po przyjeździe Jelskiego do Pacasmayo było wyszukanie „arrieros” czyli poganiaczy mułów, którzyby się podjęli przewieźć nasz ładunek do miasta Chota, z kądem łatwiej już znaleźć środki dostania się do prowincji Jaen. W tym celu zrobiliśmy wycieczkę do San Pedro, gdzie przemieszkuje kilku arrierów, kursujących między Pomorzem i serrańskimi miastami San Miguel, Cajamarca i Chota. Wyprawa jednak nie udała się nam, gdyż jedni z arrierów powróciwszy dopiero, zmuszeni byli dać odpocząć swym mułom, innych znów nie było podówczas w San Pedro; ci zaś, którzy mogliby się zająć transportem naszego ładunku, żądali cen tak wysokich, że zmuszeni byliśmy wszelkie traktowanie przerwać. Nie namyślając się też długo, przenieśliśmy się do Chepen, gdzie często spotkać się można z arriarami, przybyłymi ze Sierry. Carlin zaprosił nas do swego domu, ofiarując na mieszkanie pokój w małej oficynie. Tu musieliśmy przerobić ładunek nasz, urządziliśmy bowiem każdą skrzynię po 4 arrobas<sup>1)</sup>, gdy ładunek bieżący na jednego muła wynosi w tej części kraju 10 arrobas i 10 funtów, czyli 5 arrobas i 5 funtów na każdą skrzynię.<sup>2)</sup> Jakkolwiek przeróbka ta kosztowała nas niemało czasu i zachodu, gdyż każdą skrzynię na nowo trzeba było pakować i ważyć, musieliśmy tego dokonać, aby niepotrzebnie kosztów transportu i tak bardzo wygórowanych, nie podnosić.

W Chepen porobiliśmy także zakupy niektórych przedmiotów bardzo użytecznych wewnątrz kraju. Tak np. nabyliśmy duży wór ryżu, gdyż produkt ten w Sierra sprzedaje się po bardzo wysokiej cenie. Mydło ordynaryjne i płócienko bawełniane, tak zwane „tocuyo” stanowi również dla podróżnika bardzo ważny artykuł zamienny, za który z łatwością można dostać jaj, serów i t. p. rzeczy, niechętnie zbywanych przez krajowców za pieniądze. Do tego rodzaju artykułów należą także nici i igły. Cukru wzięliśmy ze sobą 120 funtów, co już stanowiło prawie pół ładunku na jednego muła. Wszystko to trzeba było upakować starannie, kombinując tak, aby jedne rzeczy drugim nie szkodziły. Nie można było np. pakować razem mydła arszennikowego z cukrem, lub śrótu i żelastwa z przedmiotami szklanymi. Naftę znów i spirytus w blaszankach trzeba było mieścić w osobnych skrzyniach. Słowem do najtrudniejszych zajęć podróżnika należy urządzenie ładunku tak, aby przy wszelkich przewidzianych wypadkach nie uległ szkodzie lub zniszczeniu, co by mogło skompromitować rezultat długiej i uciążliwej podróży.

Skrzynie, jakich używaliśmy do naszych wypraw, były własnej roboty, z desek sosnowych jedno-calowej grubości. Długość

<sup>1)</sup> 100 funtów hiszpańskich.

<sup>2)</sup> Ładunek muła składa się z dwu juków (skrzyń, worów lub tlomoków), symetrycznie ułożonych po obu stronach grzbietu.

ich wynosiła 84 centymetrów, co stanowi normalną miarę ładunków na muły; wogóle dłuższe juki niechętnie są widziane przez arrierów, gdyż wystając znacznie poza poduszki, mogą poranić biodra mułów. Wieka skrzyń przymocowywaliśmy śrubami, aby przy częstem otwieraniu nie połupać desek. Wewnątrz każdej takiej paki znajdowała się skrzynia z blachy cynkowej, przeznaczona w przyszłości do zalutowania zbiorów, gdyż tym jedynie sposobem można kolekcje zabezpieczyć od szkodników lub wilgoci. Zwykle podróżnicy nie są tak skrupulatni w transportowaniu swych zbiorów; ja jednak, idąc w tym razie za przykładem Jelskiego, uważałem kolekcje jako alfę i omegę naszego podróżowania, a przeto wszelkie me wysiłki kierowałem ku temu, aby je w całości przechować i do miejsca przeznaczenia dostawić. Dzięki tej właśnie skrupulatności z zadowoleniem powiedzieć mogę, że ani razu nie doznałem strat lub szkód w mych zbiorach pomimo trudnych warunków, jakie niezbędnie tu i owdzie przytrafić się musiały. Raz nawet kilka pak moich z kolekcjami wpadło przy przeprawie przez rzekę do wody; dzięki jednak hermetycznie zamkniętym skrzyniom blaszanym delikatna zawartość ich nic na tem nie ucierpiała.

Wieka niektórych skrzyń opatrzone były zawiaskami i kółkami do klódek, aby w razie potrzeby mogły służyć do przechowania cenniejszych przedmiotów i pieniędzy, co jest niezbędnem przy wspólnem życiu z krajowcami, od których nie zawsze dom cały odnajac można. Zdarza się często, że zmuszeni jesteśmy dzielić izbę wraz z rodziną właściciela, a wówczas takie przedmioty jak cukier, proch, mydło, płócienko i tym podobne mogłyby niepotrzebnie skusić współlokatorów. Bardziej jeszcze łakomą rzeczą mogłyby być pieniądze, które zmuszeni brać byliśmy w srebrze, gdyż wewnątrz Peru, z wyjątkiem niektórych większych miast departamentowych, papiery banków limańskich nie miały podówczas żadnej wartości. Jest to dla podróżnika okolicznością fatalną, gdyż przy znacznym ciężarze srebra niepodobna jest wozić ze sobą większej sumy, a tem samem zmuszeni jesteśmy pieniądze nasze zawierzyć arrierom. Na pochwałę jednak tych ostatnich powiedzieć muszę, że ani Jelski, ani ja nie mieliśmy nigdy nieprzyjemności z tego powodu, pomimo, że nieraz znaczną sumę w skrzyniach naszych powierzaliśmy arrierom. Raz tylko pamiętam, że jedną z mych skrzyń otwarto i przerzucono zawartość jej widocznie w nadziei znalezienia pieniędzy; na szczęście dla mnie natrafiono na taką w której pieniędzy nie było.

Skoro już zacząłem mówić o ładunku naszym nie mogę zamilczeć o sposobie transportowania jego w Kordyljerach. Z wyjątkiem kilku zaledwie dróg kołowych na Pomorzu, cała górzysta część Peru posiada ścieżki dostępne jedynie dla koni lub mułów, na grzbiecie których odbywa się cały ruch handlowy. Nazwałem je ścieżkami, gdyż na inne miano nie zasługują, pomimo, że je zwykle krajowcy „caminos reales“, czyli drogami królewskimi nazywają. Nieraz pewnie w przyszłości będę miał sposobność po-



mówienia o tych szlakach, ograniczę się więc tu tylko na wzmiance, że w miarę jak się na wschód posuwamy, stają się one coraz trudniejszymi, coraz gorzej utrzymanymi, aż w końcu dojdziemy na wschodnim stoku Andów do ścieżek, które nawet dla pieszych ludzi są ledwie dostępne. W tej też części cały ruch odbywa się jedynie pieszo, a towary przenoszone są na plecach ludzi. Wreszcie cała wschodnia część Peru, obejmująca równiny Maynas, Sacramento, słowem nizinową część kotliny Amazonki, komunikuje się głównie przez pośrednictwo rzek i strumieni, a tylko gdzieś gdzie szlaki dostępne dla pieszych przeryniają jądro olbrzymich puszcz zwrotnikowych. Tym sposobem, posuwając się z zachodu na wschód, podróżować będziemy w Peru najprzód koleją żelazną, potem na mułach, dalej pieszo, a wreszcie łodzią i parowcem. Na razie interesuje nas najwięcej transport mułami, o nim więc pomówimy.

Koń, muł i osioł służą w zachodnich Kordyljerach do przenoszenia ładunku lub ludzi. Używaną bywa także czasami lama, lecz znaczenie tego zwierzęcia jako bydłęcia jucznego słabnie z dniem każdym, a w niektórych częściach Peru zaniechano nawet zupełnie hodowli lam. Ładunek lamy nie może przechodzić 100 funtów, gdy muł dźwiga 200 do 300 funtów; zrozumiałem więc jest, że zastąpiono lamy mułami. Te ostatnie w górskich przeprawach oddają usługi nieocenione, a żaden koń ani osioł dorównać im nie może. Muł odznacza się niezwykłą wytrzymałością, a po osłe odziedziczył tę dziwną zdolność obywania się lichą paszą, zachowując siły do dalekiej podróży. Jego potężne płuca pozwalają mu bez wielkiego wysiłku dźwigać znaczny ciężar po stromych spadkach górskich, a krok pewny i spokojny ułatwia przebycie trudnych, a często bardzo niebezpiecznych szlaków, czepiających się po urwistych ścianach skalistych, już przecinających szalone strumienie górskie lub niebezpieczne trzęsawy, tak często na wyżynach Kordyljerskich spotykane.

Jedynie widząc naocznie drogi andyjskie zrozumieć możemy znaczenie muła, jako środka lokomocji. Tam gdzie koń, z natury ognisty, rwie się i siły swoje niepotrzebnie targa, muł spokojnie zużywa tyle swego wysiłku, ile mianowicie niezbędnem jest do podniesienia ciężaru.

Gdy droga usłaną jest ostremi kamieniami, koń, nie przebiegając, stawia swe kopyto nierozważnie, przez co szybko podbić się może, gdy muł przeciwnie każdy swój krok rozważa i gdzie raz nogę postawi, można być pewnym, że ta mu się nie osunie. Na drogach gliniastych, które przy częstych deszczach stają się nadzwyczaj śliskimi, płaskie kopyto konia z łatwością się usuwa, gdy przeciwnie muł, obdarzony kopytami małymi i stojącymi „wpija się“, że tak powiem, w grunt, unikając częstych i niebezpiecznych upadków. Jakżeż często koń party ostrogą rzuca się niebacznie w zwodnicze trzęsawiska piękną murawą pokryte; muł czując instynktem niebezpieczeństwo, nigdy tego nie robi, a gdy nie wiedząc przyczyny chcemy go ostrogą zmusić do przebycia trzęsawy, wie-

rzga, w bok się rzuca, a w topiel nie wejdzie. Chyba wyjątkowo trafi się muł taki, który ognistością swoją wyrównywa koniowi, a wtedy posłuszny żądaniu jeźdźca zagrzęźnie w ukrytem błocie. Następujący wypadek dowodzi, jak zwierz ten obdarzony jest wysokim instynktem i jak łatwo poznaje niebezpieczeństwo tam nawet, gdzie go się domyślać nie możemy.

W jednej z podróży miałem muła młodego, którego świeżo nabył w okolicach Chepen. Zwierz ten, wychowany na suchem Pomorzu, gdzie trzęsawiska nie są znane, nie mógł przez doświadczenie dojść do rozpoznawania tego rodzaju niebezpieczeństw; w Kordyljerach zaś odbywał pierwszą podróż. Już niedaleko Chota należało przebyć w jednym miejscu niewielką równinę, położoną wśród gór i przeciętą czystym kryształowym strumieniem. Wydeptana droga prowadziła prosto do niego, a pewne rozszerzenie zwiastowało bród wygodny; zdziwiłem się więc niepomału, gdy przybywszy nad brzeg strumienia, muł mój wyciągnął głowę ku dołowi, jakby wietrząc niebezpieczeństwo i odmówił przejścia brodu. Wody mogło być w tem miejscu na stopę ledwie, a na dnie widać było czysty piaseczek; przedtem zaś muł mój nie odmówił mi nigdy przejścia przez liczne strumienie, jakie już przebyliśmy; sądząc więc, że to tylko fantazja mego wierzchowca, dałem mu silnie ostrogą, a był to zwierz nie ustępujący ogniem swym najlepszemu koniowi. Posłuszny skoczył do wody i odrazu wpadł po brzuch w ruchomy piasek. Było tak blisko brzegu, że mógł z łatwością wyskoczyć, lecz muła mego tylko przy pomocy przejezdnych arrierów wyciągnąć zdołałem.

Muł tylko pod jednym względem ustępuje koniowi, to jest szybkości. To też Peruwjanie scharakteryzowali te oba zwierzęta w następującem przysłowiu: „El caballo para correr y la mula para seguir“ (Konia do ucieczki, muła do pogoni)—co znaczy, że do krótkiej, a szybkiej podróży lepszym jest koń, lecz gdy wypadnie przebyć tydzień, czasami dwa lub więcej tygodni na grzbiecie jednego bydłęcia, wówczas ufajmy więcej mułowi, gdyż są większe szanse, że nam nie ustanie, lub że się nie podbije. Zwykle też podróżni jadący „escotero“ (to znaczy bez ładunku) używają koni, gdyż na nich można kilkodniową podróż odbyć szybciej, aniżeli na mule; do dłuższych jednak wypraw można brać tylko wypróbowane konie, gdyż i między nimi znajdzie się czasami osobnik dorównujący wytrzymałością najlepszym mułom.

Najwięcej i najbardziej cenionych mułów produkuje Pomorze peruwjańskie, co głównie przypisać należy dobrej rasie osłów, jakie w tej części kraju są hodowane. Osły pomorskie tak jak i współbracia ich z Hiszpanii lub Egiptu, są rosłe i piękne, a tem samem bardzo cenione przez hodowców peruwjańskich. Cena osła reproduktora mułów dochodzi znacznej wysokości, bo 150 a czasami 200 solesów (400 rub.), gdy zwykłego osła można kupić za 20—30 solesów. Podniesienie to niezwykle wartości pochodzi ztąd, że tylko wyjątkowe okazy, specjalnie od młodu chowane razem z końmi, mają skłonność do klaczy i do reprodukowania mułów

służyć mogą. Największą sławą cieszą się w Peru muły pochodzące z departamentu Piura; cenione też są muły z okolic San Pedro, Chepen i Guadalupe. Wielkie muły pociągowe, używane do wozów w miastach pomorskich, a głównie w Limie sprowadzane bywają lądem z Argentyny.

Karawana mułów zowie się w Peru „recua“, a przewodniczy jej tak zwana „madrina“, czyli klacz, a czasami koń z dzwonkiem u szyi. Zapobiega to rozbieganiu się lub pozostawaniu w tyle luzem idących mułów, które do koni mają szczególny pociąg wskutek tego, że je klacze wykarmiają. Jeżeli karawana jest mieszana z koni i mułów, każdy muł szybko obiera sobie madrinę i tak się do niego przywiązuje, że na krok nie chce odstąpić, co nieraz dla jeźdźca bywa nieprzyjemnem, gdyż wierzchowiec jego niechętnie oddala się od swego towarzysza lub towarzyszki. Jeżeli więc wypadnie nam poprawić poprzęg, lub inna okoliczność zatrzyma nas na chwilę, kłopot niemały mamy ze zwierzęciem, które gwałtem rwie się za uchodzącą „madriną“.

Ładowanie mułów jest prawdziwą sztuką, w której niezawsze są wprawni arrierzy z profesji. Chodzi o to, aby ładunek, składający się zwykle z dwu juków, uwiązać na grzbiecie tak, aby muła nie ranił i na strony się nie przekrzywił. W tym celu na grzbiecie kładą się dwie razem połączone poduszki zwane „aparejo“, przytrzymywane jedną poprzęgą, i tak zwaną „retranca“ rodzajem podogonia z mocnej bawełnianej lub wełnianej taśmy, przebiegającej od tyłu poduszek po udach zwierzęcia. Przeznaczeniem retranski jest powstrzymać osuwanie się naprzód ładunku przy spuszczeniu się na stromych spadkach. Na tych poduszkach umieszcza się symetrycznie dwa juki, przymocowując je rzemiennymi postronkami (las reatas), powiązanymi w bardzo sprytny i skomplikowany sposób. Oba juki powinny być prawie co do funta zrównoważone, w przeciwnym bowiem razie ładunek co chwila będzie się skręcał na stronę cięższego juku, dając arrierowi ciągły kłopot z poprawianiem i opóźniając przez to samą podróż. Arrierzy też nie lubią ładunków z jednego juku złożonych, choćby ciężar jego był mniejszy od wagi przyjętej, gdyż taki ładunek odparza złatwością muły. Wszelkie dodatki, tak zwane „sobre-cargas“, czyli małe paczki, które się między dwoma jukami przymocowują, są także bardzo źle widziane przez nich, gdyż przy częstem poprawianiu ładunku, przeszkadzają niemało. Wogóle arriero w wyborze juków jest bardzo kapryśny i często najmniejsza okoliczność gotowa jest go zniechęcić i do zerwania umowy skłonić. Tak np. w naszej wyprawie z Chepen do Chota zmuszeni byliśmy w obec arriera przeważać wszystkie nasze skrzynie, a gdy w której choćby funt jeden wagę normalną przeważał, należało ciężaru ujmować i ładunek równoważyć.

Wogóle w tej mojej pierwszej wyprawie do wnętrza kraju napotkaliśmy na znaczne przeszkody w wynalezieniu arrierów, przez co parę tygodni czasu straciliśmy. Dopiero przybycie z Hualgayoc pewnego kupca, nazwiskiem Gallardo, ułatwiło nam tę trudną

sprawę. Gallardo wracał natychmiast do domu i zobowiązał się przysłać nam dostateczną liczbę mułów (a potrzebowaliśmy ich kilkanaście, nie licząc koni dla nas dwu pod siodło). W samej rzeczy arriero wkrótce przybył, lecz przyprowadził tylko pięć mułów, które zabrały przeważnie mój ładunek. Nie chcąc dłużej czekać, zdecydowaliśmy się jechać we dwóch do Chota i tam doczekać się przybycia reszty ładunku. Jelski odbył już tam i z powrotem drogę z Chepen do Chota, obeszliśmy się więc bez przewodnika. Chodziło jedynie o kupno wierzchowca dla mnie, co w rzeczywistości okazało się sprawą trudniejszą, jakby na pozór sądzić można. Skończyło się na tem, że Jelski odstąpił mi swego konia, a sam zrobił wycieczkę do serrańskiego miasta San Miguel, skąd sprowadził dla siebie wierzchowca.

Drogę z Chepen do Chota można zrobić, dobrze jadąc w 4 dni czasu, z ładunkiem jednak zużywa się zwykle 6 dni. I my też, wybierając się w podróż obliczaliśmy nasze prowizje na ten przeciąg czasu, z którego trzy dni wypada na „daspoblado“ (miejsce niezamieszkałe). Zabraliśmy więc 24 funty mięsa, które po ususzeniu zredukowały się do 12 funtów; dalej 20 funtów ryżu, chleba za 8 reali, 3 funty cukru, funt herbaty, 3 sery, butelkę spirytusu i 2 maszynki do gotowania herbaty w tych miejscach, gdzieby brak paliwa zmusił nas do gotowania na spirytusie. Mieliśmy też ze sobą kociołek żelazny.

Dnia 10 lipca 1877 roku byliśmy gotowi do drogi. Zanim jednak puścimy się w podróż spójrzmy na nasze wierzchowce i na nas samych, abyśmy mieli pojęcie w jaki sposób podróżuje się w Peru. Kompletny rząd konia, przeznaczony do długiej podróży, składa się z siodła peruwjańskiego (montura de cajón) o podniesionym zarówno sprzodu jak i z tyłu łęku, strzemiona są zwykle zrobione z mocnego drzewa guanavano (*Anona muricata*) lub z „zapote perro“ (*Capparis*), a kształt mają niewysokiej piramidy z dziurą na umieszczenie nogi z jednej strony. Oprócz podogonia siodło takie ma jeszcze pas biegnący po udach (la retronca), a przeznaczony do przytrzymywania siodła na spadkach. Oprócz uzdeczki, opatrzonej silnym munsztukiem, kładzie się wierzchowcowi uździenicę z długą linką, przeznaczoną do przywiązywania konia na pastwiskach w miejscach bezludnych. Gdy koń lub muł jest płochliwy, do siodłania, lub wsiadania zapuszcza mu się na oczy tak zwany „vendojo“ rodzaj dwu kłapek połączonych kółkiem, które zsuwa się na czoło, gdy potrzeba ich okazać się zbyteczną. Rząd taki kompletuje „el pellon“, rodzaj waltrapa z kręconej wełny, który się kładzie na siodło, aby nam mięcej siedzieć było, a na noclegach służy on nam za posłanie. Pellon taki dochodzi nieraz ceny 100 dolarów, a najstawniejsze wyrabiają się w San Jose, pomiędzy Pacasmayo i Chepen.

Niektórzy bogaci Peruwjanie mają siodła bardzo zbytckowne, nasadzone suto srebrem. Widziałem u pewnego księdza z Cutervo uzdę, w której było srebra za 200 solesów (400 rub.). Prawdziwy „caballero“ stara się jaknajwięcej tego drogiego kruszcu nasadzić

w swym rzędzie, a nawet ostrogi ma srebrne. Zwykle w takich razach ozdoby mieszczą się na podniesionych łąkach (z przodu i z tyłu), oraz na wielkich, piramidalnych strzemionach, które mają wszystkie kąty bogato w srebro okute.

Na siodło kładą się sakwy, czyli jak je po hiszpańsku nazywają „alforjas“. Weźmy kawał wydłużonej prostokątnej tkaniny, zagnijmy oba jej końce i zeszyjmy po bokach, a będziemy mieli typowe południowo-amerykańskie sakwy, bez których nie ruszy się żaden podróżny w Kordyljerach. „Alforja“ ma tam takie znaczenie, jak u nas tłomok do podróży. Zwykle bierze się na siodło dwie pary takich sakw: na spód kładzie się większą i grubszą, przeznaczoną do pomieszczenia wiktuałów, czyli tak zwanego w Peru „fiambre“, w górnej zaś mniejszej i delikatniejszej mieści się bielizna do zmiany i niektóre szczegóły do pościeli, jak np. prześcieradło i mała poduszczyca. Sakwy takie przewiesza się przez siodło na tylnym łąku i na nich się siada. Czasami widzieć można podróżnych, siedzących jak na wieży na trzech parach sakw, które im sterczą po bokach naksztłat poduszek.

Ubiór samego podróżnego oprócz zwykłego europejskiego garnituru składa się z kapelusza słomkowego (panamskiego) oraz „poncho“, które nas zabezpiecza od kurzawy. Na przypadek zimna (o co nietrudno w górskich regjonach) ma się zwykle drugie poncho z grubej wełny tkane, które nam za kołdrę na noclegach służy. Wreszcie niezbędnem jak przy częstych deszczach poncho kauczukowe, które chroni naszą osobę, oraz alforjas i pellon od zmoknięcia. Niemałą też usługę oddają podróżnemu długie buty, chroniąc od zamoczenia i zabłocenia nóg. Wewnątrz kraju na wschód od Maranonu zastępuje się je szerokimi nogawicami z grubego sukna, flanelą wewnątrz podszytymi, które się naciąga na pantalon i paskiem spina pod kolanem. Dodajmy do tego szalik wełniany, parę ostróg i rewolwer lub flintę, a będziemy mieli kompletny ubiór podróżującego po Peru. Wszyscy zamożniejsi krajowcy podróżują zwykle w towarzystwie służącego, który koni na noclegach dogląda, strawę gotuje i łóżko zaściela. W Peru takiego pacholka nazywają skromnie „muchacho“ (chłopiec), w Ekwadorze zaś pretensjonalniej—„paje“ (paź).

Znajomiwszy się mniej więcej ze sposobem podróżowania w Inkazyi, puścimy się teraz w drogę, gdyż nam pilno dostać się do potężnych Kordyljerów, które wznoszą w dali swój grzbiet imponujący.

KONIEC TOMU I-go.





# MAPA PERU

UŁOŻONA PRZEZ

## J.SZTOLCMAŃA

WEDŁUG BARRERY, PAZ SOLDANA, RAIMONDIEGO, BARTLETTA  
WERTHEMANA, z LICZNYMI UZUPEŁNIENIAMI WŁASNYMI

— MARSZRUTA SZTOLCMAŃA









Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

**K.2458-1/I**



1000000000379